

PRZEŁOŻYLI Z NIEMIECKIEGO JACEK FROHLING I JANUSZ GRABOWSKI

POSŁOWIEM OPATRZYŁ JAN BIAŁOSTOCKI

LION FEUCHTWANGER

GOYA

Wśród żyjących pisarzy niemieckich okresu „dwu wojen” do najświetniejszych należy pióro wielkiego epika, Liona Feuchtwangera, przyjaciela Tomasza i Henryka Manna, Arnolda Zweiga, Johannesesa Bechera, Bertolda Brechta.

Lion Feuchtwanger obchodził 7 lipca 1954 r. siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Jest on jednym z najwybitniejszych współtwórców owej wspaniałej literatury, której wysoki poziom artystyczny szedł w parze z głębokim umiłowaniem prawdy i szlachetną tendencją. Literatury, która zdobyła rozgłos światowy i która, nieulekła, broniła na emigracji godności Niemców podczas brunatnej nocy hitlerowskiej okupacji.

Sławny przede wszystkim jako autor wielkich, na sumiennych studiach opartych romansów historycznych — Feuchtwanger w zaraniu swego pisarstwa (lata 1903—1923) uprawiał głównie dramat i komedię, a także gatunek twórczości, który nazywał „powieścią dramatyczną” (*dramatischer Roman*). Później, po roku 1912, m. in. w powieści historycznej *Jud Siiss* („Żyd Siiss”, 1925), jednym z pierwszych utworów, który — obok *Die hassliche Herzogin* („Brzydka księżna”, 1923) — był rewelacją jego talentu epickiego. Feuchtwanger będzie dokonywał powieściowych transpozycji niektórych swoich poprzednich utworów dramatycznych. Przypominając tę praktykę swego przyjaciela, Arnold Zweig napisał w swoich wspomnieniach, że temu przykładowi i koleżeńskiemu zachęceniu zawdzięcza napisanie powieści *Spór o sierżanta Griszę*, która istniała najpierw w wersji dramatycznej; przedtem autor bezskutecznie zabiegał wiele lat o wystawienie sztuki. Obok dzieł wymienionych do najgłośniejszych dzieł Feuchtwangera należą:

*Erfolg* („Sukces”, 1930), który wraz z powieściami *Die Geschwister Oppenheim* („Rodzeństwo Oppenheim”, Amsterdam 1933) i *Exil* („Wygnanie”, Amsterdam 1940) tworzy trylogię zatytułowaną *Wartesaal* („Poczekalnia”),

*Der Jidische Krieg* („Wojna żydowska”, 1932), tworząca trylogię zatytułowaną *Josephus* z powieściami *Die SOHNE* („Synowie”, Amsterdam 1935) i *Der tag wird kommen* („Nadejdzie ów dzień”, Sztokholm 1945).

*Der falsche Nero* („Obłudny Nero”, Amsterdam 1936).

*Die Fiichse in Weinberg* („Lisy w winnicy”, Amsterdam 1947/48; wydanie polskie przygotowuje Państwowy Instytut Wydawniczy).

Powieść biograficzna o wielkim malarzu i grafiku hiszpańskim, *Goya*, której

trzecie wydanie przedstawiamy polskiemu czytelnikowi, napisana została w r. 1951.

W chwili obecnej pisarz pracuje nad nową powieścią również z dziejów Hiszpanii: *Die Jiidin aus Toledo* („Żydówka z Toledo”).

<5)

Powieści historyczne Feuchtwangera nie są nigdy ucieczką od terażniejszości; mają pomagać rozumieniu terażniejszości. Takie jest założenie ich twórcy. A co jest drogowskazem pisarza w jego wieloletniej wędrówce pisarskiej po krajach i epokach? Oddajmy tu głos samemu Solenizantowi, który swoje credo w tej sprawie ujął w słowach następujących: „Odkąd piszę, staram się zawsze pisać powieści historyczne dla rozumu, a przeciw głupocie i przemocy, przeciwko temu, co Marks nazywa tonięciem w ahistoryczności.”

Lion Feuchtwanger pochodzi z zamożnej mieszczańskiej rodziny, zasiedziałej w Monachium. Ojciec pisarza był bankierem. Autor *Goyi* studiował i doktoryzował się z filozofii. Jak opowiada w swojej „na wesoło” napisanej (w r. 1935) autobiografii; w czasie nauki szkolnej wbijano mu do głowy 14 203 razy imię Platona, 22641 razy imię Fryderyka Wielkiego, a nie wspomniano ani razu — o Karolu Marksie. W tymże rodzinnym Monachium rozgrywa się akcja powieści „Sukces”, wydanej jeszcze w ówczesnych przedhitlerowskich Niemczech w r. 1930, ostrzegającej przed faszyzmem. W momencie gdy feldmarszałek Hindenburg przekazywał władzę w Niemczech, w ręce wybrańca wielkiego kapitału niemieckiego, Feuchtwanger znajdował się w podróży po Stanach Zjednoczonych z cyklem odczytów. Z podróży tej do kraju już nie powrócił. W latach trzydziestych osiedlił się we Francji, gdzie napisał dalsze dwie części trylogii „monachijskiej” oraz „Obłudnego Nerona”.

Na początku drugiej wojny światowej burżuazyjna Francja osadziła pisarza mieszczańskiego Liona Feuchtwangera w obozie koncentracyjnym razem z licznymi innymi patriotami niemieckimi, uchodźcami z ojczyzny. W obozie otaczał go powszechny szacunek za jego bezkompromisową postawę moralną. Udało mu się uciec z obozu tylko dzięki zbiegowi okoliczności. Swoje wrażenia i doświadczenia z tego okresu zużytkował w tomie *Der Teufel in Frankreich* („Szatan we Francji”), w powieści *Simone* i w niektórych opowiadaniach z tomu *Odysseus und die Schweine* („Odyszeusz i świnię”, Aufbau-Verlag, Berlin 1950). Po roku 1939 pisarz osiedlił się w Stanach Zjednoczonych, gdzie do tej pory przebywa w miejscowości Santa Monica w stanie Kalifornia.

W roku 1953 otrzymał najwyższe odznaczenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Nagrodę Państwową I stopnia w dziale sztuki i literatury—za całokształt swej „twórczości literackiej, która służy walce o humanizm i demokrację i stanowi istotny składnik dzisiejszej literatury niemieckiej”.

C. P.

Pod koniec wieku osiemnastego panowanie średniowiecza skończyło się w całej prawie Europie zachodniej. Na Półwyspie Iberyjskim, zamkniętym z trzech stron morzem, z czwartej górami, trwało ono w dalszym ciągu.

Aby wyprzeć Arabów z półwyspu, Korona i Kościół zawarły jeszcze przed wiekami nierozdzielne przymierze. Zwycięstwo wydawało się bowiem jedynie wtedy możliwe, gdy królom i kapłanom uda się najsurowszą dyscypliną skuć ze sobą w jednolitą całość ludy Hiszpanii. Dokonali tego. Lud zjednoczył się w żarliwej, fanatycznej wierze w tron i ołtarz. I ta surowość, ta jednolitość pozostała.

Z końcem osiemnastego stulecia tradycje iberyjskie zakrzępiły i przybrały formy tragiczne i śmieszne zarazem. Największy poeta tego kraju już przed dwustu laty zaczerpnął temat do swej opowieści z owej ciemnej, groteskowej woli trwania przy starym. Z dziejów rycerza, który nie umie wyrzec się dawnych, rycerskich, pozbawionych już wszelkiego sensu obyczajów, stworzył on symbol o nieprzemijającej wartości, a jego wielce sympatyczny bohater, wzruszający i śmieszny zarazem, stał się postacią sławną na świat cały.

Hiszpanie śmiali się z Don Kiszota, ale uparcie trwali przy swych tradycjach. Dłużej niż gdziekolwiek w Europie zachodniej utrzymał się na półwyspie średniowieczny świat pojęć rycerskich. Męstwo wojenne, posunięta aż do dziwactwa bohaterska poza, bezgraniczne uwielbienie kobiety, wywodzące się z czci dla Dziewicy Marii — to cechy, które pozostały ideałami Hiszpanii. Nie zaprzestano też zabaw rycerskich, choć już od dawna utraciły one swój sens.

Z tym kultem rycersko-wojowniczym łączyła się pobłażliwa pogarda dla uczoneści i rozumu, a wraz z nią wybujała duma, w całym świecie głośna i osławiona, duma narodowa ogółu i pycha kastowa jednostek. Nawet chrześcijaństwo wyzbyło się w Hiszpanii swej pokory i pogody, przybrało charakter dziki, ponury, władczy. Kościół stał się potęgą butną i wojowniczą, męską i okrutną.

Tak więc jeszcze na przełomie osiemnastego wieku Hiszpania była najbardziej staroświeckim krajem kontynentu. Jej miasta i stroje, sposób poruszania się mieszkańców, nawet twarze ludzkie wydawały się obcemu przybyszowi osobliwie sztywne, niczym martwe przeżytki wieków minionych.

Ale od północy, po drugiej stronie gór, rozciągał się, tylko tymi górami od Hiszpanii oddzielony, najpogodniejszy, najbardziej rozsądny kraj świata: Francja. A przez góry przenikała na przekór wszelkim przeszkodom światła myśl ludzi tego kraju i ich ruchliwość. Pod zakrzepłą powłoką, bardzo powoli, poczęli także przeobrażać się mieszkańcy półwyspu.

Panowali wówczas w Hiszpanii królowie obcego rodu, Francuzi, Burbonowie. Hiszpanie mogli byli wprawdzie zmusić królów, by przyjęli ich zwyczaje, tak jak niegdyś zmusili Habsburgów, aby stali się Hiszpanami. Ale szlachta hiszpańska poznała u tych królów francuskiego pochodzenia i ich francuskiej świty obce obyczaje i wielu poczęło znajdować w nich upodobanie.

A kiedy szlachta z wolna zmieniała swe oblicze, ogół trwał z uporem w tradycjach przeszłości. Z zachłanną powagą lud przejął prawa i obowiązki porzucone przez wielkich panów. Za najszlachetniejszy sport uchodziły walki byków, niegdyś przywilej najwyższej arystokracji. Zarówno czynny udział, jak i przyglądanie się dostępne było jedynie wysoko urodzonym. Teraz, odkąd grandowie przestali uczestniczyć w walkach byków, lud z tym większą namiętnością oddawał się tej dzikiej rozrywce. Maniery grandów stawały się swobodniejsze, etykieta ludu zaś coraz bardziej sztywniała. Ambicją szewców było, aby uważano ich za drobną szlachtę, hidalgów, a krawcy, witając się z sobą, wymieniali długie, ceremonialne tytuły. Rola Don Kiszota skończyła się; Don Kiszot przeobraził się w wersalskiego eleganta; teraz lud przejął jego tarczę i starego, kulawego rumaka. Sanczo Pansa, bohaterski i śmieszny, zajął miejsce Don Kiszota.

Po drugiej stronie Pirenejów lud francuski ściał głowę królowi i przepędził precz wielkich panów. Tu, w Hiszpanii, lud stawiał swych władców na równi z bogami, mimo iż byli z pochodzenia Francuzami i nie odznaczali się bynajmniej królewską powagą. Dla ludu hiszpańskiego król pozostał królem, grand grandem; i gdy ci grandowie, coraz to bliżsi francuskim zwyczajom i obyczajom, gotowi byli w końcu wejść nawet w układy z republikańską Francją, lud hiszpański z zapałem toczył dalej walkę z bezbożnymi Francuzami i dobrowolnie oddawał życie za króla, grandów i księży.

Nie brak było jednak Hiszpanów, którzy ten konflikt odczuwali

głęboko i w swym sercu staczali bój między dawnym a nowym obyczajem, między uczuciem i rozsądkiem, bój namiętny, często bolesny, nie zawsze zwycięski.

## II

Donia Cayetana, trzynasta księżna Alba, wydawała dla przyjaciół wieczór teatralny w swym pałacu w Madrycie. Trupa rojalistycznych aktorów paryskich, którzy uszedłszy przed terrorem republiki schronili się za Pirenejami, odegrać miała sztukę pisarza Berthelina *Męczeństwo Marii Antoniny*, dramat, mimo swej współczesnej treści, utrzymany w stylu klasycznym.

Nieliczni widzowie — przeważnie panowie i damy z najwyższej arystokracji — gubili się niemal w przestronnej sali, miernie oświetlonej. aby tym lepiej uwydatniała się jasna estrada. Wzniośle i jednostajnie rozbrzmiewały ze sceny sześciostopowe jamby w patetycznej, dla hiszpańskich uszu nie zawsze zrozumiałej francuszczyźnie; na sali było ciepło, słuchaczy siedzących w wygodnych fotelach ogarniała stopniowo przyjemna, melancholijna senność.

Na scenie królowa-męczennica udzielała budujących nauk swym dzieciom, czternastoletniej Madame Royale/1, i dziewięcioletniemu królowi Ludwikowi XVII. Po czym zwracając się do swej szwagierki, księżniczki Elżbiety, przysięgała, że wszystko, cokolwiek ją w przyszłości spotka, zniesie z opanowaniem, godnym swego zamordowanego małżonka Ludwika XVI.

Księżna Alba nie pokazała się jeszcze. Ale w pierwszym rzędzie siedział małżonek jej, markiz de Villabranca, który, zgodnie ze zwyczajem, do wielu innych tytułów dołączył tytuł rodowy swej małżonki. Cichy, wytworny, szczupły, lecz o pełnej twarzy, patrzył z zamyśleniem w pięknych, ciemnych oczach na chudą postać aktorki, która udając zmarłą Marię Antoninę deklamowała na scenie sentymentalne, patetyczne wiersze. Książę Alba, wielce wrażliwy i niechętny popisom artystycznym nienajwyższej klasy, był już z góry sceptycznie usposobiony. Ale księżna uważała, że podczas żałoby dworskiej, zarządzonej w związku z tragiczną śmiercią królowej Marii Antoniny, życie w stolicy stało się tak śmiertelnie nudne, iż trzeba koniecznie urządzić jakąś imprezę. Przedstawienie zaś tego rodzaju co *Męczeństwo* wniesie trochę życia w ich dom i będzie zarazem dowodem, iż Madame Royale — tytuł przysługujący najstarszej córce króla,

biorą udział w żałobie z powodu stracenia francuskiej pary królewskiej. Książę rozumiał, że małżonka, której kaprysy znane były na wszystkich dworach Europy, nudzi się w samotności swego wielkiego pałacu w Madrycie, i zgodził się bez sprzeciwu. Siedział więc teraz przypatrując się przedstawieniu z cierpliwością i sceptycyzmem.

Matka jego, wdowa po dziesiątym markizie de Villabranca, siedziała obok syna w swobodnej pozycji, przysłuchując się sztuce. Jakaż głośna i skora do łez jest ta Habsburżanka na scenie! Nie, nie taka była Maria Antonina. Markiza de Villabranca widziała ją i rozmawiała z nią kiedyś w Wersalu. Maria Antonina z rodu Habsburgów i Burbonów była czarującą damą, wesołą i przemiłą, może tylko trochę nazbyt zwracającą na siebie uwagę i zbyt hałaśliwą. Ale była przecież tylko Habsburżanką i nie miała w sobie dyskretnej wytworności, cechującej damy z rodu Villabranca. A czyż stosunek Marii Antoniny do milczącego, skromnego Ludwika nie przypomina stosunku jej synowej Cayetany Alba do męża, don Jose? Spojrzała ukradkiem na syna. Był delikatny i słaby i może dlatego właśnie kochała go najbardziej ze swych dzieci. Wszystko, na co patrzyła i co przeżywała, wiązała zawsze z jego osobą. Kochał swoją żonę; rozumiał to każdy, kto raz tylko spojrzał na nią; ale było też niewątpliwe, że żył jedynie w jej cieniu, że dla świata był tylko małżonkiem księżny Alba. Ach, tak niewielu znało naprawdę jej syna Jose. Ludzie widzieli i podziwiali jego wytworność, ale niewielu znało cudowną, pełną wewnętrznej muzykalności harmonię jego istoty, nawet własna żona nie bardzo chyba zdawała sobie z niej sprawę.

Na scenie zjawiała się teraz brutalna postać prezydenta trybunału rewolucyjnego, by ogłosić królowej wyrok. Najpierw wypomnił jej raz jeszcze wszystkie popełnione przez nią haniebne postęпки, odczytując równie głupią jak wstrętną listę jej niesłychanych zbrodni.

Ginąc niemal w głębokim fotelu, w ozdobnym uniformie ambasadora, siedział szczupły i suchy monsieur de Havre, *charge d'affaires* francuskiego następcy tronu, który ze swej rezydencji w Weronie „sprawował rządy” w zastępstwie małego króla, więzionego przez republikanów /1/. Niełatwo jest rządzić krajem nie posiadając nawet piędzi ziemi, a jeszcze trudniej być ambasadorem takiego regenta. Monsieur de Havre, stary dyplomata, przez dziesiątki lat reprezentował świetność dworu wersalskiego i odczuwał teraz bardzo dotkliwie

/1 „Regentem” w imieniu uwięzionego kilkuletniego Ludwika XVII ogłosił się brat Ludwika XVI, hrabia Prowansji, późniejszy Ludwik XVIII, przebywający na emigracji.

swoją obecną godną pożałowania sytuację. Orędzia, które z rozkazu regenta, swego pana, przekazywał dworowi madryckiemu, nieraz wysoce pretensjonalne, brzmiały osobliwie w ustach człowieka noszącego mocno już wyszarzały frak dyplomaty i który nie miałby czym zapłacić za obiad, gdyby nie zapomogi od dworu hiszpańskiego. Monsieur de Havre, zakrywając dyplomatycznym pierogiem najbardziej wytarte miejsca swego fraka, siedział teraz obok swej szesnastoletniej ładnej córki Genowefy, szczupłej i bladej. I jej przydałaby się nowa suknia, zarówno w interesie Francji, jak i jej własnym. Ach, zeszło się na psy! Trzeba być wdzięcznym losowi nawet i za to zaproszenie od księżny Alba.

Na scenie przedstawiciel trybunału ogłosił królewskiej cierpiętnicy wyrok śmierci, na co ona odrzekła, że marzy o połączeniu się ze swym małżonkiem. Lecz nie pozwolono jej tak lekko umrzeć: bezbożni szubrawcy obmyślili dla niej jeszcze jedno, ostatnie pohańbienie. Maria Antonina — głosił wierszem potwór na scenie — swą długoletnią wyuzdaną rozpustą poniżyła Francję w oczach całego świata; jest przeto wolą ludu, aby na znak hańby poprowadzono ją na szafot obnażoną do pasa.

Widzowie czytali już wiele opisów tego okropnego zdarzenia, ale to było dla nich nowe. Połechtani i przejęci dreszczykiem zgrozy, ocknęli się ze swej senności i słuchali uważnie; dramat wśród ogólnego zainteresowania począł zbliżać się do końca. Zastłona opadła, rozległy się uprzejme oklaski. Goście powstali z miejsc, radzi, że mogą rozprostować członki, i poczęli przechadzać się po sali.

Zapalono więcej świec. Można było zobaczyć, kto jest obecny.

Uwagę zwracał na siebie człowiek, który choć sam starannie a nawet kosztownie ubrany, wydawał się nieco niezgrabny wśród tych wymuskanych kawalerów i dam. Wzrostu był niedużego, miał głęboko osadzone oczy o ciężkich powiekach, wydatną, władczo naprzód wysuniętą dolną wargę, prosty, spod czoła sterczący, mięsisty, nieco płaski nos; głowa jego miała w sobie coś z lwa. Przechadzał się wolno po sali, znali go tu prawie wszyscy i z szacunkiem odwzajemniali jego ukłony.

— Miło nam widzieć pana, don Francisco — słyszał raz po raz.

Don Francisco de Goya rad był, że księżna Alba zaprosiła go wraz z tym świetnym gronem gości, cieszyło go też okazywane mu poważanie. Długa to była droga, która z chłopskiej wsi Fuendetodos przywiodła go aż tu, do pałacu książąt Alba, i bynajmniej nie łatwa; a jednak mały Francho, dziś malarz królewski, *pintor de camara*, znajdował się



tutaj; malował portrety tych wielkich dam i panów, ale nie wiadomo było, kto komu czynił zaszczyt.

Skłonił się głęboko przed starą markizą de Villabranca.

— Jak się panu podobała sztuka i wykonanie, don Francisco? — zapytała.

— Nie chce mi się wierzyć — odparł — by królowa Maria Antonina mogła mówić w ten sposób. A jeśli tak było, mniej ubolewałbym nad jej śmiercią.

Markiza uśmiechnęła się.

— Jednakże szkoda wielka — rzekła — że ich królewskie mości nie były dziś obecne.

Ale ton jej był szelmowski, piękne oczy patrzyły na malarza swobodnie, a wąskie wargi szerokich ust wykrzywił leciuchny grymas. Goya uśmiechnął się również, myśląc o tym, czego markiza nie dopowiedziała, o tym mianowicie, że hiszpańskich Burbonów pewnie by ciarki przeszły, gdyby musieli słuchać przez cały wieczór, co przydarzyło się karkom ich francuskich kuzynów.

— Kiedyż nareszcie będzie mnie pan malował, don Francisco? — spytała markiza. — Wiem, jestem starą kobietą i ma pan z pewnością coś lepszego do roboty.

Zaprzeczył jej słowom gorąco i z przekonaniem. Markiza mimo swych pięćdziesięciu pięciu lat była wciąż jeszcze piękna, wyczuwało się, że miała bujne, niedawno dopiero przebrzmiałe życie. Goya patrzył w tę twarz o wyrazie pogodnej rezygnacji, twarz kobiety, która wiele wiedziała, objął wzrokiem jej skromną, kosztowną, ciemną suknię i biały szal delikatnej roboty, spod którego widać było różę. Wygląd markizy zgadzał się najdokładniej z obrazem wielkiej damy, jaki Goya wytworzył sobie w marzeniach młodości. Cieszył się na myśl, że będzie ją malował.

Majordomo zaprosił gości do wielkiego salonu, gdzie oczekiwała ich księżna. Goya dotrzymywał towarzystwa markizie. Przeszli wolnym krokiem przez galerię obrazów, łączącą salę teatralną z salonem. Wisiały tu wybrane płótna starych mistrzów hiszpańskich, flamandzkich, włoskich, niesposób było przejść i nic zatrzymać się przed tym czy owym obrazem, tak wymownie w migotliwym blasku świec promieniało z tych ścian dawne życie.

— Muszę się przyznać — powiedziała markiza — że najbardziej lubię Rafaela. Ze wszystkich obrazów, które tu wiszą, najbliższa memu sercu jest *Święta Rodzina*.

Goya, który wbrew powszechnemu zdaniu nie był zwolennikiem Rafaela, szukał jakiejś uprzejmej, wymijającej odpowiedzi.

Lecz w tej chwili doszli do zakrętu galerii i przez otwarte podwoje dużego salonu ujrzeli Cayetanę Alba. Siedziała, starodawnym zwyczajem, na niskiej wyłożonej dywanami estradzie, oddzielonej od reszty sali małą balustradą z szerokim przejściem, i w przeciwieństwie do innych pań nie miała na sobie nowoczesnej, modnej toalety, lecz strój hiszpański dawnego kroju. Markiza uśmiechnęła się. Taka była donia Cayetana: brała z Francji to, co było w niej dobrego, ale nie wypierała się bynajmniej, że jest Hiszpanką. Był to jej wieczór, zaproszenia rozesłano w jej tylko, a nie w jej i małżonka imieniu, nikt więc nie mógł wziąć jej za złe, że po pierwszej, francuskiej części wieczoru następowała teraz druga, hiszpańska. Ale pokazywać się u siebie w domu, wśród zaproszonych na wieczór gości, w narodowym hiszpańskim stroju, jak jakaś *maja*, to już chyba efekt nazbyt jaskrawy.

— Nasza donia Cayetana ma wciąż nowe pomysły — powiedziała markiza do malarza.

— *Elle est chatoyante* — dodała po francusku.

Goya nic nie odpowiedział. Stał ogłupiały, milczący w drzwiach salonu i wpatrywał się w księżnę. Miała na sobie srebrzystoszarą suknię pobylą czarnymi koronkami. Twarz owalna, nieszminkowana, o smagłej cerze, z lśniącym, ciepłym, bladobrunatnym odcieniem; kręte czarne włosy wiły się w bujnych splotach, spięte u góry wysokim grzebieniem; drobne, kształtne nóżki, obute w spiczaste pantofelki, wysuwały się spod szerokich fałdów spódnicy. Na kolanach trzymała białego pieska, śmiesznie małego, o wełnistej sierści, i głaskała go lewą ręką w rękawiczce. Prawą, obnażoną, wąską i pulchną, niemal dziecięcą, położyła niedbale na poręczy fotela, trzymając w wysmukłych, nieco rozchylonych palcach prawie złożony, zwrócony ku dołowi wachlarz.

Goya milczał. Markiza sądząc, że nie zrozumiał francuskiego zdania, przetłumaczyła je: — Ona mieni się jak kamień, który zwą „kocie oko”. Ale don Francisco stał dalej, zapatrzony nieruchomo. Widywał już księżnę niejednokrotnie, malował nawet kiedyś jej portret, bez zbytniego zapału zresztą, i obraz wypadł też nieszczególnie. Rysował nieraz, ot dla igraszki, twarz wielkiej damy, o której tak wiele i tak chętnie mówiono w Madrycie, na szkicach do wytwornych gobelinów, zamawianych dla zamków królewskich. Ale teraz nie poznawał jej, jak gdyby jej nigdy nie widział. Więc to była Alba?

Kolana drżały pod nim. Każdy jej włos, każda pora skóry, gęste, wysoko uniesione brwi, piersi na pół obnażone pod czarnymi koronkami budziły w nim namiętność bez granic.

W uszach brzmiały mu jeszcze słowa markizy, choć niezupełnie pojmował ich sens; odpowiedział machinalnie:

— Tak, donia Cayetana jest zadziwiająco niezależna. Jest na wskroś Hiszpanką.

Stał wciąż jeszcze w drzwiach, z oczyma utkwionymi w tej kobiecie. Wtem zwróciła głowę w jego kierunku. Czy go dostrzegła? Czy tylko przypadkiem popatrzyła w tę stronę? Rozmawiała z kimś, głaszcząc lewą ręką pieska. Prawą uniosła wachlarz w górę i rozłożyła, odsłaniając zdobiące go malowidło — młodzieńca śpiewającego pod czymś balkonem — po czym złożyła go ponownie i otworzyła.

Radosny lęk zaparł Franciscowi dech w piersi. Znał tajemną mowę wachlarzy, przy pomocy której *maje*, dziewczęta z ludu, w kościele, na publicznych zabawach, w gospodach dawały znaki nieznanym; w ruchu, jaki dostrzegł teraz z estrady, czytał wyraźną zachętę.

Być może, że stara markiza mówiła coś jeszcze, może jej odpowiadał. Nie zdawał sobie z tego sprawy. Teraz wszakże opuścił ją nagle, bez słowa, szorstko, nieuprzejmie i przeszedł przez salę ku estradzie.

Zewsząd słychać było stłumione głosy, śmiech, brzęk talerzy i szklanek. Poprzez lekką wrzawę doszedł go z estrady głos, jej głos, nieco twardy, ale nie krzykliwy, głos dziwnie młodzieńczy.

— Czy ta Maria Antonina nie była w gruncie *rzeczy* trochę głupia? — powiedziała Alba, a spostrzegłszy, że te zuchwałe słowa wywołały przykre wrażenie, dodała z łagodną drwiną: — Oczywiście mam na myśli Marię Antoninę ze sztuki monsieur Berthelina.

Goya wszedł na estradę.

— Jakże podobało się panu nasze przedstawienie, senior de Goya? — zapytała.

Nie odpowiedział, stał i patrzył na nią obojętny na wszystko dokoła. Był już niemłodym, bo czterdziestopięcioletnim mężczyzną, i nie był piękny. Twarz okrągła, o płaskim mięsistym nosie, głęboko osadzonych oczach i grubej, wysuniętej naprzód dolnej wardze, bujne, modnie upudrowane włosy; wytworny opięty frak uwydatniał zażywe już nieco kształty. Staranność ubioru podkreślała jeszcze bardziej lwią twarz i grubo ciosaną postać: wyglądał jak chłop w dworskim, przesadnie modnym stroju.

Nie zdawał sobie sprawy, czy jej wreszcie odpowiedział, nie wiedział, czy inni mówią. Ale patrzył w smagle, dumne, kapryśne rysy jej twarzy i usłyszał znowu ten zdumiewający głos.

— Podobają się panu moje koronki? — zapytała. — Zdobył je marszałek Alba przed trzystu laty, we Flandrii czy Portugalii, nie wiem dokładnie.

Goya nie odpowiedział.

— Cóż jeszcze odkrywa pan we mnie? — mówiła dalej. — Malował mnie pan przecież, powinien mnie pan znać.

— Portret mi się nie udał — wybuchnął. Głos jego, zazwyczaj dźwięczny i miękki, brzmiał ochryple i zbyt głośno. — Twarze na gobelinach też były tylko zabawką. Chciałbym jeszcze raz spróbować, donio Cayetano.

Nie odpowiedziała ani „tak”, ani „nie”. Spojrzała na niego, jej matowo lśniąca twarz była nieruchoma, tylko spojrzenie ciemnych, metalicznych oczu spoczęło na nim z wymownym wyrazem. Przez trzy okamgnienia patrzyła tak na niego i przez wieczność tych trzech chwil byli sam na sam w przepelnionym gośćmi salonie.

Lecz nagle, bez przejścia, przerwała tę czarowną chwilę zbliżenia. Powiedziała jakby mimochodem, że w najbliższym czasie nie będzie miała niestety wolnych chwil, aby mu pozować, gdyż jest zajęta budową i urządzaniem swej wiejskiej siedziby w Moncloa. O projekcie tym dużo mówiono w Madrycie; opowiadano, że księżna, współzawodnicząc ze zmarłą królową Francji, zapragnęła mieć swój Trianon, mały zameczek, w którym mogłaby od czasu do czasu spędzać samotnie kilka dni z własnymi przyjaciółmi, a nie z przyjaciółmi rodziny..

Ale już po chwili powiedziała poprzednim tonem:

— Czy nie zechciałby pan, don Francisco, namalować mi tymczasem coś innego? — spytała. — Może wachlarz? Może pan namaluje *El Abate y la Maja* /1 — Miała widocznie na myśli *El Fraile y la Maja* (Mnicha i mają), *intermezzo* Ramóna de la Cruz, dość śmiałą komedyjkę, którą zakazano wystawiać publicznie, grano ją jednak kiedyś potajemnie na amatorskim przedstawieniu.

Księżna Alba prosiła nadwornego malarza Francisco de Goya. aby jej namalował coś na wachlarzu. Nie było w tym nic niezwykłego; damy z wielkiego świata często zamawiały sobie malowane wachlarze, a donia Isabel de Farnesio posiadała sławny zbiór liczący około tysiąca sztuk. Nic nadzwyczajnego nie działo się więc na estradzie. A jednak osoby otaczające ją miały wrażenie, że są świadkami jakiegoś zuchwałego, niedozwolonego widowiska.

„Biedny don Francisco” — myślała sobie na sali stara markiza wspominając dopiero co widziany obraz Rubensa, który przedstawiał Herkulesa siedzącego przy kołowrotku i przędnącego z rozkazu Omfali <sup>2</sup>.

1 Opat i maja.

<sup>2</sup> O m f a l e — legendarna królowa Lidii, u której Herkules spędził trzy lata na służbie jako niewolnik.

( 15 )

Stara dama ceniła dobre maniery, nie wzięła jednak za złe malarzowi, jednemu zresztą gościowi nieszlacheckiego pochodzenia w tym gronie grandów, że ją tak niegrzecznie opuścił. Nie gniewała się też zbytnio na małżonkę swego syna, że zabawia się w sposób tak niestosowny, a nawet bezwstydnym. Rozumiała donie Cayetanę, sama wiele przeżyła i kochała życie. Syn jej, słaby i delikatny, potrzebował czyjejś silnej, żywotnej energii, która by zasilila cienką strugę jego własnego życia; dobrze, że miał taką żonę; niejedno trzeba tej kobiecie wybaczyć. Nastawał zmierzch wielkich rodów Hiszpanii; ich męscy potomkowie stawali się coraz delikatniejsi i słabsi, a jeśli była jeszcze w tych rodach jakaś siła, to dostawała się w dziedzictwie kobietom, jak na przykład tej żonie jej ukochanego syna, która teraz na estradzie tak zuchwale i z takim wdziękiem igra z tym malarzem, jedynym z niewielu prawdziwych mężczyzn tego kraju.

Książę Alba dużymi, zamyślonymi oczyma śledził grę swej żony z malarzem. Don Jose Alvarez de Toledo, trzynasty książę Berwick i Alba, był jedenastym markizem de Villabranca i posiadaczem wielu innych tytułów. Spośród stu dziewiętnastu grandów królestwa dwaj tylko równi mu byli rangą; nieba obdarzyły go wszystkimi dobrami tej ziemi. Siedział oto, wysmukły i dostojny, i nie pragnął wywierać jakiegokolwiek wpływu na losy świata, do czego dawałyby mu przecież prawo pochodzenie i nabyte przez małżeństwo wielkie, dumne nazwisko Alba, dziś jeszcze z lękiem powtarzane we Flandrii. Ale ten Alba, syt swojej dostojności i znużony rozmyślaniami nad złożonymi sprawami tego świata, nie pragnął innym rozkazywać ani niczego zabraniać. Prawdziwą radość odczuwał tylko wtedy, gdy słuchał muzyki lub sam wykonywał utwory muzyczne. Kiedy chodziło o muzykę, umiał nawet zdobyć się na wysiłek; wystąpił odważnie przeciw samemu królowi, gdy ten odmówił dalszego wypłacania subwencji operze Coliseo del Principe, wziął wówczas na siebie koszt utrzymania opery, dopóki mu król tego nie zabronił. Teraz przyglądał się swej pięknej żonie zarzucającej sieci na malarza Goyę. Zdawał sobie sprawę ze swej bezsilności, pojmował, że Cayetana może odczuwać pociąg do don Francisca, który był nie tylko artystą, ale i mężczyzną. Był pewny przywiązania swej żony, ale czuł dobrze, że ta sympatia nie jest wolna od litości; nigdy jeszcze nie obdarzyła go takim spojrzeniem, jakim patrzyła na don Francisca. Ogarnął go cichy smutek. Gdy tylko będzie sam, weźmie skrzypce i przy pomocy Haydna lub Boccheriniego

\*/ Mowa tu o księciu Ferdynandzie Alba (1508—1582), słynnym z okrucieństwa wodzu hiszpańskim, który jako namiestnik we Flandrii wsławił się krwawymi rządami, fanatycznym prześladowaniem oraz tępieniem protestantów.

zmyje z duszy *Męczeństwo Marii Antoniny* i to wszystko, co potem nastąpiło. Czuł na sobie tkliwe, zatroskane spojrzenie matki, obrócił ku niej twarz z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. Rozumieli się bez słów, matka wiedziała, że syn godzi się w duchu z tą grą, którą żona prowadziła na estradzie.

Goya zauważywszy, że księżna przestała już zajmować się nim, zrozumiał, że dzisiejszego wieczoru nie spojrzy na niego więcej. Wyszedł wcześniej, niż wypadało.

Wyszedł w noc, jedną z owych wietrznych, nieprzyjemnych madryckich nocy styczniowych. Padał deszcz zmieszany ze śniegiem. Przed bramą czekał jego powóz ze służbą w liberii, jak przystało nadwornemu malarzowi, gdy zapraszała go księżna Alba. Ku zdziwieniu swych ludzi odesłał powóz do domu. Wolał pójść piechotą; nie obchodziło go teraz — choć był człowiekiem oszczędnym — że wysoki jedwabny kapelusz i trzewiki mogą doznać szwanku.

Przyszłość otwierała się przed nim dzika i ponętna, wyzywając go i budząc lęk. Dopiero dwa dni temu pisał do Saragossy swemu przyjacielowi Martinowi Zapater, jak pomyślnie ułożyły się ostatnio jego sprawy, i było to prawdą. Ustały już kłótnie pomiędzy nim a żoną jego, Josefą, miał dużo pociechy z dziećmi; wprowadzie z licznej gromadki, którą mu żona urodziła, tylko troje pozostało przy życiu, ale były to dzieci miłe i zdrowe. Brat żony, nieznośny Bayeu <sup>1</sup>, pierwszy malarz króla, przestał już wtrącać się do jego sposobu malowania i trybu życia. Pojednali się z sobą; zresztą Bayeu cierpiał na ciężkie schorzenie żołądka i pewnie niedługo pociągnie. Nawet jego, Francisca, stosunki z kobietami nie dawały mu się dziś już tak bardzo we znaki jak dawniej; Pepa Tudó, z którą był związany od ośmiu miesięcy, okazała się osobą rozsądną. Wyszedł zwycięsko z ciężkiej choroby, która nawiedziła go przed rokiem, a przytępienie słuchu trapiło go tylko wtedy, kiedy mu to było dogodne. Także i finanse jego stały nieźle. Król i królowa okazywali mu przy każdej sposobności, jak wysoko cenią jego sztukę; podobnie don Manuel, książę de Alcudia, faworyt królowej, i wszyscy w Madrycie, którzy mieli nazwisko i pieniądze, zamawiali u niego portrety. „Przybądź jak najrychlej Martinie mój serdeczny — zakończył Goya swój list — a zobaczysz, jak dobrze powodzi się twemu wiernemu przyjacielowi, twemu małemu Francho,

<sup>1</sup>Bayeu y Subias Francisco (1734—1795) — malarz nadworny, uczeń Antonio Velazqueza, współpracownik Mengsa w przyozdabianiu pałacu królewskiego w Madrycie. Bayeu ukształtował swój styl pod wpływem klasycyzmu Mengsa, odznaczył się w malarstwie monumentalnym i freskowym. Był członkiem, a od r. 1788 rektorem Akademii San Fernando.

Francisco de Goya y Lucientes, członkowi Akademii i nadwornemu malarzowi." U góry i u dołu listu postawił znak krzyża, iżby szczęście jego trwało, w postscriptum zaś polecił przyjacielowi ofiarować Najświętszej Pannie del Pilar dwie kilkufuntowe świece, aby go nadal darzyła powodzeniem.

Ale nie pomogły krzyże ani świece i co było prawdą jeszcze dwa dni temu, nie było nią już dziś. Wszystko pokrzyżowała kobieta na estradzie. Doznał chwili szczęścia, gdy poczuł na sobie spojrzenie jej dużych, błyszczących metalicznie oczu, gdy patrzył w tę kapryśną, wyniosłą twarz. Czuł, że pochłania go nowa wielka fala życia. Ale wiedział, że za wszystko dobre trzeba płacić, i to tym wyższą cenę, im większa jest jego wartość. Wiedział, że będzie musiał walczyć o tę kobietę i cierpieć przez nią; na człowieka czyhają bowiem wciąż złe duchy i jeśli kto niebacznie oddaje się swoim zachciankom i marzeniom, ovladają nim te potwory.

Wzrok mu chyba nie dopisał. Zrobił z tej kobiety kapryśną lalkę. Była nią również, między innymi; ale nie umiał wówczas dojrzeć tego, co kryło się pod zewnętrznymi pozorami. A przecież był już wtedy niezłym malarzem, lepszym w każdym razie od wszystkich innych, nawet od tych dwóch, którzy przewyższali go stanowiskiem na dworze królewskim, od malarzy Bayeu i Maella /1. Być może, że tamci więcej niż on nauczyli się od swego Mengsa <sup>2</sup>, że więcej wyczytali w Winckelmannie <sup>3</sup>, ale on ma lepsze oko, a nauczycielami jego byli Velazquez <sup>4</sup> i natura. Mimo wszystko był do niedawna jeszcze partaczem. Widział zawsze tylko to, co było w ludziach jasne i wyraźne, a nie dostrzegał tej różnorodności, tej zawiłości, która jest w każdym człowieku, nie widział tego, co jest w ludziach groźne. Prawdziwie malować zaczął dopiero w ostatnich latach, a właściwie dopiero od kilku miesięcy, od

1/Maella de Mariano Salvador (1739—1819) — malarz hiszpański, reprezentant stylu akademicko-klasycystycznego. Od 1765 r. był członkiem Akademii Madryckiej. Współpracował z Mengsem przy dekoracji pałacu królewskiego w Madrycie. W 1779 r. został pierwszym malarzem królewskim, w 1795 dyrektorem wydziału malarstwa w Akademii San Fernanu.

<sup>2</sup> Mengs Anton Raphael (1728—1779) — malarz niemiecki, przedstawiciel i teoretyk klasycyzmu. Był malarzem nadwornym Augusta II w Dreźnie, rektorem akademii malarskiej w Rzymie, później pierwszym malarzem królewskim w Madrycie. Malarstwo jego stało się wzorem dla hołdujących klasycyzmowi artystów hiszpańskich.

<sup>3</sup> W i n c k e l m a n n Johann Joachim (1717—1768) — wybitny niemiecki historyk, badacz kultury i sztuki antycznej. Jego pisma wywarły ogromny wpływ na wytworzenie się i ugruntowanie nowego kierunku w historii sztuki, zwanego klasycyzmem, nawiązującego do wzorów greckich, jako szczytowego osiągnięcia w dziedzinie piękna.

<sup>4</sup> Velazquez Diego de Silvey (1599—1660) — malarz hiszpański, nadworny artysta królewski, znakomity portrecista, jeden z największych mistrzów barwy.

czasu swej choroby. Przekroczył czterdziestkę, zanim zaczął rozumieć, co to znaczy malować. Ale pojął nareszcie, pracuje co dzień przez wiele godzin. I właśnie teraz weszła mu w drogę ta kobieta. Była to kobieta wspaniała, niezwykła i czeka go z pewnością wspaniałe i niezwykle przeżycie, ale sprawi mu też dużo kłopotu, kraść mu będzie czas i chęć do pracy; złorzeczył już z góry sobie i jej, i losowi, przeczuwając, że drogo przyjdzie mu za nią zapłacić.

Rozległ się cichutki dzwonek wśród śnieżnej zamieci; po chwili Goya ujrzał księdza i ministranta, którzy walcząc z wiatrem, spieszyli widocznie z Najświętszym Sakramentem do umierającego. Goya, klnąc po cichu, wyciągnął z kieszeni chusteczkę, rozpostarł ją na topniejącym śniegu i ukląkł, tak jak tego wymagał obyczaj, święta inkwizycja i potrzeba jego serca.

Widział zły znak w tym, że spotkał księdza z wiatykiem. Niedobrze, widać, skończy się sprawa z tą kobietą. — Lepiej spotkać dziewięcioletniego byka w ślepym zaułku — mruknął sam do siebie — niż kobietę, gdy masz serce namięte. — Pochodził z ludu, znał mnóstwo starych ludowych przysłów.

Zły, sapał przez nos i walcząc z zawieruchą, brnął naprzód wzdłuż ścian domów; na środku bowiem ulicy błoto sięgało po kostki. „Same przykrości” — pomyślał. Nagle przypomniał sobie posła francuskiego, pana de Havre. Namalował kiedyś jego portret, a Francuz mu nie zapłacił. Kiedy posłał po raz trzeci rachunek, dano mu u dworu do zrozumienia, że dalsze molestowanie dyplomaty francuskiego byłoby niestosowne. Francisco otrzymywał zamówień więcej, niżby chciał, ale kiedy przychodziło do zapłaty, miewał często trudności. A tymczasem mnożyły się wydatki. Utrzymywanie powozu i koni było kosztowne, służba zachowywała się bezczelnie i stawiała coraz to większe żądania, okradała go; ale nie ma na to rady, malarz nadworny króla nie może skąpić na tego rodzaju wydatki. Gdyby nieboszczyk ojciec wiedział, że on, mały Francho, wydaje teraz w dwa dni więcej, niż cała rodzina Goyów w Fuendetodos wydawała w ciągu roku, w grobie by się chyba przewrócił. Ale czyż nie jest to wspaniałe, że on, Francisco, może sobie pozwolić na tak duże wydatki? Twarz jego rozjaśnił uśmiech zadowolenia.

Dotarł do swego domu. *Sereno*, stróż nocny, otworzył mu bramę. Goya wszedł po schodach do swego pokoju, zrzucił przemoczoną odzież i położył się do łóżka. Ale nie mógł zasnąć. W szlafroku poszedł do pracowni. Było mu zimno. Stąpając ostrożnie przemknął się przez korytarz. Przez szparę w drzwiach dostrzegł światło w izdebce służącego Andresa. Zapukał; chłopak dostaje piętnaście realów, niech przynajmniej rozpali ogień. Na pół rozebrany sługa niechętnie spełnił polecenie.



Goya usiadł i patrzył w płomień. Cienie tańczyły po ścianie, poczarne, niesamowite, dziwnie pociągające, groźne. Na ścianie wisiał gobelin przedstawiający procesję. Języki ognia wydobywały z mroku fragmenty obrazu: olbrzymią figurę świętego, niesioną na postumencie przez wiernych, żarliwe, fanatyczne twarze tłumu. Brodaty kardynał, patrzący ponurymi, nieco znudzonymi oczyma z wiszącego na przeciwległej ścianie obrazu Velazqueza, wydawał się upiorny w tym migotliwym świetle; nawet prastara, ciemnobrązowa drewniana figura Dziewicy, o surowym wdzięku, Virgen de Atocha, patronki Francisca, zdawała się szydercza i groźna.

Goya wstał, przeciągnął się, gwałtownym ruchem ramion wyrwijając się z marzeń. Zaczął przemierzać pracownię tam i z powrotem.

Wziął garść sypkiego piasku i rozsypał po stole.

Począł kreślić na piasku. Zamajaczył zarys nagiej kobiety; skurczona, siedziała na podłodze skrzyżowawszy niedbale nogi. Goya starł rysunek i narysował drugą również nagą kobietę, tańczącą. Ale starł i tę drugą, nakreślił trzecią. Dumnie wyprostowaną, niosącą na głowie dzbanek. I tę zatarł piaskiem. Chwycił ołówek i narysował na papierze czwartą. We włosach miała wysoki grzebień, a z grzebienia spływała czarną falą koronek *mantilla*<sup>1</sup> osłaniając biel i nagość jej ciała. Wzdychając i sapiąc, z bezsilnym gniewem spojrział Francisco Goya na swój rysunek i podarł go w strzępy.

### III

Pochłonięty był pracą. Z płótna spoglądała na niego bardzo ładna kobieta; nieco podłużna jej twarz miała w sobie coś z drwiąco uśmiechniętej maski. Spod wysokich brwi patrzyły szeroko rozstawione oczy, szerokie usta o wąskiej górnej i wydatnej dolnej wardze były zamknięte. Już trzy razy pozowała mu ta kobieta, zrobił ponadto kilka szkiców. Teraz pracował nad wykończeniem obrazu. Biegły był w swoim rzemiośle i szybki w robocie. Ale przy tym portrecie dłużej już czwarty tydzień, a obraz nie chciał mu się udać.

Wszystko było niby „w porządku”. Przecież to dama, którą chciał sportretować; znał ją doskonale od dawna, malował ją już kilkakrotnie, była małżonką jego przyjaciela Miguela Bermudez. Wszystko

1/ Mantilla — szal koronkowy, spadający z głowy na plecy i ramiona.

oddał w tym portrecie: skrytość, szyderstwo, głęboko utajoną przebiegłość wszystko, co kryła pod maską światowej damy. Brakło tylko czegoś znikomo drobnego, ale ta drobna rzecz była właśnie najważniejsza. Widział donię Lucię Bermudez na przyjęciu u don Manuela, księcia de Alcudia, wszechwładnego faworyta królowej, którego zaufanym sekretarzem był Miguel Bermudez. Miała wówczas na sobie jasnożółtą suknię, pokrytą białą koronką; zobaczył ją wtedy nagle całą, wraz ze wszystkim, co było w tej kobiecie przelotne, oszałamiające, co było w niej przepastne, istotne. Nad jej postacią zdawał się unosić jakiś srebrzysty ton; patrząc na donię Lucię Bermudez w jasnożółtej sukni z białymi koronkami, pojął, jak ją będzie malował, jak ją musi namalować. Teraz biedził się nad portretem, chociaż wszystko w nim było: i twarz, i karnacja, i postać, i suknia, i nawet to jasnoszare tło, na pewno bardzo dobre. A jednak to wszystko nic nie było warte: brakło stonowania barw, o które chodziło, brakowało tylko drobnostki, która tu właśnie była wszystkim.

W najtajniejszych zakamarkach duszy wiedział, dlaczego ten portret nie chciał się udać. Upłynęły już z górą dwa tygodnie od owego wieczoru teatralnego w pałacu książąt Alba, a nie miał żadnego znaku życia od „kobiety z estrady”. Był rozgoryczony. Jeśli nie chciała przyjść do niego, czemuż nie wezwała go i nie zażądała wachlarza? Jest wprawdzie zajęta swoim śmiesznym, pretensjonalnym zamkiem w Moncloa. Mógł zresztą pójść do niej nawet bez zaproszenia i przynieść jej wachlarz. Ale na to nie pozwalała mu jego duma. To ona musi go wezwać. I wezwie go. Tego, co się wówczas stało na estradzie, nie da się zatrzeć jak figur, które miał zwyczaj kreślić na piasku.

Francisco nie był sam w pracowni. Był tam jeszcze, jak zawsze niemal, uczeń jego i pomocnik, Agustin Esteve; pracownia była duża i nie przeszkadzali sobie nawzajem.

Don Agustin pracował dziś nad portretem generała Ricardosa na koniu. Zimną, zgryźliwą twarz starego generała Goya namalował sam, wykonanie konia i niezliczonych szczegółów munduru oraz medali, które miały być na życzenie generała dokładnie odtworzone, powierzył sumiennemu Agustinowi. Agustin Esteve był to człowiek przeszło trzydziestoletni, chudy, z łysiejącą, guzowatą głową i wysokim, wypukłym czołem, twarz miał podłużną, spiczasto zakończoną, o zapadniętych policzkach i cienkich wargach. Nie był bardzo rozmowny; Francisco przeciwnie, z natury wylewny, lubił gawędzić także podczas pracy. Ale dziś i on był milczący. O wieczorze u Alby nie wspomniał, wbrew swemu zwyczajowi, nawet swoim najbliższym.

Agustin stanął z tyłu za Goyą, cicho, jak to było jego zwyczajem,

i przyglądał się srebrzystoszarej płaszczyźnie płótna z widniejącą na nim srebrzystoszara postać kobiety. Już od siedmiu lat mieszkał u Goyi, spędzali razem całe niemal dni. Don Agustin Esteve nie był wielkim malarzem i nie bez bólu zdawał sobie z tego sprawę. Ale rozumiał się dobrze na sztuce malowania i nikt nie znał tak dokładnie jak on wszystkich mocnych stron, ale też i wszystkich niedociągnięć Francisca. Był Goyi potrzebny; Francisco przywykł zarówno do mrukliwych pochwał, jak i do mrukliwych przygan i niemych wyrzutów Agustina. Potrzebna mu była jego krytyka; oburzał się wprawdzie na nią, szydził z krytykującego, lżył go niemiłosiernie i mieszał z błotem, ale go potrzebował, zarówno jego dodatniej, jak ujemnej oceny. Potrzebny mu był ten milczący, wiecznie z czegoś niezadowolony, rozumny, wykształcony znawca sztuki, ten chudy jak szczapa, snujący się po pracowni Agustin; obrzucał go prostackimi obelgami, posyłał do diabła, ale go kochał. Nie mógł dać sobie rady bez niego, tak samo zresztą jak Agustin bez swego wielkiego, dziecinnego, podziwianego i niezdolnego przyjaciela.

Przez długą chwilę Agustin przyglądał się portretowi. I on również znał kobietę, która spoglądała na niego z ram obrazu z nieuchwytnym odcieniem szyderstwa; znał ją bardzo dobrze, kochał ją. Agustin nie miał powodzenia u kobiet i wiedział, że nie jest pociągający. Donia Lucia Bermudez znana była jako jedna z nielicznych kobiet w Madrycie, które poza swym mężem nie posiadały żadnego *cortejo*, żadnego oficjalnego kochanka. Francisco, kiedy mu na tym zależało, mógł zdobyć każdą kobietę i potrafiłby bez trudu stać się jej *cortejo*. To, że najwidoczniej mu na tym nie zależało, napępiało Agustina zadowoleniem, ale sprawiało mu także przykrość. Przy tym był na tyle znawcą, że mógł patrzeć na ten portret jedynie jako na dzieło sztuki. Widział, że portret jest dobry, ale że Francisco nie osiągnął tego, o co mu w istocie chodziło. Zrobiło mu się żal i jednocześnie odczuł radość; wrócił do swego dużego płótna i w milczeniu zajął się dalszą pracą nad zadem generalskiego rumaka.

Goya przywykł już do tego, że Agustin stawał za jego plecami i przyglądał się robocie. Portret doni Lucii nie był wprawdzie szczególnie udany, ale bądź co bądź Goya stworzył tu coś nowego i bardzo śmiałego, toteż oczekiwał z napięciem sądu Agustina. A gdy Agustin usiadł znów bez słowa przed swoim generalskim jeźdźcem, Goyę zalała fala wściekłości. Ten zuchwały, wykolejony student, który musiał żywić się cienkimi zupkami przy dobroczynnych stołach! Co by się stało z tym nieszczęśnikiem, gdyby się nim nie zajął on, Francisco? Ten eunuch, który wzdycha do każdej kobiety, ale ma o sobie tak

mizerne mniemanie, że żadnej jeszcze nie zdobył, śmie odwracać się bez słowa, od jego, Francisca, obrazu! Pohamował się. Udał, że nie zauważył wcale, iż tamten obejrzał obraz. Pracował w milczeniu dalej.

Wytrzymał tak chwilę, po czym z tłumioną wściekłością, groźny w swym pozornym spokoju, zagadnął go przez ramię:

— Co raczyłeś zauważyć? Wiesz przecież, że dzisiaj znowu gorzej słyszę Mogłeś śmiało trochę szerzej otworzyć swoją leniwą gębę.

Don Agustin odpowiedział bardzo głośno i bardzo sucho:

— Nic nie powiedziałem.

— Kiedy człowiek chce, żebyś coś powiedział — wymyślał mu Francisco — zamieniasz się w słup soli, a kiedy cię nie pytają, trąkoczesz jak przekupka.

Agustin nie odrzekł ani słowa. Ale Goya, zły, mówił dalej:

— Przyrzekłem generałowi Ricardosowi, że skończę ten bohomas jeszcze w tym tygodniu. Kiedy będziesz wreszcie gotów ze swoim koniem?

— Dziś jeszcze — odparł sucho Agustin. — Ale pan będzie jeszcze miał całą masę roboty z duszą pana generała.

— To twoja wina — obruszył się Goya — że nie mogę dostarczyć obrazu w terminie. Spodziewałem się — szydził dalej — że tyle się jeszcze na swym rzemiośle rozumiesz, by nie tracić całego tygodnia na jeden zadek koński.

Agustin nie wziął przyjacielowi za złe tego grubiaństwa. To, co Francisco mówił, nie miało w ogóle znaczenia; ważne było tylko to, co malował. W obrazach dawał swym wrażeniom i myślom wyraz wierny i prawdziwy aż do granic karykatury. I portrety Agustina, które namalował Francisco, nie tylko nosiły podpis: „Don Agustinowi Esteve jego przyjaciel Goya”, lecz były rzeczywiście dziełem przyjaciela.

Goya zabrał się ponownie do pracy nad portretem i przez jakiś czas pracowali obaj w milczeniu. Po chwili usłyszeli pukanie do drzwi; do pracowni wszedł nieoczekiwany gość, opat don Diego.

Goya nie miał nic przeciwko temu, gdy ktoś podczas malowania przyglądał się jego robocie; posiadał dużo wewnętrznej dyscypliny i pokpiwał sobie z malarzy, którzy, jak na przykład ten ignorant Antonio Carnicero<sup>1</sup>, nie przestawali deklamować o „nastroju”. Przyjaciele i dzieci Francisca mogli każdej chwili wchodzić do pracowni, zasypywać go pytaniami i gadać, ile im się podobało. Zamykał

<sup>1</sup>/Carnicero Antonio (1748—1814) — malarz nadworny Karola III, rytownik, wykonał wiele miedziorytów do ozdobnego wydania *Don Kiszota* (1780—82).

pracownię dopiero po kolacji, którą jadał zresztą bardzo wcześnie; później, jeśli nie wolał być sam, wpuszczał tylko tych, których sani zaprosił, przyjaciela lub przyjaciółkę.

Tak więc zjawienie się opata nie wprawiło go w zły humor, owszem, chętnie go dziś widział u siebie. Czuł, że tego czegoś nieuchwytnego, co stało mu niejasno przed oczyma, dziś już nie „zobaczy”; była to bowiem jedna z tych niewielu rzeczy, których samą tylko pracą nie podobna było wydobyć, trzeba było na nią zaczekać.

Siedział beczynn timer, patrząc spod oka, jak opat przechadzał się po pracowni. Don Diego, mężczyzna już nieco otyły, który chwili nie potrafił usiedzieć spokojnie, i teraz zadziwiająco lekkim krokiem przemierzał pokój; miał już taki naturalny sposób bycia i gdziekolwiek się znalazł, wszystko badał, wszystko brał do ręki i znów odkładał, czy to były książki, rękopisy, czy jakiegokolwiek inne przedmioty. Goya, który przenikał ludzi na wylot, nie miał o opacie jasnego sądu, choć znał go od dawna; wydawało mu się często, że ten niezwykle inteligentny człowiek nosi stale jakąś maskę. Spod pięknego, wysokiego czoła opata don Diego spoglądały ponad prostym, nieco płaskim nosem mądre, wesole oczy; pełne, bardzo szerokie usta zdradzały żądzę użycia. Twarz jego, roztropna, jowialna, nie pasowała jakoś do surowej czerni sukni duchownej. Opat miał figurę nieco z gruba ciosaną, ale dbał o staranność ubioru i nawet w sutannie wydawał się elegancki; kosztowne koronki wylaniały się spod ciężkiego czarnego jedwabiu, na sprzączkach trzewików połyskiwały drogie kamienie.

Przechadzając się po obszernej pracowni, opowiadał najrozmaitsze plotki; narracja jego była jowialnie ironiczna, chwilami ostra, ale nigdy nudna. Posiadał świetne informacje, wiedział dobrze, co się dzieje zarówno u panów z inkwizycji, jak i w kołach wolnomyślicieli.

Francisco słuchał go bez zbytej uwagi. Kiedy w pewnej chwili doszły go słowa: — Będąc dziś na *lever*<sup>1</sup> u doni Cayetany — drgnął w nagłym podnieceniu. Lecz cóż to takiego? Widzi poruszające się wargi opata, ale nie słyszy ani słowa. Zdjął go nieopisany lęk. Czyżby to był nawrót choroby, którą uważał już za całkowicie przewycięzoną? Byłaby to głuchota? Spojrzał błagalnie, pełen bezsilnej grozy, na starą rzeźbioną w drzewie figurkę Najświętszej Panny z Atocha. „Ustrzeż mnie od tego, Dziewico i wszyscy święci” — modlił się w duchu, powtarzając to błaganie kilka razy. Było to wszystko, co w tym momencie zdolny był pomyśleć.

Gdy odzyskał znów słuch, opat opowiadał o doktorze Joaquinie

<sup>1</sup> Lever (fr.) — poranna toaleta króla, królowej lub osób z arystokracji.

Peralu, który widocznie też był obecny na *lever* u księżny Alba. Doktor Peral powrócił dopiero niedawno z zagranicy i z dnia na dzień stał się lekarzem-cudotwórcą madryckiego towarzystwa; opowiadają, że wskrzesił z martwych hrabiego Espaja. Poza tym, mówił opat, doktor kuty jest we wszelkich kunsztach i umiejętnościach, a w dodatku nieoceniony w towarzystwie, wrywają go sobie po prostu. Ale jest też odpowiednio rozpieszczony i droży się niebywale. Podobno odwiedza teraz codziennie księżnę Alba, która go bardzo ceni.

Francisco starał się uspokoić swój wzburzony oddech. Spodziewał się, że Agustin i don Diego nie zauważyli jego ataku, chociaż obaj mieli oczy rysie.

— Co do mnie — powiedział zgryźliwie — to nie pomógł mi jeszcze żaden z tych golibrodów.

Lekarze dopiero niedawno zostali wydzieleni z cechu cyrulików. Opat uśmiechnął się.

— Wydaje mi się, don Francisco — rzekł — że krzywdzi pan doktora Perala. Zna się on równie dobrze na łacinie jak na anatomii. Jego łaciny jestem całkowicie pewien.

Po tych słowach umilkł na chwilę. Stał teraz za plecami Goyi i spoglądał na portret, nad którym malarz pracował. Agustin obserwował go uważnie. Opat należał do grona przyjaciół małżonków Bermudez i Agustin miewał już nieraz wrażenie, że uprzejmości, które prawił i okazywał pięknej Lucii, były czymś więcej niż zwykłą galanterią światowego księdza.

Don Diego stał przed portretem doni Lucii i Agustin czekał niecierpliwie, co o nim powie. Ale opat, zwykle tak wymowny, nie powiedział ani słowa.

Opowiadał natomiast dalej o doktorze Peralu, znakomitym lekarzu. Doktor Peral przywiózł podobno z zagranicy wspaniałą kolekcję obrazów, której jeszcze nie rozpakował. Szuka domu, w którym mógłby ją pomieścić. Na razie sprawił sobie wspaniały ekwipaż, piękniejszy od tego, którym jeździ don Francisco. Karoseria w stylu angielskim, złocona, ozdobiona jest malowidłami według projektów Carnicera, który zresztą też był obecny na *lever* doni Cayetany.

— On też? — Goya nie mógł powstrzymać tego okrzyku. Nakazał sobie spokój, aby zapobiec nowej fali wściekłości i nie narazić się na ponowny atak głuchoty. Udało mu się to, choć z trudem. Widział ich wszystkich oczyma malarza; widział opata i tamtego balwierza, i Carnicera, tego pacykarza, tego partacza, który potrafił wyłudzić dla siebie tytuł nadwornego malarza; widzi ich, tych trzech obrzydliwców, jak się rozsiadają dokoła, podczas gdy

garderobiane ubierają i fryzują księżną. Słyszy ich, jak gadają, widzi ich napuszone gesty, kiedy nasycają się widokiem tej kobiety; widzi też, jak ona uśmiecha się do nich tym swoim uśmiechem, wyniosłym, a jednak zachęcającym.

Gdyby chciał, mógłby po prostu sam pójść na to *lever*. Miałaby dla niego z pewnością inny uśmiech niż dla tamtych: bardziej intymny, przyjacielski. Ale niechaj sobie tym ochłapem wabi inne psy. Nie poszedłby do niej, gdyby nawet miał pewność, że pójdzie z nim od razu do łóżka. Nie poszedłby tam nawet za cenę Indii.

Opat opowiadał tymczasem dalej, że gdy tylko skończy się żałoba dworska, a więc już za parę tygodni, księżna zamierza wydać przyjęcie na poświęcenie swej nowej rezydencji w Moncloa, którą nazwała pałacem Buenavista. Choć co prawda, trudno jest robić jakieś plany wobec wczorajszych wiadomości wojennych.

— Jakich wiadomości wojennych? — spytał z większym niż zwykle ożywieniem Agustin.

— Na jakim wy świecie żyjecie, moi mili przyjaciele? — zawołał opat. — Czy naprawdę jestem pierwszym, który wam przynosi tę złą wiadomość?

— Jaką wiadomość? — nalegał Agustin.

— A więc doprawdy nie wiecie, że Francuzi odbili Tulon? Przy *lever* doni Cayetany o niczym innym nie mówiono. Naturalnie — dodał z jowialną złośliwością — prócz tego, jakie szansę ma Costillares w najbliższych walkach byków i jak wygląda ekwipaż doktora Perala.

— Tulon padł? — spytał ochrypłym głosem Agustin.

— Wiadomość nadeszła, jak się zdaje, już przed kilku dniami, mówił dalej opat — widocznie chciano ją utrzymać pewien czas w tajemnicy. Twierdzą zdobył jakiś młodzieńki oficer, sprzątnął ją sprzed nosa naszej i angielskiej flocie. Podobno zwyczajny kapitan. Nazywa się Buonafede czy Buonaparte, czy jakoś podobnie.

— No tak, to będziemy wkrótce mieli pokój — rzekł Goya i trudno było poznać, czy w głosie jego brzmi ból, czy cynizm. Agustin spojrzał na niego ponuro.

— Niewielu jest chyba ludzi w Hiszpanii — rzekł gniewnie — którzy życzyliby sobie, aby pokój został zawarty na takich warunkach.

— Z pewnością wielu jest takich, którzy nie życzyliby sobie tego — zgodził się opat.

Powiedział to jakby od niechcienia i dwuznacznie; Goya i

Agustin spojrzeli na niego. Opata otaczała w ogóle dość tajemnicza atmosfera. Już od szeregu lat nosił tytuł sekretarza inkwizycji, i nawet nowy, szczególnie fanatyczny Wielki Inkwizytor pozostawił mu nadal ten tytuł. Byli tacy, którzy mówili wręcz, że don Diego jest szpiegiem inkwizycji. Przy tym był jednak bardzo zaprzyjaźniony z postępowymi politykami; opowiadano o nim nawet, że jest autorem pewnych książek, wydanych pod nazwiskami tych mężów stanu, a nie brak było i takich, którzy twierdzili, że jest potajemnym zwolennikiem Republiki Francuskiej, I dla Goyi ten ironiczny i tolerancyjny człowiek był orzechem niełatwym do zgryzienia; jedno wydawało mu się pewne: że epikureizm i cynizm, którymi się opat na zewnątrz popisywał, były tylko maską. Po wyjściu opata Agustin powiedział:

— Jeśli tak, to teraz przyjaciel pana, don Manuel, może zgodzi się już łaskawie stanąć na czele rządu, a wtedy i pan pewniej usadowi się w siodle.

Opowiadano sobie mianowicie, że don Manuel Godoy, książę de Alcudia, faworyt królowej, od samego początku przeciwny był wojnie i z tego powodu odmówił oficjalnego przejęcia rządów w swe ręce.

Goya, który malował już kilka portretów don Manuela, i to ku wielkiemu jego zadowoleniu, chełpił się przed Agustinem szacunkiem tego najpotężniejszego w Hiszpanii męża. Toteż w słowach Agustina wyczuł podwójnie ostre szyderstwo. Agustin bowiem żywo interesował się zawsze sprawami publicznymi, mówił o nich z zapałem i zrozumieniem i miał do przyjaciela pretensję, że okazuje tym sprawom obojętność. Słowa Agustina dotknęły Goyę mocno. Istotnie, pierwszą jego myślą było, że teraz nastanie już wkrótce pokój i że jego protektor don Manuel stanie na czele rządu. Nic chyba dziwnego, że cieszył się z tego powodu. Nie był politykiem, zagadnienia polityczne wydawały mu się zbyt zawile. Pytanie: wojna czy pokój, obchodzić może króla, jego doradców, grandów. Nie było to jego, Francisca, sprawą; on był malarzem.

Nic nie odpowiedział Agustinowi. Stał przed portretem doni Lucii.

— Nie powiedziałaś ani słowa o obrazie — rzekł tonem wyrzutu.

— Pan sam wie, jak się sprawa przedstawia — odparł Agustin i stanął również przed portretem. — Można by powiedzieć, że nic mu nie brak i że wszystkiego mu brak — oświadczył mrukliwie, autorytatywnym tonem.



— Przyjemniejszego towarzysza w ciężkich chwilach życia ze świecą bym nie znalazł  
— drwił Goya.

A gdy Agustin, wpatrzony w obraz, nie ruszał się z miejsca ciągnął dalej:

— Ale to jest chyba ta twoja Lucia, można ją poznać czy nie? — I namyślając się, jakby go dotknąć, dodał zjadliwie: — Przypatrz się jej dobrze. Bo przecież nic innego nie potrafiłbyś z nią zrobić, ty pla-to-ni-ku! — Wymówił ten wyraz dobitnie, cedząc każdą zgłoskę z osobna.

Agustin zacisnął wargi. Nigdy nie zwierzał się przed nim ze swą miłością do doni Lucii, lecz Goya szydził z jego uczucia, ilekroć był w złym humorze.

— Wiem, że nie jestem pociągający — odrzekł i głos jego brzmiał jeszcze bardziej ochryple niż zazwyczaj. — Ale choćbym był na miejscu pana, choćbym posiadał pana talenty i tytuły, nie próbowałbym uwieść kobiety, która jest żoną naszego przyjaciela, don Miguela Bermudez.

— Szlachetne zasady — drwił don Francisco — dumne słowa! Od stóp do głów chodząca cnota!... Jaka szkoda, że ona twojej cnoty nigdy nie wystawi na próbę, twoja uwielbiana Dulcynea.

Esteve milczał. Targając posepnie brodę, bez słowa wpatrywał się w obraz ukochanej kobiety.

Ale Goya sierdził się dalej:

— Nikt, choćby był najlepszy, nie znajdzie barw, odcieni i rytmu w tej kwaśnej atmosferze, którą wokół siebie roztaczasz.

Co powiedziawszy, włożył płaszcz i kapelusz i rozgniewany wyszedł z pracowni.

#### IV

Ilekroć, tak jak dziś właśnie, nie miał określonych zamiarów, chętnie spędzał wieczór z rodziną: lubił swoją żonę i cieszył się dziećmi. Obawiał się jednak, że w dzisiejszym nastroju niełatwo mu przyjdzie wytrzymać beztroską rozmowę przy rodzinnym stole. Postanowił więc odwiedzić swoją przyjaciółkę, Pepę Tudó, jego przyjście było dla Pepy miłą niespodzianką. Nie widział jej nigdy niedbałe ubranej, jak się to często zdarzało innym mieszkankom Madrytu; także i dziś zastał ją w ładnym niebieskim szlafroku, który uwydatniał jej olśniewająco białą płeć. Przechylona

w tył, bujna, w leniwej pozie, pół leżąc na kanapie, rozmawiała z nim wolno, bawiąc się wachlarzem.

Weszła jej duenia /<sup>1</sup> Conchita i spytała, co don Francisco życzy na wieczerzę. Conchita, chuda jak szkielet, opiekowała się Pepą od jej urodzenia i przeżyła razem z nią wszystkie zmienne koleje młodego, lecz burzliwego życia. Przez chwilę naradzały się obie co podać na kolację, po czym Conchita wyszła, aby przynieść co potrzeba, przede wszystkim zaś ulubioną przez Francisca, choć pospolitą manzanillę <sup>2</sup>.

Francisco pozostał milczący także po wyjściu Conchity. W ładnie urządzonej sypialni Pepy było bardzo ciepło, kociołek był wypełniony żarzącym się węglem po brzegi. Ogarnęło ich jakieś miłe rozleniwienie, choć mieli sobie niejedno do powiedzenia. Pepa miała jakiś osobliwy, bezwstydną zwyczaj patrzenia każdemu wprost w oczy, zwracając do rozmówcy swoją olśniewająco białą twarz z szerokim, niskim czołem, malowniczą rudawą czupryną i zielonymi, szeroko rozstawionymi oczami.

— Jak spędziłaś ostatnie dni? — zagadnął ją wreszcie Francisco.

Odpowiedziała, że śpiewała, wyuczyła się trzech ślicznych kupletów, które śpiewa Maria Pulpillo w nowej *zarzueli*<sup>3</sup>, a poza tym grała w karty z duenią. Dziwna rzecz, Conchita jest uczciwa jak złoto, ale w grze oszukuje; nie ma wątpliwości, oszukała ją o całe trzy reale. Poza tym była u krawcowej, mademoiselle Lisette, przy Puerta Cerrada. Przyjaciółka jej, Lucia, zapewniała ją, że mademoiselle Lisette uszyje jej suknię po wyjątkowo przystępnej cenie." Ale mimo wyjątkowej ceny płaszcz, którego potrzebuje, kosztowałby za dużo. Musi więc dalej ubierać się u swojej Bucety.

— Cóż jeszcze — opowiadała dalej — aha, byłam raz u Lucii i raz Lucia była u mnie.

Goya rad był dowiedzieć się przy tej sposobności, co Lucia mówiła o swym portrecie. Ale Pepa jakoś nie poruszała tego tematu, musiał ją sam o to spytać.

— Owszem, mówiła także o portrecie, i to kilkakrotnie. Malujesz ją w tej żółtej sukni, prawda? Szyła ją właśnie u

<sup>1</sup> Duenia — gospodyni, pokojówka.

<sup>2</sup> Manzanilla — mocne słodkie wino hiszpańskie z gatunku xeres.

<sup>3</sup> Zarzuela — utwór dramatyczny, w którym następują kolejno sceny śpiewane i mówione. Nazwa pochodzi od królewskiego pałacu La Zarzuela w El rrado, gdzie w XVII w. poczęto te utwory wystawiać.

mademoiselle Lisette i zapłaciła za nią osiemset realów. Widzisz, jakie ta Lisetta ma ceny.

Goya z trudem panował nad sobą.

— A co donia Lucia mówiła o portrecie? — zapytał.

— Dziwiła się — szczebiotała Pepa — że to tak długo trwa. Uważa, że ten portret jest już od dawna gotowy, i nie rozumie, dlaczego nie chciałeś go pokazać jej mężowi. Otwarcie mówiąc, i ja się temu dziwię — paplała dalej Pepa. — Don Miguel jest wprawdzie człowiekiem dość przykrym i zawsze ma coś do zarzucenia. Ale przecież nie masz zwyczaju biedzić się tak długo nad portretem. A co ci don Miguel zapłaci za niego? Najprawdopodobniej nic, bo jest twoim przyjacielem. A już z pewnością nie da ci trzech tysięcy realów.

Goya wstał i zaczął chodzić po pokoju. Może jednak lepiej było zostać dziś na kolacji w domu, z rodziną.

— Powiedz mi, Francisco — nalegała Pepa — dlaczego tak długo pracujesz nad tym obrazem? Mój portret dla admirała zrobiłeś w niecałe trzy dni, a zapłacił ci za to cztery tysiące. Czy Lucie o tyle trudniej namalować niż mnie? O co ci chodzi? Może chcesz z nią spać? A może już z nią spałeś? Jest bardzo ładna, to prawda. — Pepa mówiła to wszystko jakby od niechcenia, bez przejęcia.

Masywna twarz Goyi pociemniała. Czy chciała z niego zakpić? Chyba nie. Była czasem zadziwiająco rzeczowa. Gdyby naprawdę zechciał, mógłby oczywiście mieć tę donię Lucię o masce światowej damy. Ale — wiele było tych „ale”.

Pepa jest czasem trudna do zniesienia. I w gruncie rzeczy wcale nie jest w jego guście. Pulchna *jamona*, ładna, pełna wdzięku świnka, o połyskującej, gładkiej, atlasowej skórze.

Pepa przyniosła gitarę i zaczęła śpiewać, śpiewała cicho, z uczuciem. Śliczna była, kiedy tak siedziała obok niego, nucąc ludowe romance i akompaniując sobie na gitarze. Goya wiedział, że śpiewając te stare, pełne poezji pieśni, Pepa wspomina własne dzieje.

Ta dwudziestotrzyletnia zaledwie kobieta wiele już przeżyła. Wychowała się w koloniach, w Ameryce, jako córka zamożnego plantatora. Gdy miała dziesięć lat, ojciec stracił swe okręty i cały majątek. Wróciła z rodziną do Europy. Przywykła do szerokiego, wystawnego życia, znalazła się nagle w warunkach skromnych i ubogich. Szczęśliwe usposobienie pozwoliło jej jednak znieść ten przewrót życiowy bez poważnych cierpień. Potem w życiu jej zjawił

się młody oficer marynarki, Felipe Tudó; był to człowiek bardzo, przystojny i łatwy do kierowania, stanowili dobre małżeństwo: Felipe nie miał majątku i zadłużał się dla niej. Szczęście ich nie byłoby prawdopodobnie długotrwałe. Podczas jakiejś wyprawy swojej eskadry Tudó zginął gdzieś na wodach meksykańskich i z pewnością dostał się do nieba, gdyż był to dobry człowiek. A potem, gdy Pepa wręczała admirałowi de Mazarredo swe podanie o podwyższenie pensji wdowiej, otyły, dobrze już podstarzały pan zakochał się w niej bez pamięci. Nazywał ją swoją *viuditą*, swoją małą, apetyczną wdówką, i urządził jej ładne mieszkanie przy Calle Mayor. Pepa rozumiała, że admirał nie może jej przedstawić swym arystokratycznym przyjaciołom; była mu wdzięczna za to, że zamówił jej portret u sławnego malarza nadwornego. Teraz w czasie wojny, don Federico krążył ze swą armadą po dalekich morzach; szczęśliwie się złożyło, że poznała tego malarza, który z ognistym zapałem objawił gotowość dotrzymywania towarzystwa osamotnionej kobiecie.

Pepa odznaczała się spokojnym usposobieniem i zadowalała się tym, co miała; często jednak wspominała bujne życie w koloniach, ogromne posiadłości ziemskie i niezliczone rzesze niewolników. Z całej tej obfitości pozostała jej tylko stara, wierna Conchita, uczciwa jak złoto, która oszukiwała jedynie przy grze w karty. Francisco, Francho, okazał się doskonałym przyjacielem, prawdziwym mężczyzną, mogącym zadowolić młodą *viuditę*, i wielkim malarzem. Ale był bardzo zajęty, czas jego pochłaniała sztuka, pochłaniał dwór królewski, pochłaniali liczni przyjaciele, pochłaniały kobiety, a nawet kiedy siedział u niej, myśli jego nie zawsze do niej należały.

O tym wszystkim myślała Pepa Tudó nucąc swe romance. Marzyła nieraz, że sama jest heroiną romancy, piękną młodą kobietą uprowadzoną przez Maurów albo sprzedaną przez kochanka Maurom. Być ubóstwianą białą kochanką jakiegoś walecznego ciemnoskórego księcia — to mogło być ciekawe. Marzyła także, że może kiedyś, tu, w Madrycie, szczęście raz jeszcze uśmiechnie się do niej, i widziała już siebie jako jedną z tych dam, które trzy lub cztery razy do roku wyjeżdżają z pałaców w mieście do swoich zamków wiejskich i wracają do stolicy na przyjęcia dworskie, zawsze otoczone czeredą ochmistrzów, pokojówek, fryzjerów, zawsze wystrojone w najwykwintniejsze paryskie toalety i obwieszane kosztownościami, zdobytymi ongiś, przed wielu wiekami, przez wodzów Izabeli Katolickiej lub Karola V.

Duenia poprosiła Pepę, by pomogła jej nakryć do stołu, po czym

oboje zasiedli do jedzenia. Kolacja była smaczna i obfita, jedli z przyjemnością. Ze ściany spoglądał na nich portret admirała Federica de Mazarredo. Admirał powierzył kiedyś Goyi wykonanie swego portretu, który chciał podarować siostrze, a potem zamówił kopię dla Pepy. Agustin Esteve wykonał tę kopię sumiennie; dzięki temu mógł admirał przyglądać się teraz, jak Pepa spożywa kolację w towarzystwie malarza.

Uczucie, które łączyło Goyę z Pepą, trudno było nazwać wielką namiętnością; naturalność i ciepło, z jakim mu się oddała, cieszyły go i sprawiały mu satysfakcję. Chłopski zmysł rzeczywistości podpowiadał mu wszakże, że Pepa ponosi pewne ofiary dla swej miłości; znał jej stosunki majątkowe. Po śmierci swego oficera marynarki brała u wielkiej Tirany lekcje gry scenicznej, co pochłonęło resztę jej funduszów. Teraz, od wybuchu wojny, przekazywano jej regularnie tysiąc pięćset realów miesięcznie. Nie wiadomo było, jaką część tej sumy wypłacał rząd jako pensję wdowią, a ile wynosił osobisty przyrządek admirała. Tysiąc pięćset realów to suma i duża, i mała. Na suknie u mademoiselle Lisette jednakże nie wystarczała. Goya nie był sknerą i często przynosił swej pięknej, miłej przyjaciółce małe, niekiedy także większe podarunki. Ale od czasu do czasu brał w nim górę zmysł oszczędności aragońskiego chłopca i usłyszawszy cenę przeznaczoną dla Pepy podarunku odstępował od kupna.

Sprzątnięto ze stołu; w pokoju było bardzo ciepło. Donia Pepa, piękna, zmysłowa, siedziała niedbale, lekko wachlując się kształtną ręką. Myśl jej wróciła do doni Lucii i jej portretu; wskazując wachlarzem na obraz admirała rzekła:

— I z tym portretem nie zadałeś sobie zbytniego trudu. Ilekroć na niego patrzę, zawsze mnie uderza, że prawe ramię jest o wiele krótsze.

Goyę zalała nagle fala goryczy na myśl o tych wielu niepowodzeniach, które nawiedziły go w ostatnich dniach: denerwujące wyczekiwanie na wiadomość od Alby, niezadowolenie z portretu doni Lucii, irytacja z powodu wiadomości politycznych i krytyki Agustina. A teraz, na domiar złego, jeszcze ta Pepa ze swoim głupkowatym zuchwalstwem. Czy mężczyzna, na którego Alba w obecności grandów Hiszpanii patrzyła tak, jakby już leżała z nim w łóżku, naprawdę skazany był na to, aby wysłuchiwać głupiej paplaniny, i to takiej *jamony*? Chwycił swój jedwabny kapelusz i wcisnął go jej na oczy.

— Teraz widzisz portret admirała równie dobrze jak przedtem — rzekł z pasją.  
Wciągnęła kapelusz z głowy; wyglądała zabawnie i uroczo z rozczochraną wysoką fryzurą.

— Conchita! — zawołała z furją, a gdy stara zjawiała się we drzwiach, rozkazała: — Otwórz don Franciscowi bramę!

Ale Francisco roześmiał się.

— Głupstwo, Conchito — powiedział — wracaj do kuchni.

Gdy wyszła, począł się usprawiedliwiać:

— Widzisz, jestem dzisiaj przykry, wiem o tym, mam dużo kłopotów. A to, co powiedziałaś o portrecie, naprawdę nie było bardzo mądre. Przypatrz mu się dokładniej, a ramię nie wyda ci się za krótkie.

Nadaşana, upierała się jeszcze przy swoim.

— A jednak jest za krótkie.

— Jesteś wprawdzie ślepa, ale bardzo ci do twarzy z tymi rozburzonymi włosami — rzekł dobrodusznie. — Dostaniesz za to ode mnie nową koafiurę — rzekł, by ją udobruchać, i pocałował ją.

Później, w łózk, zagadnęła go nagle:

— Wiesz, don Federico ma wrócić w najbliższych dniach. Powiedział mi to z jego polecenia kapitan Morales i oddał mi od niego pozdrowienia.

Stwarzało to dla Francisca nową sytuację.

— Co masz zamiar uczynić, jeżeli admirał rzeczywiście powróci? — zapytał ją.

— Powiedzieć mu, jak jest — odrzekła. — Powiem mu: „Między nami dwojgiem wszystko jest skończone” — zacytowała urywek romancy.

— Będzie to dla niego wielka przykrość — rozważał na głos Goya. — Najpierw stracił Tulon, a teraz utraci ciebie.

— Właściwie to nie on stracił Tulon — broniła Pepa rzeczowo swego admirała — tylko Anglicy. Ale jemu przypisują winę; tak to już bywa na tym świecie.

Po chwili Francisco poruszył temat, który przez cały czas go zaprzętał.

— A jak będzie z twoją pensją? — zapytał.

— Nie wiem — odparła dość beztrósco. — Chyba mi coś jeszcze zostanie.

Nie należało do zwyczajów Goyi utrzymywać swe kochanki; wielki malarz nie musiał uciekać się do tego. Pomyślał, że może

sobie doskonale wyobrazić swe życie bez Pepy. Z drugiej strony. uważał za rzecz naturalną, że piękna, młoda kobieta pragnie żyć w przyjemnych warunkach, i byłoby mu przykro, gdyby złączyła się z kimś innym lub, co gorsza, wróciła do swego admirała jedynie dlatego, że on, Goya, nie dawał jej dość pieniędzy.

— Nie martw się — rzekł — teraz ja będę troszczył się o to, abyś mogła żyć tak jak dotychczas. — Ale powiedział te słowa jakoś dziwnie, bez zapału.

— Dziękuję — rzekła Pepa leniwie.

— A tego admirała zdejmujemy chyba ze ściany? — zaproponował z ożywieniem.

— Dlaczego? — spytała Pepa. — Czy dlatego, że ma za krótkie ramię? Nie, właściwie nie jest ono wcale za krótkie. Powiedziałam to tylko tak, ponieważ zadajesz sobie tyle trudu z Lucią.

## V

Stał sam przed portretem i przypatrywał mu się bystro, krytycznie, szukając błędów. Była to donia Lucia, bez wątpienia. Taką była wyżyciu, w rzeczywistości, i taką ją widział. Wszystko było tu oddane, nawet to, co wydawało się w niej zamaskowane, sztuczne, ukryte w głębi. Był w niej bowiem jakiś „drugi plan” i nie brak było takich, którzy pamiętali, że tę kobietę, teraz zaledwie trzydziestoletnią, już gdzieś, kiedyś widzieli bez maski światowej damy.

Pepa pytała go, czy chciałby spać z Lucią. Niemądre pytanie. Każdy zdrowy i w pełni sił będący mężczyzna ma nieraz chętkę przespać się z każdą jako tako przystojną kobietą, a donia Lucia Bermudez była niepokojąco piękna, piękna jak prawdziwa dama, inaczej piękna niż inne kobiety.

Mąż jej, don Miguel, był wprawdzie jego przyjacielem, ale Francisco sam przed sobą uczciwie przyznawał, że nie był to powód, który powstrzymywał go od poświęcania trudu i czasu dla zdobycia doni Lucii. Odstrećczało go raczej to, co w tej kobiecie było zagadkowe i niepewne. Ta zagadka podniecała go jako malarza, nie jako mężczyznę. To, czym była i czym nie była, zlewało się z sobą nieuchwytnie, nie dawało się od siebie oddzielić, było upiorne, niesamowite. Jeden tylko jedyny raz ujrzał to wszystko, wtedy, na sali balowej u don Manuela. Był to jakby srebrzysty ton na żółtej sukni,

Migotliwość, diabelskie i błogosławione światło. To była jej prawda, taki musi być portret, który Goya chce namalować.

I naraz zobaczył to znowu. Nagle zrozumiał, jak ma oddać na lotnie ten błyskotliwy, migocący, srebrzyście rozpluwający się szary ton, który wówczas ujrzał na chwilę. Nie była to sprawa tła ani żółtej sukni przeświecającej spod białej koronki. Tu trzeba zmiękczyć tę oto linię, tam znów inną, uwydatnić odcienie skóry, pokazać blask idący od ręki, od twarzy. Były to drobiazgi, ale od tych drobiazgów zależało wszystko. Patrzył przez zamknięte powieki; wiedział już, jak ma to zrobić.

Zaczął pracować, zmieniać, poprawiać. Tu odjął jakąś odrobinę, tam odrobinę dodał. Przychodziło mu to jakby samo przez się, bez wysiłku. W niewiarygodnie krótkim czasie był gotów.

Spojrzał na swoje dzieło. Było dobre. Osiągnął, co chciał. Było to coś nowego, wielkiego. Z tego płótna patrzyła na niego kobieta, jaką była naprawdę, z tą swoją błyskotliwością i migotliwą zmiennością. Potrafił uwięzić i utrwalić to, co było w niej płynne i lotne. Było to jego światło i jego powietrze, był to świat jego oka.

Twarz Goyi odprężyla się, był jak odurzony radością. Usiadł w fotelu, by odpocząć, i skulił się, wyczerpany.

Wszedł Agustin. Bąknął coś mrukiwie na przywitanie. Zrobił kilka kroków. Przeszedł obok portretu, nie zwracając na niego uwagi. Jednak coś go uderzyło. Zawrócił nagle i spojrzał bystro. Patrzył długo. Odchrząknął.

— Oto właśnie chodziło, don Francisco — odezwał się wreszcie ochryplym głosem. — Teraz pan to złapał. Teraz tu jest i powietrze, i światło. Znalazłeś nareszcie swój właściwy szary ton, Francisco.

Twarz Goyi rozpromieniła się jak u małego chłopca.

— Mówisz to na serio, Agustinie? — zapytał i objął go ramieniem.

— Nie mam zwyczaju żartować — odpowiedział Agustin.

Był do głębi poruszony, więcej może niż Francisco. Brakło mu wykształcenia i nie umiał, jak don Miguel Bermudez czy opat, sypać cytatami z Arystotelesa i Winckelmanna. Nic nie umiał, był marnym malarzem, ale znał się na malowaniu jak nikt inny i wiedział, że ten Francisco Goya, jego Francho, osiągnął teraz coś, czego całe stulecie nie przeczuwało: wyzwolił się od tyranstwa linii. Inni silili się, aby coraz lepiej wypracować linię, wypieścić rysunek z możliwie największą czystością i precyzją, i malarstwo ich nie było już w końcu niczym innym jak kolorowanym rysunkiem. Francisco uczył nowego spojrzenia na świat i jego różnorodność, chociaż



mimo swego zarozumialstwa prawdopodobnie sam jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jak wielkie i nowe jest to, co stworzył.

Goya jakimś dziwnie zwolnionym ruchem wziął do ręki pędzel i począł go dokładnie czyścić. Podczas tej pracy, z cichą radością, która drżała w jego głosie, lecz ciągle bardzo powoli mówił:

— Będę cię jeszcze raz malował, Agustinie. Włożysz swój brązowy, zniszczony surdut i zrobisz najbardziej ponurą minę, na jaką cię stać. Powinno wyjść wspaniale z tym moim szarym odcieniem — jak myślisz? Twoja ponurość i mój blask. Zobaczysz, że to da zupełnie niebywały efekt.

Staął teraz przed olbrzymim portretem generała na koniu, nad którym wciąż jeszcze pracował Agustin.

— Całkiem niezły ten zad koński — rzekł z uznaniem. Po czym, bez żadnej potrzeby, umył raz jeszcze swoje pędzle.

A serce Agustina wezbrało cichą, głęboką radością, że jest przyjacielem tego człowieka i towarzyszem jego pracy. Że na swój, może nieudolny sposób pomógł mu i naprowadził go na właściwą drogę. Z miłością spoglądał na don Francisca, na swego Francha, spojrzeniem niemal ojcowskim, jakby patrzył na niezwykle utalentowane, ukochane dziecko, które wyprawia coraz to nowe, dzikie psoty. I złożył ślub w duszy, że tego nieznośnego towarzysza, tego drogiego przyjaciela nie opuści nigdy i znosić go będzie zawsze, dozgonnie.

## VI

Następnego dnia zjawili się w pracowni Francisca don Miguel Bermudez i jego małżonka Lucia, uwiadomieni o tym, że portret jest już gotowy.

Francisco Goya i Miguel Bermudez byli bliskimi przyjaciółmi, chociaż niejedno nawzajem sobie wytykali. Don Miguel, pierwszy sekretarz wszechwładnego don Manuela, księcia de Alcludia, kierował zza kulis losami Hiszpanii. Przekonań postępowych, a po cichu nawet zwolennik rewolucyjnej Francji, musiał użyć całej swej zręczności, by w tych czasach przeciwstawić się intrygom inkwizycji. Francisco podziwiał skromność, z jaką człowiek ten raczej ukrywał swoją władzę, niż ją okazywał. Natomiast jako naukowiec, a szczególnie jako historyk sztuki, don Miguel był nierównie mniej skromny, a opracowany przez niego wielki *Słownik*

*artystów* uchodził za dzieło w pełni autorytatywne. Jako wyznawca teorii Winckelmanna i Rafaela Mengsa, senior Bermudez, wzorem starych mistrzów, uznawał tylko czystą i wzniosłą linię. Rafaela Mengsa i szwagra Goyi, Bayeu, uważał za największych współczesnych mistrzów Hiszpanii; uprzejmie, lecz pedantycznie wytykał swemu przyjacielowi Franciscowi, że w ostatnich czasach coraz częściej odstępuje od klasycznej doktryny.

Francisco z łobuzerską, złośliwą radością myślał o tym, że właśnie na portrecie jego żony wykaże mu, co można osiągnąć gwałcąc tradycyjne kanony; był bowiem przekonany, że Miguel, na przekór swej surowej doktrynie, czuły jest na piękno prawdziwego dzieła sztuki. Goya postanowił sobie tedy, że pozwoli, aby poprawny Miguel, który mimo udanego spokoju na pewno z niecierpliwością oczekuje obejrzenia nowego portretu, wyluszczył raz jeszcze wyczerpująco swe cenne teorie malarskie, zanim on, Francisco, zaskoczy go widokiem mieniającej się, migotliwej doni Lucii. Toteż odwrócił konterfekt pięknej kobiety, w którym było światło i powietrze, twarzą do ściany, tak że widać było tylko chropowatą, szarobrazową tylną stronę obrazu.

Wszystko odbyło się tak, jak Francisco przewidywał. Don Miguel usiadł zakładając nogę na nogę, z lekkim uśmiechem na białej, lekko przypudrowanej kanciastej twarzy o jasnym czole, i wskazał na teczkę, którą przyniósł ze sobą.

— Udało mi się — zaczął — pomimo wojny zdobyć te oto paryskie sztychy. Otworzycie oczy, moi drodzy, i ty, Francisco, i pan, don Agustin. Są to sztychy wykonane przez Morela <sup>1</sup> z najwybitniejszych dzieł Davida <sup>2</sup>, powstałych w ostatnich latach.

Jacques Louis David był najślynniejszym malarzem Francji, głową szkoły klasycystycznej, którą tak wysoko cenil senior Bermudez.

Sztychy przedstawiały, obok scen o tematach starożytnych, ludzi i wydarzenia z dziejów najnowszych, wszystkie utrzymane w stylu klasycznym: byli tam francuscy deputowani, zebrani w sali Gry w Piłkę w chwili składania przysięgi, iż nie ścierpią dłużej samowolnych rządów tyranii; były portrety Dantona i Desmoulinsa, lecz

<sup>1</sup> Morel Antoine Alexandre (1765—1829) — grafik francuski, rytował wiele obrazów Davida.

<sup>2</sup> David Jacques Louis (1748—1825) — malarz francuski, klasycysta, którego twórczość związana była ściśle z polityczną historią Francji w dobie rewolucji i cesarstwa. David brał udział w rewolucji, był członkiem Konwentu. Upamiętniał ważne momenty z jej dziejów. W okresie cesarstwa był malarzem nadwornym Napoleona.

szczególną uwagę zwracał sztych przedstawiający zabójstwo Marata podczas kąpieli w wannie.

Dzieło francuskiego malarza było przeciwieństwem twórczości Francisca. Jednakże nikt nie mógłby lepiej od Goyi ocenić, jak wysokiej sztuki wymagało wykonanie tych obrazów. Na przykład postać zamordowanego Marata, jego bezwładnie na bok opadająca głowa, bezwładnie zwisające z wanny prawe ramię, podczas gdy lewa ręka trzyma jeszcze w dłoni podanie podstępnej skrytobójczyni<sup>1</sup>. Było to wykonane nieomylną ręką mistrza, z zimnym, niezachwianym spokojem, a jakże było wstrząsające. Przejmujący wyraz ma twarz zabitego, wielka i piękna mimo realizmu szczegółów, mimo odrażającej szpetoty. Jak bardzo musiał ów malarz kochać tego „przyjaciela ludu”. Wstrętne, lecz zarazem wielkie w swej grozie zajście, przedstawione na obrazie, zrobiło na Goyi tak silne wrażenie, że przez chwilę nie był on artystą, oceniającym krytycznie dzieło drugiego malarza, lecz przerażonym widzem, człowiekiem opanowanym lękiem przed ślepą potęgą losu, który czyha, aby spaść na swą ofiarę znieścacka, z zasadzki: w chwili gdy pracuje przy sztaludze, nocą, w miłosnym uścisku lub gdy odpoczywa w kąpieli.

— Ciarki człowieka przechodzą, gdy się ogląda jego obrazy — rzekł w końcu. — Człowiek wielki, a tak przejmujący odrazą — dodał i wszyscy pomyśleli o tym, że David, malarz i rewolucjonista, głosował w Konwencie za śmiercią swego protektora, Ludwika XVI. — Nawet na miesiąc — kończył Goya — nie zamieniłbym swego życia na jego życie, nawet za cenę sławy Velazqueza.

Ale według wyjaśnień seniora Bermudeza obrazy Francuza były dowodem, iż wszelka prawdziwa sztuka musi opierać się na studium antyku. — W malarstwie — wywodził — najważniejsza jest linia. Barwa jest złem koniecznym i ma jedno tylko zadanie: być ślepo posłuszną linią.

Francisco uśmiechnął się lekko. Teraz wmieszał się do rozmowy Agustin. Był pełen uznania, a nawet podziwu dla śmiałej i giętkiej polityki seniora Bermudeza. Poza tym jednak człowiek ten był dla niego raczej odpychający. Agustina raził jego zasuszony pedantyzm i mentorski ton. Nie mógł pojąć, jak dama tak delikatna, żywa i wdzięczna jak donia Lucia mogła zostać żoną tego człowieka, tej chodzącej encyklopedii, tego jałowego w gruncie rzeczy pedanta. Odczuwał złośliwą radość na myśl, że ośmieszy wkrótce tego człowieka

<sup>1</sup> Marat został 13 lipca 1793 r. zamordowany nożem w wannie przez Charlotte Corday, 25-letnią rozfanatyzowaną żyrondistkę, która wtargnęła do niego pod pozorem udzielenia mu ważnych informacji z Normandii.

z jego głupią uczoną teorią w obecności doni Lucii, pokazując mu dzieło Francisca. Ledwie otwierając szerokie, cienkie, mrukliwe usta, odezwał się ochryple, z niezwykłą uprzejmością:

— Obrazy Davida, które pan nam pokazał, don Miguel, robią rzeczywiście wrażenie osiągnięć szczytowych.

— Są osiągnięciem szczytowym — poprawił Bermudez.

— Są osiągnięciem szczytowym — zgodził się Agustin. — Ale mimo to można sobie wyobrazić — mówił dalej z fałszywą, uprzejmą skromnością — że przy pomocy barw, które pan tak lekceważy, dałyby się osiągnąć nowe, i to zadziwiające efekty. Szczytowe efekty.

Wstał i sztywnym krokiem podszedł ku ścianie; energicznym chwytem uniósł w górę płótno, oparte szarobrazową stroną o ścianę.

— Domyślam się — rzekł z uśmiechem don Miguel — o czym pan chce mówić, don Agustinie. Czekamy już, donia Lucia i ja, z niecierpliwością na ten portret, który od tak dawna... — Ale nie dopowiedział zdania do końca. Ze sztalugi spojrzała na niego mieniająca się, migotliwa Lucia.

Stał i patrzył w milczeniu. Widoczne było, że ten znawca sztuki, przywykły przymierzać obrazy do swoich gruntownie przemyślanych, wyrozumowanych teorii, zapomniał teraz o wszelkich zasadach. Kobieta na obrazie była Lucią, którą znał, ale jednocześnie jakąś oszalamiająco inną. I znowu, wbrew swym zasadom, przeniósł wzrok na żywą Lucię, z trudem ukrywając zmieszanie.

Niegdyś, przed laty, zanim się z nią ożenił, Lucia była *mają*, dziewczyną z ludu, impulsywną, nieobliczalną; wziąć tę kobietę za żonę było decyzją równie błyskawiczną jak śmiałą i ryzykowną. Ale instynkt, doświadczenie życiowe i znajomość pisarzy klasycznych nauczyły go, że kto nie wyciąga bez namysłu ręki po szczęście, odchodzi najczęściej z niczym, i że bogowie raz tylko zsyłają śmiertelnym tę wielką chwilę. Don Miguel nie pożałował szybkiej decyzji. Kochał swą piękną żonę i pożałował jej dzisiaj tak samo jak pierwszego dnia; dziewczyna z ulicy przeobraziła się w światową damę, w seniorem Bermudez, której mu ogólnie zazdroszczono. I właśnie ta dama z towarzystwa, reprezentacyjna i pociągająca, spoglądała na niego z ram płótna, tylko że otaczała ją coś nieuchwytnego, jakiś ton osobliwie srebrzysty i błyskotliwy. I don Miguel uświadomił sobie nagle, że ta Lucia, którą, zdawało się, zrozumiał i poznał bez reszty, była dla niego dziś równie podniecająca,

równie nieznana i tak samo groźnie nieobliczalna jak pierwszego dnia — że dziś jeszcze była *maja*.

Goya spostrzegł ku swej radości i zadowoleniu wyraz zdumienia na tak opanowanej zazwyczaj twarzy przyjaciela. „Tak, tak, mój drogi Miguelu — pomyślał — metody twego monsieur Davida są bardzo dobre; czyste, jasne linie to dobra rzecz; wszystko, co proste i jasne, da się nimi jasno wyrazić. Ale w tym właśnie sęk, że świat i ludzie to nie jest rzecz jasna i prosta. Wszystko, co czai się w nich złośliwego i niebezpiecznego, karłowatego i demonicznego, ten głęboko ukryty «drugi plan» nie da się twymi środkami namalować ani nie można się tego nauczyć od twoich czcigodnych klasyków. Bezradny jest tu twój Winckelmann i Mengs, a i ty sam nic tu nie poradzisz.”

Francisco przeniósł spojrzenie z kobiety, którą namalował, na tę drugą, żywą. Stała w głębokim milczeniu, wpatrzona w portret. Jej wąskie, nieco skośne oczy pod wysokimi łukami jak gdyby zdziwionych brwi patrzyły w rozedrgane, migotliwe światło, które otaczało ją na obrazie. Zdawało się, że jej zmienna, ruchliwa, kapryśna twarz pozbyła się kryjącej ją zazwyczaj maski; na szerokich, na pół rozchylonych ustach igrał uśmiech, ale nie ten światowy, pełen dystynkcji i subtelnej ironii, który prawie nigdy z nich nie schodził, lecz jakiś inny, głębszy i niebezpieczniejszy, a przy tym wulgarny, występny. I nagle przypomniał się Goyi pewien epizod, o którym już zapomniał, choć długo szukał go w pamięci. Dawno, przed wielu laty, wybrał się w towarzystwie kobiety na przechadzkę do Prado <sup>1</sup>, gdzie przyczepiła się do niego mała *avellanera* — czternasto- lub piętnastoletnia uliczna sprzedawczyni orzechów. Chciał kupić orzechów dla swej towarzyszki; dziewczyna wymieniła przesadnie wysoką cenę, zaproponował jej niższą. Wtedy młoda sprzedawczyni, prawdziwa *maja*, zasypała go drwinami i obelgami: „Dwa reale? Zapytam zaraz pryncypała. Niech pan tu zaczeka, mój dobry panie, za pół roku wrócę z odpowiedzią.” I skrzyknęła swoją zgraję: „Chodźcie no, moi drodzy. Tu jest taki pan, co chce pieniądze wydać. Patrzcie, jaki hojny! Aż na dwa reale chce się szarpnąć dla swej damy!” Zawstydzony i gniewny, rzucił zuchwałej smarkuli pięć realów. Dziś cieszył się tym jak triumfem, że coś z owej odległej epoki potrafił wyrazić w portrecie, coś z tej wulgarnie szelmowskiej Lucii i z jej skłonności do bezczelnych odpowiedzi i rubasznych żartów. I odczuł to również jako triumf, że jego obraz zmusił Lucię do uchylenia maski.

<sup>1</sup> Prado — sławna promenada w Madrycie, park i muzeum.

< 40 )

Zaś don Agustin, patrząc na stojącą przed portretem Lucię, doznawał wrażenia, że piękność tej żywej kobiety podnosi piękno obrazu, i że na odwrót, piękno obrazu uwydatnia urodę tej kobiety. Serce ścisnęło mu się pożądaniem i rozkoszą.

Przez dłuższą chwilę milczeli wszyscy, wreszcie odezwała się donia Lucia.

— Nie wiedziałam wcale — rzekła do don Francisca swym nieco rozwlekłym głosem — że jestem występna.

Ale żartobliwy ton i uśmiech raczej zdradzały ją w tej chwili, niż maskowały. Było to bez wątpienia wyzwanie rzucone Franciscowi; próbowała w obecności męża, jego przyjaciela, rozpocząć z nim ryzykowną grę. Ale Francisco ograniczył się do uprzejmej odpowiedzi:

— Ciesz się, donio Lucio, że portret się pani podoba. Te igraszki słowne wyrwały Agustina ze stanu zachwycenia i przypomniały mu powzięte postanowienie: pognać, upokorzyć don Miguela.

— Ciekaw jestem — rzekł załamującym się jak zwykle głosem — czy małżonek jest z obrazu równie zadowolony jak pani.

Don Miguel, ochłonawszy nieco ze zdumienia, starał się opanować swe nazbyt osobiste refleksje, ale i teoretyk sztuki stał przed tym malowidłem nie mniej zakłopotany niż małżonek doni Lucii. Nie mógł zaprzeczyć: to dzieło sprzeczne z regułami sztuki robi wrażenie, przemawia do niego, jest niewątpliwie piękne.

— To wszystko jest zupełnie błędne — powiedział w końcu — ale muszę przyznać, że jest wspaniałe.

— Pan jest fanatykiem swej teorii — rzekł Agustin i na pół szyderczy uśmiech rozjaśnił jego kościstą twarz.

Ale uczciwy don Miguel zdobył się na gorętszy jeszcze wyraz uznania.

— Pamiętam cię przecież, Lucio — rzekł do żony — w tej żółtej sukni, na balu u don Manuela. Wyglądałaś wtedy cudnie w blasku świec. Ale na tym obrazie wyglądasz jeszcze piękniej. A przecież ten szatan ani o włos nie odstąpił od prawdy. Jakżeś ty tego dokazał, Francisco?

— Na to ja mogę panu odpowiedzieć, don Miguelu — oświadczył suchym tonem Agustin — istnieje niejedna prawda.

Ale zaczepki Agustina nie rozdrażniły don Miguela, przestał go też trapić niepokój i wątpliwości, które odczuł w pierwszej chwili na widok portretu. Był namiętym kolekcjonerem arcydzieł sztuki i radował się w sercu, że zbiór jego powiększył się niewielkim

kosztem, a może i bezpłatnie, o to cenne malowidło, które sprzeczne jest wprawdzie z kanonami sztuki, ale wywiera niewątpliwie silne wrażenie i ciekawe jest z punktu widzenia jej rozwoju.

W rękach jego spoczywały najważniejsze sprawy don Manuela i czas miał ograniczony. Mimo to przedłużał swą bytność w pracowni przyjaciela. Założywszy znów nogę na nogę, zagadnął go, bawiąc się przy tym szkicami Davida:

— Ciekaw jestem, Francisco, czy zastosujesz także tę swoją nową metodę, jeśli ksiązę poprosi cię o zrobienie nowego portretu?

A gdy Goya spojrział na niego ze zdziwieniem, ciągnął dalej, niby od niechcienia:

— Gdyż rzecz jasna, że teraz, po objęciu urzędu pierwszego ministra przez don Manuela, będziemy musieli prosić cię, byś namalował jeszcze ze dwa portrety księcia, a oprócz tego potrzebna nam będzie znaczna liczba kopii dla ministerstw i innych publicznych instytucji.

Goya ucieszył się. Jego przyjaciel Miguel nie żąda od niego podarunku; nie zapłacił mu wprawdzie za portret Lucii, ale postarał się za to o zaszczytne i intratne zamówienie. Upadek Tulonu zaważył tedy mocno na jego prywatnym życiu; Miguel obarczył go, co prawda, troską o Pepe, ale przynosi mu teraz poważne zlecenie.

Don Miguel mówił tymczasem dalej tym samym obojętnym tonem:

— Jeśli ci to dogadza, zorganizuję któregoś z najbliższych dni dłuższe posiedzenie, najlepiej zaraz po *lever*.

— Bardzo to miłe z twojej strony — podziękował mu Francisco.

Jednakże senior Bermudez miał jeszcze coś niecoś do powiedzenia.

— Niejedno ulegnie zmianie — mówił tonem swobodnej pogawędki — teraz kiedy don Manuel osobiście ujął w swe ręce ster spraw państwowych. Opinia kraju będzie musiała pogodzić się z tym, że Republika Francuska jest czynnikiem, z którego istnieniem trzeba się liczyć.

Agustin spojrział na niego uważnie.

— Czy dobrze pana zrozumiałem? — zapytał z ożywieniem. — Don Manuel ma zamiar oprzeć znowu wewnętrzną politykę kraju na dawnych zasadach? Czy zamierza uchylić pewne zarządzenia przeciwko liberałom?

— Właśnie o to idzie — odparł Bermudez i nie przestając

bawić się sztychami, zwrócił się nagle do Francisca, nie patrząc na niego.

— Właściwie mógłbyś nam w tym pomóc, Francisco. Wiesz dobrze, że don Manuel lubi twe towarzystwo. Czy nie chciałbyś podsunąć mu podczas pozwania pewnych koncepcji politycznych?

I jeszcze lżejszym, niemal gawędziarskim tonem, bujając nogą założoną na nogę, kończył:

— Sądzę, że byłaby pora odwołać don Gaspara z wygnania.

Spokojny don Agustin wstał, wzburzony. Goya oddychał ciężko, sapiąc, na twarzy jego malowała się niechęć.

Człowiek, którego imię wymienił Bermudez, don Gaspar Melchor de Jovellanos. był najbardziej poważanym liberalnym politykiem i cenionym w Hiszpanii pisarzem; nazywano go powszechnie „hiszpańskim Voltaire'em". Jako minister poprzedniego króla, przeprowadził szereg zbawiennych reform. Dla obecnego wszakże króla, Karola IV, i jego ministra, don Manuela, ten surowy i zawsze czegoś domagający się mąż stanu stał się rychło niewygodny, gdyż narażał Koronę na coraz to nowe zatargi z inkwizycją i reakcyjną arystokracją. Wybuch rewolucji francuskiej stworzył pożądany pozór, który posłużył do odsunięcia od spraw państwowych tego przywódcy liberalów i rewolucjonisty. Wygnano go w dalekie ojczyste jego góry i zabroniono wydawania dalszych książek. Nie było więc przyjemną misją prosić don Manuela o ułaskawienie tego człowieka.

Francisco milczał. Agustin, podniecony, zapominając o dobrych formach, przemierzał pracownię sztywnymi krokami. Donia Lucia, bawiąc się wachlarzem, z zaciekawieniem obserwowała swymi przymglonymi oczyma niechętną minę Goyi.

— Powiedz mi, Miguelu, dlaczego to ja właśnie mam poruszyć tę sprawę? — zapytał wreszcie Francisco. — Czemu nie chcesz sam wstawić się za Jovellanosem?

— Od chwili — odparł uprzejmym głosem don Miguel — kiedy książę stanął na czele rządu, postanowiłem zażądać rehabilitacji moich liberalnych nauczycieli i przyjaciół. Ale don Manuel wie oczywiście, podobnie jak wszyscy, jak bardzo jestem zobowiązany don Gasparowi, któremu zawdzięczam nie tylko swoją karierę, ale także i poglądy. Ty zaś, Francisco, nie jesteś zupełnie podejrzany, uchodzisz za politycznie neutralnego, a już zgoła nie za zwolennika don Gaspara, chociaż o ile mnie pamięć nie myli, i tobie oddał on pewne przysługi. Byłoby to więc bez wątpienia skuteczniejsze, gdyby pierwszy krok wyszedł od ciebie. Ja bym już potem nacisnął, a skoro



Jovellanos znajdzie się tu, między nami, uzyskam również rehabilitację hrabiego Cabarrusa i reszty.

Francisco z kwaśną miną nasunął kosmyk gęstych włosów na ucho. Aluzja do przysług, które mu wyświadczył Jovellanos, rozdrażniła go. Była to zresztą prawda. Kiedy Francisco, nikomu jeszcze nie znany i ubogi jak mysz kościelna, przybył po raz pierwszy do Madrytu, Jovellanos zamówił u niego duży portret i polecił Goyę wpływowym znajomym. Jednak ten człowiek nieugięty i surowy pozostał Goyi w głębi duszy obcy, budził w nim ten sam chłodny podziw, z jakim odnosił się na przykład do malarza Davida. Rozumiał, że niefrasobliwy z natury don Manuel nie cierpi oschłego i zaciętego Jovellanos, który chodził po ziemi niczym żywy wyrzut sumienia. A teraz cnotliwy Miguel żąda, aby on, Francisco, okazał się wielkodusznym i wdzięcznym. „Za dobre uczynki — przypomniał sobie stare ludowe przysłowie — otrzymujemy nagrodę dopiero w niebie, ale złe karane są już na ziemi.”

Don Miguel nalegał dalej:

— Zwłaszcza w obecnej chwili, kiedy don Manuel zmierza do zawarcia pokoju z Francją, inicjatywa tego rodzaju ma jak najlepsze widoki.

Było to prawdopodobnie słuszne. Mimo to wydało się Goyi, że Miguel żąda odeń za wiele. Nieopanowana twarz malarza wyrażała głęboką niechęć. Goya miał za sobą powolną i żmudną karierę życiową; zawdzięczał ją tyleż swej wytrwałej pracy, ile sprytowi i roztropności. Teraz żądając, aby mieszał się do polityki, każą mu narazić na szwank wszystko, co zdobył.

— Ostatecznie to ty jesteś politykiem — rzekł z niechęcią — ja jestem malarzem.

— Zrozum jednak, Francisco — tłumaczył mu cierpliwie senior Bermudez — że w tym wypadku będziesz lepszym ode mnie rzecznikiem sprawy, ponieważ nie masz ambicji politycznych.

Donia Lucia przez cały czas nie spuszczała oczu z Francisca. Trzymała teraz wachlarz prawie zwinięty i zwrócony ku piersi, co w języku *maj*, dziewcząt z ludu, oznaczało drwiącą odmowę; uśmiech igrający dokoła jej wydłużonych warg pogłębił się jeszcze. Agustín również utkwiał w Goyi wyteżone, niemal szydercze spojrzenie; Goya czuł, że nawet ten wierny przyjaciel bierze mu za złe jego wahanie się. Była to bądź co bądź niegodziwość ze strony Miguela, że z tą przykrą propozycją wystąpił w obecności doni Lucii i don Agustina.

— Niechże będzie — rzekł wreszcie z niechęcią i bez zapału w głosie — dobrze, zrobię to i niech Najświętsza Panna z Atocha

czuwa nade mną, aby mi to nie wyszło na zgubę. — Przeżegnał się szybko, rzucając spojrzenie na drewnianą figurkę.

Lucia zaś rzekła z uśmiechem do swego małżonka:

— Wiedziałam dobrze, że twój przyjaciel Francisco jest zawsze skory do pomocy, szlachetny, mężny, bezinteresowny, w każdym calu hidalgo.

Gdy małżonkowie wyszli z pracowni, zabierając portret doni Lucii, Francisco zwrócił się ze złością do Agustina:

— Siedzisz tu — ofuknął go — i cieszysz się. Tobie nie trudno być cnotliwym, ty głodomorze! Bo i cóż masz do stracenia? — Westchnął głęboko. — Gdzie spojrzeć, same troski.

Mrucząc pod nosem, powtarzał stare powiedzenie: „Gdzie spojrzeć, wszędzie to samo: obowiązki, długi, dzieci, chwasty.”

## VII

Gdy w dwa dni później Goya zjawił się na *lever* u don Manuela, aby rozpocząć pracę nad zamówionym portretem, zastał poczekalnię pełną ludzi. Przez otwarte drzwi można było zajrzeć w głąb zbytkownie urządzonej sypialni, gdzie księcia ubierano i fryzowano.

Byli tam wszelkiego rodzaju dostawcy, handlarze koronek, jubilerzy, był jakiś kapitan, który powrócił z Ameryki i chciał wręczyć księciu w podarunku egzotyczne ptaki. Był senior Pavan, redaktor nowozałożonego, subwencionowanego przez don Manuela czasopisma geograficznego „Obieżyświat”. Był znakomity botanik, don Roberto Ortega, który chciał ofiarować księciu swe najnowsze dzieło; don Manuel popierał bowiem wiedzę botaniczną. Większość wszakże gości stanowiły młode, ładne kobiety, pragnące przedstawić ministrowi swe prośby i podania.

Don Manuel, gdy mu zameldowano Goyę, wyszedł natychmiast do poczekalni, na pół ubrany, w niedbale narzuconym szlafroku; za nim sekretarze i służba. Lokaje mieli na nogach czerwone pończochy, co było właściwie przywilejem służby królewskiej, ale Karol IV przyznał to zaszczytne wyróżnienie również służbie księcia.

Don Manuel powitał Goyę serdecznie.

— Czekam już na pana — powiedział i polecił mu wejść do pokoju, sam zaś zatrzymał się jeszcze chwilę w poczekalni. Zwracał się do tego i owego z łaskawym, przyjaznym słowem; powiedział kilka miłych zdań kapitanowi, który zasłużył się przy przełamaniu

nieprzyjacielskiej blokady, podziękował bardzo uprzejmie botanikowi, przyglądał się z humorem czekającym kobietom, oceniając je dość bezceremonialnie; polecił sekretarzom przyjąć ich podania, po czym pożegnał zgromadzenie i wrócił do swej ubieralni, do Goyi.

Podczas gdy kończono toaletę księcia, a senior Bermudez przedkładał mu kolejno najrozmaitsze papiery do podpisu zaopatrując je w krótkie uwagi, Francisco wziął się do roboty. Ładna, pełna twarz ministra o leniwych rysach i małych, wydatnych, bardzo czerwonych ustach, miała w sobie coś osobliwie sztywnego. Podczas pracy Goya uśmiechał się w duchu, przypominając sobie liczne marne portrety księcia, wykonane przez innych artystów. Nie udało im się oddać tej twarzy, gdyż usiłowali nadać jej wyraz bohaterski. Nie była to zresztą rzecz łatwa widzieć don Manuela takim, jakim był naprawdę; zbyt wiele otaczało go nienawiści. Sprawy publiczne stały złe, a wierni swemu królowi Hiszpanie nie przypisywali winy monarsze, lecz raczej królowej, cudzoziemce, Włoszce z urodzenia, a przede wszystkim jej przyjacielowi i kochankowi, don Manuelowi. Ten, jako że pochodził z nizin społecznych i nie posiadał nic prócz bezczelności i szczęścia, powinien był zachowywać się jak oni, a nie jak jakiś wielki pan albo król.

Ale Goya myślał inaczej. Właśnie to szczęście księcia, ta jego bajeczna wprost kariera budziły w nim sympatię do młodego człowieka.

Don Manuel urodzony w drobnomieszczańskiej rodzinie w Badajoz, w obfitującej w stada była Estremadurze, dostał się jako młody podporucznik gwardii na dwór królewski, gdzie dzięki swej dziarskiej urodzie, kształtnej postaci i miłemu głosowi wpadł w oko księżnej Asturii, małżonce następcy tronu. Żadna użycia dama nie pozwoliła mu już odejść od siebie, ani jako następczyni tronu, ani później, jako królowa. Dziś ten przystojny dwudziestosiemioletni młodzieniec nosił nazwisko Manuel de Godoy y Alvarez de Faria, książę de Alcudia, był głównym kapitanem walońskiej gwardii przybocznej, tajnym sekretarzem królowej, przewodniczącym rady koronnej, rycerzem orderu złotego runa, panem wszystkich bogactw, jakich tylko zapragnął, ponadto ojcem dwojga najmłodszych dzieci królewskich, infantki Izabeli i infanta Francisco de Paula, oraz licznych bękartów.

Goya wiedział dobrze, że niełatwa to rzecz nie stać się złym, doznawszy tyle szczęścia w życiu. A don Manuel zachował właśnie dobroduszne usposobienie, miał szczerą szacunek dla sztuki i nauki i wrażliwy był na piękno; prostackim zaś i gwałtownym stawał się

tylko wtedy, gdy ktoś sprzeciwiał się jego woli. Goya czuł, że nie będzie to proste zadanie wlać życie w szeroką twarz młodego księcia; lubił on bowiem wyglądać reprezentacyjnie i przybierał zwykle w tym celu maskę wyniosłą i zblazowaną. Francisco sądził wszakże, że sympatia, którą dla księcia odczuwał, pozwoli mu wydobyć na płótnie radość życia i uśmiech, kryjące się za jego znudzoną miną.

Don Manuel ukończył tymczasem podpisywanie przedłożonych mu papierów.

— A teraz — rzekł senior Bermudez — pragnąłbym zreferować waszej ekscelencji pewne sprawy nie przeznaczone dla publiczności — i spojrzął z uśmiechem na Goyę.

— Don Francisco to nie publiczność — rzekł książę łaskawie i don Miguel rozpoczął swój referat.

Pełnomocnik regenta Francji, pan de Havre, zażądał, i to w dość zarozumiałej formie, aby Hiszpania wykazała więcej energii w prowadzeniu wojny z bezbożną Republiką Francuską. Don Manuel wydawał się tą wiadomością raczej ubawiony niż oburzony.

— Naszemu opasłemu księciu Ludwikowi dobrze jest wymachiwać szabelką w pokoju hotelowym w Weronie — rzekł i tonem wyjaśnienia powiedział do malarza: — Książę Ludwik mieszka w gospodzie „Pod Trzema Garbusami” i gdyby nie nasze zasiłki pieniężne, musiałby wyrzec się jednego z dwóch zajmowanych przez siebie pokoi. Czy wysuwa on jakieś określone żądania? — zwrócił się znów do Bermudeza.

— Havre oświadczył mi — odparł don Miguel — że dziesięć milionów franków i dwadzieścia tysięcy żołnierzy stanowi minimum tego, czego książę oczekuje od Korony Hiszpańskiej.

— Havre ma ładną córkę — rozmyślał na głos don Manuel — prawda, że wątle to i chude jak szczapa. Nie mam zresztą nic przeciwko szczupłym kobietom, ale takie, na których nic prawie nie ma prócz skóry i kości, niewiele są warte. Jak pan sądzi, don Francisco? — I nie czekając na odpowiedź, polecił don Miguelowi: — Niech pan zawiadomi pana de Havre, że uczyniliśmy wszystko, co leżało w naszej mocy. I proszę przekazać mu, w imię boże, jeszcze raz pięć tysięcy franków. — Prawda — zwrócił się znów do Goyi — czy pan otrzymał już od niego swą należność za portret? — A gdy Goya zaprzeczył, dodał: — Otóż to. Jeszcze pięć lat temu pan de Havre był jednym z najświetniejszych kawalerów na dworze wersalskim, a dziś nie płaci nawet swemu malarzowi.

— Monsieur de Havre — referował dalej Bermudez — nie jest niestety jedynym, który żąda, byśmy wysłali posiłki na front.

Generał Garcini nalega na to jeszcze natarczywiej. Przy tym wiadomości z pola walki są niepomysłne — mówił dalej, szukając czegoś w swych papierach. — Figuera <sup>1</sup> padła — zakończył.

Książę wytrzymał dotąd spokojnie w swej pozie. Teraz, zaskoczony złą wiadomością, podniósł wzrok i zwrócił się w stronę Bermudeza. Jednakże szybko odwrócił głowę przybierając na powrót swą pozę.

— Proszę mi wybaczyć, don Francisco — rzekł.

— Garcini obawia się — ciągnął dalej don Miguel — że Francuzi pokonawszy naszych sprzymierzeńców ściągną teraz wojska z innych frontów i skierują je na Pireneje. Garcini boi się, że jeśli nie otrzyma posiłków, Francuzi mogą znaleźć się za trzy tygodnie nad Ebro.

Goya przypuszczał, że don Manuel zechce go teraz odprawić. Ale książę nie zmienił pozy.

— Nie poślę chyba posiłków Garciniemu — rozważał głośno, łagodnym tonem. A widząc, że Bermudez chce mu coś powiedzieć, dodał szybko: — Wiem, Kościół będzie oburzony. Ale muszę to już wziąć na swoją odpowiedzialność. Wysililiśmy się dużo więcej niż nasi alianci. Czyż kraj ma się wykrwawić? Dwór coraz bardziej ogranicza swe wydatki. Donia Maria Luiza zwolniła ostatnio dwóch koniuszych i dziesięciu lokajów. Nie mogę żądać od królowej dalszych ograniczeń. — Tu podniósł lekko głos, utrzymując głowę w pozycji, w której ustawił ją Goya.

— Cóż mam zatem odpowiedzieć generałowi Garcini? — zapytał rzeczowym tonem Bermudez.

— Republika Francuska — odparł don Manuel — zwykła ucinać głowy generałom, którzy ją zawiedli, my poprzestajemy na tym, że odmawiamy im posiłków. Oto, co zechce pan zakomunikować generałowi Garcini, oczywiście w uprzejmej formie.

— Jest rzeczą jasną — ciągnął dalej don Miguel — że alianci nasi pozbyli się już wszelkiej nadziei, iż uda im się rzucić Francję na kolana. Poseł pruski w obszernym memorandum wyłuszczył poglądy swego rządu na sytuację wojenną.

— Niech pan je krótko streści — rozkazał don Manuel.

— Herr von Rohde — mówił Bermudez — daje nam do zrozumienia, że rząd jego gotów byłby *zawrzeć* pokój, gdyby tylko mógł uzyskać mniej więcej znośne warunki, i radzi nam, byśmy uczynili to samo.

<sup>1</sup> Figuera — twierdza w Katalonii, na północno-wschodnim cyplu Hiszpanii, tuż przy granicy francuskiej.

— A jakież warunki uważa on za mniej więcej znośne? — spytał don Manuel.

— Gdyby Republika Francuska zgodziła się wydać nam dzieci mordowanej pary królewskiej, byłby to zdaniem rządu pruskiego pokój honorowy.

— Pięćdziesiąt milionów realów i dwanaście tysięcy zabitych Hiszpanów — to dla nas nieco za wysoka cena za królewską francuskie zwłaszcza jeżeli pozbawione zostaną swych ziem. Czy nie sądzi pan, don Francisco?

Goya uśmiechnął się uprzejmie; uważał to za pochlebne dla siebie, że don Manuel wciąga go w tę rozmowę. Malował dalej, słuchając z zaciekawieniem.

— Jeżeli uda się nam uratować małego króla Ludwika i Madame Royale i wziąć ich pod naszą opiekę — wywodził Bermudez — wówczas idea monarchii francuskiej żyć będzie nadal na naszej ziemi. Nie byłby to pokój niehonorowy.

— Mam nadzieję, don Miguelu — odpowiedział książę — że potrafi nam pan wytargować dla tych dzieci bodaj jeszcze królestwo Navarry /1.

Bermudez odrzekł uprzejmie:

— O ile o mnie chodzi, ekscelencjo, nie zaniedbam niczego. Obawiam się jednak, że skoro nie posyłamy posiłków Garciniemu, to będziemy musieli zadowolić się tylko dziećmi. — Co rzekłszy zebrał swoje papiery, pożegnał się i wyszedł.

Goya słuchając z zaciekawieniem tej rozmowy zapomniał prawie o głównym celu, dla którego don Miguel zaaranżował jego spotkanie z księciem. Dopiero po wyjściu przyjaciela uświadomił sobie, że ma poruszyć sprawę Jovellanosa, i poczuł ciężkie brzemie na sercu.

„Od czego zacząć?” — pytał sam siebie. Ale zanim zdążył coś powiedzieć, głos zabrał don Manuel.

— Z pewnością wielu zażąda — rzekł po głębokim namyśle — abym odwołał Garciniego. A nie brak i takich, którzy domagają się odwołania admirała Mazarredo, ponieważ nie umiał przeszkodzić utracie Tulonu. Ale na wojnie wszystko zależy od szczęścia, a ja nie jestem mściwy. Ach, prawda, czy to nie pan malował kilka portretów dla admirała? — spytał nagle z ożywieniem. — Zdaje mi się, że widziałem kiedyś w jego mieszkaniu jakiś portret pańskiej roboty.

1/ Królestwo Navarry — część Navarry położona po stronie północnej Pirenejów, tzw. Navarra Dolna, która przyłączona w XVI w. do Francji, zachowała tytuł królestwa aż do wielkiej rewolucji francuskiej.

Tak, tak — potwierdził sam swe słowa — to było u admirała, wisiał tam znakomity portret kobiecy.

Goya słuchał zdziwiony. Dokąd zmierzał don Manuel? Portret kobiety, który namalował dla admirała, był to portret Pepy Tudó: Goya poznał ją właśnie malując jej portret. Postanowił mieć się na baczności.

— Tak — odparł obojętnie — malowałem dla admirała portret pewnej damy z koła jego znajomych.

— Ten obraz udał się panu cudownie — rzekł don Manuel. — Dama ta musi być chyba w naturze prześliczną kobietą. Jest to, zdaje się, wdowa, *viudita*, jak ją nazywał admirał. Mąż jej zginął podobno gdzieś w Meksyku. Minister marynarki przyznał jej pensję wdowią, jeśli mnie pamięć nie myli? To niezwykle piękna kobieta.

Teraz Goya swym chłopskim, realistycznym rozumem pojął, ku czemu zmierza don Manuel. Był zmieszany, porwał go wir sprzecznych myśli. Poczł się nagle wplątany w sieć misternej intrygi. Zrozumiał, dlaczego Miguel nie chciał sam wstawić się za Jovellanosem, lecz wołał na pierwszy ogień wysłać jego, Francisca; Miguel nie ma przecież żadnej Pepy do ofiarowania w zamian za rehabilitację starego liberała. Franciscowi zrobiło się dość głupio. A może ukrywa się za tym handlem i donia Lucia? Może dlatego, niegodziwa, utkwiała w nim wtedy to natarczywe spojrzenie, może dlatego rzuciła mu ten bezczelny uśmiech, kiedy nie od razu zgodził się na to, czego od niego żądano? Mimo gniewu bawiła go myśl o tym, jakich osobliwych dróg chwytą się ten cnotliwiec, Miguel Bermudez, aby jeszcze cnotliwszego od siebie męża odwołać z wygnania. Miguel uważał widocznie, że jego, Goyi, obowiązkiem jest odstąpić innemu swoją przyjaciółkę, jeśli za cenę tej transakcji uzyskać można rzecz tak ważną jak odwołanie Jovellanosa z wygnania. Prawdopodobnie Miguel uważał ofiarę, jakiej żądał od Goyi, za niezbyt wielką, co było zresztą zgodne z prawdą, gdyż ostatecznie Francisco może sobie wyobrazić życie i bez Pepy. Ale rola, którą mu tutaj narzucają, jest wstrętą, obraża jego godność, jego ambicję. Nie zależy mu zbyt wiele na Pepie, ale nigdy nie pozwoli na to, aby ją ktoś od niego wymusił czy wyhandlował. Nie, nie odstąpi jej temu zarozumiałemu bałwanowi Manuelowi tylko dlatego, że ma on na nią chrapkę.

Jednakże nie zapominał o tym, że ma wobec don Gaspara obowiązki wdzięczności. Nie było słuszne, aby Jovellanos siedział nadal w swym górskim ustroniu, skazany na bezczynność w tych ciężkich dla Hiszpanii czasach tylko dlatego, że on, Francisco, chce zatrzymać przy sobie babę, na której nie bardzo mu zależy, ot, taką *jamone*.

Postanowił przystąpić do natarcia i poruszyć sprawę Jovellanosa. Don Manuel zrobi zapewne wielkie oczy; ale trudno, „kto kwaśnym winem częstuje, niechaj się nie dziwi, jeśli mu też kwaśne wino „dadzą” — mówi przysłowie. Tak jak w tej chwili rzeczy stoją, don Manuel nie odpowie chyba odmownie, a potem okaże się, co dalej.

Nie podejmując tematu Pepy Tudó i nie przerywając swej pracy, rzekł po chwili:

— Kraj będzie panu wdzięczny, ekscelencjo, jeśli obdarzy go pan pokojem. Madryt przybierze znowu swój dawny wygląd i niejedno serce uderzy radośnie na widok twarzy, których brak od tak dawna odczuwa.

Don Manuel zrobił zdziwioną minę, tak jak tego Francisco oczekiwał.

— Odczuwa brak? — zapytał. — Czy pan naprawdę uważa, don Francisco, że Madryt odczuł nieobecność tych kilku nazbyt gorliwych postępowców, których zmuszeni byliśmy poprosić, aby na jakiś czas osiedlili się na wsi?

— Niejeden z nas czuje, że brak jest czegoś — odrzekł Goya — gdy się nie widzi w mieście pewnych ludzi. Widzi pan, ekscelencjo, moje obrazy, na przykład, straciłyby połowę swego życia, gdyby im zabrakło pewnych drobnych refleksów świetlnych. Tak samo brak jest czegoś w Madrycie, kiedy nie ma takich ludzi, jak hrabia Cabarnis albo senior de Jovellanos.

Don Manuel zachnął się, zirytowany.

— Ekscelencjo, proszę trzymać głowę spokojnie — rozkazał Goya bez lęku.

Don Manuel usłuchał.

— Gdyby o tych sprawach mówił nasz przyjaciel Miguel — rzekł po chwili — nie dziwiłbym się. Ale w pana ustach, don Francisco, słowa te brzmią doprawdy nieoczekiwanie.

Goya malował dalej.

— Są to myśli — zauważył jakby mimochodem — które nasunęły mi się, kiedy mnie pan zaszczylił pozwoleniem wzięcia udziału w swej rozmowie z don Miguelem. Zechce mi pan wybaczyć, jeśli odezwałem się zbyt śmiało; miałem wrażenie, że wolno mi powiedzieć panu otwarcie, co myślę.

Teraz książkę zrozumiał z kolei grę Goyi.

— Zawsze chętnie słucham, gdy ktoś otwarcie wypowiada swe zdanie — rzekł tonem przychylnie łaskawym. — Poddam myśl pana możliwej rozwadze.



I zaraz po tych słowach, bez żadnego przejścia, z nagłym, widocznym ożywieniem począł mówić dalej:

— Wracając do damy, o której udatnym portrecie mówiliśmy przed chwilą, nie wie pan przypadkiem, czy bawi ona jeszcze w Madrycie? Nie spotykał jej pan tu ostatnio?

Bawiło Goyę, że księżę krąży po tak niezręcznych manowcach. W tajnych aktach policji państwowej prowadzone były zapiski o tym, co każdy robi, gdzie się znajduje, równie dokładnie jak w rejestrach Santa Casa, w siedzibie inkwizycji. Don Manuel był oczywiście poinformowany o wszystkim, co dotyczyło Pepy Tudó, nie wyłączając jej stosunku do Francisca. Najprawdopodobniej mówił już o tym z Miguelem.

Francisco nakazał sobie czujność.

— Owszem, ekscelencjo — odpowiedział dosyć chłodno — widuję czasem tę damę.

Księżę uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak zmierzać wprost do celu. Trzymając głowę posłusznie w sposób wskazany przez malarza, począł teraz mówić tonem swobodnym, niby obojętnym:

— Byłoby to bardzo miłe z pana strony, don Francisco, gdyby mnie pan zechciał poznać z tą damą. Może jej pan też powie, że nie jestem tak niewybrednie zachłanny, jak głoszą plotki szerzone przez moich nieprzyjaciół, lecz że mam serce gorące i niezawodne, czułe na prawdziwe piękno. Z portretu seniory sędzę, że jest to kobieta inteligentna. Nie wątpię, że można z nią rozmawiać. Większość kobiet umie się tylko położyć i po trzech spotkaniach nie wiadomo doprawdy, co dalej z babą począć. Czy nie mam racji?

Goyi przeszła przez głowę myśl niewypowiedzianie sprośna. Ale na głos powiedział:

— O tak, ekscelencjo, filozofować można tylko z niewielu kobietami.

Teraz don Manuel odkrył zupełnie swoje karty.

— Co pan na to — zagadnął Francisca — żeby tak któregoś dnia spędzić wspólnie przyjemny, interesujący wieczór; pan, zachwycająca *viudita* i paru przyjaciół, z którymi warto zjeść i wypić, porozmawiać i pośpiewać? Jeśli się nie mylę, to także i nasza donia Lucia zna *viudite*. Ale stawiam za warunek, by i pan, mój drogi don Francisco, wziął udział w tej *tertuli*<sup>1</sup>.

Transakcja była zupełnie przejrzysta: don Manuel gotów jest

\*/ *Tertulia* — zebranie towarzyskie.

< 52)

dyskutować w sprawie Jovellanosa, o ile Goya zechce porozmawiać na temat *viuidity*. Franciscowi stanął na chwilę przed oczyma obraz Pepy: leniwa, bujna, pożądliva i namiętna, patrzyła na niego swymi zielonymi, szeroko rozstawionymi oczyma. Teraz dopiero potrafiłby ją namalować jak należy, na przykład w tej ciężkiej zielonej sukni przybranej koronkami; oddałby to świetnie w swym nowym, srebrzystoszarym tonie. Wprawdzie i tamten portret Pepy, wykonany dla admirała Mazarredo, wypadł nienajgorzej, ale wtedy zakochany był w niej po uszy i przelał na obraz swoje uczucia. Zresztą to bardzo zabawne, że on sam, Francisco, tym swoim dobrym obrazem obudził apetyt don Manuela. Widział teraz Pepę całkiem wyraźnie taką, jaka była naprawdę, jak powinien ją być namalować i jak może jeszcze ją namaluje. I choć miałby ochotę przespać się z nią jeszcze parę razy, zęgnął się w tej chwili w myśli ze swą przyjaciółką Pepą Tudó.

— Dla seniory Josefy Tudó — rzekł z formalną uprzejmością — będzie to niewątpliwie zaszczyt i przyjemność poznać waszą ekscelencję.

W chwilę potem zjawił się lokaj w czerwonych pończochach i zameldował:

— Dama czeka już od dziesięciu minut, ekscelencjo. Nieruchoma, pełna dyskretnego szacunku twarz lokaja zdradzała, że ową damą była królowa.

— Szkoda — westchnął don Manuel — musimy przerwać nasze posiedzenie.

W rozterce wracał Goya do domu. Zdarzało mu się już nieraz postąpić niegodziwie z kobietą, zdarzało mu się porzucić kobietę dla kariery. Ale nikt jeszcze nie poważił się przyjść do niego z tak obelżywą propozycją i teraz nie zgodziłby się za nic, gdyby nie chodziło o Jovellanosa.

W pracowni zastał Agustina. I on ze swoją skwaszoną, wiecznie pełną pretensji gębą niemało się przyczynił, aby wpakować go w ten brudny handel. Francisco wydobył szkice, które sporządził do portretu don Manuela. Rysował dalej; mięsista twarz księcia poczęła z wolna tracić swą dobroduszość i polot, upodabniała się coraz bardziej do twarzy fauna, stawała się coraz bardziej sprośna. Goya podarł w strzępy swój szkic, posypał stół piaskiem i począł na nim rysować. Wypłynęła mu spod palców twarz Lucii, pożądliva, wykrzywiona namiętnością, podobna do drapieżnej kocicy, obok niej kanciasta, przebiegła, lisia twarz Miguela. Westchnął markotnie i stał obie twarze.

W złym humorze spędził Goya najbliższą noc i w nielepszym następną. Ale trzeciego dnia otrzymał nieoczekiwanie wiadomość z pałacu Alba. Lokaj przybrany w liberię przyniósł mu bilet, w którym księżna Alba zapraszała don Francisca na uroczyste przyjęcie z okazji poświęcenia swej nowej siedziby, pałacu Buenavista. Poza tym księżna pisała: „Kiedy dostanę mój wachlarz, don Francisco?” Z uśmiechem, oddychając głęboko, spoglądał Goya na drobne, nieregularne pismo. Widział w tym aprobatę i nagrodę niebios za to, że potrafił przezwyciężyć swą dumę i ambicję dla dobra Hiszpanii, dla Jovellanos.

## VIII

Posel pruski Herr von Rohde pisał do Poczdamu o don Manuelu Godoy, księciu de Alcudia:

„Wstaje rano i wydaje swym koniuszym i innym podwładnym szczegółowe polecenia na cały dzień i najbliższy czas. O godzinie ósmej udaje się do maneżu w swej rezydencji podmiejskiej; co dzień rano około godziny dziewiątej odwiedza go tam królowa, aby mu towarzyszyć w jeździe konnej. Don Manuel jest doskonałym jeźdźcem. Na tym upływa mu czas do godziny jedenastej. O ile król wraca wcześniej z polowania, bierze również udział w jeździe konnej. Na księcia czeka już tymczasem niezliczona rzesza petentów, pragnących przedstawić mu wszelkiego rodzaju sprawy. Tych załatwia w ciągu piętnastu minut. Potem dopiero następuje jego oficjalne *lever*, przy którym asystuje zwykle kilka dam wysokiego rodu; odbywa się też wówczas koncert najlepszych muzyków. O godzinie pierwszej udaje się don Manuel do pałacu królewskiego, gdzie posiada swój własny obszerny apartament, złożony z salonu, gabinetu do pracy i sypialni. Jako szambelan królewski, asystuje królowi przy oficjalnym obiedzie. Po obiedzie wraca do swego prywatnego mieszkania, które znajduje się bezpośrednio pod apartamentami królowej. Tam spożywa don Manuel właściwy obiad w towarzystwie królowej, która schodzi do niego tajnymi schodkami, podczas gdy król ponownie wyjeżdża na polowanie. Na tych spotkaniach donia Maria Luiza i don Manuel uzgadniają zazwyczaj swe poglądy i decyzje, które przedstawiają następnie królowi.

Około godziny siódmej don Manuel udaje się do króla ze sprawozdaniem. O ósmej wraca znów do swego prywatnego

mieszkania, gdzie zazwyczaj oczekuje go już trzydzieści do czterdziestu kobiet wszystkich stanów i klas społecznych, z pisemnymi podaniami. Załatwienie tych podań zajmuje mu ponad dwie godziny. Na godzinę dziesiątą wieczorem zamawia zwykle swych współpracowników i wraz z nimi bierze się do właściwej pracy. Przeznacza na nią zazwyczaj tylko te dwie nocne godziny. Dbą jednak o to, aby bieżące sprawy załatwiane były szybko i punktualnie. Na listy, które nie wymagają dłuższego namysłu, odpowiada prawie zawsze tego samego dnia. Posiada dar szybkiego i trafnego orientowania się, a choć nuży się szybko załatwianiem spraw urzędowych, to bystrością sądu równoważy braki mogące wyniknąć z nazbyt krótkiego czasu poświęconego pracy.

Wszystko razem wzięwszy, pomimo młodego wieku wypełnia on dość sprawnie ciężkie obowiązki swego wysokiego urzędu i dobrze działałoby się w Europie, gdyby wszystkie państwa posiadały na naczelnych stanowiskach takich jak on urzędników."

## IX

Wieczór towarzyski dla don Manuela i *viudity* Josefy Tudó odbył się u doni Lucii Bermudez.

Duży i obszerny dom seniora Bermudez przepelniony był skarbami sztuki. Na ścianach od podłogi do sufitu wisiało oszałamiające mnóstwo obrazów, starych i nowych, dużych i małych, tworząc jak gdyby kobierzec.

Tu więc, siedząc starohiszpańskim obyczajem na estradzie pod wysokim baldachimem, przyjmowała donia Lucia swych gości. Ubrana była zupełnie czarno; o twarzy delikatnej i zastygłej, podobnej do główki jaszczurki, smukła, opanowana, ale łobuzersko podniecona, strzelała oczyma spod wysokiego grzebienia, radując się myślą o tym, co miało tu niebawem nastąpić.

Don Manuel zjawił się wcześniej, ubrany starannie, z wykwintną, ale nieprzesadną elegancją. Nie miał peruki na głowie i nie przypudrował nawet swych rudoblond włosów. Z licznych odznaczeń włożył tylko jedno: order złotego runa. Z szerokiej twarzy znikł bez śladu zwykły wyraz zblazowania. Wszczął pełną galanterii rozmowę z panią domu, ale był roztargniony, widocznie na coś czekał.

Opat stał przed dziełem Goyi, portretem doni Lucii. Don

Miguel chciał pierwotnie umieścić ten obraz na oddzielnym, widocznym miejscu, później jednak uznał, że jego swoisty charakter uwydatni się lepiej, gdy będzie otoczony innymi arcydziełami. Wisiał więc teraz pośród wielu innych malowideł zdobiących ściany salonu. Don Diego nie mógł dłużej stać milcząco przed tym obrazem. Z rozlewną swadą, przeplatając swe słowa łacińskimi i francuskimi cytatami, począł wychwalać oryginalność i doskonałość dzieła; brzmiało to jak wyznanie miłosne skierowane do doni Lucii. Don Miguel słuchał z mieszanymi uczuciami pochwał, wielbiących zarówno żywą, jak malowaną Lucie; musiał przy tym przyznać, że don Diego z głębszym jeszcze znawstwem ocenia dzieło Goyi i jego oryginalny koloryt, niż on, Miguel, mógłby to uczynić.

Weszła Pepa. Miała na sobie zieloną suknię pokrytą jasnymi koronkami, ozdobioną jednym tylko klejnotem; był to krzyż wysadzany drogimi kamieniami, podarunek admirała. Tak właśnie Goya wyobraził sobie Pepę, gdy don Manuel wystąpił ze swą bezczelną propozycją, i taką pragnął ją teraz malować swoim nowym kunsztem. Pepa usprawiedliwiała ze swobodą swe spóźnienie, mówiąc, że duenia miała trudności ze znalezieniem lektyki. Goya podziwiał jej zuchwałą pewnością siebie. Prócz kilku lekkich napomknien nie było dotąd między nimi mowy o tym, co miało tu dziś nastąpić. Oczekiwał, a nawet spodziewał się, że zasypie go wyrzutami i złorzeczeniami. Nie usłyszał nic takiego prócz paru cichym głosem wypowiedzianych ironicznych i dwuznacznych zdań. Jej zachowanie się w tej chwili było oczywiście rozmyślnie, wystudiowane. Z rozmysłem przyszła późno, z rozmysłem odsłaniała swoje skromne warunki życiowe. Chciała zawstydzić Goyę przed księciem, pokazać, jak mało jest dla niej hojny. A przecież, gdyby powiedziała słowo, Francisco kazałby jej przyjąć więcej służby, choćby go to nawet może gniewało. Była to nikczemność z jej strony.

Don Manuel prawie nie słuchał tego, co Pepa mówiła. Zatopił w niej spojrzenie zachłanne i nieopanowane, lecz pełne takiego zachwyty, o jaki nie posądziłby go nikt z tych, którzy go znali. Kiedy donia Lucia przedstawiła go Pepie, skłonił się przed nią głębiej, niż zginał się kiedykolwiek w ukłonie przed królową lub infantkami. Powiedział bez skrępowania, że od pierwszej chwili oczarował go portret Goyi, ale że w tym szczególnym wypadku dzieło nawet tak wielkiego mistrza nie umywa się do rzeczywistości. Oczy jego wyrażały oddanie i gotowość do usług.

Pepa przyzwyczajona była do przesadnych hołdów: wszyscy

Hiszpanie byli w tym do siebie podobni, zarówno madrycki *majo*, jak hidalgo z prowincji i dworski grand. Ale znała się na odcieniach i w lot wyczuła, że ten wielki pan zadurzył się w niej głębiej niż admirał Mazarredo, który miał niebawem powrócić do stolicy, a może nawet głębiej niż jej świętej pamięci, w Bogu w morzu spoczywający małżonek, porucznik marynarki Tudó. Jeśli Francisco zamierza zdradzić ją i sprzedać, to niechże się przekona, że traci coś bardzo cennego. I postanowiła sprzedać się bardzo drogo. Na jej szerokich ustach, ukazujących dwa rzędy dużych olśniewająco białych zębów, igrał uśmiech uprzejmy i swobodny, ale niczego nie obiecujący; jej wachlarz nie wyrażał wprawdzie odmowy, ale do niczego też nie zachęcał. Z przyjemnością zauważyła spojrzenie Francisca, który stojąc na uboczu, z niechętną ciekawością obserwował zaloty don Manuela.

Paź zameldował, że podano do stołu. Goście przeszli do jadalni. I tu wszystkie ściany obwieszane były od góry do dołu obrazami mistrzów flamandzkich, francuskich i hiszpańskich, przedstawiającymi martwą naturę i wnętrza kuchni. Byli tu kucharze krzątający się dokoła paleniska, pędzla Velazqueza, było *Wesele w Kanie Van Dycka*, był drób, dziczyzna, ryby i owoce, namalowane tak soczyście, że patrzącemu ślina napływała do ust. Dobór potraw był wybredny, lecz stół nie był przeładowany; podano sałaty, ryby, ciasta i słodczyce, z napojów malagę i xeres, poncz i słodzoną wodę z lodem. Prócz pazia nie było żadnej służby; panowie usługiwali damom.

Don Manuel gorliwie zajmował się Pepą. Zapewniał ją, że pełna jest tej pogody i spokoju, którym tchnie również portret Francisca. Nie przeczuwał nawet, ile podniecenia jest w tym spokoju. Jakże jest przy swym zrównoważonym usposobieniu podniecająca, jak bardzo *emouvante, bouleversante*<sup>1</sup>... Czy rozumie po francusku?

— *Un peu*<sup>2</sup> — odparła nieco twardym akcentem.

Był tego pewien, mówił, że jest bardziej wykształcona niż inne panie madryckie. Innym damom przyjmowanym u dworu, *petimetrom*<sup>3</sup> czy *majom*, można tylko prawić cześć komplementy, z nią zaś rozmawiać można o sprawach życia i ducha.

Siedziała obok niego, jadła i piła, słuchała; spod długiej koronkowej rękawiczki przeświecała delikatna, biała skóra jej ramienia.

1/ *Emouvante, bouleversante* (fr.) — wzruszająca, wstrząsająca. 2/*Un peu* (fr.) — trochę.

3/*P e t i m e t r a* — strojnisia, elegantka.

( 57 >

Później nieznacznym ruchem wachlarza dała poznać, że nie jest mu niechętna. Don Manuel wpadł w zapał; oświadczył, że Goya musi zrobić jeszcze jeden jej portret; musi ją namalować tak, jak wygląda w tej chwili, musi wyteńczyć wszystkie swe siły; dla niego, dla Manuela, będzie musiał ją namalować.

Goyę wciągnęła tymczasem w rozmowę donia Lucia. Spokojna, opanowana, obserwowała spod oka, jak don Manuel zabiega dokoła Pepy. Ze sposobu, w jaki patrzył na nią, jak się ku niej nachylał, widoczne było, że człowiek ten jest pod władzą niepohamowanej namiętności, i donia Lucia rozkoszowała się tym widokiem.

Popijając drobnymi łykami mrożony napój, zagadnęła Goyę niby od niechcenia:

— Cieszy mnie doprawdy, że nasza Pepa dobrze się dziś bawi. Biedne dziecko! Taka młodzianka, a już wdowa, i w dodatku jeszcze sierota! Z podziwu godnym spokojem znosi zmienne koleje swego losu, nie uważa pan? — I nie spuszczać oka z don Manuela, mówiła dalej: — Jakie to dziwne, don Francisco, że właśnie portret przez pana malowany obudził takie zainteresowanie don Manuela dla naszej biednej Pepy. Jest pan twórcą ludzkich losów, don Francisco. Dzięki swym obrazom, oczywiście.

Goya był przekonany, że zna kobiety lepiej niż wszyscy mężczyźni z jego otoczenia. Ale ta Lucia pełna wdzięku, szczupła, wysmukła, ze swoją maską wytwornej damy i tak niecna przy tym... A on słucha jej cynicznych szyderstw. Zabrzmiały mu w uszach owe beczelne krzykliwe słowa, którymi kiedyś mała handlarka orzechów w Prado, *avellanera*, ta smarkata, poszczuła na niego hołotę uliczną, i zrobiło mu się głupio. Nie wiedział nawet, jak dalece Pepa wtajemniczona jest w kulisy całej sprawy i czy przypadkiem obie z Lucia nie śmieją się z niego w kułak. Porwała go złość, pohamował się jednak. Odpowiadał jej półgębkiem, zachowywał się jak głupi, tępym wzrokiem odwzajemniał spojrzenia jej nieco przymglonych, szeroko rozstawionych oczu.

— Jest pan dziś bardziej kolczasty niż zwykle, don Francisco — zrobiła mu przyjazną wymówkę. — Nie cieszy pana szczęście Pepy?

Poczuł ulgę, gdy zbliżył się do nich opat. Skorzystał ze sposobności, aby uwolnić się od nieprzyjemnej rozmowy.

Ale zaledwie oddalił się od Lucii, przyzwała go do siebie Pepa; prosiła, by przyniósł jej szklanekę ponczu. Don Manuel zmiarkował

że chciała zostać sama z Goyą: zrozumiał to i aby jej nie zrazić, odszedł do innych gości.

— Jak wyglądam? — spytała Pepa wtulona leniwie i wdzięcznie w głęboki fotel.

Francisco poczuł się niepewnie. Zawsze był gotów pomówić z nią otwarcie; jej to winą będzie, jeśli teraz rozejdą się bez słowa i nie tak przyjaźnie, jakby być mogło i powinno. Jeśli ktoś z nich dwojga miał powód do urazy, to byt nim chyba on.

— Nie chciałabym tu długo zostać — rzekła Pepa. — Mam przyjść do ciebie czy wolisz przyjść do mnie?

Oślupiał ze zdumienia. Do czego zmierzała? Nie była przecież tak głupia, aby otrzymawszy zaproszenie na dzisiejszy wieczór nie rozumiała jego celu. A może Lucia jej nie uprzedziła? Może to on właśnie całkiem fałszywie zabrał się do *rzeczy*?

W rzeczywistości Pepa wiedziała już od kilku dni, na co się zanosí, ale powzięcie decyzji nie przyszło jej tak łatwo, jak to sobie Goya wyobrażał. Dniami całymi zaprzętała ją myśl, dlaczego Francisco nie mówi z nią o tym i czy nie powinna sama rozpocząć otwartej rozmowy, rozprawić się z nim. Mimo swego spokojnego, zrównoważonego usposobienia miała żal do Goyi, że pozbywał się jej z tak lekkim sercem, czy dlatego że chciał uwolnić się od niej uważając to za korzystne dla swej kariery, czy też by jej nie tamować drogi. W trakcie tych rozważań poznała dopiero, jak bardzo jest do niego przywiązana.

Pomimo licznych przeżyć Pepa zachowała prostotę uczuć. Kokietowała różnych mężczyzn i flirtowała z nimi, ale Filipe Tudó był pierwszym mężczyzną, któremu się oddała. Kiedy później, szczególnie w okresie studiów scenicznych, wielu mężczyzn sposób natarczywy ubiegało się o młodą *viudite*, raczej ją to odpychało, niż pociągało. Potem na wody jej życia wpłynął z rozwiniętymi żaglami admirał, co bardzo poprawiło jej samopoczucie. Ale rozkosz, głęboką, prawdziwą rozkosz, dał jej poznać dopiero Francisco Goya. Szkoda, że nie kocha jej już tak, jakby tego pragnęła.

Kiedy Lucia powiedziała jej bez ogródek, że wszechwładnemu ministrowi bardzo na tym zależy, by ją poznać, zrozumiała oczywiście, że otwiera się przed nią droga szeroka i opromieniona słońcem; romantyczne marzenia o wspaniałych zamkach i rzeszach pokornych sług mogły stać się rzeczywistością. Roíła w wyobraźni, jak to będzie, gdy książę de Alcudia, *cortejo* królowej, stanie się jej kochankiem, i pozwalała, by duenia częściej niż zwykle oszukiwała ją przy kartach.



Postanowiła jednak pozostać przyjaciółką Francisca, jeśli tylko życzył sobie tego, i trwała nadal w tym postanowieniu.

Zadała mu więc jasne pytanie: „Mam przyjść do ciebie czy wolisz przyjść do mnie?” A on siedzi oto przed nią z najgłupszą w świecie miną.

Ponieważ nie odpowiadał, Pepa pytała dalej ciepłym głosem:

— Znalazłeś sobie inną, Francho? — A że wciąż jeszcze milczał, dodała: — Czy masz mnie dosyć? Dlaczego rzucasz mnie księciu? — Mówiła życzliwie, niegłęboko, innym mogło się wydawać, że prowadzą obojętną rozmowę towarzyską.

Piękna była w tej chwili, wzbudzająca pożądanie, zachwycająca zarówno dla mężczyzny, jak dla malarza. I ze złością musiał przyznać, że miała słuszość: znalazł sobie inną; a raczej nie znalazł, wtargnęła po prostu w jego życie, schwyciła go całego w swe posiadanie i to też było powodem, że z tak lekkim sercem oddawał Pepę księciu. Ale Pepa miała tylko po części słuszość. Nie przeczuwała ukrytych nici, nie wiedziała, że ponosił ofiarę dla Jovellanosa i dla dobra Hiszpanii. Nagle targnęła nim dzika wściekłość. Że też nigdy człowieka nie rozumieją. Miał ochotę zbić ją.

Agustin Esteve przenosił kolejno spojrzenie z Pepy na Lucię i z Lucii na Pepę. Zgadywał ukryte związki. Francisco był w opresji. Francisco potrzebuje go, inaczej nie zabrałby go z sobą na dzisiejszy wieczór; było to dowodem, jak mocno jest z nim związany. Mimo to Agustin czuł się niedobrze na tym przyjęciu. Stał wśród tych ludzi jak zabłąkany, zazdrościł Franciscowi jego kłopotów.

Lucia kazała podać szampana. Agustin, wbrew swemu zwyczajowi, począł pić. Pił na zmianę malagę, która mu nie smakowała, i szampana, który mu też nie smakował, i było mu coraz smutniej.

Don Manuel uznał tymczasem, że uczynił już zadość wymogom dobrego tonu i że może wrócić do *viudity*. Pepie miło było ujrzeć go znowu przy sobie. Narzuciła się sama Franciscowi jasno i wyraźnie; poniżyła się; jeśli Francisco nią wzgardził, dobrze, pójdzie drogą, którą jej sam wskazał. Ale w takim razie niechaj się ziszczą jej romance. Będą ją może ludzie lżyć, będzie jednak też podziwiana i wyniesiona nad inne. Nie zgodzi się na to, aby wielki pan, ten książę, uszczknął ją, jak się zrywa kwiat. Przeciwnie, zażąda od Manuela ceny, i to wysokiej, niezwykle wygórowanej ceny; wszystko przecież na to wskazuje, że gotów jest ją zapłacić.

Pepę Tudó łączyła przyjaźń z Lucią Bermudez; bywała często na jej *tertuliach*, ale nie zapraszano jej dotąd na oficjalne,

reprezentacyjne przyjęcia, wydawane od czasu do czasu przez seniora i seniorkę Bermudez. Rozsądek mówił jej, że w wysokich sferach towarzyskich nie ma miejsca dla wdowy po oficerze marynarki niższego stopnia. Ale teraz to się zmieni. Jeśli nawiąże bliższy stosunek z don Manuelem, to nie po to, aby być jedną z jego przygodnych, sekretnych przyjaciółek, lecz by zostać jego oficjalną metresą, rywalką królowej.

Don Manuel pił dużo, był rozgrzany i podniecony zarówno szampanem, jak bliskością *viudity*. Pragnął olśnić ją swymi zaletami. Spytał ją, czy jeździ konno. Było to zresztą pytanie zupełnie bezmyślne, gdyż konno jeździły tylko damy ze sfer grandów lub bogaczy. Odpowiedziała spokojnie, że w posiadłościach ojcowskich w Ameryce nieraz siedziała na koniu, ale tu, w Hiszpanii, chyba tylko na osłach i mułach. Odpowiedział, że trzeba będzie to sobie powetować. Koniecznie musi jeździć konno, będzie wyglądała na koniu jak bóstwo. On sam jest niezłym jeźdźcem.

Pepa skwapliwie podchwyciła sposobność.

— Wie o tym cała Hiszpania — odparła — jak świetnie pan jeździ konno, don Manuelu. — I dodała: — Czy nie mogłabym kiedyś zobaczyć pana na koniu?

To niewinne na pozór pytanie było w rzeczywistości więcej niż śmiałe, było wprost zuchwalstwem, nawet w ustach najpiękniejszej w kraju *viudity*; don Manuel uprawiał bowiem jazdę konną *zazwyczaj* w towarzystwie królowej, a często i króla. Miałożby być tajemnicą dla seniora Tudó to, o czym wiedziało każde dziecko w Madrycie?

Książę zamilkł na chwilę, jakby mowę stracił; co więcej, wytrzeźwiał nagle: zobaczył przed sobą otwartą klatkę i piękną buzię zapraszającą go do wejścia. Ale po chwili, gdy spojrział na szerokie, rozchylone, ponętne usta, gdy poczuł na sobie spokojne, wyczekujące spojrzenie zielonych oczu Pepy, zrozumiał, że jeżeli powie teraz "nie", jeżeli spróbuje się wymigać, straci tę kobietę, tę wspaniałą kobietę, której rude włosy i biała skóra, której zapach tak rozkosznie go oszalał. Zapewne, będzie mógł z nią spać, nawet jeśli powie "nie", ale on chciał czegoś więcej, chciał ją zatrzymać na zawsze, chciał każdej chwili mieć ją przy sobie, ilekroć przyjdzie mu na nią ochota, a „zawsze” — to znaczy „zawsze”; chciał ją mieć całą dla siebie.

Pociągnawszy kilka łyków powiedział:

— Oczywiście, senioro. Naturalnie, donio Josefo. Poczytam to sobie za prawdziwy zaszczyt, jeśli będę mógł popisać się przed panią

swoją jazdą. Dwór wyjeżdża w najbliższych dniach do Eskurialu. Ale pewnego ranka oddany sługa pani, Manuel Godoy, wróci do Madrytu, do swojej podmiejskiej willi. Tam strząśnie z siebie na parę godzin troski i zajęcia państwowe i będzie jeździł przed panią i tylko dla pani, donio Pepo. — Po raz pierwszy wymówił jej imię w zdrobniałym, pieszczotliwym brzmieniu.

Serce Pepy Tudó wezbrało uczuciem triumfu. Przyszły jej na myśl stare romance; bo to, co powiedział don Manuel, brzmiało tak poetycznie jak jej romance. Duże zmiany zajdą teraz pewnie w jej życiu. Niejedno zmieni się też w życiu don Manuela. A może i niejedno w życiu Francisca. Będzie mogła oddawać mu usługi albo odmawiać ich. Oczywiście nigdy mu nie odmówi. Ale — mściwy ogień zabłysnął w jej zielonych oczach — da mu odczuć, że to ona teraz jemu pomaga w osiągnięciu kariery.

Senior Bermudez patrzył na gwałtowne starania don Manuela o względy Pepy i zdjęła go troska. Widywał już nieraz swego księcia w stanie gwałtownego afektu, ale nigdy jeszcze nie widział go opanowanego taką namiętnością. Trzeba teraz czuwać nad tym, aby nie popełnił jakiegoś głupstwa. Książę bywał czasem zanadto pewny królowej. Prawda, że donia Maria Luiza przymykała już nieraz oczy na jego wybryki, ale nie ścierpi żadnego trwalszego stosunku don Manuela, sprawa zaś z donią Tudó nie zapowiada się bynajmniej na przelotną miłość. Jeżeli donia Maria Luiza wpadnie we wściekłość, nie zna wówczas żadnych granic; gotowa nawet pokrzyżować politykę don Manuela, to jest jego, Miguela, politykę.

Lecz nic chcąc trapić się przedwcześnie, odwrócił oczy od Manuela i Pepy i spojrzął w przeciwną stronę, na żonę swoją, donię Lucię. Jakże była piękna, jaka dama w każdym calu. Co prawda, odkąd znalazł się wśród jego obrazów portret Francisca, wytworność jej urody nie wydawała mu się już tak jednoznaczna jak dawniej. W ciągu długich lat mozolnych studiów wypracował sobie niezmiennie reguły; przestudiował Shaftesbury'ego<sup>1</sup> i zdawał sobie dokładnie sprawę, co należy, a czego nie należy uważać za piękne. Ale teraz granica ta poczęła zacierać się w jego świadomości i obie Lucie, ta namalowana i ta żywa, promieniały jakimś drgającym, migotliwym blaskiem, który budził w nim niepokój.

Kiedy don Manuel wyraził zgodę, aby Pepa odwiedziła go w ujeżdżalni, rozmowa ich przybrała ton bardziej poufny.

<sup>1</sup> Shaftesbury Cooper Antony (1671—1713) — angielski filozof idealista i moralista, który ujmował zagadnienie moralności ze stanowiska estetyki. Poglądy jego wywarły poważny wpływ na teorię sztuki w XVIII i na początku XIX wieku

Opowiadała mu o swoim dzieciństwie, o plantacjach cukru i niewolnikach, opowiadała też o swej znajomości, a raczej przyjaźni z wielką aktorką Tiraną, u której brała lekcje gry scenicznej.

Cudownie musi ona, Pepa, wyglądać na scenie — zapalił się od razu don Manuel; jej dyskretna, a tak wymowna gestykulacja, wyrazista twarz, głęboki głos powiedziały mu od pierwszego wejrzenia, że jest po prostu stworzona na scenę.

— Z pewnością umie pani także śpiewać — oświadczył.

— Śpiewam trochę — potwierdziła skromnie.

— Czy wolno mi będzie kiedyś usłyszeć panią? — prosił.

— Śpiewam tylko dla siebie — odparła, a widząc rozczarowanie na Jego twarzy, dodała swym przeciągłym, leniwym głosem: — Kiedy czynię to dla kogoś, zdaje mi się zawsze, że pozwalam na bardzo wielkie zbliżenie — i spojrzała mu prosto w oczy.

— Kiedy zaśpiewa pani coś dla mnie, donio Pepo? — zapytał cicho, pożądliwie.

Zamiast odpowiedzi zwinęła odmownym gestem wachlarz.

— Czy śpiewała pani kiedy dla don Francisca? — spytał z akcentem zazdrości.

Twarz jej spochmurniała. Widząc to, prosił z żarliwą skrucą:

— Proszę mi wybaczyć, donio Pepo. Nie chciałem sprawić pani przykrości, jest pani chyba o tym przekonana. Ale uwielbiam muzykę. Nie mógłbym kochać kobiety niemuzykalnej. Ja sam też śpiewam trochę. Czy pozwoli pani sobie coś zaśpiewać? — prosił.

Opowiadano w Madrycie, że największą przyjemnością dla królowej doni Marii Luizy jest słuchać śpiewu swego faworyta, że jednak don Manuel każe się długo prosić, zanim spełni jej życzenie, i że na cztery razy trzy razy jej odmawia. Pepa miała więc powód, by czuć się dumną: już przy pierwszym spotkaniu potrafiła uczynić księcia tak powolnym swym życzeniom. Na zewnątrz jednak zachowała minę spokojną i uprzejmą.

— Pomyśl, Lucio — zawołała — księżę chce nam coś zaśpiewać!

Było to dla wszystkich niespodzianką.

Paź przyniósł gitarę. Don Manuel założył nogę na nogę; nastroił gitarę i począł śpiewać. Akompaniował sobie sam i zaśpiewał najpierw starą, sentymentalną romancę o chłopaku, który wylosowany do służby wojskowej, wyrusza na wyprawę wojenną.

Naprzód, naprzód, maszeruje wojsko,

A moja Rosita musi zostać sama,

O, moja Rosito!

< 63 )

Śpiewał niezłe, z uczuciem, głos miał wyszkolony.

— Jeszcze, jeszcze — prosiły damy, zadowolone. Don Manuel zaśpiewał jeszcze kuplet; była to *seguidilla bolera*<sup>1</sup>, ironiczno-sentymentalna piosenka o toreadorze, który doznawszy porażki w cyrku, nie może więcej pokazać się na oczach ludziom, a tym bardziej — bykom. Dwieście piękności madryckich, w ich liczbie *maje*, *petimetry*, nawet dwie księżniczki do niedawna skakały sobie o niego do oczu. Teraz musi być zadowolony, jeśli dziewczyna w jego wsi rodzinnej pozwoli mu leć obok siebie na słomie.

Rozległy się huczne oklaski, don Manuel rad był z powodzenia. Odłożył gitarę.

— Jeszcze, jeszcze! — prosiły damy.

Minister ociągał się, uległ jednak pokusie i oświadczył, że mógłby jeszcze zaśpiewać prawdziwą *tonadillę*<sup>2</sup>, ale do tego potrzebny byłby drugi śpiewak; tu spojrzął na Francisca. Goya, który lubił śpiew, podniecony teraz, być może, winem, zgodził się zaśpiewać *tonadillę*. Księżę i on naradzali się szeptem, próbowali parę razy, uzgodnili z sobą, co trzeba. Poczęli razem śpiewać, grać i tańczyć *tonadillę o* poganiaczu mułów. Poganiacz wymyśla swemu pasażerowi, ale ten ma coraz większe wymagania. Popędza zwierzę i poganiacza, nie chce zsiadać, gdy droga wznosi się w górę, w końcu okazuje się jeszcze sknerą i do umówionej ceny nie chce dołożyć ani jednego *cuarto*<sup>3</sup>. Do kłótni i wymyślań dołącza się głośnie porykiwanie muła, które na przemian don Manuel i Francisco bardzo wiernie naśladowali.

Tak to śpiewali i hasali obaj, z werwą i zapalem, pierwszy minister i nadworny malarz ich katolickich królewskich mości<sup>4</sup>. Obaj wytwornie ubrani wielcy panowie nie tylko grali rolę klnącego poganiacza i kutwy-pasażera, lecz byli nimi naprawdę. Byli nimi w dużo większej mierze niż piastunami godności pierwszego ministra i nadwornego malarza.

Damy przyglądały się widowisku, opat i senior Bermudez rozmawiali szeptem. A kiedy don Manuel i Goya coraz bardziej dawali się porwać zabawie, zamilkli oni, światowcy, i patrzyli zdumieni,

<sup>1</sup> Seguidilla bolera — taniec w rodzaju *bolera*, zawsze przy akompaniamencie śpiewu i gitary.

<sup>2</sup> Tonadilla — krótka komedia z tańcami i pieśniami, często z popularnych oper.

<sup>3</sup> Cuarto — dosł. ćwiartka; tu: drobna moneta miedziana.

\* Tytuł „katolicki” używany był przez królów hiszpańskich od początku XVI w. w odróżnieniu od królów francuskich, którzy od XV w. nazywali się „arcychrześcijańskimi” monarchami.

z lekkim uśmiechem wzgardy na tamtych, świadomi swej inteligencji i wykształcenia. Jakżeż błaznują ci barbarzyńcy, aby spodobać się kobietom, jak głęboko się ponizają, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wreszcie Manuel i Francisco mieli dosyć pieśni i płasów, spoczęli wyczerpani, szczęśliwi.

Wtem, niespodzianie, przemówił milczący dotąd Agustin Esteve.

Hiszpanie gardzili pijaństwem, uważając, że pozbawia ono człowieka jego godności. Don Agustin nie pamiętał, by kiedykolwiek wino przyćmiło mu jasność umysłu. Dziś jednak wypił więcej, niż należało, i zdawał sobie z tego sprawę. Był rozdrażniony na siebie, lecz przede wszystkim na innych. Ci dwaj na przykład; Manuel Godoy, który nosi tytuł księcia de Alcudia i złote świecidełka na brzuchu, i Francisco Goya, który tyle dba o siebie i swoją sztukę co o pomyje, które się do rynsztoka wylewa. Szczęśliwy los wyniósł obu z nizin na najwyższe szczyty powodzenia, rzucił im pod nogi wszystko, czego człowiek może zapragnąć: bogactwo, władzę, zaszczyty, najbardziej pożądania godne kobiety. I zamiast pokornie dziękować za to Opatrzności i losowi, ośmieszają się, ryczą i hasają w dzikich podskokach jak nakłute świny, i to w obliczu najcudniejszej kobiety świata. A on, Agustin, musi stać i patrzeć na to, i pić szampana, którego ma już powyżej uszu. Ale przynajmniej czuje w sobie teraz dosyć odwagi, aby powiedzieć otwarcie temu opatowi, co o nim myśli, i don Miguelowi, temu uczonemu, pergaminowemu osłu, który nawet nie wie, jaki skarb posiada w doni Lucii. Agustin począł rozwodzić się ochryłym głosem nad pustą uczonością pewnych panów. Cóż stąd, że umieją długo i szeroko rozprawiać o Arystotelesie i Winckelmannie, wtrącając greckie i niemieckie cytaty. To nie sztuka, jeśli się miało za młodu dosyć pieniędzy i czasu, aby odbyć wyższe studia i należeć do *colegiales*<sup>1</sup>, nosić modne kołnierzyki, trzewiki ze sprzączkami, a nie jak pewien Agustin Esteve, który jako manteista<sup>2</sup> zapracowywał się, by zarobić lub wyżebrać chudą zupkę na wieczór. Tak, pewni panowie mieli te dwadzieścia tysięcy realów, potrzebne na bankiety i walki byków, i na uzyskanie dyplomu doktorskiego.

— A człowiek taki jak ja — mówił Agustin — który nie zdobył wprawdzie tytułów doktorskich, ale w małym palcu ma więcej wiedzy o sztuce niż wszystkie cztery uniwersytety i cała Akademia z jej doktorami, musi teraz siedzieć tu i chlać aż do obrzydzenia

<sup>1</sup> Colegiales — studenci z wyższych warstw.

<sup>2</sup> Manteista — ubogi student, noszący zwykle sutannę i płaszcz duchowny, *manteo*.

tęgo szampana, i malować konie pod tyłkami pobitych generałów. — Kieliszek Agustina przewrócił się, a on sam ciężko dysząc opadł bezwładnie na stół.

Ale opat rzekł życzliwie:

— Tak, teraz i nasz don Agustin odśpiewał swoją *tonadillę*. Don Manuel okazał również pobłażanie dla chudego pomocnika swego przybocznego malarza.

— Pijany jak szwajcar — rzekł dobrodusznie.

Żołnierze gwardii szwajcarskiej znani byli z tego, że wieczorami, po skończonej służbie, z pijanym wrzaskiem przeciągali ulicami miasta, krocząc w długich szeregach, ramię w ramię, i zaczepiając wystraszonych przechodniów. Don Manuel z zadowoleniem stwierdził różnicę pomiędzy ciężkim, zgryźliwym, ponurym opilstwem Agustina a swym własnym podchmieleniem, które było lekkie, dobroduszne i wesołe. Przysiadł się do Goyi, aby pijąc dalej, otworzyć swe serce przed malarzem, mądrym, starszym, wyrozumiałym przyjacielem.

Don Miguel zajął się Pepą. Przewidując, że Pepa na jakiś czas zdobędzie wpływ na księcia, uważał za słuszne zaskarżyć sobie jej przyjaźń w interesie Hiszpanii i postępu.

Don Diego usiadł obok doni Lucii; sądził, że zna ludzi, że zna donię Lucię. Ta kobieta wiele przeżyła, osiągnęła swój cel, była pewnie zblazowana; pozyskać ją nie wydawało się rzeczą łatwą. Ale don Diego, który był naukowcem, filozofem, teoretykiem, obmyślił własny system, własną strategię. Jeżeli donia Lucia okazuje czasem nieuchwytną, niezrozumiałą ironię zamiast oczekiwanej pogody i zadowolenia, to chyba dlatego, że jest świadoma swego pochodzenia i z tego pochodzenia dumna. Nie zapomniała, że wyszła z nizin, z ludu, że była kiedyś *maja*, i na tym właśnie polegała jej siła. *Majowie* i *maje* Madrytu nie uznawali niczyjej wyższości, uważali się za Hiszpanów równie czystej krwi co grandowie, a może i czystszej. Według opata, ta wielka dama, Lucia Bermudez, była w głębi duszy rewolucjonistką, która mogłaby odegrać swą rolę w Paryżu, i na tym założeniu oparł swój plan.

Nie wiedział, czy don Miguel rozmawia z nią o sprawach państwowych, nie wiedział nawet, czy ją te sprawy interesują. Ale mówił do niej tak, jakby to ona ze swej estrady, ze swego salonu kierowała losami Hiszpanii. Pierwsze nieśmiałe próby zmierzające do zawarcia pokoju miały niewiele powodzenia; Paryż wciąż jeszcze okazuje nieufność. Czy nie byłoby możliwe, aby duchowny, dobrze widziany przez kierownicze sfery inkwizycji, i wytworna dama, której

salon jest jednym z pierwszych w Europie, w sposób mniej oficjalny niż dworscy dyplomaci, a właśnie dlatego skuteczniejszy, popierali w Paryżu interesy Hiszpanii? Don Diego napomknął przy tym, że posiada w Paryżu wpływy i możliwość zbliżenia się do osób, do których inni nie mają na ogół przystępu. Bardzo ostrożnie, wplatając liczne komplementy — prosił ją o radę i zaproponował w końcu, by zawarła z nim przymierze. Mądra Lucia zmiarkowała, że właściwe cele opata nie leżą w dziedzinie polityki. Mimo to zaufanie okazane jej przez tego wykształconego i nieprzeniknionego człowieka oraz niełatwa, delikatna rola, którą jej wyznaczał, pochlebiły rozpieszczonej damie. Po raz pierwszy jej nieco skośne, pełne wyrazu oczy spojrzały na niego z poważnym zainteresowaniem.

Wkrótce jednak poczęła skarżyć się na zmęczenie: było późno, a potrzebowała wiele snu. Pożegnała się zabierając ze sobą Pepę, która też już chciała odpocząć.

Don Manuel i Goya zostali. Nie zwracali nawet uwagi na to, co się wokół nich dzieje; pili, wyłącznie sobą zajęci.

— Jestem twoim przyjacielem, Francho — zapewniał księżę malarza — przyjacielem i opiekunem. My, grandowie hiszpańscy, zawsze byliśmy opiekunami sztuk, a i mnie nie brak zrozumienia dla sztuki. Słyszałeś, jak śpiewam. Dobraliśmy się, ty i ja, malarz i mąż stanu. Ty pochodzisz z chłopów, prawda, z Aragonii? Poznać to po twojej wymowie. Moja matka była szlachcianką, ale między nami mówiąc, ja też pochodzę z chłopów. Zrobiłem się wielkim i ciebie zrobię wielkim, mój Francho, z całą pewnością. Jesteśmy mężczyznami, ty i ja. Nie ma już wielu mężczyzn w tym kraju, „Hiszpania rodzi wielkich ludzi, ale szybko ich zużywa.” Tak mówi przysłowie i tak jest naprawdę. To przez te nieustanne wojny, które mało kogo oszczędziły. Otóż ty i ja pozostaliśmy przy życiu. I dlatego biją się o nas kobiety. Grandów jest przy dworze stu dziewiętnastu, mężczyzn jest tylko dwóch. Ojciec mówił o mnie zawsze: „Manuel, mój byczek.” Nazywał mnie byczkiem i miał słuszość. Ale nie znalazł się jeszcze toreador na tego byka — musi się dopiero urodzić. Powiem ci coś, don Francisco, mój Francho: trzeba mieć szczęście. Trzeba je mieć, ono nie przychodzi na zawołanie. Szczęście jest taką samą właściwością człowieka jak nos, jak noga, jak tyłek i jak wszystko inne; albo się je ma, albo się go nie ma. Czuję dla ciebie sympatię, Francho. Potrafię się też odwdziżyć, a tobie szczególnie winienem wdzięczność. Mam z natury niezłe oko, ale dopiero ty mnie nauczyłeś patrzeć, jak należy. Kto wie, czy *viudita* przeszłaby mi przez drogę, gdyby nie twój portret. Kto wie, czy bez twego



obrazu poznałbym boginię w tej kobiecie. Gdzie ona teraz jest? Zdaje się, że jej tu nie ma. Nie szkodzi, wróci pewnie za chwilę. Mnie szczęście nie opuszcza. Powiadam ci, ona mi się udała, ta seniora Josefa Tudó. Ona jest po prostu dla mnie stworzona. Ale ty to sam wiesz, nie potrzebuję ci tego mówić. Mądra jest, inteligentna, mówi po francusku. Mało tego, jest artystką, przyjaciółką Tirany. I nie popisuje się swoimi zaletami, jest powściągliwa, dyskretna, dama, jakich niewiele znajdziesz. Czy jest muzykalna, o tym może przekonać się tylko ten, kogo ona całkiem blisko do siebie dopuści. Ale przyjdzie taki dzień albo raczej taka noc, kiedy będzie mi wolno przekonać się o tym. Już nawet nadeszła, nie sądzisz?

Goya słuchał z rozterką w sercu, nie bez wzgardy, ale i nie bez sympatii dla tego pijanego człowieka. Wszystko, co wylewał teraz z siebie, odsłaniało niewątpliwie jego prawdziwą istotę. Manuel był co prawda nietrzeźwy, ale miał widocznie do niego, Goyi, zaufanie, uważał go za przyjaciela i był jego przyjacielem. Dziwne, jak wszystkie sprawy są z sobą wzajemnie powiązane. Chciał uzyskać odwołanie Jovellanos, przemógł się i poświęcił Pepe; a teraz don Manuel, najpotężniejszy człowiek w Hiszpanii, jest jego przyjacielem. I niepotrzebne mu jest poparcie tego nadętego pedanta Bayeu, brata żony; dzięki bliskim stosunkom z księciem zostanie teraz na pewno wbrew wszelkim oporom pierwszym malarzem króla. Co prawda, nie należy wyzywać losu i to, co mówił tu don Manuel o szczęściu jako o właściwości człowieka, graniczy z zuchwalstwem. Ale on, Francisco, nie jest zuchwały. Świadom jest istnienia ciemnych mocy czyhających na każdego człowieka. Przeżegnał się szybko w duchu i przypomniał sobie stare przysłowie: „Szczęście ma szybkie nogi, ale nieszczęście ma skrzydła.” Niejedno może się jeszcze zdarzyć, zanim zostanie pierwszym malarzem króla! Ale don Manuel z pewnością miał co do tego słusność: dobrali się, obydwaj są mężczyznami. Toteż na przekór ponurym mocom pewny jest swej sprawy. Gdyż dzisiaj w jednym tylko upatruje swe szczęście i nie jest nim bynajmniej dyplom z królewską pieczęcią; jest nim coś, co ma blado-smagłą owalną twarz i wąskie, pulchne, dziecięce ręce, coś, co jest *chatoyant*, co mieni się jak drogi kamień „kocie oko”. A chociaż dała mu nieskończenie długo czekać, to jednak w końcu przecież zaprosiła go do Moncloa, do pałacu Buenavista, i to własnoręcznym pismem.

Don Manuel gadał coś jeszcze, ale przerwał nagle w środku zdania. Pepa, z twarzą świeżo uszmkowaną, zjawiała się znowu w salonie.

Świece dopalały się, mdła woń zwietrzałego wina unosiła się w powietrzu; śmiertelnie znużony paż siedział drzemiąc na stolku. Agustin, z zamkniętymi oczyma, chrapał na stole z głową w ramionach. Także don Miguel wydawał się znużony. Tylko Pepa siedziała spokojna jak zawsze, promieniejąca świeżością swego ciała.

Senior Bermudez począł zapalać nowe świece. Don Manuel jednak, nagle uderzająco trzeźwy, powstrzymał go od tego.

— Ależ nie, don Miguelu! — zawołał. — Niechże się pan nie trudzi. Nawet najpiękniejszy wieczór musi się skończyć.

Zadziwiająco pewnym i szybkim krokiem podszedł do Pepy i skłonił się przed nią głęboko.

— Czy robi mi pani ten zaszczyt, donio Josefo — rzekł z galanterią — i pozwoli odwieźć się do domu?

Pepa, bawiąc się wachlarzem, objęła księcia przyjaznym i spokojnym spojrzeniem swych zielonych oczu.

— Dziękuję — rzekła i skinęła głową.

Don Manuel i Pepa wyszli mijając don Francisca. W przedsionku czekała na Pepę skulona, zaspana duenia. Z uśmiechem obudziła ją Pepa, *sereno* zerwał się z miejsca. Rozległ się tętent kopyt końskich i świetny ekwipaż don Manuela zajechał przed bramę. Lokaj w czerwonych pończochach z rozmachem otworzył drzwiczki powozu. Grzmiąc i dudniąc powóz unosił Manuela i Pepę do domu tonącymi w nocnym mroku ulicami Madrytu.

## X

Kiedy w kilka dni później Goya, bez wielkiego zresztą zapału, pracował nad portretem don Manuela, zjawił się u niego gość nieoczekiwany: don Gaspar Jovellanos. Minister dotrzymał widać bez zwłoki danego przyrzeczenia.

Chuda twarz Agustina mieniła się od zmieszania, radości i podziwu, gdy ujrzał uwielbianego męża stanu wchodzącego do pracowni. Goya sam był zmieszany i jakby zawstydzony, ale i dumny, że znakomity mąż zaraz po swym powrocie przyszedł do niego, by mu złożyć podziękowanie.

— Mogę powiedzieć — oświadczył don Gaspar — że ani na chwilę nie wątpiłem o tym, iż przeciwnicy moi będą w końcu zmuszeni odwołać mnie z wygnania. Postęp jest silniejszy od tyrańskiej

woli niegodziwych jednostek. Ale bez pana interwencji, don Francisco, czekałbym zapewne o wiele dłużej. Niemąła to satysfakcja i pociecha, że przyjaciele umieją zdobyć się na odważne słowo, gdy wymaga tego dobro ojczyzny. A już podwójnie jest pocieszające, gdy te śmiałe słowa wypowiada człowiek, po którym, otwarcie mówiąc, nie można było tego oczekiwać. Niech pan przyjmie moje podziękowanie, don Francisco. — Przemawiał z godnością; jego surowa, pomarszczona, koścista twarz była ponura. Skończywszy, skłonił się przed Goyą.

Goya wiedział, że w kołach liberałów używa się wielkich słów; sam jednak nie lubił patetycznego tonu i kunsztowne zdania znakomitego gościa wprawiły go w zakłopotanie; odpowiedział coś półgębkiem. Potem, z większym już ożywieniem, zauważył, że don Gaspar wygląda nad podziw zdrowo i krzepko.

— Tak — rzekł z zawziętością Jovellanos — ci, którym się wydawało, że smutek i zgryzota strawią mnie na wygnaniu, mocno się pomylili. Kocham góry. Chodziłem i wspinałem się po nich, polowałem, kontynuowałem w spokoju swoje studia i jak pan słusznie zauważył, wyszło mi to na zdrowie.

— Podobno — rzekł Agustin tonem pełnym szacunku — napisał pan w tym okresie odpoczynku kilka świetnych książek.

— Miałem dużo wolnego czasu — odparł Jovellanos — i przelałem niektóre ze swych idei na papier. Są to rozprawy z dziedziny filozofii i ekonomii politycznej. Bliscy przyjaciele uważali, że rękopisy moje warte są tego, by je przemycić do Holandii. Ale do Madrytu przedostało się zapewne bardzo niewiele z nich, a może nawet i żaden.

— Wydaje mi się, że pan się myli, don Gaspar — rzekł Agustin ochryłym i entuzjastycznym głosem. — Znam na przykład pewien rękopis, niezbyt obszerny, ale dużej wagi; tytuł jego brzmi: *Chleb i walki byków*. Jako autor manuskryptu figuruje niejaki don Candido Nosedal. Ale kto przeczytał choćby jedną książkę Jovellanosa, ten wie — kim jest ów Nosedal. Tak pisze tylko jeden człowiek w Hiszpanii.

Sucha, poorana zmarszczkami twarz Jovellanosa pokryła się rumieńcem.

Agustin wpadł w zapał.

— Inkwizycja — mówił — ściagała to dzieło i kto dał się złapać przy jego czytaniu, niedobrze na tym wyszedł. Ale nasi *madrileni*<sup>1</sup> nie dali się odstraszyć i rękopis, ciągle na nowo przepisywany,

<sup>1</sup> Madrileni — mieszkańcy Madrytu.

( 70 >

przechodził z ręki do ręki; bardzo wielu umie go już na pamięć.

I począł cytować z pamięci: „Madryt ma więcej kościołów i kaplic niż domów mieszkalnych, więcej księży i mnichów niż ludzi świeckich. Na każdym rogu ulicy ofiarowują ci na sprzedaż fałszywe relikwie i opisy zełganych cudów. Religia polega już tylko na pozbawionych treści formach zewnętrznych, wśród niezliczonych bractw religijnych wymarło prawdziwe braterstwo. W każdym zakątku zmurszałej, podupadłej, ciemnej, zabobonnej Hiszpanii wisi pociemniały od brudu obraz Madonny. Chodzimy co miesiąc do spowiedzi, ale trwamy w występkach przez całe życie, do kresu dni naszych. Żaden poganin nie jest tak barbarzyński i występny jak my, hiszpańscy chrześcijanie. Boimy się tylko więzień inkwizycji, ale nie lękamy się Sądu Ostatecznego!”

— Don Candido Nocedal ma zupełną rację — rzekł z powściągliwym uśmiechem Jovellanos.

Francisco jednak słuchał tych grzmiących zdań z niechęcią i obawą; zły był na Agustina, że wygłasza je pod jego dachem. Goya nie żywił szacunku dla Kościoła i jego władz; ale słowa tak zuchwale i bluźniercze były niebezpieczne, mogły sprowadzić mu na kark inkwizycję. A przy tym było to jakby wyzywanie losu. Spojrzał na statwę Dziewicy z Atocha i przeżegnał się.

Ale uwagi malarza nie mogła ujść zmiana, jaka dokonała się nagle w Jovellanosie. Surowa jego twarz złagodniała; bawił go widocznie humor tej sytuacji: ktoś przytacza mu jego własne słowa, które pod obcym nazwiskiem przemycił ze swego wygnania do Madrytu. Goya rozumiał, co dzieje się teraz w duszy Jovellanosa pod sztywną maską jego rysów, i wiedział, jak powinien go namalować: jako człowieka wielkiego, mimo jego dziwactw i oschłości.

Jovellanos zaczął niemal wesoło rozwódzić się nad wspomnieniami ze swej przeszłości politycznej. Opisywał chytre wybiegi, które stosował kiedyś, aby przeforsować niektóre postępowe zarządzenia. Tak na przykład udało mu się wprowadzić w życie zarządzenie, żeby mieszkańcy Madrytu nie wyrzucali śmieci i brudów wprost na ulicę. Na to przeciwnicy jego przedstawili opinie lekarskie, że rzadkie powietrze Madrytu, nie zagęszczone wylizwaniami nieczystości, spowoduje niebezpieczne choroby. On jednak, Jovellanos, przeciwstawił tym opiniom orzeczenie innych powag lekarskich: powietrze stolicy jest wprawdzie w istocie zbyt rzadkie, ale uruchomione przez niego miejskie przedsiębiorstwa przemysłowe zagęszczają je dostatecznie dymem i sadzą.

Niebawem jednak rozwiął się pogodny nastrój don Gaspara: począł miotać gwałtowne, coraz bardziej namiętne oskarżenia przeciwko obecnemu systemowi rządów.

— Udało się nam w swoim czasie — mówił zapalczywie — przez zmniejszenie podatków osiągnąć podniesienie stopy życiowej niższych klas społecznych. Uzyskaliśmy przynajmniej tyle, że co ósme dziecko mogło chodzić do szkoły, a gdy z Ameryki przybijały do nas naładowane złotem okręty, mogliśmy nawet odkładać niewielkie sumy. Obecny rząd znowu wszystko to roztrwonił. Nasi panowie i nasze damy nie pojęli widocznie, że rozrzutność Marii Antoniny była jedną z głównych przyczyn rewolucji. Ich marnotrawstwo jest jeszcze bardziej szalone. Trzymają sobie faworytów, angielskie i arabskie konie zamiast wzmacniać nasze armie. Myśmy dźwigali oświatę i dobrobyt kraju, oni sieją ciemnotę i nędzę. Toteż zbierają teraz klęski i spustoszenie. Za naszych rządów barwami Hiszpanii były: żółta i czerwona, pod ich panowaniem zmieniły się one w złotą i krwawą.

Wywody Jovellanosa wydały się Franciscowi karykaturalną przesadą. Miał zapewne rację, jeśli chodziło o szczegóły, ale nienawiść wypaczała i fałszowała całość obrazu, i jeśli Goya miałby go w tym momencie malować, to zrobiłby z niego jedynie ponurego, ciasnego fanatyka. Jednakże ten Gaspar Jovellanos był niewątpliwie jednym z najświetlejszych i najsprawiedliwszych mężów w kraju. Trudno, kto się polityką para, musi być przesadny, bądź w tę, bądź w drugą stronę. Goya był rad, że sam nie ma z polityką nic wspólnego.

Przez cały czas Jovellanos rzucał posępne spojrzenia na portret don Manuela. Podniósł teraz palec i oskarżycielskim gestem groził księciu, który na pół wykończony, spoglądał nań wyniośle z ram płótna.

— Gdyby ten pan i jego dama — pienił się — nie trwonili pieniędzy jak szaleni, byłoby więcej środków na szkoły. Ale oni nie chcą szkół. Popierają ciemnotę, aby lud nie mógł poznać, gdzie leży przyczyna jego cierpień. Jak się to dzieje, że uboga Francja walczy zwycięsko z całym światem? Powiem wam, moi panowie, oto dlatego, że naród francuski wstąpił na drogę rozumu i cnoty, dlatego, że ma ustalone zasady. A co my mamy? Króla bez mózgu, królową, dla której najważniejsze są zachcianki jej podbrzusza, i pierwszego ministra, którego jedynym dowodem sprawności i umiejętności są tęgie lędźwie.

Francisco był oburzony. Prawda, że Karol IV nie jest zbyt

mądry, że donia Maria Luiza jest kobietą kapryśną i zmysłową; ale król jest ożywiony dobrymi chęciami i nie pozbawiony godności, królowa diabelnie mądra i czyż nie obdarzyła kraju licznymi infantami i infantkami? Co się tyczy don Manuela, to z tym człowiekiem zawsze można dojść do ładu, jeśli go się tylko niepotrzebnie nie drażni. W każdym razie on, Francisco, rad jest, że te wysokie osobistości zaszczycą go swą przyjaźnią. Jest przekonany, że władza królewska wywodzi się z łaski bożej, i jeśli Jovellanos naprawdę wierzy w to wszystko, co tu nagadał, to nie jest prawdziwym Hiszpanem i powinien się raczej wynieść do Francji, do tego kraju bezbożników i buntowników.

Ale Goya opanował się i zapytał tylko:

— Czy nie jest pan trochę niesprawiedliwy wobec księcia, don Gasparze?

— Trochę? — odpowiedział pytaniem Jovellanos. — Nawet bardzo, zdaje mi się, bardzo. Nie chcę wcale być sprawiedliwy względem tego łobuza. Że był on kiedyś niesprawiedliwy w stosunku do mnie, to z wszystkich jego łotrstw jest tym, które najmniej biorę mu za złe. Polityki nie robi się sprawiedliwością. Cnota nie jest identyczna ze sprawiedliwością. Cnota wymaga od nas, abyśmy nieraz byli niesprawiedliwi.

Francisco rzekł głosem łagodnym, kosztując ironię swej dwuznacznej sytuacji.

— Ostatecznie jednak don Manuel zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby naprawić zło, które panu wyrządził. Jakież inny powód mógł go skłonić do tego, aby pana odwołać z wygnania?

Jovellanos patrząc z gniewem na nie dokończony portret odpowiedział:

— To, że temu człowiekowi winienem wdzięczność, spędza mi sen z powiek.

I w jednym z tych nagłych zwrotów, które sprawiały, że wiele ludzi wybaczało mu to, co w nim było surowego, twardego, kanciastego, odpychającego, mówił dalej:

— Ale nie mówmy o tym więcej, mówmy lepiej o sztuce, o pańskiej sztuce. Zaciągnąłem względem pana dług wdzięczności, don Francisco, i gdy pomyślę o pana talencie, rad jestem z tego. Mówiono mi, że należy pan teraz do największych portrecistów w kraju.

Twarz don Gaspara promieniała uprzejmością i przychylnością, gdy wymawiał te słowa, i Goya był nimi szczerze uradowany.

Ale nie na długo. Gdyż już w następnej chwili don Gaspar stał się znowu nieznośny i dodał do swej pochwały komentarz:

— Słyszałem, że niektóre rzeczy pana dorównują obrazom Bayeu i Maelli.

Nawet Agustin wzdrygnął się na te słowa.

Jovellanos chodził po pracowni i oglądał obrazy i studia Goyi z powagą, dokładnie, długo, w milczeniu.

— Winienem panu wdzięczność, don Francisco — powiedział na koniec — i właśnie dlatego winien panu jestem szczerą. Pan umie dużo, może nie mniej niż Bayeu i Maella, a może nawet więcej od nich. Ale zanadto pan eksperymentuje z wielkimi, tradycyjnymi prawdami. Igra pan z barwą, zaciera pan linię. I przez to wypacza pan swój talent. Niech pan bierze przykład z Jacques Louis Davida. Przydałby się nam tu, w Madrycie, malarz jego pokroju. Dla sztuki Jacques Louis Davida bodźcem do malowania byłby widok naszego dworu i jego zgnilizny. Nie malowałby wytwornych światowych dam, lecz gniew Zeusa ciskającego gromy.

„Stary dureń — pomyślał Francisco. — Dobrze mówi przysłowie:

«Biada ludzkiemu rozumowi, gdy gniew nim owładnie»." I nie ukrywając ironii powiedział na głos:

— Czy życzy pan sobie, don Gaspar, abym namalował pański portret?

Przez chwilę zdawało się, że Jovellanos wybuchnie. Ale pohamował się i odpowiedział niemal uprzejmie:

— Szkoda, że pan nie bierze poważnie mojej krytyki, don Francisco, bo ja biorę ją poważnie. Poza polityką nic nie jest bliższe memu sercu aniżeli sztuka. Talent artysty w połączeniu z polityczną namiętnością może doprowadzić do najwyższych wzlotów, jakie człowiek zdolny jest osiągnąć. Taki Jacques Louis David przydałby się naszemu krajowi w niemniejszym stopniu niż na przykład Mirabeau.

Po wyjściu Jovellanosa Francisco wzruszył zrazu ramionami; wkrótce jednak wezbrała w nim ponownie fala niechęci, że musiał wysłuchać w milczeniu mentorskich bredni tego moralisty.

— Powinien był siedzieć w tych górach, zasłużył sobie na to — wybuchnął i zwrócił się do Agustina: — Ty jesteś temu winien. Wytrzeszczyłeś na mnie wtedy te twoje głupie, fanatyczne, pełne wyrzutu gały, a ja byłem durniem, że się zgodziłem. A teraz kto wie, kiedy się pozbędę tego zasuszonego pedanta. Paleta mi wysycha, gdy na nią patrzy.

Tego już Agustin nie mógł pominąć milczeniem.

— Niech pan nie opowiada byle czego — rzekł tonem mrukliwym i wyzywającym. — Oczywiście, to nonsens, co don Gaspar mówił o panu i Davidzie. Ale że żąda upolitycznienia sztuki, teraz, dzisiaj, w Hiszpanii, to zupełnie słuszne. Pan powinien to sobie zapamiętać.

Oczekiwał, że Goya zacznie krzyżeć. Ale Goya, głosem raczej znizonym, lecz pełnym jadowitego szyderstwa, odpowiedział:

— I to prawi mi ktoś, kto w chwili natchnienia potrafi najwyżej nasmarować koński tyłek. Może mi powiesz, jaki związek z polityką mają twoje końskie zady? Hiszpański David? Co za niesłychana bzdura. Hiszpańskim Davidem możesz ty sam zostać, don Agustin Esteve! Na to wystarczy twego talentu.

Agustin wysunął swą guzowatą czaszkę ku przodowi, w jego ponurym głosie zadźwięczała nuta twardego uporu:

— Niech mnie pan posłucha, don Francisco, posłuchaj mnie, Francho, posłuchaj mnie, nadworny malarzu i członku Akademii! Don Gaspar ma po tysiąc razy słuszność, choćbyś się nie wiem jak krzywił i złościł. Twoje malowidła to bohomyzy, don Francisco Goya, mimo twego talentu, a w moich końskich zadach jest więcej sensu i polityki niż w lubieżnych gębach twoich wielkich dam. I dopóki będziesz neutralnym tchórzem, dopóki nie będziesz miał własnych przekonań lub krył się z nimi, dopóty całe twoje malarstwo pozostanie śmieciem i gównem.

Wskazał na portret don Manuela.

— Masz odwagę patrzeć na to? Wstyd i hańba. *Que verguenza!* 1/ Paskudzisz to już od tygodnia i nic z tego nie wychodzi. Ty sam dobrze to widzisz. Dobierasz najcudowniejsze kolory, robisz prześliczny mundur i ordery, a twarz jest pusta. To jest nafajdane, a nie namalowane. A dlaczego? Dlatego że się wdzięczysz do tego swojego don Manuela. A tymczasem twój don Manuel jest zrobiony z tego samego drzewa co i ty. Jest dumny i próżny i trzęsie się, by nie stracić nic ze swej popularności. I dlatego nie masz odwagi namalować go takim, jakim jest naprawdę. Lękasz się prawdy, jego prawdy i swojej własnej prawdy. Srać tylko umiesz, i tyle!

Tego było Goyi za wiele. Z pochyloną naprzód, okrągłą, chłopską, lwią głową szedł wprost na Agustina. Zacisnąwszy mocne pięści zatrzymał się blisko niego, tuż przed nim.

— Stul pysk, nędzny błaznie! — rozkazał groźnym, cichym głosem.

1/ Co za wstyd!



— Ani mi się śni — rzekł Agustin. — Gryzmolisz i smarujesz tu po dziesięć godzin dziennie i dumny jesteś ze swej pracowitości i z tych kilkuset obrazów. A ja ci powiadam, że jesteś leniwy, lekkomyślny, niechlujny. Wykręcasz się, jak możesz, jesteś tchórzem, niegodnym swego talentu. Namalowałeś tę donię Lucię, znalazłeś swoje nowe światło, swoje nowe powietrze. I cóżeś z tym zrobił? Zamiast się skupić, zamiast opracować tę nowość, aby przyswoić ją sobie na zawsze, zdajesz się znowu na swoją rękę i smarujesz byle jak, starym, utartym sposobem.

— Stulisz nareszcie pysk, ty psie! — huknął Goya tak groźnie, że każdy byłby cofnął się przed nim.

Ale Agustin nie uczynił tego. Widział, jak ciężko Goya oddycha, wiedział, że wściekły wróg-przyjaciel ulegnie za chwilę atakowi głuchoty, i podniósł głos.

— Twemu Manuelowi — krzyczał — pewnie spodoba się to gówno! Ale to nie jest nic innego jak gówno, efektowne gówno, a więc podwójne gówno. I ty sam dobrze wiesz o tym. Dlaczego tak marnie pracujesz? Bo jesteś śmierzący leń. Bo nie chcesz się skupić. Bo jesteś niewolnikiem swych chuci i nie umiesz się skupić. Wstydź się! *Que verguenza!* Bo czekasz na kobietę, która nie powiedziała ci od razu „tak” i która prawdopodobnie nie jest warta, byś na nią czekał.

Ostatnie słowa, które Goya jeszcze usłyszał, były: *Que verguenza!* Potem purpurowy obłok wściekłości ogarnął mu głowę, wdarł do mózgu, do uszu i nagle Goya przestał słyszeć.

— Precz! — ryczał. — Wynoś się do swego Jovellanosa! Możesz go sobie malować, jeśli chcesz! Namaluj go tak, jak twój David namalował Marata, w wannie, zamordowanego! Precz stąd, mówię! Wynoś się! I to raz na zawsze!

Francisco nie słyszał już odpowiedzi Agustina, widział tylko jego poruszające się wargi. Chciał rzucić się na niego. Ale wtedy Agustin wyszedł. Spiesznym, niezgrabnym, sztywnym krokiem opuścił pracownię.

Francisco, ogłuszony, odurzony, został sam na sam ze swoim nie dokończonym portretem Manuela. „*Que verguenza!*” — mówił sam do siebie, i raz, i drugi powtórzył jeszcze: „*Que verguenza, que verguenza!*” Potem zerwał się i wybiegł szybko za Agustinem, wołając głośno, krzyżąc; nie mógł bowiem ocenić siły swego głosu nie słysząc własnych słów.

— Wróć, zostań, ośle jeden! Pozwól mi przynajmniej skończyć

to, co mówiłem! Taki jesteś zawsze! Rzucasz mi w twarz podle grubiaństwa, a kiedy ci odpowiadam, obrażasz się jak podstarzała ciotka-infantka!

## XI

Spośród stu dziewiętnastu grandów Hiszpanii Goya sportretował już blisko połowę. Poznał przy tym ich słabostki, ich drobne ludzkie przywary i obracał się wśród nich jak wśród równych sobie. Mimo to dziś, gdy jechał do Moncloa, do księżny Alba, odczuwał lęk i nieśmiałość, podobnie jak niegdyś, gdy jako mały chłopak miał pierwszy raz stanąć przed obliczem hrabiego de Fuendetodos, wszechmocnego pana dzierzawionej przez ojca ziemi.

Pokpiwał sam z siebie. Czego się właściwie lęka i czego oczekuje? Jedzie do kobiety, która dała mu wyraźnie poznać swą przychyłność, nie okłamywała go na pewno. Ale dlaczego milczała tak długo?

Co prawda, była w ciągu ostatnich tygodni bardzo zajęta. Słyszał o niej w tym czasie dość często, miasto interesowało się każdym krokiem Alby. Gdziekolwiek się znalazł, mógł się spodziewać, że prędzej czy później padnie jej nazwisko; obawiał się tego i tęsknił za tym jednocześnie.

Goya wiedział, że nazwisko tej kobiety wywołuje równie duże wrażenie w knajpach odwiedzanych przez *majów* i *maje* jak w salonach grandów. Ludzie lżyli ją, spotwarzali, opowiadali sobie o niej niestworzone rzeczy, a jednocześnie zachwycali się tym, że prawnuczka najkrwawszego w dziejach Hiszpanii męża, marszałka Alby, była tak piękna i tak dziecinna, tak dumna i tak kapryśnie rozigrana. Czasami wszczyniała rozmowy z ulicznikami o najbliższych walkach byków, kiedy indziej znów z wyniosłą miną udawała, że nie dostrzega składanych jej ukłonów. Czasem ostentacyjnie objawiała przychyłność dla francuskiej kultury i obyczajów, to znowu, niby prawdziwa *maja*, akcentowała swe przywiązanie do zwyczajów rdzennie hiszpańskich. A przy tym ciągle szukała waśni i konfliktów z królową, z tą Włoszką, z cudzoziemką.

Cayetana Alba prowadziła tryb życia nie mniej dumny i ekstrawagancki niż królowa; miewała równie kosztowne zachcianki i nie była też zapewne dużo od tamtej cnotliwsza. Jednakże kiedy toreador Costillares poświęcił królowej swego byka, na widowni panowała cisza, a gdy go poświęcił Albie, cała arena szalała z radości.

Była to zuchwałość ze strony Cayetany, że właśnie teraz budowała swój nowy zamek, gdy w związku z toczącą się wojną wymagano od kraju najcięższych wyrzeczeń. Czy rozrzutność, z jaką Maria Antonina zbudowała swój Trianon, nie była jedną z przyczyn, które zaprowadziły ją na szafot? Mimo to z nieulętkłym uśmiechem i właściwą księżetom Alba dumą donia Cayetana kontynuowała igraszki Marii Antoniny, rozpoczynając w tym miejscu, w którym tamta zmuszona była je przerwać. I niewielu, nie wyłączając Francisca, umiałoby powiedzieć, czy ją za to podziwiają, czy nienawidzą. Taki już osobliwy był stosunek mieszkańców Madrytu do Alby: byli zgorszeni, drwili z niej, ale ją kochali.

Pałac był niewielki; Cayetana zaprosiła tylko najbliższych przyjaciół i najwyższych spośród grandów. Że do tego grona zaliczyła i jego, Francisca, napełniało go dumą i radością. Ale była to kobieta tak nieobliczalna jak pogoda na rok przyszły; a nuż zapomniała już o tym, że go zaprosiła? Jak też go przyjmie? Czy będzie miała w rękę jego wachlarz? I co powie mu tym wachlarzem? Czy będzie go nazywała Goyą, czy don Franciskiem, czy po prostu Franciskiem?

Powóz Goyi minął żelazną bramę ogrodzenia pałacu Buenavista i począł wspinać się podjazdem w górę. Surowa fasada frontowa, utrzymana w *estilo desornamentado* Herrery<sup>1</sup>, pozbawiona wszelkich zbędnych ozdób, wznosiła się z jakąś nieskończone wyniosłą pychą. Przez otwartą dwuskrzydłową bramę widać było szlachetny łuk wewnętrznych schodów, z górnego zaś podestu spoglądał dumnie ponad głowami przechodzących duży portret jednego z dawnych przodków księżny. Goya nie mógł oprzeć się uczuciu jakiegoś dławiącego niepokoju, który opanował go przed nazwiskiem Alba, tym pierwszym nazwiskiem w Hiszpanii, które było starsze, sławniejsze, dumniejsze od nazwiska Burbonów. Pod tym wrażeniem wstępował, poprzedzany przez ochmistrza dworu, po wspaniałych schodach między podwójnym szpalerem lokajów, strojem dworski, w duchu na wskroś chłopski. Słyszał, jak z ust do ust podawali sobie jego nazwisko cichym, znaczącym szeptem: „Senior de Goya, malarz króla”, aż wreszcie szwajcar stojący przy drzwiach wchodowych zameldował donośnym głosem:

— Senior de Goya, malarz jego królewskiej mości.

<sup>1</sup> H e r r e r a Jan (ok. 1530—1597) — architekt hiszpański, uczeń Jana Baptisty de Toledo, z którym pracował przy budowie Eskurialu. Jego *estilo desornamentado* — styl pozbawiony ozdób — zwano również w Hiszpanii stylem grecko-romańskim.

Ale ten wstępujący po schodach z godnością, choć w duszy onieśmielony senior de Goya spostrzegł ku swemu zdumieniu, że wewnątrz pałacu pozostaje w jaskrawej, jakby szyderczej sprzeczności z klasycznie surową architekturą zewnętrzną. Tu bowiem wszystko tchnęło pogodą i przepychem, w stylu stworzonym o całe pokolenie wcześniej przez dwór francuski, dwór Ludwika XV i pani Dubarry. Czyżby właścicielka tego pałacu pragnęła pokazać, że była równocześnie dziedziczką najdumniejszego i najgroźniejszego nazwiska Hiszpanii i zwolenniczką dworskich obyczajów i kultury obalonej arystokracji francuskiej?

Na ścianach pałacu natomiast rozwiesiła Alba malowidła zupełnie różne od tych, które zdobiły podobne zamki szlachty francuskiej: nie było tam bowiem obrazów Bouchera<sup>1</sup> ani Watteau<sup>2</sup>, ani gobelinów w rodzaju tych, które projektował Goya lub jego szwagier Bayeu. Wisiały tu wyłącznie płótna starych wielkich mistrzów hiszpańskich, między nimi pociemniały portret jakiegoś srogiego granda pędzla Velazqueza, jakiś posepny święty Ribery<sup>3</sup> i fanatycznie ponury mnich Zurbarana<sup>4</sup>.

Pod tymi obrazami rozsiedli się niezbyt liczni goście. Spośród dwunastu największych panów, którzy posiadali przywilej pozostawania z głową nakrytą w obecności króla, zjawiono się pięciu wraz ze swymi małżonkami. Był także wieczny dłużnik Goyi, pan de Havre, ambasador królewskiego chłopięcia Francji i jego regenta; odziany w strój nieco wyszarzały, siedział w pozie reprezentacyjnej i pretensjonalnej obok swej ładnej, chudej szesnastoletniej córki Genowefy. A oto i opat don Diego. Poza tym jakiś pan okazałej postawy, blondyn z twarzą o mocnych, spokojnych rysach; Goya odgadł, zanim mu go przedstawiono, że jest to doktor Peral, ów znienawidzony przez niego lekarz, ów golibroda.

Ale kto jeszcze znajdował się wśród gości, jak zawsze ponury, pełen powagi i namaszczenia, niby żywe zaprzeczenie tych ozdobnych cacek i błyskotek, którymi wypełniony był pałac? Nie kto inny, tylko don Gaspar Jovellanos, przeciwnik Kościoła i tronu, banita, z niechęcią odwołany z wygnania, któremu król nie zezwolił

<sup>1</sup> B o u c h e r Francois (1703—1770) — malarz francuski, główny mistrz rokoka. Tematy jego obrazów były brane z mitologii lub życia pasterskiego.

<sup>2</sup> Watteau Jean Antoine (1684—1721) — wielki malarz francuski, którego twórczość wyznaczyła drogę rozwojową malarstwa XVIII wieku. Obrazy jego przedstawiają wytworne sceny na tle natury, zabarwione sentymentalną zadumą.

<sup>3</sup> R i b e r a Jose (1588—1659) — malarz hiszpański, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli szkoły neapolitańskiej.

<sup>4</sup> Zurbaran Francisco (1598—1664) — malarz nadworny Filipa IV, twórca obrazów o treści religijnej.

jeszcze ucałować swej ręki w podzięcie za wyświadczoną niedawno łaskę. Było to zresztą bezprzykładne zuchwalstwo ze strony doni Cayetany, że zaprosiła go na dziś właśnie, kiedy oczekiwano przybycia ich katolickich królewskich mości. Więc też zebrani panowie i damy nie bardzo wiedzieli, jak zachować się względem don Gaspara. Pozdrawiali go grzecznie, lecz chłodno, unikając rozmowy. Joyellanos nic sobie z tego nie robił. Uważał to za duży sukces swej sprawy, że pierwsza w kraju arystokratka

pozwoliła mu wziąć udział w tym przyjęciu. Nie zależało mu zupełnie na tym, aby pospolitować się z tą arystokratyczną bandą. Siedział samotny i hardy na złotym krzeselku i Goya miał wrażenie, że misterny mebelek załamał się pod ciężarem jego godności.

Księżę Alba i matka jego, markiza de Villabranca, witali gości. Księżę wydawał się bardziej niż zwykle ożywiony.

— Czeka pana dzisiaj pewna mała niespodzianka, mój drogi — rzekł do Goyi.

Opat wyjaśnił Goyi, że na inaugurację sali teatralnej w pałacu Buenavista odbędzie się, zgodnie z życzeniem księżny, koncert muzyki kameralnej, a księżę weźmie w nim udział jako wykonawca. Goya nie okazał zbytniego zainteresowania. Gniewała go nieobecność pani domu; wydawało mu się dziwne, że nie pojawiła się dotąd, aby przywitać swych gości. Ale i to wyjaśnił mu opat, Z obejrzeniem pałacu trzeba czekać do przybycia ich królewskich mości. A donia Cayetana nie chciała czekać na nikogo, nawet na parę królewską. Posiada sprawną służbę łączności i pojawi się na sali tuż przed parą królewską, prawie jednocześnie z nią.

Ale otóż i ona! Francisco już wielokrotnie nakazywał sobie zachować spokój na jej widok, ale zdarzyło mu się to samo co w ów dzień, kiedy ją ujrzał na estradzie. Wszystko, co było wokoło niej, goście, całe to otoczenie kapiące od złota, obrazy, zwierciadła, żyrandole, wszystko to znikło gdzieś w mgnieniu oka i została tylko ona. Ubrana była z wyzywającą prostotą. Miała na sobie białą, gładką suknię, jakie nosiły podobno damy Republiki w Paryżu; z wąskiej, szeroką szarfą opiętej talii suknia opadała luźno ku ziemi, obramowana bladozłotym szlakiem. Na przegubie ręki księżna miała gładką złotą bransoletkę i poza tym żadnej biżuterii. Gęsta, niesforna masa czarnych włosów spadała na obnażone ramiona.

Goya patrzył jak osłupiały. Nie myśląc o innych, którym przysługiwało prawo wcześniejszego powitania pani domu, chciał precyzyjnie się do niej. Ale tymczasem, dokładnie tak, jak było zamierzone,

doszły go od klatki schodowej wzmagające się okrzyki: „Ich katolickie królewskie mości!” Obecni utworzyli szpaler i Cayetana wyszła naprzeciw gości.

Ochmistrz, stuknąwszy laską, obwieścił uroczyście po raz ostatni: — Ich katolickie królewskie mości i jego wysokość ksiązę de Alcudia.

Weszli. Król Karol IV, mężczyzna okazały, w wieku lat czterdziestu sześciu, nieco brzuchaty, zajmujący dużo miejsca swą osobą, ubrany był w czerwony, srebrem szamerowany frak, na którym widniała szeroka wstęga i order złotego runa; pod ramieniem trzymał trójkątny kapelusz, w lewej ręce laskę; twarz jego była rumiana, dobrodusznie uśmiechnięta, o dużym mięsistym nosie, wydatnych ustach i nieco w tył podanym, w łysinę przechodzącym czole; starał się wyglądać imponująco. O pół kroku za nim, wypełniając całą szerokość dwuskrzydłowych drzwi swą majestatyczną krynoliną, usianą klejnotami jak figura świętej, z ogromnym wachlarzem w ręku, kroczyła królowa, donia Maria Luiza de Parma; olbrzymie pióra u jej kapelusza chwiały się sięgając niemal wysokiej framugi drzwi. Tuż za królową ukazał się don Manuel, ze swym zwykłym, lekko znudzonym uśmiechem na urodziwej, nieco nalanej twarzy.

Cayetana pochyliła się w dworskim dygu, by ucałować naprzód rękę króla, potem doni Marii Luizy. Królowa, z trudem ukrywając zdumienie, objęła badawczym spojrzeniem swych małych, kłujących, czarnych oczu wyzywająco skromną suknię, w której dumna Alba ośmielała się przyjmować ich katolickie królewskie mości.

Następnie oboje królestwo odbyli *cercle* \. Ze swobodą, jakby należał do tego grona, stanął przed nimi buntownik Gaspar Jovellanos. Król, który nie grzeszył bystrością umysłu, nie poznał go w pierwszej chwili. Potem odchrząknął i powiedział:

— O, nie widzieliśmy się już od dawna! Jak się pan ma? Doskonale pan wygląda!

Natomiast Maria Luiza nie umiała przez chwilę ukryć niemiłego zdziwienia; ale jednocześnie pomyślała, że skoro już odwołano tego człowieka z wygnania, to należy przynajmniej skorzystać z jego zdolności finansowych. I z łaskawą miną podała buntownikowi rękę do ucałowania.

— W dzisiejszych ciężkich czasach, senior — powiedziała — nasz biedny kraj potrzebuje usług każdego obywatela. Dlatego też

— Cercle (fr.) — dosł. koło, kółko; tu: rozmowa towarzyska na przyjęciu dworskim, prowadzona przez monarchę kolejno z obecnymi osobami.

król i ja postanowiliśmy dać i panu sposobność do okazania się pożytecznym.

Głos miała dosyć przyjemny i mówiła głośno; wszyscy dokoła podziwiali dwulicową uprzejmość, z jaką umiała wybrnąć z drażliwej sytuacji.

— Dziękuję, wasza królewska mość — odparł Jovellanos donośnym głosem wytrawnego mówcy, tak że i jego słyszeli wszyscy obecni na sali. — Mam nadzieję, że zdolności moje nie pokryły się rdzą przez tak długi czas mego przymusowego odpoczynku.

„Zapłacisz mi za to wszystko” — pomyślała w duchu Maria Luiza mając na myśli Albę.

Przystąpiono do zwiedzania pałacu.

— Bardzo ładnie, bardzo miło — chwalił don Carlos.

Królowa jednak z miną znawczyni i nie bez tajonej zawiści przypatrywała się kosztownym szczegółom pogodnego i wykwintnego urzędnika. Zwróciła uwagę na arcydzieła starych hiszpańskich malarzy, spoglądające ze ścian z jakimś osobliwym chłodem i surowością, na panoszące się dokoła błahe, ozdobne cacka.

— Dziwne obrazy porozwieszałaś na ścianach, moja droga — rzekła do Cayetany. — Mnie by ciarki przechodziły wśród takich malowideł.

Sala teatralna wywołała nawet u chłodnych, zamkniętych w sobie grandów okrzyki zachwytu. Widownia olśniewająca przepychem, a przy tym pełna szlachetnej prostoty mieniła się błękitem i złotem w jarzącym blasku nieprzeliczonych świec. Łoże i fotele, wykonane z najszlachetniejszych materiałów, zachwycały oko, były przytulne i dostojne zarazem. Głowice filarów zaś dźwigających balkon miały kształt średniowiecznych bestii heraldycznych; godła te przypominały obecnym, że znajdują się w gościnie u damy, która nosi tytuły aż siedmiu grandów Hiszpanii.

Wreszcie nadeszła chwila, na którą książę Alba czekał już od tygodni. Ochmistrz dworu poprosił gości, by zechcieli zająć miejsca. Na scenie zjawili się: książę, jego bratowa donia Maria Tomasa i mała Genowefa, córka pana de Havre. Bratowa księcia, czarnowłosa, dobrze zbudowana dama, wydawała się tęga obok Genowefy i księcia; grała przy tym na altówce, najmniejszym z trzech znajdujących się na scenie instrumentów. Genowefa, niby żywy jej kontrast, szczupła i pełna wdzięku, choć nieco mizerna i skromnie ubrana, siedziała przed pękatą wiolonczelą. Sam książę grał na instrumencie wychodzącym już wówczas coraz bardziej z użycia: na *viola di bordone*, czyli tak zwanym barytonie, niezbyt

dużym, wielostrunnym instrumencie smyczkowym, który opierało się o kolana; *viola di bordone* miała przejmująco miękki, głęboki ton.

Wszyscy troje stroili przez chwilę swe instrumenty, po czym porozumiawszy się lekkim skinieniem głowy, zaczęli grać *Divertimento* Haydna. Donia Maria Tomasa grała na swej altówce spokojnie i z pewnością siebie; Genowefa, z wyrazem onieśmienia w dużych, szeroko otwartych oczach, trzymała się gorliwie nad swą olbrzymią wiolonczelą. Księżę zaś, zazwyczaj tak chłodny i roztargniony, ożywił się podczas gry. Palce, naciskające i szarpiące struny instrumentu, zmieniały się w istoty żyjące własnym, samoistnym życiem; piękne, melancholijne oczy błyszczały, całe ciało. o ruchach zwykle tak opanowanych pochylało się w przód i w tył, gdy wydobywał z instrumentu ukryte w nim piękno. Ze wzruszeniem i zachwytem spoglądała stara markiza de Villabranca na ukochanego syna.

— Czy nie jest on prawdziwym artystą, ten mój Jose? — spytała Goyę, który siedział obok niej.

Ale Goya niewiele widział i słyszał, na pół tylko obecny duchem. Nie zamienił dotąd ani słowa z Cayetaną, nie wiedział nawet, czy go zauważyła.

Muzyka podobała się ogólnie, i pochwały, którymi słuchacze obdarzyli uśmiechniętego, lecz wyczerpanego księcia, były szczere. Nawet król zapomniał widocznie, że don Jose, buntując się, odmówił kilkakrotnie, pod dość przejrzystymi pretekstami, wzięcia udziału w jego, króla kwartecie; ale teraz don Carlos zapragnął powiedzieć mu coś łaskawego. Masywny, ciężki monarcha stanął przed wiotką, wysmukłą postacią swego pierwszego granda.

— Pan jest prawdziwym artystą, don Jose — oświadczył. — Właściwie nie bardzo to nawet wypada komuś z pańską rangą i stanowiskiem. Ale trzeba przyznać: z pańskim barytonem moje skromne skrzypce nie mogą się mierzyć.

Alba oświadczyła, że teraz scena jej przeznaczona jest dla amatorów, i zapytała, czy ktoś z gości nie zechciałby się jeszcze czymś popisać.

Królowa rzekła niby mimochodem, ale tak, że każdy mógł słyszeć tej słowa:

— No jakże, don Manuelu? Może pan zechciałby nas uraczyć jakąś romancą albo *seguidilla bolera!*

Don Manuel ociągał się przez krótką chwilę. Potem tonem dworskim, uniżonym odpowiedział, że przed tak wybrednym audytorium



i po tak świetnej produkcji nieudolna jego sztuka nie sprawiłaby wrażenia. Ale donia Maria Luiza nie dała za wygraną.

— Niechże się pan tak nie droży, don Manuelu! — nakłaniała go; w tej chwili nie była to już królowa, która prosi, lecz kobieta, która pragnie zaprezentować otoczeniu rozliczne talenty swego kochanka.

Don Manuel jednak — być może, pomyślał właśnie o Pepie — nie miał ochoty się popisować.

— Proszę, raczy mi pani uwierzyć, madame — odpowiedział — że nie jestem dziś przy głosie. Nie będę śpiewał.

Było to wręcz opryskliwe. W ten sposób nie powinien był żaden grand odpowiedzieć królowej ani żaden *cortejo* swojej damie, przynajmniej nie w obecności obcych. Nastąpiło krótkie, pełne zakłopotania milczenie. Ale księżna Alba miała na tyle poczucia taktu, aby porażką królowej rozkoszować się nie dłużej niż parę sekund. Potem uprzejmym tonem poprosiła wszystkich do stołu.

Goya siedział przy stole niższej szlachty, razem z Jovellanosem i opatem. Rozumiał, że inaczej być nie może, mimo to był zgryziony, mówił mało, jadł dużo. Do tej chwili nie zamienił jeszcze ani słowa z księżną. Gdy wszyscy wstali od stołu — księżę wycofał się natychmiast do siebie — Francisco usiadł samotny w jakimś kącie. Nie czuł już gniewu ani zgryzoty, ogarnęło go bierne apatyczne uczucie głębokiego zawodu.

— Unika mnie pan najwyraźniej, don Francisco! — usłyszał tuż za sobą nieco twardy głos; ale głos ten wywołał w nim głębsze wzruszenie niż muzyka austriackiego mistrza. — Najpierw nie pokazuje się pan całymi tygodniami — mówiła dalej księżna — a potem po prostu mnie pan unika.

Wpił w nią spojrzenie, jak wtedy, zachłanne, niepohamowane; ona zaś patrzyła na niego swobodnie i przyjaźnie, zupełnie inaczej niż wtedy. Bawiła się wachlarzem; nie był to wprawdzie jego wachlarz, ale za to zapowiadał coś radosnego.

— Niech pan usiądzie tu przy mnie — rozkazała. — Miałam w ostatnich tygodniach bardzo mało czasu — zwierzała się — budowa tego domu pochłonęła mnie w zupełności. Także w najbliższej przyszłości nie będę miała chwil wolnych; wyjeżdżam wraz z dworem do Eskurialu. Ale gdy tylko powrócę, musi pan nareszcie zrobić mój portret tą swoją nową manierą. Cały świat zachwyca się ostatnimi portretami pana.

Goya słuchał, skłonił się, milczał.

— Ani słowa nie powiedział mi pan o moim domu — mówiła

dalej Alba. — Nie jest pan nazbyt uprzejmy. A jak się panu *podobał* mój teatrzyk? Domyślam się, że ani trochę. Pan wolałby pewnością scenę, na której wystawia się rzeczy rubaszne, męskie, gdzie występują kobiety z dużymi piersiami i tubalnym głosem. I ja lubię czasem taką sztukę. Ale tu, na mojej scenie, wolałabym widzieć inne rzeczy; mogą być nawet bardzo zuchwałe, owszem, ale przy tym subtelne i wytworne. Co by pan sądził na przykład o *Biada temu, kto igra z miłością* Calderona? A może lepiej podoba się panu *Dziewczyna Gómeza Ariasa*?

Francisco stracił na chwilę słuch, zaćmiło mu się w oczach. *Dziewczyna Gómeza Ariasa* była to barwna, soczysta, huczna komedia o człowieku, który po uszy zakochał się w dziewczynie, uprowadził ją i zaraz potem, gdy mu się sprzykrzyła, sprzedał Maurom. Franciscowi dech zaparło w piersiach. A więc Alba wiedziała o jego sprawie z don Manuelem i Pepą? Szydziła z niego. Wybełkotał coś, wstał, uklonił się niezgrabnie i odszedł.

Wściekał się. Powtarzał sobie w myśli to, co mu powiedziała. Rozważał, analizował każde jej słowo. Gómez to był łotr, bez wątplenia, ale łotr „z fasonem”, łotr, do którego lgnęły wszystkie kobiety. To, co mu Alba powiedziała, powinno go było utwierdzić w przekonaniu, że ma u niej wszelkie szanse. Ale on nie pozwoli traktować się w ten sposób. Nie jest małym chłopcem, z którym można sobie igrać.

Przysiadł się do niego don Manuel, wszczął z nim poufną, męską rozmowę. Rozwodził się nad kawałem, który ośmielił się zrobić królowej, i to jeszcze w domu Alby.

— Nikt mi nie będzie rozkazywał — tłumaczył — nikt! Śpiewam wtedy, kiedy ja chcę. Śpiewam dla ludzi, którzy mnie rozumieją, ale nie dla tych grandów. Sam jestem wprawdzie jednym z nich, ale co to za towarzystwo! My obaj, Francisco, jesteśmy łatwo zapalni, i pan, i ja: ale czy dużo jest tutaj kobiet, które pragnęłyby pan mieć w łóżku? Bo ja nie widzę ani pięciu. Ta mała Genowefa jest wcale miłutka, ale to jeszcze dziecko, a ja nie jestem jeszcze taki stary, bym czuł pociąg do dzieci. Zresztą, prawdę mówiąc, mógłbym wytrzymać także bez naszej miłej gospodyni. Jest dla mnie zanadto skomplikowana, zanadto kapryśna, zanadto pretensjonalna. Chce, aby się o nią ubiegać tygodniami i miesiącami. To nie dla don Manuela. Nie cierpię długich uwertur, lubię, gdy kurtyna podnosi się od razu.

Goya słuchał z tępy, gorzkim przytakiwaniem w duszy. Słusznie mówił don Manuel. Ta kobieta jest tylko afektowaną, zarozumiałą

lalką. Ma jej już powyżej uszu, wyrwie ją z siebie, wyrzuci. Dopóki ich królewskie mości są jeszcze obecne, dopóty i on musi tu zostać. Ale natychmiast po ich odejściu wyjdzie i zapomni o Albie, tak jakby nigdy dla niego nie istniała — razem z tym zamkiem Buenavista, który jest równie zwariowany jak ona sama.

Na razie jednak przystąpił do grupy osób skupionych dokoła obu dam, które uczestniczyły w wykonaniu tria. Rozmawiano o muzyce i doktor Peral spokojnym, niezbyt donośnym, lecz wyraźnym głosem mówił ze znajomością rzeczy o barytonie, owym instrumencie, który niestety coraz bardziej wychodzi z mody, i o senior Józefie Haydnie, kompozytorze austriackim, który na ten instrument napisał wiele utworów.

— Powiedz mi pan, doktorze — zabrzmiał głos doni Cayetany — czy istnieje coś takiego, na czym pan się nie zna?

W nieco twardym głosie Alby dźwięczała lekka nuta ironii, ale Goya wyczuł wyraźną domieszkę sympatii, jakiś ton bliskiego spoufalenia z tym lekarzem, ton, który doprowadził go do szalu. Nagłej z trudem siłą się na spokój, Goya opowiedział anegdotę o jednym ze swych znajomych, młodym człowieku, który w prosty sposób zdobył sobie we wszystkich salonach sławę człowieka niezwykle uczonego. Ów młody człowiek nie posiadał właściwie żadnych wiadomości naukowych poza znajomością trzech faktów, którymi umiał zręcznie posługiwać się, gdzie się dało. Umiał przytoczyć jedno zdanie z pism świętego Hieronima, następnie opowiadał przy różnych okazjach, że Wergiliusz bohatera swego, Eneasza, dlatego tylko przedstawił jako człowieka skorego do łez i zabobonnego, aby przypodobać się cesarzowi Augustowi, który również posiadał te cechy. Wreszcie umiał coś opowiedzieć o szczególnym składzie krwi wielbłąda. Operując zręcznie tymi trzema wiadomościami, młodzieniec ów pozyskał sobie opinię człowieka niepospolitej wiedzy.

Zapanowało krótkie, przykre milczenie. Doktor Peral nie tracąc zimnej krwi zapytał półgłosem opata:

— Kto to jest ten gruby pan? — Po czym z lekkim, na pół żartobliwym westchnieniem począł mówić: — Tak, ma pan słuszność: wiedza ludzka to zbieranina luźnych okruczków. W moim zawodzie, na przykład, wiedza najbardziej nawetuczonych ludzi nie jest ugruntowana i pewna. Prawd, które ustalone są ponad wszelką wątpliwość, jest najwyżej czterysta lub pięćset. Natomiast tym, czego najpoważniejsi nawet medycy nie wiedzą i na razie nie mogą jeszcze wiedzieć, można by zapełnić całe biblioteki. — Lekarz mówił to tonem pozbawionym wszelkiej urazy, z uprzejmą wyższością

fachowca, który bez trudu daje odprawę ciemnemu prostakowi.

Albę ubawiła gwałtowność, z jaką malarz napadł na jej przyjaciela. Zapragnęła pokazać mu, jak wielka jest jej władza nad mężczyznami. Bez wszelkich wstępów, tonem uprzejmym i przyjaznym, zwróciła się do księcia de Alcludia.

— Rozumiem, don Manuelu — rzekła — że przedtem, w moim teatryku, nie chciał pan śpiewać. Ale tu nie ma pretensjonalnej sceny, jesteśmy w swobodnym kółku towarzyskim. Niech pan teraz zaśpiewa jakąś piosenkę, don Manuelu, nie odmówi pan nam chyba tej przyjemności. Tak wiele słyszeliśmy o pana głosie.

Podczas gdy obecni z napięciem i lekkim zażenowaniem patrzyli na don Manuela, zabrał głos don Carlos:

— Wyborna myśl! Teraz dopiero zrobi się tu przyjemnie.

Don Manuel ociągał się przez chwilę: byłoby nierozsądne drażnić dłużej królową. Ale jeśli ustąpi, czy nie będzie to kompromitacją wobec wszystkich tych dam i panów? Nie jest pantoflarzem. Wreszcie uśmiechnął się łaskawie, widać było, że propozycja mu schlebia; skłonił się przed Albą, stanął wyprostowany. Chrząknął. Zaczął śpiewać.

Z małych, czarnych oczu doni Marii Luizy strzelały złe błyski; mimo to umiała znieść z godnością to drugie z kolei upokorzenie, które spotykało ją w domu rywalki. Siedziała w swojej szerokiej, klejnotami usianej krynolinie, w doskonałej postawie, z wysoko uniesionym ostrym podbródkiem, poruszając powoli ogromnym wachlarzem. Na ustach miała łaskawy uśmiech.

Goya, który Marię Luizę wielokrotnie już portretował, znał ją dokładnie, pamiętał najmniejszą zmarszczkę jej twarzy, zniszczonej niezaspokojonymi chuciami, żądzą życia i użycia. Nie była wprawdzie nigdy piękna, ale w latach młodości promieniowało od niej tyle życia, tyle niepohamowanej zmysłowości, że mogła wydawać się mężczyznom ponętną. Miała kiedyś zgrabną postać, dziś oczywiście, po licznych porodach, ciało jej było już zwiotczałe i zniekształcone; pozostały jej tylko piękne ramiona. Z gorzkim uśmiechem, nie bez pewnego wzruszenia myślał Goya o tym, że królowa, mimo swego majestatu i olśniewającego przepychu klejnotów, wygląda żałośnie w porównaniu z kwitnącą młodością Alby i jej szlachetną prostotą. Starzejąca się Maria Luiza przewyższała Albę bystrością rozumu i nieograniczoną władzą, ale tamta była tak piękna, że aż za serce ścisnęła. Obie są zresztą złośliwymi czarownicami i nie wiadomo, która z tych dwóch czarownic jest bardziej

niebezpieczna, ta piękna czy ta brzydka. Ale jak niemądrze i okrutnie postąpiła Alba niepotrzebnie upokarzając po raz drugi swoją królewską rywalkę. Nie wyjdzie mu na dobre, jeśli będzie dłużej patrzył na tę kobietę. Z posepnym postanowieniem, po raz dziesiąty może, nakazał sam sobie wyjść stąd, gdy tylko królestwo odejdą.

Mimo to wiedział dobrze, że zostanie. Wiedział, że ta piękna, zła kobieta jest najbardziej nieodpartą pokusą i największym niebezpieczeństwem w jego życiu, że jest dla niego czymś jednorazowym i niepowtarzalnym, źródłem najwyższej rozkoszy i głębokiego cierpienia, czymś, co nie spotka go już po raz drugi. Ale ktoś, kto nazywa się Francisco Goya, nie wyrzeknie się dobrowolnie takiej jednorazowej, niepowtarzalnej przygody.

Don Manuel odśpiewał tym razem tylko trzy pieśni. Za ledwie skończył trzecią, królowa rzekła do swego małżonka:

— Chciałeś wybrać się jutro wczesnym rankiem na polowanie, Carlosie. Sądzę, że czas już, by się pożegnać.

Ale król rozpiął wspaniałą kamizelkę, pod którą ukazała się druga, skromniejsza, z kilkoma łańcuszkami od zegarków. Wyjął dwa zegarki, obejrzał, posłuchał, porównał czas; był bowiem rozmiłowany w zegarkach i lubił dokładność.

— Jest dopiero dziesiąta i dwanaście minut — oświadczył. Schował zegarki, zapiął kamizelkę i rozsiadł się w fotelu szeroko, wygodnie, leniwie; trawił z wyrazem zadowolenia.

— Jakies pół godzinki możemy jeszcze zostać — rzekł. — Taki przyjemny, swobodny nastrój tu dziś panuje.

Odpowiedź króla była dla opata don Diego hasłem, które podchwycił skwapliwie. Będąc z całej duszy przeciwnikiem wojny wiedział dobrze, że don Manuel i królowa pragnęli zawrzeć pokój lecz powstrzymywała ich dotychczas ostrożność i obawa, by nastroje te nie nabrały rozgłosu. Przebiegły opat liczył w tej chwili na to, że pełna temperamentu donia Maria Luiza, podrażniona porażką, której doznała jako kobieta, chętnie wykorzysta sposobność by okazać się wytrawnym mężem stanu i zabłysnąć na tym polu, na którym jej rywalka nie mogła się z nią zmierzyć. Zwracając się do króla rzekł:

— Wasza królewska mość raczył pochwalić miłą atmosferę, która panuje dzisiejszego wieczoru, ten „swobodny nastrój”, jak wasza królewska mość łaskawie się wyraził. Sire, gdziekolwiek dzisiaj spotykają się Hiszpanie wyższego czy niższego stanu, wszędzie można

zauważyć uczucie ulgi; wszyscy czują, że dzięki mądrym rządóm naszej królewskiej mości ta okrutna wojna zbliża się do kresu.

Don Carlos spojrział ze zdziwieniem na ciężkiego, niezgrabnego pana, który z taką elegancją nosił swój czarny strój duchowny. Cóż to za szczególny ptaszek, ni to dworzanin, ni to ksiądz? A już zgoła nie wiedział, jak rozumieć to osobliwe przemówienie, które tamten do niego skierował. Ale w tejże chwili donia Maria Luiza, tak jak to opat przewidywał, chwyciła rzuconą przynętę i skorzystała ze sposobności, by zabłysnąć, jeśli nie jako kobieta, to jako królowa. Przemówiła teraz w charakterze dobrotliwej matki swoich poddanych, która woli pokój, choćby nienajkorzystniejszy, niż zaszczytne może, ale wymagające nadmiernych ofiar krwi i złota przedłużanie wojny.

— To, co pan powiedział, opacie — odezwała się swym dźwięcznym głosem — napelnia nas zadowoleniem. Broniliśmy, król i ja, dłużej i zarliwiej niż wszyscy inni uświęconej zasady władzy monarszej przeciwko zbuntowanym Francuzom. Błaganiem i groźbami staraliśmy się wpłynąć na naszych aliantów, by spełnili swój obowiązek i przywrócili Francji tron jej bożego pomazańca. Ale niestety, sprzymierzeni z nami władcy i ich narody nie okazały się tak skłonne do ofiar jak my i nasi Hiszpanie. Przeciwnie, gotowi są uznać Republikę Francuską, z nami czy bez nas. Ale jeśli sami jedni tylko wytrwamy, to musimy liczyć się z tym, że pewien inny, drapieżny naród, zawistny o naszą potęgę morską, napadnie na nas w chwili, kiedy uwikłani będziemy u granic naszego kraju w walkę na śmierć i życie. Dlatego też doszliśmy, król i ja, do przekonania, że uczyniliśmy już zadość honorowi naszemu i naszego narodu i że mamy prawo wobec Boga i świata przywrócić pokój naszym ludom. Będzie to pokój honorowy.

Tak mówiła Maria Luiza z domu Parma i Burbon. Nie wstała przy tym z fotela, na którym siedziała w swej szerokiej krynolinie, zdobna w klejnoty i pióra, podobna do posągu bogini. Na portretach przodków podpatrzyła tę królewską postawę, miała donośny, dobrze postawiony głos, a właściwy jej wymowie lekki akcent włoski stwarzał jak gdyby większy jeszcze dystans między nią a słuchaczami.

Słowa jej napęliły rozpaczą nieszczęsnego pana de Havre, ambasadora królewskiego chłopięcia Francji oraz jego regenta. Monsieur de Havre cieszył się na dzisiejszy wieczór. Była to dla niego niemała satysfakcja, że zaprosiła go księżna Alba i że jego biedne, tak urocze i utalentowane dziecko mogło wziąć udział w

wykonaniu *Divertimenta*. Ale też to chwilowe zabłyśnięcie Genowefy na scenie pozostało jedynym promieniem światła w mroku dzisiejszego wieczoru. Najpierw spotkał się tu oko w oko z przebiegłym opatem, tym wężem opasłym, który opluwał jadem jego królewskiego władcę, a co gorsza, musiał patrzeć w znienawidzone oblicze Jovellanosa, tego arcybuntownika, którego głowę nie księżna Alba, lecz kat zaprezentować powinien ich katolickim królewskim gościom. Nie mówiąc już wcale o zetknięciu się z tym bezczelnym malarzem, który w sposób wulgarny nachodził go ustawicznie o zapłatę, choć powinien być kontent, że miał zaszczyt malować ambasadora małego, wzruszającego króla Francji. Ale teraz ugodził w niego cios najstraszliwszy. Musiał słuchać, jak królowa tego kraju w obecności swoich grandów w cynicznych słowach zdradza bez ogródek zasadę władzy monarszej, której sama jest pierwszą przedstawicielką. A on, Havre, siedzi tu i słucha tego wszystkiego z zimną krwią, na pozór spokojnie, choć pragnąłby ukryć głowę w ramionach i wyć, wyć na głos. O, dlaczegoż nie został już raczej w tym zbuntowanym Paryżu, dlaczego nie zginął wraz ze swym królem pod nożem gilotyny!

Tym większa była oczywiście radość opata i Jovellanosa. Opat był dumny, że z czujnością i zręcznością psychologa skorzystał z nadarzającej się sposobności. W gruncie rzeczy był jedynym prawdziwym mężem stanu po tej stronie Pirenejów i świadomość, że historia prawdopodobnie nigdy nie zanotuje zasług, które położył dla sprawy postępu, nie umniejszała jego radości z odniesionego sukcesu. Jovellanos ze swej strony nie wątpił, rzecz jasna, o tym, że nie wzgląd na dobro kraju skłonił Marię Luizę, tę Mesalinę, tę ukoronowaną dziewczkę, do ujawnienia pokojowych zamiarów, lecz jedynie troska o to, że przy rosnących nadal ciężarach wojennych ona i jej gach nie będą mieli dosyć złota, aby móc zaspokajać swą bezgraniczną żądzę rozrzutności. Ale bądź co bądź, jakiegokolwiek miała ku temu powody, oświadczyła głośno i wobec wszystkich gotowość położenia kresu wojnie. Nadchodzi więc epoka pokoju i człowiek, któremu dobro publiczne leży na sercu, będzie mógł przeprowadzić zbawienne dla swego narodu reformy.

Oświadczenie doni Marii Luizy, chociaż dla przeważającej części obecnych nie było zupełną niespodzianką, wywołało duże wrażenie. Decyzję Korony uznano za niezbyt chlubną, ale za rozsądną. Goście byli zadowoleni, że wojna skończy się niebawem; przedłużanie jej pociągnęłoby dla wszystkich dalsze ograniczenia gospodarcze. Należało też przyznać, że królowa umiała swej nie bardzo zaszczytnej decyzji nadać rozumną i godną formę.

< 90 >

Donia Maria Luiza podobała się tedy swoim grandom. Ale nie podobała się bynajmniej doni Cayetanie Alba, która nie mogła ścierpieć, by ta kobieta, jej rywalka, miała ostatnie, wielkie, dumne słowo, i to jeszcze w jej własnym, nowym domu. Ośmieliła się odpowiedzieć, zaprzeczyć.

— Nie wątpię — rzekła — że bardzo wielu Hiszpanów podziwiać będzie mądrość decyzji królewskiej, ale ja osobiście, a wraz ze mną zapewne wielu innych zmartwi się głęboko, iż kraj nasz myśli o zawarciu pokoju, mimo że wojska nieprzyjacielskie stoją jeszcze na naszej ziemi. Pamiętam, jak najubożsi oddawali resztki swojego dobytku na cele uzbrojenia; pamiętam, jak lud nasz z zapalem, ze śpiewem i tańcami wyruszał na tę wojnę. Wiem, że jestem głupią, młodą kobietą, ale przyznam się, że mnie takie zakończenie po tym wielkim entuzjazmie wydaje się trochę... jakby to powiedzieć... trochę zbyt blade.

Podniosła się z miejsca. Biała, prosta i smukła, stanęła przed okazałą, majestatyczną postacią królowej.

Serce nieszczęsnego ambasadora królewskiej Francji, pana de Havre, zalała fala wdzięczności. A więc można jeszcze usłyszeć w Hiszpanii głosy w obronie tego, co szlachetne i święte. Są jeszcze w tym kraju ludzie gotowi bronić władzy królewskiej przed buntem i bezbożnictwem. Ze wzruszeniem spoglądał na tę iberyjską Dziewicę Orleańską i z czułością gładził rękę swej córki.

Na innych słowa Cayetany wywarły również duże wrażenie. Królowa miała oczywiście słuszność, a wystąpienie Alby to romantyzm, jawne głupstwo, bohaterski nonsens. Ale jakąż ona piękna, ta Alba, jaka śmiała. Czy znalazłby się jeszcze ktoś w Hiszpanii, mężczyzna czy kobieta, który by się ośmielił otworzyć usta przed królową, tak jak ona to uczyniła? Serca wszystkich obecnych zabiły czułością dla Alby.

Gdy skończyła mówić, zapanowało milczenie. Tylko don Carlos potrząsnął dużą głową i rzekł tonem mitygującym:

— No, no, no! Ależ moja kochana!

Donia Maria Luiza zdała sobie z bolesną wyrazistością sprawę, że i to jej zwycięstwo zamienia się w porażkę. Mogła skarcić zuchwałą przeciwniczkę, było to w jej mocy; ale nie wolno było pozwolić sobie na to, nie wolno było okazać, że dotknęły ją słowa tej kobiety, nie wolno było objawiać popędliwości.

— Nowy dom pani, moja droga młoda przyjaciółko — rzekła z chłodnym spokojem — ma wprawdzie fasadę w najlepszym starym hiszpańskim stylu, ale wewnątrz urządziła go pani tak, jak tego



wymagają nowe czasy. Może należałoby i do siebie samej zastosować tę zasadę? Trudno było o zręczniejszą odpowiedź; królowa w godny sposób dawała nauczkę pierwszej damie swego kraju. Ale donia Maria Luiza wiedziała dobrze, że to się na nic nie zda; wiedziała, że pozostanie dla wszystkich brzydka, starą babą, tamta zaś zawsze będzie miała słuszość, choćby jej wcale nie miała.

Ale to samo widocznie czuła Alba. Dygnęła przed królową i rzekła z zuchwałą pokorą: — Żałuję bardzo, że wywołałam niezadowolenie waszej królewskiej mości. Zbyt młodo zostałam sierotą i nie odebrałam starannego wychowania. Toteż niekiedy zdarza mi się, bez złej woli, uchybić surowym, mądrym regułom ceremoniału dworskiego.

Ale mówiąc to, rzuciła z ukosa nieznaczące spojrzenie na portret swego przodka, krwawego księcia Alba, marszałka, który gdy król zażądał od niego złożenia rachunków, posłał mu następujące zestawienie: „Zdobytych dla Korony hiszpańskiej królestw: 4, odniesionych walnych zwycięstw: 9, skutecznie przeprowadzonych oblężeń: 217, lat służby: 60.”

Ze skłóconymi uczuciami przysłuchiwał się Goya utarcze słownej obu wielkich dam. Był przeświadczony, że władza królewska pochodzi od Boga, a obowiązek posłuszeństwa ze strony poddanych był dla niego nie mniej święty niż cześć dla Matki Boskiej; dlatego słowa Alby wydały mu się zbrodniczym zuchwalstwem. Słuchając ich, żegnał się w duchu znakiem krzyża; ta pycha musi chyba sprowadzić nieszczęście na głowę kobiety, która takie słowa wypowiada. Pomimo to serce ścisnęło mu się prawie do bólu z zachwyty nad dumą i urodą Alby.

Ich królewskie mości oddaliły się wkrótce potem wśród zwykłego ceremoniału, w niezbyt łaskawym humorze. Goya został. Większość gości została również.

Chwilę tę uznał don Gaspar Jovellanos za stosowną, by ze swej strony udzielić księżnie pouczenia. Chciał to uczynić zaraz po jej przemówieniu, ale piękna i dumna dama wydała mu się, zarówno w swej żarliwej miłości ojczyzny, jak w swej naiwności, symbolem rodzinnego kraju i nie mógł zdobyć się na to, by powiedzieć jej słowa prawdy w obecności królewskiej rywalki. Teraz jednak odezwał się z powagą:

— Senioro, donio Cayetano — powiedział. — Pojmuję ból pani na wieść, że wojna ma zakończyć się bez zwycięstwa. Proszę mi wierzyć, że serce moje bije nie mniej po hiszpańsku niż serce pani.

Ale mózg mój myśli podług reguł logiki. Otóż w tym wypadku słuszność mają doradcy Korony. Dalsze przeciąganie tej wojny mogłoby przynieść tylko szkodę, a nie ma straszniejszej zbrodni jak bezcelowa wojna. Z trudnością przychodzi mi prosić panią, by wyobraziła sobie straszliwą groźbę wojny. Ale pozwoli mi pani przytoczyć kilka zdań z książki pewnego autora, największego pisarza naszego stulecia. I zacytował:

„Kandyd okraczając całe sterty trupów i umierających dotarł do sąsiedniej wioski; zastał kupę popiołów; była to wieś, którą wrogowie spalili, wedle kanonów prawa międzynarodowego. Tu pokłuci ranami starcy patrzyli, jak żony ich, pozarzynane, konały w męczarniach, tułąc dzieci do zakrwawionych piersi; tam dziewczyny z porozpruwanymi brzuchami, nasyciwszy naturalne popędy bohaterów, wydawały ostatnie tchnienie; inne, wpół spalone, krzyczały, aby je dobito. Mózgi wały się po ziemi obok pucinaných rąk i nóg.”

— Wybaczcie mi, moje panie i panowie, ten odrażający opis. Ale mogę powiedzieć wam z własnego doświadczenia: ten człowiek pisze prawdę. I powiem jeszcze, że rzeczy, które opisuje, dzieją się teraz, właśnie w tej chwili, dzisiejszej nocy, w naszych północnych prowincjach.

Był to niewątpliwie brak taktu ze strony Jovellanosa, że nie zważając na groźbę inkwizycji, cytował, i to jeszcze w pałacu księżny Alba, najsurowiej zabronionego pisarza na świecie, monsieur de Voltaire'a; miało to jednak przy tym posmak pikanterii. Zapowiadał się wieczór pełen wrażeń i goście chętnie pozostali dłużej.

Goya odczuł słowa Jovellanosa jako przestrożę przed Albą. Wszystko, co ta kobieta czyni, wszystko, co mówi, jest jakieś fatalne, złowieszcze. Nie chce z nią mieć nic więcej wspólnego. Zabierał się już do wyjścia, tym razem stanowczo, nieodwołalnie.

Ale właśnie w tej chwili zwróciła się do niego Cayetana. Dotknęła leciutko ręką jego rękawa, druga ręka bawiła się wachlarzem, dając mu znak zachęty.

Powiedziała:

— Niech pan posłucha, don Francisco, pomyliłam się. Prosiłam, by mnie pan malował, gdy powrócę z Eskurialu.

Spojrzał na nią zmieszany, oczekując nowej jakiejś, diabelskiej sztuczki. Ale ona zbliżając twarz do jego twarzy mówiła dalej poufnie i z naciskiem:

< 93 )

— To była omyłka, to był błąd; żałuję, że tak powiedziałam, i proszę, by mi pan wybaczył. Nie mogę czekać tak długo, don Francisco! Niech pan posłucha: albo postaram się dla pana o zaproszenie na dwór, albo sama wrócę tu jak najrychlej. Musi mnie pan malować zaraz, natychmiast, słyszy pan, Francisco? I musimy stworzyć coś takiego, co w podziw i zdumienie wprawi naszych przyjaciół.

## XII

Kiedy Goya, tak jak to najczęściej bywało, spożywał główny posiłek w gronie swych najbliższych, oddawał się wówczas całkowicie rodzinie i radowało go wszystko: żona Josefa, dzieci, jedzenie i picie, rozmowa prowadzona przy stole. Dzisiejszego wieczoru obiad upływał w pośepnym nastroju i wszyscy biesiadnicy, Goya, Josefa, troje dzieci i chudy Agustin mówili półgębkiem. Nadeszła bowiem wiadomość, że brat Josefy,

Francisco Bayeu, który chorował już od dłuższego czasu, ma zaledwie dwa lub trzy dni życia przed sobą.

Goya patrzył z boku na żonę. Siedziała wyprostowana jak zawsze; podłużna twarz o wydatnym nosie niczym nie zdradzała jej uczuć. Jasne, żywe oczy patrzyły prosto przed siebie, surowe, wąskie usta były zaciśnięte; Josefa przygryzała od czasu do czasu górną wargę; podbródek wydawał się bardziej niż zwykle zaostrowany. Ciężkie, złocistorudawe warkocze upięte w węzeł nad wysokim czołem opadały ukośnie w tył na kształt starożytnej czapki kapłańskiej. W Saragossie, kiedy byli jeszcze młodym małżeństwem, malował ją kiedyś jako Najświętszą Pannę, pełną promiennego wdzięku, z dwojgiem swych dzieci na ręku, przedstawiających Dzieciątka Jezus i małego Jana Chrzciciela. Od tego dnia przeżył z nią dwadzieścia lat dobrych i złych, pełnych nadziei i zawodów; rodziła mu dzieci, żywe i martwe. I dziś jeszcze wydawała mu się czasem taka, jaką ją widział wówczas, pomimo wielu porodów ta czterdziestotrzyletnia kobieta zachowała jakąś dziewczęcą delikatność, jakiś dziecięcy, surowy wdzięk.

Goya zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje w duszy Josefy i ogarnęło go współczucie. Wiedział, jak dotkliwą stratą będzie dla niej śmierć brata. Goyę pokochała kiedyś za jego męskość i siłę, za uparty hart, za bujność i żywotność jego natury; nie miała natomiast wysokiego mniemania o Goyi jako o malarzu. Za to tym głębsza była jej wiara w geniusz brata; on to, Francisco Bayeu. pierwszy malarz króla i rektor Akademii, najslawniejszy malarz

Hiszpanii, pozostał dla niej głową rodziny; on był właściwym źródłem tego szacunku, którym cieszył się także ich dom, a bunty Goyi przeciwko szwagrowi i jego teoriom były dla niej źródłem nieustannej zgryzoty.

Josefa była uderzająco podobna do swego brata. Ale cechy, których Goya nie mógł ścierpieć u tamtego, podobały mu się właśnie w Josefie. Zarozumiałość i sztywność szwagra drażniły go do żywego, ale widział tym większy powab żony w tym, że była dumna ze swej poważanej rodziny, uparta i zamknięta w sobie. Kochał ją za to, że była taka, jaka była, za to, że pochodziła z rodziny Bayeu z Saragossy. Podejmował się często prac, które nie były mu przyjemne, tylko po to, by pokazać, iż potrafi dostarczyć jej środków do prowadzenia życia na tak szerokiej stopie, jak przystało kobiecie noszącej nazwisko Bayeu.

Nigdy nie wytykała mu, że jest kiepskim malarzem, ani nie czyniła wyrzutów z powodu licznych miłostek. On zaś przyjmował jej ślepe oddanie jak coś naturalnego, co się samo przez się rozumie. Kobieta, która została żoną Francisca Goyi, musiała zdawać sobie jasno sprawę z tego, że nie jest on wzorem cnót, lecz mężczyzną.

Za to Bayeu tym częściej próbował wtrącać się w życie Goyi. Ale ten dał pewnego razu energiczną odprawę swemu szwagrowi, posyłając pierwszego malarza królewskiego, pedantycznego belfra i ciasnego moralistę, do wszystkich diabłów. Czego ten szwagier chciał od niego? Czyż on, Goya, nie spał ze swoją żoną, ilekroć miała ochotę, a nawet częściej jeszcze? Czy nie robił jej dziecka co roku? Czy nie dzielił z nią stołu? Czyż nie zapewniał jej stopy życiowej wyższej nawet, niżby wymagała jego pozycja? Josefa jest oszczędna, rzecz można nawet, skąpa; ba, nic dziwnego, jest przecież rodzoną siostrą tego wzoru cnót wszelkich. Czyż nie musiał jej wprost przymuszać, aby piła śniadanie w łóżku? I to jeszcze czekoladę, tak jak piją damy z arystokracji. Najlepszą czekoladę *moho* z Boliwii, którą kupiec meł na miejscu, w oczach Josefy. Bayeu dał mu wyniosłą odpowiedź, zrobił aluzję do jego chłopskiego pochodzenia, a gdy wyraził się pogardliwie o pewnej damie, z którą łączyły Goyę bliższe stosunki, Goya chwycił go za kark i porządnie wytarosił; przy tej okazji srebrem haftowany frak szwagra popękał w paru miejscach.

Otóż donia Josefa miała teraz stracić tego brata, a wraz z nim to, co tak wielkim blaskiem opromieniało jej życie. Mimo to siedziała spokojna i opanowana, nie zdradzając wzburzenia, i Goya poczuł przyływ miłości i podziwu dla niej.

Wkrótce jednak panująca przy stole atmosfera milczenia i smutku zaciążyła mu dotkliwie. Wstał nagle i poprosił, aby obiadu dokończono bez niego, gdyż chce pójść do Francisca Bayeu. Donia Josefa spojrzała na niego zdziwiona. Potem wydało się jej, że go zrozumiała; Goya pragnie widocznie rozmówić się z umierającym bez świadków i prosić o wybaczenie wyrządzonych mu przykrości.

Goya zastał szwagra ułożonego na niskim posłaniu, podpartego kilku poduszkami. Sucha, żółta jak wosk twarz chorego była jeszcze bardziej pomarszczona niż zwykle, ponura, surowa i cierpiąca.

Goya zauważył, że dobrze mu znany obraz na ścianie przedstawiający świętego Franciszka wisi głową w dół; stary ludowy przesąd mówił, że tylko takim radykalnym środkiem można zachęcić świętego do czynnej pomocy. Wykształcony i rozsądny Bayeu nie obiecywał sobie zapewne zbyt wiele po tego rodzaju zabiegach, wezwał też do siebie najlepszych lekarzy; jednak zgodził się widocznie i na ten dziwaczny środek, aby ratować swe życie dla rodziny, dla kraju i sztuki.

Goya usiłował obudzić w sobie współczucie dla umierającego; bądź co bądź był to brat jego żony, który był mu życzliwy i nieraz pomagał. Ale nie potrafił zmusić się do żalu. Bo ten chory robił jednak wszystko, co mógł, aby zatruć mu życie. Jak głupiego, krnąbrnego uczniaka zbeształ go Bayeu, i to kilkakrotnie, wobec kapituły katedralnej, wówczas kiedy malowali razem freski katedry w Saragossie. Jeszcze dziś pali go ta *sarna*, ten świerzb, ten wstyd, ten swędzący strup owego upokorzenia. A w dodatku umierający chciał odstręczyć od niego jego żonę, Josefę, chciał jej pokazać, jak lekceważony jest jej mąż, a jak wysoko ceniony on sam. Za jego to sprawą kapituła katedralna rzuciła Goyi należną zapłatę pod nogi i kazała mu pójść precz; ale żonie jego, „jako siostrze naszego znakomitego mistrza Bayeu”, ciż sami duchowni panowie ofiarowali złoty medalion. Patrząc na tego cierpiącego, bliskiego śmierci człowieka, z zawziętością powtórzył w duchu stare, mądre przysłowie:

„Szwagier jak pług: dobrze, gdy jest w ziemi.”

Miał ogromną ochotę namalować portret szwagra. Nic by nie uronił z jego godności, ze skrzętnej pracowitości, z inteligencji; ale też nie pominąłby jego skostniałego uporu, jego ciasnej, trzeźwej, jałowej pedanterii.

Tymczasem Bayeu zaczął mówić, powoli, z wysiłkiem, ale jak zawsze starannie zaokrąglonymi zdaniami.

— Umieram — rzekł — zostawiam ci wolną drogę. Zostaniesz rektorem Akademii; uzgodniłem to z ministrem, a także z Maellą

i Ramónem. Maella zasługuje na to, by otrzymać to stanowisko przed tobą, tak samo i mój brat Ramón, muszę ci to powiedzieć szczerze. Ty jesteś wprawdzie bardziej od nich utalentowany, ale brak ci wszelkiej dyscypliny i jesteś nazbyt zuchwały, nazbyt pewny siebie. Z drugiej strony, ufam, że mogę wziąć za to odpowiedzialność przed Bogiem, iż przez wzgląd na moją siostrę dałem pierwszeństwo komuś mniej od tamtych godnemu.

Tu przerwał, mówienie sprawiało mu trudność, dyszał ciężko.

„Idiota — pomyślał Goya. — Akademię dostałbym i bez niego, don Manuel postarałby się o to.”

— Znam twoje serce niepokornione, Francisco Goya — mówił dalej Bayeu — i może to dobrze dla ciebie, że świat nie ma twego portretu mojej roboty. Ale przyjdzie czas, kiedy pożałujesz, że nie słuchałeś moich natarczywych rad. Upominam cię po raz ostatni: trzymaj się klasycznej tradycji. Czytaj codziennie po parę stron z teorii Mengsa. Zostawiam ci mój egzemplarz z jego dedykacją i licznymi moimi uwagami. Sam widzisz, do czegośmy doszli obaj. on i ja. Spróbuj trzymać się w korbach, może i tobie uda się kiedyś osiągnąć to samo.

Goya uczuł szydercze politowanie. Ten nieszczęśnik wyężył resztki swych sił, aby wmówić w siebie i innych, że jest wielkim malarzem. Dążył nieustannie do „prawdziwej sztuki”, rozczytywał się stale w książkach, aby sprawdzić, czy maluje jak należy. Miał zresztą dobre oko i zręczną rękę, ale jego teoria wszystko mu psuła. „Ty i twój Mengs — myślał Goya — cofnęliście mnie w rozwoju o lata całe. Jedno z ukosa rzucone spojrzenie, jeden grymas mojego Agustina ma dla mnie większą wartość niż wszystkie wasze reguły i zasady. Nieszczęsny pierwszy malarzu, utrudniałeś życie i sobie, i innym, jak tylko mogłeś. Ziemia będzie nam lżejsza, kiedy ty w niej spocziesz.”

Wydawało się, że Bayeu czekał tylko, by wygłosić przed Goyą ten ostatni wykład. Zaraz potem zaczęła się agonía.

Z głębokim smutkiem na twarzach stali wokół niskiego łóża najbliżsi przyjaciele i krewni: Josefa, Ramón, malarz Maella. Francisco Goya patrzył niezyczliwym okiem na rzeźącego. Ten nos nie znał się na zapachach; te zbiegające ku ustom zmarszczki mówiły o wysiłku pozbawionym iskry bożej; te wargi umiały wypowiadać tylko suche, mentorskie uwagi. Nawet tchnienie śmierci nie dodało tej kościstej twarzy wielkości.

Król Carlos wysoko cenił swego pierwszego malarza; polecił pochować go jak granda Hiszpanii. Zwłoki Francisca Bayeu złożone

zostały w krypcie kościoła San Juan Baptista, obok don Diego Velazqueza, największego malarza, jakiego wydał półwysep.

Krewni i nieliczni przyjaciele zmarłego dokonali przeglądu pracowni, aby postanowić, co ma się stać z pozostałymi w spuściźnie obrazami. Została tam znaczna ilość wykończonych i nie dokończonych jeszcze płócien. Największe zainteresowanie budził autoportret na którym Bayeu przedstawił samego siebie przy sztaludze. Chociaż niektóre szczegóły, jak paleta, pędzel, kamizelka malarza, wykonane były nadzwyczaj starannie, obraz był widocznie nie dokończony; sumienny twórca nie zdążył wykończyć swojej twarzy. Na pół tylko gotowa, jak gdyby już przed urodzeniem uległa rozkładowi, patrzyła na widza martwymi oczodołami.

— Jaka nieodżałowana szkoda — rzekł po chwili Ramón — że brat nasz nie skończył tego obrazu.

— Ja go skończę — rzekł Goya.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, zaskoczeni, powątpiewający. Ale Goya już zabierał się do roboty.

Długo pracował nad portretem zmarłego Bayeu, Agustin nie odstępował go ani na chwilę. Z pietyzmu dla rozpoczętego dzieła Goya niewiele zmienił. Tylko odrobinę ciemniejsze stały się brwi, odrobinę głębsze i bardziej znużone zmarszczki zbiegające od nosa ku ustom, trochę bardziej uparty podbródek, nieco bardziej zgorzkniałe opadały kąciki ust. I nienawiść, i miłość uskrzydlały pracę Goyi, ale żadne z tych uczuć nie zdołało zmącić zimnego, śmiałego, nieulekłego oka malarza. To, co w końcu powstało, było portretem zgryźliwego, chorowitego starszego pana, który męczył się przez całe życie i znużony już jest brzemieniem swej godności i nieprzerwanym pasmem trudów, ale zbyt świadom swoich obowiązków, by odpocząć.

Agustin Esteve stał obok Goyi i patrzył na ukończone dzieło. Z płótna spoglądało pełne godności oblicze człowieka, który żądał od świata więcej, niż mu się należało, od siebie zaś więcej, niż był w możności dać. Całość jednak przepojona była jakimś pogodnym, srebrzystym tonem, tą nową, odkrytą przez Francisca, jasną-subtelną szarością i Agustin zauważył, nie bez złośliwego zadowolenia, że ten lekki, srebrzysty, wszystko przenikający ton podkreśla ostrość rysów i pedantyczną surowość ręki trzymającej pędzel. Człowiek przedstawiony na obrazie nie wydawał się sympatyczny, lecz bardzo interesujący był jego portret.

— Wspaniale to zrobiłeś, Francho — wybuchnął Agustin, zachwycony.

Długo, w milczeniu stała Josefa przed portretem brata.

Goya zapytał:

— Czy dałem zmarłemu zadośćuczynienie?

Josefa gryzła górną wargę.

— Co ma się stać z tym obrazem? — zapytała.

— Obraz należy do ciebie — odpowiedział.

— Dziękuję — rzekła Josefa.

W domu zastanawiała się, gdzie powiesić portret. Przez długi czas nie umiała znaleźć dla niego odpowiedniego miejsca, wreszcie posłała go swemu bratu, Manuelowi Bayeu, do Saragossy.

### XIII

Goya oczekiwał w udęcie wiadomości z Eskurialu, ale Cayetana milczała i nuda żalobnych tygodni potęgowała jego zdenerwowanie.

Aż pewnego dnia zjawił się u niego gość z ojczystych stron, Martin Zapater.

Gdy Goya ujrzał przed sobą swego ukochanego Martina, omal nie udusił go w objęciach, wzywał wszystkich świętych na świadków swojej radości, okrywał go pocałunkami, wreszcie wcisnął w fotel, podniósł znów w górę i ujawszy pod ramię począł chodzić z nim po całej pracowni.

Pomimo dumy Goya był z natury skłonny do wynurzeń. Chętnie i często wypowiadał się przed Josefą, przed Agustinem, przed Miguelem. Ale ze swych najgłębszych spraw, najbardziej skrytej próżności i tajemnych niepowodzeń mógł zwierzyć się tylko najbliższemu przyjacielowi i druhowi, Martinowi. Zasypał tego postawnego, nieco przyciężkiego, dobrodusznego, zacnego człowieka mnóstwem pytań i opowiadał mu o wszystkim na raz, bezładnie, podczas gdy Agustin przysłuchiwał się z tajoną zawiścią.

Przyjaźń z Martinem Zapaterem datowała się jeszcze od czasu, kiedy Francisco przybył jako sześcioletni chłopak z rodzinnej wsi Fuentetodos do Saragossy. Uczyli się razem czytać i pisać w szkole fray/1 Joaquina, należeli jednak do dwóch zwalczających się nawzajem band uczniowskich: Goya do bandy, której patronką była Święta Dziewica del Pilar, Zapater zaś do bandy, która obrała sobie za patrona świętego Ludwika. Kiedy zdarzyło się pewnego

F r a y — brat zakonny.



dnia, że mały Goya zbił na kwaśne jabłko małego Zapatera, ten przejęty podziwem, przeszedł do jego bandy i odtąd byli najlepszymi przyjaciółmi. Francisco oddziaływał na Martina swą bujną, nieobliczalną indywidualnością, roztropniejszy zaś od niego Martin służył Franciscowi radą i oddawał mu nieraz przysługi. Francisco pochodził z ubogiej rodziny, Martin zaś z zamożnego i poważanego mieszczańskiego domu. Martin od najwcześniejszej młodości wierzył w artystyczne powołanie Goyi; za namową ojca Zapatera hrabia Pignatelli, mecenas sztuki w Saragossie, kazał uczyć małego Francisca rysunków i malarstwa.

— Ani trochę się nie zmieniłeś, mój maleńki — rzekł Goya do przewyższającego go o głowę Zapatera. — Tyle tylko, że twój ogromny nochal, *el narigón*, jeszcze się powiększył. Wyglądasz poważnie i godnie, jakbym widział za tobą wszystkie wielkie rodziny Saragossy, rody Salvadorów, Grasów i Aznarezów.

— Spodziewam się — zdołał wtrącić Martin — że widzisz także Castel, Lonję i Puente<sup>1</sup>.

— Tak, wszystko to widzę — potwierdził serdecznie Francisco, i rzeczywiście przed oczyma stanęło mu wyraźnie miasto jego młodości, Saragossa, wspaniałe, nieco senne, brudne i zakurzone, z mauretańskimi wieżami kościołów, z prastarym mostem spinającym brzegi leniwie płynącej szarzielonej rzeki Ebro, matowo-szarą równiną i majaczącymi w oddali górami.

Teraz, kiedy byli razem, obaj stali się znów chłopakami. I znowu, jak ongiś, roztaczało się przed nimi życie pełne czaru, znowu za każdym rogiem czaiły się nowe przygody i niespodzianki, które trzeba odkryć, brać się z nimi za łby, zdobywać. I obaj poczuli znów, jak bardzo są sobie nawzajem potrzebni. Francisco uciekał się często do trzeźwego, przyziemnego rozsądku przyjaciela i korzystał z jego uczynności; dla Martina zaś szarzyzna życia nabierała barw, gdy Goya wtajemniczał go w wizje swojego oka i swoich myśli.

W ciągu najbliższych dni Goya zajęty był malowaniem portretu przyjaciela; były to dla niego błogie dni. Bawiło go i sprawiało mu wielką radość, gdy widział, jak Martin wyłania się stopniowo z płótna taki, jakim był naprawdę: mądry, zacny, dobry, poczciwy, trochę parafiański. Rozumnie, ze spokojną pogodą spoglądały chytre oczka nad mięsistymi policzkami i potężnym nosem.

— A więc tak wyglądam — mówił Martin i cmokał językiem.

1/ Mowa o sławnych budowlach Saragossy: Castel — zamek de la Aljaferia z XI w.; L o n j a — giełda, budynek renesansowy z 1551 r.; P u e n t e — kamienny most na Ebro.

Francisco sam już nie wiedział, co jest piękniejsze: malowanie czy długie przerwy wypełnione pogawędką z przyjacielem. W takich chwilach wysyłał Agustina pod jakimś pozorem i wtedy dopiero rozpoczynał gawędę na dobre. Wydobywał z pamięci stare wspomnienia, bezładne, chaotyczne; jakieś przygody z dziewczętami, kłopoty pieniężne, zatargi z policją, awanturnicze ucieczki przed inkwizycją, dzikie prowokacje, niebezpieczne bójki na szpady i noże, właśnie z dumną rodziną Bayeu. Z naiwną chępliwością rozwodził się nad obecnym rozkwitem swego życia w porównaniu z ubóstwem młodych lat. Oto mieszka teraz w Madrycie w przyzwoitym domu, kosztownie umeblowanym, pełnym dzieł sztuki, ma służbę w liberii, odwiedzają go przyjaciele z wysokiej sfery, których nie zawsze nawet przyjmuje, posiada wspaniały ekwipaż, połączoną berlinę<sup>1</sup> w angielskim stylu (w całym Madrycie są tylko trzy takie). Tak, ten powóz, ta *carroza*, jest dumą Goyi; wprawdzie trzymanie powozu, zwłaszcza koni, jest w Madrycie rzeczą kosztowną, jednak nie żałuje tych wydatków, to mu się opłaca. I chociaż ze względu na żalobę nie bardzo to było stosowne, przejechał się z przyjacielem karocą po Prado.

Czasem Francisco i Martin śpiewali i grali razem *seguidille*, *tirany*, *bolera*<sup>2</sup>; obaj lubowali się namiętnie w muzyce ludowej. Spierali się też często o wartość tego lub owego utworu muzycznego; Franciscowi udawało się zazwyczaj przekonać Martina, a potem pokpiwał sobie z jego niewyrobionego smaku. Śmiał się, że Martin należy do zwolenników toreadora Costillaresa, gdy on, Goya, przysięgał na Ramiro. Posypał raz stół piaskiem i narysował na nim obu zapaśników: krępego, mocnego Ramiro, któremu dał swoje lwie oblicze, i wysokiego, ociężałego Costillaresa z ogromnym nosem; obaj śmiali się do rozpuku.

Wtem, pośród wybuchów śmiechu, Francisco przerwał nagle, umilkł, twarz jego wykrzywił grymas goryczy.

— Ja się tu śmieję — rzekł — i przechwalam przed tobą, jak daleko zaszedłem w życiu. Bardzo wysoko. Jestem nadwornym malarzem, za kilka dni będę rektorem Akademii, mam najlepsze w Hiszpanii oko i mistrzowską rękę; wszyscy mi zazdroszczą. Ale ja ci mówię, Martin, to wszystko fasada, a co poza nią, to gówno.

Martin znał raptowne zmiany nastrojów i nieopanowane wybuchy przyjaciela.

— Francho, Francho — mitygował go — nie mów tak, to grzech.

1/ be r l i n a — czteroosobowa karoca. Tirana, bolero — ludowe piosenki hiszpańskie z towarzyszeniem tańca.

Francisco spojrział szybko na Świętą Dziewicę z Atocha i przeżegnał się, po czym mówił dalej:

— Kiedy to prawda, *chico*.<sup>1</sup> Każde moje powodzenie ma ciemną stronę, za każdym czają się wrogie duchy i szczerzą kły. Spotkało mnie szczęście; mój szwagier, ten zgryźliwy belfer, zeszedł ze świata, za to Josefa wysiaduje mi po kątach, blada jak płótno, i zamartwia się dniami i nocami. Poszczęściło mi się z don Manuelem; zaprzyjaźnił się ze mną blisko, a jest to dziś najpotężniejszy człowiek Hiszpanii i w ogóle wspaniały chłop; ale przy tym łotr, i to dosyć niebezpieczny. A w dodatku złości mnie sposób, w jaki zostałem jego przyjacielem. Nie mogę zapomnieć, czego ode mnie zażądano w związku ze sprawą don Gaspara, a przy tym znieść nie mogę tego cnotliwego Katona. I nikt mi nawet nie podziękuje za to. Pepa tylko patrzy na mnie ironicznie tymi swoimi zielonymi oczami, z miną tak wyniosłą, jakby sama o własnych siłach zaszła tak wysoko. Każdy ma do mnie jakieś pretensje, ale nikt nie stara się mnie zrozumieć.

I w gwałtownych słowach pomstował na bezczelność Miguela i Agustina, którzy go dwa tygodnie nie zostawiają w spokoju, lecz nalegają ciągle, aby wtrącał się w sprawy tronu i państwa. On, Goya, jest nadwornym malarzem, należy więc poniekąd do dworu, rad jest i dumny z tego. Swoją sztuką oddaje krajowi większe usługi niż wszystkie te pyszałki i ci reformatorzy polityczni swoim pyskowaniem.

— Rzeczą malarza jest malować — rzekł złym i stanowczym tonem, a masywna jego twarz spochmurniała — malarz powinien malować, koniec, basta! A o moich sprawach finansowych — mówił dalej — też muszę wreszcie pomówić z kimś, kto się na tym zna.

Był to zwrot zdumiewający i pocieszający zarazem. Martin oczekiwał zresztą, że Francisco zechce zasięgnąć jego rady; miał własny bank w Saragossie i Francisco uważał go w tych sprawach za fachowca.

— Cieszę się, że mogę służyć ci radą — rzekł serdecznie i dodał z rozwagą: — O ile zdołałem się zorientować, twoje finanse nie dają wcale powodu do niepokoju.

Ale Goya nie chciał zgodzić się z tym bez zastrzeżeń.

— Nie jestem śledziennikiem — odparł — i nie mam zwyczaju narzekać bez powodu. Nie zależy mi na pieniądzach, ale muszę je mieć. Tu w Madrycie jest tak, jak mówi przysłowie: „Kto nie

<sup>1</sup> C h i c o — mały; dziecko: chłopiec.

pieniędzy, temu tylko trzy miejsca stoją otworem: więzienie, szpital i cmentarz." Wydaję szalone sumy na garderobę, na nieuczciwą służbę, na reprezentację. Gdybym żył inaczej, moi grandowie natychmiast obniżyliby mi honoraria. Zresztą pracuję jak muł i chcę mieć coś z tego. A taki już jest ten świat, że bez pieniędzy nie ma radości. Kobiety nie wyciągają ode mnie pieniędzy, ale widzisz, sypiam czasem z wielkimi damami, a one wymagają, żeby ich kochanek wyglądał i zachowywał się jak wielki pan.

Don Martin wiedział, że Francisco lubi otaczać się przepychem i chętnie rzuca pieniędzmi na prawo i lewo, że jednak od czasu do czasu nawiedzają go wyrzuty sumienia i napady chłopskiego skąpstwa. Wiedział, że Goya odczuwał potrzebę pochwał, słów otuchy, i Martin mu tego nie szczędził. Malarz nadworny Francisco Goya — mówił mu Martin — zarabia w jednej godzinie tyle co aragoński pasterz owiec przez cały rok. Czyż nie płacą mu po cztery tysiące realów za portret, który potrafi machnąć w dwa dni? Przecież złoto samo lezie mu w ręce, nie potrzebuje obawiać się o swoją przyszłość.

— Twoja pracownia — upewniał Goyę — jest lepszą podstawą finansową niż mój bank w Saragossie.

Goya pragnął słyszeć więcej jeszcze słów otuchy.

— Wszystko to bardzo dobre i piękne, mój nochalu — rzekł — ale nie zapominaj, że różni ludzie w Saragossie mają do mnie pretensje, a zwłaszcza moi bracia. „Na tłustym serze tuczają się robaki” — przytoczył z goryczą stare przysłowie. — Mojej matce oczywiście niczego nie może zabraknąć, bo po pierwsze, kocham ją, a po drugie, matka nadwornego malarza powinna żyć w dostatku. Ale brat mój, Tomasz, jest zuchwały jak szczur. Czyż nie urządziłem mu pracowni złotniczej przy Calle de Moreria? Czy nie postarałem mu się o zamówienia? Czyż nie darowałem mu tysiąca realów, kiedy się żenił, i trzystu realów przy urodzeniu każdego dziecka? A z Kamilem jest jeszcze gorsza sprawa. Gryzę się trzy razy w język, zanim sam dla siebie o coś poproszę, a dla niego musiałem się upokorzyć, aby mu wyrobić probostwo w Chinchon. Ale jemu wszystkiego za mało. Dziś żąda datku na kościół, jutro na potrzeby plebanii. Kiedy idę z nim na polowanie, zając kosztuje mnie tyle co koń.

Martin słuchał tego wszystkiego już po raz nie wiadomo który.

— Nie gadaj głupstw, Francho — rzekł dobrodusznie. — Takich dochodów jak twoje nie ma niejeden arcybiskup. Ale zróbmy przede wszystkim przegląd twego konta — zaproponował.

— Zobaczysz — zapowiedział Goya — że nie posiadam nawet trzydziestu tysięcy realów.

Martin uśmiechnął się pobłaźliwie: przyjaciel jego miał zwyczaj zależnie od nastroju, rozdmuchiwać liczby lub zmniejszać.

Okazało się, że nie licząc wartości domu wraz z urządzeniem Goya posiadał około osiemdziesięciu tysięcy realów.

— Mizerna suma — zauważył.

— No, no — pocieszał go Martin — bądź co bądź można by nią zatkać niejedną dziurę w zębie. — Rozważał coś przez chwilę. — Być może, że Bank Hiszpanii odstąpiłby ci pakiet akcji uprzywilejowanych, jeśliby hrabia Cabarrus mógł stanąć znowu na czele banku. Byłoby to możliwe tylko dzięki poparciu seniora Jovellanosa, którego odwołanie z wygnania — kończył z uśmiechem — nie nastąpiło bez twego udziału.

Goya chciał oponować, ale Martin uprzedził go zapewnieniem:

— Zdaj się na mnie, Francho, potrafię to załatwić z godnością i taktem.

Francisco rad był, że Martin tak uważnie go słuchał i tak rozumnie radził. Chciał mu się także zwierzyć z ostatniej, najtajniejszej swojej sprawy, ze swoich marzeń o Cayetanie. Ale jakoś mu nie szło, nie znajdował odpowiednich słów. Podobnie jak nie wiedział, co to jest barwa, póki nie odkrył swego szarego tonu, tak też nie wiedział, co to jest namiętność, zanim nie zobaczył Alby wtedy na estradzie. Namiętność to nieudolne słowo; nie wyrażało nic z tego, co przepełniało mu duszę. To było coś, co właśnie nie dawało się wyrazić słowami, i nikt chyba, nawet Martin, nie pojąłby jego bełkotu.

Ku radości Goyi mianowano go rektorem Akademii jeszcze podczas pobytu Martina w Madrycie. Pewnego dnia zjawił się w domu Goyi malarz nadworny don Pedro Maella wraz z dwoma członkami Akademii, aby mu wręczyć dokument nominacyjny. Ci sami ludzie, którzy tak często patrzyli na niego z góry, ponieważ malował według nich nie dość klasycznie, nie tak, jak wymagały reguły, stali teraz przed nim i odczytywali z zaopatrzonego w dumne pieczęcie pergaminu uroczyste słowa, które głosiły jego triumf i sławę. Słuchał ich pełen radości.

Po wyjściu deputacji Francisco nie zdradził się ze swymi uczuciami wobec Josefy ani wobec przyjaciół, Agustina i Martina; powiedział tylko tonem lekceważącym:

— Ta cała historia przyniesie dwadzieścia pięć dublonów

\* Dublon — złota moneta wprowadzona przez Karola V.

rocznie. To tyle, ile otrzymuję za jeden obraz. Ale za to będę musiał przynajmniej raz na tydzień wkładać na siebie strój dworski, odsiadywać nudne godziny z mizernymi partaczami, wysłuchiwać uroczystych bzdur i wygłaszać uroczyste bzdury. „Wielki zaszczyt, mała korzyść” — przytoczył stare przysłowie.

Później, gdy został sam z Martinem, ten powiedział serdecznie:

— Szczęścia i błogosławieństwa ci życzę, szczęścia i błogosławieństwa, senior don Francisco de Goya y Lucientes, malarzu królewski i rektorze Akademii San Fernando. I niechaj Święta Dziewica del Pilar zachowa cię w swej opiece.

— I Święta Dziewica z Atocha — dodał Goya szybko; spojrzął na swoją patronkę i przeżegnał się.

Ale później śmiali się obaj głośno, objawiali hałaśliwie swoją radość i klepali się wzajemnie po plecach. A potem zaśpiewali *seguidillę* o chłopie, który niespodzianie otrzymał spadek. *Seguidilla* miała refren:

A teraz tańczyć, tańczyć, tańczyć!

Tak, kto ma pieniądze, temu wolno tańczyć,

Temu wolno tańczyć *fandango*<sup>1</sup>,

Czy umie, czy nie umie.

I tańczyli obaj *fandango*.

Kiedy skończyli i usiedli zmęczeni, Goya zwrócił się do przyjaciela z prośbą. Liczni jego przeciwnicy, księża i dowcipnisie, utyskiwał, pokpiwają sobie podczas *lever* wielkich dam z jego niskiego pochodzenia. Nawet Andres, jego służący, ta zuchwała szelma, pokazał mu niedawno, niby mimochodem, dokumenty stwierdzające, że on, Andres, jest hidalgiem, *hijo de algo*, szlachcicem. Ale Martinowi wiadomo przecież, że czysta krew hiszpańska rodu Goyów i niezachwiana jego wierność dla religii nie budzą żadnej wątpliwości i że matka Francisca, donia Ingracia de Lucientes, pochodzi z rodziny, której przodkowie sięgają zamierzchłej epoki panowania Gotów. Niemniej, dobrze byłoby mieć w domu dokument stwierdzający to jego czyste pochodzenie. Czyby więc Martin nie zechciał mu zrobić przysługi i nakłonić fray Jerónimo, by ten na podstawie ksiąg kościelnych w Fuendetodos i Saragossie sporządził drzewo genealogiczne jego matki? Takim dokumentem można by na przyszłość zamknąć usta każdemu, kto by wysuwał jakieś wątpliwości.

Fandango — hiszpański taniec narodowy przy akompaniamencie gitary i kastanietów, ze śpiewanymi w przerwach kupletami.

W ciągu najbliższych dni zjawiało się u Goyi wiele osób, aby mu

złożyć życzenia.

Przybyły też w towarzystwie opata don Diego panie Lucia Bermudez i Pepa Tudó. Goya był zaskoczony; czuł się nieswojo i wbrew swemu zwyczajowi był małomówny. Za to Zapaterowi, który był uprzejmy i pogodny, nie zamykały się usta. Agustin, wstrząsany sprzecznymi uczuciami, patrzył posępnym wzrokiem na piękne kobiety.

Pepa znalazła sposobność, by porozmawiać z Franciskiem na osobności. Opowiadała mu swym leniwym głosem, nie bez lekkiego akcentu ironii, że mieszka teraz w pałacyku przy Calle de Antorcha, don Manuel nabył go dla niej ze spadku po zmarłej hrabinie Bondad Real. Don Manuel przyjeżdżał kilkakrotnie z Eskurialu do Madrytu, by ją odwiedzić; zaprosił ją też do swej willi, aby w ujeżdżalni popisać się przed nią swą sztuką jazdy konnej. Goya słyszał już o karierze seniora Tudó, choć puszczał mimo uszu te pogłoski, teraz jednak musiał chcąc nie chcąc wysłuchiwać jej zwierzeń. Pepa opowiadała dalej: don Manuel mówił jej, że Goya otrzyma niebawem zaproszenie do Eskurialu. — Poparłam tę myśl bardzo gorąco — dodała niby mimochodem i z uciechą zauważyła, ile trudu kosztowało Goyę, by nie rzucić się na nią z pięściami.

— Ja sama — oświadczyła swym niedbałym, pieszczotliwym głosem — byłam już też w Eskurialu. — A widząc, że Goya siedzi milczący, blady i wściekły, szczebiotała dalej: — Robimy oboje karierę, don Francisco.

— *Hombre!*<sup>1</sup> — rzekł don Martin po odejściu pań. Mlasnął językiem i powtórzył: — *Hombre!*

Następnego dnia zjawiał się goniec w czerwonych pończochach.

Przywiózł ze sobą pismo zapraszające rektora Akademii don Francisca Goyę do Eskurialu, na dwór królewski.

#### XIV

Trzydzieści mil na północny zachód od Madrytu wznosi się pałac Eskurial, widoczny z dala na ciemnym tle masywu górskiego Sierra Guadarrama. Ogromna, imponująca masa kamienna dźwiga się ku niebu, groźna i ponura, o zimnym, odpychającym przepychu.

\* *Hombre* — dosł. człowiek; tu: wykrzyknik oznaczający tyle co „mój Boże”

Fskurial, po Watykanie i Wersalu najświetniejsza budowla Europy, w oczach Hiszpanów uchodził za ósmy cud świata.

Zamek ten zbudował w drugiej połowie XVI stulecia Filip II, ów władca ponury i fanatyczny, rozpustny i podejrzliwy, biurokrata, nie pozbawiony zmysłu artystycznego. Trojaki cel miał przy tym na oku. Żołnierze jego, walcząc w bitwie pod Saint-Ouentin z wojskami francuskimi, nierozmyślnie zburzyli pociskami klasztor świętego Wawrzyńca. Wawrzyniec był z urodzenia Hiszpanem; jego okrutna, męczeńska śmierć — został żywcem usmażony na ruszcie — uczyniła pamięć jego dla Hiszpanów szczególnie drogą i król Filip, by go przebłagać, zapragnął wznieść świątynię, jakiej świat jeszcze nie widział. Chciał też wypełnić wolę swego ojca, cesarza Karola, który rozporządził w testamencie, aby zbudowano mu grobowiec godny kości jego i cesarzowej. Poza tym Filip postanowił przeżyć ostatnie lata w samotności, sam na sam z Bogiem, wśród mnichów i modłów.

Nie było dla niego rzeczy zbyt kosztownej, aby tę samotnię uczynić godną jego, władcy świata. Z Indii Zachodnich sprowadzał najszlachetniejsze gatunki drewna, z lasów Cuency najdorodniejsze drzewa. W górach Grenady i Araceny kazał łamać marmur brunatny, w górach Filabres zielony i czerwono nakrapiany, w kamieniołomach Burgo de Osma biały jaspis. Pracowali dla niego najlepsi malarze i rzeźbiarze, nie tylko w Hiszpanii, ale we Flandrii, Florencji, w Mediolanie. Po dalekich drogach toczyły się, poprzez siedem mórz płynęły do Hiszpanii transporty przeznaczone dla jego zamku. Własną ręką i własnymi oczyma sprawdzał król każdy szczegół budowy; kiedy przebywał na wyprawie wojennej, kazał przysyłać sobie codziennie raporty. Dochody z całych prowincji zamorskich obracał na budowę.

Zasadniczy plan Eskurialu miał zarysem swoim uzmysławiać narzędzie, którego Bóg użył dla dokonania męczeństwa świętego Wawrzyńca: ruszt żelazny, na którym go spalono. Potężna czworoboczna budowla licznymi dziedzińcami naśladowała odwrócony kształt owego rusztu: cztery narożne wieże wyobrażały cztery jego nogi, a wysunięty naprzód Palacio de Infantes /1 — uchwyt.

W ten więc sposób dźwignięty został potężny gmach, dumny swym surowym, bogobojnym przepychu, pomyślany i wykonany tak, aby mógł trwać w najdalszą przyszłość, równy piramidom, lecz z trwalszego od nich zbudowany materiału: z białoszarego

P a l a c i o de Infantes — pałac infantów.



granitu, wydobywanego w Peralejos. Eskurial miał 16 *patio*<sup>1</sup>, 2673 okien, 1940 drzwi, 1860 komnat, 86 klatek schodowych, 89 wodotrysków, 51 dzwonów.

Eskurial posiadał wspaniałą bibliotekę, liczącą 130 000 tomów i ponad 4000 rękopisów. Szczególnie cenne rękopisy arabskie znalezione zostały na zdobytych okrętach, które wiozły za morze bezcenne skarby sułtana marokańskiego Zidiana. Król Maurów ofiarował za zwrot manuskryptów dwa miliony realów; ale Hiszpanie zażądali ponadto zwolnienia wszystkich chrześcijańskich jeńców. Sułtan nie chciał się na to zgodzić i rękopisy pozostały w Eskurialu. W zamku znajdowały się 204 posągi i 1563 obrazy, między nimi arcydzieła Leonarda, Veronesa i Rafaela, Rubensa i Van Dycka, El Greco i Velazqueza.

Ale bardziej niż z wszystkich tych dzieł sztuki dumni byli Hiszpanie ze skarbów nagromadzonych w *relicario*<sup>2</sup> zamkowym: z świętych relikwii. Było tu 1515 szkatuł i naczyń ze złota, srebra, pozłacanego brązu i najszlachetniejszych gatunków drzewa, wiele z nich gęsto wysadzanych drogimi kamieniami; mieściły one dziesięć doskonale zachowanych szkieletów świętych i męczenników, 144 czaszki, 366 kości rąk i nóg, 1427 poszczególnych palców rąk i nóg. Było wśród tych relikwii ramię świętego Antoniego, noga świętej Teresy, szkielecik jednego z niemowląt zamordowanych przez Heroda. Nie brakło nawet kawałka powroza, którym związany był Jezus Chrystus, dwóch cierni z Jego korony, kawałka octem przepojonej gąbki, którą podał Mu rzymski żołdak, i odłamka krzyża, na którym cierpiał. Było dalej gliniane naczynie, w którym Jezus wodę przemienił w wino, nadto kałamarz świętego Augustyna i jeden kamyk z pęcherza ojca świętego Piusa V. Ponura wieść głosiła, że pewnego razu mnich jakiś, któremu szatan pomieszał zmysły, opróżnił wiele tych drogocennych naczyń z ich zawartości i powyrzucał wszystko na jeden bezładny, tragiczny stos, tak że nie podobna już było odróżnić, które ramię należało do świętego Izydora, a które do świętej Weroniki.

W oddzielnej kaplicy przechowywana była najcenniejsza relikwia Eskurialu, Santa Forma, hostia, w której w sposób przerażający i podniosły objawiła się kiedyś Istota Boska. Kacerze, *zinglianos*<sup>3</sup>, dobrali się do tej hostii, wyrzucili ją na ziemię i podeptali nogami.

<sup>1</sup> Patio — dziedziniec.

<sup>2</sup> Relicario — relikwiarz.

<sup>3</sup> Zuinglianos — Zwinglianie, zwolennicy Ulricha Zwingliego (148-1531), szwajcarskiego reformatora religijnego.

Ale hostia poczęła broczyć krwią, wystąpiły na niej wyraźne krwawe smugi; Bóstwo dowiodło, że żyje w hostii. Stało się to w Holandii; z jednego z tamtejszych klasztorów przewieziono hostię do Wiednia, później zaś do Pragi, do cesarza Rudolfa II<sup>1</sup>. Od Rudolfa nabył ją władca świata Filip; zapłacił wysoką cenę: trzy miasta w Niderlandach i doniosłe koncesje handlowe. Teraz Santa Forma spoczywała w Eskurialu, niedostępna dla oczu kacerzy.

Ceremoniał dworu hiszpańskiego, równie surowy i świetny jak sam Eskurial, dokładnie określał czas pobytu władców Hiszpanii w każdym z ich wielu zamków. W Eskurialu król wraz z dworem powinien był spędzać ściśle określone kalendarzem 63 dni. Karol III, ojciec obecnie panującego króla, stracił życie na skutek skrupulatnego stosowania się do tego regulaminu: mimo objawów zapalenia płuc i przestróg lekarzy przeniósł się w przepisany termin do Eskurialu.

Rozmiłowanego w wygodach Karola IV przygnębiał ponury przepych zamku. Na okres dziewięciu tygodni, które zmuszony był tam spędzać, urządził sobie apartamenty podług własnego, pogodnego smaku; komnaty na parterze, w których Filip II przeżył ostatnie dziesięć lat swego życia, uderzały surowością i klasztorą prostotą. Karol IV zaś zamieszkiwał na piętrze wygodnie urządzone pokoje, pośród wesołych gobelinów i obrazów przedstawiających bawiące się dzieci, figlarne pasterki i gadatliwe, grube kobiety piorące bieliznę.

Ale nawet i ten monarcha, zgodnie z nakazem tradycji, udawał się raz na tydzień do kościoła zamkowego, aby odwiedzić swoich zmarłych przodków. Kroczył przez Patio de los Reyes<sup>2</sup>, gdzie wykute w granicie stały posągi królów Judy: Dawida z harfą i mieczem, Salomona z księgami, Hezekiasza z taranem murarskim, Manasse ze sprzętem mierniczym, Jozafata z siekierą w ręku. Były to narzędzia, przy pomocy których królowie ci zbudowali świątynię w Jerozolimie, a teraz tradycję ich kontynuował Eskurial, stając się dla świata chrześcijańskiego tym, czym była dla narodu Starego Przymierza świątynia Salomona.

Carlos IV mijał posągi królów. Rozwierały się przed nim główne wrota kościoła, które otwierano jedynie dla osób koronowanych, żyjących lub zmarłych. Sztywno, z chmurną, poważną twarzą kroczył, ociążały, wśród tej budowli o szlachetnej harmonii kształtów i choć

Rudolf II Habsburg (1552—1612) — cesarz niemiecki, król węgierski i czeski, prześladowca protestantyzmu.

Patio de los Reyes — dziedziniec królów.

sam miał okazałą postawę, wydawał się karłem na tle tego olbrzymiego gmachu, pod jego gigantyczną kopułą.

Mijając ściany i luki z najrzadszych odmian marmuru schodził w dół, by znaleźć się w Panteon de los Infantes, w mauzoleum książąt, księżniczek i dam królewskich, których dzieci nie zasiadły na tronie Hiszpanii. Schodząc coraz niżej po granitowych schodach, wchodził na koniec do Panteon de los Reyes. Znajdował się teraz w ośmiobocznej hali, w najdumniejszym i najwspanialszym mauzoleum Europy, pośród ścian wyłożonych jaspisem i czarnym marmurem. Właściwy jednak grobowiec mieścił się pod wielkim ołtarzem w Capilla Mayor<sup>1</sup>; kapłan podnoszący hostię stał nad miejscem, gdzie spoczywali zmarli królowie, aby i oni mogli uczestniczyć w akcie łaski.

Tu na koniec, między trumnami z brązu, w których spoczywały prochy jego poprzedników, zatrzymywał się Carlos IV.

Spoglądał na proste, kształtne litery, które głośiły ich imiona, i na obie trumny, próżne jeszcze, czekające na swych mieszkańców. Na jednej z nich widniał napis: „Don Carlos, czwarty tegoż imienia”, na drugiej: „Królowa Maria Luiza”.

Stał tak przez pięć minut, jak nakazywał zwyczaj. Liczył od jednego do trzystu. Potem opuszczał uroczyste sklepienie i wstępował schodami w górę szybko, coraz szybciej. Głośnym krokiem przechodził przez kościół, przez dziedziniec obok królów Judy, z pośpiechem, nie rzuciwszy na nich okiem. Wchodził na górę do swych jasnych, pogodnych komnat. Tutaj, gdzie ze ścian spoglądały wesołe obrazy, szybko zrzucił z siebie ciężki, uroczysty strój i przebierał się — na polowanie.

## XV

Goyi wskazano kwatery nie w samym Eskurialu, lecz w *posada* /2 San Lorenzo. Powinien się był z tym liczyć; Eskurial pomimo swych rozmiarów nie wystarczał na pomieszczenie wszystkich gości zaproszonych na dwór. Niemniej wprawilo go to w zły humor.

Odwiedził go tam don Miguel. Goya zapytał o donię Lucię. Owszem, przybyła tu razem z nim, ma się dobrze; Miguel był dość małowówny. Ożywił się dopiero, gdy rozmowa zesła na tory polityczne.

1/ Capilla Mayor — wielka kaplica.

<sup>2</sup> Posada — dosł. gospoda; tu: willa, oficyna dla gości.

Rokowania pokojowe, opowiadał, prowadzone z Francuzami w Bazylei, nie posuwają się tak, jakby należało sobie *zyczyć*. Francja odmawia zgody na wydanie młodocianych dzieci, syna i córki Ludwika XVI. Hiszpania zaś uważa wyzwolenie dzieci królewskich za punkt honoru i don Manuel nie chce od tego żądania odstąpić.

Później spotkał się Goya z opatem don Diego i z donią Lucią. Opat opowiadał również o sytuacji politycznej. Z wojskowego punktu widzenia, mówił, wojna jest przegrana. Ale jedynie królowa okazuje się rozsądna i skłonna jest zrezygnować z królestw francuskich, aby nareszcie doprowadzić do zawarcia pokoju. Carlos zwleka z decyzją, będąc pod wpływem don Manuela. Ten bowiem marzy o poślubieniu małej królowej francuskiej, aby w ten sposób uzyskać tytuł udzielnego księcia.

— A nasza Pepa umacnia go w tych zamiarach — dodała Lucia; jej nieco przymgłone, szeroko rozstawione oczy wydały się Goyi jeszcze bardziej przebiegłe i szydercze.

— Czy Pepa jeszcze tu jest? — zapytał Goya, niemile zdziwiony.

— Od czasu gdy admirał Mazarredo zwolniony został ze swego stanowiska — wyjaśnił opat — seniora Tudó ma pewne trudności ze swoją pensją wdową. Przyjechała tu, aby starać się u dworu o przychylne załatwienie swej prośby.

— Królowa jest zdziwiona — dodała Lucia — że seniora Tudó nie czeka w Madrycie na rozstrzygnięcie tej sprawy. Ale pan zna przecież naszą Pepę. Przyjechała i ani myśli o powrocie. Wbiła sobie w głowę, że jej Manuel musi poślubić królową francuską. Śpiewa mu co drugi dzień balladę o młodym bohaterze Ramiro porywającym infantkę.

— To pewne — rzekł opat — że obecność seniora Tudó w Eskurialu nie ułatwia zadania naszym delegatom pertraktującym o pokój.

Goya doznał niemiłego uczucia na myśl, że dawna jego przyjaciółka wtrąca się w sprawy panujących. Było to w jego pojęciu niestosowne, wykraczało przeciw ustanowionemu przez Boga porządkowi świata.

— Powinien pan ją odwiedzić, don Francisco — rzekła Lucia z fałszywą życzliwością.

— Mieszka w dolnej *posada*.

Francisco postanowił unikać Pepy.

Następnego ranka wybrał się do Eskurialu, aby zgodnie z obowiązującym zwyczajem być obecnym przy *lever* królowej.

( 111 )

Nie wiedział, czy donia Cayetana ma tego dnia służbę przy Marii Luizie. Nie zdawał sobie sprawy, czy pragnie ją tam zobaczyć, czy też lęka się tego.

Przedpokój pełen był wystrojonych panów i dam. Francisco zauważył opata i ambasadora królewskiej Francji, pana de Havre; był także — na jego widok Francisco spochmurniał — Carnicero, kolega po fachu, ten partacz, zdolny jedynie do efekciarstwa i pobierania słonych cen.

Wreszcie otwarto podwoje sypialni. Przy gotowalni siedziała królowa hiszpańska Maria Luiza. Damy z najwyższej arystokracji pełniły służbę swą ceremonialnie, dokładnie przepisanymi ruchami; oto księżna przynosi spódnicę, hrabina żakiet, markiza wstążki. Poruszeniami jakby cyrklem odmierzonymi, z twarzami umalowanymi jak maski, podchodziły i wracały, podobne do błyszczących lalek, z melancholijnym uśmiechem zastygłym na ustach; Goya patrzył i nie umiałby powiedzieć: jestże ten odwieczny, barwny, uroczysty obrzęd śmieszny czy

wspaniały?

Ale oto spostrzegł Albę i serce zabiło mu gwałtownie. Poruszała się tak jak wszystkie inne i była tak jak inne lalkowato umalowana. Ale inne, odprawiając w tym Eskurialu tradycyjne obrzędy nad grobowcami zmarłych władców świata, grały tylko komedię i były śmieszne; ona zaś, donia Cayetana, znajdowała się tu na swoim miejscu; jej czynności wydawały się wrodzone, odziedziczone.

Don Manuel zawezwał Goyę do siebie. Powiedział mu, iż cieszył się już na myśl, że będzie mógł pozować do nowego portretu: niestety, w tej chwili brak mu czasu. Pertraktacje pokojowe, mówił, same przez się niełatwe, wikłają się jeszcze bardziej wskutek spraw osobistych.

— Nasza wspólna przyjaciółka, seniora Tudó — wyjaśnił — chciałaby mnie widzieć w roli bohatera. Jest to z jej strony bardzo miłe i patriotyczne. Ale przecież nie mogę dopuścić do tego, by kraj krwawił dalej tylko po to, abym mógł sam przed sobą i przed naszą przyjaciółką Pepą odgrywać rolę bohatera. Jestem politykiem. Muszę być posłuszny głosowi rozsądku, mogę ulegać koniecznościom politycznym, ale nie sentymentom.

Goya słuchał go z niemiłym uczuciem. Wietrzył w tym wszystkim znowu jakieś nowe, poniżające żądanie.

— A w dodatku — mówił dalej minister — królowa, przygnębiona myślami o czekających ją ciężkich decyzjach, jest mocno zdenerwowana i drażni ją lada drobiazg, jak na przykład obecność naszej przyjaciółki, seniora Tudó. Seniora zastosuje się oczywiście do życzenia Korony, ale czuje się tym, i nie bez racji, dotknięta. Otóż chciałbym sprawić jej jakąś małą przyjemność, zanim wyjedzie do Madrytu. Może byśmy urządzili znowu przyjemny, swobodny wieczór, jak wtedy, gdy dzięki pana pomocy zawarłem z seniorą tak miłą dla mnie znajomość? Co pan o tym sądzi?

— Czy to pomysł Pepy? — zapytał Goya, z trudem ukrywając niechęć.

— Po części jej, po części mój — przyznał don Manuel. — Pepa wyobraża sobie to w ten sposób, że urządzimy ten wieczór tu w moim mieszkaniu w Eskurialu. Obiecuje sobie szczególnie przyjemną zabawę.

Goya stracił humor do reszty. Czy się tej Pepie w głowie przewróciło? Cóż za pomysł urządzić tak dwuznaczną *tertulię* w najdostojniejszym domu Hiszpanii. „Nie dla kur świątynie” — przyszło mu na myśl stare przysłowie. I do czego on, Goya, jest jej tu potrzebny? Czyżby chciała mu pokazać, jak wysoko zaszła? Uważał jednak, że nie podobna nie przyjąć zaproszenia ministra.

Następnego wieczoru po szerokich, monumentalnych schodach i poprzez długie, mroczne korytarze szedł Goya ponownie do apartamentów don Manuela.

W przedsionku siedziała skulona duenia Pepy, chuda Conchita. Spostrzegłszy Francisca pozdrowiła go uniżenie, ale na jej kościstej twarzy pojawił się bezczelny, poufny uśmiech.

Towarzystwo zebrane u don Manuela składało się z tych samych osób, które obecne były na przyjęciu u doni Lucii; brakło tylko Agustina i przezornego don Miguela. Pepa w skromnej zielonej sukni wyglądała prześlicznie; Francisco, acz niechętnie, musiał to przyznać. Pojmował doskonale, co się w niej działo; rozumiał jej upokorzenie i triumf. Wystarczyło, by odeszła od niego, a zdobyła

wszystko, o czym kobieta może marzyć. Oto stała teraz przed nim z zuchwałą pychą w oczach w najwspanialszym w państwie pałacu, ponad grobowcami zmarłych królów, i wydawała tu swoją prywatną *tertulię*; rozkazała jemu, Goyi, stawić się na niej, a on nie był w możności odmówić. *Trogala, perro!* masz tu, psie, żryj!

Pepa przywitała go swobodnie, tonem życzliwym, lecz obcym:

— To ładnie, że nareszcie pana widzę, don Francisco. Słyszałam, że przyjechał pan tu, aby sportretować ich królewskie mości. Przykro mi, że każą panu czekać. I ja bawię tu w interesach. Ale to, co miałam załatwić, jest już prawie załatwione i mogę choćby jutro wracać do Madrytu.

Goya miał szczerą ochotę chwycić ją za ramiona i porządnie wytarmosić, a na dodatek rzucić jej w beczelną twarz parę dosadnych, obelżywych słów; ale pohamował się z uwagi na obecność don Manuela.

Ten zaś zachowywał się tak, jakby to było rzeczą najnaturalniejszą w świecie, że swój oficjalny, wspañiały apartament w Eskurialu odstąpił Pepie Tudó dla urządzenia w nim swawolnej *tertulii*; był w świetnym humorze, rozmowny, hałaśliwy. Ale wyczuwało się, że swoboda jego nie jest szczerą. Donia Maria Luiza dużo mu wybaczała, ale czy tym razem nie posunął się za daleko?

Natomiast szczerą radość sprawił ten wieczór opatowi, który rozkoszował się obecnością Lucii. Zwolna potrafił zbliżyć się do niej, krążąc przebiegle wieloma okólnymi drogami; patrzyła teraz na sprawy polityczne jego oczyma i znajdowała, tak jak i on, szelmowską przyjemność w ironicznym świętokradztwie tej *tertulii*. Nie śniło się Filipowi II, który tak daleko w przyszłość patrzył, że nad jego grobowcem pierwszy minister państwa będzie się zabawiał ze swą przyjaciółką.

Pepa śpiewała tego wieczoru jedną ze swych romanc, potem drugą i trzecią. Śpiewała romancę o królu don Alfonsie, który zakochał się w Żydówce Raquel la Ferosa z Toledo, w „pięknej Racheli”, i żył z nią siedem lat, zaniedbując królową, angielską księżniczkę Leonorę. Ale grandowie zbuntowali się i zabili Żydówkę.

Król szalał z rozpaczy.

„Moją Żydówkę — śpiewała Pepa — zabrano mi moją Żydówkę, skarżył się Alfonso w swym smutku nieutulony. Tęsknota i żal za Rachelą toczyły jego serce.

Potem jednak pojawił się we śnie anioł i wyrzucał mu jego winę. Król poczuł skruchę i w dowód pokuty zabił tysiąc Maurów.”

Tak śpiewała Pepa. Inni słuchali, zadumani.

— Nasza Pepa — rzekł na pozór bez związku don Manuel — chce ze mnie koniecznie zrobić starohiszpańskiego bohatera. A Pepa, również pozornie bez związku, odpowiedziała:

— Nie mam w sobie ani kropli krwi żydowskiej czy mauretańskiej. Należę do czystej rasy starokastylijskiej. — Przeżegnała się.

— Wiem o tym — przyznał z pośpiechem don Manuel — wszyscy o tym wiemy.

— Śpiewasz teraz lepiej jeszcze niż dawniej, Pepo — rzekł Goya, gdy nadarzyła się sposobność do rozmowy na osobności.

Zielone, zuchwałe oczy spojrzały mu prosto w twarz.

— Moje romancę są piękniejsze niż rzeczywistość — odrzekła.

— Interesujesz się obecnie polityką, jak słyszę? — spytał Goya.

— Nie interesuję się polityką, don Francisco — odparła z miłym uśmiechem — interesuję się Hiszpanią. No, i don Manuelem. Za życia mego świętej pamięci Filipa i później, kiedy żyłam z admirałem interesowała mnie flota, a kiedy byłam w przyjaźni z panem — malarstwo. Przypomina pan sobie, zwróciłam panu raz uwagę, że senior Mazarredo ma na portrecie jedno ramię za krótkie. Teraz interesuje mnie don Manuel. Jest to największy mąż stanu Hiszpanii, dlaczego nie miałby się stać największym na świecie? Ale niech pan nie sądzi, że zapominam o swoich dawnych przyjaciółach. Z mojej inicjatywy don Manuel podsunął królowi projekt, by obsadził ponownie stanowisko pierwszego malarza. Niestety, don Carlos upiera się na razie i chce właśnie tę pensję zaoszczędzić. Goya zachował spokój.

— Ja na twoim miejscu, Pepo — odparł — pozostawiłbym królowi Hiszpanii i Konwentowi Francuskiej Republiki kłopot rozstrzygania, co się ma stać z dziećmi Ludwika XVI.

Pepa nie spuszczała z niego oczu.

— Pan jest mądry, don Francisco — odpowiedziała. — Pan jest inny niż mężczyźni w moich romancach. Umiał pan zawsze zapewnić należyty rozgłos swym dziełom z korzyścią dla siebie. Prawdopodobnie też słuszna jest rada, którą mi pan daje. Zresztą postąpiłam zgodnie z nią, zanim jeszcze mi jej pan udzielił.

Goya pomyślał: „Wyciągnij babę z topieli, a ona powie, że to ty wpadłeś w wodę.” Ale równocześnie, chociaż trudno by mu było wyrazić to słowami, pojmował swym zdrowym, chłopskim, męskim instynktem, co ta kobieta czuje. To, że starała się ukłuc go, dowodziło, jak bardzo jest jeszcze do niego przywiązana. Wystarczyłoby mu mrugnąć na nią, a mimo swej flegmy wskoczyłaby do jego łóżka. A niech się zresztą natrzęsa z niego, niech mu daje odczuć swoją wyższość — czuł litość dla niej.

Był ciekaw, w jaki sposób Manuel i Pepa zakończą ten wieczór. Czy poważą się na to, by spędzić wspólnie noc tu, w Eskurialu, Pod jednym dachem z królową, nad grobami Karola V i Filipa II?

Lucia i opat pożegnali się już. Pepa nie zabierała się wcale do odejścia. Także i Goya powinien był już pójść do domu.

— Dobranoc, don Francisco! — rzekła Pepa swoim miłym, leniwym głosem. — Dobranoc, Francho! — powtórzyła i spojrzała mu prosto w oczy.

Francisco minął przedsionek. Stara duenia, skulona, zaspana, skinęła mu głową, szczerząc zęby w szyderczym uśmiechu, po czym wstała i skłoniła się przed nim głęboko. Goya przeżegnał się. Obecność tej chudej staruchy w Eskurialu wydała mu się bardziej jeszcze bluźnierczą niż noc, którą miał spędzić don Manuel z Pepą.



## XVI

Dla malarza nadwornego don Francisca de Goya y Lucientes przyniesiono do *posada* list z Eskuriału. List brzmiał: „Nie mam jutro rano służby u królowej. Dlaczego nie przychodzi pan nigdy na moje *lever*? Przyjaciółka pana, Cayetana Alba.”

Czekał na tę wiadomość z sercem ściśniętym goryczą. Teraz wszystkie przykre uczucia znikły, jakby ręką odjął. „Przyjaciółka pana, Cayetana Alba”. „*Elle est chatoyante*” — powtórzył w myśli, ale tym razem raczej z odcieniem czułości.

Następnego dnia, zaledwie zjawił się u niej, przyzwała go do siebie skinieniem ręki.

— Dobrze, że pan przyszedł nareszcie, don Francisco — przywitała go — mamy dużo do omówienia. Niech pan zostanie po odejściu innych.

Mówiła to swym dźwięcznym, nieco twardym głosem, z niekłamana serdecznością i tak niefrasobliwie głośno, że wszyscy obecni mogli ją słyszeć.

Było tam niestety dużo innych osób, wśród nich i takie, których Goya wolałby tu nie spotkać. Był oczywiście ów wysoki blondyn, doktor Peral, był także kolega Goyi, ten partacz Carnicero, a dalej fircykowaty markiz de San Adrian, w którego łaskawie uprzejmym sposobie bycia Goya wietrzył zawsze pewien akcent protekcyjnej wyniosłości; był wreszcie toreador Costillares, dla którego podwoje Eskuriału powinny być chyba zamknięte.

A Cayetana miała dla każdego łaskawe i mile spojrzenie. Radosny nastrój Francisca ulotnił się bez śladu, kiedy czekał na nią. Zbywał półgębkiem wszystkich, którzy się do niego zwracali.

Odwrócił się plecami do całego towarzystwa i przyglądał się wiszącym na ścianach wielobarwnym gobelinom.

Małżonkowie Alba zajmowali jeden z niewielu apartamentów, które król polecił urządzić w pogodnym stylu ostatniego dziesięciolecia. Jeden z gobelinów wykonany był podług projektu, który stworzył kiedyś on sam, Francisco de Goya, kiedy jeszcze z troską pogodą chwycił za pędzel. Była to wesoła scena ludowa.

Cztery dziewczęta, roześmiane i rozbawione, podrzuciły na chustce pajaca, *pelele*, wyprawiającego pocieszne skoki. Ugrupowanie było niezłe, ruchy naturalne. Pomimo to nie podobało się Goyi jego dawne dzieło. Te *maje*, dziewczyny z ludu, które podrzuciły pajaca, były nieprawdziwe. Nie były to *maje*, lecz damy dworu, które udawały *maje*, a ich wesołość była sztuczna, szminkowana, sztywna, taka, jaką oglądał przy *lever* królowej. Pocieszne, groteskowe podskoki pajaca były prawdziwsze niż ruchy tych dziewcząt. Owe wesołe maskarady bardzo mu się kiedyś podobały i chętnie brał w nich udział. Inni również brali w nich udział. Paryscy koledzy malowali panów i damy wersalskie jako pasterzy i pasterki tak samo sztywnie i nienaturalnie jak on swych *majów* i *maje*. Niektórym spośród tych wytwornych pasterzy i ładnych pasterek ścięto tymczasem wytworne, lalkowate główki. I on, Goya, chociaż powodziło mu się dziś raczej lepiej niż wówczas, nauczył się niejednego; drażniła go wesołość tej sceny ludowej, wydała mu się teraz głupia i wymuszona.

Bezmyślnie rozradowane twarze na gobelinie nie były właściwie portretami, a przecież nimi były. Mógł na przykład stanowczo upierać się przy tym, że jedną z tych dam nie była Alba, a jednak była to ona. W tej technice nikt mu nie dorównywał; umiał zaznaczyć tylko rysy twarzy, tak aby jednak pozostała ona anonimowa. To Alba podbijała pajaca ze szczególnym rozbawieniem.

— Moi panowie i panie — oświadczyła niespodziewanie szybko Alba — jestem już gotowa. — Łaskawie, lecz stanowczo pożegnała swych gości. — Pan zostanie, don Francisco! — zwróciła się do Goyi.

— Pójdziemy na spacer, Eufemio — powiedziała swojej dueni, gdy goście się rozeszli, i zaprezentowała: — To jest donia Luiza Maria Beata Eufemia de Ferrer y Estala.

Francisco skłonił się nisko i powiedział:

— Zaszczyt to i przyjemność dla mnie poznać panią, donio Eufemio.

W intrydze miłosnej z wielką damą duenia była osobą bardzo ważną, rozdzielającą według swego uznania światła i cienie.

Tymczasem panny garderobiane przysunęły gotowalnię na kołach, zastawioną różnymi słoikami z kremem i flaszeczkami toaletowymi; zamierzona przechadzka wymagała bowiem użycia środków chroniących od słońca. Goya patrzył, jak smagła, owalna twarz Cayetany powleka się nienaturalną bielą; lecz i tak, ze zdumiewająco wysokimi łukami brwi, pozostała swoistą, niepowtarzalną twarzą Alby.

Gdzie on miał wtedy oczy, gdy malował ją do gobelinu z pajacem?

— A którą sukienkę włoży moje jagniątko na spacer? — zwróciła się duenia do Cayetany. — Zieloną paryską czy andaluzyjską, a może tę białą muślinową z Madrytu?

— Białą oczywiście — rozkazała Alba. — I czerwoną szarfę.

Z Goyą nie mówiła teraz więcej; chwila, gdy ją ubierano, wymagała niepodzielnej uwagi. Było zwyczajem dam madryckich robić toaletę w obecności mężczyzn, przy czym nie ukrywały swych ramion, pleców, piersi; zgodnie ze starym obyczajem uważały tylko na to, by ich nogi pozostały niewidoczne. Donia Cayetana nie zakrywała nóg. „Jeśli nóżka dziewczyny nie mówi ci «nie», to i wszystko inne wkrótce będzie twe” — przypomniał się Goyi swawolny refren starej *tonadilli*.

Goya wprawnym okiem, rzeczowo, mimo namiętności i pożądania, wchłaniał w siebie skomplikowaną ceremonię porannej toalety. Kierowała nią troskliwie duenia. Donia Eufemia była kobietą chudą i wysoką, jej duża twarz o pochyłym czole, spłaszczonym nosie i wydętych wargach była osadzona na długiej, wrzecionowa tej szyi. Alba odnosiła się do czarno ubranej, dostojnej staruchy chwilami władczo jak do niewolnicy, chwilami z żartobliwą, niemal zdrożną poufałością.

Biała muślinowa suknia była krótsza, niż to właściwie było dozwolone; nie wlokła się po ziemi, była to suknia najstosowniejsza do pieszej przechadzki. Przepasana była czerwoną szarfą; bujne czarne włosy ujęte zostały w cienką siatkę.

Orszak, który donia Cayetana zwykła była zabierać z sobą, stał już w pogotowiu; paź Julio, chłopak dziesięcioletni z bladą twarzą, spiczastym nosem i zuchwałymi oczami, i mała, może pięcioletnia Murzynka, Maria Luz. Duenia trzymała parasolkę, paź puszkę z pudrem i perfumami, Murzynka wzięła na ręce don Juanita, malutkiego pieska o białej wełnistej sierści.

Niewielka ta procesja z Cayetaną i Goyą na czele przedelfilowała przez monumentalne korytarze, zesłała głównymi schodami na dół i wyszła do ogrodu. Droga prowadziła krętymi, żwirem wysypanymi ścieżkami, pośród grządek kwiatnych i żywopłotów z bukszpanu i cisów; z tyłu za nimi wznosił się surowy masyw zamku.

Niebawem donia Cayetana opuściła obręb ogrodów i weszła na ścieżkę, która, zwężając się szybko, prowadziła w górę do ustronia

królewskiego, *silla del Rey*; był to występ skalny, z którego roztaczał się słynny widok na Eskurial.

Powietrze było świeże i rześkie, na przesyconym światłością niebie stało blade słońce; wiał łagodny wietrzyk. Alba w lekkich pantofelkach stąpała mocno i z widoczną przyjemnością, stawiając stopy na zewnątrz, jak tego wymagała moda; zwinięty wachlarz trzymała w lewej ręce, lekko nim bujając. Drobna, pełna wdzięku, o ruchach zdecydowanych, kroczyła wąską kamienistą ścieżką, wznoszącą się łagodnie wśród szarego pustkowia ku podnóżom gór Guadarrama.

Za nią, nieco z boku, postępował Goya. Gości zaproszonych do Eskurialu obowiązywał dworski strój; Goya poruszał się sztywno w zbyt obcisłym ubraniu; kapelusz, spada i peruka przeszkadzały mu. Przed sobą widział drobną postać Alby; czerwona szarfa piśczołliwie opasywała linie jej bioder. Szła przed nim zgrabna, wyprężona, smukła; nie był to chód, nie było to stapanie, nie był to płas; trudno było słowami określić sposób, w jaki się poruszała.

Droga wznosząca się przez zalaną słońcem, szarobrazową, miejscami białawą pustynię kamienną wydała się Goyi długa. Czarno ubrana duenia z godnością i bez słowa skargi wlokła swe stare kości, paż Julio ze znudzoną miną niósł perfumy i słoiki z pudrem, Murzynka Maria Luz wybiegała już to naprzód, już to pozostawała w tyle, psiak donośnym szczekaniem objawiał swe niezadowolenie i co chwilę kazał się sadzać na ziemi, by się załatwić. Goya zdawał sobie sprawę ze śmieszności tego pochodu, który barwny, strojny, fircykowaty, ciągnął przez to odwieczne pustkowie.

Alba zagadnęła go przez ramię.

— Czy seniora Tudó mieszka w tej samej willi co pan? — spytała go.

— Seniora Tudó wyjechała już podobno — odpowiedział siląc się na obojętność.

— Słyszałam — mówiła dalej — że urządził pan piękny wieczór dla seniory Tudó. Czy też wydał go może don Manuel? Niechże pan opowie coś o tym i nie będzie tak pedantycznie dyskretny. Don Manuel jest uparty, ale i ta Włoszka nie należy do ustępliwych. Jak pan sądzi, kto z nich dwojga zabije swego byka?

— Za mało jestem wtajemniczony w te sprawy, księżno — odparł sucho.

— Niechże pan przynajmniej nie nazywa mnie księżną — zażądała.

Doszli do występu skalnego, do *silla del Rey*, ulubionego miejsca

odpoczynku króla Filipa, z którego zwykł był patrzeć na zamek dźwigający się z fundamentów. Alba usiadła, położyła zwinięty wachlarz na kolanach, duenia i dzieci usiadły tuż za nią. Goya pozostał w pozycji stojącej.

— Niech pan też usiądzie — rozkazała mu przez ramię. Przysiadł na ziemi, skurczony, niezgrabny, szpada płątała mu się między nogami, czuł pod sobą ostre, kłujące kamyki.

— *Cubrios*, proszę nakryć głowę — rozkazała; nie wiedział, czy z rozmysłem, czy przypadkowo, na serio czy ironicznie użyła tej samej formuły, którą król wyróżniał swoich dwunastu pierwszych grandów.

Siedziała teraz na kamiennej ławeczce niczym delikatna, kapryśna figurka i patrzyła ponad migocącą pustynią na zamek. Tak samo siedział tu być może kiedyś jej sławny przodek, wzywany nieraz przed oblicze swego fanatycznego władcy, króla Filipa; może ów Alba rozmyślał tu nad wykonaniem poleceń, których udzielał mu król we właściwy sobie cichy i uprzejmy sposób, na przykład nad rozkazem dokonania napadu na jakieś nieposłuszne państwo lub spustoszenia jakiejś heretyckiej prowincji.

Alba siedziała cicha, nieruchoma; pozostali również zachowywali milczenie, urzeczeni migotliwym, mieniącym się blaskiem rozległej pustyni, z której wyrastał zamek, zastygły i martwy jak sama pustynia.

Goya wpatrywał się wraz z innymi w kamienne pustkowie. Nagle zobaczył coś, co się ku niemu posuwało, jakąś istotę nieokreśloną, nierealną, chimeryczną, a jednak zupełnie wyraźną; była biaława i szarawobura jak otaczająca ją pustynia. Czy to jakaś olbrzymia ropucha lub żółw? Nie! Miała ludzką głowę, która wytrzeszczała wylupiaście ślepia. Wolno, lecz niepowstrzymanie potwór zbliżał się ku siedzącym, szczerząc zęby w szerokim, przyjaznym, szatańskim uśmiechu, pewny siebie i swojej zdobyczy. Ach, trzeba wstać i odejść stąd czym prędzej, dlaczego wszyscy siedzą? Niektóre złe duchy włączają się tylko po nocach, ale są i takie, którym dopiero światło dzienne daje siłę. Widuje się je rzadziej, za to są dużo groźniejsze. Goya znał tego upióra, który oto w biały dzień pełźnie ku niemu. Słyszał o nim, gdy był jeszcze małym chłopcem; nadawano mu różne niewinne, czasem nawet przyjemnie brzmiące nazwy, jak *El Yantar*,. obiad, lub jeszcze wdzięczniej: *La Siesta*<sup>1</sup>. Ale był to upiór złośliwy i podstępny, choć szczerzył zęby i wyglądał przyjaźnie. Pokazywał

1/ *La Siesta* — spoczynek południowy.

{ 120 >

się tylko w pełnym słońcu; trzeba było wówczas zdobyć się na wysiłek, wstać i zejść mu z drogi.

Ale w tej samej chwili Alba zaczęła coś mówić i upiorna ropucha rozplynęła się gdzieś bez śladu. Pustynia leżała znów nieruchoma i bezludna.

— Wie pan — zagadnęła go — że tym razem w Eskurialu spotka mnie coś niezwykłego?

— Skąd pani to na myśl przyszło? — spytał Goya.

— Powiedziała mi to moja Eufemia — odparła Cayetana — a ona zna się na tych rzeczach. Umie przepowiadać przyszłość. Zadaje się z czarownicami. Kiedyś, gdy mnie rozgniewa, oskarżę ją przed inkwizycją.

— Nie opowiadajże takich bluźnierstw, jagniątko mojej duszy — prosiła duenia. — Pan malarz jest człowiekiem mądrym i rozumie się na żartach. Ale pani, jeśli się zapomni, gotowa to powiedzieć przy innych.

— Opowiedz nam coś, Eufemio — rozkazała Alba. — Opowiedz coś o tych, którzy zginęli żywcem zamurowani w podziemiach Eskurialu.

— To stare historie — odpowiedziała duenia — i don Francisco już je z pewnością zna. Ale Cayetana rozkazała:

— Nie certuj się!

Eufemia zaczęła opowiadać:

— Pewien młody człowiek we wsi San Lorenzo, imieniem Mateo, złorzeczył na wysokie daniny, które mnisi nałożyli na chłopów, i w ogóle był kacerzem. Braciszkwowie złożyli na niego donos. Wówczas Mateo zamienił się w czarnego psa i wył całymi nocami, aby podburzyć wieśniaków przeciw zakonnikom. Ale braciszkwowie schwytali psa i powiesili go na dachu klasztoru. Wtedy pies przybrał znowu inną postać i zjawił się we wsi jako dorodny, młody wojak, który opowiadał, że zabił stu dwudziestu siedmiu Maurów, i również zaczął podburzać ludzi przeciw zakonnikom. Pewien uczoney mnich wykrył jednak, że ów wojak, pies i dawny Mateo to jedna i ta sama osoba, i doniósł o tym inkwizycji. Gdy siepacze przybyli do wsi, wojownik zamienił się na powrót w psa. Wówczas braciszkwowie schwytali psa i zamurowali go żywcem w fundamentach nowodobudowanej części gmachu; działo się to bowiem w czasie, kiedy z klasztoru powstawał Eskurial. Jeszcze teraz — kończyła stara — słychać tam nieraz szczekanie psa, zwłaszcza podczas pełni księżyca.

— Bardzo ciekawa historia — rzekł Francisco.

— Poza tym — powiedziała Alba przez ramię do Francisca — jest jeszcze druga taka, która mi przepowiada przyszłość, dawna pokojówka mojej babki. Ta pokojówka, Brygida było jej na imię, została spalona na stosie jako czarownica. Było wielu takich, którzy mówili, że jest niewinna, ale kiedy kat poprosił ją o pocałunek przebaczenia, odmówiła mu — dowód niewątpliwy, że była naprawdę czarownicą. Otóż ona przychodzi czasem do mnie i uprzedza o czymś, co ma się stać. Jest bardzo biegła w przepowiadaniu przyszłości.

— I co takiego przepowiedziała pani? — zapytał.

— Że nie dożyję starości — odparła Alba poważnie — i że muszę korzystać z czasu, jeśli chcę mieć coś z życia.

Zwróciła ku niemu głowę i spojrzała swymi dużymi oczyma o metalicznym blasku.

— Wierzy pan w czarownice? — spytała go.

— Oczywiście rzecz, że wierzę w czarownice — odparł rubasznie: powiedział to w prostackim, rodzimym narzeczu, którym się czasem posługiwał. — Oczywiście — powtórzył. — Wierzę w czarownice.

## XVII

Dni upływały, a Francisco nie widział Cayetany i nie słyszał o niej. Siedział w swoim pokoju w *posada* i czekał. Narysował z pamięci południowego upiora, narysował go drugi i trzeci raz. „*Elle est chatoyante*” — powtarzał sobie w duchu.

Nagle, nieoczekiwanie, poproszono go, by przeniósł się do zamku. Zląkł się i zarazem ucieszył, przypuszczając, że to ona wyrobiła mu tę łaskę. Było jednak inaczej, sam król życzył sobie widzieć go w Eskurialu. Minęło ostre naprężenie polityczne, konflikt między Marią Luizą a Manuelem został załagodzony, król miał teraz więcej czasu i ochoty, by pozować Goyi do portretu.

Carlos wysoko cenił Goyę. Mimo wygodnego, flegmatycznego usposobienia dbał o reprezentację. Poza tym tradycyjna misja władców Hiszpanii popierania sztuk pięknych, a szczególnie malarstwa — nie była dla niego jedynie obowiązkiem. Myśl, że pamięć o nim żyć będzie w obrazach dobrych malarzy, sprawiała mu przyjemność.

Naradzał się z Goyą gorliwie, jak ma się tym razem dać malować. Chciał mieć trzy reprezentacyjne portrety, które każdemu z poddanych od razu przywiodłyby na pamięć podpis królewski: *Yo el rey*. Ja, król!

Goya podziwiał zawsze mistrzostwo Velazqueza, któremu na portretach Filipa udało się przenieść blask majestatu płaszcza królewskiego na oblicze władcy. Nauczył się od Velazqueza stapiać człowieka z jego strojem w jednolitą całość. Malował już Carlosa w czerwonym, niebieskim i brązowym fraku, ze złotym i ze srebrnym haftem, z wstęgami i gwiazdami, w purpurze i w gronostajach, w mundurze gwardii przybocznej, pieszej i konnej. I nieraz już udawało mu się z dobroduszej, nieco pospolitej, silącej się na godność twarzy króla Carlosa i z jego dostojnego stroju, z przyciśniętego do piersi podwójnego podbródka, obfitego brzucha i błyszczących gwiazd orderów stworzyć coś nowego, coś organicznie jednolitego, coś, co dawało widzowi pojęcie królewskości, choć artysta nie starał się zatuszować rozlewnej, zażywej postaci Carlosa. Cieszyła go myśl, że znajdzie teraz nowe warianty znanego mu dobrze tematu.

Król zaś rozumiał, że powinien ułatwić zadanie swemu malarzowi, i wytrzymywał cierpliwie nużące nieraz pozy. Nie prosił o przerwy, ale wdzięczny był za nie. W takich chwilach gawędził z Goyą przyjaźnie i poufnie, jak Hiszpan z Hiszpanem. Czasem zdejmował z siebie ciężki królewski frak i rozsiadał się wygodnie w szerokim fotelu albo chodził po pokoju w samym tylko kaftanie i spodniach. Ukazywały się wtedy łańcuszki od zegarków; król często opowiadał Goyi o swoich zegarkach. Pod jednym względem, mówił pół żartem, pół serio, prześcignął swego wielkiego poprzednika, cesarza Karola; doprowadził bowiem do tego, że jego zegarki wskazują ten sam co do sekundy czas. I z dumą wyciągał je, porównywał, nasłuchiwał, pokazywał Goyi i kazał mu także słuchać. Ważne jest, tłumaczył mu, aby zegarki nosić zawsze przy sobie. Zegarek potrzebuje bliskości ciała ludzkiego, aby móc należycie funkcjonować, jest bowiem podobny do człowieka. Dlatego też król dbał o to, aby najulubieńsze jego zegarki były stale przez kogoś noszone; te, których nie miał przy sobie, kazał nosić swemu kamerdynerowi.

Goyi wystarczyłyby trzy lub cztery posiedzenia na wykonanie zamówionych portretów; mając swe szkice oraz stroje i uniformy króla, które kazałby sobie przynieść, pracowałby prawdopodobnie nawet szybciej i lepiej. Carlos wszakże nudził się w Eskurialu i posiedzenia z malarzem uważał za miłą rozrywkę; pozował przez pięć czy osiem dni z rzędu, dwie do trzech godzin każdego ranka. Rozmowy z Franciskiem sprawiały mu widoczną przyjemność. Wypytywał go o dzieci i opowiadał mu o swoich. Mówił o polowaniu lub



rozwoził się nad swymi ulubionymi potrawami, przy czym nigdy nie zapominał wychwalać wybornych szynek, które sprowadzał z Estremadury, ojczyzny kochanego Manuela.

Wreszcie królowa oświadczyła, że Carlos już dosyć długo zatrudnia Goyę swą osobą i że teraz ona pragnie mieć go dla siebie.

Donia Maria Luiza była w dobrym humorze. Wiadomość o „orgii” urządzonej w Eskuriale przez Pepę nie wywołała w niej takiego oburzenia, jak się spodziewano. Najważniejsze było dla niej to, że ten „babsztyl” wreszcie się wyniósł i że mogła znów, bez ujmy dla swej godności, cieszyć się bliskością Manuela. Ten zaś odczuwał ulgę, że Maria Luiza nie urządziła mu sceny, której się obawiał. Myślał też z zadowoleniem o tym, że przez jakiś czas nie będzie musiał wysłuchiwać nalegań Pepy, by odegrał rolę bohatera. Przebiegła Maria Luiza okazała się poza tym niezwykle wspaniałomyślna. Udawała, że to on, Manuel, sam już od dawna czynił wysiłki, aby doprowadzić do zgody z Republiką Francuską, wychwalała go wobec grandów i ministrów jako męża opatrnościowego, który przyniesie Hiszpanii pokój. Przyjaźń królowej z pierwszym ministrem była teraz ściślejsza niż kiedykolwiek przedtem.

Toteż Goya zastał Marię Luizę w pogodnym i łaskawym nastroju. Malował jej portret przed dziesięciu blisko laty, kiedy była jeszcze następczynią tronu. Wtedy, mimo ostrych rysów i brzydoty, mogła się podobać mężczyznom. Dziś, choć starsza i brzydsza, wciąż jeszcze chciała przodować nie tylko jako królowa, ale i jako kobieta. Ze wszystkich stolic Europy sprowadzała stroje, bieliznę, drogocenne maści, wonne olejki, perfumy. Na noc nakładała na twarz maskę z ciasta zaprawionego dziwnymi tłuszczami, trenowała ze swym tancmistrzem i z łańcuszkami pętającymi kostki u nóg przechadzała się tam i na powrót przed zwierciadłem, aby poprawić swój chód. Z królewską bezwstydną opowiadała Goyi, ile trudów kosztują ją owe kobiece zabiegi. Goyi imponowała jej nieposkromiona energia; postanowił namalować ją taką, jaką była: brzydką, ale interesującą.

Brak mu było madryckiej pracowni, a szczególnie Agustina i jego rad, jego mrukliwej nagany, jego usług; ale wobec ciasnoty w Eskuriale trudno było prosić o zaproszenie dla przyjaciela.

Don Manuel podarował królowej niedawno na znak pojednania ogiera Marciała, chlubę swoich stajen; na tym koniu chciała dać się malować dla niego. Ale Goya zmiarkował rychło, że nie podoła tak ogromnemu malowidłu bez pomocnika, i to jeszcze w krótkim

wyznaczonym mu czasie. Uzasadnione było więc jego żądanie sprowadzenia do pomocy ucznia i przyjaciela don Agustina Esteve.

Zjawił się Agustin. Witając przyjaciela wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Dotkliwie odczuwał nieobecność Goyi i rad był, że Francisco wystarał się dla niego o zaproszenie do Eskurialu.

Ale niebawem zauważył, że Goya chwilami załamywał się nagle wśród pracy, że z udręką czekał na coś, co nie przychodziło. Wkrótce też, ze słów Lucii, Miguela, opata, zrozumiał, co się święci, jak rozpaczliwie, jak beznadziejnie uwikłał się tym razem Francisco.

Począł wytykać błędy i braki w pracy przyjaciela. Portrety króla nie wypadły jego zdaniem tak, jak mogły i powinny były wypaść. Świadczą one wprawdzie o pracowitym wysiłku, ale nie o wewnętrznym skupieniu. Są to portrety czysto reprezentacyjne, a to jest za mało dla dzisiejszego Goyi.

— Domyślam się — oświadczył — dlaczego pan tak partaczy. Pochłaniają pana zanadto sprawy uboczne. Serce pana nie jest przy pracy.

— Ty przemądrzały gaduło, ty zawistny ozorze, ty wykolejony studencie! — replikował Goya, jeszcze dość spokojnie. — Wiesz doskonale, że te obrazy są równie dobre jak wszystkie inne portrety don Carlosa malowane przeze mnie.

— Zupełna racja — odparł Agustin — i właśnie dlatego są złe. Dzisiaj umie pan dużo więcej niż dawniej. Powtarzam: jest pan za leniwy!

Pomyślał o Lucii i złość jego jeszcze się wzmogła.

— Jest pan już za stary na przygodne miłości! — rzekł wrogo. — Wiele pan się jeszcze musi uczyć, a nie ma pan dużo czasu przed sobą. Jeżeli tak dalej pójdzie, to wszystko, co pan zrobił, zostanie lichą łataniną, a pan sam będzie jak wyczerpany szyb górniczy.

— Mów dalej — odpowiedział Goya złowrogo ściszonego głosem. — Dziś dobrze słyszę, dziś mogę wysłuchać cię do końca.

— Masz niewiarygodne i niezasłużone szczęście — mówił dalej don Agustin, niestropiony. — Król pozuje ci do portretu raz i drugi, i trzeci, rozbiera się przed tobą do kaftana, pokazuje ci swoje zegarki i każe ci słuchać ich tykania. A czy ty wyzyskałeś tę jedyną sposobność, by zajrzeć w głąb duszy tego człowieka? Czy namalowałeś twarz don Carlosa tak, jak my, patrioci, ją widzimy? Zaślepia cię pusta zmysłowość i nie widzisz nawet tego, co widzi każdy laik. *Que verguenza!* Ponieważ Carlos opowiada ci łaskawie o szynkach

z Estremadury, uważasz go za wielkiego monarchę i do urzędowego fraka, do złotego runa domalowujesz dostojną twarz.

— Tak — rzeki Goya wciąż jeszcze zadziwiająco spokojnie — teraz powiedziałeś swoje. Ale ja odeślę cię natychmiast z powrotem do domu, i to na najstarszym mule, jaki się znajdzie w San Lorenzo

Spodziewał się obelżywej odpowiedzi. Oczekiwał, że Agustin wyjdzie i trzaśnie drzwiami z taką siłą, że Eskurial zadrży. Ale nie stało się nic podobnego. Wzrok Agustina padł na rysunek, który Goya wyjął przez pomyłkę z szuflady wraz ze szkicami do portretów króla; szkic ten przedstawiał *El Yantar*, upiora południa. Agustin długo wpatrywał się w rysunek.

Goya rzekł z niezwykłym u niego zakłopotaniem;

— To nic! To tylko tak nasmarowałem. Po prostu kaprys. *Capricho*.

Od tej chwili Agustin nie mówił już więcej o nowej przygodzie miłosnej Francisca i o tym, że zaniedbuje swą sztukę. Przeciwnie, kiedy przy wspólnej pracy omawiali szczegóły techniczne, dobierał słów delikatnych i ostrożnych. Francisco sam nie zdawał sobie sprawy, czy było mu to przyjemne, czy przykre, że Agustin tak głęboko przejrzał udrękę jego serca.

Królowa Maria Luiza paradowała przed Goya na swym ogierze Marcialu, jako szef honorowy regimentu gwardii przybocznej. Siedziała na koniu po męsku w wojennym uniformie; była dobrym jeźdźcem; wysoko i śmiało unosiła głowę.

Wystarczyłoby zupełnie, gdyby w czasie dalszych posiedzeń pozowała na drewnianym koźle. Ale Goyi sprawiało złośliwą przyjemność, że mógł jej rozkazywać, by po raz drugi i trzeci popisowała się przed nim swą sztuką jazdy konnej, i to w obecności Agustina. Królowa musiała jak na komendę zawracać konia to w jedną, to w drugą stronę, trzymać głowę raz w taki, raz w inny sposób. Przy tym Goya wysuwał Agustina na przedni plan, podkreślając jego udział w obrazie, który miał malować.

— Jak myślisz, Agustinie — pytał go — czy zostawić to tak jak teraz? Czy może uważasz, że lepiej będzie tak?

Kiedy przed wielu laty portretował po raz pierwszy jednego z wielkich panów, namalował siebie na drugim planie jako małą postać podającą grandowi zamówiony portret. Dziś, aby sprawić przyjemność swemu przyjacielowi, uczniowi i pomocnikowi, kazał królowej Hiszpanii popisować się sztuką jazdy konnej, zanim raczył zabrać się do malowania portretu. Jaka szkoda, że jego ojciec, stary Goya, nie dożył tej chwili. O, ten by dopiero wybałuszył oczy.

## XVIII

Goya szedł korytarzem, który prowadził z apartamentów doni Luizy do jego pokoju. Wracał od królowej; lokaj w czerwonych pończochach niósł za nim przybory malarskie. Naprzeciw niego szła swym zdecydowanym krokiem Alba, drobna, zgrabna; towarzyszyła jej donia Eufemia.

Kolana pod nim zadrżały, zdawało mu się, że ziemia się chwieje. Alba zatrzymała się.

— Dobrze, że pana spotykam, don Francisco — rzekła. I powoli, wyraźnie mówiła dalej po francusku: — Nie wytrzymam już dłużej w tym Eskurialu, wyjeżdżam na dzień lub dwa do Madrytu. Chcę wyjechać w środę. Będzie pan tam także?

Dreszcz ogromnego, przerażającego szczęścia przeszył Goyę. Oto nadeszło spełnienie. Obietnica z dokładnie określoną godziną, na środę, na środę w nocy. Ale natychmiast, w tej samej chwili, przypomniał mu jego chłopski, trzeźwy rozsądek, że właśnie wtedy nie będzie wolny. Królowa miała mu pozować właśnie w czwartek z rana. Jeżeli się nie stawi, kariera jego będzie złamana. Nigdy już nie będzie mógł malować nikogo z członków dworu, nigdy już nie zostanie pierwszym malarzem króla. Zapadnie się z powrotem w nicość. Ale jeśli tej oto kobiecie natychmiast, jak długo jeszcze unosi się w powietrzu jej ostatnie słowo, nie odpowie, patrząc w tę wyniosłą, szyderczą, precudną twarz, uszczęśliwionym „tak”, odejdzie od niego tym samym korytarzem i straci ją na zawsze.

Wydało mu się, że Alba robi już nieznaczny, ledwie dostrzegalny ruch, aby odejść, i że szyderczy wyraz jej ironicznych ust odrobinę się zaostrzył. Zrozumiał, że ta niesamowita kobieta wie dokładnie, co się dzieje w jego duszy. Zdjął go lęk, że przegrał sprawę. Pospiesznie, ochrypłym głosem, urywanymi słowami, zapytał po hiszpańsku:

— Czy dobrze panią zrozumiałem? Wolno mi zatem będzie w środę wieczorem złożyć pani uszanowanie w Madrycie? Odpowiedziała mu, jak przedtem, po francusku:

— Zrozumiał pan.

Sam dobrze nie wiedział, jak doszedł do swego pokoju. Upadł ciężko na krzesło, przez dłuższą chwilę siedział bez myśli, bez ruchu. Odczuwał tylko jedno: „A więc rozstrzygnęło się, rozstrzygnęło się.”

Później jednak zaczął zastanawiać się nad tą sprawą z chłopską przebiegłością. Nie widział w tym nic dziwnego, że los żąda od

niego wysokiej ceny za noc z Albą; ale czyż koniecznie ma za nią zapłacić całą swoją karierą? Znajdzie chyba jakiś ważny, dostatecznie przekonujący powód, aby móc odwołać seans u królowej. Na przykład, że ktoś zachorował, śmiertelnie zaniemógł, ktoś z jego najbliższej rodziny. Każe sobie przysłać przez umyślnego wiadomość podobnej treści i przedłoży ją pierwszemu szambelanowi królowej.

— Kiedy nareszcie wybierzesz się do Madrytu, do Ezquerry? — spytał w godzinę później Agustina ze sztuczną trochę opryskliwością. — Jak długo jeszcze każesz mi czekać na farby? — Agustín spojrział na niego ze zdumieniem.

— Wystarczy nam jeszcze farb co najmniej na trzy lub cztery dni — odparł. — Zresztą każdego dnia może to załatwić goniec. Jeżeli mu dam dokładne instrukcje, Ezquerria zorientuje się doskonale.

Ale Goya nalegał z ponurym uporem:

— Pojedziesz do Madrytu! I to dziś jeszcze!

— Zwariowałeś? — sprzeciwił się Agustín. — Zobowiązałeś się wykończyć portret na imieniny don Manuela. Sam żądałeś od królowej tych czterech seansów. I każesz mi teraz wyjechać?

— Pojedziesz do Madrytu! — rozkazał Goya. I głosem ochrypłym, lecz bardziej jeszcze opryskliwym i stanowczym dodał: — Dowiesz się tam, że moja mała Elena poważnie zachorowała i że Josefa prosi, abym natychmiast przyjechał. Agustín, zdumiony, odparł:

— Nie rozumiem ani słowa.

— Wcale nie jest konieczne, byś rozumiał — odpowiedział niecierpliwie Goya. — Przywieziesz mi wiadomość, że moja Elenita zachorowała. I na tym koniec.

Agustín chodził tam i na powrót sztywnymi krokami, zmartwiony, pogrążony w myślach.

— A więc chcesz odwołać seans u królowej — rozumował słusznie — chcesz sam wyjechać do Madrytu.

Goya odpowiedział udręczonym, błagalnym niemal głosem: — Muszę wyjechać do Madrytu! Życie moje od tego zależy!

— I nie możesz znaleźć jakiegoś innego pretekstu? — zapytał z ociąganiem Agustín.

Goya sam się teraz przestraszył, że taki powód wymyślił, ale nie umiał znaleźć innego.

— Nie odmawiaj mi teraz pomocy — prosił Agustína usilnie. — Wiesz dobrze, jak pracuję, kiedy mam termin na karku. Portret

128 >

będzie na czas gotowy. I będzie dobry. Nie zostawiaj mnie teraz bez pomocy.

Od chwili gdy Agustín widział rysunek wyobrażający upiora południa, zdał sobie sprawę, że Francisco zamierza popełnić jedno z największych szaleństw swego życia i że nikt i nic nie potrafi powstrzymać go od tego.

— Dobrze — rzekł przygnębiony. — Pojadę do Madrytu. Przywiozę ci list.

— Dziękuję — powiedział Goya. — I staraj się zrozumieć — prosił.

Po odejściu Agustína Goya usiłował malować. Umiał narzucić sobie dyscyplinę, ale dziś nie był w stanie skupić myśli; krążyły dokoła czekającej go nocy w Madrycie i tego, co ona przyniesie. To wpadał w rozmarzenie, to znów wymawiał najplugawsze słowa i wyobrażał sobie najsprośniejsze sceny, o jakich słyszał i jakie widywał w podmiejskich spelunkach.

Później spotkał się z Lucią i opatem. Poczuł na sobie lekko ironiczne spojrzenie Lucii. Chociaż nie wątpił, że zdobył nie lada umiejętność w obchodzeniu się z kobietami, czy to z księżnymi, czy z dziewczkami, nie mógł pozbyć się troski, że właśnie w środę w nocy zachowa się niezdarnie i głupio. Zazdrościł opatowi jego zręczności i oglady, którą dawniej tak często wyśmiewał. Bał się śmiechu Alby, a bardziej jeszcze jej uśmiešku.

Późno po północy, gdy Goya leżał znużony niespokojnym snem, Agustin stanął w drzwiach, zakurzony, w podróżnej odzieży. Za nim stał lokaj z pochodnią w ręku.

— Tu jest list — powiedział i zdawało się, że waży w ręce jakiś ciężki przedmiot.

Francisco uniósł się na posłaniu. Wziął list i nie otwierając trzymał go również tak, jakby ważył coś ciężkiego.

— List jest tej treści, jak ci potrzeba — rzekł Agustin.

— Dziękuję — odpowiedział Goya.

Nazajutrz rano oświadczył pierwszemu szambelanowi królowej, markizowi de Vega Inclan, że ku swemu najgłębszemu ubolewaniu zmuszony jest zrezygnować z najlaskawiej mu przyobiecanych posiedzeń u doni Marii Luizy; wyjaśnił powód i wręczył otrzymany list. Markiz wziął list, nie czytając odłożył go na bok i powiedział:

— Jej królewska mość i tak byłaby zmuszona odwołać dalsze posiedzenia. Infant Francisco de Paula zachorował poważnie.

Goya pobladł, osłupiałym wzrokiem patrzył na markiza. Potem wybelkotał parę słów i wyszedł z pokoju chwiejnym krokiem, spieszniej, niż wypadało. Szambelan patrzył za nim z odrazą. „Cóż za maniery mają ci artyści! — pomyślał. — I takich trzeba znosić tu, w Eskurialu! Hołota, *chusma*, hałastra!”

## XIX

Pójdziemy do teatru, do Gruz — oświadczyła Alba, gdy zjawił się u niej. — Grają dzisiaj *Braci-wrogów*; sztuka jest wprawdzie dość głupia, jak słyszałam, ale Coronado gra błazna, Gizmana subretkę, a *tonadille* na pewno będą dobre.

Goyę podrażnił obojętny, bagatelizujący ton, jakim to mówiła.

Czyż to miał być wstęp do nocy miłosnej?

Przed wejściem do teatru czekała gromada młodych chłopców, aby przypatrzeć się kobietom wysiadającym z powozów i lektyk: była to dla nich jedyna sposobność zobaczenia kobiecych nóg. Alba wysiadła z lektyki.

— Jakie śliczne nóżki! — rozległy się okrzyki. — Smukłe, okrągłe, aż ślinka do ust idzie!

Goya stał obok, twarz mu pociemniała. Miał ochotę rzucić się na nich z pięściami, ale obawiał się skandalu.

Aby dostać się do środka, trzeba było przebyć długi, mroczny korytarz. Panował w nim tłok i hałas, zaduch i brud; przekupnie ofiarowywali krzykliwie wodę, słodczyce, teksty piosenek. Potrącano się wzajemnie, z trudnością można było uchronić obuwie i okrycie od zabłocenia. Nieliczne łoże — kobiety w towarzystwie mężczyzn wpuszczano tylko do łóż — były już wykupione; Goya musiał prowadzić długie pertraktacje i przyrzec wygórowaną sumę, nim udało mu się zdobyć łożę.

Zaledwie zajęli miejsca, doszła ich głośna wrzawa z *patio*, parteru. Publiczność wypełniająca parter, *mosqueteros* 1/, poznała Albę od razu. Rozległy się okrzyki i oklaski. Jeszcze gorętsze, choć mniej hałaśliwe zainteresowanie Albą okazywały kobiety; siedziały w *gallinero*, czyli „kurniku”, zarezerwowanej dla nich części teatru; wszystkie w przepisowych czarnych i białych chustkach na głowie, zwracały teraz spojrzenia ku łożu, rozmawiając i śmiejąc się.

Masywna, chmurna twarz Goyi pozostała nieruchoma. Cayetana zachowywała się tak, jakby ten zgiełk nie odnosił się do niej; gawędziła z nim uprzejmie, obojętnie.

1/ Mosqueteros — dosł. muszkietery; w teatrze: widzowie siedzący na parterze.

( 130 )

Sztuka *Bracia-wrogowie* była w istocie głupim sztuczkiem, lekką przeróbką dramatu Lope de Vegi. Młodszy syn, niegodziwy łotr, pozbawia szlachetnego starszego brata miłości ojcowskiej i odbiera mu serce jego dziewczyny. Już w pierwszym akcie przychodzi między braćmi do pojedynku, który odbywa się na cmentarzu; zjawiają się rozmaite widma i upiory, nikczemny brat wypędza szlachetnego do lasu i wtrąca ojca do wieży, gdzie morzy go głodem. Chłopi buntują się przeciw nowemu niegodziwemu panu, publiczność oburza się nie mniej od nich. A kiedy aktor grający rolę kapitana policji, *alguazila*, wyszedł z widowni na scenę, aby uzyczyć poparcia złemu bratu, widzowie pluli na niego i chcieli go obić; musiał zaklinać się na wszystko, że jest tylko aktorem i nazywa się Garro.

— Czym pan jest właściwie: *Chorizo* czy *Polaco*? — spytała Alba malarza.

Publiczność madrycka, pasjonująca się teatrem, podzielona była już ud półwiecza na dwa obozy; jeden od nazwiska pewnego dawno już nie żyjącego komika nosił nazwę *Chorizos* (Kiełbaski), drugi zwał się *Polacos*, od nazwiska pewnego opata, autora broszury polemicznej, wydanej w obronie konkurencyjnej trupy aktorów. Goya wyznał, że należy do *Chorizos*.

— Od razu tak przypuszczałam — rzekła złośliwie Alba. — My z rodu Alba jesteśmy *Polacos*, już dziad mój należał do nich.

*Tonadilla* odśpiewana po pierwszym akcie była w istocie wesoła i obydwie obozy hałaśliwymi owacjami dały wyraz swemu zadowoleniu. Potem rozpoczął się akt drugi, w podziemiu wieży, gdzie pobrzękiwały łańcuchy i szeleściła słoma. Anioł płci męskiej ubrany podług ostatniej mody, w krótkich spodniach, ale ze skrzydłami u ramion, usiłuje pocieszyć wtrąconego do lochu starca. Dziewczyna, nie dowierzająca oszczerstwom niecnego brata, spotyka hrabiego w leśnej gęstwinie. Wzruszona publiczność śledziła grę z napiętą uwagą, w milczeniu. Alba uznała, że można teraz wyjść nie zwracając na siebie uwagi.

Odetchnęli świeżym wieczornym powietrzem.

— Pójdziemy do któregoś z tych pańskich szynków — rozkazała Alba.

Goya udając, że nie rozumie, zaproponował elegancką restaurację.

— Może do Ceferina? — spytał.

— Do któregoś z pańskich szynków, powiedziałam — powtórzyła Alba z naciskiem.

— Nie możemy w wieczorowych strojach zapuszczać się do

( 131 )



Manolerii — ostrzegał Goya, zbity z tropu. Manoleria była to dzielnica na peryferiach miasta, zamieszkała przez *majów* i *maje*.

— Niepotrzebnie mi to pan tłumaczy — rzekła Alba cicho i szybko. — Każę się zanieść do domu, przebiorę się i czekam tam na pana.

Wrócił do domu, zniechęcony. Czyż po to przecierpiał taką udrękę, wymyślił niebezpieczny list o chorobie małej Eleny, postawił całą swą karierę na jedną kartę? „*Que verguenza!*” — pomyślał i zdawało mu się, że słyszy ochryply głos Agustina.

Zanim się przebrał, wszedł na palcach do pokoju dziecinnego, aby spojrzeć na Elenę. Dziecko spało spokojnie.

Włożył stary strój *majów*. Zły humor znikł, ustąpił miejsca radosnemu oczekiwaniu. Niektóre części ubioru były zniszczone; spodnie, jasnozielona kamizelka, krótka czerwona kurtka były już na niego trochę za ciasne. Ale był to strój pamiętający wiele przyjemnych eskapad. A kiedy Goya przewiązał się szeroką szarfą i zatknął za nią nóż, *navaje*, poczuł się innym człowiekiem, młodym, żadnym przygód. „Włóż mnisi kaptur na głowę, a umiesz mówić po łacinie” — wspomniał stare przysłowie. W końcu narzucił obszerny płaszcz, *capa*, którego noszenie było właściwie zabronione i włożył na głowę *chambergo*, kapelusze z szerokim rondem, ocieniającym pół twarzy.

W ten sposób, zmieniony nie do poznania, wybrał się w drogę. Uśmiechnął się, ubawiony, gdy odźwierny Alby nie chciał otworzyć mu bramy; dopiero gdy odsłonił twarz, stróż wyszczerzył zęby w uśmiechu. Także Alba uśmiechnęła się na jego widok, jak mu się wydało, z uznaniem. Sama włożyła szeroką barwną spódnicę i głęboko wycięty gorset, zdobny w kolorowe hafty. Włosy miała ujęte w siatkę. W stroju tym było Jej do twarzy, można ją było wziąć za *maje*.

— Dokąd pójdziemy? — spytała.

— Do winiarni Rozalii w Barquillo — odparł Goya. — Ale będzie pani miała przykrości z powodu *mantilli* — ostrzegł ją; Eufemia bowiem włożyła na nią *mantillę*, a *tapadas*, kobiety zakwefione, były w Manolerii niemile widziane.

Cayetana, bez słowa odpowiedzi, jeszcze głębiej naciągnęła *mantillę* na twarz.

— Pozwól mi pójść z tobą, jagniątko moje — prosiła duenia. — Będę umierała ze strachu na myśl o tym, że jesteś w Manolerii.

— Nie pleć głupstw, Eufemlo — ofuknęła ją ostro Cayetana. — Don Francisco jest mężczyzną i obroni mnie, gdy zajdzie potrzeba.

Winiarnia była przepelniona. Goście siedzieli, pili i palili. Odzywali się z rzadka, półgębkiem, zachowując właściwą Kastylczykom powagę. Większość mężczyzn nosiła kapelusze o szerokich rondach. Wśród kobiet dużo było ładnych, wszystkie miały twarze odsłonięte. Gęste kłęby dymu unosiły się w sali. Ktoś grał na gitarze.

Nowoprzybyłą parę obserwowano z tłumioną ciekawością, lecz niezbyt przyjaźnie. Jakiś człowiek zaproponował Goyi, aby kupił od niego przemycany tytoń.

— Ile kosztuje? — spytał Goya.

— Dwadzieścia dwa reale — odpowiedział sprzedawca.

— Bierzesz mnie, widzę, za *gabacho*? — rzekł Goya; pogardliwą tą nazwą określano obcych, szczególnie Francuzów. — Zapłacę ci jak każdy inny: szesnaście realów.

Do rozmowy wmieszała się jedna z dziewcząt.

— Może pan kupi przynajmniej cygaro dla swojej damy, mój panie? — spytała.

— Ja nie palę — rzekła Alba spod swojej zasłony.

— Ale powinna pani palić — odpowiedziała dziewczyna.

— Palenie — oświadczył towarzysz dziewczyny — rozjaśnia mózg, podnieca apetyt i utrzymuje zęby w dobrym stanie.

— Oczywiście ta pani musiałaby zdjąć swoją *mantille* — rzekła uszczypliwie dziewczyna.

— Cicho siedź, Zanza, ty bocianie — upomniał ją młody człowiek — nie rób awantur! Ale Zanza uparła się.

— Niechże pan powie swojej damie, senior, aby zdjęła *mantille*. Do ogrodów kobiety zakwefione nie mają wstępu, tym bardziej tutaj. Jeden z młodych ludzi przy sąsiednim stoliku spytał na głos:

— A może ta dama jest *gabacha*?

Francisco ostrzegwał Cayetanę, że jej *mantilla* będzie powodem kłopotów. Znał dobrze *majów*, sam był jednym z nich. Nie znosili natrętnych spojrzeń, uważali się za najlepszych Hiszpanów, za Hiszpanów najczystszej krwi, i obrażała ich protekcyjnalna ciekawość obcych. Kto wchodził między nich, kto zaglądał do ich knajp, musiał stosować się do ich obyczajów, musiał odsłonić twarz.

Człowiek grający na gitarze przerwał grę. Wszyscy spojrzeli na Goyę. Zrozumiał, że teraz pod żadnym warunkiem nie powinien Stąpić.

— Kto tu powiedział *gabacha*? — zapytał. Nie podniósł nawet głosu, powiedział to tonem niemal obojętnym, pomiędzy dwoma pyknięciami z cygara.

Zapanowało krótkie milczenie. Gospodyni Rozalia, tęga kobieta zwróciła się do człowieka z gitarą:

— Nie leń się! Zagraj *fandango*!

Ale Francisco powtórzył pytanie:

— Kto tu powiedział *gabacha*?

— Ja powiedziałem — rzekł jeden z *majów*.

— Czy poprosisz seniore natychmiast o przebaczenie? — spytał Goya.

— Nie ma za co przepraszać — rzekł inny — nie zdjęła przecież *mantilli*.

Uwaga była słuszna, ale Goya nie mógł tego przyznać.

— Kto ciebie pyta o zdanie? — rzekł ostro. — Siedź cicho, jeśli nie chcesz, żebym ci pokazał, jak się tańczy *fandango* na trupie śmiałka.

Był to zwrot świetnie dostosowany do gwary i obyczajów Manolerii, znalazł też uznanie wszystkich obecnych. Ale chłopak, który nazwał Albę *gabacha*, odpowiedział:

— Liczę do dziesięciu. Jeżeli do tego czasu nie skłonisz swojej damy, aby zdjęła tę pyszałkowatą zasłonę, to dostaniesz, ty dobrodzieju, coś mnie dotąd oszczędzał, takiego kopniaka, że polecisz aż do Aranjuezu!

Goya zrozumiał, że oczekiwano teraz od niego czynu. Wstał, jego długi płaszcz zsunął mu się z ramion na ziemię; ręką namacał nóż, *navaję*.

Ale w tejże chwili rozległ się głośny okrzyk zdumienia: Alba zdjęła *mantillę*.

— Alba, Alba! — wołano — nasza Alba!

Chłopak skłonił się przed Albą.

— Proszę wybaczyć, senioro! — rzekł. — Senioro, na Boga, pani nie jest *gabacha*. Pani należy do nas.

I hołdy, i prostacka poufalość były Goyi jeszcze bardziej przykre niż kłótnia, która je poprzedziła. Chłopak ten nie miał niestety racji; Alba nie należała do nich. Była co najwyżej damą grającą rolę *maji*. Wstyd mu było przed prawdziwymi *majami*, że ją tu przyprowadził.

Przypomniał sobie równocześnie, że on sam, Francisco Goya, projektując sceny z życia ludu do swych gobelinów, nie malował *maj*, lecz przebrane księżne i hrabiny, i myśl ta zaostrzyła jeszcze jego rozdrażnienie.

Alba wdała się tymczasem w pogawędkę z ludźmi ich językiem i na ich sposób. Mówiła życzliwie, prostymi, naturalnymi słowami

i nikt poza nim jednym nie wyczuwał zapewne, że ten jej sposób bycia nie jest szczerzy, że kryje się za nim nuta łaskawej wyższości.

— Chodźmy już — rzekł nagle; słowa te zabrzmiały bardziej twardo i rozkazująco, niż sam tego chciał.

Rzuciła mu krótkie, zdziwione spojrzenie, ale natychmiast, tonem przyjaznej wyższości, z leciutkim ironicznym uśmiechem oświadczyła:

— Tak, seniores, musimy już niestety pójść. Pan malarz oczekuje pewnego wielkiego pana, którego ma malować.

Odpowiedziano jej śmiechem. Wszystkich rozbawiła niedorzeczność tego usprawiedliwienia. Goya tłumił bezsilną wściekłość.

Sprowadzono lektykę.

— Niech pani przyjdzie do nas jeszcze! — wołano za nią serdecznie, z uznaniem.

— Dokąd idziemy? — zapytał ją, pełen goryczy.

— Do pańskiej pracowni, oczywiście — odparła — tam gdzie pan oczekuje swego modelu.

Ta obietnica zaparła mu dech w piersi. Ale czyż można być jej pewnym? Była taka kapryśna, mogła jeszcze po drodze zmienić swe zamiary.

Rozdrażniony, wściekły z powodu zajścia w lokalu, jej nieobliczalności i własnej bezradności, miotany porywami gniewu, nadziei i pożądania, szedł w ciemnościach obok jej lektyki. W pewnej chwili rozległ się brzęk dzwonka, zbliżał się ku nim kapłan z wiatykiem. Słudzy opuścili lektykę na ziemię. Alba wysiadła, Goya rozłożył dla niej swą chusteczkę i wszyscy klęczeli, dopóki ksiądz z ministrantem nie oddalili się.

Dotarli na koniec do domu Goyi. *Sereno*, stróż nocny, otworzył bramę. Weszli na górę do pracowni. Goya nieco niezdarnie zapalił świece. Alba usiadła niedbale w fotelu.

— Ciemno tu jest — stwierdziła — i zimno. Obudził służącego Andresa. Ten przyniósł dwa świeczniki o wielu świecach i rozniecił ogień na kominku. Alba, z twarzą odsłoniętą, śledziła jego ociężałe, niechętne ruchy. Milczeli oboje, dopóki Andres był w pokoju.

Wreszcie chłopak wyszedł. Pracownia tonęła w ciepłym, niezbyt jaskrawym świetle. Gobelin przedstawiający procesję z olbrzymią postacią świętego i podnieconym tłumem, jak i brodaty, posepny kardynał Velazqueza pozostały w cieniu. Alba zbliżyła się do obrazu.

— Czyją własnością był ten Velazquez poprzednio? — rzekła, jakby pytając i samą siebie, i jego.

— Otrzymałem go w podarunku od księżny de Osuna — odpowiedział.

— Tak — rzekła — przypominam sobie, że widziałam go kiedyś w Alameda. Spał pan z nią? — zapytała go nagle, po prostu, z przyjazną poufałością, swym nieco twardym, dziecinnym głosikiem.

Goya nie odpowiedział. Stała jeszcze przed obrazem.

— Od Velazqueza — rzekł po chwili — nauczyłem się bardzo wiele, więcej niż od jakiegokolwiek innego malarza.

— Mam jeden obraz Velazqueza — odparła — w moim wiejskim pałacyku w Montefrio; niewielki, dziwny obrazek, nikomu prawie nie znany. Jeśli pan będzie kiedyś w Andaluzji, don Francisco, niech pan go sobie obejrzy. Zdaje mi się, że dobrze by pasował do pańskiej pracowni.

Poczęła oglądać szkice leżące na stole, spostrzegła projekty portretu królowej.

— Widzę — rzekła — że pan zamierza namalować tę Włoszkę prawie tak szpetną, jak jest w rzeczywistości. Czy ona na to pozwala?

— Donia Maria Luiza jest mądra — odpowiedział Goya — i życzy sobie, aby jej portrety były do niej podobne.

— No tak — rzekła Alba — kobieta, która tak wygląda, musi być przynajmniej mądra. Usiadła na kanapie, drobna, przechylona wygodnie w tył; jej matowa, smągła twarz była lekko przypudrowana.

— Myślę, że będę panią malował jako *maje* — odpowiedział. — Albo raczej nie. Może bym znowu namalował tylko maskę pani. Muszę nareszcie odkryć prawdziwą Cayetanę.

— To się panu nigdy nie uda — oświadczyła Alba. — Ja sama siebie dobrze nie rozumiem. Wydaje mi się poważnie, że jestem chyba najbardziej *maja*. Nie dbam o to, co inni myślą; czy nie tak właśnie zachowują się *maje*?

— Nie przeszkadza pani to, że tak na nią patrzę? — spytał.

— Nie biorę panu tego za złe, jest pan malarzem. Ale czyż musi pan być tylko malarzem? Zawsze tylko malarzem? Mógłby pan być naprawdę nieco rozmowniejszy. Goya milczał dalej. Nawiązała do poprzednich swoich słów:

— Zostałam wychowana na *maje*. Dziadek mój kazał mnie wychować w duchu zasad Rousseau. Czy wie pan, kim był Rousseau, don Francisco?

Goya był raczej ubawiony niż dotknięty.

— Moi przyjaciele — odpowiedział — polecają mi od czasu do czasu przeczytać kilka stron Encyklopedii.

Rzuciła mu przelotne spojrzenie. Encyklopedia była osobliwie znienawidzona przez inkwizycję; posiadać to dzieło, a choćby tylko czytać je, było rzeczą niebezpieczną. Ale nie zważając na jego ostatnie słowa opowiadała dalej:

— Ojciec mój zmarł bardzo wcześnie, a dziadek pozostawiał mi zupełną swobodę. Poza tym odwiedza mnie od czasu do czasu zmarła garderobiana mojej babki i mówi, co mam czynić, a czego unikać. Mówię poważnie, don Francisco, powinien pan namalować mnie jako *maję*.

Goya podsycił ogień w kominku.

— Nie wierzę pani wcale — powiedział. — Ani nie uważa się pani za *maję*, ani nie prowadzi pani nocnych rozmów ze zmarłą pokojówką.

Obejrzał się i wyzywającym wzrokiem spojrzał jej w oczy.

— Mówię tak, jak myślę, jeśli mi to sprawia przyjemność. To ja jestem *majo*, pomimo że czasem czytam Encyklopedię.

— Czy to prawda, co opowiadają — spytała Alba tonem przyjaźnie obojętnym — że pan zabił czterech czy pięciu ludzi w bójkach lub z zazdrości? I musiał pan uciekać do Włoch przed pościgiem policji? I że uprowadził pan w Rzymie mniszkę z klasztoru i tylko dzięki usilnym staraniom naszego posła wyniósł pan głowę cało? Czy może pan sam puścił w obieg wszystkie te pogłoski, aby zrobić się interesującym i otrzymać dzięki temu więcej zamówień?

Goya pomyślał, że ta kobieta nie przyszła chyba o tej godzinie do jego pracowni tylko po to, aby go dręczyć. Raczej chce go upokorzyć, aby później, po wszystkim, nie czuła się sama upokorzona.

Opamiętał się przeto i odpowiedział spokojnie, przyjaźnie i z humorem:

— Każdy *majo* lubi wielkie słowa i przechwałki. O tym powinna pani chyba wiedzieć, księżno.

— Jeśli mnie pan raz jeszcze nazwie księżną, odejdę! — rzekła Alba.

— Nie sądzę, by pani odeszła, księżno — powiedział Goya. — Myślę natomiast, że zmierza pani do czego innego: do tego, aby mnie... — szukał odpowiedniego wyrazu — aby mnie unicestwić.

— Dlaczegożbym miała chcieć unicestwić cię, Francho? — spytała łagodnie.

— Tego nie wiem — odparł Goya. — Skąd w ogóle mogę wiedzieć, co kieruje pani wolą?

— O, to już pachnie filozofią i kacerstwem — rzekła Alba. — Obawiam się poważnie, Francho, że jesteś heretykiem. Boję się że wierzysz raczej w diabła niż w Boga.

— Jeżeli którymś z nas dwojga — odparł Goya — to przede wszystkim panią powinna zainteresować się inkwizycja.

— Inkwizycja nie może interesować się księżną Alba — odpowiedziała tak naturalnie, że nie brzmiało to nawet wyniośle. Zresztą — mówiła dalej — nie powinienes brać sobie zbyt do serca moich złośliwości. Wiele modłów zaniósłam do Dziewicy del Pilar, aby zesłała na ciebie swe błogosławieństwo, Francho, gdyż widzę, że szatan okrutnie cię dręczy. Ale ty — tu spojrzała na drewnianą statwę Najświętszej Panny de Atocha — nie dowierzasz już, jak widzę, Dziewicy del Pilar. A musiałeś być kiedyś gorącym jej wyznawcą, bo pochodzisz przecież z Saragossy. Jesteś więc także wiarołomny.

Wstała i zbliżyła się do prastarej, poczerniałej drewnianej figury; przyjrzała się jej dokładnie.

— Ale nie chcę uchybić Dziewicy de Atocha — rzekła — a już najmniej tej, która jest twoją patronką. Z pewnością i ona posiada dużą władzę i nie wolno jej obrazić.

I troskliwie, czule osłoniła swym dużym szalem, *mantilla*, poczerniałą drewnianą figurę Najświętszej Panny de Atocha, aby nie patrzyła na to, co teraz miało nastąpić. Bo oto wyjęła wysoki grzebień ze swych czarnych włosów i wysunęła stopy ze zgrabnych trzewiczków na wysokich obcasach. Wydawała się teraz niższą. Stojąc w migotliwym blasku ognia płonącego na kominku, poważnie, rzeczowo, bezwstydnie zaczęła zdejmować z siebie ciężką, szeroką spódnicę i barwny gorset.

W roku 1478 katoliccy władcy Hiszpanii, Ferdynand i Izabela, ustanowili trybunał specjalny dla ścigania wszelkich zbrodni przeciwko religii. Stało się to po ostatecznym pokonaniu Arabów, kiedy chodziło o to, aby z trudem wywalczone polityczne zjednoczenie kraju wzmocnić jednością wiary. „Jedna trzoda, jeden pasterz, jedna wiara, jeden król, jeden miecz”, śpiewał wówczas poeta Hernando Acana.

Ten sąd duchowny, inkwizycja, czyli Święte Officium, spełnił swój obowiązek. Wyśledził, wygnał i wytępił nie tylko Arabów i Żydów, ale także wszystkich, którzy usiłowali ukryć swe wrogie dążności pod maską wiary katolickiej: utajonych Maurów i Żydów, *moriscos*, *judaisantes*, *marranos*<sup>1</sup>.

Ale kiedy inkwizycja spełniła już to swoje zadanie, stała się samoistną potęgą w państwie. Działalność jej ograniczała się wprawdzie oficjalnie tylko do wykrywania i karania kacerstwa, ale czegoż nie podciągano pod kacerstwo? Kacerstwem był każdy pogląd sprzeciwiający się któremuś z dogmatów Kościoła katolickiego; z tej racji przypadło inkwizycji zadanie cenzurowania wszystkiego, co pisano, drukowano, mówiono, śpiewano i tańczono. Kacerstwem była dalej wszelka ważna ze względów publicznych działalność, o ile wykonywał ją potomek kacerza. Z tego względu do obowiązków Świętego Officium należało badanie czystości pochodzenia wszystkich, którzy zabiegali o jakiś urząd. Każdy kandydat obowiązany był dowieść swojej *limpieza*, swego pochodzenia od chrześcijańskich rodziców i przodków; żaden z jego pradziadów nie mógł być Maurem lub Żydem. Wystawianie takich zaświadczeń było wyłącznym prawem inkwizycji. Mogła ona przewlekać dochodzenia, jak

1/Moryskami {*m o r i s c o* .;) nazywano tych Maurów, którzy po upadku Grenady (1492) pozostali w Hiszpanii i przyjęli chrzest.

*Judaisantes* — to Żydzi, którzy przeszli na katolicyzm. Nie uchroniło to obu tych grup przed prześladowaniami ze strony inkwizycji. *Marranos* — dosł.: świnie (hiszpańskie przezwisko uczonych Maurów i Żydów, tajnych wyznawców ich dawnej religii).



długo się jej podobało, mogła wyznaczać za to dowolnie wysokie opłaty; w jej rękach spoczywało ostateczne rozstrzygnięcie, czy dany człowiek może być przyjęty do służby państwowej. Kacerstwem było również przeklinanie, wyobrażanie nagiego ciała w sztuce, dwużeństwo, nierząd przeciwny naturze. Kacerstwem była lichwa, ponieważ zabraniało jej Pismo św. Nawet handel końmi z osobami innej narodowości niż hiszpańska uznany został za kacerstwo, ponieważ mógł przynieść korzyści niewierzącym, po tamtej stronie Pirenejów.

Pojmując w ten sposób zakres swej działalności inkwizycja zagarniała coraz więcej uprawnień przysługujących Koronie i podkopywała przez to autorytet państwa.

Corocznie Święte Officium ustanawiało jeden dzień świąteczny, w którym ogłaszano tak zwany edykt wiary. Edyktem tym wzywano wszystkich, którzy poczuwają się do kacerskich skłonności, aby w wyznaczonym w drodze łaski terminie trzydziestu dni oskarżyli się sami przed Świętym Trybunałem. Wzywano dalej wiernych, aby donosili o wszelkich wypadkach kacerstwa, które dojdą do ich wiadomości. Następował długi spis wszystkich podejrzanych czynności. Przestrzeganie tradycyjnych zwyczajów żydowskich, jak zapalanie świec w wieczór piątkowy, zmiana bielizny na dzień sabatu, niespożywanie mięsa wieprzowego, mycie rąk przed każdym posiłkiem, wskazywało na tajemne uprawianie kacerstwa. Podejrzaną była również lektura książek w obcym języku i w ogóle częste czytowanie dzieł treści świeckiej. Pod grozą klątwy kościelnej dzieci obowiązane były składać doniesienia na swych rodziców, małżonkowie na siebie wzajemnie, gdy zauważą coś podejrzanego.

Osobliwy lęk budziła tajemniczość postępowania tego trybunału. Sam fakt obwinienia kogoś był ściśle tajny; ciężkie kary groziły każdemu, kto śmiało uprzedzić obwinionego o oskarżeniu. Najbliższe poszlaki były dla tego sądu wystarczające, aby wydać nakaz aresztowania, nikt nie ważył się pytać o tych, którzy zniknęli w więziennych lochach inkwizycji. Zarówno donosicieli, jak świadków i oskarżonych zobowiązywano pod przysięgą do zachowania tajemnicy, złamanie zaś przysięgi karane było tak jak samo kacerstwo.

Gdy oskarżony wypierał się winy albo obstawał przy swoich błędach, poddawano go torturom. Aby zaś zaoszczędzić sobie opłacania pachołków katowskich, inkwizycja wzywała niekiedy wysokich urzędników państwowych, którzy bezpłatnie dokonywali tej świątobliwej czynności. Tortura, podobnie jak wszystkie inne fazy procedury, wykonywana była podług ścisłych, drobiazgowo opracowanych

przepisów, w obecności lekarza oraz sekretarza zapisującego każdy szczegół w protokole. Sędziowie duchowni podkreślali zawsze, w ciągu wieków, że jedynie przez miłosierdzie stosują tortury: aby zatwardziałego grzesznika uwolnić od grzechu kacerstwa i wprowadzić na drogę prawdziwego poznania.

Jeżeli delikwent przyznał się do winy i wyraził skruchę, oznaczało to, że „pojednał się z Kościołem”. Ale pojednanie było nierozdzielnie związane z odbyciem pokuty; pragnącego pojednać się z Kościołem poddawano naprzód biczowaniu lub ubranego w hańbiący strój prowadzono przez miasto w publicznej procesji, albo też przekazywano go władzom świeckim. Te skazywały go na trzyletnią, ośmioletnią, nieraz nawet dożywotnią pracę na galerach. Majątek penitenta podlegał konfiskacie, niekiedy burzono nawet jego dom; on i potomkowie jego do piątego pokolenia nie mogli piastować publicznych urzędów ani wykonywać żadnego cieszącego się szacunkiem zawodu.

Święty Trybunał trzymał się na ogół zasady łagodnego postępowania, nawet wtedy gdy kacz nie przyznawał się do winy lub przyznawał się tylko częściowo. Kościół sam nie odbierał życia grzesznikowi; wykluczał tylko zatwardziałego zbrodniarza lub recydywistę ze swej wspólnoty i oddawał go w ręce władz świeckich. Ale i tym władzom zalecał unikanie topora katowskiego. wzywając je jedynie, aby miały na względzie werset z Pisma świętego: „Kto we mnie nie będzie tkwił, odrzucony będzie precz niby latorośl i uschnie; zbiorą ją, do ognia wrzucą i zgorzeje.”<sup>1/</sup>

Zgodnie z tym wezwaniem władze świeckie paliły żywcem te odcięte od pnia latorośle, tych wykluczonych ze wspólnoty kościelnej grzeszników. Jeśli wyrok dotyczył kaczera, który już nie żył, wygrzebywano z ziemi jego zwłoki i palono je. Jeżeli kaczera już po wyroku skazującym przyznał się do winy, ponosił śmierć przez uduszenie, trupa zaś palono na stosie. Jeśli kaczeraowi udało się zbiec, rzucano w płomienie jego wizerunek. W każdym zaś wypadku konfiskowano jego majątek; część przepadłego mienia otrzymywał skarb państwa, resztę inkwizycja.

Inkwizycja była instytucją bardzo zamożną, wyroki uniewinniające należały do wyjątków. Ogólna liczba tych, którzy na podstawie wyroków inkwizycji hiszpańskiej, od czasu jej powstania do koronacji Karola IV, zostali spaleni na stosie lub ponieśli ciężkie kary, wynosiła 348 907 osób.

1/ Ewangelia św. Jana, rozdz. 15, wiersz 6.

( 141 )

W przeciwieństwie do tajemnicy okrywającej postępowanie inkwizycji, wyroki jej były zawsze ogłaszane i wykonywane publicznie, i to z uroczystą pompą. Ogłoszenie i wykonanie wyroku nazywano „aktem wiary”, „manifestem wiary”, *autodafe*. Wzięcie udziału w tym akcie uchodziło za czynność bogobojną. Ulicami miasta przeciągały wspaniałe procesje, odsłaniano uroczyście sztandar świętej inkwizycji, na olbrzymich trybunach zasiadali dostojnicy świeccy i duchowni. Zbrodniarzy w hańbiących koszulach i w wysokich spiczastych kapeluszach wywoływano oddzielnie i stawiano pod pręgierzem; każdemu gromkim głosem odczytywano wyrok. Na plac stracenia, *quemadero*, odprowadzano skazańców pod silną eskortą wojskową. Paleniu kacerzy na stosie przyglądały się tłumy ludności z zachłanną ciekawością, przewyższającą nawet namiętność, jaką wzbudzały walki byków; a kiedy zbyt wielu zdarzyło się grzeszników, którzy po zasądzeniu wyrazili skruchę, tak że pozbawiano ich życia przez uduszenie i nie palono żywcem, rozlegał się wśród tłumu pomruk niezadowolenia.

Często odbywały się tego rodzaju „akty wiary” dla uczczenia jakiegoś radosnego zdarzenia, na przykład wstąpienia władcy na tron, ślubu w rodzinie królewskiej albo przyścia na świat następcy tronu; wówczas jeden z członków rodziny królewskiej podpalał stos.

O każdym *autodafe* ogłaszano obszerne komunikaty, które redagowali uczeni pisarze kościelni. Sprawozdania te stanowiły szczególnie ulubioną lekturę. Tak na przykład opowiada niejaki padre<sup>1</sup> Garau o *autodafe* dokonany na wyspie Majorce; o tym, jak troje zatwardziały grzeszników znalazło tam śmierć na stosie, a kiedy dosięgały ich już płomienie, czynili rozpaczliwe wysiłki, by oderwać się od słupów, do których byli przywiązani. Kacerzowi Benito Terongi w istocie udało się wyrwać z płomieni, ale tylko po to, by stoczyć się w ogień buchający z lewej strony. Siostra jego, Catalina, która chępiła się przedtem, że sama rzuci się w ogień, krzyczała i skomlała rozpaczliwie, błagając, by ją odwiązano. Kacerz Rafael Valls stał zrazu nieruchomy jak posąg w kłębach dymu. ale gdy go dosięgły płomienie, wił się i skręcał. Tłusty był i różowy jak prosiak, a kiedy na ciele jego nie było już widać płomieni palił się dalej wewnątrz; ciało jego otwarło się i wypadły wnętrzności podobnie jak u Judasza. Książeczka ojca Garau zatytułowana *La Fe Triunfante* (Wiara triumfująca) miała niebywale powodzenie,

<sup>1</sup> Padre — dosł. ojciec; tu: zakonnik.

doczekała się bowiem czternastu wydań; ostatnie z nich ukazało się za życia Goyi. Niektórzy spośród inkwizytorów ożywieni byli szczerą, żarliwą wiarą; inni jednak nadużywali swych urzędowych uprawnień, aby zaspokoić żądę władzy, chciwość lub pożądlivość cielesną. W opowiadaniach ofiar, którym udało się zbiec na wolność, mogło być dużo przesady; jednakże *Manuale* świętej inkwizycji, jej przepisy proceduralne, świadczą o tym, że sędziowie duchowni mogli postępować według swego widzimisię, akta zaś dowodzą, jak samowolne było też w istocie ich postępowanie.

Inkwizycja dumna była z tego, że jednocząc wszystkich Hiszpanów we wspólnej wierze katolickiej, uchroniła półwysep od wojen religijnych, które szalały w innych krajach Europy. Ale korzyść ta została drogo okupiona. Inkwizycja wszczerpiła bowiem w ludzi przeświadczenie, że ważniejszą od moralnego trybu życia jest niewzruszona wiara w dogmat. Cudzoziemcy, którzy podróżowali po Hiszpanii, stwierdzali niemal zgodnie, że właśnie w kraju inkwizycji religia miała niewiele wspólnego z moralnością i że żarliwa wiara w dogmaty szła często w parze z niemoralnym życiem. Święty Trybunał wymierzał często nazbyt pobłażliwe kary za zbrodnie, które cały świat uważał za odrażające, jak na przykład uwiedzenie penitentki przez spowiednika podczas spowiedzi. Natomiast karano bardzo surowo najdrobniejsze uchybienia przeciwka literze dogmatu. W Kordobie, na przykład, na jednej jedynej rozprawie sądowej skazano na śmierć w płomieniach sto siedem osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, za to, że słuchali kazania niejakiego Membreque'a, który uznany został za kacerza.

W tym samym mniej więcej czasie, kiedy urodził się Goya, spalono na stosie w szczególnie uroczystym *autodafe* wielu *judaisantes*, w ich liczbie osiemnastoletnią dziewczynę — za to, że zachowywali pewne tradycje żydowskie. Montesquieu, największy pisarz ówczesnej Francji, wkłada w usta jednego z oskarżonych napisaną przez siebie mowę obrończą:

„Zarzucać mahometanom — czytamy tam — że religię swoją szerzyli mieczem: dlaczegóż szerzycie waszą ogniem? Aby wykazać boskość swojej religii, robicie wiele hałasu o krew przelaną przez waszych męczenników; ale teraz przejęliście sami rolę Dioklecjana, a rolę męczenników wyznaczyliście nam. Żądacie od nas, byśmy stali się chrześcijanami, a sami nie chcecie nimi być. Ale jeśli już nie jesteście chrześcijanami, to postępujcie przynajmniej tak, jak gdybyście posiadali chociażby ów prymitywny zmysł sprawiedliwości,

którym przyroda wyposażyła nawet najniższe z istot mających ludzkie oblicze. Jedna rzecz jest pewna: działalność wasza posłuży przyszłym dziejopisom za dowód, iż współczesną nam Europę zamieszkiwali dzicy barbarzyńcy."

W samej Hiszpanii obiegały w drugiej połowie XVIII wieku pisma, które przypisywały inkwizycji główną winę upadku kraju, jego wyludnienia, ciemnoty i zaniku sił. Nawet władcy tej epoki, Burbonowie francuskiego pochodzenia, doszli do przekonania, że kraj stoczy się w przepaść, jeśli nie otrzyma pewnych nowoczesnych, „kacerskich” reform. Bogobojni i pełni szacunku dla tradycji, pozostawiając Świętemu Officium pozornie jego autorytet, pozbawiali wszakże inkwizycję stopniowo najważniejszych jej funkcji i przywilejów.

Niezmniejszony natomiast pozostał wpływ inkwizycji na masy ludu, gdzie mrok i tajemnica, otaczająca jej postępowanie, wzmagaly jeszcze jej siłę atrakcyjną. Dzień ogłoszenia edyktu wiary był wciąż jeszcze, właśnie dzięki ponurym groźbom zawartym w jego treści, dniem wspaniałym i podniecającym. Jeszcze bardziej sugestywny był wpływ *autodafe*, wywołujący uczucie grozy, okrucieństwa i lubieżnej pożądliwości.

Inkwizycja, okryta mrokiem tajemnicy, wszędzie czyhała i węszyła, jak fatalna moc przeznaczenia wisiała nad wszystkimi. Ludzie ukrywali obłudnie swe myśli, nikomu nie wolno było wypowiedzieć tego, co czuł, co miał na sercu, chyba tylko najbliższym, najbardziej zaufanym, i to nie inaczej jak szeptem. Ale ta bezustanna groźba nadawała życiu powab i Hiszpanie nie umieli już obejść się bez swojej inkwizycji. Dawała ona bowiem ludowi Boga, który był wprawdzie Bogiem wszystkich narodów, ale osobliwie Bogiem Hiszpanów. I Hiszpanie nieustępliwie i uparcie trzymali się inkwizycji, podobnie jak uparcie i niezłomnie dochowywali wierności swemu królowi.

## II

Rokowania pokojowe, które dwór madrycki prowadził z Republiką Francuską w Bazylei, przewlekały się. Hiszpanie, chociaż po cichu postanowili odstąpić od żądania, by wydano im królewiczą francuską, uważali za punkt honoru obstawanie przy tym warunku aż do ostatniej chwili. Ale w Paryżu nawet nie myślano o tym,

< 144 >

by przez wydanie dziedziców Capeta 1/ stworzyć nowy ośrodek oporu rojalistycznego, i w dalszym ciągu odpowiadano chłodnym „nie”. Pomimo to i wbrew rozsądkowi rojalistyczny ambasador Francji w Madrycie, monsieur de Havre, łudził się wciąż jeszcze nadzieją, że nieustępliwy upór Hiszpanów odniesie w końcu zwycięstwo. W marzeniach swych widział już ocalonego królewicza w Madrycie, siebie samego zaś jako wychowawcę i opiekuna, jako tajemnego regenta wielkiej, promiennej, ukochanej Francji.

Tymczasem nadeszła wieść przerażająca: młodociany król Ludwik XVII zakończył życie. Pan de Havre nie chciał wierzyć w tę śmierć; prawdopodobnie rojaliści wprowadzili chłopca i trzymają go gdzieś w ukryciu. Ale donia Maria Luiza i don Manuel byli aż nadto skłonni uznać śmierć małego Ludwika za fakt dokonany i ta zła wieść powitana została przez dwór madrycki ze skrytym uczuciem ulgi. W ten sposób usunięty został, bez ujmy dla honoru, sporny punkt w rokowaniach.

Mimo to pertraktacje pokojowe nie posuwały się naprzód. Republika, dumna ze zwycięstw swych armii, żądała odstąpienia prowincji Guipuzcoa ze stolicą San Sebastian oraz odszkodowania wojennego w sumie czterystu milionów.

— Liczę na to — oświadczyła Maria Luiza swemu pierwszemu ministrowi — że pokój pozwoli nam na nieco szerszy tryb życia.

Don Manuel zrozumiał, że nie wolno mu zgodzić się na zapłacenie tych czterystu milionów.

Pepa zaś powiedziała:

— Mam nadzieję, don Manuelu, że dzięki panu Hiszpania wyjdzie z tej wojny większa i silniejsza.

Don Manuel zrozumiał, że nie może poświęcić krainy Basków.

— Jestem Hiszpanem — oświadczył dumnie i poważnie don Miguelowi. — Nie oddam San Sebastian i nie zapłacę tego olbrzymiego haraczu.

Ale przemyślny don Miguel, nie kompromitując swego zwierzchnika, wyciągnął tymczasem macki do Paryża i dostarczył niebawem swemu ministrowi interesujących informacji: Dyrektoriat paryski dąży po osiągnięciu pokoju do zawarcia przymierza z Hiszpanią; jeśliby Hiszpania wyraziła zgodę na takie przymierze, Republika byłaby gotowa złagodzić znacznie swoje warunki.

— O ile mi wiadomo — rzekł don Miguel ostrożnie — Paryż

1/ C a p e t Hugo (938—996} — założyciel królewskiego rodu Kapetyngów, od którego wywodzą się również francuscy Burbonowie.

byłby na razie zadowolony, gdyby się pan osobiście zobowiązał doprowadzić przymierze do skutku.

— Osobiście? — spytał, przyjemnie zdziwiony.

— Tak, senior — potwierdził don Miguel. — Gdyby pan wystosował własnoręczne pismo z tego rodzaju zapewnieniem, poufne, rzecz jasna, do jednego z dyrektorów, na przykład do Abbe Sieyesa<sup>1/</sup>, nie wątpię, że Republika przestałaby upierać się przy obydwóch tak ciężkich do przyjęcia klauzulach.

Znaczenie, jakie przypisywano jego osobie w Paryżu, pochlebiło don Manuelowi. Spodziewa się, powiedział królowej, że uda mu się doprowadzić do zawarcia zadowolającego, a nawet honorowego pokoju, jeśli otrzyma upoważnienie do nawiązania z paryskimi władzami nieoficjalnej, osobistej wymiany zdań. Maria Luiza przyjęła to sceptycznie.

— Wydaje mi się — rzekła — że przeceniasz swe siły, *pico*<sup>2</sup>

Don Manuel poczuł się dotknięty.

— Dobrze, donio Mario Luizo — odpowiedział — pozostawiam zatem pani zadanie obrony państwa.

I pomimo nalegań don Miguela nie wystosował listu do Abbe Sieyesa.

Tymczasem Francuzi, znecierpliwieni długimi targami, wydali generałowi Perignon rozkaz, by ruszył ze swą armią naprzód. W szybkim, zwycięskim pochodzie zdobyły wojska republikańskie Bilbao, Mirandę, Victorię i dotarły do granic Kastylii. W Madrycie wybuchła panika. Rozeszły się pogłoski, że dwór przygotowuje się do wyjazdu do Andaluzji.

— Ja panią uratuję, madame — oświadczył don Manuel — panią i Hiszpanię. — I wysłał list do Paryża.

W tydzień później podpisano wstępny układ pokoju. Francja zadowolona się hiszpańską częścią wyspy San Domingo na Antylach i zrzekła się pretensji do kraju Basków. Republika zgodziła się też na propozycję hiszpańską, by spłaty odszkodowań wojennych rozłożyć na lat dziesięć i aby mogły one być uiszczone w naturze. Wreszcie Republika zobowiązywała się wydać — Austrii, nie Hiszpanii — królowną Marię Teresę, córkę Ludwika XVI.

W całym kraju zapanowało nieopisane, radosne zdumienie, że

1/— Sieyes Emanuel (1748—1836) — ksiądz, jedna z czołowych postaci rewolucji francuskiej, autor słynnej broszury o stanie trzecim, kolejno członek Konstytuanty, Konwentu i Dyrektoriatu.

2/ Pico — mały.

Hiszpania wychodzi z przegranej wojny prawie bez strat terytorialnych. Ach, ten Manuel Godoy!

— Zuch z ciebie! — rzekł don Carlos i mocno poklepał Manuela po ramieniu.

— Chcesz wiedzieć, w jaki sposób do tego doprowadziłem? — spytał Manuel królową.

— Nie, nie — odpowiedziała; domyślała się, jak się to stało, i nie chciała nic więcej o tym słyszeć.

Ponieważ tak korzystny pokój doszedł do skutku dzięki don Manuelowi, obsypano go nagrodami i zaszczytami, jakimi nikogo już od dawna nie uczczono. Otrzymał w darze dobra państwowe pod Grenadą i tytuł Principe de la Paz, Księżę Pokoju, nadto mianowany został naczelnym wodzem wszystkich wojsk Hiszpanii.

W świetnym uniformie naczelnego wodza stawił się przed parą królewską, aby jej złożyć podziękowanie. Białe spodnie przylegały ściśle do ud, pierś przeżyła się dumnie w opiętym mundurze; przy kapeluszu, który trzymał pod pachą, powiewało długie, puszyste pióro.

— Wspaniale wyglądasz — rzekł mu don Carlos i dodał szybko: — Nakryj głowę!

Tylko dwunastu pierwszym grandom Hiszpanii przysługiwało prawo nakrywania głowy przed udzieleniem odpowiedzi na pytanie króla. Grandowie drugiego rzędu mogli nakryć głowę dopiero po udzieleniu odpowiedzi, grandowie zaś trzeciego rzędu dopiero wtedy, gdy ich poproszono, aby usiedli.

Donia Maria Luiza domyślała się, że zawarcie pokoju było dziełem nie tyle don Manuela, ile raczej jego doradców, tych podejrzanych oświeconych, buntowniczych *afrancesados*, hołdujących francuszczyźnie; przewidywała zresztą, że ten pozornie tak błyskotliwy wynik kryje w sobie zarodek nowych wojen i innych nieprzewidzianych, prawdopodobnie szkodliwych następstw. Ale chwilowo był to bądź co bądź pokój świetny i zaszczytny i Manuel położył na nim swój podpis. A chociaż sama obdarzyła tego młodego człowieka owym błyszczącym uniformem, imponował jej w tym nowym, dostojnym męskim stroju i serce jej żywiej zabiło dla niego.

Było jeszcze dwunastu grandów pierwszego rzędu, potomków tych rodów, które od czasu Sancha Wielkiego<sup>1</sup>, a więc od lat

\*Sancho III Wielki (1001—1035) — król Navarry, zjednoczył pod swym panowaniem północną część Półwyspu Pirenejskiego.



ośmiuset lub dawniej jeszcze, władały tym półwyspem; używali oni w rozmowie z sobą braterskiej formy „ty”. Dziś jednak, kiedy z łaski króla Principe de la Paz stał się równy tym najwyższym arystokratom, jako trzynasty z nich, don Manuel przewyciężył w sobie zakorzeniony respekt i zwracał się przez „ty” do książąt Arcos, Bejar, Medina Sidonia, Infantado i innych. Odpowiadali krótkim błyskiem zdumienia, a potem mówili mu również „ty”; czuł się tym uszczęśliwiony.

Zwrócił się z kolei do księcia Alby:

— Ciesz się, Jose, że tak świeżo dziś wyglądasz.

Spokojna twarz smukłego, wykwintnego pana nie drgnęła; jego piękne, ciemne, myślące oczy patrzyły nieruchomo; odpowiedział bardzo uprzejmie:

— Dziękuję panu za pamięć o mnie, *excelentissimo senior*<sup>1</sup>.

Tak, powiedział *excelentissimo senior*. Ale nie chciał powiedzieć „ty”.

Na koniec don Manuel zagadnął don Ludwika Marię de Borbon, hrabiego de Chinchón, arcybiskupa Sewilli.

— Dawno cię już nie widziałem, Ludwiku.

Bardzo jeszcze młody, ale bardzo poważny pan spojrział na niego, jakby Manuel był powietrzem, i oddalił się bez słowa. A przecież ten don Luis Maria de Borbón jest tylko półkrwi Burbonem: wprawdzie to syn infanta Kastylii i brat stryjeczny króla, ale matka jego była zwyczajną donią Marią Teresą de Vallabriga, z drobnej szlachty aragońskiej, i król nie przyznał don Luisowi Marii de Borbón tytułu infanta. Chociaż więc w żyłach don Luisa Marii płynęła krew królewska, to jednak Manuel miał dziś wyższy od niego tytuł i rangę. Manuel pomyślał: „Nie jestem próżny, ale nie zapomnę temu bękartowi, temu pół-Burbonowi jego arogancji.”

Maria Luiza, chcąc wynagrodzić afront wyrządzony don Manuelowi, pomyślała o nowym zaszczytnym wyróżnieniu swego ulubieńca. Astrolog nadworny przeprowadził wielce zawile obliczenia, które wykazały, że rodzina Godoyów spokrewniona jest z książęco-elektorskim domem Bawarii i z królewskim rodem Stuartów. Genealog zaś królewski orzekł na zasadzie długich zestawień, że don Manuel Godoy wywodzi się w prostej linii z królewskiego rodu Gotów, nazwisko bowiem „Godoy” pochodzi od słów: *Godo soy* — „jestem Gotem”.

<sup>1</sup> Najdostojniejszy panie.

Ponadto rozkazał król Carlos, aby specjalny herold nosił przed Księciem Pokoju podczas jego wystąpien urzędowych głowę Janusa <sup>1</sup>, na znak, że trafnie zrozumiał przeszłość i trafnie przewidział przyszłość.

Pierwszy publiczny występ don Manuela, uświetniony tą nową wyróżniającą go odznaką, przypadł na otwarcie Akademii Nauk w Madrycie.

Ale Manuel nie udał się tam najkrótszą drogą; jego czterokonny ekwipaż zatoczył daleki, okrężny łuk, tak aby Pepa Tudó była pierwszą z grona przyjaciół, która zobaczy go w glorii nowego szczytu. Stała właśnie w oknie. Manuel przejeżdżając złożył jej ukłon głęboki, pełen szacunku. Ją zaś przepełniło uczucie dumy, że tego oto człowieka uczyniła równym bohaterom swych pieśni i romanc, że dzięki niej stał się zbawcą i pierwszym mężem Hiszpanii.

I postanowiła, że teraz don Francisco namaluje dla niej portret Manuela w nowym jego blasku.

### III

Zagrzewany przez swych oświeconych przyjaciół i doradców, don Manuel postanowił teraz skorzystać ze swej ogromnej popularności, aby wprowadzić w życie postępowe reformy. Pragnął on zawsze uchodzić za protektora sztuk i nauk; ponadto, prowadząc politykę liberalną, chciał okazać obecnym władcom francuskim, że przyczynia się do przygotowania obiecanego przymierza.

Ale zarządzenia jego pozostały bez skutku, gdyż Kościół używał wszystkich swoich wpływów, by je zwalczać. Przyjaciele Manuela doradzali mu, aby odpowiedział na to dalszym ograniczeniem jurysdykcji Świętego Officium oraz pozbawieniem go znacznej części dochodów, które przypadłyby skarbowi państwa. Ba, sądzili nawet, że teraz, kiedy Manuel pewny jest podziwu i miłości całego narodu, może znieść przywilej zwalniający Kościół od podatków i ziszczyć w ten sposób dawne marzenie: uzdrowić finanse państwa, a jednocześnie złamać raz na zawsze opór Kościoła przeciw wprowadzaniu nowoczesnych reform.

Jednak otwarta wojna z Kościołem nie zgadzała się z usposobieniem

\* Janus — bóg rzymski, wyobrażany przez Rzymian z głową o dwóch twarzach.

don Manuela. Także Pepa czyniła ze swej strony wszystko, aby powstrzymać go od środków stanowczych. Kiedyś, będąc dzieckiem jeszcze, była świadkiem *autodafe*. Wrażenia te żywo zapadły jej w duszę: ponura uroczystość, łopocące chorągwie, roje księży, grzesznicy skazani na śmierć i płonące stosy, na których ich palono. Spowiednik Pepy nie szczędził wysiłków, aby przejąć jej umysł mistyką Świętego Trybunału. Panowie z inkwizycji byli u niej częstymi gośćmi; nawet arcybiskup Grenady, Despuig, który stał blisko osoby Wielkiego Inkwizytora, przyjął ją podczas ostatniego swego pobytu w Madrycie.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wpływy inkwizycji zmalały poważnie. Ale później, gdy po drugiej stronie Pirenejów wzięły górę rebelia i bezbożnictwo, inkwizycja wzmocniła się ponownie. Liberalny Wielki Inkwizytor Sierra został odwołany, a stanowisko jego zajął fanatyczny kardynał-arcybiskup z Toledo, ponury Francisco de Lorenzana. Święte Officium prześladowało przy pomocy rządu wszelkie prądy umysłowe sympatyzujące z nowymi francuskimi doktrynami jako bezbożnictwo, „filozofizm” i wszczynало dochodzenia przeciwko licznym *afrancesados*. Ale teraz, kiedy podpisano pokój z Republiką, a nawet noszono się z zamiarem zawarcia z nią przymierza, zyskiwały znowu przewagę żywioły wolnomyślne. Inkwizycja upatrywała w tym nową groźbę dla swej wzmocnionej niedawno władzy.

Lorenzana, bystry polityk i intrygant, pomyślał o tym zawczasu. Prawie wszyscy ministrowie i wyżsi urzędnicy, z don Manuelem na czele, podejrzani byli o „filozofizm” i o „naturalizm”, to jest utożsamianie Boga z naturą. Lorenzana gromadził skrzętnie materiały przeciwko wszystkim tym panom; w archiwach jego trybunałów mnożyły się doniesienia. Dobrowolni i najemni pomocnicy śledzili dokładnie tryb życia Księcia Pokoju, a zażyłe stosunki niektórych prałatów z Pepą Tudó dokonywały reszty; każdy dzień i każda noc pierwszego ministra były skrupulatnie zapisywane w rejestrach Świętego Officium. Wielki Inkwizytor sprawdzał i mierzył, jak zacieśniają się lub oziębiają stosunki między królową a jej faworytem, w miarę jak podnosiła się lub spadała temperatura jego stosunku miłosnego z Pepą Tudó. Doszedł na koniec do wniosku, że pozycja don Manuela nie jest tak mocna, a pozycja Świętego Officium bynajmniej nie tak słaba, jak to powszechnie przypuszczano.

Rozpoczął atak przeciwko bezbożnemu prezydentowi ministrów. uderzając w kacerzy. W kilku większych miastach prowincjonalnych

inkwizycja oskarżyła mężów powszechnie szanowanych, profesorów, wysokich urzędników państwowych itp. Uwięziono i skazano byłego posła hiszpańskiego we Francji, hrabiego de Azora, filologa Yeregui, który za panowania Karola III był nauczycielem królewskich infantów, nadto słynnego matematyka, profesora uniwersytetu w Salamance, Luiza de Samaniego.

W napięciu oczekiwał teraz Wielki Inkwizytor, czy pierwszy minister przedsięwzięcie jakieś kroki w ich obronie, czy będzie próbował wydrzeć z rąk inkwizycji tych ludzi o wolnomyślnych poglądach. Ale don Manuel nie powążył się na ten krok. Wystosował tylko do Świętego Officium nieśmiałą prośbę, aby mężom tym wymierzono łagodną karę z uwagi na zasługi, które położyli dla Korony.

Wtedy Lorenzana postanowił zadać cios decydujący: zgładzić jednego z głównych przywódców wolnomyślicieli, słynnego w całej Europie pisarza i męża stanu, Olavide.

Don Pablo Olavide urodził się w Limie, w Peru. Uchodził za cudowne dziecko i w bardzo młodym wieku otrzymał urząd sędziego. Kiedy straszliwe trzęsienie ziemi zniszczyło Limę, powierzono mu zarząd majątków i funduszków, których tytuł własności stał się sporny na skutek śmierci ich właścicieli. Fundusze należne osobom, które nie mogły należycie udowodnić swych praw spadkowych, zużył bardzo jeszcze wówczas młody administrator na wybudowanie kościoła i teatru. Wywołało to gniew kleru. Przy poparciu wpływowych duchownych peruwiańskich spadkobiercy, których roszczenia oddalono, złożyli skargę w Madrycie. Olavide został wezwany do Madrytu, postawiony przed sąd, pozbawiony swego urzędu, w wielu sprawach zasądzony na zapłacenie odszkodowania i skazany na karę więzienia. Wypuszczony wkrótce potem na wolność z powodu złego stanu zdrowia, czczony był w całym kraju przez zwolenników Oświecenia jako męczennik. Ożenił się z pewną bardzo zamożną wdową i uzyskał darowanie reszty kary. Odtąd podróżował po świecie. Bywał często w Paryżu. Nabył jeden pałac w hiszpańskiej, drugi we francuskiej stolicy. Łączyły go przyjazne stosunki z Voltaire'em i Rousseau, z którymi prowadził korespondencję. Utrzymywał w Paryżu teatr, w którym wystawiał nowoczesne sztuki francuskie we własnym przekładzie. Aranda, liberalny prezydent ministrów Karola III zasięgał czasem w ważnych sprawach jego rady. W oczach Europy uchodził Pablo Olavide za jedną z czołowych postępowych osobistości.

Na południowych stokach gór Sierra Morena leżały rozległe połacie ziemi; obszary te, dawniej uprawiane, po wypędzeniu Maurów i Morysków zmieniły się w pustkowia. Związek hodowców bydła „Mesta” otrzymał zezwolenie na bezpłatne korzystanie z tych obszarów jako pastwisk dla wielkich wędrownych trzód owiec. Obecnie, na skutek starań Olavidego, rząd odebrał związkowi hodowców nadany mu uprzednio przywilej i upoważnił Olavidego do założenia w owym pustkowiu kolonii Nuevas Poblaciones. Olavide osiedlił tam przy pomocy pułkownika bawarskiego Thurriegla około dziesięciu tysięcy chłopów, przeważnie Niemców, oraz hodowców jedwabników i tkaczy jedwabiu z Lyonu. Sam Olavide został mianowany gubernatorem całego obszaru i otrzymał szerokie pełnomocnictwa. Pozwolono mu nawet, by zaprowadził w swojej kolonii ustrój liberalny. Przyznano mu prawo sprowadzenia dla nowych osadników proboszczów z ich dawnej ojczyzny; dopuszczono nawet protestanckich pastorów. W ciągu niewielu lat Olavide zmienił pustynię w kwitnący kraj; wyrosły tam nowe wsie, sioła i miasteczka, gospody, warsztaty i fabryki.

Osadnicy przybyli z Palatynatu przywieźli ze sobą mnicha, kapucyna, brata Romualda z Fryburga, który miał sprawować nad nimi opiekę duszpasterską. Ten jednak nie mógł pogodzić się z liberalnym Olavidem. Coraz częstsze były zatargi, w końcu brat Romuald oskarżył go przed Świętym Trybunałem jako ateistę i materialistę. W tajemnicy i jak to nakazywały przepisy, bez wiedzy Olavidego inkwizycja przesłuchiwała świadków i gromadziła materiał. Ale nie odważono się na to, by poważanemu mężowi wytoczyć formalne oskarżenie. „Mesta” miała jednak potężnego protektora w osobie arcybiskupa Grenady, Despuiga. On to i spowiednik królewski, biskup Osmy, skłonili chwiejnego Carlosa do oświadczenia, że nie sprzeciwi się ze swej strony, jeżeli inkwizycja uwięzi Olavidego, by nie dopuścić do zagmatwania sprawy.

Wszystko to stało się, zanim don Manuel doszedł do władzy. Surowego Wielkiego Inkwizytora zastąpił liberalny następcą, tego ostatniego jeszcze liberalniejszy Sierra i przez cały ten czas Olavide trzymany był w więziennych lochach inkwizycji. Nie chciano widocznie dyskredytować Świętego Officium przez wypuszczenie go na wolność, ale nie śmiano go też zasądzić.

Czterdziesty trzeci Wielki Inkwizytor, don Francisco Lorenzana, był jednak człowiekiem zupełnie innego pokroju niż jego poprzednicy. Postanowił doprowadzić do wydania wyroku na kacerza Olavidego. Będzie to zarazem przypomnieniem dla szyderców

— nawet na najwyższych stanowiskach — że inkwizycja żyje jeszcze i działa.

Lorenzana wyczuł chwiejność don Manuela. Pomimo to chciał sobie zapewnić pomoc Watykanu; nie wątpił, że u energicznego Piusa VI znajdzie poparcie dla swoich zamiarów. Napisał do papieża, że uważa za słuszne, aby Olavide odpokutował na stosie za swe zbrodnie. Należy się jednak obawiać, pisał, że wobec szerzącej się dziś w całym świecie bezbożności publiczne skazanie kacerza tak wysoko przez pseudofilozofów cenionego stanie się powodem ataków całego cywilizowanego świata nie tylko na inkwizycję hiszpańską, ale i na sam Kościół. Prosi przeto ojca świętego o wskazówki.

Opat don Diego, jeden z sekretarzy Świętego Officium, powziął wiadomość o planie Wielkiego Inkwizytora. Wspólnie z don Miguelem nalegali na Księcia Pokoju, aby uprzedzając wypadki zawczasu oświadczył Lorenzanie, że rząd nie ścierpi żadnego *autodafe*.

Manuel był w pierwszej chwili zaskoczony. Ale chciał uniknąć otwartej walki z Lorenzaną. Pablo Olavide, oświadczył, został uwięziony jeszcze za rządów postępowego prezydenta ministrów Arandy, a król nie sprzeciwił się wówczas postępowaniu inkwizycji. W tych okolicznościach on, Manuel, nie ma prawa sprzeciwić się wydaniu wyroku skazującego. Przypuszcza zresztą, że Lorenzana próbuje tylko zastraszyć rząd i że jeśli w ogóle wyda wyrok, to każe go ogłosić przy drzwiach zamkniętych, a nie w publicznym *autodafe*. Pomyślał o Pepie i pozostał głuchy na nalegania Miguela; trwał w lekkomyślnym i wygodnym uporze.

Don Miguel, don Gaspar i opat don Diego siedzieli stroskani i przygnębieni naradzając się, co począć. Postanowili uciec się do pomocy przyjaciela, malarza don Francisca, gdyż właśnie w tym czasie don Francisco malował zamówiony dla Pepy Tudó portret Księcia de la Paz.

#### IV

Goyą owładnęła namiętność do Cayetany. Spodziewał się i obawiał zarazem, że namiętność ta, która wybuchła w nim z tak niepojętą szybkością, równie szybko przeminie; zdarzało mu się już nieraz w życiu, że był w jakiejś kobiecie zakochany po uszy,

a w dwa lub trzy tygodnie później sam nie rozumiał, co mu się w niej podobało. Ale Cayetana była dla niego za każdym razem nowa, inna, nie mógł jej poznać i zgłębić do dna. Wnikliwym okiem malarza wykrył wszystkie najdrobniejsze szczegóły jej zewnętrznej postaci, tak że mógłby rysować ją z pamięci. Mimo to, ilekroć ją spotykał, wydawała mu się za każdym razem inna; pozostała dla niego zawsze nieodgadniona.

Czymkolwiek był zajęty, czy o czymś myślał, czy malował, czy z kimś rozmawiał, zawsze gdzieś, w głębi mózgu stał obraz Cayetany. Związek z nią był czymś zupełnie różnym od spokojnego i ufego uczucia, które łączyło go z Josefą, różnił się też całkowicie od pogodnych czy pełnych udręki uczuć, jakie budziły w nim dawniej inne kobiety.

Przemiany Alby dokonywały się nagle, raptownie; w każdym przeobrażeniu była sobą, w każde wkładała całą swoją istotę. Miała wiele twarzy; widział je wszystkie, ale nie widział ostatecznej. A istniała ona niewątpliwie, czuł to, był tego pewien, nie umiał jednak znaleźć tego, co zespałało i jednoczyło ze sobą wszystkie jej maski, tak od siebie różne. Była posągiem, raz takim, drugi raz innym, zawsze jednak przechodziła na powrót w kamień, którego nie mógł pojąć ani zrozumieć. Starym zwyczajem rysował na piasku jej różne twarze; ale prawdziwa jej twarz zacierała mu się, podobnie jak ów piasek.

Raz, kiedy pozowała mu na tle krajobrazu, namalował go subtelnie i starannie, tak jednak, że krajobraz zdawał się znikać, i nic nie było na obrazie prócz Cayetany. Stała przed nim biała, dumna, z wysokimi łukami brwi, z twarzą w powodzi czarnych włosów, z wysoko upiętą szarfą i czerwoną kokardą na piersi, a u stóp jej kręcił się nieopisanie głupiutki, maleńki, biały, kędzierzawy piesek, z czerwoną kokardą na tylnej nóżce, śmieszną imitacją jej własnej kokardy. Sztywna, delikatna, wyniosła, wskazywała palcem w dół pod swoje stopy, tam, gdzie w rogu obrazu widniały drobne, cienkie litery podpisu: „Księżnie de Alba Francisco de Goya”, litery skierowane na znak hołdu ku oczom księżnej.

Potem malował ją tak, jak ją ujrzał po raz pierwszy w jej domu, na estradzie, innym znów razem taką, jaką widział na spacerze przed Eskuriałem. Malował ją wiele razy; nie był jednak z tych obrazów zadowolony. Nie umiał przelać w jej portrety tego wszystkiego, co porwało go wówczas na estradzie, co oszołomiło go podczas owej przechadzki, co bezustannie drażniło go w niej i pociągało.

Mimo wszystko czuł się szczęśliwy. Cayetana pokazywała się

z nim swobodnie, nie kępując się nikim, i odczuwał dumę, że choć niemłody już i otyły, gminnego przy tym pochodzenia, był jej *cortejo*. Ubierał się elegancko także do malowania, właśnie do malowania. Tak czynił niegdyś, gdy przybył do Madrytu; Josefa jednak uważała, że nie powinien brudzić farbami kosztownych ubiorów, lecz nosić przy malowaniu zwyczajny kitel; Francisco uległ perswazjom żony i własnemu zmysłowi oszczędności. Ale teraz kitel poszedł znowu w ką. Francisco zdawał sobie sprawę, że wygląda śmiesznie w obcisłym modnym stroju, i natrząsał się sam z siebie. Namalował fircyka przyglądającego się sobie w lustrze; nadmiernie wysoki kołnierzyk wrzyna mu się w szyję, nie może poruszać ani głową, ani ręką ściśniętą olbrzymią rękawicą, ani ramieniem w obcisłym rękawie; porusza się z trudem, bo nogi ma wtłoczone w płytkie trzewiki ze spiczastymi nosami.

Był teraz wyrozumiały i dla siebie, i dla innych. Znosił cierpliwie pedanterię Miguel, uczoność i wytworność ruchliwego opata, zatroskaną minę Agustina. W gronie rodzinnym był uważający i pogodny. Pragnął, aby cały świat brał udział w jego szczęściu.

Jeśli Cayetana bywała czasem dziecinną, Goya był nim bardziej jeszcze. Kiedy zjawiała się u niego niespodzianie, stawał na przykład na głowie i wywijał nogami na powitanie. Z radością posługiwał się swą sztuką, aby ją rozśmieszyć. Rysował jej swą własną twarz jako karykaturalną maskę i dziwacznie wykrzywione twarze dueni Eufemii, fircykowatego markiza de San Adrian i dobrodusznego, niezdarnego, nadętego dostojenstwem króla. Chodzili często razem do teatru; śmiał się do rozpuku z naiwnych, błazeńskich *tonadillas* i *sainets*<sup>1</sup>. Zachodzili też czasem do Manolerii, gdzie w winiarniach odwiedzanych przez *majów* byli chętnie widzianymi gośćmi.

U progu starości czuł w sobie nową młodość. Do niedawna wszystko wydawało mu się zużyte, zarówno to, co dobre, jak i to, co złe; wszystko było jednakowe, spowszedniałe, znane tak dobrze jak smak potraw. Teraz świat wydał mu się bogaty i nowy. Była to jak gdyby druga młodość, bardziej od pierwszej doświadczona, zarówno w pożądaniu, jak w doznawaniu rozkoszy.

Goya zdawał sobie przy tym sprawę, że czyhają na niego zewsząd złe duchy i że to wielkie szczęście ściągnie zgubę na jego głowę. Czyż nie ukazał mu się upiór południa? Ale Cayetana była w jego życiu szczęściem niezmiernym i gotów był za nie zapłacić.

To uczucie szczęśliwości nie opuszczało go także przy pracy;

<sup>1</sup> Sainetes — kuplety.



malował dużo i z ochotą. Rękę miał lekką, spojrzenie szybkie ostre, dokładne. Wykonał portrety księcia de Castro Terreno, don Miguela, opata; don Manuel zamówił u niego również dwa nowe portrety, każdy w innej pozie.

A potem zabrał się do obrazu, którego nikt nie zamówił, który malował ku własnej radości; był to obraz trudny, wymagał mozolnego wykonania wielu drobnych szczegółów: *romeria*, pielgrzymka ku czci świętego Izydora, patrona stolicy.

Wesołe i pogodne pielgrzymki na łąkę i do pustelni świętego Izydora należały do ulubionych rozrywek mieszkańców Madrytu; on sam, Francisco, wyprawił niedawno na łące świętego Izydora z okazji ostatniego szczęśliwego porodu Josefy festyn dla trzystu przyjaciół; wysłuchano mszy świętej i raczono się indykami, tak jak to było w zwyczaju. Malowanie tych majówek pociągało zawsze artystów stolicy. Malował je Maella i szwagier Goyi, Bayeu, i on sam, Francisco, namalował kiedyś zabawę ludową na cześć świętego Izydora; było to przed dziesięciu laty, kiedy pracował dla królewskiej fabryki gobelinów. Ale ów gobelin przedstawiał kawalerów i damy w przebraniu, udających tylko wesołość, w ten zaś obraz przelał szczerą, żywiołową radość, swoją własną i swego Madrytu.

W dali, na widnokregu, wznosi się ukochane miasto, gmatwanina białych domów, z zamkiem, wieżami, kopułami kościołów; na pierwszym planie łśni spokojny Manzanares, a na jego brzegach ludność Madrytu czci radośnie pamięć swego patrona i opiekuna. Widać tu mrowie ludzi; przechadzają się powoli, a wśród nich widać powozy i jeźdźców na koniach; mnóstwo małych postaci, wykonanych z wielką starannością. Siedzą, leżą, jedzą, piją, rozmawiają, romansują; widać dziewczęta i chłopców, dostatnio ubranych mieszczan i wytwornych kawalerów, a nad nimi światło lekkie, jasne, pogodne. Goya włożył w ten obraz całą niezmaconą radość swego serca, cały nieomylny kunszt swej ręki, swego wnikliwego spojrzenia. Otrząsnął się całkowicie spod wpływu sztywnej linii, która przez tak długi czas pętała mu skrzydła. Czuł się teraz wolny, szczęśliwy i w jego *romerii* była przestrzeń i perspektywa, wszystko było światłem i barwą. Tłumy ludzi i rzeka na pierwszym planie, a w dali biały, rozległy Madryt — wszystko to stapiało się w jedną całość, niebo, miasto i ludzie tworzyli obraz barwny i lotny, radosny, lekki i jasny.

Francisco otrzymał od don Gaspara Jovellanos list z uprzejmym i pilnym zaproszeniem „na herbatę”. W kołach liberalnych dawano pierwszeństwo herbacie przed arystokratyczną czekoladą; pamiętano też, że upodobanie do herbaty i opór przeciwko podwyższeniu jej ceny przyniosły koloniom angielskim w Ameryce rewolucję i wyzwolenie.

Goya nie lubił ani mdłego napoju, ani pedantycznego i zapalczywego Jovellanos. Ale nie mógł zlekceważyć uprzejmego zaproszenia męża tego pokroju.

Towarzystwo, które Goya zastał u Jovellanos, było nieliczne. Był tam don Miguel Bermudez i wybitny finansista hrabia Cabarrus, nie brakło też oczywiście opata don Diego. Jedynym gościem, którego Goya nie znał, był adwokat i literat, Jose Quintana. Czytał zresztą, jak każdy, popularne wówczas poezje Quintany. Poeta napisał je, jak opowiadano, mając lat szesnaście. Jeszcze i dzisiaj wydawał się bardzo młody, mógł mieć najwyżej lat dwadzieścia lub dwadzieścia jeden. Goya, który sam rozwijał się i dojrzewał powoli, nie ufał dziełom stworzonym w tak młodym wieku, mimo to skromny i żywy Jose Quintana spodobał mu się od razu.

Na ścianie wisiał duży portret pana domu; był to obraz namalowany przez Goyę zaraz po przybyciu do Madrytu, a więc jakieś dwadzieścia lat temu. Przedstawiał Jovellanos siedzącego przy niewielkim, skromnym biurku; twarz polityka była wymuskana, uprzejmie uśmiechnięta. W całej jego postaci, w ubiorze, w meblach było coś wyszukanego i afektowanego; nic nie zapowiadało surowej, cnotliwej powagi dzisiejszego Jovellanos. Możliwe, że był wtedy dużo łagodniejszy, ale nie miał chyba na pewno tak gładkiego i miłego wyrazu twarzy, i nawet młody jeszcze wówczas Francisco Goya nie powinien był widzieć go tak gładkim i fałszywym.

Rozmowa toczyła się, jak to Goya przewidywał, dokoła polityki. Krytykowano ostro postawę Księcia Pokoju. Tak, minister był bez wątpienia niezmiernie pewny siebie; Goya, któremu don Manuel pozował właśnie do portretu, miał nieraz sposobność przekonać się, z jaką zarozumiałą nonszalancją w mimice i gestach minister podkreślał znaczenie swego nowego stanowiska. Ale ta próżność nie przynosiła krajowi szkody. Czyż don Manuel nie wykazał dużo dobrej woli w popieraniu sprawy postępu? Czy nie

wyzyskiwał swej popularności, by przeprowadzić zbawienne dla kraju reformy? Zarządzenia Księcia Pokoju były, zdaniem Jovellanosa, połowiczne. Rzeczą istotną jest i pozostanie walka z inkwizycją i Kościołem. A minister ustępuje przed klerem z tym samym zabobonnym lękiem, jaki ciemny motłoch odczuwa przed Świętym Officium. Jednakże każda próba reformy, perorował dalej grzmiącym, fanatycznym głosem, musi mieć na celu właśnie i przede wszystkim pozbawienie kleru jego władzy. Źródłem bowiem wszelkiego zła jest popierana przez Kościół ciemnota. Już to, co dzieje się w Madrycie, jest dość ponure; ignorancja jednak i zabobony panujące w prowincjach przechodzą wszelkie pojęcie. Don Francisco powinien obejrzeć przy sposobności kolekcję doktora Perala; jest to zbiór małych woskowych figur Jezusa; doktor Peral otrzymał je za pośrednictwem ogrodnika pewnego klasztoru.

— Mniszki — opowiadał — bawiły się tymi świętymi figurami jak lalkami. Jedna ubierała swego Jezuska jak księdza, druga jak sędziego, inna stroiła swego jak doktora, z peruką i laską o złotej gałce. Jak można upowszechnić w tym kraju zasady higieny, kiedy nawet taka dama jak księżna Medina Coeli leczy swego synka palcem świętego Ignacego, startym na proszek, który wsypuje mu do zupy i do lewatywy? A inkwizycja jednak występuje przeciw każdemu, kto śmie wątpić o cudownym działaniu takich środków.

W pewnej chwili przerwał i rzekł z uśmiechem:

— Wybaczcie mi, panowie, że jestem tak nieuważnym gospodarzem. Podaję wam do picia gorzki napój mego przygnębienia zamiast poczęstować was winem i przekąską. Na jego polecenie podano na stół *hipocras*, *pajarete*<sup>1</sup>, owoce, paszteciki i konfitury. Zaczęto teraz mówić o obrazach i książkach, Opat prosił młodego Ouintanę, by odczytał kilka swoich wierszy. Ten nie drożył się długo; wołał jednak przeczytać pewien utwór prozą, nowy, nieco śmiały. Uprzedził swych słuchaczy, że będzie to rodzaj krótkiego życiorysu, podobny do małych portretów zwanych miniaturami, które dawniej umieszczano na początku książek, a które teraz ponownie weszły w modę. Kiedy wszyscy wyrazili zgodę, przeczytał na głos życiorys dominikanina Bartolome Carranza, arcybiskupa Toledo, sławnego męczennika, który padł ofiarą inkwizycji.

1/— Hipocras — aromatyczne wino korzenne; pajarete — słodkie wino hiszpańskie z gatunku xeres.

Wciąż jeszcze, choć dwieście lat minęło od jego śmierci, nie wolno było czcić pamięci Carranzy. Opowieści o nim krążyły jednak potajemnie wśród ludu, powtarzano sobie jego słowa, opisywano jego święte uczynki, sławiono go i wielbiono, co prawda tylko szeptem.

## VI

Don Bartolome Carranza wyróżniał się już w młodym wieku jako wybitny teolog i zdobył sobie wkrótce sławę pierwszego w Hiszpanii nauczyciela Kościoła. Karol V wysłał go jako swego przedstawiciela na sobór w Trydencie, gdzie Carranza oddał wielkie usługi krajowi i Kościołowi. Następca Karola, Filip II, u którego Carranza pełnił w Anglii i we Flandrii funkcję doradcy w sprawach religii i polityki, mianował go arcybiskupem w Toledo, a tym samym prymasem państwa. Surowe poglądy Carranzy na obowiązki kapłańskie i niezwykła jego dobroczynność zjednały mu w całej Europie sławę najznakomitszego przedstawiciela Kościoła swej epoki.

Ale nie był on niestety zręcznym politykiem, wysokie stanowisko, sława i bezwzględne, surowe kary, na które skazywał wyższe duchowieństwo za zaniechanie obowiązków kapłańskich, wzbudziły zawiść i przysporzyły mu wielu wrogów.

Najzawziętym jego przeciwnikiem był don Fernando Valdes, arcybiskup Sewilli. Carranza zmusił go, drogą zresztą pośrednią, przez wydanie teologicznego orzeczenia, aby z dochodów swej archidiecezji uiszczył królowi Filipowi pięćdziesiąt tysięcy dukatów tytułem podatku wojennego, a don Fernando Valdes był człowiekiem chciwym na pieniądze. Co gorsza, Carranza sprzątnął mu później sprzed nosa najbogatszą prebendę w kraju, właśnie arcybiskupstwo Toledo, przynoszące osiem do dziesięciu milionów rocznej renty. Don Fernando Valdes czekał tylko na sposobność, by upokorzyć Carranzę.

Sposobność ta nadarzyła się, gdy Valdes został mianowany Wielkim Inkwizytorem. Arcybiskup Carranza napisał kiedyś komentarz do katechizmu, który spotkał się wprawdzie z wielkim uznaniem, ale wywołał także szereg ataków. Uczony dominikanin Melchor Cano, którego Carranza zraził do siebie sporem w pewnych kwestiach teologicznych, znalazł w tej książce dziewięć miejsc uzasadniających podejrzenie o kacerstwo. Wpłynęły także i inne podobne opinie, a oprócz nich doniesienia o pewnych podejrzanym ustnych

wypowiedziach Carranzy. Wielki Inkwizytor z wielką uwagą przeczytał dokumenty i uznał, że materiał ten wystarczy do sporządzenia aktu oskarżenia.

Carranza, ostrzeżony, że dochodzenie przeciwko niemu jest w toku, postarał się o oceny znakomitych teologów, którzy stwierdzili z całą stanowczością przykłądną pobożność i prawomyślność jego dzieła, uciekł się nadto pod ochronę swego wychowanka, króla Filipa, przebywającego w tym czasie we Flandrii. Wielki Inkwizytor zrozumiał, że po powrocie króla nie będzie mógł podnieść palca na Carranzę. Postanowił tedy wymierzyć cios niezwłocznie.

Kiedy Carranza podczas podróży służbowej bawił w miejscowości Torrelaguna, inkwizycja wydała rozkaz, by mieszkańcy przez dwa dni nie wychodzili z domów, i poleciła jednocześnie otoczyć silnym oddziałem uzbrojonych żołnierzy mały pałacyk, w którym mieszkał arcybiskup. Rozległo się wołanie: „Otworzyć w imieniu Świętego Officium!” Chwilę później inkwizytor de Castro klęczał ze łzami w oczach przed łóżem arcybiskupa, przedstawiając mu rozkaz aresztowania i błagając o przebaczenie. Carranza przeżegnał się i pozwolił się aresztować.

Odtąd znikł z ludzkich oczu, jak gdyby się w ziemię zapadł.

A Wielki Inkwizytor wybrał się spiesźnie do Flandrii, do króla Filipa, aby mu złożyć sprawozdanie. Prałaci, od biskupa w górę, nie podlegali trybunałom inkwizycji, lecz jurysdykcji papieskiej. Ale Valdes postarał się o pełnomocnictwo ojca świętego, upoważniające go do wszczynania śledztwa w wypadkach szczególnej wagi bez uprzedniego zasięgnięcia zgody Rzymu. Wy tłumaczył królowi, że właśnie zachodzi taki wypadek. Przedłożył Filipowi przywieziony materiał. Nie omieszkał przy tym zaznaczyć, że nałożył już sekwestr na dochody arcybiskupstwa toledańskiego i że inkwizycja, po pokryciu kosztów procesu, przekaże te dochody królowi. Wtedy Filip doszedł do przekonania, że Carranza, jego były doradca i nauczyciel duchowny, mocno trąci kacerstwem, i wyraził zgodę na akcję wszczętą przez Wielkiego Inkwizytora.

Carranzę przywieziono do Valladolid. Tam, na przedmieściu San Pedro, zamknięto go wraz z przydanym mu do towarzystwa człowiekiem w dwóch ciasnych izbach bez światła i powietrza.

Rozpoczęło się długotrwałe śledztwo. Przesłuchano dziewięćdziesięciu trzech świadków, przetrząsnęto olbrzymie archiwum arcybiskupstwa w Toledo. Znalezione między innymi notatki do kazań, które Carranza pisał przed czterdziestu laty będąc jeszcze studentem teologii, wyjątki z ksiązek kacerskich, które przepisał jako

rzecznik soboru trydenckiego z zamiarem zwalczania ich, oraz mnóstwo innych podejrzanych dokumentów.

Pełnomocnictwo udzielone inkwizycji przez ojca świętego upoważniało Valdesa jedynie do zabezpieczenia osoby obwinionego i materiału dowodowego. Papież Paweł zażądał, aby dostarczono mu do Rzymu uwięzionego arcybiskupa oraz akta sprawy. Wielki Inkwizytor wykręcał się, jak mógł; król zaś korzystał z dochodów archidiecezji toledońskiej. Papież Paweł zmarł, następcą jego został Pius IV. Pełnomocnictwo udzielone przez Rzym wygasło po dwóch latach. Z kolei papież Pius zażądał wydania więźnia i dostarczenia materiału procesowego. Wielki Inkwizytor wykręcał się w dalszym ciągu, a król wyznaczył któremuś z kuzynów papieża pensję z dochodów arcybiskupstwa. Papież Pius przedłużył ważność pełnomocnictwa na dalsze dwa lata, a później jeszcze na jeden rok.

Tymczasem sprawa Carranzy stała się skandalem europejskim. Sobór trydencki uznał krzywdę wyrządzoną arcybiskupowi Carranzie za zniewagę Kościoła i za atak inkwizycji hiszpańskiej na immunitet prałatów. Jednocześnie *Komentarz do katechizmu Carranzy*, wysunięty przez inkwizycję hiszpańską jako główny dowód jego kacerstwa, nie tylko nie został umieszczony przez sobór na indeksie książek zabronionych, ale przeciwnie, uznany za dzieło prawdziwie katolickie i godne polecenia wszystkim wiernym chrześcijanom, by czytali je i brali sobie do serca.

W związku z tym papież Pius podał do wiadomości soboru i całego świata, że stolica apostolska doznała ponizenia wskutek zatwardziałego uporu Katolickiego Króla, że pełnomocnictwo udzielone inkwizycji hiszpańskiej celem zbadania sprawy Carranzy wygasa z dniem 1 stycznia następnego roku; że uwięzionego arcybiskupa oraz wszystkie akta należy przekazać władzom rzymskim. Król Filip jednak osłonił inkwizycję swym autorytetem. Nie chciał utracić dochodów arcybiskupstwa w Toledo, poza tym obawiał się, że ucierpi na tym jego prestiż, jeżeli teraz ustąpi papieżowi. Carranza pozostał nadal w więzieniu w Valladolid.

Papież ogłosił uroczyste: jeżeli wydanie arcybiskupa ulegnie dalszej zwłóce, wszyscy winni obłożeni zostaną *ipso facto*<sup>1</sup> klątwą i pozbawieniem swych godności, bez możliwości odzyskania kiedykolwiek tych urzędów; Carranzę należy wydać niezwłocznie nuncjuszowi papieskiemu. Król Filip nie dał żadnej odpowiedzi. Carranza przebywał nadal w więzieniu w Valladolid.

<sup>1</sup> *Ipsa facto* (łac.) — mocą samego faktu.

Ostatecznie obie strony zgodziły się, by sprawa Carranzy rozpatrzona została na terytorium Hiszpanii przez specjalną legację papieską wespół z inkwizytorami hiszpańskimi. Rzym wysłał legację złożoną z czterech członków w składzie tak świątym, jakim nigdy jeszcze stolica apostolska nie zaszczyliła żadnego władcy. Pierwszym z posłów był późniejszy papież Grzegorz XIII, drugim późniejszy papież Urban VII, trzecim kardynał Aldobrandini, brat późniejszego papieża Klemensa VIII, czwartym późniejszy papież Sykstus V. Wielki Inkwizytor przyjął tych dostojników z należą im czią, obstawał jednak przy tym, aby sąd odbył się w ramach supremy, to jest najwyższego trybunału inkwizycji, a więc razem z piętnastu duchownymi hiszpańskimi; oznaczało to, że legaci papiescy rozporządzaliby tylko czterema głosami na ogólną liczbę dziewiętnastu.

Podczas gdy rozpatrywano tę propozycję, zmarł papież Pius IV. Na łożu śmierci złożył oświadczenie, że chcąc uczynić zadość roszczeniom nienasyconego Króla Katolickiego postąpił w sprawie arcybiskupa Carranzy wbrew ustawom kanonicznym i woli soborów i kardynałów i że żaden grzech nie obciąża tak bardzo jego sumienia jak ten, że w sprawie arcybiskupa nie dopełnił swego obowiązku.

Następcą zmarłego papieża był Pius V, człowiek trudny. Już wkrótce poseł hiszpański w Rzymie, Zuniga, skarżył się przed swym królem, że ojciec święty nie posiada doświadczenia w sprawach politycznych ani nie ma prywatnych interesów; robi niestety tylko to, co uważa za sprawiedliwe, i nic poza tym. Nowy papież wydał też w istocie zarządzenie z mocą natychmiastową, znoszące jurysdykcję Wielkiego Inkwizytora i jego dostojników. Wielki Inkwizytor Valdes ma zwolnić niezwłocznie uwięzionego arcybiskupa, Carranza zaś uda się do Rzymu, gdzie będzie sądzony przez samego papieża. Akta sprawy należy najdalej do trzech miesięcy przedłożyć w Rzymie. Wszystko to pod karą gniewu bożego, obrazy apostołów Piotra i Pawła oraz ekskomuniki.

Stary Valdes, żądny złota, władzy i zemsty, gotów był podjąć walkę także i z nowym papieżem. Ale Król Katolicki, uwikłany w ciężkie zatargi w kraju i za granicą, chciał uniknąć interdyktu. Carranza został wydany legatowi papieskiemu i pojechał do Włoch. Osiem lat spędził arcybiskup w więzieniu inkwizycji hiszpańskiej; teraz przebywał w Rzymie w Castel San Angelo, gdzie żył wprawdzie wygodnie, lecz pod strażą. Pius V bowiem z właściwą sobie systematycznością polecił przeprowadzić dochodzenie na nowo.

Cały olbrzymi materiał dowodowy musiano tłumaczyć na język włoski i łacinę. Specjalny trybunał, złożony z siedemnastu prałatów, w ich liczbie czterech Hiszpanów, zbierał się co tydzień pod przewodnictwem samego papieża. Król Filip śledził z zainteresowaniem przebieg postępowania i nadsyłał wciąż nowe materiały.

Proces przeciągał się. Po ośmiu latach niewoli hiszpańskiej nastąpiło dalszych pięć niewoli włoskiej.

W końcu jednak ojciec święty rozważył wszystkie *pro* i *contra*. Uznał wraz z trybunałem, że arcybiskup Carranza nie jest winnym kacerstwa. Wyrok poparty licznymi argumentami został zrezagowany starannie, pod osobistym nadzorem papieża. Ojciec święty nie ogłosił go jednak, lecz ze względów kurtuazji powiadomił o nim wprzód króla Filipa.

Ale równocześnie z tekstem orzeczenia, zawierającym wyrok uniewinniający oraz uzasadnienie tegoż, nadeszła do Hiszpanii wiadomość, że papież Pius V zakończył życie. Wyrok nie był jeszcze formalnie ogłoszony. Przepadł, bez śladu.

Następca Piusa V, Grzegorz XIII, wiedział oczywiście o wydaniu wyroku uniewinniającego. Ale jako jeden z owych czterech legatów, którzy w sprawie Carranzy wysłani byli swego czasu przez stolicę apostolską do Hiszpanii, miał sposobność poznać upór Króla Katolickiego. Oświadczył tedy, że zbada raz jeszcze osobiście całą sprawę.

Król Filip nadesłał dalsze materiały. Wkrótce potem napisał do papieża, że jest szczerze przeświadczony o kacerstwie Carranzy i domaga się szybkiego wydania wyroku skazującego. W trzy tygodnie później wystosował do papieża drugie, własnoręczne pismo, w którym w namiętnych i wymownych słowach żądał spalenia Carranzy na stosie. Wszelka bowiem łagodniejsza kara umożliwiłaby Carranzie kiedyś, w późniejszym czasie, ponowne objęcie arcybiskupstwa; król Hiszpanii nie ścierpi, aby heretyk piastował najwyższą godność duchowną w jego państwie.

Zanim jeszcze pismo to doszło do rąk papieża, zdążył on wydać wyrok w sprawie Carranzy — wyrok dyplomatyczny. Carranza został w szesnastu wypadkach uznany winnym, „lekkiego kacerstwa”. Miał publicznie odwołać swe błędy i być na okres pięciu lat zawieszony w godności arcybiskupiej. Czas ten przebyć miał w jednym z klasztorów w Orvieto; wyznaczono mu miesięczną pensję wysokości tysiąca złotych koron. Ponadto miał odbyć lekką pokutę kościelną.

Papież Grzegorz zawiadomił króla Filipa o tym wyroku w liście



prywatnym. „Ubolewamy, pisał, że byliśmy zmuszeni wydać wyrok skazujący na tego przez swój bogobojny żywot, przez swą głęboką wiedzę i dobroczynność tak znakomitego męża i że nie byliśmy w możności uniewinnić go, tak jak zamierzaliśmy." Siedemnaście lat przeżył w hiszpańskich, a potem włoskich więzieniach don Bartolome Carranza, arcybiskup Toledo, którego tysiące ludzi uważało za najbardziej świętobliwego męża, jakiego wydał Półwysep Iberyjski; trzech papieżu, Paweł IV, Pius IV i Pius V rozstali się z tym światem, zanim Carranza doczekał się wyroku.

Arcybiskup Carranza odwoławszy w Watykanie swe błędy poddał się pokucie kościelnej, którą mu ojciec święty nazaczył. Polegała ona na tym, że miał odwiedzić siedem rzymskich kościołów. Na znak szacunku i współczucia papież Grzegorz, chcąc mu tę wędrówkę ułatwić, oddał do jego dyspozycji swą własną lektykę oraz konie dla jego świty. Carranza odmówił jednak ich przyjęcia. Odbił swą wędrówkę pieszo. Dziesiątki tysięcy ludzi, z których wielu przybyło z dalekich stron, zgromadziło się, aby go zobaczyć, gdy będzie przechodził, i oddać mu cześć. Pokuta jego zamieniła się w triumf, jaki mało któremu z papieżu przypadł kiedykolwiek w udziale.

Gdy powrócił do domu ze swej pokutniczej pielgrzymki, uczył gwałtowne bóle i musiał natychmiast położyć się do łóżka. Po kilku dniach okazało się, że nie ma dla niego ratunku. Papież przesłał mu całkowite odpuszczenie grzechów i błogosławieństwo apostolskie. Carranza zawezwał do swego łóża siedmiu wysokich dostojników duchownych i w ich obecności, po otrzymaniu rozgrzeszenia, a przed przyjęciem ostatniej komunii, oświadczył uroczyście, co następuje;

„Świadom rachunku, który będę musiał zdać wkrótce Wszechmocnemu, przysięgam na Króla wszystkich Królów, który przyjdzie do mnie niebawem w sakramencie, że w czasie, kiedy nauczałem teologii, oraz później, kiedy w Hiszpanii, w Niemczech, w Italii i Anglii pisałem, wygłaszałem kazania, toczyłem dysputy i pełniłem urzędy, miałem zawsze na celu zwycięstwo religii Chrystusa oraz walkę z kacerstwem. Udało mi się też z łaski Bożej wielu kacerzy nawrócić na wiarę katolicką. Król Filip, którego spowiednikiem byłem przez czas dłuższy, był tego świadkiem. Miłowałem go i miłuję z całego serca, rodzony syn nie mógłby być bardziej do niego przywiązany. Zapewniam dalej, że nigdy nie popadłem w żaden z błędów, o które mnie podejrzewano; przekrecono moje

słowa i nadano im fałszywe znaczenie. Mimo to wyrok, którym zakończył się mój proces, uznaję za sprawiedliwy, gdyż wydał go namiestnik Chrystusa. Przebaczam w godzinę mojej śmierci wszystkim, którzy w tym procesie przeciwko mnie występowali; nigdy nie żywiłem do nich nienawiści i gdy znajdę się tam, gdzie dzięki miłosierdziu Najwyższego spodziewam się dostać, zanosić będę modły za nimi."

Zarządzono sekcję zwłok. Lekarze oświadczyli, że siedemdziesięcioletni starzec zmarł na wrzód podobny do raka. Ale nikt w to nie wierzył. Wszyscy uważali, że śmierć tę, na której tak bardzo zależało Katolickiemu Królowi, jemu też należy przypisać. Dumny władca, jak sam twierdził, nie ścierpiałby, by Carranza został ponownie osadzony na stolicy arcybiskupiej. Król i arcybiskup nie mogli żyć pod jednym i tym samym niebem. Pozbyć się więc przeciwnika w jakikolwiek sposób uważał król za swe osobiste, przez Boga nadane prawo.

Król Filip napisał do papieża, że wielu hiszpańskim duchownym, znanym z doświadczenia i rozumu, wyrok wydał się nazbyt łagodny. On jednak, król, umie ocenić wysiłek papieża, który starał się wydać wyrok bogobojny i sprawiedliwy. Ręka Boża zastosowała już zresztą właściwy środek, by zapobiec złym skutkom, które mógł wywołać łagodny wyrok papieża.

## VII

Dzieje żywota don Bartolome Carranzy, arcybiskupa, świętego i kacerza, były właśnie przedmiotem opowieści, „miniatury”, którą młody Quintana przeczytał Jovellanosowi i jego gościom.

Wszystkim była znana ta historia, ale wydała im się obca i nowa, gdy ją Quintana czytał. Nie wahał się podawać za fakty wydarzeń, o których nie można było wiedzieć na pewno, których najwyżej można się było domyślać. Ale rzecz dziwna: przedstawił je tak, że wszyscy w nie wierzyli i nikt nie przypuszczał, by mogło być inaczej.

Goya słuchał wraz z innymi, silnie poruszony. Wypadki, które ten młody człowiek opisywał, nie wydarzyły się dwieście pięćdziesiąt lat temu, były to sprawy z doby obecnej, wstrząsające, oburzające. Ale czy wysłuchanie owej opowieści nie było niebezpieczne, równoznaczne z buntem? I czyż nie jest nonsensem, że on,

Francisco, w chwili kiedy życie przynosi mu ziszczenie marzeń i najpiękniejsze obietnice na przyszłość, przebywa wśród tych buntowników i fanatyków? A jednak podobał mu się ten niedowarzony młodzik, który czytając swoje opowiadanie, z trudem tłumił oburzenie. I chętnie słuchałby go dłużej, choć mógł już odejść nie wykraczając przeciw względom towarzyskim.

Kiedy młody Quintana skończył czytać, zapanowało ponure milczenie. Wreszcie Jovellanos odchrząknął i powiedział:

— Mnóstwo tam było uchybień przeciw czystemu dialektowi kastylijskiemu, mój drogi Jose. Ale jest siła w pańskich zdaniach. Jest pan bardzo młody, niejedno jeszcze się wygłodzi.

Opat podniósł się z miejsca. Był, jak się zdawało, najbardziej ze wszystkich wzruszony opowieścią Quintany.

— Jesteśmy mądrzy, my, ludzie inkwizycji — rzekł. Miał prawo powiedzieć: „my, ludzie inkwizycji”, gdyż dotąd jeszcze nosił tytuł sekretarza Świętego Officium, mimo że protektor jego, Wielki Inkwizytor Sierra, popadł w niełaskę i z powodu swych niezupełnie prawomyślnych poglądów teologicznych postawiony został w stan oskarżenia. Don Diego przemierzał obszerny salon don Gaspara, brał do ręki ten lub ów drobny przedmiot, by mu się bliżej przypatrzeć, i ciągnął dalej swoje przemówienie.

— My, ludzie inkwizycji — mówił — byliśmy zawsze mądrzy. To nie my wtrąciliśmy do więzienia i doprowadzili do zguby arcybiskupa Carranzę, lecz papież i król Filip. Dziś Wielki Inkwizytor Lorenzana zamierza rozstrzygnąć ostatecznie sprawę Olavidego, ale przecież nie z jego polecenia ten wybitny człowiek został uwięziony. Czyż Lorenzana nie musi skończyć wreszcie ze sprawą, która jest w zawieszeniu już od tak długiego czasu?

Goya nadstawił uszu. Poznał był kiedyś przelotnie don Pabla Olavide; pamiętał, że był wówczas, przed laty, wstrząśnięty, kiedy się dowiedział, że dzielny ten i bystrogo rozumu człowiek osadzony został w więzieniu i że jego wielkiemu dziełu w Sierra Morena grozi upadek. Doszły go w ostatnich tygodniach słuchy, że inkwizycja gotuje się do zadania ostatecznego ciosu Olavidemu, ale nie zwracał uwagi na te pogłoski, nie chciał, aby te wieści mąciły mu spokój i szczęście. Teraz jednak, pod wrażeniem utworu Quintany, nie mógł powstrzymać się od pytania:

— Czyżby naprawdę to zamierzali?

— Nie ulega wątpliwości, że zamierzają — rzekł opat, a jego mądre, wesołe zazwyczaj oczy wcale nie były teraz wesołe. — Lorenzana miał od początku ambicję, aby zdobyć sławę bojownika

walczącego o czystość nauki Kościoła, podobnie jak Wielki Inkwizytor Valdes. Pozyskał już nawet dla swoich zamiarów zniszczenia Olavidego błogosławieństwo papieża. Jeżeli don Manuel trwać będzie w swym letargu, jeśli król nie powstrzyma ręki Wielkiego Inkwizytora, to stolica nasza będzie mogła oglądać niebawem *auto-dafe*, jakiego nie widziano już od stuleci.

Goya czuł wyraźnie, że złowroga przepowiednia opata, a może i cała prelekcja młodego Quintany przeznaczone były wyłącznie dla niego. I w istocie Jovellanos zwrócił się do niego bez ogródek:

— Pan pracuje teraz nad portretem Księcia Pokoju, nieprawdaż, don Francisco? Słyszałem, że don Manuel jest niezwykle rozmowny i przystępny podczas takich posiedzeń. Może by pan spróbował poruszyć z nim sprawę Olavidego?

Chociaż Jovellanos starał się mówić obojętnie, jakby mimochodem, czuło się ważkość każdego słowa. Zapanowało milczenie, wszyscy czekali na odpowiedź Goyi.

Goya odrzekł wreszcie, z trudem ukrywając niechęć:

— Wątpię, by don Manuel traktował mnie poważnie w sprawach nie związanych z malarstwem. Mówiąc otwarcie — ciągnął dalej pół żartem — nie zależy mi nawet na tym, aby mnie brano na serio, jeśli nie idzie o malarstwo.

Nastąpiła znów chwila milczenia pełnego dezaprobaty. Ale Jovellanos powiedział surowo i po prostu:

— Chce pan wydać się mniej poważny, niż pan jest w istocie, don Francisco. Ma pan talent, a człowiek zdolny wyróżnia się we wszystkich dziedzinach. Cezar był nie tylko wielkim mężem stanu i wodzem, ale także wielkim pisarzem. Sokrates był filozofem, twórcą religii, żołnierzem. Leonardo był nie tylko malarzem, lecz także wybitnym uczonym i technikiem, budował fortece i maszyny latające. A jeśli chodzi o moją skromną osobę, pragnąłbym być brany na serio nie tylko na polu ekonomii politycznej, ale także i w dziedzinie sztuki malarskiej.

Goya nie chciał, by go po raz drugi zmuszono do wtrącania się w sprawy publiczne, choćby nawet miał narazić się na to, że wiele straci w oczach tych panów.

— Żałuję bardzo, don Gaspar — odpowiedział — ale muszę dać panu odpowiedź odmowną. Jestem nie mniej niż pan oburzony procesem don Pabla Olavide — mówił ze wzrastającą energią — ale nie będę mówił o tym z don Manuelem. Nie wątpię, że nasz przyjaciel don Miguel omawiał już z nim tę nieszczęsną sprawę, nie wątpię też, że i pan, don Diego — zwrócił się do opata —

użył całego swego kunsztu, by go przekonać. Jeśli zawiodły wysiłki tak doświadczonych polityków, to cóż będę mógł uzyskać ja, zwykły malarz z Aragonii?

Don Miguel podjął wyzwanie.

— Francisco — rzekł — jeżeli jesteś tak mile widziany u tych wielkich panów, to nie jest to jedynie zasługą twoich portretów. Ci ludzie oblegani są całymi dniami przez różnych specjalistów, ekonomistów, techników, polityków, takich jak ja na przykład. Artysta jednak nie jest tylko fachowcem w swym zawodzie, specjalistą; artysta przemawia do wszystkich, wnika w duszę każdego, mówi w imieniu wszystkich, w imieniu całego narodu. Don Manuel dobrze wie o tym i dzięki temu właśnie masz taki posłuch u niego. Toteż powinieneś pomówić z nim o tym nieszczęsnym i haniebnym procesie Pabla Olavide.

Młody Quintana wmieszał się do rozmowy nieśmiało, lecz żarliwie;

— To, co pan mówi, don Miguelu — zawołał — i mnie już nieraz przychodziło na myśl. Nie my, skromni pisarze, ale pan właśnie, don Francisco, mówi językiem dla wszystkich zrozumiałym, *idioma unwersal*. Kto patrzy na pana obrazy, ten wnika głębiej w istotę człowieka, niż gdyby patrzył w żywą twarz ludzką lub czytał utwory pisarza.

— Wielki to zaszczyt dla mojej sztuki, mój młody panie — odpowiedział Goya. — Ale żądacie ode mnie niestety, abym mówił z don Manuelem, będę więc pozbawiony swojego *idiomu unwersal*. Jestem malarzem, seniores — rzekł tak głośno, że aż niemal niegrzecznie. — Zrozumcie, panowie, jestem malarzem i niczym więcej.

Gdy wyszedł, starał się otrząsnąć z niemiłych wspomnień o Jovellanosie i jego gościach. Powtarzał w myśli powody owej odmowy; uznał, że byty słuszne. *Oir, ver y callar* — słuchać, patrzeć i milczeć; spośród wielu dobrych starych powiedzeń było to jedno z najmądrzejszych. Ale mimo wszystko nie mógł pozbyć się niesmaku.

Czuł potrzebę rozmowy z zaufanym przyjacielem, pragnął usprawiedliwić się przed kimś. Opowiedział Agustinowi, że Jovellanos i jego goście znowu zażądali, by wmieszał się w sprawy króla, a on, rzecz jasna, odmówił.

— Człowiek — zakończył z nieco wymuszoną wesołością — potrzebuje dwóch lat, aby nauczyć się mówić, ale sześćdziesięciu, nim nauczy się trzymać język za zębami.

Agustin był stropiony. Wiedział już prawdopodobnie o całej sprawie.

— *Quien calla, otorga* — rzekł swym chropawym głosem — kto milczy, ten się zgadza.

Goya nic nie odpowiedział. Agustin panował nad sobą; nie krzyczał, starał się mówić spokojnie.

— Obawiam się, Francho — rzekł — że jeśli zasłonisz okna, by nie patrzeć na to, co nowy czas ze sobą przynosi, to wkrótce i we własnych czterech ścianach będziesz źle widział.

— Nie pleć głupstw — obruszył się Francisco. — Czy maluję teraz gorzej niż dawniej?

— Ale i on nakazał sobie spokój.

— Czasem imponuje mi ten twój cnotliwy Jovellanos — przyznał rzeczowo — imponują mi jego wielkie słowa i wytrwałość. Ale częściej wydaje mi się śmieszny. Śmieszny jest człowiek, który żyje w jakimś świecie urojonym, a nie w rzeczywistym. Trzeba umieć się przystosować, nie ma na to rady — zawołał zapalczywie.

— Tak jak pan to właśnie czyni, don Francisco — rzekł dość łagodnie Agustin.

Ale Francisco ciągnął dalej spokojnie:

— Istnieje chyba jakaś droga, która te dwa światy ze sobą łączy. Chcę ją znaleźć i znaleźć ją. Ufaj mi, Agustinie, że ją znajdę. Miej tylko trochę cierpliwości, mój drogi.

## VIII

Goya pracował nad pogodnym obrazem, przedstawiającym pielgrzymkę na łąkę świętego Izydora. Praca ta pochłaniała go, sprawiała mu radość. Był sam. Nagle poczuł, że ktoś jeszcze obecny jest w pracowni.

Tak, był tam ktoś w istocie, wszedł bez pukania, człowiek w stroju *nuncios*, posłańców Świętego Officium.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł przybyły.

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedział don Francisco.

— Don Francisco — rzekł bardzo grzecznie *nuncio* — pan będzie łaskaw potwierdzić odbiór pisma od Świętego Officium.

Podał mu pokwitowanie. Goya podpisał. Posłaniec wręczył mu list, Goya wziął go i przeżegnał się.

— Niech będzie błogosławiona Święta Dziewica! — powiedział *nuncio* na pożegnanie.

— Trzykrotnie błogosławiona! — odpowiedział don Francisco.

*Nuncio* oddalił się.

Goya usiadł w fotelu skulony, nie otwierając zapieczętowanego listu. W ostatnich czasach wiele mówiono o tym, że inkwizycja nie zamierza ogłosić publicznie wyroku w sprawie don Pabla Olavide, lecz poda go do wiadomości jako *auto particular*, to jest w gronie specjalnie zaproszonych gości. Zaproszenie na taką uroczystość uchodziło za zaszczyt, było jednak zarazem niebezpieczne, równoznaczne z ostrzeżeniem. Goya nie wątpił, że pismo, które trzyma w ręce, zawiera takie właśnie zaproszenie. Dopiero teraz uświadomił sobie dziwny lęk, jakim napełniło go ciche, nagle zjawienie się posłańca. Siedział teraz w fotelu, wyczerpany, z drżącymi kolanami; upłynęła dłuższa chwila, zanim odważył się rozpieczętować kopertę.

Josefa przeraziła się, gdy Francisco powiedział jej o zaproszeniu. Tak więc zaczyna spełniać się to, co przepowiadał jej brat: podejrzewają Francha o herezję z powodu jego niemoralnego życia. Może nie tyle obcowanie z bezbożnikami, myślała, ile to zuchwałe, publiczne afiszowanie się związkiem miłosnym z Albą skłoniło panów z inkwizycji do przesłania mu tego złowrogiego zaproszenia. Źle jest, gdyż jej Francho jest naprawdę kacerzem. Lecz najgorsze jest to, że jest do niego tak mocno przywiązana, jak tylko człowiek do człowieka może się przywiązać. I choćby inkwizycja poddała ją torturom, nigdy nie zezna słowa przeciw swemu mężowi. Usiłowała zachować niewzruszony spokój na twarzy, na swej zamkniętej, wyniosłej twarzy, jaką mieli wszyscy z rodu Bayeu; tylko usta zacisnęła nieco mocniej niż zwykle. Potem rzekła:

— Niech cię Najświętsza Panna zachowa w swej opiece, Francho.

Nawet Alba przeraziła się i zdziwiła, gdy jej powiedział o zaproszeniu. Ale opanowała się natychmiast.

— Widać z tego, don Francisco — rzekła — jak ważną pan jest osobą.

Wielki Inkwizytor Lorenzana zaprosił najbardziej poważanych mężów w kraju, aby byli świadkami triumfu inkwizycji: nie tylko don Miguela, Cabarrusa, Jovellanosa, ale także don Manuela. Zgodnie z poleceniem, które Lorenzana otrzymał z Rzymu w sprawie Olavidego, zrezygnował z odprawienia *auto publico*, by nie drażnić Korony; należało jednakże nadać skazaniu kacerza możliwie duży rozgłos. Lorenzana zarządził przeto *auto particular* „przy drzwiach otwartych”, tak aby mimo wykluczenia jawności cała ludność Madrytu mogła uczestniczyć w akcie potępienia kacerza.

Już na tydzień przed uroczystością słudzy i notariusze inkwizycji przeciągali konno ulicami Madrytu, dmąc w rogi i trąby, a herold ogłaszał, że ku większej chwale Boga i wiary katolickiej Święte Officium odprawi w kościele San Domingo el Real *auto particular* „przy drzwiach otwartych”. Wzywa się wszystkich wiernych, by wzięli udział w świętej ceremonii; jest ona równa nabożeństwu.

W przeddzień uroczystości przyniesiono do kościoła wielki zielony krzyż i sztandar Świętego Officium. Przeor dominikanów niósł zielony krucyfiks, za nim postępowali mnisi z zapalonymi pochodniami, śpiewając *Miserere*. Na bogato haftowanym sztandarze z purpurowego adamaszku widniały godła króla oraz Świętego Officium: krzyż, miecz i różga. Za sztandarem niesiono trumny zawierające ekshumowane zwłoki zmarłych kacerzy, na których miano ogłosić wyroki; niesiono również wizerunki zbiegłych. Nieprzejrane tłumy ludzi po obu stronach ulic padały na kolana na widok przeciągającego sztandaru i zielonego krzyża.

Nazajutrz wczesnym rankiem zgromadzili się w kościele San Domingo el Real zaproszeni goście, ministrowie, generałowie, rektor uniwersytetu, znani pisarze i inne znaczniejsze osoby podejrzane o postępowe poglądy; jeśliby ktoś nie skorzystał z zaproszenia i nie przybył na taką uroczystość, uważano by to, nawet w przypadku choroby, za przyznanie się do kacerstwa.

Ponadto zaproszenie otrzymali także — by nasycić swe oczy zwycięstwem — mężowie, którzy spowodowali upadek Olavidego: arcybiskup Grenady Despuig, biskup Osmy, brat Romuald z Fryburga, członkowie „Mesty”, pozbawieni na rzecz kolonii Olavidego bezpłatnych pastwisk.

Wszyscy, zarówno przyjaciele, jak wrogowie, siedzieli teraz na wielkiej trybunie; naprzeciw nich druga trybuna czekała na członków inkwizycji. Nad ich głowami wisiał sławny obraz przedstawiający świętego Dominika; święty, wyczerpany cielesnymi umartwieniami, leżał na ziemi, a Najświętsza Panna karmiła go miłosiernie mlekiem ze swej piersi.

Na środku kościoła wzniesiono podium, na którym spoczywały trumny ze zwłokami zmarłych oraz wizerunki zbiegłych kacerzy, przymocowane do krzyży obitych czernią; drugie podium przygotowane było dla żyjących kacerzy.

Tymczasem z miasta nadciągała ku kościołowi procesja, w której kroczyli zbrodniarze i ich sędziowie. Na czele pochodu maszerował regiment piechoty z Murcji, pochod zamykała kawaleria afrykańska, zaś reszta madryckiego garnizonu tworzyła szpaler.

Dwoma



długimi szeregami kroczyli urzędnicy inkwizycji, pomiędzy nimi szli grzesznicy. U wejścia do świątyni duchowieństwo kościoła San Domingo przywitało Wielkiego Inkwizytora i jego orszak. Tuż za Lorenzaną postępował przewodniczący Świętego Trybunału stołecznego, doktor don Jose Quevedo, oraz trzech sekretarze honorowi (wszyscy trzech byli grandami pierwszego rzędu), następnie sześciu sekretarzy rzeczywistych, w ich liczbie opat don Diego. W chwili gdy czoło procesji znalazło się w kościele, goście uklękli.

Kiedy podnieśli głowy, ujrzeli żywych kacerzy na przygotowanej dla nich trybunie. Oskarżeni siedzieli na niskiej ławie naprzeciw podium z trumnami, u stóp krzyża okrytego czarną krepą.

Było ich czterech, wszyscy w hańbiących strojach: w *sambenito*<sup>1</sup> i *zamarra*<sup>2</sup>. Zgrzebne żółte koszule z czarnym krzyżem świętego Andrzeja wisiały na nich jak worki, dokoła szyi mieli obroże z żarnowca, na głowie wysokie spiczaste kapelusze, *corozas*, bosc nogi tkwiły w grubych, żółtych sukiennych pantoflach, w ręku trzymali zgaszone zielone świece.

Goya, głęboko wstrząśnięty, patrzył na nieszczęsnych skazańców w *sambenitach*. We wszystkich kościołach wywieszono hańbiące koszule. Goya przypomniał sobie *sambenito*, które widział kiedyś jako mały chłopiec; dowiedział się też wówczas, co ten strój oznacza. Było to jakieś bardzo stare *sambenito*, wymalowano na nim straszne postacie diabłów strącających grzeszników w otchłań piekielną; tablica umieszczona nad hańbiącą koszulą podawała nazwisko i zbrodnię kacerza, który nosił to *sambenito* przed stu albo więcej laty. Francisco pamiętał wyraźnie uczucia grozy i zachwytu, jakim napelniała go wówczas myśl, że potomkowie owego kacerza po dziś dzień jeszcze wykluczeni są ze wspólnoty ludzi czystych.

Chciwie, z jakąś opętańczą ciekawością szukał wśród skazańców twarzy Pabla Olavide. W *sambenitach* bowiem i stożkowatych spiczastych kapeluszach wszyscy czterej kacerze wyglądali prawie jednakowo. Siedzieli skuleni, z pochylonymi głowami, z twarzami poszarzałymi i zgasłymi; Goyi wydało się, że jest między nimi kobieta, ale trudno ją było odróżnić od mężczyzn. Francisco miał doskonałą pamięć ludzkich twarzy; pamiętał dobrze owego Pabla Olavide, z którym spotkał się przed laty; był to wówczas mężczyzna smukły, wytworny, ruchliwy, o myślącym, pogodnym wyrazie twarzy.

<sup>1</sup> Sambenito — gruba koszula pokutnicza.

<sup>2</sup> Zamarra — pokutniczy kaftan z baraniej skóry.

Dopiero po dłuższej chwili Francisco rozpoznał Olavidego wśród czworga skazańców; twarz jego była już tylko pozbawioną rysów martwą maską.

Jeden z sekretarzy wstąpił na ambonę i odczytał głośno formułę przysięgi: obecni zobowiązywali się do bezwzględnego posłuszeństwa Świętemu Officium i do nieustannego ścigania wszelkiego kacerstwa. Wszyscy odpowiedzieli: — Amen.

Następnie przeor dominikanów wygłosił kazanie.

— Powstań, o Panie — rozpoczął — by odbyć sąd w swojej sprawie. — Kazanie było krótkie, namiętne.

— Ten Święty Trybunał — wołał przeor — i ta ława grzeszników, którym przeznaczone jest cierpieć za swe grzechy, są wymownym obrazem tego, co czeka kiedyś nas wszystkich w straszliwy dzień Sądu Ostatecznego. Ale, spytają niedowiarki, czyż nie masz, o Panie, innych nieprzyjaciół prócz Żydów, mahometan i kacerzy? Czyż świętości Twej nie obrażają codziennie zbrodnie i bezecności niezliczonych innych grzeszników? Zapewne, odpowie im Bóg, ale odpuszczam i wybaczam tamte grzechy. Natomiast wstręt nieprzewyciężony żywią do Żydów, mahometan i kacerzy, ponieważ plugawią oni Moje imię i cześć Moją. To właśnie miał na myśli Dawid, kiedy wołał do Pana: „Przebudź się, o Panie, ze swej łagodności, w której usypia Cię zbyt Twoje miłosierdzie. Powstań, o Panie, by odbyć sąd w swojej sprawie. Powal ciosem swego gniewu pogan i niewiernych." I podług tych słów działa dzisiaj Święte Officium.

Następnie odczytano wyroki na czterech kacerzy. Okazało się, że Pabla Olavide przyłączono do ludzi bez znaczenia i nazwiska, chcąc widocznie podkreślić, że przed sądem inkwizycji możni równi są maluczkim.

Jako pierwszy wywołany został Jose Ortiz, były kucharz seminarium w Palencji. Wyraził wątpliwość w cudowną moc obrazu Najświętszej Dziewicy del Pilar. Oświadczył ponadto, że najgorsze, co może go spotkać po śmierci, to pożarcie przez psy. To, co powiedział o psach, uznane zostało za kacerstwo lekkiego stopnia, ponieważ także zwłoki męczenników stawały się nieraz pastwą psów, drapieżnych ptaków, a nawet świń. Ale pierwszą jego wypowiedź uznano za wyraźne zaprzeczenie dogmatu wiary. Skazany został na przejście w publicznej procesji przez miasto i na dwieście batów, po czym miał być przekazany władzom świeckim dla odbycia pięcioletniej przymusowej pracy na galerach.

Po nim wywołano właścicielkę księgarni, Konstancję Rodriguez.

W jej składzie znaleziono siedemnaście książek umieszczonych na indeksie, wśród nich trzy w fałszywych oprawach z niewinnymi tytułami. Kobieta ta, prócz zwyczajnych „kar ubocznych”, jak wygnanie, konfiskata majątku i tym podobne, skazana została na *vergüenza*: będą ją prowadzić przez miasto obnażoną do połowy, przy czym herold ogłaszać będzie jej przewinienie i karę.

Licencjat<sup>1</sup> Manuel Sanchez Velazco wyraził się w sposób bluźnierczy w murach kościoła San Cayetano; powiedział on mianowicie, że święty mu nie pomoże, i wygłaszał temu podobne herezje. Otrzymał dość łagodną karę. Skazano go na dożywotnie wygnanie z Madrytu oraz na utratę prawa zajmowania honorowych stanowisk i wykonywania jakiegokolwiek cieszącego się poszanowaniem zawodu.

Wyroki odczytywano powoli, z pedantycznym wyliczaniem motywów i dowodów. Zgromadzeni goście słuchali znudzeni i rozdrażnieni, ciekawi bowiem byli tylko wyroku na Olavidego. Nie mogli pozbyć się przykrego uczucia litości dla nieszczęsnych skazańców, odzianych w groteskowe *sambenita*, dla tych ludzi, których życie było na zawsze złamane przez jedno nieraz nieostrożne słowo; ogarniał ich też strach przed tym trybunałem, który milionami uszu podsłuchiwał każde lekkomyślne odezwanie się i mógł zniszczyć każdego, kogo sobie upatrzył.

Na koniec wywołano Pabla Olavide wymieniając wszystkie jego tytuły: były audytor wicekrólestwa Peru, były gubernator Sewilli, były generalny gubernator Nuevas Poblaciones, były komandor orderu Santiago, były rycerz krzyża świętego Andrzeja.

Cisza zapanowała w przepelnionym ludźmi kościele, gdy wyprowadzono na środek człowieka niepokążnej postaci, który w olbrzymim kaczerskim kapeluszu wydawał się znacznie wyższy. Olavide próbował iść o własnych siłach, ale duchowny z prawej i strażnik z lewej strony musieli go podtrzymywać i ciągnąć, tak że słyhać było szuranie po kamiennej posadzce jego stóp obutych w śmieszne, żółte sukienne pantofle.

Ponieważ widoczne było, że nie może utrzymać się na nogach, kazano mu usiąść. Siadł skulony. Tułów jego osunął się bezwładnie na niską barierę, odgradzącą miejsce dla oskarżonego; wysoka spiczasta czapka sterczała śmiesznie ku przodowi. Dokoła siedzieli: pierwszy minister, rektor uniwersytetu i wielu dostojników,

1/ Licencjat — akademicki stopień naukowy uprawniający do nauczania; tu: uczony noszący ten tytuł.

uczonych i pisarzy, którzy byli przyjaciółmi oskarżonego, oraz nikczemni wrogowie skazańca, będący dziś świadkami jego hańby.

Uzasadnienie wyroku było obszerne, starannie przemyślane i poparte licznymi argumentami teologicznymi.

„Oskarżony przyznał się — głosił wyrok — do nieostrożnych wypowiedzi, twierdził jednak, że nigdy nie wyrzekł się prawowitej wiary katolickiej i że nie dopuścił się zbrodni kacerstwa. Święte Officium zbadało jednak pisma jego i książki, przesłuchało siedemdziesięciu dwóch świadków i uznało winę Pabla Olavide za udowodnioną. Oskarżony oświadczył, iż nie wierzy w cuda. Zaprzeczył, jakoby niekatolicy cierpieć musieli męki piekielne. Wyraził się, że niektórzy cesarze pogańskiego Rzymu byli lepsi od wielu władców chrześcijańskich. Oskarżał ojców Kościoła i scholastyków o to, że zahamowali postęp ducha ludzkiego. Podawał w wątpliwość, by modlitwa mogła chronić od nieurodzaju. Nie były to zatem jedynie nieostrożne wypowiedzi, było to już kacerstwo. Ponadto Olavide posiadał wiele zabronionych książek, a co gorsza, odwiedził w Szwajcarii ucznia Antychrysta, osławionego Voltaire'a, wyraził mu swój podziw i przyjaźń, w aktach zaś znaleziono listy pisane do niego przez tego arcykacerza. Dalej oskarżony wyznał wobec świadków, że bicie w dzwony podczas burzy jest bezskuteczne. Podczas szalejącej zarazy zarządził, aby zmarłych nie chowano w kościołach, lecz z dala od ludzkich siedzib, w ziemi niedostatecznie poświęconej. Krótko mówiąc, Pablowi Olavide w stu sześćdziesięciu sześciu wypadkach dowiedziono niewątpliwego kacerstwa."

Odczytanie tych stu sześćdziesięciu sześciu wypadków trwało przeszło dwie godziny. Pod koniec drugiej godziny Olavide przechylił się na bok; widoczne było, że zemdleł. Spryskano go wodą, a gdy po kilku chwilach odzyskał przytomność, przystąpiono do dalszego odczytywania.

Wreszcie czytanie dobiegło końca.

„Z powyższych powodów — brzmiały słowa wyroku — uznajemy jego kacerstwo za dowiedzione, jego samego zaś za nadgniłą latorośl chrześcijańskiej wspólnoty i skazujemy go na odwołanie kacerstwa i pojednanie się z Kościołem."

Jako pokutę wyznaczono mu ośmioletni pobyt w klasztorze kapucynów w Geronie. Ponadto nałożono na niego zwykłe kary uboczne, jak konfiskatę majątku, dożywotni zakaz przebywania w Madrycie i wszystkich innych rezydencjach królewskich, w królestwie Andaluzji i Peru tudzież w koloniach w Sierra Morena. Nie wolno mu używać tytułów honorowych oraz sprawować publicznych urzędów.

Zabroniono mu nadto wykonywania zawodu lekarza, aptekarza, nauczyciela, adwokata i dzierżawcy podatków. Nie wolno mu dosiadać konia, nosić klejnotów ni ubrań jedwabnych lub sporządzonych z delikatnych tkanin wełnianych, lecz tylko odzież z grubej *serży*<sup>1</sup> albo innych poślednich gatunków sukna. Po opuszczeniu klasztoru w Geronie jego koszula kacerska, *sambenito*, ma być wywieszona w kościele Nuevas Poblaciones wraz z wykazem popełnionych przez niego wykroczeń kacerskich, tak aby cały świat mógł się o nich dowiedzieć. Kary uboczne dotyczą również potomków skazańca do piątego pokolenia.

W kościele paliło się wiele świec, napełniając powietrze swądem. Było zimno i duszno zarazem. Duchowni w staroświeckich stulach, habitach i sutannach, wielcy panowie w galowych uniformach słuchali w milczeniu, znużeni i podnieceni, oddychając z trudem. Opat, jako jeden z sekretarzy Świętego Trybunału w Madrycie, siedział wśród sędziów inkwizycji. Był on przyjacielem byłego Wielkiego Inkwizytora Sierry, którego Lorenzana obalił i postawił w stan oskarżenia. Lorenzana wiedział oczywiście, że był Wielki Inkwizytor zlecił kiedyś opatowi opracowanie memoriału w sprawie reformy postępowania procesowego inkwizycji zgodnie z duchem czasu. Opat zdawał sobie sprawę z tego, że może każdej chwili zasiąść w hańbiącej odzieży na tym samym stołku, na którym siedzi Olavide. Jeśli Lorenzana nie ważył się dotąd położyć na nim ręki, to dlatego, że jest powiernikiem i oficjalnym bibliotekarzem don Manuela. Nie wątpił jednak, że nazwisko jego figuruje na liście tych, którym inkwizycja również przeznaczyła, być może, los człowieka siedzącego tam na dole; po tym *autodafe* musi każdego dnia liczyć się z aresztowaniem. Powinien był już dawno opuścić Madryt, oddzielić się wałem Pirenejów od inkwizycji. Przyczyna, dla której dotąd tego nie uczynił, miała na imię: donia Lucia. Nie mógł opuścić Hiszpanii, dopóki nie dokończy jej politycznej edukacji. nie mógł wyrzec się jej widoku.

Don Manuel siedział w pierwszym rzędzie na trybunie dostojników. Miał wielką ochotę wstać i hałaśliwym krokiem wyjść z kościoła. Słusznie radzili przyjaciele: nie powinien był zezwolić na to haniebne widowisko. Ale nie doceniał zuchwalstwa Lorenzany, a potem, kiedy inkwizytor ogłosił *autodafe*, było już za późno. Zakaz odprawienia zapowiedzianego aktu wiary stanowiłby zbrodnię, która mogła doprowadzić do rozruchów, a te spowodowałyby jego upadek.

1/ S e r ż a — materiał z poślednich gatunków wełny.

< 176 >

Jest to jednak skandal, że Lorenzana siedzi tu naprzeciw niego, pyszny w swej przez Boga ustanowionej sędziowskiej godności, i depce męża takiego jak Olavide, którego jeden palec u nogi wart jest więcej niż nadęty łeb Lorenzany. Jednakże i Pepa ma rację: to nie senior Francisco Lorenzana święci dziś triumf, lecz Rzym i ołtarz — Kościół. Lorenzana jest, co prawda, niegodziwcem, ale skoro na mocy prawa włożył togę Wielkiego Inkwizytora, stał się przedstawicielem sprawiedliwości boskiej na ziemi i niebezpiecznie z nim zadzierać. Mimo to, ślubował w duchu don Manuel, przyjaciele nie zawiodą się na nim; nie pozwoli Lorenzanie uczynić ani kroku dalej poza to nieszczęsne widowisko; nie ścierpi, by Olavidego na śmierć zaszczuto.

Francisco Goya patrzył z żarliwym współczuciem na potępionego kacerza. To, co dziś jego spotyka, może każdego z nas spotkać jutro. Złe duchy czyhają zewsząd, one sprawiły, że włożono temu nieszczęsnemu Olavide hańbiącą koszulę i kapelusz kacerski, one to sprawiły, że Wielki Inkwizytor i jego pachołkowie szydzą z niego. *Tragala, perro!* Masz tu, psie, żryj. I Goya śledził z uwagą najdrobniejsze szczegóły rozgrywającej się przed jego oczyma sceny w kościele San Domingo el Real. Jednocześnie odżyły w jego pamięci zdarzenia z lat wczesnej młodości. Ongiś, w ojczyściej Saragossie, był naocznym świadkiem podobnego *autodafe*, lecz tamto było jeszcze bardziej uroczyste, straszniejsze i dziwaczniejsze. Tamten akt wiary odbywał się w katedrze Dziewicy del Pilar i na placu przed katedrą, a potem spalono kacerzy na stosie przed Puerta del Portillo. Owych sędziów, skazańców i świadków z Saragossy widział dziś niemal dokładniej niż wówczas, czuł ohydny swąd palonych ciał; tamci skazańcy i dzisiejsi kacerze zlali mu się w jedno.

Klęcząc u stóp czernią okrytego krzyża, z ręką na otwartej Biblii, Olavide odwoływał swe grzechy. Powtarzał za księdzem, że wyrzeka się wszelkiego kacerstwa, szczególnie jednak tych przestępstw heretyckich, których sam dopuścił się myślą, słowem lub uczynkiem. Powtarzając słowo za słowem, przysięgał na Boga i Świętą Dziewicę, że z pokorą i uległością przyjmie wyznaczoną mu pokutę i podda się jej w miarę swych sił. Gdyby tego nie dopełnił albo popadł w nowe grzechy, natenczas sam dowiedzie, że nie czuje skruchy lub jest recydywistą, podlegającym już bez ponownego procesu całej surowości prawa kanonicznego i spaleniu na stosie.

Przez otwarte wrota kościoła dochodził z zewnątrz stłumiony pomruk nieprzejrzaných tłumów. Jednak w przepelnionym ludźmi

kościół panowała cisza tak uroczysta, że obecni wzdrygnęli się, gdy jakaś halabarda lekko stuknęła o posadzkę. Mimo ciszy słyhać było jedynie słowa, które wygłaszał duchowny; z ust samego Olavidego nie wyszedł ani jeden dźwięk, widać było tylko, jak w jego szarym, zgaszonym obliczu wargi z trudem otwierały się i zamykały.

Na tym zakończył się święty akt wiary. Dziarsko, donośnie za brzmiały teraz przed kościołem okrzyki komendy wojskowej i miarowe kroki żołnierzy. W tym samym porządku, w jakim weszła, procesja sędziów i grzeszników poczęła wychodzić z kościoła San Domingo.

## IX

Goya pragnął podzielić się z kimś swym przeżyciem w kościele San Domingo. Agustin nie zapytał go o nic, czekał, aż Francisco. sam coś powie.

Ale Francisco milczał. Nie znajdował odpowiednich słów. To, co przeżył w kościele, było nazbyt zmatwane. Widział tam bowiem coś więcej niż pohańbienie Olavidego i brutalny fanatyzm jego sędziów. Widział złośliwe demony, które fruwały, pełzły i przysiadły, skulone wokół sędziów, kacerzy i gości, owe złe duchy czyhające zewsząd na ludzi; widział radość na ich potwornie wykrzywionych gębach. Ba, on sam — a tego zacny amator herbaty Agustin nigdy nie zrozumie — on sam, pomimo współczucia, nienawiści i odrazy, jaką wywoływało w nim owo złowrogie widowisko, on sam cieszył się wraz z demonami. Co więcej, obudziła się w nim na nowo ta sama dziecinna, pełna lęku ciekawość, którą odczuwał wówczas jako mały chłopak, na widok skazanych i płonących w ogniu kacerzy. Ale tego chaosu sprzecznych wrażeń, tej bezładnej gmatwaniny starych i nowych wizji i uczuć nie podobna było ująć w słowa.

Ale można to było namalować.

Zabrał się do pracy. Odsunął na bok wszystkie inne sprawy; malował. Poprosił o odłożenie posiedzeń, które wyznaczył Principe de la Paz. Przestał widywać się z Cayetaną. Nie wpuszczał nikogo do pracowni. Prosił Agustina, by na razie nie przyglądał się nawet jego robocie; kiedy ją skończy, Agustin pierwszy ją zobaczy.

Wkładał do pracy swe najkosztowniejsze stroje, czasem zaś ubiór *majów*, choć strój ten był niezbyt wygodny.

Malował szybko, w skupieniu. Pracował także w nocy; wkładał wówczas na głowę kapelusz w kształcie niskiego cylindra; do metalowej blaszki umieszczonej na rondzie przymocowywał świecę, aby uzyskać potrzebne oświetlenie.

Czuł, że w ciągu krótkiego czasu, który upłynął od malowania *Pielgrzymki do świętego Izydora*, wydoskonił swą perspektywę, wzbogacił koloryt. Był radośnie podniecony. Skromnie, lecz z wewnętrznym triumfem pisał swemu ukochanemu Martinowi, że maluje teraz kilka małych obrazków jedynie dla własnej uciechy i że przy tej pracy, inaczej niż to zwykle bywa przy obrazach zamówionych, folguje własnemu sercu, własnej obserwacji i kaprysom, że puszcza wodze swojej fantazji i maluje świat tak, jak go widzi. „Będzie to coś wspaniałego, pisał, wystawię te obrazy najpierw tu, dla przyjaciół, a potem w Akademii i pragnąłbym bardzo, mój drogi Martinie, byś mógł jak najrychlej przyjechać i zobaczyć je.” Postawił na liście duży krzyż, aby przypadkiem złe duchy nie weszły mu w drogę i nie udaremniły zamiarów za karę, że jest tak zuchwały i pewny siebie.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Goya ze złośliwym jakimś zadowoleniem rzekł do Agustina:

— No, gotowe. Teraz możesz je obejrzeć i powiedzieć, co o nich myślisz, jeśli chcesz.

Oto były te obrazy.

Jeden z nich przedstawiał prymitywną, wiejską walkę byków. Arena, zapaśnicy, konie, widzowie, na dalszym planie parę domków. Byk zaszczuty, krwawiący z ran, tchórzliwe zwierzę, przyciska się do ogrodzenia i oddaje mocz; widać nie ma ochoty do walki, chce już tylko umrzeć. Widzowie są oburzeni tchórzostwem byka, pozbawia ich ono widowiska, którego mają przecież prawo się domagać, ale byk nie chce areny i słońca, woli nikczemnie zostać w cieniu i zdechnąć. Zajmuje on niewiele miejsca na obrazie; nie byka zresztą chciał tu przedstawić Francisco, lecz jego los, z którym związani byli zapaśnicy, widzowie i konie, tak samo jak byk. Wiele jest na tym obrazie postaci, ale nie ma nic zbytecznego.

Drugi obraz przedstawiał gromadę obłąkanych. Obszerna piwniczna izba o surowych kamiennych ścianach i łukowych sklepieniach; przez zakratowane okienko wpada światło. Tu więc zamknięci są ci obłąkańcy; ale choć jest ich wielu, każdy jest beznadziejnie samotny, każdy zajęty swym własnym szaleństwem. W samym środku stoi rośły, nagi mężczyzna; prawi coś, gestykulując

( 179 )



namiętnie, widocznie chce przekonać nieistniejącego przeciwnika, unosi się i grozi. Dokoła niego — inne półnagie postacie, przystrojone w korony, rogi byków, barwne pióra indiańskie. Siedzą, stoją, leżą, stłoczeni bezładnie pod niewzruszonym kamiennym sklepieniem. A całość tonie w atmosferze lekkiego, lotnego światła.

Na trzecim obrazie przedstawiona jest procesja w Wielki Piątek. Choć widać wyraźnie tylko niewiele postaci, widoczny jednak i wyczuwalny jest gęsty las chorągwi, krzyży, uczestników, pokutników, widzów. Na tle domów zasłoniętych czernią posuwa się chwiejnie ciężkie podium, dźwigane przez silnych, spoconych mężczyzn, a na nim olbrzymia figura Świętej Dziewicy w aureoli. Na dalszym planie, w tyle, także podium ze świętym Józefem, jeszcze dalej trzecie z gigantyczną postacią Ukrzyżowanego. W oddali, u czoła pochodu, widnieją chorągwie i krzyże. Najwyraźniejsze są białe, półnagie postacie, *disciplinantes*: jedni z nich w białych spiczastych kapeluszach kacerskich, inni w karykaturalnych czarnych maskach i sukniach diabelskich, wszyscy wygięci w fanatycznych skurczach, potrząsający wieloramiennymi harapami.

W *autodafe*, które Goya jako dziewięcioletni chłopak widział w Saragossie, sądzono duchownego, padre Arevalo, za to, że rozkazywał spowiadającym się u niego obnażać się, biczował ich w te części ciała, które dopuściły się grzechu, i kazał nawzajem smagać się przez nich. Wyrok wydany wówczas na padre Arevalo był łagodny, a uzasadnienie wyroku bardzo długie i rozwlekłe. Odczytano też nader szczegółowy opis tej niewłaściwej, zabronionej pokuty, którą padre nałożył na siebie i na swoich penitentów. Goya nie myślał o tym od wielu lat. Ale w kościele San Domingo odczuł znowu wyraźnie to samo pociągające i onieśmielające zarazem, gorączkowe podniecenie, z jakim przysłuchiwał się wówczas odczytywaniu wyroku. W pamięci jego ożyły wspomnienia o licznych biczownikach, których widywał od tego czasu, o procesjach tych osobliwych pokutników, którzy zadawali sobie ból i cierpienie, aby uniknąć przyszłych cierpień. Chłosta sprawiała tym ludziom rozkosz. Bicze ich ozdobione były barwami kochanek; przechodząc obok nich, starali się opryskać je swą krwią; w ten sposób objawiali cześć i oddanie nie tylko dla Świętej Dziewicy, ale i dla swojej umiłowanej. Namalował tych pokutników, oto są na pierwszym planie obrazu, tańczą, obnażeni do połowy; wyginając swe muskularne grzbiety, lędźwie okryli białymi fartuchami,

na głowy włożyli kacerskie kapelusze. Nad nimi jaśnieje jaskrawe światło; ale miękko i łagodnie opromienia ono figurę Świętej Dziewicy.

Inną zupełnie procesję przedstawiał czwarty obraz. Jest to *Pogrzeb sardynki*, dzika uroczystość urządzana na zakończenie karnawału, ostatnia zabawa przed długim, przykrym okresem postu. Gęsto stłoczona ciżba ludzka pragnie się jeszcze wesoło zabawić; ponad głowami tłumu wznosi się wysoka chorągiew z diabelsko uśmiechniętą gębą księżycą, kilku chłopaków zakryło twarze karykaturalnymi maskami, jakimi straszy się dzieci, dwie dziewczyny, wyglądające na przebranych mężczyzn, tańczą z jakimś mężczyzną w masce ciężki, niezgrabny taniec. Uderza w obrazie jakaś wymuszona, opętana wesołość, jakaś fanatyczna rozpusta; czuje się, że zaraz potem wózek i popiół rozpoczną swe panowanie.

I w tym obrazie znalazły wyraz osobiste przeżycia Goyi. Anglicy usiłowali ciągnąć korzyści z okresu postu w Hiszpanii i przywozili wielkie ilości suszonej ryby; papież zaś, chcąc ukrócić zyski znienawidzonych Brytyjczyków, przyznał tym, którzy wykażą się zaświadczeniem lekarza lub spowiednika, prawo spożywania mięsa także w czasie postu. Kto jednak chciał korzystać z tego przywileju, musiał nabyć drukowany egzemplarz odnośnej bulli papieskiej, i to co roku nowy, opatrzony podpisem proboszcza właściwej parafii; proboszcz zaś pobierał za to opłatę, której wysokość uzależniano od dochodów petenta. Otóż opłaty te rokrocznie irytowały Francisca i dlatego być może wesołość na *Pogrzebie sardynki* zaprawił sporą dawką goryczy.

Piąty wreszcie obraz przedstawiał *autodafe*. Nie odbywa się ono w kościele San Domingo, lecz w jakiejś innej, pełnej światła świątyni o jasnych, wysokich łukach i sklepieniach. Na pierwszym planie, na podium, wyżej niż wszyscy siedzi kacerz, skulony, w hańbiącej koszuli; ukośnie przechylony jasny stożek spiczastego kapelusza sterczy groteskowo. Postać kacerza skurczona i zapadnięta, wygląda jak uosobienie hańby i rozpacz; to, że jest na swym stołku wywyższony ponad wszystkich, podkreśla jeszcze bardziej jego upadek. Oddzielnie, znacznie niżej, siedzą trzej inni grzesznicy; ręce mają tak jak tamten związane w przegubach i noszą również hańbiące ubiory i spiczaste kapelusze. Jeden z nich siedzi złamany, dwaj inni trzymają się prosto. Na drugim planie, gdzie zasiada trybunał, widać sekretarza odczytującego wyrok. Dokoła niego siedzą dostojnicy duchowni i świeccy, w perukach i czapeczkach na głowie; opaśli, czcigodni, reprezentacyjni, o twarzach

obojętnych, zastygłych jak maski, a wśród nich pojmany człowiek, kacerz, na którego wydają wyrok.

Przed tymi obrazami stanął Agustin. Stał i patrzył. Pochłaniał je oczyma. Był zmieszany i przerażony.

Ale był to przestrach radosny. Takiego malarstwa jeszcze dotychczas nie oglądał. Patrzył na te obrazy, jakby je namalował jakiś inny Francisco, a przecież stworzył je ten sam człowiek. Obrazy przedstawiają sceny zbiorowe z mnóstwem ludzi, a przecież nie ma w nich nic zbytecznego. Jest to bogactwo oszczędne. Wszystko, co nie jest podporządkowane naczelnej idei obrazu, zostało pominięte; każda postać, każdy przedmiot jest niezbędną częścią całości. A co dziwniejsze: te obrazy, choć tak różnorodne w treści, pozostają z sobą w związku. Zdychający byk, dziwaczny korowód zapustny, biczownicy, dom wariatów, inkwizycja — wszystko to łączy się w jedno: w obraz Hiszpanii. Jest w tych obrazach ponura dzikość i groza, od których nawet radość hiszpańska nie jest wolna. A zarazem jest w nich coś, co mógł namalować tylko jeden człowiek, tylko jego przyjaciel Francisco: coś dziwnie lekkiego, uskrzydłonego, delikatna jasność nieba, lotne, stonowane światło, pozbawiające te sceny ich okropności. I to, czego Francisco nigdy nie umiałby wytłumaczyć Agustinowi słowami, Agustin zrozumiał teraz patrząc na te obrazy: temu dziwnemu Francho nawet złośliwe demony są miłe. I poprzez mroczne, ponure malowidła przebija jego, Francisca, radość istnienia, patrzenia, malowania, jego niepoahamowana radość życia, jakiegokolwiek by ono było.

Czy te obrazy podniecają do oporu przeciw władzy? Czy budzą buntownicze myśli przeciwko tronom i ołtarzom? Nie można było, co prawda, dopatrzeć się tego oczyma ani wyrazić słowami. A jednak te niewielkie obrazy działały na widza bardziej podburzające niż najbardziej buntownicze słowa. Ten byk, który zdychając oddaje mocz na arenie, ta rozwiązła, ponura wesołość ciemnej nocy karnawałowej budzą w widzu gniew i gorycz, podobnie jak pochód białych, półnagich, biczujących się pokutników i sąd nad kacerzami.

— No? Co powiesz? — spytał Goya.

— Nic nie powiem — odrzekł Agustin — brak mi słów. — I szeroki, promienny uśmiech rozjaśnił jego chudą, kościstą, ponurą twarz.

## X

Gdy Josefa weszła do pracowni i ujrzała obrazy, cofnęła się w kąt. Człowiek, którego kochała, wydał się jej niesamowity.

Przyszedł też Jovellanos z młodym poetą Ouintaną. Jovellanos rzekł:

— Należy pan do nas, don Francisco. O mały włos nie wyrządziłem panu krzywdy.

Młody Ouintaną cieszył się.

— Oto *idioma universal*. Te obrazy pana, don Francisco, zrozumie każdy, od poganiacza mułów do pierwszego ministra.

Don Miguel, Lucia, don Diego przyszli również, by obejrzeć obrazy. Czuli, że nonsensem byłoby oceniać te malowidła podług reguł Mengsa i Bayeu.

— Obawiam się, że będziemy musieli wszystkiego uczyć się na nowo, don Miguelu — rzekł opat.

Ale nazajutrz rano don Miguel odwiedził Goyę powtórnie. Obrazy Francisca nie dały mu spać. Zaniepokoiły zarówno Bermudeza-polityka, jak i Bermudeza-znawcę sztuki. Czy inni także nie wyczują podburzającego sensu tych obrazów, czy nie wywęszą go wrogowie? Wielki Inkwizytor Lorenzana na przykład? Tych nie będzie interesowała wartość artystyczna obrazów, wykryją tylko ich szkodliwy, buntowniczy, heretycki charakter.

Miguel usiłował wytłumaczyć to przyjacielowi. Obrazami tymi, mówił, Francisco dowiódł już dostatecznie swej odwagi i sympatii dla słusznej drogi politycznej. Posunąć się dalej i urządzić wystawę tych obrazów — byłoby szaleństwem. Jeśli człowiek, któremu inkwizycja przysłała zaproszenie na *autodafe* w kościele San Domingo, wystawi teraz takie obrazy, będzie to wyzwanie, którego Święte Officium nie puści płazem.

Goya przyglądał się swym obrazom z uśmiechem zdziwienia.

— Nie widzę — rzekł — co w tych obrazach mogłoby Świętemu Officium dać powód do wystąpienia przeciwko mnie. Mój świętej pamięci szwagier dobrze wpoił we mnie zasady Pacheca<sup>1</sup>. Nie malowałem nagich ciał. Nie malowałem nigdy nóg Najświętszej Panny. W moich obrazach nie ma nic takiego, co wykracza przeciw inkwizycji. — Powiódł raz jeszcze oczyma po obrazach. —

1/ Pacheco Francisco (1571—1654) — wybitny malarz hiszpański, historyk i teoretyk malarstwa, teść Velazqueza. Był oficjalnym cenzorem sztuki z ramienia inkwizycji.

Nie znajduję w nich nic gorszącego — powtórzył i potrząsnął głową z powagą. Miguel westchnął na tę chytrą chłopską naiwność Francisca. — Pewnie, że buntowniczy charakter tych obrazów nie jest dotykalny — powiedział spokojnie — mimo to czuć je wprost rebelią.

Francisco nie zrozumiał, czego właściwie Miguel od niego chce. Trudno przyjacielowi dogodzić. Przedtem Miguel zarzucał mu, że jest tylko malarzem, teraz znów — że politykiem.

— Co, u licha, mają moje obrazy wspólnego z polityką? Czy to mało było takich, którzy już przede mną malowali trybunał inkwizycji?

— Ale nie teraz! — zawołał Miguel. — I nie w taki sposób! Goya wzruszył ramionami.

— Nie sędzę — oświadczył — by te obrazy mogły mnie narazić na jakieś przykrości. Musiałem je namalować. Ukazują to, co umiem, i nie chcę ich kryć pod korcem; chcę je pokazać, wystawić. — A widząc troskę i smutek na pogodnej zazwyczaj twarzy przyjaciela, dodał ciepłej: — Ty sam przecież narażałeś się tyle razy na niebezpieczeństwa. Wiem, że z życzliwości chciałbyś mnie ustrzec od nieostrożnego kroku. Ale nie trać słów na próżno — zakończył zwięźle. — Wystawię te obrazy.

Miguel dał za wygraną.

— Postaram się przynajmniej — rzekł stroskany — by don Manuel zaszedł do ciebie i wypowiedział się o nich przychylnie. Możliwe, że będzie to przestroga dla Wielkiego Inkwizytora.

Don Manuel zjawił się niebawem w towarzystwie Pepy. Okazało się, że Pepa była mocno zaniepokojona wiadomością, iż Francisco otrzymał zaproszenie na *auto particular*.

— Zawsze panu mówiłam, don Francisco — oświadczyła — że poglądy pana trącą herezją. Don Manuel, co prawda, też nie zawsze bywa tak pobożny, jakbym sobie życzyła, ale jego usprawiedliwia to, że jest mężem stanu, który musi strzec praw Korony. Ty, Francho, jesteś przecież tylko malarzem.

— Niech się pan nie da przez nią nastraszyć, don Francisco — pocieszał go wesoło don Manuel. — Ja pana obronię. Raz tylko pozwoliłem tym panom ze Świętego Officium na odprawienie spektaklu, drugi raz już tego nie zrobię. A teraz niech nam pan pokaże swoje obrazy. Miguel wiele mi już o nich opowiadał.

Obejrzeliby obrazy.

— Wspaniale — powiedział Manuel. — Właściwie powinien mi

pan być wdzięczny, don Francisco, że pozwoliłem na to *autodafe*. Inaczej nie namalowałby pan tego.

Pepa długo, w milczeniu, przyglądała się malowidłom. Potem powiedziała swym pełnym, nieco przewlekłym, leniwym głosem:

— Zrobiłeś to znakomicie, Francho. Co prawda, nie bardzo rozumiem, dlaczego byk jest taki mały, a torero taki duży, ale miałeś zapewne swoje powody. Jesteś zarozumiały, Francho, i nie należy cię zbytnio chwalić, ale zdaje mi się, że naprawdę wielki z ciebie malarz. — Rzuciła mu swobodne, bezwstydne spojrzenie swych zielonych oczu.

Ale to widocznie nie bardzo podobało się don Manuelowi.

— Musimy już iść — rzekł. — Proszę mi przysłać te obrazy, don Francisco. Kupuję je. Dla Goyi było miłą niespodzianką, że obrazy, które malował tylko dla siebie, przyniosą mu pieniądze, a od Manuela można było zażądać wysokiej ceny. Jednakże nie malował tych obrazów dla Manuela, a już najmniej dla Pepy, i nie chciał, by znalazły się w rękach ludzi, którzy tak mało mieli dla nich zrozumienia. A choć było zuchwalstwem i głupotą drażnić Księcia de la Paz, odpowiedział:

— Żałuję bardzo, ale nie mogę panu oddać tych obrazów; przyrzekłem je już komu innemu.

— No, no — odparł Manuel wyraźnie niezadowolony — dwa z nich pozostawi pan mimo wszystko dla nas, jeden dla seniora Tudó, drugi dla mnie.

Powiedział to władczy tonem, uniemożliwiającym wszelki sprzeciw.

Kiedy się żegnali, Pepa powiedziała:

— Byk jest stanowczo za mały, sam pan to kiedyś przyzna, Francisco. Ale pomimo to jest pan chlubą Hiszpanii, Manuel przerwał jej szorstko:

— Nasza Pepa mówi zawsze jak z romancy.

Wszyscy przyjaciele Goyi obejrzeni już jego nowe obrazy, prócz Cayetany. Czekał na nią. Wezbrała w nim fala namiętności, był bliski szału.

Przyszła nareszcie. Ale nie była sama, towarzyszył jej lekarz, doktor Peral.

— Brak mi pana było, Francho — rzekła. Patrzyli na siebie gorąco, bezwstydnie, uszczęśliwieni, tak jakby nie widzieli się od wieków.

Potem stanęła przed obrazami. Jej duże, metalicznie lśniące

oczy, z wyniosłymi, dumnymi lukami brwi, wchłaniały w siebie jego dzieło; patrzyła z jakąś dziecinną, pełną oddania uwagą. Jego zaś przepełniła radość i duma. Czy można żądać więcej od życia? Oto w tych czterech ścianach, na ciasnej przestrzeni, było jego dzieło, które on jeden tylko mógł stworzyć, i kobieta, jedyna, którą los mu przeznaczył.

— I ja chciałabym tam być — powiedziała.

Zrozumiał ją od razu i poczuł głęboką radość. Czuł dokładnie to samo co ona, i pragnął, by obrazy wywierały takie właśnie wrażenie. Sam chciał „tam być”, brać udział w walce byków, w karnawale, nawet w sądzie inkwizycji. Co więcej: jeśli by ktoś na widok tego domu obłąkanych nie odczuł głuchego pragnienia, by raz odrzucić precz suknie, dobre obyczaje, wyzwolić się od nakazów rozsądku, w takim razie na próżno malował te obrazy, w takim razie nie spełniały one swego zadania. „I ja chciałabym tam być”. Ona, Cayetana, to czuła.

Zapomnieli oboje o obecności doktora Perala. Ale ten zabrał teraz głos.

— W tym, co pani powiedziała, *duquesita* — rzekł spokojnie — jest więcej mądrości niż w grubych księgach uczonych teoretyków sztuki.

Bezczelna poufalskość, z jaką ten drab nazwał ją *duquesita*, małą księżniczką, wyrwała Francisca z radosnego nastroju. Co właściwie łączyło tych dwoje?

— Najbardziej podziwiam to — zwrócił się Peral do Francisca — że w obrazach pana, mimo ich ponurej treści, tyle jest lekkości, tyle wdzięku, chciałoby się niemal rzec, pogody. Donia Cayetana ma zupełną słuszość; pan w taki sposób maluje grozę, że staje się ona pociągająca. — I obcesowo zakończył: — Czy nie chciałby mi pan sprzedać jednego z tych obrazów, don Francisco?

Goya uśmiechnął się w duchu złośliwie. Ten Peral umie patrzeć na jego obrazy, trzeba mu to przyznać, to nie to, co głupia Pepa. Mimo to odpowiedział tonem niemal grubiańskim:

— Jestem bardzo drogi, doktorze.

— A ja nie całkiem biedny — odparł Peral bardzo uprzejmie. Tu księżna zadecydowała właściwym sobie miłym, lecz stanowczym tonem:

— Proszę mnie odstąpić dwa z tych obrazów, Francisco.

Goya był wściekły. Uśmiechnął się i bardzo uprzejmie odpowiedział:

— Pozwoli pani, że ofiaruję jej dwa obrazy w podarunku, *amiguita de mi Alma*<sup>1</sup>. — Tą „najmilszą przyjaciółką” odplacił teraz „balwierzowi” za jego *duquesitę*. — Pani wola, jeśli zechce je pani komuś podarować.

— Dziękuję — rzekła Alba.

Peral, kolekcjoner dzieł sztuki, nie wzruszony grubiaństwem Goyi, uradowany, że otrzyma jeden, a może i dwa z tych obrazów, mówił z egzaltacją i przekonaniem:

— Te obrazy są pierwszymi twórcami nowej sztuki, pierwszymi obrazami nadchodzącego stulecia. Ten człowiek — mówił wskazując na kacerza z inkwizycji — budzi sympatię. To może się wydać niedorzecznością, ale pani ma zupełną rację, donio Cayetano, chciałoby się niemal być na jego miejscu.

Oderwał wzrok od obrazów, ale mówił z ożywieniem dalej:

— To, co pan odczuwa, don Francisco, potwierdzają fakty historyczne. Nie brak było takich *judaisanies* czy *marranos*, którzy mogli się jeszcze uratować, a jednak woleli zostać na obszarze podległym inkwizycji, czekali po prostu, aż zostaną ujęci. Nęcił ich widocznie stołek skazańca i hańbiąca koszula.

— Aż dziwne — rzekł złośliwie Goya — jak dobrze panu wiadomo, co odczuwali *judaisantes*. Niech pan uważa, aby inkwizycja nie wzięła pana za jednego z nich.

— Skąd mogę wiedzieć — odparł ze spokojem doktor Peral — czy w istocie nie posiadam domieszki krwi żydowskiej? Któż z nas mógłby twierdzić to o sobie z pewnością? Jedno jest pewne: najlepszych lekarzy wydali Żydzi i Maurowie. Dużo nauczyłem się z ich dzieł. Rad jestem, że mogłem je studiować za granicą.

Goya musiał przyznać w duchu, że było dowodem odwagi wypowiadać po upadku Olavidego podobne poglądy. Jego zły nastrój jeszcze się pogłębił.

Niedługo potem przyniesiono dla seniory Josefy Bayeu de Goya skrzynię zawierającą stare srebra ze skarbca księżny Alba, wraz z jej pozdrowieniami. Josefa zmieszała się na widok tyłu kosztowności. Była wyrachowana; ucieszyła się tym niezwykle cennym darem, ale sprawił on jej także przykrość. Goya wyjaśnił:

— Uznałem za stosowne podarować księżnie dwa obrazy. Nic dziwnego, że rewanżuje się za ten podarunek. Widzisz sama — dodał z zadowoleniem — gdybym kazał sobie zapłacić za te dwa.

1/ Mała, najmilsza przyjaciółko mego serca.

( 187 >



obrazy, nie mógłbym zażądać więcej niż sześć tysięcy realów. A to, co tu leży przed nami, warte jest ze trzydzieści tysięcy. Zawsze ci mówiłem: hojność oplaca się lepiej niż oszczędność.

Wystawił obrazy w Akademii. Przyjaciele Goyi nie bez obawy czekali na opinię inkwizycji.

Goya otrzymał wkrótce zawiadomienie, że rzeczoznawcy Świętego Officium życzą sobie obejrzeć obrazy; polecono mu, aby ich u siebie oczekiwał.

Przybyło kilku duchownych z arcybiskupem Despuigiem na czele. Goya wiedział, że Pepę łączy przyjaźń z tym prałatem. Przeszło mu przez myśl, czy to nie ona go tu przysłała. Aby mu pomóc czy aby go zgubić?

Księżę Kościoła z uwagą obejrzał obrazy.

— To są dobre, bogobojne obrazy — powiedział. — Ta *Inkwizycja* przejmuje widza dobroczynnym lękiem, który Święte Officium stara się właśnie roztaczać. Obraz ten powinien pan nam ofiarować, mój synu, posłać go w darze Wielkiemu Inkwizytorowi.

Goya słuchał zmieszany, ale i ucieszony.

Powiedział później żonie, niby od niechcenia, że *Sąd nad kacerzami* ofiarował Świętemu Officium. Josefa, przerażona tym zuchwalstwem, zawołała:

— Spalą ten obraz na stosie, a ciebie wtrącają do więzienia. Goya odpowiedział poprzednim obojętnym tonem:

— Sam Wielki Inkwizytor prosił mnie o ten obraz. Josefa stanęła jak wryta.

— Jak ty to robisz, Francho? — rzekła. — Nie mogę tego pojąć. Ty chyba rzucasz czary na ludzi.

XI

Od chwili kiedy opat ujrzał Pabla Olavide na sądzie kacerzy, czuł niemal fizycznie, że niebezpieczeństwo pełźnie także ku niemu i zbliża się z każdą godziną. Wiedział, że Lorenzana nienawidzi go jako przyjaciela obalonego Sierry i potajemnego wroga inkwizycji. Czas, który pozostawał jeszcze opatowi do ucieczki, upływał, ale don Diego nie mógł zdobyć się na to, by porzucić Madryt i Lucię.

Manuel przyrzekał mu wprawdzie w szumnych słowach opiekę, ale opat nie liczył na to zbyt. Widział tylko jeden sposób, który

mógł pokrzyżować plany Lorenzanie: don Manuel powinien jeszcze teraz, właśnie teraz, wyrwać Olavidego z rąk inkwizycji.

Toteż opat i Miguel nalegali usilnie, aby Manuel umożliwił Olavidemu ucieczkę. Zresztą wspomnienie haniebnego widowiska w kościele San Domingo paliło ministra do tej pory i nęciła go myśl wyrwania Olavidego z rąk butnych mężów Kościoła. Ale zdawał sobie sprawę, że jest to przedsięwzięcie niebezpieczne i że nie podobna ważyć się na nie bez wyraźnej zgody królowej. Uzyskanie zaś jej zgody wydawało mu się na razie niemożliwe. Maria Luiza bowiem, rozdrażniona przedłużaniem się jego miłości z Pepą, robiła mu właśnie w tym czasie ciągle sceny. Dokuczała mu, jak mogła. Drwiła z jego porażki w sprawie Olavidego. Odpowiedział mu z pewnością, by sam wypił piwo, którego nawarzył.

Oświadczył tedy swoim postępowym przyjaciółom, że nie pozwoli, aby Olavido zginął marnie w murach klasztoru w Geronie; uprowadzenie jednak skazanego kacerza — to sprawa drażliwa; potrzeba mu czasu, by mógł uzyskać zgodę króla.

Tymczasem zaś prowadził walkę z inkwizycją na innym odcinku.

Waluta hiszpańska wymagała wzmocnienia, gdyż wartość jej od czasu wojny coraz bardziej spadała. Znaleźli się zagraniczni kapitaliści, którzy gotowi byli ulokować pokaźną sumę w Hiszpanii. Ci odważni finansisci byli jednak niestety Żydami. Od wieków inkwizycja baczyła pilnie, by noga żydowska nie splugawiła hiszpańskiej ziemi; kapitaliści żydowscy zaś, którzy chcieli podjąć się uzdrowienia finansów hiszpańskich, postawili warunek, by mogli sami zbadać stosunki gospodarcze kraju. Don Manuel przedstawił tę sprawę królowej; nie omieszkał nadmienić, że pożyczka wyniosłaby dwieście milionów. Maria Luiza oświadczyła, że nie ma nic przeciw temu, aby minister uprzejmie, lecz stanowczo poprosił Wielkiego Inkwizytora o wyrażenie zgody na przyjazd żydowskich finansistów do Hiszpanii.

Lorenzana odpowiedział natychmiast i stanowczo: „Nie!” Wówczas zaproszono go do króla, gdzie w obecności Manuela odbyła się rozmowa, w której don Carlos okazał się mniej miłym i dobrodusznym, niż bywał zazwyczaj. Wielki Inkwizytor uzyskał jedynie to, że ograniczono liczbę gości żydowskich do dwóch osób i że podczas pobytu w Hiszpanii podlegać mieli nadzorowi inkwizycji, co prawda dyskretnemu.

Goście żydowscy, monsieur Bohmer z Antwerpii i mynheer Pereira z Amsterdamu, wzbudzili w Madrycie sensację; wszyscy

liberałowie prześcigali się w okazywaniu im uprzejmości. Jovellanos urządził na ich cześć wieczór towarzyski z herbatą. Nawet księżna Alba wydała dla nich przyjęcie.

Przy tej sposobności Goya przyjrzał się bliżej owym Żydom. Doznał rozczarowania, że wyglądają zupełnie inaczej niż Żydzi na portretach Rembrandta. Monsieur Bóhmer, były jubiler nadworny Marii Antoniny, pozbawionej w tak straszliwy sposób życia, był wytwornym Francuzem, jakich Francisco setki widywał już przedtem; mynheer Pereira zaś mówił po hiszpańsku najczystszy kastylijskim akcentem. Wobec grandów dwaj żydowscy panowie zachowywali się jak równi wobec równych.

Lorenzana wielce rozdrażniony tym, że podczas jego urzędowania Żydzi zatrują swym oddechem powietrze stolicy, postanowił zaostrzyć walkę z liberałami. W ostatnich latach zezwalano milcząco, aby niektórzy wpływowi ludzie posiadali książki zabronione przez Kościół; teraz poczęły się znów mnożyć rewizje domowe, a wraz z nimi wzbogacał się materiał inkwizycji.

Pewnego dnia, kiedy opat o niezwykłej porze powrócił do domu, spotkał u drzwi swego mieszkania niejakiego Lopeza Gil, którego znał jako szpiega inkwizycji. Zwrócił się ponownie do don Manuela z prośbą, by nie dopuścił do powtórzenia się wypadku Olavidego, i zaklinał go, aby przestrzegł Lorenzanę lub, co lepsze, umożliwił ucieczkę Olavidemu.

Perswazje don Diego wywarły na ministrze pewne wrażenie. Dał jednakże tylko połowiczne zapewnienia; nie mógł się zdobyć na decyzję.

Lecz nieoczekiwanie sam Wielki Inkwizytor przyszedł opatowi z pomocą. W ostatnich czasach ukazało się mnóstwo broszur, których autorzy, duchowni, wzywali ludność, aby rzuciła w ogień buntownicze książki Jovellanosa, Cabarrusa, Quintany, pouczając w ten dosadny sposób ich autorów, że Hiszpania jest krajem katolickim. Jedna zaś, świeżo opublikowana, szczególnie jadowita broszura twierdziła, że nie ma w tym nic dziwnego, iż plugawe i bezbożne książki cieszą się powodzeniem i uznaniem, skoro najwyższy urzędnik państwa sam daje przykład niesłychanego rozpasania, a wraz z nim najpierwsza dama tego kraju.

Don Manuel ucieszył się, gdy policja przesłała mu tę broszurę. Tym razem Lorenzana posunął się za daleko. Manuel zaniósł paszkwil królowej. Maria Luiza przeczytała go.

— Lorenzana musi dostać po łapie — rzekła ze złowrogim spokojem.

— Wasza królewska mość ma, jak zawsze, słuszość — odparł Manuel.

— Tobie oczywiście w to graj, żebym ja naprawiała, coś ty spartaczył i zepsuł.

— Czy ma pani na myśli sprawę Olavidego, madame? — spytał niewinnym tonem Manuel. I dodał zaraz: — Tak, w każdym razie uważam, że trzeba by koniecznie uprowadzić Olavidego za granicę.

— Pomówię o tym z Carlosem — odpowiedziała. Maria Luiza mówiła z Carlosem, potem Manuel mówił z Miguelem, potem Miguel z opatem, wreszcie opat udał się na rozmowę do Wielkiego Inkwizytora.

Rozmowę tę prowadzili po łacinie. Opat oświadczył na wstępie, że nie przychodzi jako skromny sługa Świętego Officium do swego najwyższego zwierzchnika, lecz jako osoba prywatna; zaznaczył jednak, że don Manuel, a także Król Katolicki żywo interesują się wynikiem tej rozmowy i jej dalszymi następstwami. Lorenzana odpowiedział, że przyjmuje to do wiadomości; może don Diego zechciałby jednak zawiadomić, rzecz jasna też nieoficjalnie, don Manuela, a ten jego królewską mość, don Carlosa, że nagromadziło się tyle okoliczności obciążających byłego Wielkiego Inkwizytora Sierrę, iż nie da się chyba uniknąć skazania go.

— Ty, o bracie — powiedział Lorenzana — który tak dobrze znasz tego człowieka, musiałeś chyba przewidzieć, że do tego dojdzie.

— Znam jego i znam ciebie, o mój ojczy — odparł opat — a więc w istocie przewidywałem to. Wielki Inkwizytor zapytał:

— Czy pracujesz jeszcze, o mój bracie, nad memoriałem, który Sierra polecił ci przygotować?

Rozsądek don Diega nakazywał mu wprawdzie, by dał odpowiedź przeczącą, ale nie pozwoliło na to jego przekorne serce.

— Nie otrzymałem znikąd nakazu, bym przerwał tę pracę — odpowiedział szlachetną łaciną. I mówił dalej: — Wszchemogący rozkazuje księżycowi, by na przemian zwiększał się i kurczył. Wszchemogący napawa też Święte Officium już to łagodnością, już to surowością. Toteż żywię skromną nadzieję, że praca moja okaże się kiedyś jeszcze użyteczna.

— Obawiam się, bracie — odrzekł Lorenzana — że mocniejszy jesteś w nadziejach niż w prawowitej wierze. Ale wyjaw mi

posłannictwo, z którym do mnie przychodzisz — zakończył władczo.

Opat przystąpił do rzeczy:

— Książę Pokoju pragnie uwagę twoją skierować na to, ojcze, że skazany kacerz, Pablo Olavide, jest bardzo delikatnego zdrowia. Otóż gdyby miał pozbyć się swej ziemskiej powłoki, dopóki znajdować się będzie pod opieką Świętego Officium, natenczas obawia się Książę Pokoju, cała Europa czynić będzie gorzkie wyrzuty naszemu krajowi i Królowi Katolickiemu. Dlatego też Książę Pokoju prosi cię, *Reverendissime*, byś szczególną troskliwością otoczył zdrowie tego kacerza.

— Wiesz, o bracie — odpowiedział Wielki Inkwizytor — że liczba dni, którą osiąga człowiek, nie zależy od woli Świętego Officium, lecz od Świętej Trójcy.

— Tak jest, mój ojcze — odparł don Diego. — Gdyby jednak Święta Trójca tak znacznie skróciła dni tego kacerza, iż dusza uleciałaby z niego w czasie jego przebywania pod opieką Świętego Officium, wówczas, *Reverendissime*, Król Katolicki widziałby w tym dowód niezadowolenia Najwyższego. Król byłby wówczas zmuszony zaproponować ojcu świętemu zmianę w kierownictwie Świętego Officium.

Lorenzana milczał przez chwilę.

— Cóż zatem rozkazuje don Manuel Świętemu Officium? — zapytał szorstko.

Opat odpowiedział z wyszukaną grzecznością:

— Ani Książę Pokoju, ani Król Katolicki nie mają zamiaru wtrącać się do spraw Króla Królów, którego sądownictwem na ziemi hiszpańskiej ty zawiadujesz, mój ojcze. Jednakże obaj świeccy książęta proszą cię, byś zechciał troskliwie rozważyć, że zdrowie wspomnianego kacerza jest nader wątłe i wymaga wód leczniczych. Zechcesz tedy, mój ojcze, zastanowić się, czy nie należałoby wysłać go na kurację do jakiegoś uzdrowiska. Książę Pokoju ucieszyłby się bardzo, gdybyś zechciał najpóźniej w ciągu trzech dni powiadomić go o wyniku swoich rozważań.

Lorenzana odpowiedział:

— Dziękuję ci za tę wiadomość, mój bracie, nie zapomnę tobie ani twemu panu tego dowodu troskliwości.

W czasie tej rozmowy opat rozkoszował się w duchu porównywaniem swej klasycznej łaciny z chropawą łaciną Wielkiego Inkwizytora.

W krótkich i rzeczowych słowach Lorenzana zawiadomił

( 192 )

pierwszego ministra, że Święte Officium postanowiło wysłać odbywającego pokutę kacerza Pabla Olavide do Caldas de Montbuy, aby używając tamtejszych gorących kąpieli poratował swe nadwątlone zdrowie.

— No co, seniores? — zapytał Manuel z dumą swoich przyjaciół, don. Miguela i don Diega. — Dogodziłem wam teraz?

— A jak wyobraża pan sobie ciąg dalszy? — spytał opat.

Don Manuel odpowiedział z chytrym, przyjaznym uśmiechem;

— Panu wyznaczyłem w tym pewną rolę, mój drogi. Już od dłuższego czasu noszę się z zamiarem wysłania posła nadzwyczajnego z poufną misją do Paryża, w związku z rokowaniami o zawarciu przymierza. Proszę, niech pan przyjmie tę funkcję. Wyposażę pana w pełnomocnictwa, które oddadzą do pańskich usług wszystkich poddanych jego królewskiej mości. Nie nakładając niemal drogi, będzie pan mógł odwiedzić w

przejeździe swego przyjaciela Olavidego, przebywającego w kąpielisku. Nie trudno też będzie, jak sądzę, nakłonić go do odbycia dalekiej przechadzki. Jeśli zabłądzi wtedy przypadkiem na terytorium Francji, to już jego sprawa.

Opat, któremu nigdy nie brakło szybkiej i dowcipnej odpowiedzi, zbladł teraz i zamilkł. Gorąco pragnął przyjąć propozycję don Manuela i własnymi rękoma wyrwać Olavidego ze szponów Lorenzany, przeprowadzić przez Pireneje, uratować go. Ale jeśli to uczyni, to sam będzie musiał pozostać już we Francji, nie na krótki czas, ale na zawsze. Gdyby bowiem po popełnieniu tak niesłychanej zbrodni, jak uprowadzenie skazanego na karę kacerza, powążył się wrócić do kraju, nikt w całej Hiszpanii, nawet sam król, nie zdołałby już osłonić go swą opieką; wówczas Wielki Inkwizytor pochwyci go w swe ręce i bez chwili wahania— minister zauważył błysk dzikiej nienawiści w jego oczach — wyprawi go na stos wśród okrzyków rozfanatyzowanej ludności całego kraju.

— Dziękuję panu bardzo, don Manuelu — odpowiedział — i proszę o jeden dzień do namysłu; muszę rozważyć, czy nadaję się do takiej wyprawy.

Mówił z Lucią. Powiedział jej bez ogródek, że jego przekonania i poglądy filozoficzne nakazują mu przyjąć ofiarowaną misję. ciężko mu jednak skazać się dobrowolnie na dożywotnie wygnanie z Hiszpanii i rozstać się z nią, Lucią, na zawsze. Lucia zamyśliła się głęboko.

— Czyż Olavide — rzekła — nie stworzył sobie kiedyś drugiej

Hiszpanii w Paryżu? Sam mi pan o tym opowiadał. Dlaczegoż nie miałby pan teraz zrobić tego samego wspólnie z Olavidem? A widząc, że opat milczy, mówiła dalej:

— Znałam kiedyś dobrze madame Tallien, kiedy mieszkała tu jeszcze i nosiła swe panięskie nazwisko Teresy Cabarrus/<sup>1</sup>, żyłam z nią w przyjaźni. Miałabym wielką ochotę zobaczyć ją znowu. Słyszałam, że ma duże wpływy w Paryżu. Czy nie uważa pan, don Diego, że mogłabym w Paryżu oddać pewne usługi interesom Hiszpanii?

Don Diego, polityk, pobłażliwy, dowcipny cynik, zarumienił się jak młody chłopak, któremu dziewczyna po raz pierwszy odpowiada „tak”.

— Czyżby pani mogła?... Czyżby pani chciała?... — powiedział i było to wszystko, na co potrafił się w tej chwili zdobyć. Ale Lucia zapytała rzeczowo:

— Ile czasu trzeba panu, aby się znaleźć w najbliższej francuskiej miejscowości?

Opat zastanawiał się przez chwilę.

— Dwa tygodnie — odparł. — Tak, przypuszczam, że za dwa tygodnie będziemy już w Gerbere/<sup>2</sup>.

— Jeślibym się wybrała w podróż — rozważała Lucia — musiałabym mieć trochę czasu, by się przygotować do niej. Spojrzała na opata.

— Niech pan zatrzyma się jeszcze przez tydzień w Gerbere — rzekła — zanim pan wyjedzie stamtąd do Paryża.

Don Diego zapomniał w tej chwili o elegancji i dowcipie. Niemłody, ociężały, dyszał uszczęśliwiony jak młody chłopiec.

— Gdyby się to spełniło — powiedział — gdybym mógł w Gerbere, na francuskiej ziemi, w bezpiecznym schronieniu oglądać Pireneje, mając po prawej ręce panią, donio Lucio, a po lewej ocalonego don Pabla Olavide, wtedy, zaprawdę, uwierzyłbym chyba znowu w Boga.

<sup>1/</sup> Cabarrós Teresa — żona rewolucjonisty Jana Tallien, córka finansisty Cabarrus, odegrała znaczną rolę w czasie rewolucji francuskiej i Dyrektoriatu.

Gerbere — graniczne miasteczko francuskie w Pirenejach.

## XII

W jakieś trzy tygodnie później Miguel odwiedził Goyę.

— Możemy się cieszyć — powiedział. — Pablo Olavide jest już w bezpiecznym miejscu. Don Diego przeprowadził go przez granicę.

Chociaż Goya zaprzątnięty był sobą i swoim szczęściem, ocalenie Olavidego uczyniło na nim silne wrażenie. Poruszyła go też wiadomość o ucieczce opata. Rozumiał, że opat nie tak prędko, a może nigdy już nie będzie mógł powrócić do kraju. Przypomnił sobie, jak to on sam kiedyś, jeszcze jako bardzo młody człowiek, zmuszony był uciekać, wtedy gdy znaleziono owego trupa. Wyraźnie, jakby to było dziś, widział, jak znika i rozplywa się w dali białe wybrzeże Kadyksu, i uczył ostry ból, który przeszył go wówczas na myśl, że porzuca Hiszpanię, kto wie na jak długo. Był wówczas młody, cudem uszedł groźnego niebezpieczeństwa; nieznana dał otwierała się przed nim, błękitna, pełna czaru. Ale starzejący się don Diego porzucił życie i środowisko, które kochał, aby zamienić je na coś niepewnego. Gdyby on, Francisco, zmuszony był dzisiaj uciekać, byłoby to dla niego okropne. Porzucił Madryt, Saragossę, dwór, walki byków, Josefę i dzieci, sławę, *maje*, swój dom, swoją *carozzę*, Cayetanę — nie, to nie do pomyślenia, nigdy tego nie zrobi.

Miguel usiadł w swojej ulubionej pozycji, z nogą założoną na nogę; jego blada, lekko przypudrowana, miła twarz o jasnym czole była bardzo spokojna. Jednakże wydało się Goyi, kiedy, otrząsnąwszy się ze wspomnień — spojrzał na Miguela swymi przenikliwymi oczyma, że dostrzega w tej twarzy jakiś lekki, ledwie dostrzegalny niepokój.

— Hrabia Cabarrus — opowiadał tymczasem Miguel siląc się na obojętność — od dawna już nalegał, aby donia Lucia odwiedziła w Paryżu córkę jego, a swoją dawną przyjaciółkę, madame Tallien. — Otóż teraz, kiedy Olavide i opat są również w Paryżu, Miguel przyjął to zaproszenie. Sądzi, że donia Lucia będzie mogła wspólnie z nimi uzyskać coś niecoś w polityce przy pomocy swej wpływowej przyjaciółki.

Goya osłupiał. Ale po chwili przejrzał podszewkę sprawy. Zrobiło mu się żal przyjaciela. Miguel podniósł kiedyś tę kobietę z ulicy, małą, połyskującą grudkę błota, i zrobił z niej jedną z pierwszych dam tego miasta. Biedny Miguel! A jak po rycersku ujmuje się teraz za nią, jak ją osłania!



Francisco nie byłby jej zresztą posądził o taką namiętność. Ba, gdyby jeszcze poleciała za jakimś młodym fircykiem, na przykład za markizem de San Adrian albo za jakimś innym arystokratycznym paniczykiem. Ale opat, człowiek już niemłody, otyły, przy tym bez pieniędzy, bez tytułu. A poza tym, jakąż rolę może on dziś odegrać w Paryżu, awanturnik, zbiegły urzędnik inkwizycji? Niepojęte są te kobiety. Wszystkie.

Wieczorem tegoż dnia senior Bermudez siedział samotny w swym gabinecie, porządkując zapiski do wielkiego *Słownika artystów*. Miał nadzieję, że zajęcie to skieruje jego myśli na inne tory. Ale jakaś siła odepchnęła go od ulubionych papierów i pociągnęła przed portret Lucii.

Francisco miał słuszość. Zmienne, migotliwe światło na tym obrazie, dwuznaczność i przebiegłość, zacząjona pod maską światowej damy — to była właśnie prawda.

Na nic nie zdałaby się ani linia, ani jasność, bo wszystko tu było właśnie nieporządkiem i nieładem, i wewnątrz, i zewnątrz. I tylko on sam, Miguel, był tym głupcem, który wierzył, że uda mu się zmienić, przeobrazić nieokiełznaną *maję*.

Przeceniał się zawsze. Był spóźnionym, niepoprawnym humanistą, Don Kiszotem; wierzył w boską moc rozumu, w posłannictwo ludzi wykształconych, w zwycięstwo nad głupotą tłumu. Oblędna pycha! Rozum pozostanie na wieki bezsilny i skazany na to, aby żyć w mroźnej pustce i jałowej samotności.

Przyszedł mu na myśl wieczór spędzony kiedyś z Olavidem. Olavide snuł wówczas swe marzenia: Sierra Morena nie będzie już siedliskiem dzikich zwierząt; on zamieni tę pustynię w uprawny, kwitnący kraj. Przez dwa lub trzy lata zdawało się, że powiedzie mu się ten eksperyment; potem jednak zapłacił za niego zniszczeniem własnego życia, a ziemia ta stanie się teraz na powrót pustynią. Taki sam los spotkał jego, Miguela. Nigdy nie uda się mędrcom wyplenić z serc ludzkich przemocy, dzikości, gwałtowności, nigdy rozsądek nie potrafi zmienić barbarzyństwa w kulturę.

Po raz pierwszy zrozumiał Miguel swoją żalną porażkę, będąc świadkiem hańby Olavidego w kościele San Domingo. Rozum zatrumfować może tylko na krótką chwilę, potem ludzie wracają znów do swego pierwotnego stanu i stają się na powrót dzikimi bestiami, którymi są z natury. We Francji rozum zdołał zaledwie na dwa lata dźwignąć masy ludzkie ku światłu, potem zapanowała znów dzika, nieposkromiona, głębsza jeszcze noc.

„Jasność, światło, nadzieja — rozmyślał — istnieją tylko w sztuce. A właściwie i tam ich nie ma. Obrazy takich Mengsów lub Bayeu są suche i sztuczne, ich linie nie mówią prawdy, ich ludzie nie żyją, wszystko u nich jest ciemne, głuche, nieprzejrzyste.”

Bezwład i apatia ogarnęły Miguela, lęk przed obcością najbliższych mu ludzi, przed obcością Lucii i przyjaciela, Goyi. Ileż w nich kart nieznanymi, ciemnymi, ponurymi, nieprzyjaznymi i zawilgocionymi.

Siedział ze wzrokiem utkwionym w obraz Lucii, namalowany przez przyjaciela, i czuł chłód osamotnienia.

### XIII

Wielki Inkwizytor Lorenzana, człowiek już starzejący się, wpadał w straszną wściekłość, ilekroć przypominał sobie, z jaką bezczelnością ten wyrzutek Manuel Godoy rozkazał mu wydać kacerza Olavide, aby tym łatwiej móc wyprawić go za granicę, a zwłaszcza kiedy przypominał sobie ową rozmowę prowadzoną po łacinie z tym odszczepieńcem opatem. Odkąd istniało Święte Officium, nie zostało ono jeszcze nigdy w tak zuchwały sposób obrażone.

Najbliżsi przyjaciele i doradcy Lorenzany, arcybiskup Grenady. Despuig i biskup Osmy, zaklinali go, aby działał energicznie. Jeśli niesłychana zbrodnia don Manuela pozostanie bezkarna, wówczas siła inkwizycji będzie na zawsze złamana.

Nalegali, aby nakazał niezwłocznie aresztować bezczelnego kacerza i postawić go przed Świętym Trybunałem. Cała Hiszpania będzie mu wdzięczna za to.

Niczego nie życzył sobie goręcej sam Lorenzana. Obawiał się jednak, że donia Maria Luiza nie da sobie tak łatwo odebrać gacha. Uwięzienie don Manuela, był tego pewien, rozpętałoby taką walkę z Koroną, jakiej Święte Officium jeszcze nie prowadziło. Mimo to oświadczył w końcu, że zdecydowany jest wystąpić przeciw pierwszemu ministrowi, jeśli ojciec święty udzieli na to wyraźnej zgody.

Arcybiskup Despuig zwrócił się do swego przyjaciela w Rzymie, kardynała Vicenti, ten zaś przedstawił papieżowi trudną sytuację Wielkiego Inkwizytora, stojącego przed niebezpieczną

decyzją. Papież Pius VI znajdował się sam w krytycznym położeniu. Generał Bonaparte wkroczył na jego terytorium i groził uwięzieniem go. Ale papież był człowiekiem, którego pogroźki bardziej jeszcze podniecały do walki, i w takim właśnie nastroju udzielił rad Lorenzanie. Poleciał kardynałowi Vincenti, by na zapytanie kardynała-arcybiskupa Despuiga odpowiedział wyczerpująco, tak aby ten mógł przekazać Wielkiemu Inkwizytorowi opinię papieża. Zbrodnie tak zwanego Księcia Pokoju — brzmiały słowa tej po łacinie zredagowanej odpowiedzi — wołają o pomstę do nieba; i hańba to prawdziwa, że taki człowiek jest pierwszym doradcą Katolickiego Króla. Toteż ojciec święty popiera gorąco zamiary Wielkiego Inkwizytora. Kładąc kres niegodziwym postępkom Manuela Godoy, Lorenzana uwolniłby nie tylko Hiszpanię, ale także Namiestnika Chrystusowego od niebezpiecznego wroga.

Jednakże los chciał, że kuriera Watykanu, wysłanego z tym pismem do Sewilli, przychwycili w pobliżu Genui żołnierze generała Napoleona Bonaparte. Bonaparte przeczytał list i chociaż nie był bardzo biegłym łacinnikiem, przejrzał w lot spisek, który knuł Wielki Inkwizytor przy pomocy papieża przeciwko Manuelowi Godoy. Młody francuski generał czuł sympatię do młodego hiszpańskiego ministra, który podobnie szybko wspiał się w górę jak on sam. W dodatku zależało mu na tym, aby przyspieszyć wciąż jeszcze nie zakończone rokowania w sprawie przymierza francusko-hiszpańskiego. Poleciał więc sporządzić odpis listu papieskiego, który posłał z uprzejmym pozdrowieniem Manuelowi, donosząc mu jednocześnie, że oryginał pisma skieruje po upływie trzech tygodni na ręce adresata.

Manuel ucieszył się koleżeńską przysługą, którą mu wyświadczył generał Bonaparte. Odbył naradę z Miguelem. Ten triumfował w duchu. Lorenzana był nie tylko jego politycznym przeciwnikiem; Miguel nienawdził Wielkiego Inkwizytora. Lorenzana był bowiem tym, który spowodował wyjazd opata z kraju, a wraz z nim jego Lucii; Lorenzana był tym, który złamał mu życie. Dziś miał tego podstępного wroga w ręku.

Z dokumentów — wywodził Miguel — wynika jasno, że Lorenzana i obaj jego biskupi nadużyli swego świętego urzędu, by narzucić Katolickiemu Królowi własną politykę, wrogą interesom Hiszpanii. Poza plecami króla knuli intrygę z obcym mocarstwem, które prowadzi wojnę z republiką zaprzyjaźnioną z Hiszpanią. Don Manuel powinien wszystkich trzech ująć, uwięzić i pod zarzutem zdrady stanu oddać w ręce Najwyższej Rady Kastylii.

Ale don Manuel nie zdobył się na tyle odwagi, by zastosować energiczne środki. Odpowiedział, że musi to starannie rozważyć, że ma przecież jeszcze trzy tygodnie czasu.

Upłynęło kilka dni, tydzień — don Manuel zwlekał. Mając w ręku zdradzieckie pismo, czuł się zupełnie bezpieczny; najwidoczniej brakło mu ochoty do podjęcia ataku.

Spokojny Miguel nie mógł opanować swego zniechęcenia. Żalił się przed swym przyjacielem, Goyą. Oto nadarza się cudowna wprost sposobność, aby pozbyć się tej niebezpiecznej bestii, Lorenzany, uniezależnić Kościół hiszpański od Rzymu, zadać inkwizycji cios śmiertelny. I wszystko rozbija się o brak stanowczości Manuela. Nie korzystając ze sposobności pozbycia się swego śmiertelnego wroga, Manuel działa przy tym na własną szkodę. Jest on po prostu za leniwy, aby wszcząć walkę, i utwierdzany w tym mniemaniu przez Pepe, uważa swoją gnuśną cierpliwość za tradycyjną, starohiszpańską wspaniałomyślność.

Miguel, smutny, rozgoryczony, wylewał przed Franciskiem gniew i żal, który się w nim nagromadził. Ten miły i dobroduszny don Manuel, mówił, jest w gruncie rzeczy niebывale uparty; jest miękki i zacięty zarazem, niby jakaś leniwa, bierna masa, którą trudno ruszyć z miejsca. W dodatku jest niezmiernie próżny. Każdą propozycję, którą mu się przedstawia, trzeba osładzać pochlebstwami. Życie jego, Miguela, jest codzienną kapitulacją, codziennym upokarzającym schyleniem głowy przed zarozumiałstwem i despotyzmem pierwszego ministra.

— Czuję wstręt do tych wiecznych kompromisów — wybuchnął. — Do tych okrężnych ścieżek, po których muszę kluczyć, aby choć o jeden krok zbliżyć się do celu. Zmęczyłem się już tym wszystkim i postarzałem przedwcześnie. A jeśli tym razem znowu mi się nie powiedzie — kończył — jeśli Manuel nie przepędzi Lorenzany do wszystkich diabłów, rzucę to wszystko. Zrezygnuję z polityki i zagrzebię się w swoich obrazach i książkach.

Nigdy jeszcze nie widział Goya spokojnego i zrównoważonego Miguela w stanie takiego przygnębienia. Zastanawiał się, jakby mu pomóc. I przyszło mu coś na myśl.

Malował wówczas ostatni z zamówionych przez Księcia de la Paz portretów. Don Manuel bywał w czasie pozowania rozmowny i wylewny. Manuel opowie mu pewnie w swój zblazowany, ironiczny sposób o spisku uknutym przez Wielkiego Inkwizytora i o tym, jak spisek spalił na panewce. A wtedy Francisco podsunie mu swoją myśl.

Manuel w istocie opowiedział mu o planowanym przez Lorenzanę zamachu i o zabawnych a zaszczytnych okolicznościach, w jakich plan ten doszedł do jego wiadomości. Śmiał się przy tym i udawał, że całą tę niebezpieczną intrygę traktuje z lekceważeniem i humorem.

Goya podchwycił ten żartobliwy ton.

— Myślę, że człowiek taki jak pan odpowie z humorem na kiepski żart Wielkiego Inkwizytora.

Manuel stał w swej pozie, wyprężony, w galowym uniformie błyszczącym od wstęg i orderów. Z głową wysoko podniesioną spytał:

— Jak pan to rozumie, Francisco?

Goya nie przerywając pracy odpowiedział powoli, ze spokojem:

— Ojciec święty znalazł się teraz za sprawą generała Bonaparte w nader krytycznym położeniu. Czy dwór hiszpański nie mógłby posłać mu pocieszycieli? Na przykład Wielkiego Inkwizytora i obu jego biskupów?

Don Manuel zastanawiał się przez chwilę, po czym wypadając ze swej pozy, uderzył malarza po ramieniu.

— Wiesz, Francho, że z ciebie figlarz nie lada — zawołał. — Miewasz świetne pomysły. — I z hałaśliwą szczerością mówił dalej: — Z nas jest para przyjaciół, wiedziałem o tym od pierwszej chwili. Dobraliśmy się. Pomagamy sobie wzajemnie. Tamci, inni, to tylko grandowie. Potrafią od biedy przespać się z kobietą; ale zdobyć kobietę i ugnieść ją tak, jak się ją pragnie mieć, to tylko my potrafimy. I dlatego obaj mamy takie szczęście. Bo szczęście to też tylko kobieta.

Teraz Manuel pewny był już swej sprawy. Udał się w dobrym humorze do Carlosa i Marii Luizy i na podstawie otrzymanego pisma odkrył przed nimi machinację zdradzieckich klechów.

Carlos potrząsnął głową.

— Lorenzana nie powinien był właściwie tego zrobić — rzekł. — Jeżeli chciał się uzalić na ciebie, Manuelu, powinien był zwrócić się do mnie, a nie do papieża. I to za moimi plecami. Masz zupełną rację. To wprost nieprzyzwoitość, to zdrada stanu. Tego naprawdę nie powinien był uczynić.

Ale oczy doni Marii Luizy miały złe błyski i Manuel widział, że rada jest, iż nadarza się jej sposobność zapłacić Wielkiemu Inkwizytorowi za ów paszkwil.

— Wyobrażam to sobie w ten sposób — rzekł Manuel. —

{ 200 }

Wyślemy go wraz z obu jego biskupami do ojca świętego, który w obecnych swych tarapatach potrzebuje rady i pociechy.

Król nie od razu zrozumiał. Ale Maria Luiza uśmiechnęła się.

— Świetnie — rzekła i zwróciła się do Manuela: — Czy to twój pomysł, Manuelu, czy twego seniora Bermudeza?

— Przysięgam na Świętą Dziewicę — odpowiedział Manuel z oburzeniem — że nie jest to pomysł don Miguela.

Zawiadomiono Lorenzanę i obu jego biskupów, że z polecenia króla mają udać się do ojca świętego. Ponieważ Bonaparte zamierza przekształcić Państwo Kościelne w republikę, zaofiarują oni papieżowi wyspę Majorkę jako schronienie, oraz, jakkolwiekby wypadła jego decyzja, dotrzymywać mu będą towarzystwa w ciągu następnych lat, będą mu podporą i pociechą.

Gdy kardynał i Wielki Inkwizytor Lorenzana przed swym wyjazdem na wygnanie do Rzymu przybył pożegnać ich królewskie mości, rzekła do niego królowa tonem niezwykle ugrzeczonym:

— Wasza przewielebność zechce zapewnić ojca świętego o mojej głębokiej czci. I niech wasza przewielebność podczas podróży do Rzymu rozważy, czy człowiek, który spotwarza nikczemnie małżonkę swego króla, jak wasza przewielebność to uczynił, nie jest współwinny temu, że dziki duch buntu podnosi dziś głowę w całej Europie. A zatem z Bogiem, wasza przewielebność. Szczęśliwej drogi!

#### XIV

Związek z Cayetaną dawał Franciscowi z początku poczucie zaspokojenia i równowagi, jakiego nigdy dotąd nie doświadczał. Później jednak mimo zaspokojenia pragnień, mimo użycia i rozkoszy zaczął go coraz częściej ogarniać niepokój. Był wprawdzie przekonany, że Alba go kocha, ale nieobliczalność jej nie pozwalała mu zaznać spokoju. Nigdy nie można było przewidzieć, jak Cayetana przyjmie jakieś zdarzenie, człowieka czy obraz; czasem uważała za ważne to, co jemu wydawało się błahe i niedorzeczne; innym razem okazywała chłodną obojętność dla ludzi lub wypadków, które jego poruszały do głębi.

Szukał ucieczki w pracy. Otrzymywał teraz dużo zamówień, robota szła mu składnie, klienci byli zadowoleni, pieniądze wpływały.

Namalował hrabinę de Montijo z czterema córkami. Obraz wypadł sztywno. Tak malował przed piętnastu laty. Agustin nie mógł powstrzymać się od uwagi:

— Kiedy malujesz sceny ludowe, *majów* i *maje*, kompozycja twoja jest naturalna, ale gdy się bierzesz do rodzin z arystokracji, stajesz się sztywny jak drewno.

Francisco wysunął groźnie dolną wargę. Ale potem roześmiał się:

— Nareszcie słyszę znowu mojego starego Agustina — rzekł. Zamazał obraz dwiema grubymi smugami farby i zaczął malować od nowa.

Księżna de Osuna zamówiła u Goyi dla swej rezydencji w Alameda parę obrazów o treści fantastycznej. Osuna była jego dawną przyjaciółką, dawała mu zamówienia i polecała go innym wówczas, kiedy nikt go jeszcze nie znał; zgodził się więc, chociaż był przeciążony pracą. Cayetana rzekła tonem niechętnym i zdziwionym:

— Okazuje się, że umie pan być wiernym przyjacielem, don Francisco.

Goya namalował dla Osuny sceny z czarownicami i czarami. Była tam kuchnia czarownic, w której jednego z adeptów przemieniano właśnie w zwierzę: miał już głowę i ogon psa. Były też czarownice fruujące, tańczące, obnażone do połowy, w spiczastych kapeluszach na głowie, a pod nimi tłum zawołowanych postaci drepcących po omacku. Trzeci obraz przedstawiał diabła w postaci olbrzymiego kozła stojącego na tylnych nogach, z potężnymi rogami, otoczonego gromadką czarownic, które oddają mu cześć. Wszystko to było lekkie i rozważne, fantastyczne i podniecające. Agustin obejrzał obraz.

— To jest zrobione po wirtuozowsku — rzekł.

— Ale? — spytał Goya.

— Dawniej — odparł Agustin, ostrożnie dobierając słów — ilekroć znalazłeś coś nowego, wkrótce zaczynało cię to nudzić i znowu szukałeś czegoś innego, dla każdego nowego pomysłu — nowego sposobu malowania. Te rzeczy — wskazał lekceważącym gestem na sceny z czarownicami — to właściwie to samo, co obrazy z inkwizycją, tylko brak im treści, są puste.

— Dziękuję — rzekł Francisco.

Potem przyszła Alba.

— Ładne — powiedziała oglądając obrazy — ale nie żal mi, że dostają się Osunie.

Goya był zły.

— Uważasz, że te obrazy nie są dobre? — spytał.

Odpowiedziała mu pytaniem:

— Czy wierzysz w czarownice?

— Pytałaś mnie już kiedyś o to — odparł z niechęcią.

— Wtedy odpowiedziałeś, że tak — rzekła — i dlatego uważam, że te obrazy są ładne.

Słowa jej ucieszyły i rozgniewały go zarazem. Często rozumiała to, co namalował, głębiej niż ktokolwiek inny, innym razem odwracała się z obojętną miną od obrazu, który jego zdaniem powinien był obudzić w niej oddźwięk. Kiedy mówiła „tak”, mówiła to natychmiast i bez zastrzeżeń; gdy pozostawała obojętna, było to nieodwołalne. Niekiedy, wbrew swym zwyczajom, próbował jej tłumaczyć, dlaczego zrobił coś w taki, a nie w inny sposób, ale słuchała go nieuważnie, widocznie znudzona, zaniechał więc tego.

Przestał też malować jej portrety. Podobały się one wprawdzie Albie i cieszyły się ogólnym uznaniem, ale on sam nie był z nich zadowolony. Uważał, że nie oddają pełnej prawdy, a więc nie oddają jej wcale. Nalegała na niego, by namalował ją jako *maję*, prawdziwą *maję*, nie tylko przebraną. Ale nie widział w niej *maji* i nie chciał jej tak malować.

Podobna była do *maji* w tym, że afiszowała się beztrąsko swą przyjaźnią dla niego. Pokazywała się wszędzie w jego towarzystwie: w teatrach, na walkach byków, na promenadzie w Prado. Zrazu był z tego dumny, potem jednak zaczęło mu sprawiać przykrość, że uczucie jego staje się widowiskiem dla całego świata; obawiał się także, by nie pociągnęło to za sobą jakichś nieprzyjemności. Ona jednak, kiedy robił najłżejszą o tym wzmiankę, podnosiła brwi wyżej jeszcze niż zwykle. Była Albą: obmowa nie mogła jej osiągnąć.

Goya bywał zapraszany na wszystkie przyjęcia, które odbywały się w pałacu księcia i starej markizy de Villabranca. Książę i stara markiza nie zdradzili nawet drgnieniem twarzy, że domyślają się jego stosunków z Cayetaną. Książę był Franciscowi obcy. Goya czuł dla niego coś w rodzaju lekceważącego politowania. Ale kiedy widział, jak twarz księcia ożywiała się, gdy chodziło o muzykę, wzruszało go to i imponowało mu; grandowie nie potrafili przeważnie zdobyć się na nic innego prócz pychy.

Dla starej markizy Goya czuł szacunek i sympatię. Ta kobieta znała się na ludziach. „*Elle est chalayante*” — powiedziała o Cayetanie, a on miał wiele sposobności przekonać się, jak trafne było to określenie. Porozmawiałby z nią chętnie bliżej o Cayetanie, ale mimo



naturalnego i miłego sposobu bycia wydawała mu się tak wielką damą, że brakło mu odwagi.

Z ludzi, którzy stale otaczali Cayetanę, drażnił go najbardziej doktor Joaquin Peral. Irytował go piękny ekwipaż, którym doktor jeździł po mieście; irytowała go owa pewność siebie znawcy, z którą człowiek ten mówił o wszystkich sprawach świata, o muzyce księcia i o jego, Goyi, obrazach. Przede wszystkim jednak gniewało go to, że on, Francisco, który tak szybko przenikał stosunki między ludźmi, nie mógł zrozumieć, jakiej natury był stosunek łączący Cayetanę z jej lekarzem. Uprzejma, opanowana twarz lekarza zdradzała równie mało jak ironiczna poufałość Cayetany. Doszło do tego, że sama obecność lekarza przyprawiała Francisca o irytację. Ilekroć spotykał don Joaquina, całą siłą woli nakazywał sobie spokój, ale już w następnej chwili wyrывał się z jakimś nedorzecznym i gburowatym powiedzeniem, które obecni przyjmowali ze zdumieniem, sam zaś Peral z miłym, pobłażliwym uśmiechem.

Ponieważ doktor nie mógł znaleźć odpowiedniego pomieszczenia dla swej kolekcji obrazów, zebranej za granicą, księżna oddała w końcu do jego dyspozycji dwie sale w swym olbrzymim Palacio Liria, po czym zaprosiła swoich i jego przyjaciół, by przyszli obejrzeć zbiory Perala.

Wisiały tam obok siebie malowidła bardzo różnorodne: obrazy mistrzów flamandzkich i niemieckich, płótna starych i mało znanych malarzy włoskich, jeden Greco <sup>1/</sup>, jeden Mengs, jeden David, a także ów Goya, który doktorowi darowała Cayetana. Ale w tej różnorodności wyczuwało się jednolitą myśl przewodnią: wybitny choć może nieco kapryśny smak znawcy sztuki.

— Nie udało mi się niestety zdobyć Rafaela — skarżył się doktor Cayetanie i innym gościom. — Potomni będą być może uważali, że go przeceniamy, ale ja przyznam, że oddałbym bez wahania każde z malowideł, które tu wiszą, za obraz Rafaela. Widzę, że pan się z tym nie zgadza, don Francisco — zwrócił się przyjaźnie do Goyi — i ma pan z pewnością słusność, ale proszę nam wyjaśnić swoje racje.

— Byłoby to dla mnie bardzo kłopotliwe, don Joaquinie, gdybym chciał panu wyklądać swoje racje — odparł Francisco

1/ El Greco (ok. 1541—1613) — właściwe nazwisko Domenico Theotocopuli. Wielki malarz pochodzenia greckiego, działający w Hiszpanii w Toledo. Sztuka jego łączy ideały kontrreformacji z kolorystycznym mistrzostwem weneckich malarzy, u których El Greco się uczył.

gburowato. — I równie bezcelowe, jak gdyby pan próbował tłumaczyć mi swoje poglądy na medycynę.

Doktor Peral, nie zmieniając uprzejmego wyrazu twarzy, nawiązał rozmowę z kimś innym na inny temat.

Również i z ust Cayetany nie zniknął uśmiech, ale postanowiła nie puścić Franciscowi tego grubiaństwa płazem. Gdy wieczorem jak zwykle zaczął się bal, kazała zagrać menueta, taniec wychodzący już wówczas z mody, i wybrała Goyę na swego partnera. Goya, który był krępej postawy, zdawał sobie sprawę, że w tańcu wymagającym zwinności i gracji będzie wyglądał śmiesznie w swym opiętym galowym stroju. Nie chciał służyć Albie za pajaca, za *pelele*. Mruknął coś pod nosem. Ale Alba spojrzała na niego. Tańczył zły i zacięty. Wrócił do domu wściekły.

W połowie lipca dwór udawał się zwykle do zamku San Ildefonso, aby tam w świeżym, górskim powietrzu spędzić gorące miesiące letnie. Cayetana, jako pierwsza dama królowej, obowiązana była również wyjechać i Francisco z lękiem myślał o długim, samotnym lecie w Madrycie. Ale pewnego dnia Alba oświadczyła mu:

— Don Jose jest w tym roku zbyt cierpiący, by mógł być podczas gorących miesięcy u dworu. Prosiłam o urlop, gdyż chciałabym spędzić z nim lato w naszej wiejskiej posiadłości Piedrahita. Pana, don Francisco, prosimy, byś zechciał gościć przez ten czas u nas w Piedrahita. Będzie pan mógł malować do woli don Josego, donię Marię Antonię, a może i mnie raczy pan sportretować. Czasu nam nie zabraknie; będziemy panu mogli pozować, ile pan tylko zechce.

Francisco rozpromienił się. Wiedział, że Cayetana ponosi dla niego ofiarę, gdyż pomimo swej antypatii do królowej wołała życie dworskie od długich i nudnych miesięcy letnich na wsi.

Następnego dnia donia Maria Luiza kazała Albie zostać po *lever*. Powiedziała, że życzy jej serdecznie, aby pobyt w Piedrahita posłużył don Josemu. Cieszy się, że donia Cayetana postanowiła dotrzymać w lecie towarzystwa swemu małżonkowi.

— W ten sposób — kończyła uprzejmie — i dwór, i miasto będą miały mniej sposobności do rozsiewania plotek o jednej z pierwszych dam w kraju.

Alba odpowiedziała słodko, lecz bezczelnie.

— Zupełna racja, madame, bardzo jest trudno na tym dworze ustrzec się od plotek. Dziwię się nieustannie, dowiadując się, z kim plotkarze mnie łączą. Raz jest to hrabia de Teba, innym razem

don Agustin Lancaster, kiedy indziej znów hrabia de Fuentes lub książę de Trastamara, a mogłabym jeszcze wyliczyć cały tuzin innych.

Byli to wszystko panowie uchodzący za kochanków królowej. Donia Maria Luiza odpowiedziała tym samym miłym uprzejmym tonem:

— Donio Cayetano, i panią, i mnie bierze czasem chęć, aby odrzucić na bok ceremoniał i zabawić się w *maję*. Pani może sobie na to pozwolić, ponieważ jesteś młoda i niebrzydka, ja zaś dzięki temu, że jestem z bożej łaski królową. Trudniej mi to zresztą przychodzi niż pani, ponieważ moja młodość minęła i wielu mężczyznom już się nie podobam. Brak ten staram się wyrównać rozumem i sztuką. Jak pani wiadomo, musiałam w miejsce kilku własnych zębów kazać wstawić sobie zęby diamentowe, aby móc tym lepiej chwytać i trzymać — przerwała na chwilę i zakończyła z uśmiechem — kiedy zależy mi na schwytności.

Alba uśmiechnęła się również; ale był to ten sam sztywny uśmiech, który miały na ustach przebrane *maje* na gobelinach. Słowa tej Włoszki brzmiały jak pogrożka.

— W Piedrahita — mówiła Alba — będziemy mieli niewiele towarzystwa. Prosiłiśmy tylko malarza Goyę, by nas tam odwiedził. Twierdzi bowiem — kończyła z humorem — że nigdy nie może skończyć moich portretów.

— Widzę — odpowiedziała donia Maria Luiza — że kocha pani sztukę i daje swemu malarzowi sposobność, by mógł panią studiować. — Po czym dodała głosem słodkim i ściszym: — A więc niech się pani postara, księżno, aby nie dawać powodu do plotek — Czy to rozkaz i ostrzeżenie królowej? — spytała Cayetana z lekkim uśmiechem, ale patrząc jej prosto w oczy. Tamta zaś, wciąż miła i uprzejma, odparła:

— Niech pani to przyjmie tymczasem jako macierzyńską radę starszej przyjaciółki.

Cayetana poczuła lekki dreszczyk. Ale kiedy pomyślała o tygodniach, które ją czekają, o tygodniach, które ma spędzić na wsi z Franciskiem, strząsnęła z siebie, niby krople deszczu, ciche, jadowite słowa królowej.

Gdy dwór przeniósł się do letniej rezydencji pod San Ildefonso, donia Pepa Tudó również uznała, że pobyt w gorącym Madrycie nie służy jej zdrowiu. Don Manuel nie omieszkiał zaprosić jej do San Ildefonso.

Zamieszkała w miasteczku, w *posada* de Embajadores, i spędzała tam upalne tygodnie, nudząc się przyjemnie w towarzystwie swej dueni Conchity. Grywała z nią w karty, uczyła się po francusku albo brząkała na gitarze. Don Manuel uzyskał dla niej prawo wstępu w pewnych porach do ogrodów zamkowych. Przesiadywała tam całymi godzinami koło słynnych wodotrysków, czy to pod „fontanną Famy”, czy pod „Dianą w kąpielni”, czy pod „fontanną wiatrów”, przysłuchując się pluskowi wody; nuciła swoje romances i leniwie snuła przyjemne, smętne wspomnienia o swym młodym, na dnie morza spoczywającym małżonku albo o swym malarzu, Franciscu.

Wspólnie z Manuelem odbywała wycieczki w głąb wspaniałych górskich lasów otaczających zamek; drogi utrzymywano starannie, gdyż były to królewskie tereny łowieckie. Jeździli konno do doliny Lozoya albo w lasy Valsain; Pepa nauczyła się w Madrycie jazdy konnej.

Manuel opowiadał czasem o Goyi i jego pobycie u księstwa Alba; robił przy tym sprośne żarty o związku Francisca, tego byka, z drobną, filigranową donią Cayetaną. Pepa słuchała spokojnie, ale uważnie, nie odpowiadając ani słowem. Manuel mówił dość często o Piedrahita. Sprawiało mu to niemałą satysfakcję, że ów zarozumiały książę, który nie chciał odpowiedzieć mu „ty”, stał się teraz pośmiewiskiem wszystkich, i to za sprawą Francisca. Rad był także z tego, że malarz, opanowany namiętnością do księżny, nie myśli już więcej o Pepie. Z drugiej strony nie pojmował, co mężczyzna, który miał możność cieszyć się miłością Pepy, znajduje w Cayetanie. Czuł odrazę do tej skomplikowanej, nienaturalnej, afektowanej lalki. Pewnego razu — ale tego nie opowiedział Pepie — kiedy przy *lever* królowej spytał Albę tonem żartobliwie poufałym: „A co robi dziś nasz przyjaciel Francisco?”, udała, że nie słyszy, z tą samą uprzejmą miną, z jaką książę udał, że nie słyszy jego „ty”.

Pewnego dnia, podczas przejażdżki konnej do ruin starego zameczku myśliwskiego Valsain, Manuel począł znów dowcipkować na temat Goyi, który dotychczas siedzi w Piedrahita i ciągle jeszcze nie ma dosyć swojej Alby. I tym razem Pepa nic na to nie odpowiedziała. Ale nieco później sama nieoczekiwanie powróciła do

tej rozmowy. Zsiedli oboje z koni, rozłożyli się na ziemi, chłopak stajenny przygotował im śniadanie. Podczas jedzenia odezwała się nagle ni stąd, ni zowąd:

— Właściwie Francisco powinien namalować mnie na koniu.

Don Manuel podnosił właśnie do ust kawałek pasztetu z zająca. Ręka mu opadła. Pepa nie była zbyt wprawną amazonką, ale wyglądała na koniu prześlicznie, trzeba było przyznać. Nic dziwnego, że chciała dać się namalować w kostiumie do jazdy konnej, jednakże jazda konna uchodziła do niedawna za wyłączny przywilej grandów; nie było wprawdzie wyraźnego zakazu zabraniającego osobom nie należącym do arystokracji portretować się na koniu, ale do tej pory nie stworzono takiego precedensu; byłoby to więc co najmniej czymś niezwykłym. Co powie królowa i cały świat, jeśli pierwszy minister każe malować młodą wdowę Tudó na koniu?

— Don Francisco — rzekł z wahaniem — bawi teraz u Alby W Piedrahita, na wakacjach.

Pepa odparła z lekkim zdziwieniem:

— Na życzenie pana, don Manuelu, Francisco zgodziłby się chyba spędzić resztę swoich wakacji w San Ildefonso zamiast w Piedrahita.

— *Vous avez toujours des idées surprenantes, ma chérie!*<sup>1</sup> — rzekł don Manuel.

Odpowiedziała mu swą niewprawną francuszczyzną, również pytaniem:

— *Alors, viendra-t-il?*<sup>2</sup>

— *Naturellement* — odpowiedział — *comme vous le desirez.*<sup>3</sup>

— *Muchas gracias*<sup>4</sup> — rzekła Pepa.

Im dłużej Manuel zastanawiał się nad jej życzeniem, tym zabawniejszą wydawała mu się myśl, że odbierze malarza tym zarozumiałym Albom. Ale znając Francha wiedział, że może on pod byle jakim pozorem wykręcić się od przyjazdu; chcąc go tu ściągnąć, musi wybrać jakiś bardzo skuteczny sposób zaproszenia.

Poprosił tedy Marię Luizę, by korzystając z wolnego czasu w San Ildefonso, kazała się sportretować dla niego, i to przez Goyę, on, Manuel, zamówi u niego również swój portret dla królowej. Myśl popsucia Albie wiejskiej sielanki przypadła doni Marii Luizie do

<sup>1</sup> Pani ma zawsze zdumiewające pomysły, (fr.)

<sup>2</sup> A więc przyjedzie? (fr.)

<sup>3</sup> Oczywiście, skoro pani sobie tego życzy. (fr.)

<sup>4</sup> Dziękuję bardzo.

gustu. Uznała, że to niezły pomysł, i poleciła Manuelowi wezwać Goyę; przypuszcza, że znajdzie czas, aby mu pozować do portretu.

Chcąc nadać temu wezwaniu większy nacisk Principe de la Paz wyprawił do Piedrahita specjalnego kuriera.

Francisco przeżywał tam spokojne, szczęśliwe tygodnie. Obecność cichego, wytwornego księcia zmuszała wprawdzie jego i Cayetanę do powściągliwości, ale don Jose i stara markiza uważali widocznie Cayetanę za urocze, rozkapryśzone dziecko, którego zachcianki, choćby i swawolne, przyjmowali z łagodną wyrozumiałością; Francisco i Cayetana przebywali z sobą, ilekroć tego pragnęli.

Dwa lub trzy razy na tydzień księżę grał. Markiza słuchała go zawsze z uwagą i podziwem, ale widoczne było, że czyni to jedynie z miłości dla syna. Francisco i Cayetana znajdowali upodobanie tylko w ludowych pieśniach i tańcach, w *tonadillas* i *seguidillas*, utwory grywane przez księcia wydawały im się zbyt wyszukane. Jedynym, który je rozumiał, był doktor Peral.

Don Jose poprosił Francisca, by go namalował. Francisco uczynił zadość temu życzeniu, zrazu nie bez oporu, później z rosnącym zainteresowaniem, na koniec z zapalem. Powstał portret bardzo wytwornego, nieco melancholijnego pana o pięknych, dużych, myślących oczach; patrząc na obraz wierzyło się w namiętność księcia do klawicymbału i nut.

Goya malował także portret markizy, przy czym poznawał ją coraz lepiej. Była tą wielką damą, którą widział w niej od początku, zawsze jednakowo pogodną i uprzejmą, ale teraz zauważył lekki rys melancholii na jej nie zniszczonej jeszcze, dość świeżej twarzy. Z pewnością rozumiała i wybaczała tryb życia swej synowej; jednakże donia Maria Antonia, wdowa po dziesiątym markizie de Villabranca, dbała wielce o godność swego rodu, i Goyi wydawało się nieraz, że wyczuwa w jej słowach ledwie uchwytną troskę, aby namiętność Cayetany nie stała się głębsza i niebezpieczniejsza, niżby wypadało. Zdawało mu się czasem, że słowa jej brzmią jak przestroga, i praca nad portretem posuwała się mniej żwawo, niż się tego spodziewał.

Wreszcie jednak portret był gotowy i Goya uważał, że ta twarz żywa, delikatna, jasna, te bladoniebieskie wstążki i róża, którą dodał markizie, stwarzają pogodną całość. Markiza jednak, stanąwszy przed portretem, rzekła z uśmiechem:

— Zrobił pan ze mnie zgryźliwą, starzejącą się kobietę, don Francisco. Nie wiedziałam nawet, że tak wyraźnie noszę na sobie to piętno. Ale obraz — zakończyła z ożywieniem — jest cudowny i jeśli

( 209 )

będzie pan miał trochę czasu dla dam w moim wieku, to musi mnie pan raz jeszcze namalować.

Cayetana była stale w dobrym, niemal dziecinnie pogodnym nastroju. Goyi oddano do dyspozycji niewielką oficynę, tak zwane *casino*<sup>1</sup> lub *palacete*<sup>2</sup>, gdzie zamieszkał sam. Tam spotykała się z nim codziennie Cayetana. Przychodziła zazwyczaj przed zmrokiem, gdy powietrze było już chłodniejsze. Towarzyszyła jej donia Eufemia, zawsze pełna godności, przez całe lato czarno ubrana; czasem przyprowadzała ze sobą małą Murzyneczkę Marię Luz i pazia Julio, prawie zawsze też towarzyszyły jej dwa lub trzy koty. Miała naturalny, niemal dziecinnie sposób bycia. Przynosiła niekiedy gitarę i

prosiła, by Francisco śpiewał jej *seguidillas* i *sainetes*, które kiedyś razem słyszeli. Nieraz na ich prośbę stara duenia opowiadała o czarownicach. Cayetana uważała, że Francisco ma zadatki na czarnoksiężnika, i namawiała go, by wstąpił na naukę do jakiejś znanej czarownicy. Ale donia Eufemia odmawiała mu tych zdolności, ponieważ nie miał przyrośniętych uszu. Ludzie o dobrze wykształconych koniuszkach uszu — mówiła — powinni unikać prób czarnoksiężskich; zdarzały się wypadki, że tacy uczniowie zatrzymywali się w połowie jakiejś przemiany i potem ginęli marnie. Pewnego razu odwiedziła Cayetanę zmarła pokojówka, Brygida. Nieboszczka przepowiedziała jej, że związek z nadwornym malarzem będzie trwał długo i zostanie zerwany dopiero po wielu nieporozumieniach, po długim okresie miłości i cierpień. Na nalegania Cayetany Goya próbował ją znów malować. Malował powoli; Cayetana niecierpliwiła się.

— Nie jestem „pośpiesznym Łukaszem” — powiedział raz zgryźliwie. Było to przezwisko malarza Luca Giordano <sup>3</sup>, który wykonał wiele obrazów dla Karola II, był wysoce ceniony, drogo opłacany i znany z szybkiej pracy.

Ale mimo starań i tym razem nie udało się Franciscowi portret Cayetany.

— To dlatego — oświadczyła półżartem — że nie chcesz uznać, iż spośród dam madryckich tylko ja jedna jestem prawdziwą *maja*.

To, że nie udało mu się portret Cayetany, było zresztą jedyną przykrością, której doznał w Piedrahita. Poza tym wszystko było radością i pogodą.

<sup>1</sup> Casino — domek.

<sup>2</sup> Palacete — pałacyk.

<sup>3</sup> Giordano Luca (1632—1705) malarz neapolitański.

Wśród tego spokoju i radości zjawił się pewnego dnia kurier w czerwonych pończochach z listem od Principe de la Paz, zapraszającym Goyę do San Ildefonso.

Uczuł dumę, ale i przestach zarazem. Wiedział, że rezydencja letnia pod San Ildefonso, w górach Segowii, służyła królom hiszpańskim wyłącznie jako miejsce odpoczynku i wytchnienia; zajmowali się tam mniej gorliwie sprawami rządowymi i upraszczali też uciążliwy ceremoniał dworski; ich królewskie mości przyjmowały tam jedynie grandów pierwszego rzędu i zaufanych przyjaciół. Zaproszenie na zamek letni w San Ildefonso było więc dużym wyróżnieniem. Goya jednak, mimo zadowolenia, poczuł się nieswojo. Tygodnie spędzone w Piedrahita były najpiękniejszym jego przeżyciem, nic im nie mogło dorównać. Co powie Cayetana, jeśli ją teraz opuści?

Pokazał jej list. Zrobiłaby swej nieprzyjaciółce zbyt wielki zaszczyt, gdyby mu powtórzyła jej złośliwe pogrózki. I w tej chwili również nie uczyniła tego, opanowała się.

— Musi pan uzasadnić swoją odmowę uprzejmie i ostrożnie, Francho — rzekła spokojnie. — Ta Włoszka jest niewątpliwie przekonana, że znalazła bardzo dowcipny i elegancki sposób, aby zepsuć lato mnie i panu. Pozielenieje z wściekłości, gdy otrzyma pańską odmowę.

Goya patrzył na nią jak osłupiały. Nie przyszło mu nawet na myśl, że pobudką tego listu mogła być nie jego sztuka, lecz chęć Marii Luizy dokuczenia swej przeciwniczce. Przeczul rzeczywisty powód: zaproszenie było sprawką Pepy.

Tymczasem Cayetana swymi delikatnymi, ostro zakończonymi, a jednak pulchnymi palcami dziecka powoli, jak gdyby bawiąc się, darła list don Manuela na strzępy. Goya przypatrywał się tej czynności, nie zdając sobie sprawy z ruchów Cayetany, ale wpatrywał się tak przenikliwie, że obraz ten na zawsze utkwiał w jego pamięci.

— Jestem malarzem nadwornym — rzekł niepewnym głosem — ten list powołuje się na królową.

— List, o ile zauważyłam, nie pochodzi od królowej — odpowiedziała Alba. I swym dziecinnym, cichym, ale twardym głosem zakończyła: — Czy musi pan tańczyć, jak Manuel Godoy panu zagra?

Goya był bezradny i wściekły. Czy Alba nie rozumie, że on dotąd jeszcze nie został mianowany pierwszym malarzem króla? Że zależy od łaski doni Marii Luizy? Jednakże powinien i to wziąć



pod uwagę, że Cayetana tylko dla niego siedzi tu, w tym nudnym Piedrahita; będzie obrażona i rozgoryczona, jeżeli ją teraz opuści.

— Mógłbym odłożyć wyjazd o dwa lub trzy dni, może nawet o cztery lub pięć — powiedział ociągając się. — Mógłbym usprawiedliwić się tym, że kończę tu jakiś portret.

— To bardzo uprzejmie z pana strony, don Francisco — odparła Cayetana z tą okrutną grzecznością, jaką tylko ona umiała zaprawić swe słowa. — Proszę powiedzieć majordomowi, na kiedy ma przygotować powóz.

W pamięci jego ożyła w tej chwili cała udręka owej nocy, kiedy to dla niej czekał na zmyśloną wiadomość o chorobie swej córki Eleny.

— Niechże pani zrozumie — wybuchnął — nie jestem grandem. Jestem tylko malarzem, zwyczajnym malarzem, który zależny jest od zamówień doni Marii Luizy! A także — dodał patrząc na nią ponuro — od zamówień don Manuela.

Nie odpowiedziała, ale bardziej, niż mogłyby to sprawić słowa, rozdrażnił go ledwie dostrzegalny wyraz wzgardy i dumy na jej twarzy.

— Nie zależy ci na moim powodzeniu — wściekał się. — Nie zależy ci nic na mojej sztuce. Zależy ci tylko na własnej przyjemności !

Odeszła bez pośpiechu drobnym, stanowczym, lekkim krokiem.

Goya pożegnał się z markizą i z don Josem.

Przewyciężając wewnętrzny opór, udał się też do Cayetany, by ją pożegnać. Ale duenia zatrzymała go, mówiąc sucho, że jej wysokość jest zajęta.

— Kiedy będę mógł ją zobaczyć? — spytał Francisco.

— Jej wysokość będzie przez cały dzień zajęta, i dziś, i jutro — odpowiedziała obojętnie i grzecznie donia Eufemia.

## XVI

W XVI stuleciu istniały dwa główne typy uosabiające charakterystyczne cechy hiszpańskie. Byli to: rycerz, grand, oraz *picaro*, oberwaniec, pozbawiony wszelkich praw i przywilejów, który w nieustannej podziemnej walce ze wszystkimi utrzymywał się przy życiu sprytem, oszustwem, przytomnością umysłu. Lud i jego poeci

wielbili i sławili bohatera i rycerza, ale nie mniej niż granda sławili a bardziej jeszcze kochali *picara* i *picarę*, ową hołotę z niższych klas społecznych, chytrą, nieustraszoną, zawsze pełną humoru i niespożytej siły żywotnej. *Picaro* był dla ludu na równi z grandem symbolem Hiszpanii, uzupełniali się oni wzajemnie, a wielcy poeci stworzyli nieśmiertelne postacie *picarów*, Guzmána i Lazarillo, łobuzów i oberwańców; opisywali ich nędzę, ich soczysty, żadną moralnością nie skażony materializm i zdrowy, przyziemny rozum — podobnie jak uwiecznili przedstawicieli świata rycerskiego, Cyda i Don Kiszota.

W XVIII stuleciu *picaro* i *picara* zamienili się w *maja* i w *maje*.

Ich pojęcia i obyczaje, tak zwany majizm, stanowiły nieodzowną część składową ówczesnej Hiszpanii, tak samo jak monarchia absolutna i inkwizycja.

*Majów* można było spotkać we wszystkich większych miastach. Główną jednak ich siedzibą pozostał Madryt, a ściślej mówiąc, jedna jego dzielnica, Manolera. *Majowie* pracowali jako kowale, ślusarze, tkacze, rzeźnicy, bywali właścicielami małych szynków albo też żyli z przemytnictwa, z handlu domokrażnego lub z gry. *Maje* zaś prowadziły winiarnie, trudniły się łataniem odzieży i bielizny albo uliczną sprzedażą owoców, kwiatów, wszelkiego rodzaju środków spożywczych; ich kramów z towarami nie brakło przy żadnej pielgrzymce i na żadnym jarmarku. Nie gardziły też wyludzaniem pieniędzy od zamożnych panów.

*Majowie* zachowali tradycyjny strój hiszpański: obcisłe, krótkie spodnie do kolan, trzewiki z klamrami, krótką kurtkę z szeroką szarfą i olbrzymi kapelusze z szerokim rondem; nieodzowną częścią tego stroju był długi płaszcz, *capa*, nie brakło też *majowi* nigdy składanego noża, *navaji*, ani potężnego czarnego cygara. *Maje* nosiły niskie obuwie, wycięty haftowany gorset i kolorowy szal, skrzyżowany na piersiach; na uroczystości i zabawy stroiły się w koronkową *mantillę* i wysoki grzebień. Za podwiązkę lewej nogi nierzadko chowały mały sztylecik.

Władze patrzyły krzywym okiem na długie płaszcze *majów* i ich olbrzymie, całą twarz ocieniające kapelusze. *Majowie* nie chcieli się pozbyć swych długich płaszczy, które tak dobrze zakrywały brud i plamy na odzieży — ślady wykonywanego rzemiosła, a nieraz także coś innego, co pragnęli zataić; nie chcieli się wyrzec swych szerokich kapeluszy, osłaniających bezpiecznym cieniem twarz, która wołała pozostać w ukryciu. — Mieszkańcy mojego Madrytu — żalił się Karol III — snują

się po ulicach z twarzami zasłoniętymi niczym spiskowcy, a nie jak spokojni poddani cywilizowanego monarchy.

Pierwszy minister tego króla, mąż stanu Squillace, którego Karol III sprowadził z Neapolu, zakazał ostatecznie noszenia płaszcza i kapelusza. Ale wtedy *majowie* podnieśli bunt i cudzoziemskiego ministra przepędzono z kraju.

Jeden z roztropniejszych jego następców wydał zarządzenie, aby kat przy wykonywaniu swej funkcji wkładał na głowę ów niefortunny kapelusz. To sprawiło, że niektórzy *majowie* przestali go nosić.

*Majowie i maje* mieli nie tylko odrębny strój, ale także odrębne obyczaje, odrębną filozofię i odrębny język. Uwielbiali starohiszpańską tradycję i bronili fanatycznie absolutnej władzy królewskiej oraz wpływów duchowieństwa; ale nienawidzili zmieniających się często ustaw i rozporządzeń i nie chcieli ich przestrzegać. Przemysłnictwo uważali za swój przywilej, a palenie przemycanego tytoniu — za sprawę honoru. *Majowie* występowali z godnością, zachowywali najczęściej milczenie, ale gdy zabierali głos, używali obrazowych, górnolotnych frazesów, a ich barwne przechwałki i chełpliwa buta weszły do poezji i zyskały rozgłos poza granicami kraju.

*Majo* był dumny. Nie pozwalał, by go potrącono lub choćby krzywo na niego spojrzano. Był zawsze na wrogiej stopie z *petimetrem*, wystrojonym paniczykiem z klasy średniej. Wymiętosić lub uszkodzić wymuskany ubiór mieszczkańskiego lalusia albo potargać starannie ułożoną fryzurę *petimetry* — to największa przyjemność *maja* lub *maji*. Policja unikała o ile możności zatargów z *majami*, inni również schodzili im z drogi; *majowie* byli bowiem kłótlivi, zawadiaccy, mieli zawsze w pogotowiu dosadne, soczyste wyrazy, byli skorzy do pięści i noża.

W walce z Oświeceniem i racjonalnymi reformami, z wpływami francuskimi, z rewolucją i wszystkim, co się z tym łączyło, *majo* był najlepszym sprzymierzeńcem monarchii i Kościoła, był rozmiłowany w dumnych zamkach królewskich, w barwnych korowodach i orszakach grandów, we wspaniałych procesjach kościelnych; uwielbiał walki byków, chorągwie, rumaki i szpady; pełen gorącej dumy narodowej, patrzył podejrzliwie i z nienawiścią na intelektualistów i liberałów, na *afrancesados*, którzy chcieli to wszystko znieść. Na próżno postępowi pisarze i politycy obiecywali *majom* lepsze mieszkania, więcej chleba i mięsa. *Majowie* woleli zrzec się tego, byle im tylko pozostawiono walki byków i uroczystości.

*Majowie i maje* stanowili właśnie ową rojną, wdzięczną, fanatyczną publiczność tych wielkich widowisk. Tłoczyli się w teatrach

na parterze, *patio*; oni to tworzyli trzon *Chorizos* i *Polacos*; oni to odkąd zabroniono wystawiania tak zwanych *autos sacramentales*, brali tłumny i hałaśliwy udział w ludowych widowiskach pasyjnych, gdzie nieraz Chrystus zstąpiwszy z krzyża, zamieniał przepaskę na biodrach i koronę cierniową na kostium *maja*, aby z innymi aktorami, odtwórcami Męki Pańskiej, zatańczyć *seguidillę*. *Majowie* byli też zapalonymi zwolennikami *apasionados*, aktów wiary, i entuzjastycznymi wielbicielami *aficionados*, walk byków; oburzali się, gdy jakiś torero lub byk albo jakiś skazany kacerz nie umiał „dobrze” umrzeć. Wysoko cenili godną, dzielną postawę.

W sprawach miłości majo był ognisty, hojny, miał serce szerokie. Przynosił swojej ukochanej podarunki, ale okładał ją kijem z najbliższej przyczyny i żądał zwrotu darów, gdy ją porzucał lub gdy ona jego porzucała. *Maja* bez skrupułów wyłudzała ostatnie pieniądze od zakochanego w niej *petimetra*; często zameżna *maja* brała sobie zamożnego *corteja* albo i dwóch. Hiszpanie podkreślali z uznaniem, że prawdziwa *maja* posiada wszystkie zalety, które najwyżej cenili w kobiecie; że jest nieprzystępnie dumna na ulicy, anielska w kościele i szatańska w łóżku. Także cudzoziemcy zgodnie stwierdzili, że żadna kobieta na świecie nie potrafi obudzić takiego pożądania ani dać tyle rozkoszy i zaspokojenia pragnień, co prawdziwa *maja*. Poseł Ludwika XVI, Jean Francois de Burgoing, w swej głośniej książce o Hiszpanii rozwodzi się szeroko nad bezwstydną i wyuzdaną *maj*, ale więcej jeszcze znajduje słów, by wielbić ich powaby oraz pożądanie, jakie budzą u mężczyzn.

*Majo* uważał, że jest najwierniejszym przedstawicielem narodowego charakteru hiszpańskiego, *espanolismo*, i nie ustępuje w tym względzie żadnemu *grandowi*. I za takiego też uważa go cały kraj. Każdy prawdziwy Hiszpan musiał mieć w sobie coś z *maja*. *Majo* i *maja* stali się najbardziej ulubionymi postaciami, opiewanymi w *sainetes* i *tonadillas*, najulubieńszym tematem pisarzy i artystów.

Panowie i damy dworu, nie bacząc na zakaz noszenia ubioru *maja* i *maji*, z upodobaniem wkładali ich barwne kostiumy, wplatali w swą mowę ulubione przez *majów* i *maje* górnolotne słowa i zwroty. Nie brakło też *grandów*, a nawet bogatych mieszczan, którzy z przyjemnością udawali *majów* i *maje*; ba, nie brakło między nimi i takich, którzy byli nimi naprawdę.

## XVII

Goyę przyjęto w San Ildefonso z wielką uprzejmością. Kwaterę przygotowano mu nie w *posada*, lecz w samym zamku. Został w niej książki oraz słodczyce i wina, wybrane z widoczną znajomością jego upodobań. Przydzielono mu na stałe do usługi lokaja w czerwonych pończochach. Apartament Goyi składał się z trzech pokoiów, z których jeden mógł być przeznaczony na pracownię.

Manuel polecił mu, aby o godzinie szóstej wieczorem zjawił się w ujeżdżalni. Było to jak na tę późną porę niezwykle miejsce spotkania. Czyżby Manuel, a może sama donia Maria Luiza miała znowu ochotę dać się malować na koniu?

W maneżu zastał Manuela i Pepę. Przywitała go rozpromieniona.

— Don Manuel miał świetny pomysł, że pana tu zaprosił — rzekła. — Przeżyliśmy cudowne tygodnie w tym przepięknym górskim zakątku. Mam nadzieję, Francisco, że i pan dobrze się bawił przez ten czas.

Obok niej stał Manuel w kostiumie do jazdy konnej, dziarski, zadowolony, władczy.

Cayetana miała zatem słuszość. Zrobiono mu bezczelny, głupi kawał. Nie domyślali się prawdopodobnie oboje, że wyrządzili mu krzywdę, że rozbili najdrogocenniejsze szczęście jego życia. A może to właśnie mieli na celu? Jakież to śmieszne i oburzające zarazem, że kaprys Pepy, tej ladacznicy, tej dziewczki, wystarczył, aby zniszczyć jego cudowne lato z Cayetaną!

— Mam zamiar, Francho — rzekł Principe de la Paz — dać panu bardzo dużo zajęcia. Przede wszystkim chciałbym, aby pan namalował portret seniory Tudó. Na koniu. Czy nie uważa pan, że jej ogromnie do twarzy w tym kostiumie amazonki?

Tu skłonił się lekko przed Pepą. Chłopak stajenny pobiegł tymczasem, aby przyprowadzić konia.

Goya wymierzyłby Pepie najchętniej siarczysty policzek, tak jakby to zrobił jakiś *majo*. Ale od dawna już nie był *majem*, zepsuło go powodzenie i życie dworskie. Pomyślał, że skoro już tu przybył, musi uważać, by nie zepsuć sobie wszystkiego wybuchem gniewu. Z drugiej strony, rzecz prosta, ani myślał malować jej, tej *jamony*, na koniu. „Dla orła niebios, dla świni gnój.” Co za bezgraniczna bezczelność tej wystrojonej baby dosiąść konia i kazać się malować. Jak grandesa! I przez kogo? Przez Goyę!

— Niestety, zadanie to przekracza moje możliwości — rzekł siląc się na grzeczność. — Nie jestem właściwie malarzem piękna. Obawiam się, że gdybym namalował seniore Tudó na koniu, obraz mój nie dorównałby rzeczywistości takiej, jak pan ją widzi, don Manuelu.

Białą, leniwą twarz Pepy wykrzywił lekki grymas zawodu.

— Powinam była to przewidzieć — rzekła — że popsujesz mi przyjemność, Francho. Każdą radość musisz mi popsuć. — Na jej niskim szerokim czole pojawiła się głęboka bruzda. — Proszę pana, don Manuelu, aby pan oddał to zamówienie Maelli lub Carnicerowi.

Manuel zrozumiał, że propozycja wydała się Goyi zbyt niebezpieczna. W głębi duszy rad był nawet, że ten obrót sprawy pozwala i jemu wycofać się z ryzykownej sytuacji.

— Jeszcze raz dokładnie rozważymy tę sprawę, senioro — rzekł tonem uspokajającym.

— Jeżeli Goya nie dowierzając swym siłom nie chce malować pani na koniu, czegoż mogłaby pani oczekiwać po Maelli lub Carnicero?

Wierzchołek Pico de Penalara spoglądał na nich ze swej wyżyny; lekki, orzeźwiający wietrzyk ciągnął od gór, ale przyjemne, świeże powietrze nie potrafiło rozwiać złego humoru tych trojga.

— Czy mogę się pożegnać? — spytał Goya.

— Ależ to nonsens, Francho — odpowiedział Manuel. — Postarałem się, aby mieć dzisiejszy wieczór wolny. Pepa nabierze rozumu. Zostanie pan oczywiście z nami na kolacji.

Pepa siedziała przy kolacji spokojna, milcząca i piękna. Goya poczuł ochotę przespać się z nią; to dopiero byłaby zemsta i na Albie, i na Manuelu, i na samej Pepie. Ale nie chciał jej okazać, że go jeszcze pociąga jak dawniej. Był również małomówny.

Za to Manuela ogarnęła jakaś chorobliwa wprost wesołość.

— Wiem już — wypowiedział nagle swą myśl — jak pan namaluje Pepę: z gitarą.

Pomysł wydał się Franciscowi niezły. „Dla orła niebiososa, dla świni gnój.” Pepa z twarzą idiotycznie sentymentalną, z gitarą w ręku.

Z ochotą zabrał się do pracy nad obrazem. Pepa była posłuszną modelką. Siedziała w spokojnej, niedbałej pozie, budząc pożądanie, i patrzyła mu prosto w oczy swym bezwstydnym spojrzeniem. Pragnął jej bardzo. Wiedział, że wykpiłaby go z początku, lecz później okazałaby się tym bardziej chętną i uległą. Ale zanadto przepełniony był Cayetaną. „Otóż właśnie nie!” — postanowił. Przepoił jednak obraz całą swoją żądzą. Pracował szybko; gdy chciał, mógł mierzyć

się z „pośpiesznym Łukaszem”. Po trzech seansach *Dama z gitarą* była gotowa. — Naprawdę dobrze to zrobiłeś, Francho — rzekła Pepa ze szczerym uznaniem. Manuel był zachwycony.

Donia Maria Luiza wezwała Francisca do siebie. A więc i ona wciągnięta była w ten spisek. Goya udał się do niej z goryczą w sercu.

Przywitała go łaskawie i opamiętał się od razu. Nie miał powodu, by gniewać się na królową. Przecież nie jemu chciała zepsuć radość tego lata, lecz jedynie swej nieprzyjaciółce, Albie; było to nawet zrozumiałe, gdyż Alba ustawicznie ją drażniła. W najskrytszym zakątku duszy Francisco odczuwał nawet pewną satysfakcję, że królowa i Alba spierają się o niego. Koniecznie trzeba napisać o tym Martinowi do Saragossy.

Maria Luiza rada była z obecności Goyi w San Ildefonso. Ceniła jego roztropny, niezależny, a przy tym skromny sąd; okazywała też zrozumienie dla jego sztuki. Poza tym bawiło ją to, że Goya jest teraz u niej, a nie w Piedrahita. Nie dlatego, by zazdrościła Albie nieco już otyłego i starzejącego się Francisca; sama wybierała sobie do łóżka dziarskich, młodych chłopców, nie zanadto inteligentnych, dobrze się prezentujących w mundurze. Ale Alba za daleko posunęła swą bezczelność i dobrze będzie, jeśli od czasu do czasu dostanie po nosie. I dlatego to Francisco Goya maluje teraz ją, Marię Luizę de Borbón y Borbón, a nie Cayetanę Alba.

Myśl o Albie nasunęła jej pomysł, by dać się malować w stroju *maji*.

Goya był niemile zaskoczony. Dopiero miał malować Pepę na koniu, teraz znów królową jako *maję*. Przyznawał jej w duchu, że miała w sobie coś z *maji*, już choćby przez to, że lekceważyła ceremoniał dworski i obiegające o niej plotki, głównie jednak przez swą nieposkromioną żądzę życia. Ale występowanie w stroju *maji* dozwolone było *grandesom* jedynie na zabawach kostiumowych: portret królowej w stroju *maji* wywoła niewątpliwie niechęć i zdziwienie. I z pewnością doprowadzi do nowych rozdzwieków z Cayetaną.

Próbował ostrożnie odwieść królową od tego zamiaru. Obstawała jednak przy nim. Zgodziła się tylko na jedno ustępstwo: że kostium nie będzie kolorowy, lecz czarny. Była zresztą, jak zwykle, dobrą modelką, która raczej pomaga w robocie, niż przeszkadza. Mówiła mu często:

— Niech mnie pan zrobi taką, jaką jestem naprawdę. Proszę mnie nie idealizować. Chcę być taka, jaka jestem.

Pomimo to praca nad portretem nie posuwała się w zadowalającym tempie. Nie tylko dlatego, że królowa wymagała od niego dużo i on sam wiele od siebie żądał, ale i dlatego, że Maria Luiza była stale czymś zdenerwowana; dręczyła ją widocznie zazdrość o Manuela, którego miłostka z tą „osobą” wciąż jeszcze trwała. Często odwoływała wyznaczone seanse.

Gdy Goya nie pracował, włóczył się po zamku i ogrodach zamkowych, znudzony, rozdrażniony. Zatrzymywał się przed freskami Maelli i Bayeu; wysuwał dolną wargę, przy czym twarz jego przybierała wyraz szydery, krytyczny. Przypatrywał się wodotryskom z figurami mitologicznymi, patrzył na grę wód bijących w górę i spadających w dół, a poprzez nie i ponad nimi widział olbrzymi, jaśniejący białym blaskiem pałac, ów Wersal hiszpański, wzniesiony kosztem nieopisanych trudów na tej wysokości, prawdziwy zamek powietrzny. Lepiej niż inni wyczuwał umyślny kontrast pomiędzy wyszukany, kunsztownym francuskim stylem budynku i ogrodów a dzikością hiszpańskiej przyrody. I lepiej niż inni rozumiał Filipa V, który kazał wybudować ten pałac nieskończonym nakładem czasu, pieniędzy i trudu, i który, znudzony własnym kaprysem, na widok bijących po raz pierwszy wodotrysków oświadczył:

— Zapłaciłem za te fontanny pięć milionów, bawiły mnie przez pięć minut!

Goya nie mógł znieść towarzystwa dam i panów na dworze, drażniła go obecność Manuela i Pepy. Ale kiedy zostawał sam pośród tego sztywnego i jasnego, wyrachowanego i odpychającego francuskiego przepychu, opadały go myśli o Cayetanie, choć pragnął je od siebie odsunąć. Wbrew rozsądkowi liczył na to, że Cayetana napisze do niego, że wezwie go z powrotem do siebie. Nie do pomyślenia, aby wszystko między nimi miało być skończone; zbyt mocno była związana z nim i on z nią.

Marzył o tym, aby wydostać się z San Ildefonso; wydawało mu się, że znajdzie więcej spokoju w swej pracowni w Madrycie. Ale praca nad portretem przeciągała się. Maria Luiza, nie mniej niż on sam zdenerwowana, coraz częściej odwoływała umówione godziny pozowania.

Wreszcie zaszedł wypadek, który wykończenie jego dzieła opóźnić miał jeszcze o szereg dalszych tygodni.

Dwór otrzymał z Parmy wiadomość o śmierci małego kuzynka królowej; a ponieważ zależało jej na tym, aby podnieść dostojeństwo



i wysokość wielkoksiążęcej rodziny, z której pochodziła, zarządzono żałobę dworską po zmarłym księżątku, choć ceremoniał tego nie wymagał; oznaczało to zarazem, że królowa przez dłuższy czas nie będzie mogła pozować do portretu. Goya poprosił na piśmie, aby mu pozwolono wrócić do Madrytu; portret jest prawie gotowy — pisał — braki uzupełni w Madrycie. Otrzymał oschłą odpowiedź, że jej królewska mość życzy sobie, by na miejscu dokończył swej pracy. Za jakieś dziesięć dni królowa wyznaczy następny seans, tymczasem polecono mu sprowadzić z Madrytu czarny strój.

Ponieważ w Madrycie przez zapomnienie nie dołączono jego czarnych pończoch, stawiał się, gdy wreszcie wezwano go na seans do królowej, w szarych pończochach. Markiz de la Vega Inclan zwrócił mu uwagę, że w ten sposób nie może pokazać się przed obliczem jej królewskiej mości. Goya, rozgoryczony, wrócił do swego apartamentu, włożył białe pończochy i namalował tuszem na prawej pończosze człowieka podejrzenie podobnego do marszałka dworu, na lewej zaś fizjonomię innego szambelana, znanego również ze swego zgryźliwego usposobienia. Zuchwały i zawzięty, nie dał się tym razem zatrzymać i wszedł samowolnie do Marii Luizy.

Zastał ją w towarzystwie króla. Ten nie mógł zrazu nic pojąć i zapytał tonem lekko rozgniewanym:

— Co to za dziwne, niestosowne figurki ma pan na pończochach?

Goya, z twarzą mroczną jak sfinks, odpowiedział:

— Żałoba, najjaśniejszy panie, żałoba.

Maria Luiza roześmiała się na głos.

Pracował znów cały tydzień, wreszcie portret był gotowy. Goya cofnął się nieco.

— *Królowa donia Maria Luiza jako maja w czerni* — przedstawił swoją królowę królowej z krwi i kości.

Patrzyła na nich z ram płótna w naturalnej, dostojnej postawie *maja* i królowa. Nos przypominający dziób drapieżnego ptaka, mądre, pożądlive oczy, twardo zarysowany podbródek, wargi zaciśnięte, pragnące ukryć diamentowe zęby. Uszminkowana twarz wyraża rozum, chciwość i gwałtowność. *Mantilla* spadająca z peruki skrzyżowana jest na piersiach, szyja głęboko wydekoltowana wygląda świeżo i młodzieńczo, ramiona są pełne i kształtne; lewa ręka zdobna w pierścienie opada swobodnie w dół, prawa trzyma przy piersi mały, zwinięty wachlarzyk z gestem zachęty i wyczekiwania.

Goya starał się nie namalować tu ani za wiele, ani za mało. Jego donia Maria Luiza jest brzydka, potrafił jednak brzydotę jej ożywić, nadać jej pewien blask, uczynić ją prawie pociągającą.

Włosy jej spiął niebieskawo-czerwoną kokardą, która łagodziła dumną czerń koronek. Na nogi włożył jej złote pantofle, dobrze kontrastujące z czernią fałdzistej sukni, całość stonował matowym blaskiem skóry.

Królowa nie miała obrazowi nic do zarzucenia. W pochlebnych słowach dała wyraz swemu zadowoleniu i zażądała tylko, by Goya wykonał sam, jeszcze w San Ildefonso, dwie kopie.

Odmówił grzecznie, ale stanowczo. Nie może sam kopiować obrazu, w który włożył tyle rzetelnego wysiłku. Ale może polecić wykonanie kopii swemu współpracownikowi, don Agustinowi Esteve, którego zręczność i sumienność znane są doni Marii Luizie.

Nareszcie mógł wrócić do Madrytu.

Ale nie czuł się tam lepiej niż w San Ildefonso. Powtarzał sobie po stokroć, że najrozsądniej byłoby napisać do Cayetany lub po prostu wrócić do Piedrahita. Ale na to nie pozwalała jego duma.

Przeklinał swoje własne usposobienie. I dlaczegoż to zadurzył się właśnie w Cayetanie? Ta głupia namiętność żąda od niego ustawicznych ofiar. Za wszystko, co ma związek z tą kobietą, drogo musi płacić. Wściekłość jego zwróciła się teraz przeciwko Cayetanie. Wydało mu się, że Alba jest w zмовie z demonami, owymi złymi duchami, które czyhają po wszystkich kątach, aby go śledzić, aby się rzucić na niego.

## XVIII

Późnym latem powrócili księstwo Alba do Madrytu. Cayetana nie pokazywała się i nie dawała znaku życia. Kilkakrotnie spotykał Francisco ekwipaże z herbami domu Alba. Nakazywał sobie nie patrzeć w tę stronę, mimo to zerkał za każdym razem. Dwukrotnie zobaczył w powozie księcia, dwukrotnie kogoś obcego, raz starą markizę.

Pewnego dnia przyniesiono zaproszenie dla nadwornego malarza de Goya y Lucientes oraz seniory doni Josefy na wieczór muzyczny u księcia. Będzie odegrana opera seniora don Jose Haydna pod tytułem *Świat na księżycu*. Przez godzinę Francisco był mocno zdecydowany odmówić, przez następną godzinę był równie mocno zdecydowany pójść. Josefa uważała za rzecz samą przez się zrozumiałą, że zaproszenie trzeba przyjąć.

I znowu, tak jak owego wieczoru, kiedy Goyą owładnęła ta

nieszczęsna namiętność, Alba zrazu nie pokazywała się gościom. Francisco musiał wysłuchać najprzód całej opery seniora Haydna. Siedział obok Josefy pożerany niecierpliwością, obawą i nadzieją, dręczony wspomnieniami dni przeżytych w Piedrahita, gdzie podczas podobnych wieczorów muzycznych księcia siedziała obok niego Cayetana.

Opera była zresztą lekka i pełna wdzięku. Główna postać, bogaty pan Bonafede, namiętny miłośnik astronomii, ojciec dwóch ładnych córek, pada ofiarą oszusta i szarlatana Eccletico, który mu wmawia, że żyje na księżycu; perypetie pana Bonafede na tej planecie zmuszają go w końcu do wydania obydwu córek za konkurentów, którym nigdy nie oddałby ich na ziemi. Włoski tekst opery przełożył na język hiszpański sam książę przy pomocy opata, który dziś był już za granicą; inscenizacja była dobra, a muzyka nie tak trudna, jak się Goya obawiał. Kiedy indziej byłby z przyjemnością wysłuchał miłego przedstawienia. W obecnym swym nastroju klął i zżymał się w duchu na wszystko.

Wreszcie opera skończyła się i majordomo poprosił gości do głównej sali.

Tak jak tamtego wieczoru donia Cayetana przyjęła gości na sposób starohiszpański, siedząc na estradzie pod baldachimem. Tym razem baldachim ozdabiała malowana w drzewie rzeźba Dziewicy, dzieło Juana Martinez Montanesa <sup>1</sup>. Najświętsza Panna stała wdzięcznie na półksiężycu podpieranym przez dwa milutkie aniołki, z rękami złożonymi do modlitwy, wstydliwie schylona, z ledwie uchwytnym, dumnym, hiszpańskim uśmiechem na ustach. Widok pełnej wdzięku Cayetany, siedzącej pod tą wdzięczną statua, miał w sobie coś występnego i czarującego zarazem. Alba miała na sobie kostium starego wersalskiego kroju: z bardzo wąskiej talii fałdźcie opadała szeroka krynolina; Cayetana była tym razem uszmkowana i upudrowana; wyglądała, jakby się umyślnie przebrała za lalkę; była aż śmiesznie wyniosła. Jej biała twarz, z zastygłym uśmiechem i zdumiewająco żywymi, metalicznie błyszczącymi oczami pod wysokimi łukami brwi, wydawała się podwójnie grzeszna przez samo zuchwałe zestawienie z obliczem Madonny słuchającej z uśmiechem i niewinną radością słów Zwiastowania.

<sup>1</sup> Montanes Juan Martinez (1568—1649) — architekt, a przede wszystkim rzeźbiarz w drzewie, najwybitniejszy w tym zakresie przedstawiciel szkoły sewilskiej. Jego klasycystyczny styl był zapewne wynikiem studiów rzeźby antycznej. Proste formy rzeźb Montanesa nabierają prawie ludowego wyrazu dzięki żywej, barwnej polichromii.

Francisco wściekły, lecz oczarowany widokiem Cayetany, czuł dziką potrzebę, by powiedzieć jej coś, co tylko ich oboje obchodziło, coś bezgranicznie zakochanego lub niezmiernie sprośnego. Ale nie dawała mu sposobności do rozmowy w cztery oczy; była dla niego bardzo uprzejma, lecz obca i daleka.

Wieczór ten nie przyniósł Franciscowi nic oprócz przykrości. Obecny był naturalnie ów partacz, kolega Carnicero. On to projektował dekoracje do *Świata na księżycu*; Goyę bolały oczy od tych słodkawych i mdłych jak limoniada bohomazów. Drażniła go uprzejmość księcia i starej markizy. Don Jose chwalił dekoracje mistrza Carnicera, ale wyraził ubolewanie, że to nie Goya je projektował. Wie — mówił — od Cayetany, że Goya był w ostatnich czasach prawie niedostępny. Stara markiza również wyraziła żal, że Goya nie znajduje wolnej chwili, by wpaść czasem do pałacu Villabranca i zrobić jej drugi portret. Francisco wyczuł w jej słowach lekką ironię; domyślała się zapewne, co zaszło między nim a Cayetaną.

Zupełnie nieznośny był doktor Peral. Z denerwującą znajomością *rzeczy* rozwodził się nad muzyką don Jose Haydna. Zamknięta zazwyczaj twarz księcia promieniała, gdy lekarz z wielkim zapalem, posługując się technicznymi określeniami muzycznymi, wyjaśniał, z jaką inwencją i jak dowcipnie Haydn zmienia za każdym razem instrumentację, kiedy Bonafede patrzy przez teleskop, by obwieścić swe spostrzeżenia na księżycu, albo z jakim realizmem muzyka mistrza oddaje wrażenie lotu. Ale bardziej jeszcze od przemądrzałej gadaniny tego uczonego pyszałka drażniła Francisca poufna, niedosłyszalna dla niego rozmowa, którą Cayetana prowadziła z lekarzem, i śmiech jej po jakimś dowcipie doktora, widocznie tylko dla niej i dla niego zrozumiałym. W ogóle sposób, w jaki ten „cyrulik” odnosił się do Cayetany, miał w sobie coś z irytującej pewności posiadania.

Przez ostatnie dni Goya czekał na ten wieczór w męce i radości. Teraz jednak poczuł gorzkie zadowolenie, kiedy mógł się wreszcie pożegnać i odetchnąć innym powietrzem. W drodze do domu Josefa zauważyła, że wieczór udał się nadzwyczajnie, że don Jose jest naprawdę wielkim muzykiem i że opera była bardzo ładna.

Następnego dnia Francisco zaczął malować mały obrazek na drzewie, przedstawiający Cayetanę pod statuą Madonny na półksiężycu. Goya biegły był w sztuce przedstawiania twarzy ludzkich anonimowo, zachowując jednak podobieństwo. Dama z białą,

uszminkowaną twarzą miała w sobie coś bezwstydnie lubieżnego, szyderczego i bluźnierczego. Goya malował ten obrazek potajemnie, w nieobecności Agustina i ukrywał go przed nim. Malował pośpiesznie, z zapalem. Pewnego dnia zapomniał ukryć obraz. Kiedy wrócił do domu, zastał przed nim Agustina.

— To jest cudowne — rzekł Agustin — to jest najprawdziwsza prawda.

— Już to, że ty ten obrazek widziałeś, jest zbyt wiele — odpowiedział Francisco i schował gdzieś obraz. Na zawsze.

Upłynął znów cały tydzień, a Cayetana nie dawała znaku życia. Teraz Goya wiedział, że nie usłyszy o niej ani przez dalsze trzy miesiące, ani przez cały rok; żałował goręcej niż czegokolwiek w życiu, że uciekł od niej w lecie z Piedrahita.

Lecz pewnego dnia zjawiała się w jego pracowni donia Eufemia i zapytała najnaturalniej w świecie, czy don Francisco miałby czas i ochotę wybrać się nazajutrz wieczorem z donią Cayetaną do teatru Cruz; grają *Oszusta oszukanego Comelli*<sup>1</sup>. Donia Cayetana spodziewa się, że będą ładne *seguidille*.

Poszli razem do teatru. Zachowywali się oboje tak, jakby się wczoraj dopiero pożegnali; nie pytali się nawzajem o nic, ani słowem nie wspomnieli o tym, co zaszło w Piedrahita. W ciągu następnych tygodni widywali się często, byli z sobą blisko i kochali się tak jak przed zerwaniem w Piedrahita.

Cayetana uprzedzała go zwykle, kiedy do niego przyjdzie, tak aby nikogo nie było w pracowni. Gdy pewnego dnia przyszła nieoczekiwanie, zastała Agustina pracującego nad kopią portretu *Królowa jako maja w czerni*.

Cayetana obejrzała portret swej nieprzyjaciółki. Maria Luiza wyglądała na tym obrazie reprezentacyjnie, majestatycznie. Francisco nie starał się ukryć jej brzydoty, trzeba mu to było przyznać; ale uwydatnił te nieliczne szczegóły, które mogły podobać się u Marii Luizy: piękną karnację ramion i dekoltu. A poza tym dał jej dobrą postać. Tak jak stała na płótnie, wyglądała mimo podobieństwa i na *maje*, i na wielką damę, a przy tym bynajmniej nie była śmieszna. Cayetanę znów przeszedł lekki dreszczyk, jak wówczas, gdy słuchała ostrzegawczych słów królowej.

— Dlaczego ją tak namalowałeś? — zapytała z irytacją, nie uważając na obecność Agustina.

1/ Comella Luciano (1716—1779) — zapomniany dziś dramaturg hiszpański.

— Obraz jest dobry — odpowiedział rzeczowo Francisco oburzony jej pytaniem.

— Nie rozumiem cię — rzekła Cayetana. — Ta kobieta w niski i podły sposób rozbiła nasze radosne lato. Przekonaliśmy się oboje, kim jest: włoską szwaczką! A ty ją malujesz jako królową, i to jeszcze jako prawdziwą Hiszpankę.

— Jeżeli ją tak maluję, to taka jest — odparł Francisco ze spokojem i wyniosłością, której nie powstydziałaby się sama Alba.

Agustin rad był ze swego przyjaciela.

Odtąd Cayetana korzystała z każdej sposobności, aby drażnić królową, i dokuczała jej bardziej jeszcze niż dotychczas. Dowiedziała się pewnego dnia, że Maria Luiza sprowadziła sobie z Paryża jakąś szczególnie oryginalną toaletę. Postarała się szybko o model tej sukni i nazajutrz po przyjęciu dworskim, na którym Maria Luiza po raz pierwszy w niej wystąpiła, ukazały się na promenadzie w Prado dwa powozy z herbami domu Alba, w których siedziały pokojówki Cayetany, ubrane dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia królowa. Było z tego powodu dużo śmiechu, Marię Luizę zirykowało to oczywiście, ale nie tak bardzo, jak Cayetana się spodziewała. Starej markizie niezbyt się ten żart podobał, a mniej jeszcze Franciscowi.

Ale gdy zobaczył Cayetanę, zapomniał o naganie. Był, jak zwykle, pod urokiem tej kobiety, która miała w sobie wiele z dziecka. Silniej niż kiedykolwiek uświadamiał sobie swoje szczęście; ale jednocześnie czuł, że rośnie także groźba, głęboko i nierozłącznie z tym szczęściem związana.

## XIX

W owym czasie wybuchła w Madrycie zaraza, choroba gardła, na którą zapadały przeważnie dzieci. Zaczynała się podobnie jak zapalenie migdałków; zjawiało się naprzód obrzmienie gruczołów szyi, co powodowało trudności w przełykaniu. Potem słabnął puls i działalność serca, z nosa wydobywała się żółtawa, cuchnąca wydzielina. Chore dzieci z coraz większym trudem oddychały, dusiły się prawie. Wiele z nich umierało.

Z trojga dzieci Goyi zachorował naprzód Mariano, później najmłodsza, mała Elena.

Francisco, choć obecność jego była tylko zawadą, nie odchodził

od łóżeczka chorej Eleny, walczącej z brakiem tchu. Z przerażeniem patrzył na wzmagające się cierpienie dziecka. Obawiał się od pierwszej chwili, że demony zemszczą się teraz za ów zuchwały list, którym okupił swą pierwszą noc z Albą.

Lekarz domowy Goyi, doktor Gallardo, zaordynował gorące napoje i okłady, później, gdy gorączka bardzo się podniosła, zimne kąpiele. Powoływał się na Hipokratesa. Udawał pewnego siebie, w rzeczywistości błędził po omacku.

Goya uciekł się do środków religijnych. Małeńkie skrawki papieru, poświęcone Najświętszej Pannie Uzdrawicielce i zawierające inwokację: *Salus infirmorum*, Uzdrawienie chorych, zwijano w małe kuleczki i podawano dziecku w szklance wody do picia. Uważano za zły znak, gdy dzieci nie mogły ich przełknąć. Francisco wypożyczył z pewnego klasztoru, za dużą cenę, chustę tam przechowywaną, która zawierała strzępki szaty świętej Heleny, patronki małej, aby otulić nią chorą dziewczynkę.

Przypomniał sobie, że gdy Josefa była w ciąży z tym dzieckiem, chwytało się również najrozmaitszych środków. Przyniesiono do domu obraz świętego Rajmunda Nonnata i obraz świętego Wincentego Ferrer i modlono się do nich, aby dali Josefie szybki i lekki poród. A potem hucznie i wesoło odbyło się pielgrzymkę do świętego Izydora, aby jemu i innym świętym podziękować za to, że wszystko tak dobrze poszło. I z pewnością wszystko byłoby dalej szło jak najlepiej, gdyby on sam w niecny sposób nie oddał własnego dziecka na pastwę ciemnym mocom.

Pobiegł na przedmieście Atocha, by oskarżyć się przed Dziewicą de Atocha. Dla zaspokojenia żądzy zdradził swoje dziecko. Żałuje swego uczynku i błaga ją, by przyjęła jego skruchę i dopomogła mu. Wypowiadał się przed nieznanym, z chłopska i dosyć tępo wyglądającym księdzem. Przypuszczał, że ksiądz nie zrozumie jego wyznań, ale rozumiał widocznie. Wyznaczył mu łagodną pokutę; nakazał mu kilka dni pościć, odmawiać wiele „Ojcze nasz” i zabronił mu dalszego cudzołóstwa z tą kobietą. Goya ślubował, że nie splami już swych oczu widokiem Cayetany, tej dziewczki i czarownicy.

Zdawał sobie przy tym sprawę, że wszystko, co robi, jest obłędne. Przywoływał na pomoc rozsądek, by poskromić rozhukane uczucia. Bo kto pozwala usnąć rozsądkowi, na tego spadają straszliwe widziadła i zmyły senny; potworne zjawy o skrzydłach nietoperza i kocim pysku. Musi swój obłęd zamknąć w sobie, musi go okiełznać, szczelnie zakorkować, tak aby nie mógł się

wyzwolić, aby nie mógł przyjść do głosu. I zaciął się w milczeniu; milczał wobec Agustina, wobec Miguela, wobec Josefy. Napisał tylko do swego przyjaciela, Martina Zapatera. Przedstawił mu, jak to wówczas dla dogodzenia swej żądy wymyślił sobie tę przeklętą, grzeszną wymówkę i jak teraz szatani obrócili to kłamstwo w rzeczywistość; on sam winien jest śmiertelnej chorobie swego ukochanego dziecka i chociaż wie dobrze, że to wszystko nie może się ostać wobec rozumu i nie jest rzeczywistością, to jednak jest prawdą, jego prawdą. Zaopatrzył list trzema krzyżami i prosił przyjaciela, aby nie szczędząc pieniędzy ufundował Dziewicy del Pilar wiele grubych świec na intencję powrotu do zdrowia jego dzieci.

Alba słyszała o chorobie dzieci Francisca. Nigdy nie wspomniał jej o wymówce, którą się wówczas posłużył; mimo to domyślała się jego rozterki. Posłała do niego duenię i zapowiedziała swe odwiedziny. Nie dziwiła się, gdy Francisco odmówił widzenia się z nią. Poszła sama do Josefy i zaofiarowała usługi swego lekarza, doktora Perala.

Gdy Peral przyszedł, Goya nie pokazał się wcale. Josefa chwaliła go potem jako spokojnego, mądrego i doświadczonego lekarza. Goya milczał. W dwa dni później stan Mariana wyraźnie się poprawił; lekarze oświadczyli, że chłopak jest uratowany. Trzeciego dnia zmarła mała Elena.

Rozpacz Goyi i oburzenie na los nie miały granic. Od łoża śmierci małej pobiegł do pracowni, miotał przekleństwa na świętych, którzy mu nie pomogli, przeklinał siebie, przeklinał tę, która wszystkiemu była winna, tę księżnę, czarownicę, tę dziewczkę, która dla kaprysu, dla dogodzenia swej lubieżności zażądała, by jej poświęcił swe najukochańsze dziecko. Wracał znów do łóżeczka zmarłej i z rozpaczą rozpamiętywał jej straszne ataki duszności i swą własną bezsilność. Jego masywna, lwia twarz stała się maską wyrażającą ogromne cierpienie; nikt jeszcze nie przeżywał bólu tak strasznego, jaki zwał się na niego. Potem wrócił znów do pracowni. Ból jego zamienił się we wściekłość i żądzę zemsty; dyszał pragnieniem, aby jej, tej przeklętej, cisnąć w dumną, lalkowatą twarz swój gniew, swoją pogardę, powiedzieć jej prawdę w oczy.

Agustin nie odstępował go teraz prawie na krok. Zdawał się chodzić na palcach, mówił tylko o sprawach najniezbędniejszych. Nie pytając o nic, załatwiał na własną rękę różne sprawy, których całe mnóstwo zwał się właśnie teraz. Franciscowi ulgę sprawiała delikatność, z jaką przyjaciel okazywał mu współczucie, był



mu wdzięczny za to, że go rozumie i nie próbuje pocieszać tanimi wolnomyślicielskimi frazesami.

Ku zdziwieniu i niemal niechęci Josefy urządził dla Eleny pogrzeb jak dla jakiejś infantki.

Potem usiedli w przyćmionym salonie. Przychodzili znajomi, by wyrazić swe współczucie. Ale już drugiego dnia Goya nie mógł znieść bezdusznego, wymuszonego smutku na twarzach gości i schronił się do pracowni.

Tam na przemian siedział i leżał, to znów wstawał i biegał dokoła. Rzucił ołówkiem na papier jakieś widziadła i darł te rysunki, zanim je jeszcze dokończył.

Wtem weszła Alba.

Oczekiwał jej przyjścia, lękał się go, tęsknił za nim. Była piękna. Twarz jej nie miała dzisiaj nic z maski. Była to twarz kochającej kobiety, która przychodzi pocieszyć przyjaciela w żałobie. Nieomylnie oczy Goyi widziały to. Przeszło mu przez myśl, że jeśli sprawiła mu przykrość, to on sprawił jej większą jeszcze. Ale rozsądek jego nie wytrzymał naporu dzikiej, do rozkoszy niemal dochodzącej wściekłości, która ogarnęła go na jej widok. Wszystkie urazy, jakie kiedykolwiek do niej żywił, odkąd ją zobaczył wówczas siedzącą na estradzie, oburzenie, jakim przejmowały go jej zuchwałe i okrutne kaprysy, złość na siebie, że jest od niej zależny, paniczny lęk przed losem, który posługuje się tą kobietą, by go pognać, wszystko to wezbrało w jego duszy.

Wysunął grubą dolną wargę, jego mięsista twarz drżała, wykrzywiona niepohamowaną nienawiścią, chociaż usiłował zapanować nad sobą. Alba cofnęła się mimo woli.

— Ty! Ty śmiesz tu przychodzić?! — powiedział. — Najpierw zabijasz mi dziecko, a potem przychodzisz, aby drwić ze mnie!

Panowała jeszcze nad sobą.

— Opanuj się, Francho — powiedziała — nie pozwól, aby ból doprowadził cię do obłędu.

Oczywiście. Ona nie rozumie jego cierpienia. Jest nieplodna. Nie może nic stworzyć, niezdolna jest do odczuwania bólu, radości, dostępna jest dla niej tylko jałowa rozkosz. Jest nieplodna, jest czarownicą, wcieleniem zła, przez szatana zesłanym na świat.

— Wszystko sobie dokładnie obmyślałaś! — wybuchnął w szalonym gniewie. — Obliczyłaś z góry. To przez ciebie wpadłem na tę wymówkę o chorobie Eleny i rzuciłem na nią złe czary. Miałem do wyboru poświęcić ci albo moje dziecko, albo moją karierę, moją sztukę. To była cena, za którą pozwoliłaś mi przyjść do siebie.

A potem próbowałaś po raz drugi w Piedrahita, chciałaś powstrzymać mnie od wyjazdu na dwór królewski, aby mnie narazić na utratę pracy i sławy. Ale wtedy nie dałem się już złapać w twoje sidła. Później zażądałaś ode mnie, abym zrobił jakieś straszdyło z Marii Luizy. Wszystko mi chcesz ukraść, dzieci, karierę, sztukę. Chcesz mnie pozbawić wszystkiego, co posiadam, aby tylko zaspokoić chęć swego przeklętego, nieplodnego łona — użył tu innego, wulgarnego wyrażenia.

Cayetaną porwał gniew bez granic. Z kochanki, pocieszycielki zmieniła się w Albę, prawnuczkę straszliwego marszałka. To, że pozwoliła temu człowiekowi mówić do siebie, oddychać tym samym co ona powietrzem, było darem i wielką łaską. A ten nieokrzesany cham wyładowuje swój głupi żal, z powodu jakiejś niemądrej wymówki obrzucając ją zniewagami.

— Już od samego początku — odparła głosem cichym, lecz jadownicie uprzejmym — nie nadawał się pan, senior Goya z Fuendetodos, do niczego innego jak do roli błazna nadwornego. Zachciewa się panu być *majem*? W każdym przebraniu jest pan chłopem. Dlaczego, sądzi pan, Osuna czy Medina Coeli dopuszczały pana do siebie? Dlatego, że bawił je taki niezdarą i prostak. Nie trzeba być czarownicą, aby cię zmusić do błazeńskich podskoków, ty *pelele*, ty pajacu.

Mówiła to jeszcze dosyć cicho, ale jej dziecinny głos stał się piskliwy, przykry.

Goya widział, jak jej wysokie brwi ściągnęły się ze złości, i ucieszył się, że to on ją tak rozgniewał. Ale nowy napad szału zdławił to uczucie zadowolenia; Alba trafiła go w bolesne miejsce, zadzwiała z czegoś, co sam nieraz w najtajniejszych myślach podejrzewał. To nie jest prawdą, nie może być prawdą. Nie dla zabawy czy dla zabicia czasu brały go tamte kobiety do łóżka, ani Osuna, ani Medina Coeli, ani ona sama. Nie zapomniał jeszcze, jak ją trzymał po stokroć razy w objęciach, nieprzytomną z rozkoszy. Rzucił jej teraz w twarz najsprośniejsze, najbardziej plugawe słowa, w tę twarz przekłątą, piękną, zuchwałą, wyniosłą i gniewną. A potem chwycił ją, zanieś do drzwi i w dosłownym tego słowa znaczeniu wyrzucił za drzwi.

Alba widzi, jak Francisco zbliża się ku niej. Będzie ją bił. Chce, by ją bił. Byłby to oczywiście koniec. Wtedy, być może, zabije go.

— Chodź tu, chamie! — mówi wyzywająco. — Ciesz się, że masz ręce mocniejsze od moich! Chodź!

Ale Goya nie zbliża się do niej. Nie bije jej, nie chwytą za ramiona. Zatrzymuje się nagle w połowie kroku. Widzi, jak wargi jej otwierają się i zamykają, lecz nie słyszy już słów. Uległ znów atakowi choroby, ogłuchł.

Rzuca się w fotel. Zrozpaczony, ukrywa twarz w dłoniach. Alba zrozumiała. Przestraszyła się. Podbiegła ku niemu, poczęła go głaskać jak dziecko. Nie słyszał, co do niego mówiła, widział tylko jej poruszające się wargi. Zrozumiał, że wymawia słowa pełne tkliwości. Zamknął oczy. Osłabł. Zaczął płakać.

## XX

Dzień don Miguela wypełniała działalność polityczna, ale sprawiała mu ona teraz mniej radości niż dawniej. Wieczorami, wśród studiów nad sztuką, usiłował zagłuszyć myśl o Lucii i o nieustannych, coraz bardziej drażniących upokorzeniach, które przynosiła mu współpraca z don Manuelem.

Często powracał do dzieła swego wielkiego nauczyciela, Mikołaja Machiavellego i czytywał opis życia, które pisarz ten po swym upadku<sup>1</sup> pędził w małej posiadłości wiejskiej pod San Cacio. Wstaje co dzień o wschodzie słońca i udaje się do lasu, by wyznaczyć robotę drwalom. Potem przechadza się z godzinkę, wypoczywając czasem przy źródle lub w gaiku rozbrzmiewającym śpiewem ptaków. Wyciąga z kieszeni książkę, zwykle poezje Dantego, Petrarcki, Tibulla, Owidiusza lub innego z wielkich mistrzów, czyta ich historie miłosne, wspomina swoje własne, rozkoszuje się chwilę tymi wspomnieniami. Następnie udaje się do przydrożnej gospody, rozpytuje przejezdnych o nowiny i bada, co o nich myślą. W południe wraca do swych nagich ścian, gdzie spożywa skromny posiłek. Po obiedzie idzie znów do szynku na partię szachów lub kart z gospodarzem, rzeźnikiem, młynarzem i dwoma ceglarnikami; zwykle dochodzi tam do sporów o całkiem drobne sumy pieniężne, ale kłótnię słyhać aż we wsi San Cacio. O zmroku Machiavelli zdejmuje z siebie ubogą, wytartą odzież, wkłada odświętny strój i zamyka się ze swymi księgami, aby spędzić resztę dnia w towarzystwie wielkich pisarzy starożytnych. Rozmawia z nimi, a oni wdają się z nim w przyjazny dyskurs. W ten sposób upływają mu cztery beztroskie

1/ W r. 1512, po powrocie Medyceuszów do władzy, Machiavelli, przez dwanaście lat faktyczny władca republiki florenckiej, został pozbawiony swych funkcji i skazany na wygnanie.

godziny, zapomina o strapieniach dnia codziennego, nie martwi się swym ubóstwem i nie dręczy myślą o śmierci. Obcuje blisko ze swoimi klasykami; stawia im pytania, a oni mu odpowiadają, to znów oni pytają, a on odpowiada. Czytuje ich dzieła i pracuje nad swymi własnymi.

Miguel Bermudez usiłował naśladować jego tryb życia. W otoczeniu swych obrazów, książek, rękopisów pracował nad *Słownikiem artystów* i nieraz spędzał godzinę lub nawet dwie nad swym dziełem, nie wstając ani razu, by spojrzeć na portret Lucii.

Lucia pisywała do niego dość często: listy jej były swobodne, jak gdyby rzeczywiście wyjechała do Paryża z jego polecenia. Pisała dużo o sprawach politycznych. Nawiązała kontakty z różnymi wpływowymi ludźmi; jej zdaniem, wszyscy byli zdumieni i rozgniewani, że Hiszpania wciąż jeszcze zwleka z zawarciem przymierza.

Przesyłała też wiadomości o malarzach paryskich, a przede wszystkim o losach malarza Jacques Louis Davida. David, który od upadku Robespierre'a siedział już dwa razy w więzieniu, postąpił godnie i mądrze, przystosował się bowiem do polityki nowego rządu, do rewizji zasad równości i wolności, nie wyrzekając się przy tym swych klasycznych ideałów republikańskich. Obecnie był znowu członkiem Rady Pięciuset, objął pieczę nad zbiorami sztuki Republiki i cieszył się sławą najznakomitszego i najbardziej wpływowego malarza Francji. Pracował teraz nad wielkim malowidłem pod tytułem *Sabinki*. Obraz ten o klasycznych liniach i klasycznej nagości ciała przedstawiał porwane niewiasty usiłujące pojednać obie wrogie strony; w ten symboliczny sposób artysta chciał uzmysłowić konieczność godzenia przeciwieństw. Monsieur David powziął koncepcję tego obrazu jeszcze w więzieniu, malował go już od szeregu miesięcy; był bowiem w robocie powolny, lecz bardzo sumienny. Cały Paryż, pisała Lucia, pasjonuje się postępami tego dzieła, co dwa tygodnie ogłaszane są o nim biuletyny.

Później Lucia dołączała do swych sprawozdań o paryskich mistrzach sztuki, a następnie nawet obrazy, tanio nabyte — jak pisała — wśród nich obraz Davida. Miguel patrzył w rozterce na cenne dzieła sztuki. Jako namiętny zbieracz, cieszył się z ich posiadania. Nie zapomniał wszakże, że oczekuje się po nim usług politycznych i że powinien spełnić przede wszystkim to, co do niego należy, to znaczy przyspieszyć zawarcie przymierza. Polityka ta odpowiadała zresztą jego przekonaniom, ale z przykrością myślał o tym, że przekonania te mogą być teraz mylnie tłumaczone.

Przy tym jasne było, że nawet bez owego pisemnego zobowiązania don Manuela zawarcie przymierza z Francją stało się koniecznością. Wprawdzie przymierze to mogło doprowadzić do groźnego uzależnienia Hiszpanii od znacznie silniejszej Republiki Francuskiej, z drugiej jednak strony, bez pomocy Francji Hiszpania nie była już zdolna obronić swych kolonii przed przemożną flotą angielską. W tych warunkach Principe de la Paz mógł spełnić wreszcie swą obietnicę nie narażając się na ataki.

Zwlekał jednak w dalszym ciągu i szukał coraz to nowych wybiegów, by zwodzić Paryż. Przed królową i don Miguelem udawał żarliwego patriotę, utrzymywał, że lęka się nałożyć na Hiszpanię pęta, od których przez długi czas nie będzie mogła się oswobodzić. Maria Luiza uśmiechała się, Miguel śmiał się w duchu. Oboje wiedzieli dobrze, że do tej taktyki skłaniają pierwszego ministra powody ściśle prywatnej natury. Don Manuel nawiązał stosunek miłosny z małą Genowefą, córką pana de Havre, królewskiego posła Francji.

Wplątał się w tę przygodę właściwie bez zapędu, prawie wbrew swojej woli. Pewnego wieczoru, na jakimś nudnym, oficjalnym zebraniu towarzyskim poczuł przelotną skłonność do Genowefy; pociągnęła go dziecięca szczupłość dziewczyny, co dawniej raczej go odpychało, oraz świadomość, że panna de Havre pochodzi z najstarszej szlachty francuskiej. Był także, choć nie bardzo się do tego przyznawał, trochę zazdrosny o Goyę; miał niejasne uczucie, że Pepa jeszcze niezupełnie wyzwoliła się od namiętności do malarza; korciło go pokazać jej, że nie może być całkiem pewna uczuć Manuela. Zaprosił tedy pod jakimś pozorem Genowefę do siebie i zaatakował ją bez ceregieli. Uciekła, blada, przerażona, i natychmiast opowiedziała ojcu o brutalnym napadzie. Monsieur de Havre stanął przed trudnym problemem. Republika nalegała, aby Hiszpania przestała wspierać rojalistycznych emigrantów francuskich; rozeszła się nawet pogłoska, że Dyrektoriat żąda wydalenia ich z Hiszpanii. Możliwe, że będzie to jeden z warunków przyszłego przymierza. Królewski suweren, Ludwik XVIII, wałęsał się jako emigrant polityczny po Niemczech, żył w opłakanych warunkach, zdany na zasiłki finansowe, o które nieszczęsny jego ambasador zebrać musiał u ministrów Katolickiego Króla. Kto wie, czy nie jest to zrzędzenie losu, że ta dzika bestia, Książę Pokoju, zakochał się w jego biednej córce. Czyż nie jest teraz jego patriotycznym obowiązkiem rzucić słodką Genowefę temu Minotaurowi na pożarcie?

W ten sposób Genowefa de Havre powiększyła grono kochanek

don Manuela. Wprawdzie dziewczyna sprzykrzyła mu się dość szybko, tym bardziej że Pepa wydawała się raczej ubawiona niż rozgniewana jego nową miłośką, ale wiotkie dziewczę okazało niespodzianie twardy charakter, a układny papa mógł się stać niebezpieczny, gdy o nią chodziło. Manuelowi robiło się nieprzyjemnie, gdy sobie wyobraził pana de Havre objeżdżającego Europę i wytaczającego swe skargi na Hiszpanię, która wykorzystuje ciężką sytuację monarchii francuskiej, by gwałcić francuskie arystokratki. Ponętna wydała mu się oczywiście myśl, że przez zawarcie przymierza z Francją i wydalenie rojalistów pozbędzie się pretensji Genowefy i jej ojca. Ale jaką minę przybierze każdy z dwunastu równych mu dzisiaj stanem i „tykających” się z nim grandów pierwszego rzędu, gdy się dowiedzą, że Principe de la Paz wygnał z kraju swoją małą przyjaciółkę! A jak drwić sobie będą z niego Pepa i Maria Luiza!

Jednakże Dyrektoriat paryski nie godził się na to, by politykę jego pokrzyżowały sprawy miłosne Manuela Godoy. Dotychczasowy ambasador Francji, generał Perignon, został odwołany z powodu zbytnej łagodności wobec Hiszpanii, na jego miejsce zaś mianowano obywatela Ferdynanda Piotra Guillemardet.

Informacje hiszpańskich agentów w Paryżu, dotyczące przeszłości politycznej obywatela Guillemardet, były przykrym zgrzytem w pogodnej ciszy letniej na zamku królewskim w San Ildefonso. Guillemardet, człowiek jeszcze młody, był dawniej lekarzem wiejskim gdzieś w pobliżu Paryża; departament Saône-et-Loire wybrał fanatycznego republikanina do Konwentu. W procesie przeciwko Ludwikowi XVI Guillemardet oświadczył: „Jako sędzia głosuję za karą śmierci. Jako polityk głosuję również za karą śmierci. Oddaję zatem dwa głosy za karą śmierci.” Zamianowany komisarzem specjalnym dla trzech północnych departamentów, zarządził dekretem, aby wszelkie budynki publiczne, które określano dotąd nazwą „świątyni, kościoła lub kaplicy”, nie służyły już więcej zabobonom, lecz wykorzystane zostały na cele dobra publicznego. I tego to człowieka, królobójcę i ateistę, wysłała teraz Republika do San Ildefonso, aby zmusić Hiszpanię do wygnania rojalistów i zawarcia przymierza.

Obywatel Guillemardet przyjechał i przedstawił się przede wszystkim hiszpańskiej Radzie Ministrów. Okazał się człowiekiem o statecznej prezencji i poprawnych, choć wyniosłych manierach, był ceremonialny i szorstki. Tak przynajmniej scharakteryzowali go ministrowie Króla Katolickiego. On zaś doniósł w swym pierwszym raporcie do Paryża, że gabinet hiszpański składa się z czterech matolek z indorem na czele.

Kiedy obywatel Guillemardet wstępował w służbę Republiki, złożył, zgodnie z przepisami, uroczystą przysięgę; ślubował „szczerę oddanie Republice i dozonną nienawiść królom”. Ale gdy znalazł się jako poseł na dworze Króla Katolickiego, trudno mu było jawnie okazywać nienawiść temu monarsze; zażądał tedy od Dyrektoriatu wskazówek, jak ma się zachować. Odpowiedziano mu, że powinien stosować się we wszystkim do hiszpańskiego ceremoniału dworskiego, aby tym energiczniej móc upierać się przy swych żądaniach politycznych. Miało to ten skutek, że nowy obywatel-poseł musiał poddać się pewnej upokarzającej ceremonii.

Najpierw na uroczystej audiencji wręczył Katolickiemu Królowi swe listy uwierzytelniające i przedstawił się całej rodzinie królewskiej. W sali tronowej zebrali się prócz pary królewskiej infanci i infantki; królobójca musiał z namaszczeniem całować w rękę nie tylko tego idiotę Carlosa i tę Mesalinę, Marię Luizę, ale także smarkaczy obojga płci. Najmłodszy z nich, mały Francisco de Paula, bękart „indora”, podbiegł do niego i przywitał go z dziecinną radością:

— Papo! papo!

Niedługo potem Guillemardet poznał smak taniej ironii don Manuela. W nocy wystosowanej do pierwszego ministra prosił, by nie tytułowano go „ekscelencją”, gdyż zgodnie z rozporządzeniem Dyrektoriatu urzędnicy Republiki winni używać tytułu „obywatel”.

Don Manuel odpowiedział mu na to:

„Muszę zawiadomić waszą ekscelencję, że wyraz *vous* jako forma zwracania się do kogoś nie jest używany w języku hiszpańskim. Hiszpanie zwracają się do osób niższego stanu w formie «wasza miłość», do osób zaś wyżej postawionych w formie «wasza ekscelencjo». Osoby najwyższego stanu zwracają się do równych sobie przez «ty». Ponieważ nie wolno mi waszej ekscelencji nazywać «waszą ekscelencją», proszę uprzejmie o wiadomość, czy na przyszłość, zwracając się do waszej ekscelencji, mam posługiwać się formą «ty».”

Przykrości, które dla dobra Republiki musiał znieść Guillemardet, zostały w pewnej mierze złagodzone tym, że król wydał na jego cześć obiad galowy.

Marii Luizie spodobał się nowy ambasador Francji. Twarz miał poważną, o rysach dumnych i wyrazistych. W barwnym, świetnym uniformie, przepisany ostatnio przez Dyrektoriat paryski dla wyższych urzędników Republiki, bardzo mu było do twarzy. Prezentował

się dobrze, w każdym razie znacznie lepiej niż chudy, i podstarzały, obdarty niemal Havre. Oświadczyła, że trzeba dbać o to, by obywatel Guillemardet czuł się dobrze, i że należy wydać dla niego obiad galowy. Pomysł ten był bardzo nie na rękę Księżciu de la Paz. Przewidywał skargi i wyrzuty małej Genowefy. Dziewczyna będzie śmiertelnie obrażona, jeśli on, Manuel, pozwoli, aby dwór w tak niezwykły sposób uczcił człowieka, który był jednym z katów jej króla. Manuelowi samemu przykra też była myśl, że wstrętny plebejusz ma być przyjmowany z takimi honorami. Starał się przekonać królową, że takie wyróżnienie *gabacha* będzie tłumaczone jako całkowita kapitulacja wobec żądań Republiki. Maria Luiza знаła istotne motywy Manuela i rada była, że znalazł się w tarapatkach.

— Niepotrzebnie się trudzisz, *cheri* — powiedziała z miłym uśmiechem — podoba mi się ten obywatel Guillemardet.

Don Manuel zaproponował, aby posłać także zaproszenie panu de Havre. Luiza, przewidując dalsze kłopoty, które zapewne wynikną stąd dla Manuela, zgodziła się z uśmiechem.

Obiad galowy na zamku San Ildefonso wydano ze splendorem i przepychem, jaki niespełna dziesięć lat temu towarzyszył zwykle ucztom w pałacu wersalskim. Tu jednak u góry stołu siedział w swym świetnym stroju plebejski królobójca, a przedstawiciel króla-wygnańca w zniszczonym mundurze i jego wąż córka musieli zadowolić się miejscami znacznie dalszymi. Obywatel Guillemardet, strojny i lśniący, rzucał od czasu do czasu ponure spojrzenia na nieszczęsnego rojalistę, który z wrodzoną godnością udawał, że ich nie dostrzega.

Po obiedzie ich królewskie mości odbyły *cercle*. Dla uczczenia obywatela Guillemardet podano do obiadu ludową hiszpańską potrawę *olla podrida*. Król lubił tę potrawę, a dziś dostarczyła mu ona pożądanego tematu do rozmowy.

— Jak panu smakowała nasza narodowa potrawa, kochany markizie? — zapytał jowialnie pana de Havre.

Havre, nie bardzo zachwycony przeładowanym plebejskim daniem, przyprawionym ostrymi korzeniami, wykrztusił z trudem parę słów uznania.

Król jednak, który nie znoślił tego sztywnego nudziarza, odwrócił się od niego i zagadnął z kolei ambasadora Republiki.

— A panu, ekscelencjo — spytał tubalnym głosem — jakże smakowała nasza narodowa potrawa? Podaliśmy ją na pańską cześć.

I zaczął rozwodzić się nad rozlicznymi sposobami przyrządzania



klasycznej *olla podrida*. Zgodność panuje co do dziewięciu gatunków jarzyn i siedmiu różnych korzeni, zdania są jednakże podzielone, czy głównym składnikiem ma być mieszanina wołowiny, baraniny, drobiu, kielbasy wieprzowej i słoniny, czy też należy użyć tylko trzech z tych gatunków mięsa, i których.

— Ja osobiście — oświadczył król — jestem za wszystkimi pięcioma gatunkami mięsa. Jak największa różnorodność, a wszystko dobrze z sobą wymieszane. Kiedy to zajadam, myślę sobie: oto jest alegoria, tak właśnie król związany jest z wszystkimi warstwami swego narodu.

Ambasadorowi Guillemardet pochlebiło to, że ten tyran i jego połowica okazywali mu tyle uprzejmości. Ale jednocześnie oburzał go nietakt dworu, gdyż wraz z nim zaproszono także rojalistycznego zdrajcę. Szybko zapomniał o tym, że chciano go uczcić; wzrastał w nim tylko zawzięty gniew z powodu doznanej zniewagi. Nazajutrz usiadł i napisał ostrą notę, w której, powołując się na poprzednie wezwania i nie szczędząc pogrózek, zażądał natychmiastowego wydalenia z kraju wiernych królowi emigrantów francuskich.

Maria Luiza zwróciła don Manuelowi uprzejmie uwagę, że zapraszając pana de Havre sam spowodował zaostrzenie starego konfliktu. Manuel nie znalazł na to odpowiedzi. Ale właśnie dlatego nie chciał teraz ustąpić przed żądaniem tego plebejusza; uważałby to za haniebną porażkę.

Wszystko raczej niż to!

Pojechał do Guillemardeta galowym powozem; niesiono przed nim głowę Janusa. Tłumaczył posłowi obszernie, że pogwałcenie prawa azylu sprzeciwia się podstawowym zasadom gościnności hiszpańskiej.

— Jeżeli rząd Katolickiego Króla — oświadczył zimno obywatel Guillemardet — ma zamiar dalej tolerować na swym terytorium obecność rojalistycznych zdrajców lub co gorsza, udzielać im wsparcia, Republika będzie musiała uznać to za akt wrogi.

Don Manuel pobladł nieco, był jednak przygotowany na taką odpowiedź.

— Pan de Havre — zaproponował grzecznie — otrzyma dyskretną wskazówkę, że wybawiłby dwór hiszpański z wielkiego kłopotu, jeśliby, powiedzmy, najdalej za rok udał się do swego władcy, który o ile wiadomo, przebywa w Niemczech.

— Republika — przerwał Guillemardet tonem jeszcze bardziej lodowatym i z wyraźną groźbą w głosie — musiałaby dalszą zwłokę...

— Proszę mi pozwolić skończyć, ekscelencjo — przerwał mu Principe de la Paz. — Rząd Katolickiego Króla nie chcąc narażać na szwank dobrej sławy hiszpańskiej gościnności, byłby skłonny poczynić Republice w innym kierunku ważne ustępstwa.

Podniósł się z miejsca, z brzękiem orderów. Oświadczył uroczyście:

— Jestem upoważniony złożyć w imieniu mego królewskiego władcy następujące oświadczenie na ręce waszej ekscelencji: jeżeli wasza ekscelencja przyjmie do wiadomości, że monsieur de Havre nie opuści przed upływem roku terytorium Hiszpanii, natenczas Katolicki Król gotów będzie zawrzeć i podpisać przymierze w ciągu dwóch tygodni, w formie zaproponowanej przez Republikę w ostatniej nocy.

W ten więc sposób doszło ostatecznie do skutku z dawna przygotowane przymierze zaczepno-odporne między Katolickim Królem a Zjednoczoną i Niepodzielną Republiką Francuską. Korona hiszpańska musiała jednakże odtąd liczyć się z tym, że nieuchronnym następstwem przymierza będzie otwarty konflikt z Wielką Brytanią.

Zarządzono pogotowie wojenne dla floty i wszystkich portów. Następnie odbył się w zamku San Ildefonso uroczysty akt podpisania i opatrzenia pieczęciami traktatu, mocą którego Katolicki Król i Republika stawali się sprzymierzeńcami.

Lord zaś Saint Helens, ambasador jego brytyjskiej mości, zażądał swoich paszportów.

## XXI

Przez wiele dni Goya pozostał zupełnie głuchy, zamknięty w swoim szaleństwie. Stracił wszelką miarę, odrzucał z wściekłością próby zbliżenia się przyjaciół, przesadzał jeszcze w swym obłędzie przed ludźmi. Wszyscy postępowali z nim teraz jak Agustin, chodzili na palcach w jego obecności; wiedzieli, że nie chce niczyjej pomocy.

Przyszła Alba. Służba otrzymała surowe polecenie, aby zatrzymać każdego gościa, i nie dopuszczała nikogo do Goyi. Księżnę przyjęła Josefa. Mówiła z nią grzecznie, lecz zimno. Była przekonana, że nie śmierć dziecka, lecz ta kobieta była przyczyną załamania się Francha.

— Don Francisco — powiedziała Albie — długo jeszcze, może miesiące całe, nie będzie zdolny do pracy ani do utrzymywania stosunków towarzyskich.

Przez szereg dni, przez tydzień przeszło, Goya nie pozwalał nikomu zbliżyć się do siebie prócz Josefy i Agustina, ale i do nich dwojga odnosił się z głuchą urazą.

Pracowity Agustin, który miał w tym czasie niewiele do roboty, spędzał dni na doskonaleniu się w technice rytowniczej. Miedziorytnik Jean-Baptiste Leprince /1 wynalazł mianowicie sposób powielania przy pomocy miedziorytu rysunków wykonanych piórkiem maczanym w tuszu. Za życia trzymał wynalazek ten w tajemnicy, ale po jego śmierci ogłoszono go w Encyklopedii Metodycznej; gorliwy Agustin Esteve ćwiczył się teraz w tej metodzie. Goya przypatrywał się jego próbom, przeważnie błędząc myślami gdzie indziej. Kiedyś, przed laty, sam próbował robić sztychy podług Velazqueza, ale bez wielkiego powodzenia. Agustin sądził, że nowa technika zainteresuje mistrza, ale z przezorności nie nawiązywał z nim rozmowy. Francisco o nic nie pytał; stawał jednak raz po raz za stołem Agustina i przyglądał się jego robocie.

Czasem przychodził don Miguel. Z początku nie mówił prawie wcale, później półgłosem rozmawiał z Agustinem. Nie wiedzieli, czy Francisco ich słyszy.

Ale pewnego razu zdradził się, że słucha uważnie. Miguel opowiadał właśnie ze szczegółami, jak malarz Jacques Louis David przeszedł na stronę nowego rządu. Gdy Miguel skończył, Agustin wypowiedział kilka urągliwych uwag. Dzieła Davida, mówił, mimo formalnej doskonałości, robiły na nim zawsze wrażenie pustej fasady; nie dziwi go też wcale, że David porzucił „Wolność, Równość i Braterstwo” i przeszedł na stronę nowych władców, kupieckiej burżuazji.

Goya uśmiechnął się jadowniczo. „A więc Jacques Louis David — pomyślał — ten wzór republikanina, bożyszczce *afrancesados*, też się przystosował do nowych czasów.” A od niego, Francisca, domagają się przyjaciele, by stał się rewolucjonistą. „Jeżeli złoto rdzewieje to czegoż wymagać od żelaza?”

— Wydaje mi się zrozumiałe — odezwał się wreszcie zgryźliwie — że nie miał ochoty iść na szafot. Ale postąpiłby bardziej klasycznie i zgodnie ze swym stylem, gdyby dał głowę.

Twarz Goyi rozjaśniła się po raz pierwszy, gdy niespodzianie zjawił się w pracowni Zapater, jego ukochany Martin. Josefa napisała do niego do Saragossy; ale ani ona, ani Martin nie zdradzili

1/ Leprince Jean Baptiste (1734—1781) — grafik francuski, uczeń Bouchera; przebywał przez pięć lat w Rosji, rysując i rytując wiele scen z życia mieszkańców tego kraju.

się przed Franciskiem, że przyjaciel przybył tu tylko z niepokoju o niego.

Nareszcie miał więc Francisco kogoś, komu mógł bez zastrzeżeń zwierzyć się ze swego nieszczęścia i ze swego gniewu. Opowiedział mu też, jak ta kobieta zmusiła go do kłamstwa, że dziecko jego ciężko zachorowało; gdyż tylko ona, ta niegodziwa szelma Cayetana, swymi czarami podsunęła mu ten pomysł. I jak później, kiedy zabiła mu dziecko, przyszła, aby jeszcze z niego szydzić. A kiedy zarzucił jej tę winę, obsypała go wyzwiskami, jak dziewczka uliczna niezadowolona z zapłaty. Dostał wtedy ataku szału i ogłuchł.

Martin paląc słuchał go ze spokojem i uwagą. Nic nie odpowiedział, jego chytre, dobroduszne oczy ponad potężnym nosem patrzyły z namysłem i współczuciem.

— Wiem, uważasz mnie za wariata — wybuchnął Francisco. — Wszyscy uważają mnie za wariata. Chodzą koło mnie po cichu jak dokoła obłąkanego. Nie jestem obłąkany — szalał — to jest obelga. A jeżeli jestem wariatem, to z jej winy. Ona rzuciła na mnie czary, ona wpędziła mnie w obłąd. Kiedy oglądała mój obraz *Dom obłąkanych*, powiedziała, że chciałaby wziąć udział w tym szaleństwie.

— Muszę ci coś powiedzieć — zaczął znów po chwili Francisco. Mówił dotąd głośno, teraz podszedł zupełnie blisko do Martina i mówił głosem cichym, tajemniczym. — Jeszcze nie jestem wariatem — rzekł. — Ale możliwe, że zwariuję. Czasem, nawet często, czuję, że to się stanie.

Martin Zapater był ostrożny i skąpy w odpowiedziach; jego spokój działał na Francisca kojąco.

Na krótko przed odjazdem Martina do Saragossy przyniesiono Goyi wiadomość od starej markizy. Donia Maria Antonia zapytywała, czy Goya ma teraz czas, aby zacząć ów drugi jej portret, o którym była mowa w Piedrahita.

Przed Martinem, który go nakłaniał, aby przyjął to zamówienie, Goya udawał, że trudno mu zdobyć się na decyzję; właściwie jednak był od razu zdecydowany przyjąć je. Może był to pomysł Cayetany, a jeśli nie, to może przypadek sprowadzi ją do domu markizy, podczas gdy będzie tam pracował. Pragnął ją znowu zobaczyć, paliła go wściekłość i żądza. Nie zdawał sobie sprawy, co uczyni i jak się zachowa, gdy ją zobaczy, ale musiał ją zobaczyć. Przyjął zlecenie.

Już wkrótce poznał, że donia Maria Antonia de Villabranca domyśla się wiele z tego, co zaszło między nim a Cayetaną, więcej, niż mu to było miłe. Chwilami, kiedy wyniośle, choć życzliwie

i swobodnie patrzyła mu w oczy, miał wrażenie, że stoi przed nią nagi. Żałował, że przyjął zlecenie.

Pomimo to przewlekał robotę. Lękał się i jednocześnie pragnął spotkania z Cayetaną. A kiedy patrzył na markizę, otwierały mu się oczy na pewne mroczne, ukryte szczegóły życia i charakteru Cayetany, których dotychczas nie śmiał sobie uświadomić ani o nich pomyśleć. W przystępie wściekłości nazwał ją nieplodną. Czyż było tak naprawdę? Gdyby z którymś ze swych kochanków miała dziecko i wydała je na świat, czyż księżę i markiza zgodziliby się na to, aby bastard odziedziczył nazwiska i tytuły Villabranca i Alba? Możliwe, że dla uniknięcia tego rodzaju komplikacji Cayetana uciekała się do pomocy doktora Perala, Eufemii lub ich obojga. Możliwe, że tym właśnie tłumaczą się jej zażyłe stosunki z lekarzem. Pracując nad portretem markizy Goya pojął, że życie rodzinne w domu Alba nie jest tak proste, jak mu się wydawało.

A poza tym nie szczęściło mu się jakoś z portretem doni Marii Antonii. Nigdy przedtem nie robił tylu szkiców do jednego obrazu, nigdy chyba nie miał tak niejasnego pojęcia co do samej koncepcji dzieła. W dodatku wciąż jeszcze niedobrze było z jego słuchem. U osób, wobec których czuł się pewnie, łatwo odczytywał wyrazy z ruchu warg; z tego jednak, co mówiła markiza, rozumiał niewiele. Stracił też nadzieję, że spotka a niej Cayetanę.

Martin wyjechał do Saragossy. Za to coraz częściej odwiedzał go teraz don Miguel, który z niewielu słów Francisca zorientował się być może w jego obecnych troskach i przykrościach. Pewnego dnia zrobił mu propozycję, którą ubrał w formę prośby o przysługę; w rzeczywistości jednak, wczuwając się w położenie Francisca, chciał przyjść mu z pomocą.

Stosunki pomiędzy don Manuelem a ambasadorem Republiki Francuskiej były od początku nacechowane chłodem. Rozum polityczny wymagał wprawdzie utrzymywania obywatela Guillemardet w dobrym nastroju, Principe de la Paz nie mógł jednak odmówić sobie przyjemności, aby temu plebejuszowi, do którego czuł osobistą urazę, nie okazać jawnej niechęci. Senior Bermudez starał się ze swej strony udobruchać wpływowego posła i korzystał z każdej sposobności, by mu się przysłużyć. Otóż Guillemardet interesował się sztuką; złościło go to, że największy malarz Hiszpanii namalował portret rojalistycznego posła, pana de Havre. Napomknął Miguelowi, że cieszyłby się, gdyby senior de Goya zechciał i jego sportretować. Don Miguel nakłaniał Francisca, by przyjął to zamówienie; oddałby tym przysługę sprawie hiszpańskich liberałów, a może praca ta

pomogłaby i jemu samemu oderwać się od smutnych myśli. Ale musiałby zacząć ją jak najprędzej; Francuz jest bowiem człowiekiem niecierpliwym, a teraz rozdrażniło go zachowanie się don Manuela, który zbyt często kazał mu czekać na siebie.

Francisco rad był, że nadarza mu się pretekst do przzerwania pracy nad portretem markizy. Gdy usprawiedliwił się przed nią, odpowiedziała życzliwie, że będzie mógł wrócić do tej roboty, kiedy znajdzie czas i ochotę.

Pomimo uprzejmości markizy opuścił Palacio Villabranca w markotnym nastroju. Wstydził się przed nią i przed sobą samym, że nie dokończył portretu. Nie zdarzyło mu się to chyba nigdy dotąd i nieraz potem dręczyła go myśl o nie dokończonym obrazie.

Z tym większą gorliwością zabrał się do nowej pracy. Guillemardet, któremu pochlebiło to, że Goya natychmiast uczynił zadość jego życzeniu, przyjął go bardzo łaskawie. Życzył sobie, aby Goya malował go w uniformie, z wszystkimi oznakami jego urzędowej godności.

— Niech pan nie maluje mnie, czcigodny mistrzu — powiedział — niech pan namaluje Republikę. W Republice — tłumaczył mu, robiąc szeroki gest ręką — zaszło w tych latach wiele ważnych przemian. Z pewnością słyszał pan już, obywatelu Goya, o dynamis i entelechii Arystotelesa, o zarodku, o możliwościach tkwiących w rzeczach od samego początku i dążących do rozwoju i urzeczywistnienia się. Tak i Republika stawała się coraz dojrzałą, bardziej republikańską, a wraz z nią Ferdynand Piotr Guillemardet przeobrażał się w obywatela Guillemardet.

Francisco niewiele zrozumiał z napszonych francuskich zdań. Ale pomyślał przelotnie o malarzu Davidzie i pojął, że Guillemardet, ten królobójca i ateista, walczył i cierpiał widząc, jak Republika wymyka się z rąk ludu i przechodzi pod władzę chciwej zysków wielkiej burżuazji. Widział, że Guillemardet usiłuje ukryć przed samym sobą tę przemianę. Wyczuwał w postawie ambasadora stałe napięcie, widział szaleńczą niemal dumę w jego oczach; zdawał sobie sprawę, że samoułuda, do której uciekł się ten człowiek, musi pogрузić go w coraz głębszy obłęd.

Odtworzyć to wszystko na płótnie było dla Goyi nęcącym zadaniem, a choć nie bardzo rozumiał, co Guillemardet do niego mówił, malował go tak właśnie, jak tamten tego chciał. Namalował zwycięską Republikę, jej wzniosłość i teatralną pozę, oddał jej pyszałkowatą, pompatyczną, obłądną wprost zarozumiałość.

Utrata słuchu sprawiała, że tym bystrzejsze było oko Francisca.

Nie mogąc słyszeć dźwięku słów, wynagradzał sobie ten brak barwami. Namalował barwy Republiki tak jak nikt przed nim, było to jakieś oszałamiające bogactwo błękitu, bieli i czerwieni.

I oto siedzi tu Ferdynand Guillemardet, niedawno jeszcze skromny lekarz wiejski, dziś ambasador Zjednoczonej i Niepodzielnej Republiki, który króla Ludwika XVI po dwakroć skazał na śmierć, a monarchię hiszpańską zepchnął do roli wasala swego kraju; siedzi w ciemnogramatowym uniformie, w postawie nieco teatralnej, cała prawie postać przedstawiona jest z profilu, lecz twarzą zwrócona wprost ku widzowi. Na pierwszym planie, najbliżej widza, błyszczą rękojeść szpady, trójkolorowym splotem barw mieni się szarfa. Na stole leży wspaniały trójgraniasty kapelusz dyplomaty z trójkolorowym piórem i trójkolorową kokardą. Jedną rękę poseł trzyma na poręczy krzesła, drugą gestem pełnym siły i gracji opiera o udo. Ale całe światło obrazu skupia się na twarzy. Krótko przycięte czarne loki przyczesane są na szerokie ładne czoło, nos wydatny, usta o śmiałych łukach. Twarz podłużna, kształtna, rozumna, twarz człowieka, który świadomy jest swej ważności. Przedmioty otaczające, fotel, stół, obrus obramowany frędzlami, mają połysk matowy, złotawożółty, przytłumiony bladym błękitem. A wszystkie te ostre dysonanse barw tworzą zharmonizowany artystycznie chaos.

Pierwotnie, w przystępie mizantropii, Goya przedstawił twarz i postać ambasadora tak, że Guillemardet robił wrażenie bardziej jeszcze zarozumiałego i wyniosłego, bardziej afektowanego; uwydatnił jaskrawo manię wielkości posła i jego Republiki. Ale Miguel i Agustin w ostrożnych rozmowach chwalili świadomą celu energię Guillemardeta oraz olbrzymie osiągnięcia Republiki. I Goya złagodził wszystko, co w tym mężu mogło wydać się rażące, a podkreślił to, co stanowiło jego siłę.

Ferdynand Guillemardet we własnej osobie stanął przed portretem obywatela Ferdynanda Guillemardet. Patrzyli sobie przez chwilę w oczy. Wreszcie ambasador Francji, przejęty własną wielkością i wielkością swej ojczyzny, odezwał się:

— Tak, to jest Republika!

Francisco nie słyszał dobrze słów. Ale gdy spojrzął w oczy temu mężowi i gdy zobaczył, jak poruszają się jego wargi, zagrały mu w duszy dźwięki Marsylianki.

Epidemia, która zabrała w Madrycie tyle ofiar wśród dzieci, dogasała już prawie, kiedy zachorował najmłodszy synek doni Marii Luizy, infant Francisco de Paula. Maria Luiza urodziła ośmioro dzieci; z sześciorga, które pozostały przy życiu, ten mały książę był jej ulubieńcem. Miał rudoblond włosy, był bez wątpienia synem don Manuela. I to najukochańsze dziecko królowej leżało teraz bezbronnie w swym łóżeczku, oddychało z trudem, walczyło ze śmiercią.

Stary lekarz przyboczny królowej, doktor Vicente Piquer, zalecił wodę z lodem i zimne okłady. Maria Luiza spochmurniała. Zawezwała doktora Joaquina Perala, który cieszył się w mieście największą sławą, ale i najwięcej miał wrogów. Ten uważnie i uprzejmie wysłuchał opinii swego starszego kolegi, po czym przepisał tego rodzaju środki, że lekarz przyboczny otworzył usta ze zdziwienia i oburzenia.

Stan chłopczyka poprawił się, dziecko wyzdrowiało.

Donia Maria Luiza spytała doktora Perala, czy nie zechciałby podjąć się dalszej opieki lekarskiej nad małym infantem, nad nią samą oraz nad całą rodziną królewską.

Propozycja królowej była dla Perala wielką pokusą. Otwierała możliwość uzyskania wszechstronnych wpływów tak politycznych, jak i prywatnych; umożliwiała dostęp do wspaniałych zbiorów sztuki królów Hiszpanii. Z drugiej strony, o ile by ją przyjął, pozostałoby mu już niewiele czasu na pracę naukową i własne zbiory obrazów; musiałby też wyrzec się rozkoszy i goryczy zażytych stosunków z Cayetaną. W unizonych słowach poprosił o czas do namysłu.

Doktor Peral, zazwyczaj tak trzeźwy i spokojny, był pełen sprzecznych myśli. Jeżeli odmówi, odrzuci tym samym niepowtarzalny dar losu, a co gorsza, przysporzy sobie wroga w królowej. Nie chciał jednakże utracić swej *duquesity*.

Nikt, nie wyłączając samej Cayetany, nie znał jej lepiej niż Peral. Z bezwstydną, obojętną rzeczowością obnażała przed nim po sto razy swe ciało, by mógł je zbadać, powierzała mu dolegliwości tego ciała, żądała pomocy i korzystała z niej. A wykształcony doktor Peral wiedział, że wielkie damy starożytnego Rzymu nie inaczej traktowały uczonych niewolników greckich, których kupowały sobie, by korzystać z ich pomocy i porady; powierzały ich opiece swe piękne ciała, ale zręczne dłonie tych pielęgniarzy nie miały dla nich większego znaczenia niż szczoteczki i gąbki. Choć



*duquesita* odnosiła się do niego jak do przyjaciela, powiernika i doradcy, don Joaquin zastanawiał się często, czy jest w jej oczach czymś więcej niż taki grecki lekarz-niewolnik.

Doktor Peral uważał się za wolnomyśliciela najlepszej szkoły. Nauczycielami jego byli Lamettrie, Holbach, Helvetius; był głęboko przeświadczony, że uczucia i myśli są jedynie funkcjami ciała, podobnie jak wydzielanie moczu lub potu. Anatomia ciała ludzkiego jest zawsze jednakowa i niezmienna; jednakowe są również żądze cielesne; pomiędzy uczuciami byka pokrywającego krowę a uczuciem Dantego dla Beatrice zachodzi tylko różnica stopnia; nie brak wprawdzie takich, którzy uważają miłość za coś zasadniczo różnego od fizycznego pożądania, jest to jednak tylko idealizujący przesąd. Doktor Peral określał sam siebie jako materialistycznego hedonistę, twierdził, że jedynym sensem życia jest użycie, i nazywał siebie za przykładem Horacego, „świnką z trzody Epikura”.

Ale wobec Cayetany Alba zawodziła cała jego filozofia. Sądził, że gdyby się poważnie wziął do dzieła, mógłby „mieć” swoją *duquesitę*. Dziwnym trafem jednak, a właściwie wbrew swoim przekonaniom, nie wystarczało mu to. Od niej pragnął czegoś więcej. Obserwował, jak dobierała sobie mężczyzn, i widział, że kierowała się jedynie uczuciem. Obojętne było, jak długo trwało to uczucie: mogło trwać tylko godzinę albo jeszcze krócej, ale istniało; nigdy nie zależało jej na tym, aby mieć jakiegokolwiek mężczyznę, lecz zawsze jednego, określonego. Ale niestety on, Peral, nie był nigdy tym jednym.

A skoro tak rzeczy stoją, to szaleństwem jest nie przyjąć propozycji doni Marii Luizy. Żadną, choćby największą przysługą nie zjedna sobie kapryśnych uczuć Cayetany; jeśli teraz odmówi, straci największą szansę swego życia. Mimo to wiedział, że odmówi. Życie jego straciłoby sens, gdyby przestał oddychać powietrzem Cayetany, gdyby nie mógł z bezpośredniej bliskości śledzić nieobliczalnych kaprysów jej gibkiego ciała.

Opowiedział Cayetanie o propozycji Marii Luizy; mówił to lekko, jakby mimochodem.  
— Aby uczynić zadość wymogom uprzejmości — rzekł — prosiłem o czas do namysłu. Ale oczywiście odmówię.

Ostatnie tygodnie nie były dla Cayetany przyjemne. Odczuwała dotkliwie brak Francisca, z trudem zniosłaby stratę Perala. Nieprzyjaciółka, Włoszka, dobrze wybrała moment, by zadać jej ten cios. Cayetana opanowała się. Tonem równie lekkim odpowiedziała:

— Pan wie, że rada będę, jeśli pan ze mną zostanie, ale

spodziewam się, że jeśli pan odmówi, to nie ze względu na mnie — i spojrzała na niego spod wysoko wzniesionych brwi spokojnym, chłodnym spojrzeniem swych metalicznie błyszczących oczu.

Peral zrozumiał, co odczuwała: oczekiwała, że zażąda w nagrodę za swą odmowę, aby mu się oddała. Możliwe i prawdopodobne nawet, że uczyniłaby to; ale wtedy właśnie stałby się dla niej obcym, wtedy straciłby ją na zawsze.

Ona zaś mówiła dalej:

— Z pewnością zdaje pan sobie sprawę z tego, że jestem niewdzięczna.

— Wiem o tym — odpowiedział Peral spokojnie. — Jeżeli nie przyjmę tej propozycji, uczynię to ze względu na siebie, a nie na panią.

— To dobrze, don Joaquinie — rzekła, wspięła się na palce jak dziecko i ucałowała lekko, z powagą jego pochylone ku niej czoło.

### XXIII

Żyła tak jak dotąd, w wirze zajęć i rozrywek. Miała niezliczone spotkania, widywano ją w teatrze, na walkach byków, przyjmowała gości, bywała na przyjęciach towarzyskich, była miła i przyjazna w pożyciu domowym z don Josem i markizą. Do pożycia tych trojga ludzi gładkich i dobrze wychowanych wkradło się jednakże od pewnego czasu lekkie napięcie.

Kiedy markiza zaręczyła swego syna z ostatnią i jedyną latoroślą dumnego, ponurego rodu Alba — oboje byli jeszcze wówczas prawie dziećmi — uczyniła to nie tylko dlatego, aby połączyć tytuły i fortuny obu wielkich rodów, ale i dlatego, że podobała jej się stanowcza, samodzielna, pełna wdzięku Cayetana; spodziewała się, że żywotna, bogata natura tej dziewczyny zasili delikatną, wątłą strużkę życia Josego. Wiedziała wprawdzie, że Cayetana, wychowana z woli dziadka podług zasad Rousseau, była od wczesnej młodości nieco ekscentryczna, *chatoyante*; ale donia Maria Antonia liczyła na to, że kobieta z rodu Alba będzie miała bez względu na wychowanie, jakie odebrała, niezawodny zmysł dla tradycji i dobrego tonu.

I w istocie donia Cayetana mimo swoich kaprysów i zachcianek umiała zawsze zachować pozory prawdziwej damy. Choć miała

liczne miłostki, nigdy nie stawiała markizy i don Josego wobec trudnego zagadnienia, czy mają uznać bękartą za spadkobiercę największego nazwiska Hiszpanii. Nie zwracała się nigdy do markizy z kłopotliwymi pytaniami lub prośbą o radę, ze zreżnością i taktem znajdowała środki, by uniknąć takiej sytuacji.

Teraz jednakże Cayetana zawiodła, nie dopisała, choć nieraz przecież z daleko cięższych opałów wychodziła obronną ręką, nie wywołując zgorszenia. Nikt nie brał za złe wielkiej damie, że miała swego *corteja*. Nikt też nie wziął za złe księżnie Alba, że wybrała sobie na *corteja* nadwornego malarza Francisca de Goya. Ale sposób, w jaki afiszowała się swoją namiętnością do niego, był niewłaściwy, a teraz już zupełnie przebrała miarę, zrywając tę przyjaźń tak nagle zamiast rozwiązać ją po cichu, stopniowo i nieznacznie. Cały Madryt domyśla się, że to było coś więcej niż przelotna igraszka, i z uśmiechem politowania patrzy na księcia. Teraz markiza musiała wbrew swej woli otworzyć oczy i zdać sobie sprawę z uczuć Cayetany.

Księżę odczuwał to wszystko podobnie jak jego matka. Cayetana nigdy nie udawała przed nim miłości, okazywała mu jednak koleżeńską przyjaźń i zrozumienie, a on w zamian przyjmował ze spokojem jej wybryki. Lecz teraz nagle jedna z zachcianek przeobraziła się w gwałtowną namiętność, obrażającą jego wrodzoną wytworność i poczucie umiaru. Mąciło to jego równowagę duchową i sprawiało, że mimo zewnętrznego opanowania był przeczulony i drażliwy.

W tym przewrażliwionym nastroju powziął niespodziewanie brzemiennie w skutki postanowienie. Od wczesnej młodości kochał muzykę ponad wszystko. Cierpiał katusze słuchając hałaśliwych, banalnych sądów króla o muzyce lub jego niezdarnych, irytujących dowcipów. Obecnie nie mógł już tego dłużej znosić. Pewnego dnia, zmuszony do wysłuchania kwartetu, w którym don Carlos rzępolił jako pierwszy skrzypek, oświadczył matce, że brutalna, bezduszna tępota króla zdławiła w Hiszpanii wszelką prawdziwą muzykę i że on nie wytrzyma dłużej życia na dworze i w Madrycie. Postanowił wybrać się w podróż do Włoch i do Niemiec, aby obmyć w czystym zdroju uszy i serce.

Obawiał się, że matka będzie przeciwna tej podróży. Donię Marię Antonię w istocie zaniepokoiła myśl, czy jazda ta nie będzie dla don Josego zbyt uciążliwa. Jednakże miała nadzieję, że zmiana otoczenia i muzyka podziałają na niego ożywczo. Przede wszystkim jednak spodziewała się po cichu, że wyjazd rozwiąże sam przez się

problemat Cayetany, która w towarzystwie włoskich i niemieckich panów zapomni wkrótce o swym madryckim malarzu. Plan don Josego przyjęła przeto bez wahania i pochwaliła gorąco. Postanowili wybrać się w drogę możliwie rychło.

— Chciałbym — rzekł don Jose — abyśmy wyjechali w najściślejszym gronie, tylko ty, mamó, Cayetana i ja. Weźmiemy z sobą jak najmniej służby.

— No i doktora Perala oczywiście — rzekła markiza.

— Raczej nie — odparł don Jose. Markiza spojrzała na niego z uwagą.

— Myślę — powtórzył don Jose uprzejmie, lecz z niezwykłą u niego stanowczością — że nie weźmiemy z sobą Perala. Zbyt dobrze zna się na muzyce — dodał z uśmiechem — a ja chciałbym wyrobić sobie własne zdanie o tym, co mi się spodoba.

Markiza uśmiechnęła się również. Zrozumiała, że to, co mówił Jose, było tylko w połowie prawdą. To pewne, że woli być w tej podróży sam na sam ze swoją muzyką; ale przede wszystkim chce mieć Cayetanę samą, z dala od człowieka, który tak dobrze zna jej tajemnice.

— Dobrze — rzekła — pojedziemy bez don Joaquina. Gdy don Jose opowiedział Cayetanie o planowanej podróży, odczuła przykre zdumienie. Próbowała pytać go ostrożnie, czy przy swej wątłej konstytucji wytrzyma trudy długiej i męczącej podróży i czy nie byłoby rozsądniej spędzić lato w Piedrahita lub w jednej z posiadłości nadmorskich. Ale Jose był jakby odmieniony, nowy, ożywiony i pełen energii; zbył jej obawy w uprzejmy, lecz stanowczy sposób.

Cayetana całą duszą przeciwna była tej podróży. Nie wyobrażała sobie życia poza Hiszpanią; nawet podczas dwukrotnego pobytu we Francji tęskniła za krajem i nalegała na szybki powrót. Już same nazwy miast niemieckich i nazwiska niemieckich muzyków, które wymienił don Jose, wydawały się jej barbarzyńskie. Przede wszystkim jednak obawiała się, że Francisco błędnie sobie tę podróż wytłumaczy; będzie przypuszczał, że wyjechała z Madrytu, aby go dręczyć, i nie da jej nawet sposobności do wyjaśnień; tym razem straci go na zawsze. Jeśli jednak nie zgodzi się towarzyszyć chorowitemu mężowi, nie tylko dwór, ale cały kraj zwróci się przeciwko niej. Uznała, że nie może don Josemu odmówić.

Udała się do doni Marii Antonii. Markiza okazywała jej zawsze dużo pobłażania: powinna zrozumieć, że Cayetana nie może teraz wyjechać z Hiszpanii. Przedstawiała jej, że trudy podróży mogą

don Josemu zaszkodzić, prosiła ją usilnie, by odwiodła syna od tego zamiaru.

Ale tym razem donia Maria Antonia nie chciała zrozumieć. Cayetana dostrzegła wrogość w mądrej, dobrotliwej twarzy markizy; w uśmiechu jej długich, wąskich ust nie było życzliwości.

Tak, dla markizy był to w istocie mały, złośliwy triumf. Wiele przeżyła, знаła miłość, rozumiała namiętność Cayetany i jej nagłą prośbę. Ale Jose był jej synem, wszystkim, co posiadała w życiu; z pewnością długo już nie pożyje; Cayetana powinna mieć na tyle taktu, aby mu nie zatruwać ostatnich jego lat. Powinna przynajmniej udawać przed don Josem, że jej na nim zależy.

— Nie podzielam twych obaw, donio Cayetano — rzekła z uprzejmym spokojem. — Spodziewam się, że don Jose odniesie z tej podróży dużo korzyści.

O tej samej godzinie księżę oznajmił doktorowi Peralowi, że wyjeżdża na dłuższy czas za granicę. Peral był zaskoczony. Czy to Cayetana wysyła księcia? Czy pragnie zostać sama? Zapytał księcia ostrożnie, czy jego wysokość nie obawia się trudów podróży? Don Jose odpowiedział jakby od niechcienia, że spodziewa się, iż ożywi go widok nowych ludzi i wpływ nowej muzyki. Peral, wciąż jeszcze z wahaniem — gdyż nie wiedział, czy *duquesita* wyjeżdża wraz z mężem — spytał, czy księżę życzy sobie, aby mu towarzyszył. Don Jose odparł z tą samą, niezwykłą u niego, niefrasobliwą lekkomyślnością, że dziękuje bardzo don Joaquinowi, ale nie chce się rozpieszczać i spróbuje dać sobie radę bez lekarza.

Doktor Peral udał się od razu do księżny. Cayetana nie wiedziała, że mają jechać bez Perala. Usiłowała nie zdradzić się z tym, że była tą wiadomością przykro zaskoczona. Stali przez chwilę bezradni. Spytał, czy jej decyzja towarzyszenia księciu jest ostateczna. Nie odpowiedziała na to wprost, zrobiła tylko nieznaczny ruch, pełen rezygnacji, rozpaczy niemal; po raz pierwszy ujrzał w jej oczach smutek i jakby prośbę o pomoc. Nigdy, nawet w chwilach kiedy pilniej jeszcze niż dziś potrzebowała jego pomocy, ta najbardziej niezależna i najdumniejsza z dam Hiszpanii nie dawała poznać po sobie tego rodzaju uczuć. Doznał drobnej, gorzkiej satysfakcji, że Cayetana Alba jemu jedynemu zawiera swoje strapienia.

Tylko przez krótką chwilę twarz jej błagała o pomoc. Ale wydało mu się, że w tej krótkiej chwili zrozumieli się nawzajem lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Rozpoczęły się przygotowania do podróży. Kiedy członkowie

rodów takich jak Alba albo Villabranca wybierali się w podróż, choćby z najmniejszym orszakiem, czyniono staranne przygotowania.

Pocili się więc intendenci i kurierzy, gońcy, służba, krawcy, pokojówki. Posłowie Bawarii i Austrii, Parmy, Modeny i Toskany wiele mieli pracy z pisaniem i wysyłaniem zawiadomień. Albowiem książę z niezwykłą jakąś energią naglił do pośpiechu; pragnął szybko, jak najszybciej wyruszyć w podróż.

#### XXIV

Ale podróż nie doszła do skutku. Podczas przygotowań do wyjazdu książę począł skarżyć się na jakieś dziwne osłabienie. Naprzód odroczone termin wyjazdu, później zaniechano podróży całkowicie.

Don Jose był zawsze słabego zdrowia. Teraz jednak zmęczenie obezwładniło go do tego stopnia, że prawie nie mógł się poruszać. Nie pomagały napoje wzmacniające, lekarze nie umieli wytłumaczyć stałego, silnego wyczerpania.

Don Jose spędzał przeważną część dnia siedząc w fotelu, otulony w obszerny szlafrok, z przymkniętymi oczyma, w bolesnym osłabieniu. Kiedy otwierał oczy, wydawały się one jeszcze większe w zapadniętej twarzy, która nabierała ostrości, surowości i wyrazu cierpienia. Widoczne było, że życie z niego ucieka.

W stosunku do doni Cayetany zachowywał spokojną i uprzejmą, lecz wyniosłą rezerwę. Podobną, uprzejmą i lodowatą obcość okazywała jej markiza. Spokojna i pogodna zawsze donia Maria Antonia, teraz, kiedy cierpiała, upodobniła się do syna. Ani słowem nie zdradziła, że przypisuje ostatnim wydarzeniom jakikolwiek wpływ na chorobę syna; ale Cayetana zrozumiała, że w doni Marii Antonii nigdy już nie będzie miała przyjaciółki.

Kiedy widoczne było, że zbliża się koniec, don Jose wyraził życzenie, by go przeniesiono do Palacio Villabranca. Dotychczas nie chciał położyć się do łóżka, teraz nie wzbraniał się już więcej. Pielęgowany przez matkę, przez brata Luisa i bratową Marię Tomasę, leżał bezwładny, jakby znużony własnym dostojeństwem. Cayetana czuła się pośród nich jak obca.

W przedpokojach Palacio Liria i Palacio Villabranca leżały listy, na których goście przychodzący dowiedzieć się o zdrowie dostojnego

chorego zapisywali swe nazwiska. Na przyległych ulicach zebrały się tłumy; ludzie porozumiewali się szeptem. Don Jose był jednym z trzech pierwszych grandów królestwa i mężem Alby; miasto interesowało się nim. Wiedzano, że zawsze był słabego zdrowia, i nie spodziewano się, że dożyje późnej starości; ale ten nagły koniec był dla wszystkich niespodzianką. Mówiono, że ktoś zainteresowany spowodował to chorobliwe wyczerpanie i zanik sił: podejrzewano, że ktoś zadał księciu powolnie działającą truciznę. Pogłoski te rozeszły się szybko po całym Madrycie i łatwo znajdowały wiarę. Najslawniejszy z rodu Alba, groźny feldmarszałek, podobnie jak i król jego, pobożny i ponury Filip II, nie wahali się usuwać ze świata swych przeciwników w cichy i skuteczny sposób; uważali to za konieczność polityczną i za czyn bogobojny. Od tego czasu niejeden z wielkich panów półwyspu schodził ze świata w zagadkowych okolicznościach. Szeptano sobie także, że don Jose stał się Albie niewygodny; czyż niezliczone jej miłostki nie były tematem rozmów w całym kraju?

Śmierć księcia nastąpiła w samo południe. Kapłan odmówił nad nim łacińskie modły i podał umierającemu krucyfiks do ucałowania. Don Jose nie uchodził za szczególnie pobożnego; zdawało się zresztą, że myśli jego zajęte są czymś innym; być może słuchał w tej chwili jakiejś muzyki. Ale choć sprawiało mu to widoczną trudność, ucałował krucyfiks jak przystało, pobożnie i z pokorą. Po czym kapłan wyjął ze złotej miseczki zwitki waty zmoczone olejem świętym i namaścił oczy, nos, usta, ręce i stopy umierającego.

Natychmiast po śmierci don Josego rozpoczęły się czynności żałobne, ściśle według przepisów dworskich. Twarz zmarłego uszmkowano, mnisi franciszkanie przyoblekli ciało jego w habit swego zakonu. Pokój, w którym książę rozstał się z życiem, obito czarnym adamaszkiem, ustawiono trzy ołtarze z prastarymi, cennymi krucyfikсами ze skarbów rodowych Alba i Villabranca; po obu stronach łoża i na ołtarzach zapalono wysokie świece w złotych świecznikach. Tak leżał uroczysty i poważny zmarły don Jose Alvarez de Toledo, trzynasty książę Berwick i Alba, jedenasty markiz Villabranca.

U łoża śmierci zjawił się patriarcha Obojga Indii<sup>1</sup>, król przysłał śpiewaków z chóru kapeli nadwornej, by odśpiewali mszę żałobną. Msza odbyła się w obecności rodziny zmarłego oraz przedstawicieli króla i królowej, najwyższych grandów i najbliższych przyjaciół rodziny. Śpiewacy i muzykanci nie szczędzili wysiłku, pamiętając,

1/ Katolicki arcybiskup Indii Wschodnich i Zachodnich z siedzibą w Rzymie.

< 250 )

że zmarły był jednym z ich cechu. Dostojni goście stali sztywni i poważni, tak jak nakazywał obyczaj. Donia Maria Antonia klęczała z kamienną twarzą. Tylko dwie kobiety płakały głośno, choć obyczaj właściwie na to nie pozwalał. Jedną z nich była donia Maria Tomasa; szczerze przywiązana do szwagra, widziała nieraz, gdy grywali razem, jak dusza jego przełamywała szranki powagi i powściągliwości. Drugą była mała, wąła Genowefa de Havre. Już za kilka tygodni miała opuścić ten ponury kraj, gdzie przeżyła chwile straszne; poddając się woli ojca poświęciła się dla lilii francuskich, uległa zwierzęcej chuci don Manuela. Przeżyła na tym półwyspie niewiele dni szczęśliwych; zaliczała do nich te, kiedy dane jej było grać z tym miłym, uprzejmym człowiekiem, spoczywającym teraz w trumnie.

Następnie otwarto podwoje dla ludności, która defilowała przed trumną, i przez całą noc odprawiano msze święte przy wszystkich trzech ołtarzach.

Nazajutrz włożono zwłoki do trumny przybranej czarnym aksamitem, obitej złotymi gwoździami i złotymi listwami. Trumnę tę zamknięto następnie w drugiej, brązowej, zdobnej w kunsztowne ornamenty. W ten sposób przewieziono zwłoki do Toledo, aby pochować je zgodnie z tradycją w rodzinnym grobowcu książąt Alba.

W prastarej, świętej katedrze zgromadzeni byli wszyscy prawie grandowie pierwszego rzędu, prócz nich liczni inni grandowie, przedstawiciel króla i przedstawiciel królowej, wreszcie arcybiskup kardynał z Toledo i kapituła katedralna.

Na środku chóru ustawiono olbrzymi katafalk; z prawej i lewej jego strony płonęły niezliczone świece w dwunastu wielkich srebrnych kandelabrach. Złożono trumnę na katafalku. Następnie odprawiono nabożeństwo żałobne według rytuału przysługującego pierwszym grandom królestwa. Dzwony biły, prastara, przeszło jedenaście wieków licząca świątynia zajaśniała w całym swym przepychu. Później spuszczone zwłoki don Josego de Alba y Villabranca do krypty katedralnej obok zmarłych poprzednio książąt Alba.

Ich tytuł nosiła teraz już tylko donia Cayetana. Prastarą tarczę herbową rodu Villabranca zdjęto z domu zmarłego i przeniesiono uroczyście do domu jego brata don Luisa Marii, który zwał się odtąd markizem de Villabranca, dwunastym tegoż nazwiska; po śmierci bratowej Cayetany don Luis Maria będzie mógł nazwać się księciem Alba.



W Palacio Villabranca członkowie najbliższej rodziny zmarłego przyjmowali wizyty kondolencyjne przyjaciół i znajomych.

Przyszedł również Goya, inaczej uważano by to za ciężką obrazę. Goya słyszał o tym, że księstwo Alba wybierają się w podróż za granicę. Przekonany był, że Cayetana robi to jedynie w tym celu, aby mu dowieść, że jej nic na nim nie zależy. Potem doszła go wiadomość o ciężkiej chorobie księcia i pogłoski, że to nieczysta, podejrzana sprawa. Uważał je oczywiście za plotkę wyssaną z palca; rozwiewała się jak dym, gdy ją badał rozumem. A jednak pogłoski te, które nie chciały zamilknąć, budziły w nim lęk i niechęć, a zarazem jakąś głuchą, zawziętą satysfakcję.

Od czasu owej szaleńczej kłótni nie widział Cayetany. Przyszedł teraz do Palacio Villabranca tak wzburzony jak może nigdy jeszcze w życiu.

Zwierciadła i obrazy w dużej sali były zasłonięte. Na niskich fotelach siedzieli członkowie rodziny w głębokiej żałobnej czerni; było ich czworo: markiza, donia Cayetana, brat zmarłego don Luis Maria i jego żona.

Goya usiadł naprzód w milczeniu, tak jak tego zwyczaj wymagał. Siedział pozornie cichy i poważny, ale w duszy jego przewalało się kłębowisko na wpół świadomych, postrzępionych myśli i gwałtownych uczuć. Cayetana na pewno nie jest winna śmierci księcia, pogłoski są niedorzeczne. A jednak nie są zupełnie niedorzeczne. W tym, co mówi głos ludu, jest zawsze jakaś część prawdy i Cayetana widocznie miała coś wspólnego z tą nagłą, zagadkową, zabójczą chorobą. Jeżeli don Jose umarł z jego, Goyi, powodu, jest to rzecz straszna. Ale ta myśl uszczęśliwiała go zarazem. „Krwawa dłoń i mądra głowa przechodzą z pokolenia na pokolenie” — przeszło mu przez myśl stare przysłowie. W mroku tej sali czuł znowu, że sam dźwięk nazwiska Alba przeraża go i pociąga jednocześnie.

Wstał, przystąpił do starej markizy, skłonił się przed nią i wypowiedział konwencjonalne, nic nie mówiące słowa współczucia. Donia Maria Antonia wysłuchiwała ich ze skupieniem. Ale bystre oko malarza dostrzegło poza tą opanowaną maską jakiś rys zastygły, jakąś zawziętość, której nigdy dotąd w tej twarzy nie było. Nagle też przeląkł się z innego powodu. Fotele żałobników ustawione były w niewielkich od siebie odstępach, może o niecały metr, ale Goyi wydało się, że fotele markizy i Cayetany, oddalone zaledwie o metr,

oddziela od siebie cały świat: jakaś niezmierna, głucha, przesłonięta jedynie dobrym wychowaniem wrogość dzieliła od siebie te dwie kobiety.

Podszedł następnie do Cayetany i skłonił się przed nią uprzejmie. Zwróciła ku niemu twarz: patrzył na nią z góry. Pokryta białą szminką, otoczona czernią, twarz ta robiła wrażenie bardzo drobnej. Czarny welon zakrywał czoło aż po brwi; szyja zasłonięta była po brodę.

Usta jego mówiły zdawkowe słowa współczucia. W duszy jednak myślał:

„Ty czarownico, ty zbrodniarko, co każdemu zgubę przynosisz. Ty damo wytworna, co siejesz nieszczęście dokoła siebie. Zabiłaś mi dziecko, cóż ci uczyniło złego? Zabiłaś swego męża, cóż ci uczynił złego? Biada mi, że się z tobą zadawałem! Ale przejrzałem cię już na wskroś i po raz ostatni patrzę dziś na ciebie. Nie zobaczę cię nigdy więcej, nigdy więcej nie przyjdę do ciebie. Nie chcę, poprzysięgam to sobie i dotrzymam przysięgi.” Ale myśląc tak, wiedział, że po kres swoich dni będzie przykuty do tej kobiety. I równocześnie obok nienawiści i rozpaczony czuł dziką, niską, triumfującą radość, że widział ją i znał także w innej postaci niż ta, w jakiej teraz przed nim siedzi. Wywoływał w pamięci obraz jej drobnego, nagiego ciała, które drżało w jego objęciach. Wyobrażał sobie, jak tę dumną, tę niedostępną, wytworną damę zgniatać znów będzie w uściskach swoich ramion, jak wgryzać się będzie w te dumne usta, aż jej pycha stopi się w żarze, aż te nikczemne, szydercze oczy zamglą się, rozplyną i zamkną. Nie będzie jej głaskał i pieścił, nie będzie jej szeptał pochlebnych słów zachwytu, weźmie ją jak ostatnią dziewczkę.

Takie myśli i uczucia wrzały w nim, gdy wymawiał sztywno oficjalne, spokojne słowa pociechy. Ale oczy jego władczym spojrzeniem zanurzyły się w jej oczach; te jego oczy, które wchłonęły, skupiły i zwarły w sobie tak głęboką wiedzę o ludzkiej duszy, że ci, do których mówił, przeszyci jego wzrokiem badawczym, pytającym, często dobrowolnie obnażali swe tajemnice. Chciał wreszcie przekonać się, chciał zgłębić, co dzieje się w tej drobnej, zuchwałej, kształtnej, dumnej, despotycznej głowie. Cayetana patrzyła mu prosto w oczy, uprzejmie, obojętnie, tak się przynajmniej wydawało obecnym na sali. Ale w rzeczywistości i pod jej czołem pokrytym szminką kotłowały się gwałtowne myśli, z których sama nie bardzo zdawała sobie sprawę, a które podobne były do jego myśli.

Dotychczas, kiedy Eufemia powtarzała jej plotki obiegające wśród ludności o śmierci Josego, puszczała je mimo uszu. Dopiero teraz,

gdy spostrzegła wymuszony spokój na twarzy Goyi, gdy spojrziała w jego badawcze oczy, stało się dla niej jasne, że nie tylko tłum wierzy tym plotkom. Czuła wzdargę dla Francisca, ale sprawiało jej jakąś przewrotną radość, że posądza ją o morderstwo. Myślała z triumfem o tym, że Francisco, mimo grozy, jaką go jej obecność przejmuje, nie może oderwać się od niej. Zaprzątnięta takimi myślami, dziękowała mu w uprzejmych słowach za współczucie.

Oddalił się tłumiąc w sobie bezsilny gniew. Gotów był posądzić ją o najgorsze w świecie rzeczy, a choć sam sobie powtarzał, że to szaleństwo, wiedział, że nie potrafi pokonać w sobie tych podejrzeń i że powie jej o tym otwarcie wbrew swojej woli.

W kilka dni później zjawiała się w jego pracowni donia Eufemia i zawiadomiła go, że tegoż dnia wieczorem przyjdzie do niego donia Cayetana; nie życzy sobie spotkać nikogo obcego.

Był tak podniecony, że z trudem zdobył się na odpowiedź. Postanowił sobie, że nie będzie z nią mówił ani o śmierci don Josego, ani o tym, co zaszło między nimi dwojgiem.

Przyszła gęsto zawoalowana. Nie mówili ze sobą, nie przywitali się nawet. Zdjęła z siebie zasłonę; jej blada, nie uszminekowana twarz miała ciepły, mlecznosmagły ton. Porwał ją, przytulił do siebie i cisnął na łóżko.

Także potem przez długą chwilę nie mówili do siebie. Nie pamiętał już, co jej powiedział, kiedy się ostatni raz widzieli; miał tylko niejasne wspomnienie o tym, co myślał w żałobnej sali Palacio Villabranca. Wiedział tylko jedno: wszystko wypadło zupełnie inaczej, niż sobie zamierzył, i w gruncie rzeczy doznał porażki. Lecz była to porażka radosna; czuł się wyczerpany, ale szczęśliwy.

Wreszcie — po minutach czy godzinach — zaczęła mówić.

— Wiedziałam z góry, że czekają nas przykrości. Tej nocy, kiedy byliśmy w teatrze na *Oszuście oszukany*, ukazała mi się znowu Brygida, wiesz, ta zmarła pokojówka, i zawiadomiła mnie, że nadejdą przykrości. Nie określiła ich bliżej, nie powiedziała wyraźnie, o co chodzi. Ona umie mówić jasno, jeśli chce, ale czasem, aby sobie zakpić ze mnie, jest tajemnicza. Jednakże kiedy rzeczywiście przyszły przykrości, nie było to już dla mnie niespodzianką.

Powiedziała to swym niezbyt głośnym, twardym głosem, spokojnie i rzeczowo.

„Przykrości!” Te okropne klótnie między nimi dwojgiem i wszystko, co zaszło w związku ze śmiercią don Josego, ona nazywa „przykrościami”. Zrzuca z siebie wszelką winę, wszystko zwała na „los” „Przykrości.” I nagle odezwały się w nim na nowo wszystkie złe

myśli, które snuł dokoła niej w żałobnej sali pałacu Villabranca Przypomniawszy sobie starą markizę, jak siedziała odsunięta od Cayetany, jak gdyby chcąc ją pozostawić samą w unoszącym się nad nią oparze krwi. Ale już w chwili, gdy tak myślał, sam się karcił, że to nonsens sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Cóż, kiedy te plotki obiegające między ludem, plotki z winiarni doni Rosalii, silniejsze były od rozsądku. „Myśl o każdym najgorzej, a pomyślisz prawdę.” Cayetana zaś mówiła dalej:

— I to jeszcze nie koniec przykrości. Będziemy się rzadko widywać, muszę być teraz szczególnie ostrożna. Ludzie są nieobliczalni. Albo witają człowieka radosnymi okrzykami, nie wiadomo dlaczego, albo nienawidzą i przeklinają, również nie wiadomo dlaczego.

„Przelana krew domaga się głosu — pomyślał Goya. — Alba musi o tym mówić, czy chce, czy nie chce. Ale cokolwiek powie, nie uwierzę jej. Nie uwierzę, gdy powie, że jest niewinna, i nie uwierzę, gdy przyzna się do winy. Bo nie ma drugiej kobiety, która umiałaby tak kłamać jak Cayetana. Ona sama nigdy nie wie, kiedy mówi prawdę, a kiedy kłamie.”

— Wiesz dobrze i sam o tym nieraz mówiłeś — ciągnęła dalej spokojnym i rzeczowym tonem — że złe demony czyhają na nas wszędzie, a gdy tylko jednemu z nich uda się dopaść człowieka, rzucają się na niego wszystkie razem. Gdybym nie była Alba, Święte Officium oskarżyłoby mnie prawdopodobnie o czary. Czy nawet i ty, Francho, nie ostrzegałeś mnie przed inkwizycją?

„Ani słowa — nakazał sobie w duchu. — Nie wdaję się z nią w żadne dyskusje. Przysiągłem to sobie.”

Ale w tej samej niemal chwili powiedział:

— Najrozsądniej byłoby naturalnie odprawić Peralę. Gdy ten doktor przestanie kręcić się koło ciebie, plotki same ucichną.

Odsunęła się od niego i uniosła na posłaniu. Naga, okryta tylko płaszczem czarnych włosów, na pół leżąc, na pół siedząc, oparta na łokciach, patrzyła na niego. Leżeli przed chwilą przytuleni do siebie, a Francisco zupełnie nie zdaje sobie sprawy, co się w niej dzieje. Żąda widocznie, by czuła się winna. Nie ma w niej najmniejszego poczucia winy. Jeżeli Peral jako lekarz don Josego przyczynił się rzeczywiście do udaremnienia tej podróży, to nie uczynił tego po to, aby jej pomóc, lecz jedynie dlatego, że don Jose chciał przez ten niedorzeczny wyjazd pozbawić go na dłuższy czas jej obecności. Także wówczas, gdy don Joaquin odrzucił stanowisko lekarza przybocznego, oświadczył jej przecież, że czyni to wyłącznie z osobistych powodów, a nie dla niej. O ileż lepiej rozumiał ją don Joaquin niż

Francisco, o ileż więcej było w nim dumy. Cayetana nie znosiła zobowiązań wobec nikogo, nie znosiła zależności; Peral rozumiał to i najmniejszym słówkiem nie zdradził się z tym, że głupie plotki mogłyby wytworzyć jakąś nową więź między nimi. Przechodził spokojnie obok brudnej ciekawości i bezczelnych szeptów, tak jakby nie jego dotyczyły.

Poczuła jakąś urazę i obcość widząc, że Francho tego nie pojmuje. Był artystą i dlatego należał do jej towarzystwa, do grandów. Przeważnie też czuł się jak oni; o całe niebo wyższy ponad pospolitość i przeciętność. Lecz czasem spadał ze swych wyżyn i stawał się małostkowy i wulgarny jak poganiacz mułów. Czegóż żąda od niej? Jeśli Joaquin zrobił to, o co go podejrzewają, czy może go odepchnąć teraz, gdy grozi mu niebezpieczeństwo? Wydało się jej, że przepaść otwarła się między nią a Franciskiem. Ale po chwili śmiała się sama z siebie. Francho był *majem* i to właśnie w nim kochała; *majo* musi być zazdrosny, a gdy jest zazdrosny, staje się prostakiem.

— Szkoda, Francho,— rzekła — że nienawidzisz don Joaquina. Zdaje mi się, że on nie odplaca ci nienawiścią, a jest to najmądrzejszy człowiek, jakiego znam. I dlatego właśnie inkwizycja rozpuscita o nim pogłoskę, że jest Żydem z pochodzenia i że dniem i nocą myśli o sztylcie i truciznie. On jest naprawdę bardzo mądry i bardzo odważny. Szkoda, że go nienawidzisz.

Goya zły był na siebie samego. Znowu postąpił fałszywie. Cayetanie nie można nic wmówić, robi to, co sama chce, mówi to, co chce, i śpi, z kim chce. Popelniał największe głupstwo próbując oddalić ją od Perala.

Zaniechał dalszej dyskusji; rozstali się w zgodzie.

W ciągu następnych tygodni widywali się często. Nigdy jednak nie mówili o owej wielkiej kłótni ani też o śmierci don Josego. Niedopowiedzenia te sprawiały, że ich stosunek stał się bardziej jeszcze tajemniczy, namiętniejszy, bardziej niebezpieczny.

Goya pracował dużo w tym okresie. Agustin robił mu wyrzuty, że pracuje tylko ręką i okiem, a myśl jego jest nieobecna. Był coraz bardziej zrzędny i kłótniwy, a Francisco odpowiadał złośliwymi wyzwiskami. W duchu jednak przyznawał mu słusność. Dręczyła go często myśl o nie dokończonym portrecie starej markizy, pragnął pracę tę doprowadzić do końca.

Zwrócił się do doni Marii Antoni! z zapytaniem, czy nie zechciałaby wyznaczyć mu jeszcze dwóch lub trzech seansów celem dokończenia portretu. Markiza odpisała przez swego intendenta, że

256 )

w najbliższych latach nie będzie miała na to czasu; do listu dołączony był przekaz na honorarium ustalone za gotowy portret.

Pismo to odczuł jako policzek. Markiza nie wyrządziłaby mu z pewnością takiej zniewagi, gdyby nie była przeświadczona o winie Cayetany i o jego współwinie.

Nawet i Alba, zawsze opanowana, zbladła, gdy jej o tym powiedział.

W kilka dni później ogłoszono fundacje i darowizny, które księżna Alba przyznała z okazji śmierci swego małżonka stowarzyszeniom i osobom prywatnym. Doktor don Joaquin Peral otrzymał z galerii Palacio Liria *Świętą Rodzinę* Rafaela<sup>1</sup>.

Rafael Sanzio był spośród wielkich mistrzów wszystkich czasów najbardziej w Hiszpanii ceniony, a obraz świętej Rodziny uchodził za jedno z najświetniejszych

arcydzieł sztuki, jakie posiadał Półwysep Iberyjski. Jeden z książąt Alba jako wicekról Neapolu wywiózł to cenne malowidło z Nocera; potomkowie jego, książęta Alba, uważali odtąd obraz ten za najdroższy klejnot swych zbiorów sztuki, a Madonna Rafaela stała się patronką dam tego rodu. Jeżeli donia Cayetana zaszczyca tym iście królewskim darem podejrzanego lekarza, i to niejako ze spuścizny swego męża, jest to dowodem, że staje całkowicie po stronie Perala. Jeżeli Peral zawinił, to i ona jest winna.

„Spokój! Spokój!” — nakazywał sobie Goya, kiedy Miguel i Agustin opowiedzieli mu o nowym, niesłychanym postępku Cayetany. Poczł, jak wzbiera w nim przerażająca, olbrzymia, ognisto-czarna fala, która za chwilę pogrąży go w głuchocie. Napiął całą siłę swej woli. Fala załamała się, zanim go dosięgła: słyszał, co obecni mówili.

Spojrzał na figurę Dziewicy de Atocha i przeżegnał się. Kobieta, która zuchwale oddaje komuś w podarunku obraz swojej patronki, wyzywa niebo. Wyzywa markizę, królową, inkwizycję, wyzywa cały kraj. Ze wszystkich jej postępów ten był najlekkomyślniejszy, najdumniejszy, najgłupszy, najwspanialszy.

Ogarnęła go obawa o nią i o siebie. Nie był tchórzem, uważał się raczej za odważnego, ale znał uczucie strachu. Przypomnił sobie pogromcę byków, Pedra Romero; widywał go nieraz w szynku, w chwilach kiedy młody człowiek sądził, że nikt go nie obserwuje. Ileż to razy dostrzegł lęk w oczach i na twarzy tego dzielnego człowieka, ile razy widział, jak Romero drżał na całym ciele. A jak często on sam musiał walczyć ze strachem. Wszak niebezpieczeństwa czyhają na człowieka w każdym kącie, za każdym węglem. Kot,

1/ Autor ma na myśli obraz św. Rodziny Rafaela (tzw. *Madonna Alba*) namalowany w r. 1508, znajdujący się; dziś w Leningradzie (Ermitaż).

< 257 )

kiedy je, ogląda się bez ustanku, czy nie zbliża się wróg; winno to być przykładem dla człowieka. Kto jest nieostrożny, zginie. Strach to broń niezbędna dla każdego, kto się przebija przez życie, kto chce utrzymać się na powierzchni.

Cayetana wszakże urodziła się na wyżynach, gdzie panuje wolność od obaw, głupia i wspaniała pogarda strachu, który pęta i gnębi wszystkich gorzej urodzonych. Goyę ogarnął zawistny podziw dla Cayetany, że jest taka, jaka jest, niemądra i nieulekła. I własne jego życie wydało mu się marne i ubogie w porównaniu z nieokiełznaną, nieustraszoną wolnością Alby.

Bardziej jeszcze znenawidził doktora don Joaquina i wyraźniej niż kiedykolwiek czuł, że nigdy nie uwolni się od tej kobiety.

## XXVI

Lud Madrytu uważał dotąd księżnę Alba za urocze, rozkapryszone dziecko. Gdy pokazywała się na ulicy, w teatrze czy w cyrku, wszędzie witano ją serdecznie; ludzie byli oczarowani, że tak wielka dama zachowuje się jak *maja*, że czuje się związana z ludem. Od chwili jednak, kiedy Madonnę Rafaela, arcydzieło bezcenne i święte, podarowała człowiekowi, który był mordercą jej małżonka, nastroje mas zmieniły się nagle. Poczęto teraz patrzeć na nią jak na obcą, podobnie jak na tę koronowaną Włoszkę, widziano w niej tylko arystokratkę, dufną w swe rodowe przywileje, która pozwala sobie na każde zuchwalstwo. Ludzie nie wątpili już teraz, że doktor Peral przy pomocy jakichś czarnoksiężskich sztuczek wyprawił na tamten świat nieszczęsnego młodego księcia, i czekano tylko, kiedy Święte Oficjum płomieniami swego ognia rozświetli tę ciemną sprawę.

— Któż byłby się tego spodziewał po doni Cayetanie, *cheri* — rzekł don Manuel grając z Pepą w karty. — Tak się skompromitować dla naszego przyjaciela Francisca, to naprawdę trochę za wiele. *Ce nest pas une bagatelle, ca.*<sup>1</sup>

Pepa odczuwała pewien podziw dla Alby. Imponowało jej, że ta kobieta publicznie i uparcie przyznaje się do swej miłości. Obejrzała karty, zastanowiła się przez chwilę i rzuciła jedną na stół.

— Zachowanie się tej damy — powiedziała — będzie można nazwać godnym, jeżeli równie dzielnie przyjmie na siebie następstwa

<sup>1</sup> To nie drobnostka, (fr.)

swego czynu. Myślę, że wdroży pan chyba teraz dochodzenie przeciwko księżnej i jej lekarzowi.

Wszczęcie dochodzenia sądowego nie leżało bynajmniej w zamiarach don Manuela. Byłoby to nieroztropne, gdyż grandowie stanęliby prawdopodobnie w obronie Alby. Niech się raczej tą sprawą zajmie donia Maria Luiza; być może, zechce wystąpić przeciw swej nieprzyjaciółce. Nie będzie się wtrącał do tego. Rzucił swoją kartę, pozwolił Pepie wygrać, nie odpowiedział ani słowa.

Ale myśl o Albie nie dawała mu spokoju. Zuchwały wybryk Cayetany z obrazem Rafaela był nowym dowodem pychy rodu Alba. A właśnie teraz, kiedy los wymierzył im tak srogie ciosy, niewiele mieli powodów, by zadzierać nosa. Człowiek, który nie chciał odwzajemnić mu jego „ty”, leży już w grobie, a sytuacja doni Cayetany nie jest dziś zgoła przyjemna. Niełatwo jest oddychać w tym oparze krwi, jaki ją otacza.

Korciła go ciekawość, czy Cayetana jest jeszcze równie sztywna, ostra i wyzywająca jak dawniej.

Grandowie uważali za swój obowiązek i przywilej opiekowanie się sztuką, zwłaszcza sztukami plastycznymi, a wymiana arcydzieł malarstwa była ulubionym zajęciem wielkich panów i dam. Szczególnie w okresie żałoby poświęcali oni sporo czasu porządkowaniu i uzupełnianiu swych zbiorów, zabijając w ten sposób narzuconą ceremoniałem nudę.

Manuel wybrał się do doni Cayetany. Wyraził jej raz jeszcze współczucie z powodu nieszczęścia, jakie ją spotkało, po czym wyjaśnił cel swoich odwiedzin. Jego własna kolekcja obrazów, powiedział, ma braki, jeśli chodzi o mistrzów włoskich; don Miguel i nieobecny dziś niestety opat don Diego, jego doradcy w sprawach sztuki, są tego samego zdania. Posiada natomiast dużo dzieł najlepszych mistrzów hiszpańskich. Chciałby więc zaproponować, aby donia Cayetana odstąpiła mu któregoś ze swoich Włochów w zamian za El Greca lub Velazqueza. Siedział założywszy swobodnie nogę na nogę; małe jego oczy w urodziwej, nieco nalanej twarzy patrzyły na nią z natarczywą pewnością siebie.

Alba odpowiedziała, że niechętnie „wymienia” obrazy, choć byłoby to może z korzyścią dla niej, tym bardziej że przyjaciele jej dobrze znają się na sztuce, jak na przykład jej lekarz przyboczny, doktor Peral, lub malarz nadworny, don Francisco de Goya. Jednakże nie jest kolekcjonerką, chociaż cieszą ją obrazy, które posiada; nie wyobraża sobie zresztą, by miała stosować się do czyichkolwiek „rad”.

— Ale — kończyła grzecznie — chętnie pošlę panu parę obrazów



włoskich z moich zbiorów, a gdybym kiedyś potrzebowała przysługi, pozwolę, by się pan zrewanżował.

Manuel czuł się upokorzony. Dała mu poznać, że on, który z dołów wybił się na obecne stanowisko, nie umie zachować się jak grand w roli protektora sztuki. Sama zachowała się wyniośle, mimo że w swym obecnym położeniu powinna się była raczej starać o przychylność pierwszego ministra. Pomyślał, że zawiadomi chyba Inkwizycję, iż ze strony rządu nic nie stoi na przeszkodzie, by wszcząć dochodzenia przeciwko doktorowi Peralowi.

Ale zanim postanowił, co zrobi w tej sprawie, doznał pełnego zadośćuczynienia.

Donia Maria Luiza rozważała już od dnia podejrzanej śmierci don Josego, czyby nie ukarać Alby i tego lekarza, który tak zuchwale odrzucił jej wielkoduszną propozycję. Powstrzymały ją jednak od tego względy natury politycznej. W wojnie z Anglią Hiszpania ponosiła klęski i trzeba było raz po raz żądać od sarkających grandów coraz to wyższych danin wojennych; w tych okolicznościach obawiała się, że jeśli publicznie wyrazi Albie swe niezadowolenie, arystokracja uzna to za wyzwanie. Teraz jednak, gdy darowanie obrazu Rafaela wywołało oburzenie również w kołach grandów, królowa nie narażając się na sprzeciwy mogła dać nauczkę zuchwałej Albie.

Donia Maria Luiza poleciła owdowiałej księżnie, aby stawiała się u niej na zamku w Aranjuez, gdzie dwór w tym czasie przebywał.

Królowa przyjęła Albę w swym jasnym, pogodnym gabinecie. Ściany pokoju jak również fotele obite były białym adamaszkiem. Biurko, dar zmarłego tragiczną śmiercią Ludwika XVI, było dziełem słynnego Pluvineta, wykonane ze szlachetnego mahoniu, rzeźbione przepięknie przez Dupina, kunsztowny zamek sporządził sam zmarły król. Przy tym biurku siedziała królowa w strojnej letniej sukni, naprzeciw niej w żałobnej czerni Cayetana; obie damy popijały mrożoną limoniadę.

— Byłam już raz zmuszona, droga przyjaciółko — rzekła Maria Luiza — zwrócić pani uwagę, że należałoby położyć kres plotkom krążącym wokół jej osoby. Niestety, zlekceważyła pani całkowicie moją macierzyńską radę. Nie zastanowiła się też pani nad tym, że nierozważna hojność, którą okazała pani swemu lekarzowi, rozpęta ludzkie języki.

Cayetana spojrzała jej prosto w oczy z wyrazem niewinnego zdziwienia.

— Najprostszą rzeczą byłoby oczywiście — mówiła dalej Maria

Luiza — wydać rozkaz dokładnego zbadania sprawy doktora Perala. Poprosiłam jednak króla, aby ze względu na panią, donio Cayetano, zaniechał dochodzeń. To jest, otwarcie mówiąc, nie chodziło mi o panią, lecz o tych, którzy po pani nosić będą nazwisko Alba.

— Nie rozumiem dobrze, madame — odparła Cayetana. — Zrozumiałam tylko to, że ściągnęłam na siebie niezadowolenie waszej królewskiej mości.

Królowa jednak mówiła dalej, jakby nie słyszała słów Alby:

— Pani, droga przyjaciółko, widocznie nie chce albo nie umie strzec tego szlacheckiego nazwiska tak, jak to jest pani obowiązkiem. I dlatego ja muszę pani w tym dopomóc.

— Nie proszę o tę pomoc, wasza królewska mość — odpowiedziała Alba — i nie życzę jej sobie wcale.

— Ma pani zawsze odpowiedź w pogotowiu, donio Cayetano — rzekła królowa — ale, widzi pani, ostatnie słowo należy do mnie.

Odsunęła na bok kielich z limoniadą, ręka jej bawiła się piórem, zdolnym każdej chwili zamienić słowa jej w rozkaz, od którego nie ma odwołania.

— Postanowiłam przeto — oświadczyła — bez względu na to, czy pani sobie tego życzy, czy nie, ochronić ją od dalszych plotek, Opuści pani Madryt na jakiś czas. Na czas trwania żałoby — dodała.

Na czas trwania żałoby! Od chwili gdy otrzymała polecenie stawienia się w Aranjuezie, Cayetana wiedziała, że królowa wygna ją z Madrytu. Ale nie spodziewała się, by banicja ta miała trwać trzy lata — tyle bowiem wynosił okres żałoby przepisany dla wdowy po grandzie pierwszego rzędu. Trzy lata bez Madrytu! Trzy lata bez Francha!

Donia Maria Luiza, bawiąc się wciąż jeszcze złowieszczym piórem, patrzyła na nią badawczo; usta miała lekko rozchylone, tak że Alba dostrzegła lśnienie jej diamentowych zębów. Cayetana pobladła na mgnienie oka, ale opanowała się natychmiast, tak by królowa nie wyczytała z jej twarzy wrażenia, jakie sprawiła na niej ta wiadomość.

— Daję pani, moja droga, trzy tygodnie czasu na przygotowanie się — rzekła królowa. Rozkoszowała się tak bardzo swoim triumfem, że głos jej brzmiał niemal przyjaźnie.

Alba, pozornie spokojna i obojętna, wstała i skłoniła się przed nią w głębokim dworskim dygu, po czym wypowiedziała grzecznościową formułkę:

— Dziękuję waszej królewskiej mości za opiekę.

Następnie zgodnie z ceremoniałem ucałowała królową w rękę;

była to ręka starannie wypielęgnowana, pulchna, prawie dziecinnie mała, z licznymi pierścionkami na palcach.

Cayetana powiedziała Franciscowi o tym, co zaszło.

— Widzi pan, że miałam słuszność — dodała z nieco wymuszonym humorem. — Ta Włoszka nie jest tak wielkoduszna, jak ją pan namalował.

Goyę zaskoczyła i zmartwiła wiadomość o wygnaniu Cayetany. Cayetana zesłana! Cayetana wydalona z Madrytu! To wydarzenie zmieni całe jego życie. Cayetana z pewnością liczy na to, że on będzie jej towarzyszył na wygnaniu. Myśl, że będzie z nią razem w jednym z jej majątków, z dala od wiru życia dworskiego, z dala od gwaru stolicy, z dala od szpiegujących go oczu, była nęcąca. Ale jest przecież malarzem króla i rektorem Akademii, wolno mu tylko na krótki czas wydalić się z Madrytu. Był zakłopotany. A wśród myśli o własnej bezradności, wśród marzeń o szczęściu i wśród trzeźwych obliczeń odczuwał tajemną dumę, że to on zaważył na losach tej samowolnej, dumnej arystokratki.

Zanim zdążył uporządkować myśli, Cayetana ciągnęła dalej:

— Zupełna niezależność ma także swoje dobre strony. Przyjemnie jest mieć choćby tę świadomość, że plotki madryckie osiągną mnie wówczas, gdy w stolicy nikt już o nich nie będzie pamiętał.

Musiał wreszcie coś powiedzieć.

— Dokąd ma pani zamiar wyjechać? — zapytał dość głupio.

— Na razie zostanę tu — odpowiedziała, a widząc jego zdumienie, dodała: — Chcę ją zmusić, żeby zrobiła użytek ze swego pióra. Niech mi przyśle królewski rozkaz. Wyjadę dopiero wtedy, gdy otrzymam *carta orden*<sup>1</sup>.

Goya powziął postanowienie.

— Czy będę mógł towarzyszyć pani, Cayetano? — zapytał niezręcznie, dumny ze swej odwagi. Chłopska przebiegłość podsunęła mu myśl, że ze względu na słaby słuch będzie mógł prosić o urlop.

— Oczywiście, pojedzie pan ze mną! — zawołała ucieszona. Goya powiedział z radością:

— To świetnie. Donia Maria Luiza z pewnością nie pomyślała, że wyświadczą nam przysługę.

Ale Maria Luiza wzięła i to pod uwagę. Na prośbę Goyi o udzielenie urlopu nadeszła odpowiedź od pierwszego szambelana, by rektor Akademii zechciał odłożyć swój urlop; król zamierza dać mu

1/ Carta orden — rozkaz na piśmie.

duże zamówienie. List kończył się zaproszeniem Goyi do Aranjuezu, gdzie ich królewskie mości omówią z nim bliższe szczegóły. Cayetana zbladła, gdy o tym usłyszała.

— Suka nikczemna!

Ale po chwili wrócił jej rozsądek.

— Zatrzyma cię tam przez miesiąc, może przez dwa — rzekła. — Przyjedziesz później. Mamy, niestety czy też na szczęście, dużo czasu. Przyjedź prędko! A pracuj dobrze! Namaluj ją tak podobną do siebie, jak tylko potrafisz! Tak, tak — powtórzyła ze złośliwym uśmiechem — zrób ją jak najbardziej podobną do siebie, tę twoją *Czarną maję*.

## XXVII

Zaraz po przybyciu do Aranjuezu Goya wezwany został do króla Carlosa.

Monarcha był w towarzystwie dwojga najmłodszych dzieci, infanta Francisco de Paula i infantki Marii Izabeli, którzy nad kanałem La Ria puszczali na wodę miniaturowy stateczek. Widoczne było, że zabawa sprawia królowi niemniejszą uciechę niż dzieciom.

— Don Francisco — wołał już z daleka do malarza — proszę spojrzeć, to dokładny model mojej fregaty „Santisima Trinidad”, która krąży teraz prawdopodobnie gdzieś po Morzu Południowo-Chińskim, w pobliżu moich Wysp Filipińskich. Tak jak obecnie sprawy stoją, trudno oczywiście mieć pewność; ci Anglicy sprzymierzyli się chyba z samym diabłem. Za to z tą naszą małą fregatką poszło jak najlepiej. Przeprowadziliśmy ją dokoła całej wyspy, przepłynęła przez Tajo i przez kanał. Może pan się z nami trochę pobawi?

Odesłał wreszcie dzieci do domu i przechadzał się z malarzem po ogrodach. Otyły monarcha postępował ciężkim, powolnym krokiem, o pół kroku za nim szedł Francisco. Aleje parkowe były nieskończenie długie, konary wysokich drzew tworzyły u góry szerokie, zielone sklepienia z liści, przez które z rzadka przedzierały się promienie słoneczne.

— Niech pan posłucha, mój kochany — mówił król — mam do pana prośbę. Przypadek zrządził, że w tym pięknym miesiącu maju zjechali się tu w Aranjuezie wszyscy moi najbliżsi. Otóż mam

pomysł, żeby pan nas namalował, don Francisco, wszystkich razem, na jednym obrazie. Goya słyszał dobrze tego dnia, zwłaszcza że jego królewska mość miał donośny głos. Mimo to sądził przez chwilę, że się przesłyszał. Propozycja króla była wyjątkowa, bajeczna. Goya lękał się, by szczęście nie rozplynęło się w powietrzu, jeśli zbyt chciwie wyciągnie ku niemu rękę.

Królowie rzadko kiedy miewają ochotę pozować malarzowi w gronie rodziny. Osoby szlacheckiej krwi nie odznaczają się cierpliwością. poza tym, jeśli jedno ma wolny czas, drugie jest czymś zajęte. Tylko u najwyższej cenionych mistrzów zamawiano takie obrazy zbiorowe. w Hiszpanii nikt ich nie wykonywał od czasów Miguela van Loo /1.

— Wyobrażam to sobie w ten sposób — mówił dalej don Carlos. — Namaluje pan nas tak, aby to było ładne, swobodne, a przy tym poważne. Tak mniej więcej jak na obrazie rodziny Filipa IV, gdzie małej infantce ktoś podaje szklankę wody, a jeden z chłopców daje kopniaka psu. Albo tak jak na obrazie rodziny mego dziadka, Filipa V, gdzie wszyscy siedzą w swobodnych pozach. Ja mógłbym na przykład sprawdzać swoje zegarki albo grać na skrzypcach. Królowa czyta, a najmłodsze dzieci bawią się w „łapankę”. Wszyscy są czymś zajęci, pogodni, całość pełna jest jednak powagi i godności. Rozumie pan, don Francisco?

Francisco rozumiał. Ale wyobrażał sobie ten obraz zupełnie inaczej. Ma zrobić obrazek rodzajowy? Nie! Postanowił działać ostrożnie, by nie stracić cudownej okazji. Odpowiedział królowi z szacunkiem, że dziękuje za dowód zaufania i za to niezwykle wyróżnienie. Poprosił o jeden lub dwa dni czasu, po czym przedłoży jego królewskiej mości swe propozycje.

— Zgoda, mój kochany — odpowiedział Carlos. — Pośpiech nie leży w mojej naturze, a już najmniej tu, w Aranjuezie. Gdy pan będzie miał projekt gotowy, proszę zawiadomić donię Marię Luizę i mnie.

Dnia tego i cały dzień następny Goya, zazwyczaj tak towarzyski, unikał ludzi. Zatopiony w myślach, oszołomiony swym szczęściem, nie odpowiadał na pytania i pozdrowienia innych, chodził po jasnym, pogodnym zamku Aranjuezu, włączył się po wspaniałych

<sup>1</sup> Van Loo Louis Michel (1707—1771) — malarz francuski pochodzenia holenderskiego; kształcił się w Akademii Paryskiej i w Rzymie. W 1736 powołany do Hiszpanii jako malarz nadworny Filipa V, został w 1752 dyrektorem wydziału malarstwa Akademii San Fernando, której był współzałożycielem. W 1753 powrócił do Paryża.

ogrodach, przechodził pod liściastymi sklepieniami Calle de Alhambra i Calle de los Ambajadores, mijał mosty i mostki, grotty i wodotryski.

„Swobodne i miłe...” Nie, z tego jego królewska mość będzie musiał zrezygnować. *Rodzina Filipa V* pędzła Van Loo, z kunsztownym, niby naturalnym ugrupowaniem postaci, to bezduszny teatr, tania, niesmaczna lichota, Goya nie poniży się do tego. A *Damy dworu* Velazqueza, słynne *meninas*<sup>1</sup> — to oczywiście szczyty hiszpańskiego malarstwa, ten obraz zawsze budził w nim podziw. Był mu jednak obcy, obca mu była ta sztywna, jakby zastygła wesołość. On zresztą, Francisco, nie chce z nikim współzawodniczyć, ani z wielkim Velazquezem, ani z małym Van Loo. Chce współzawodniczyć tylko z samym sobą; obraz jego ma być dziełem Francisca Goyi i niczym innym.

Następnego dnia wiedział już, choć dopiero w niejasnym, mglistym zarysie, jak namaluje ten obraz, ale nie wnikał w szczegóły bojąc się, aby to, co miał przed oczyma, nie rozwiało się i nie znikło. Wpatrzony w niewyraźną, majaczącą w dali wizję, zamysłony i zatopiony w marzeniach, rzucił się na łóżko i zasnął.

Kiedy obudził się nazajutrz rano, miał gotowy projekt obrazu.

Poprosił o posłuchanie u ich królewskich mości. Przedstawił im swoją koncepcję, przy czym zwracał się raczej do doni Marii Luizy niż do don Carlosa. Sądzi, tłumaczył im skromnie, że uda mu się najkorzystniej przedstawić katolicką rodzinę królewską, jeżeli wolno mu będzie położyć główny nacisk na reprezentacyjną stronę obrazu i podkreślić dostojność, które promieniuje od najwyższych osób. Obawia się, iż nienaturalna, wymuszona swoboda mogłaby wywołać wrażenie, że jest to rodzina z szlacheckiej lub mieszczańskiej sfery. Dlatego prosi ich królewskie mości, by pozwoliły mu utrzymać ten obraz w duchu reprezentacyjnym. Pragnie przedstawić członków królewskiej rodziny jako królów i infantów — czym z łaski Najwyższego są w istocie. Ma zamiar namalować ich po prostu w pozycji stojącej, lecz otoczonych całym swym blaskiem.

Don Carlos był nieco rozczarowany. Niechętnie rozstawał się z myślą, że nie zobaczy siebie na płótnie z zegarkami w ręku ani swych skrzypiec na stole. Może byłoby to rzeczywiście nie bardzo po królewsku dać się namalować tak swobodnie, po domowemu, ale można by to usprawiedliwić tym, że w gronie rodziny i monarcha jest zwykłym człowiekiem. Z drugiej strony projekt nadwornego

<sup>1</sup> Meninas — panny szlacheckich rodów należące do orszaku królowej.

malarza ożywił w nim na nowo myśl, która w ciągu ostatnich tygodni nieraz go już zaprzętała. Z Paryża nadeszły poufne wiadomości o przygotowującym się tam rojalistycznym spisku, a Manuel wyraził nawet przypuszczenie, że przy zręcznym poparciu tego ruchu naród francuski ofiaruje być może jemu, don Carlosowi, jako głowie dynastii Burbonów, także koronę Francji. „Yo el Rey de las Espanas y de Francia”<sup>1</sup> — pomyślał. Jeżeli stanie w gronie rodziny, w swym świetnym uniformie, z lśnącymi wstęgami i orderami — a postać ma masywną i twarz dostojną — i jeśli będzie w duchu powtarzał sobie gorliwie: „Yo el Rey”, to jego malarz nadworny z pewnością będzie umiał odbłask tego dostojeństwa oddać na płótnie.

— Myśl pańska wydaje mi się niezła — powiedział.

Goya odetchnął z ulgą. Królowej projekt nadwornego malarza podobał się od pierwszej chwili. Wyglądała reprezentacyjnie, Goya nieraz już tak ją malował, a w otoczeniu rodziny będzie przedstawiała się jeszcze bardziej majestatycznie. Ale czy aby Goya nie próbuje trochę uprościć sobie zadania?

— Jak pan sobie to wyobraża, don Francisco? — spytała go łaskawie, ale krytycznie. — Wszyscy ustawieni w jednym rzędzie? Czy nie będzie to trochę monotonne?

— Jeżeli pani tak łaskawa, senioro — odpowiedział Goya — i pozwoli mi zrobić próbę, spodziewam się, że potrafię panią zadowolić.

Postanowili, że król, królowa i wszyscy pozostali członkowie rodziny zbiorą się nazajutrz rano w Zielonej Galerii, w strojach galowych, po czym zadecyduje się, w jaki sposób don Francisco malować ma *Rodzinę Karola IV*.

Następnego dnia zgromadzili się w Zielonej Galerii wszyscy Burbonowie hiszpańscy, starzy i młodzi, nie zabrakło nawet księżęcego niemowlęcia, które oczywiście też miało znaleźć się na płótnie, a które jedna z dam dworu trzymała sztywnie i ostrożnie na ręku. Członkowie rodziny królewskiej siedzieli i stali, oblani potokami światła słonecznego, wpadającego do sali przez wielkie okna. Najmłodsze dzieci, dwunastoletnia Izabela i sześciolatek Francisco de Paula, zabawiały się gonitwą po sali. Wszyscy byli w galowych strojach, co w jasnym świetle porannym sprawiało osobliwe wrażenie. Pod ścianami tłoczyło się wielu dworzan i służby. Panowała

1/ Ja, król Hiszpanii i Francji.

wrzawa, lecz ludzie byli jakby zmieszani. Księga ceremoniału dworskiego nie przewidywała tego rodzaju imprezy. Donia Maria Luiza przystąpiła do *rzeczy*.

— Ma pan nas tu wszystkich razem, don Francisco — rzekła — teraz niech pan zrobi z nas coś ładnego.

Goya zabrał się do roboty. W samym środku ustawił królowę pomiędzy dwojgiem najmłodszych dzieci, dwunastoletnią infantką i sześciolatnim infantem; po jej lewej ręce umieścił wysuniętą na pierwszy plan masywną postać don Carlosa. Takie ugrupowanie nasuwało się samo przez się. Ustawienie drugiej grupy było również rzeczą prostą. Tu stanęła infantka Maria Luiza, o delikatnej dyskretnej urodzie, trzymająca na ręku niemowlę, które dama dworu podała jej z głębokim dygiem; na prawo od niej jej małżonek, dziedziczny książę Parmy, smukły pan, który wyniosłą postać dobrze wypełniał swoje miejsce. Grupę tę łączył harmonijnie z środkową grupą obrazu stary infant don Antonio Pascual, brat króla, bardzo, wręcz zabawnie, do niego podobny. Troje pozostałych Burbonów wypełniało lewą — od strony widza — część obrazu; byli to: następca tronu don Fernando, szesnastoletni młodzieniec o dość ładnej, lecz pozbawionej wyrazu twarzy, jego młodszy brat don Carlos oraz ciotka ich, najstarsza siostra króla, odrażająco brzydka donia Maria Josefa. Kompozycja mogła się wydać aż dziecinna w swej prostocie. Goya już z góry przewidywał, że ocenią ją jako niezdarną. Ale taka właśnie odpowiadała celowi, który sobie wytknął.

Wtem rozległy się słowa króla:

— Czekajcie! czekajcie! Brak przecież jeszcze dwóch infantek, które są nieobecne. — A widząc zdumienie na twarzy Goyi, wyjaśnił: — Moja najstarsza córka, panująca księżna Portugalii, i Neapolitanka, przyszła małżonka następcy tronu.

— Czy wasza królewska mość rozkaże — zapytał Goya — abym te królewskie wysokości namalował podług ich portretów, czy podług opisu?

— Niech pan zrobi, jak pan chce — rzekł król — najważniejsze, żeby obie były na obrazie.

Z kolei wystąpił don Fernando, książę Asturii, następca tronu.

— Nie wiem — oświadczył podrażniony, swym nieco ochrypłym, zmienionym przez mutację głosem — czy to wypada, abym stał na samym końcu. Ostatecznie jestem księciem Asturii. Dlaczego ten malec — wskazał na sześciolatniego braciszka — ma stać w środku, a ja w kącie?



Goya tłumaczył się cierpliwie, zwrócony raczej do króla niż do następcy tronu:

— Uważałem za właściwe ze względów artystycznych, aby pomiędzy jej królewską mością a jego królewską mością nie stał duży infant, lecz mały, gdyż w ten sposób uwydatni się lepiej postać jego królewskiej mości.

— Nie rozumiem — upierał się gniewnie don Fernando — dlaczego nie można znaleźć miejsca odpowiadającego mojemu stanowisku.

Król odpowiedział mu:

— Ponieważ jesteś za duży.

Spór przecięła Maria Luiza.

— Zamilcz, don Fernando — rozkazała.

Goya cofnął się nieco, aby objąć wzrokiem stojącą w szerokim rzędzie rodzinę Burbonów.

— Czy wolno mi prosić — rzekł po chwili — aby ich królewskie mości i wysokości zechciały przejść do innej sali? Muszę mieć światło z lewej strony — wyjaśniał — potrzeba mi dużo, dużo światła padającego z góry od lewej strony ku prawej.

Maria Luiza zrozumiała natychmiast.

— Przejdziemy do sali Ariadny — rzekła. — Spodziewam się, że tam znajdzie pan, don Francisco, to, czego panu potrzeba.

Z wrzawą i tupotem wyszła cała ta błyszcząca gromada z sali, kierując się w głąb zamku. Na czele kroczył ocieężały król obok wystrojonej królowej, za nimi szpetni starzy i przystojni młodzi infanci i infantki; pochód zamykali panowie i damy ze świty dworskiej. Minawszy szereg sal i korytarzy, orszak doszedł do sali Ariadny. Tu można było bez trudności tonować światło; z lewej strony padały ukośne snopy promieni słonecznych, tak jak to było Goyi potrzebne, wiszące zaś na ścianach olbrzymie malowidła, które przedstawiały sceny z mitologii, tonęły w cieniu.

Tu ustawili się znowu król i królowa oraz wszyscy książęta i księżniczki, a Goya stanął przed nimi. Ogarnął ich wszystkich przenikliwym spojrzeniem, oczy jego wpiły się w nich, wchłaniały ich w siebie z jakąś niepohamowaną zachłannością. Wpatrywał się krytycznie, ostro, dokładnie; przez długi czas nie spuszczał z nich oczu. Na sali panowało milczenie. Osoby ze świty dworskiej, widząc, jak zwykły poddany wpatruje się natarczywie w króla i jego rodzinę, uważały, że jest to niewłaściwe, zuchwałe, buntownicze i że tak być nie powinno. W dodatku Goya — sam nie umiałby powiedzieć,

dłaczego — miał dziś na sobie kitel roboczy, wbrew obowiązującym przepisom i wbrew własnemu zwyczajowi.

— Miałbym jeszcze dwie prośby — powiedział na domiar wszystkiego. — Gdyby jego królewska wysokość mały infant włożył na siebie coś jasnoczerwonego, uwydatniłoby to lepiej postacie zarówno ich królewskich mości, jak i jego królewskiej wysokości. Ponadto obraz zyskałby na tym, gdyby jego królewska wysokość następca tronu włożył zamiast czerwonego stroju jasnoniebieski.

— Ależ ten czerwony kolor jest kolorem mego generalskiego mundurku! — oburzył się don Fernando. — To mój ulubiony kolor.

— Ubierzesz się na niebiesko — rzekła sucho królowa.

Don Carlos dodał pojednawczo:

— Za to, o ile don Francisco pozwoli, możesz nałożyć więcej orderów i wstęg, a także złote runo.

— Jego królewska wysokość następca tronu — rzekł Francisco chcąc księcia udobruchać — będzie stał w pełnym świetle. Ordery i wstęgi będą na nim błyszczały szczególnie pięknie.

Szybko nakreślił na drewnianej tablicy pierwszy szkic. Następnie oświadczył, że będzie jeszcze musiał mieć parę seansów, bądź z poszczególnymi osobami, bądź z niewielkimi grupami. Jeszcze tylko jeden raz będzie mu potrzebna obecność wszystkich na raz, by mógł wykonać ostatni wielki szkic kolorowy.

— Zgoda — rzekł król.

Tej nocy Goya nie zaznał również spokojnego snu. Nie, nie zrobi z tego portretu jakiejś zawilej anegdoty, jak Van Loo, i nikt też nie będzie mógł powiedzieć, że co wolno Velazquezowi, nie wolno Goyi. „Velazquez jest wielki, ale nie żyje już — myślał z naiwnym triumfem — inne są teraz czasy, ja żyję i też mały nie jestem.” I leżąc w ciemności, widział już z radością dokładnie, co chce malować. Widział skłócone z sobą barwy, które zmusi do tego, by stworzyły zgodną całość, widział ich mieniącą się, migotliwą harmonię, a pośród tego fantastycznego iskrzenia i blasku nagie, twardo odcinające się twarze.

Zanim zabrał się do szkicowania poszczególnych postaci, wezwano go do intendenta królewskiego, szambelana markiza de Ariza. Ten przyjął go w obecności skarbnika, don Rodriga Soler.

— Pragnąłbym dać panu pewne wskazówki — oświadczył markiz. Mówił uprzejmie, ale patrzył gdzieś w próżnię, przed siebie, unikając wzroku Francisca. — Jakkolwiek można właściwie uważać jej wysokość donię Marię Antonię, następczynię tronu Neapolu, za narzeczoną jego królewskiej wysokości następcy tronu don Fernanda,

to jednak z uwagi na to, że rokowania między wysokimi stronami nie są całkowicie zakończone, zachodzi jeszcze możliwość zmiany. Dlatego też pożądanego, by pan malarz nadworny nadał narzeczonej rysy twarzy niezupełnie wyraźne, nawet do pewnego stopnia anonimowe, tak by na wypadek zmiany postać przedstawiona przez pana mogła wyobrażać inną dostojną damę. Czy mnie pan zrozumiał?

— Tak, ekscelencjo — odpowiedział Goya.

— Ponadto — ciągnął dalej markiz de Ariza — polecono zwrócić uwagę na to, że liczba osobistości, które mają być przedstawione na obrazie, wliczając w to przyszłego dziedzicznego księcia Parmy — mam tu na myśli książęce niemowlę — oraz dwie nieobecne dostojne infantki, wynosi trzynaście. Oczywiście wszystkie osoby portretowane wyższe są ponad przesady, ale nie da się to powiedzieć o wszystkich widzach, którzy będą w przyszłości obraz ten oglądać. Toteż wyłoniła się propozycja, by pan, jak to już dawniej bywało na tego rodzaju malowidłach, umieścił na obrazie także swoją własną podobiznę, oczywiście w dyskretny sposób. Czy mnie pan zrozumiał?

— Sądzę, że tak, ekscelencjo — odpowiedział Goya sucho. —

Według życzenia mam umieścić i siebie na tym obrazie, w cieniu, na przykład stojącego przy sztaludze.

— Zechce pan malarz nadworny przyjąć podziękowanie — odpowiedział markiz — widzę, że mnie pan zrozumiał.

Nawał myśli cisnął się Goyi do głowy. Przypomniał sobie, że Velazquez, malując siebie na obrazie *Rodziny królewskiej*, zrobił to tak, jakby obecność jego rozumiała się sama przez się; dał postać dużego formatu, niepretensjonalną, ale też bynajmniej nie drugoplanową. A potem król Filip własną ręką domalował krzyż Santiago na piersi malowanego Velazqueza. On, Francisco, namaluje wprawdzie swą postać w cieniu, jednak tak, aby był dobrze widoczny; i jego zapewne król wynagrodzi, może nie z takim wdziękiem, jak Filip Velazqueza, ale zamianuje go nareszcie swoim pierwszym malarzem. Jest to chyba niewątpliwe, skoro powierzył mu tę wielką i trudną robotę.

— Pozostawałaby jeszcze do załatwienia sprawa honorarium — odezwał się bardzo uprzejmie skarbnik, don Rodrigo Soler.

We Franciscu obudziło się od razu trzeźwe, chłopskie wyrachowanie, postanowił teraz dobrze nadstawić uszu. W podobnych okolicznościach ofiarowywano nieraz zbyt niskie honoraria, licząc na to, że malarz czuje się dostatecznie wynagrodzony samym zaszczytnym zleceniem.

— Sądziłem pierwotnie — zaczął ostrożnie Francisco — że prace przygotowawcze ograniczą się do pobieżnych szkiców poszczególnych osób; okazało się jednak, że portrety wszystkich członków rodziny trzeba będzie wypracować z drobiazgową dokładnością. Obraz obejmie cztery mniejsze grupy portretowe i dziesięć pojedynczych portretów.

Markiz de Ariza stał pełen milczącej, wyniosłej dezaprobaty.

— Zgodnie z decyzją — rzekł skarbnik Soler — honorarium pańskie nie będzie obliczone podług czasu zużytego na wykonanie obrazu. Wynagrodzenie za malowidło ustalone będzie na zasadzie liczby osób portretowanych. Zapłacimy panu za głowy obojga królewskich mości oraz ich dzieci po dwa tysiące realów, za głowy zaś pozostałych członków rodziny królewskiej po tysiąc realów.

Goya zastanawiał się przez chwilę, czy honorarium to obejmuje także głowy obu nieobecnych infantek i niemowlęcia oraz jego własną głowę; ale nie zapytał o to.

Uśmiechnął się jednak w duchu. Wynagrodzenie nie było skąpe. Podwyższał zwykle cenę, gdy zamawiający życzył sobie, by także ręce jego były na portrecie widoczne. Tym razem nie było mowy o rękach, on sam zaś miał już z góry zamiar namalować bardzo niewiele rąk, najwyżej cztery do sześciu. Honorarium było przyzwoite, nawet gdyby mu zapłacono tylko za dziesięć głów.

Jeszcze tego samego dnia w prowizorycznej pracowni, którą mu urządzono w sali Ariadny, zabrał się Goya do pracy.

Mógł tutaj ustawić swe modele w tym samym dokładnie świetle, w którym znajdują się na portrecie rodzinnym. W ten sposób wykonał wszystkie szkice z najdrobniejszymi szczegółami. Namalował don Luisa, dziedzicznego księcia Parmy, jako pełnego godności młodzieńca o dość ładnej, choć nieco głupkowatej twarzy. Namalował miłą, pełną wdzięku, choć niepokazną infantkę Marię Luizę z niemowlęciem na ręku. Namalował również starą infantkę donię Marię Josefę; a chociaż twarz jej miała być widoczna tylko spoza postaci następcy tronu i jego anonimowej narzeczonej, poświęcił całe dwa ranki na ten szkic. Fascynowała go niezwykła brzydota starej infantki.

Król sam był nader chętnym modelem. Stał wyprostowany, wypinając pierś i brzuch. Lśniła na nim błękitno-biała wstęga orderu Carlosa, błyszcząca szkarłatna wstęga portugalskiego orderu Chrystusa, na szyi migotało złote runo; od brązowego aksamitu fraka odbijał popielaty kant lamówki, metaliczny blask bił od gardy szpady. Stał w tym świetnym stroju prosto, wytrwale, godny i ważny,

dumny z tego, że mimo podagry wytrzymuje tak długo w stojącej pozycji.

Pozowanie sprawiało królowi przyjemność, ale cieszyły go również przerwy. Odpasywał wtedy szpadę, czasem zdejmował też ogromny aksamitny frak z wstęgami i orderami, rozsiadał się wygodnie w fotelu, sprawdzał swe umiłowane zegarki i zabawiał się rozmową o polowaniu, o rolnictwie, o dzieciach i innych codziennych sprawach.

— Pan przecież także będzie na tym obrazie, don Francisco — powiedział raz łaskawie do Goyi i objął taksującym spojrzeniem postać malarza.

— Jest pan solidnie zbudowany — ocenił. — A może byśmy tak spróbowali, naszych sił w zapasach? — zaproponował niespodzianie, z ożywieniem. — Jestem wprawdzie o wiele wyższy od pana i znacznie silniej zbudowany, zgoda, ale za to mam już swoje lata i podagrę. Niech mi pan pokaże swój biceps — rozkazał.

Goya obnażył ramię.

— Wcale niezły — orzekł — ale proszę dotknąć teraz mojego. Goya uczynił to.

— Też niezły, najjaśniejszy panie — rzekł z uznaniem.

Nagle don Carlos rzucił się na niego. Goya, zaskoczony, bronił się energicznie. Próbował już był walki zapaśniczej i żartem, i na serio z niejednym z *majów* w Manolerii. Ale Carlos, dysząc, użył niedozwolonych chwytów. Wówczas Goya, rozzłoszczony tym, zapomniał, że chce zostać pierwszym malarzem, i chwytem, którego nauczył się od *majów*, uszczypnął króla boleśnie w wewnętrzną stronę uda.

— Au! — krzyknął don Carlos.

Francisco, również mocno zadyszany, oprzytomniał.

— Proszę mi łaskawie wybaczyć — rzekł.

Mimo to stawał jeszcze przez dłuższą chwilę opór, zanim pozwolił Carlosowi oprzeć kolano na swej piersi.

— Ale zapaśnik z pana nie lada! — rzekł Carlos.

Okazywał zresztą Franciscowi przy każdej sposobności życzliwość. Czuł się zawsze szczególnie dobrze w Aranjuezie; przytaczał często stare powiedzenie: „Gdyby Bóg nie był Bogiem, chciałby być królem Hiszpanii, byleby z francuskim kucharzem.” Don Carlos był więc w świetnym humorze, a chcąc tym dobrym nastrojem zarazić Francisca, przeszkadzał mu nieraz w pracy. Oprowadzał go po nie wykończonym jeszcze budynku Casa del Labrador, „wiejskiej chacie”, będącej w rzeczywistości wspaniałym pałacem, który kazał

( 272 )

zbudować w parku, przyrzekał Goyi, że i tam czeka na niego robota. Kilkakrotnie brał go z sobą na polowanie. Pewnego dnia zaprosił go do wielkiego salonu muzycznego i tam, gruby i masywny wśród delikatnych chińskich cacek, grał na skrzypcach.

— Nie uważa pan, że zrobiłem postępy? — spytał. — Są naturalnie lepsi ode mnie skrzypkowie wśród członków mojej kapeli, ale wśród grandów, odkąd nasz zacny Alba tak wcześnie przeniósł się do wieczności, ja jestem dziś najlepszym muzykiem.

Jeden tylko z modeli pozujących Goyi do obrazu okazał się wyjątkowo oporny: następca tronu don Fernando. Goya starał się zjednać sobie tego szesnastoletniego młodzieńca i odnosił się do niego ze szczególnym szacunkiem. Ale don Fernando, porywczy i zarozumiały, trwał w zawziętości i uporze. Wiedział, że Goya jest przyjacielem Księcia Pokoju, którego nienawidził. Przez dziewczki dworskie, guwernantki i damy dworu wcześniej wtajemniczony w rozkosze życia seksualnego, młody książę dowiedział się wkrótce, że don Manuel jest kochankiem jego matki, i

patrzył na niego okiem ciekawym, pełnym zawistnej zazdrości. Gdy pewnego razu jedenastoletni Fernando włożył na siebie mundur pułkownika, nie umiał sobie poradzić ze swą małą szpadą, don Manuel pouczył go, ale mówił do niego protekcyjnie jak dorosły do malca, bez unżoności; don Fernando zapamiętał to sobie. A teraz musiał przyjacielowi tegoż Manuela pozować jako model do obrazu, i to w stroju, którego koloru nie lubił, a w dodatku ten malarz ośmielał się w obecności następcy tronu pracować w zwyczajnym roboczym kitlu.

Za to donia Maria Luiza była szczególnie posłuszną modelką. Pozowała, tak jak Goya sobie życzył, już to sama, już to z obojgiem dzieci, lub też kazała pozować każdemu z dzieci z osobna. Na koniec prace posunęły się tak daleko, że Goya poprosił, aby rodzina królewska zechciała się zebrać raz jeszcze w sali Ariadny; w galowych strojach mieli mu pozować do wielkiego szkicu kolorowego.

Ustawili się znów wszyscy. Goya objął ich spojrzeniem. Patrzył uszczęśliwiony: widział tę harmonię sprzecznych barw, tak jak sobie wymarzył, bogatą, nową, wyrazistą. Każdy szczegół podporządkowany całości, a idea całości przemawia z każdego szczegółu. Skłócone kolory lśnią zgodnie, czerwienią i złotem mieni się prawa strona obrazu, błękitem i srebrem lewa. W każdej świetlnej plamie jest nieco cienia o różnym nasileniu, z każdego cienia przebłyskuje światło, a na tle tych mieniących się barw odcinają się twarze, nagie, twarde, wyraźne, pospolite wśród tego niepospolitego otoczenia. Goya

< 273 >

nie zdawał sobie wyraźnie sprawy z tego wszystkiego, nie umiałby tego wypowiedzieć słowami: wyczuwał to tylko.

Patrzył nie spuszczać z nich oczu, wpatrywał się ostro, długo, bez szacunku i uniżoności. Osoby ze świty dworskiej były tym razem poważnie zgorszone. Ten prosty człowiek w zniszczonym kitlu ustawia królów i książąt w ich wspaniałych strojach i przygląda się im niczym generał przyjmujący paradę. To zakrawa na bunt i nie byłoby do pomyślenia przed rewolucją francuską. Dlaczego Burbonowie na to pozwalają?

Francisco zabrał się do pracy, malował spiesźnie, długo. Stara infantka Maria Josefa zaczęła się skarżyć, że nie może już dłużej ustać; Carlos upomniał ją, że można chyba wymagać od infantki odrobiny wytrwałości. Ale Goya, pochłonięty pracą, nie słuchał i naprawdę nic nie słyszał.

Wreszcie zrobił przerwę. Wszyscy poczęli kręcić się i przeciągać; chcieli już odejść.

— Jeszcze dwadzieścia minut! — prosił Goya, a widząc niechętnie twarze, zaklinał i błagał: — Jeszcze tylko dwadzieścia minut. Potem nie będę już państwa trudził ani razu.

Spełnili jego prośbę. Malował dalej. Panowała taka cisza, że słychać było brzęczenie dużej muchy, uderzającej o szybę okna.

Wreszcie Goya powiedział:

— Dziękuję waszym królewskim mościom, dziękuję waszym królewskim wysokościami.

Kiedy został sam, siedział jeszcze przez dłuższą chwilę, wyczerpany, przepelniony szczęściem. To, co widział oczyma wyobraźni, przyoblekło się w konkretny kształt; już tego nie utraci.

Potem nagle, znienacka opanowała go tęsknota za Cayetaną. Spadło to na niego z taką siłą, że dopiero teraz odczuł, ile wysiłku go kosztowało, aby myśleć o niej przez cały ten czas trzymać na uwięzi.

Byłoby rzeczą rozsądniejszą, a nawet jedynie rozsądną, zostać w Aranjuezie i pracować dalej. Ale dręczyło go pytanie: Czy Cayetana jest jeszcze w Madrycie? Jak długo, a raczej jak krótko jeszcze tam zostanie?

Wyprawił natychmiast gońca do Madrytu z poleceniem zawiadomienia księżny, że przybędzie następnego dnia. I począł przemyślać nad tym, jakby — rzekomo ze względu na obraz — wyjechać na kilka dni do Madrytu. Wiedział wprawdzie, że to, co robi, jest nierozsądne, a jednak mimo to tak postąpił.

Wielki kolorowy szkic i szkice poszczególnych modeli zwinął starannie i wyjechał z nimi w największym pośpiechu do Madrytu, z sercem pełnym dumy i nadziei.

## XXVIII

Pierwszą noc po jego powrocie spędziła u niego. Noce letnie były krótkie, Cayetana narażała się na to, że mógł ją ktoś spotkać niespodzianie, wracającą od Goyi wczesnym rankiem. Mimo to została u niego do świtu.

Następnego wieczoru przyszła bardzo wcześnie. Opowiadał jej o swej pracy, pokazał kolorowe szkice, starał się wytłumaczyć, że to, co maluje, będzie nowe i wielkie. Ona jednak nie zwracała niemal uwagi na jego nieporadne słowa, patrzyła na szkice, na całą tę galerię zarozumiałych, nadętych twarzy, wyłaniających się ze wspinających strojów, i usta jej wykrzywił grymas. Roześmiała się na głos, rozbawiona. Goyę zmroził ten śmiech. Czy takie wrażenie wywiera jego dzieło? Żałował już, że pokazał jej szkice.

Ale uraza nie trwała długo. Był szczęśliwy, że ją widzi i czuje blisko siebie, że ją posiada. Wszystko w niej uszczęśliwiało go. „*Ven ventura, ven y dura* — przybądź, szczęście, przyjdź i trwaj” — powtarzał sobie w myśli i nucił po cichu.

Następną noc również została u niego. Kto wie, czy nie są to ostatnie jej godziny w Madrycie; jutro upływają owe trzy tygodnie, które Maria Luiza jej pozostawiła. Ale nie wierzyła, by naprawdę ośmielono się edyktem wysłać ją na wygnanie; Goya również w to nie wierzył.

Następnego popołudnia otrzymał pośpiesznie nakreśloną wiadomość: „Przyjdź natychmiast.” Domyślił się, że dostała nakaz wyjazdu.

Pobiegł do niej.

W wielkim Palacio Liria panowało zamieszanie. Służba pędziła we wszystkie strony, wydawano i odwoływano rozkazy, nawet poważna donia Eufemia nie ukrywała swego podniecenia. Tak, Cayetana otrzymała *carta orden*, rozkaz królewski na piśmie.

Przyjęła Francisca w sypialni; ubierano ją właśnie do podróży. Zastał ją w halce, nieobutą. Wydając garderobianym wskazówki, opowiadała mu jednocześnie o tym, co zaszło. Miała jeszcze tego samego dnia opuścić miasto i udać się na czas nieoznaczony do jednej ze swych majątności w Andaluzji. Zabroniono jej wydalać się bez specjalnego pozwolenia poza granice królestwa Andaluzji.



— Będę jechała okrężnymi drogami — powiedziała. — Będę jechała tak, aby nocować tylko na terenach, które do mnie należą.

Śmiała się z nieładu, który panował dokoła. Biały kędzierzawy piesek poszczekiwał.

Goya zapragnął gorąco towarzyszyć jej w podróży: nie chciał rozłączać się z nią obecnie, kiedy była tak czarująca, szczerą, otwartą. Czy musi się jej wyrzec teraz, kiedy mógłby ją przez szereg tygodni mieć całą dla siebie?

Nie, nie wyrzeknie się jej. Zrezygnuje raczej z wykończenia obrazu, który nosi gotowy w swej duszy, woli wyrzec się sławy i kariery. Zostanie przy niej, wyzwie świat cały, tak jak to ona uczyniła tym zuchwałym, dumnym, niemądrym, zadziwiającym darem dla tego głupiego doktora. Ale już w następnej chwili budzi się w nim równie żarliwa wola dokończenia obrazu. Ogarnia go przemożna tęsknota za obrazem, czuje go w sobie, widzi tę powódź barw. Lśniącą, promienną, migotliwą, iskrzącą się, a wśród niej nagie twarze rodziny królewskiej. Jego obraz nie chce rywalizować z *Rodziną królewską* Velazqueza, ale będzie to obraz dobry, dzieło, którego się nie powstydzi.

Powiedział nieco ochryple:

— Czy wolno mi towarzyszyć pani, donio Cayetano? — I dodał zaraz małodusznie: — Przynajmniej przez pierwszy dzień podróży?

Cayetana patrzyła na niego, podczas gdy te myśli wirowały w jego głowie, czytała w nim, znała się na ludziach. Doznał przykrego uczucia, że przejrzała go na wylot. Kiedy tak chwiejnie i bez zapалу zaoferował jej swe towarzystwo, roześmiała się, nawet dość życzliwie. Mimo to czuł się urażony. Nie jest to chyba rzecz błaha, że malarz króla gotów jest rzucić dzieło, które ma przynieść mu tytuł pierwszego malarza, i towarzyszyć w drodze na wygnanie damie, która ściągnęła na siebie niełaskę dworu.

— Umiem ocenić pańską propozycję, don Francisco — rzekła. — Ale jest pan przecież roztropnym człowiekiem, prawda? I ja chcę być tym razem roztropną. Jeżeli pan przez cały dzień będzie tłukł się w siodle obok mojego powozu i łykał kurz po to, aby już nigdy nie otrzymać tytułu pierwszego malarza, to już w trzy dni później gorzko pan tego pożałuje i nie przestanie żałować do końca swego życia. Czy nie mam racji? I nie chcę wcale myśleć o różnych soczystych wyzwiskach, którymi będzie mnie pan w duchu, a może nawet nie tylko w duchu, przez całe lata obdarzał. I dlatego pięknie ci dziękuję, Francho. — Wspięła się na palce i pocałowała go.

Po czym dodała jakby od niechcienia:

— Zresztą towarzyszyć mi będzie oczywiście don Joaquin, będę więc miała pod każdym względem dobrą opiekę.

Goya powinien był przewidzieć, że doktor Peral z nią pojedzie; było to samo przez się zrozumiałe. Mimo to zraniły go jej słowa.

Służba dała znać, że powóz gotowy do odjazdu.

— Niech pan przyjedzie za mną jak najrychlej, Francisco! — rzekła, a w tych zwykłych sławach brzmiała tęsknota. — Niech pan maluje swój obraz tak szybko jak „pośpieszny Łukasz”. A potem niech pan pędzi do Andaluzji, tak jakby całe Święte Officium siedziało panu na karku.

## XXIX

Goya nie miał od dawna sposobności porozmawiać jak należy z Agustinem. Ale skoro tylko Cayetana wyjechała, zagadnął go:

— No, a teraz, skwaszona małpo, pokażę ci, co zrobiłem. — Rozwinął wszystkie szkice i przymocował je gwoździkami do drewnianych ram.

Agustin stanął przed szkicami, to się cofał, to zbliżał do nich, przysuwał dużą, nieforemną głowę do tego lub owego szkicu, przełykał ślinę, mlaskał językiem.

— Wytłumaczę ci... — zaczął Goya.

— Nie mów mi nic — przerwał Agustin przeczącym ruchem rąk — już wiem wszystko.

— Nic nie wiesz — rzekł Goya, ale milczał, podczas gdy Agustin przyglądał się dalej obrazom.

— *Carajo!* — zawołał wreszcie Agustin.

Było to wulgarne, dosadne, sprośne przekleństwo poganiaczy mułów, a ton, jakim było powiedziane, świadczył, że Agustin zrozumiał jego obraz. Francisco jednak czuł potrzebę mówienia, wyjaśnienia przyjacielowi tego, co chciał w tym obrazie wyrazić.

— Nie chcę konstruować — zaczął. — Nie chcę z tego zrobić, tak jak malował Velazquez, jakiejś zagmatwanej historii, rozumiesz? Ustawiam tych ludzi po prostu, naturalnie, jak dzieci.

Czuł sam, że słowa, zwłaszcza jego słowa, zbyt są niezdarne i nieskładne, by mogły oddać tę rzecz subtelną i złożoną, którą chciał mu wytłumaczyć; ale odczuwał wewnętrzną potrzebę mówienia.

— Szczegóły muszą być oczywiście jak najdokładniej opracowane, a mimo to nie powinny rzucać się w oczy. Tylko twarze będą

twarde, realne, dokładne, takie jak w życiu. Tło ciemne, oko zaledwie odróżnia olbrzymie bohomy na ścianach sali Ariadny. Widzisz. co chcę zrobić? Rozumiesz?

— Nie jestem przecież matolkiem — odpowiedział Agustin. A potem dodał z cichym, spokojnym triumfem:

— *Hombre!* Toż to będzie naprawdę coś wielkiego. I coś zupełnie nowego. Francho, Francho, jakież z ciebie malarz!

— Zauważyłeś to nareszcie? — odparł wesoło Francisco. — Pojutrze jedziemy do Aranjuezu — ciągnął dalej. — Zabiorę cię oczywiście z sobą. Uporamy się szybko z robotą. Pozostaje mi już tylko przenieść portrety na płótno. To, co najważniejsze, jest już gotowe. Wypadnie wspaniale.

— Tak — potwierdził z przekonaniem Agustin. Myślał przedtem z niepokojem, czy Francisco poprosi go, aby z nim pojechał; ucieszył się zaproszeniem jak dziecko. I zajął się zaraz praktyczną stroną wyprawy.

— A więc pojutrze do Aranjuezu — powtórzył. — Jest jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. Muszę pójść do Dachera w sprawie ram i płótna, trzeba też porozumieć się Ezquerrą co do farb i werniksu.

Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, potem powiedział niepewnym tonem:

— Nie widziałeś przez cały ten czas przyjaciół, Jovellanosa. Bermudeza, Quintany. Teraz wyjeżdżasz znowu na całe tygodnie do Aranjuezu. Czy nie chciałbyś zobaczyć się z nimi przed wyjazdem?

Goya spochmurniał, Agustin bał się, że wybuchnie. Ale Goya zapanował nad sobą. Sam nie rozumiał, jak mógł tak długo obejść się bez Agustina. Nie wyobrażał sobie dalszej pracy w Aranjuezie bez pomocy tego najrozumniejszego z przyjaciół; czuł, że nie może odmówić mu tej przyjemności. Agustin miał zresztą słuszną: przyjaciele obraziliby się, gdyby ich nie odwiedził.

Zastał Miguela i Quintanę u Jovellanosa.

— Nie widzieliśmy się już od dawna — usprawiedliwiał się — miałem roboty po uszy.

— Z wszystkich dobrych *rzeczy* na tym świecie — powiedział z goryczą don Miguel — jedynie praca nie pozostawia po sobie niesmaku.

Później rozprawiano oczywiście o polityce. Sytuacja Hiszpanii była ciężka, znacznie gorsza, niż Goya przypuszczał, będąc w Aranjuezie odcięty od wszelkich spraw natury ogólnej. Flota,

wciągnięta przez sprzymierzoną Republikę Francuską do czynnego udziału w wojnie, nie odzyskała swej siły po ciężkiej porażce pod Cap Sao Vicente. Anglicy zajęli wyspę Trinidad i przecięli dowozy z Indii, niepokoją nawet wybrzeża samej Hiszpanii. Wysokie koszty wojenne przyniosły krajowi głód i nędzę. Dyrektoriat paryski odpłacał teraz Hiszpanii za to, że tak długo zwlekała z zawarciem przymierza. Republika upajała się zwycięstwami odniesionymi przez armie we Włoszech, pozostawiając wszędzie Hiszpanię jej własnemu losowi. Generał Bonaparte posunął się nawet tak daleko, że pozbawił tronu włoskich krewnych hiszpańskiego domu królewskiego i zagarnął ich terytoria. Alians z Francją był z pewnością słuszny z politycznego punktu widzenia, była to dla Hiszpanii jedynie właściwa droga. Jednakże Hiszpania zamiast nalegać na to, by i Republika spełniła swe zobowiązania przyjęte na mocy traktatu, ustępowała we wszystkich kwestiach. Przyczyną było to, że królowa i don Manuel obsadzali wyższe urzędy swymi faworytami albo sprzedawali je po prostu za pieniądze. Najważniejsze stanowiska piastowali ludzie nieodpowiedni, którzy zamiast bronić interesów Hiszpanii, dawali się przekupywać przez Republikę. Sama Maria Luiza również nie była na to nieczuła. Ilekroć zdobywała się na wysilek, aby energicznie czegoś zażądać, Paryż przysyłał jej kosztowne podarunki, pod wpływem których ostra skarga królowej zamieniała się w potulne zażalenie.

Goya słuchał w milczeniu, z głuchym oporem w duszy. Sam należy do dworu; ci, którzy tak ostro ten dwór krytykują, są tym samym i jego wrogami. Tak się dziwnie składa w jego życiu, że to, co jest przekleństwem Hiszpanii, jemu wychodzi na dobre. Być może, że ten dobroduszny, jowialny don Carlos, którego więcej interesuje miniaturowy okręcik na sadzawce niż prawdziwa fregata „Santisima Trinidad”, jest złym królem; być może, że rządy doni Marii Luizy są klęską dla kraju; ale to pewne, że gdyby król i królowa byli inni, niż są, wówczas on, Francisco, nie otrzymywałby żadnych zamówień. Nawet i to, że generał Bonaparte wypędził brata Marii Luizy z Wielkiego Księstwa Parmy, wyszło jemu, Goyi, na korzyść. Dziedziczny książę Parmy wraz ze swą infantką był bowiem wskutek tego zmuszony spędzić lato w Aranjuezie; inaczej, kto wie, czy don Carlos wpadłby na wspaniały pomysł, by Goya namalował „nas wszystkich razem”. Mimo tych rozważań udzieliło mu się oburzenie obecnych z powodu złej, przekupnej gospodarki Hiszpanii.

— Ci państwo musieli się diabło napracować, aby kraj tak

błogosławiony jak nasz doprowadzić do tak głębokiego upadku — rzeki Jovellanos. Słowa te i ton, w jakim je wypowiedział, na długo utkwiły Goyi w pamięci. Ale potrząsnął swą wielką głową; zaprzętały go inne sprawy; musiał się przygotować do powrotu do Aranjuezu.

Dla Josefy nie znalazł podczas tych dni prawie chwili czasu; czuł wyrzuty sumienia. Nie zamierzał ukrywać przed nią swego dzieła, skoro pokazał je już Cayetanie i Agustinowi. Z nieznacznym, nieco zażenowanym uśmiechem zaprowadził ją do napiętych na blejtramach szkiców.

Próbował wyjaśnić jej swoje intencje. Josefa znała się dostatecznie na malarstwie, by ze szkiców i wyjaśnień Francisca zrozumieć, o co mu chodzi. Mogła sobie wyobrazić gotowy obraz, który jednak nie bardzo przypadł jej do gustu. Na pewno płótno iskrzyć się będzie cudowną, migotliwą grą barw, o której mówi Francisco, i twarze królów i książąt będą się ostro odcinać od tła. Ale szkice działały na nią raczej odpychająco, a wyobrażenie gotowego obrazu przejmowało ją strachem. Bała się, że malowidło przepojone będzie duchem przekory, kacerską, niebezpieczną, buntowniczą tendencją. Zapewne, król i królowa w rzeczywistości nie grzeszyli urodą, jednakże na portretach Rafaela Mengsa, Maelli i jej brata Bayeu, a nawet na dawniejszych portretach Francisca, mimo dużego podobieństwa nie byli aż tak szpetni. Czy możliwe, aby się im to spodobało? Ten obraz sprowadzi z pewnością jakieś nieszczęście.

— No, co powiesz? — spytał Goya.

— Czy król i królowa — odpowiedziała pytaniem — a przede wszystkim infantka-ciotka, nie są... — szukała odpowiedniego słowa.

— Znadto do siebie podobni? — podpowiedział.

Skinęła głową. Stała i patrzyła na te szkice, które ją pociągały i odpychały zarazem. W końcu powiedziała:

— Mimo wszystko będzie to z pewnością mistrzowski obraz. Tylko że w pierwszej chwili robi tak nieoczekiwane wrażenie.

### XXX

W Aranjuezie, w sali Ariadny, patrzył Agustin z podziwem i znawstwem, jak pod umiejętną ręką przyjaciela to, co Francho widział w swej wyobraźni, przyobleka się w kształt dla każdego widoczny.

I drugą jeszcze rzecz spostrzegł Agustin ku swej wielkiej radości: *Rodzina Karola IV* była obrazem wyraźnie politycznym. Nie zdradził się jednak z tym spostrzeżeniem; Francisco bowiem, rzecz jasna, ani myślał o tym, by malować coś „politycznego”. Wierzył w monarchię absolutną, miał sympatię dla dobrodusznego, przekonanego o swym dostojństwie króla i dla doni Marii Luizy, która z tego placka, jakim jest świat, wykrawała z nienasyconym apetytem ogromną porcję dla siebie. Ale klęski, które spadły na Hiszpanię, zatopione okręty, rozgrabiony skarb państwa, słabość i zachłanność królowej, nędza ludu — wszystko to podczas malowania obrazu było gdzieś w głębi jego mózgu, jakkolwiek sam nie zdawał sobie z tego sprawy. I właśnie dlatego, że nie malował pod wpływem nienawiści, z tym większą wyrazistością, z nagim, brutalnym realizmem ukazywały się wśród błyszczących uniformów, orderów i klejnotów, wśród lśniących oznak tego królestwa „z bożej łaski” owe żalosne kreatury ludzkie, nosiciele tych królewskich akcesoriów.

Nigdy jeszcze współpraca obydwu przyjaciół nie była tak zgodna jak tym razem. Kiedy wierną, ponurą twarz Agustina wykrzywił nieznaczny tylko grymas, Francisco wiedział już, że jakiś szczegół wymaga poprawek.

— Co powiesz o ustach królowej? — zapytał raz Goya. Agustin podrapał się w głowę i już, bez dalszych wyjaśnień, Francisco zamiast grubych ust rozchylonych uśmiechem, jakie Maria Luiza miała na szkicu portretowym, zrobił królowej wargi zaciśnięte.

— Właściwie to infant Antonio jest diabelnie podobny do króla — powiedział Agustin. I już Francisco, aby tym bardziej uwydatnić wymuszoną, dostojną minę don Carlosa, podkreślił nieco silniej pedantyczny wyraz twarzy infanta-brata stojącego tuż za królem, upodabniając go jeszcze bardziej do Carlosa.

Goya pracował gorliwie i wytrwale. Tak jak wówczas, gdy po *autodafe* namalował owe pięć obrazów, między innymi dwa, których tematem była inkwizycja, pracował i teraz do późna w nocy, przy blasku świec, umocowanych tak przemyślnie na rondzie niskiego cylindra, że dawały mu każdej chwili odpowiednie oświetlenie.

Malował nadzwyczaj sumiennie, ale z rozmyślnym lekceważeniem ubocznych szczegółów. Polecono mu, by twarz narzeczonej następcy tronu pozostała „anonimowa”, ponieważ wybór nie był jeszcze ostatecznie postanowiony. Namalował tę nieznaną infantkę w strojnej toalecie, z twarzą odwróconą. O najstarszej córce króla,

nieobecnej w Aranjuezie księżnie-regentce Portugalii, zapomniał zupełnie, tak że do końca nie było jej na obrazie; dopiero Agustin przypomniał mu o niej.

Francisco zbył go lekceważącym ruchem.

— Mniejsza z tym, zrobię ją w dwie minuty — i pracował dalej nad wykończeniem dużej, zgryźliwej i poważnej twarzy infanta don Antonio Pascuala. Zawołano go na obiad, lecz nie oderwał się od pracy. Gdy głowa była już gotowa, zawołano go po raz drugi.

— Usiądź tu — rzekł do Agustina — pójdę zaraz, namaluję jeszcze szybko księżnę-regentkę. — I rzeczywiście, zupa była jeszcze ciepła, gdy spoza pleców infanta Antonia i przewyższającego wszystkich swym wzrostem księcia Luisa wyjrzała obojętna i nic nie mówiąca twarz infantki.

Siebie samego namalował Francisco na obrazie w niecałą godzinę. Zadowolony, z chytrym uśmiechem, pozdrowił skinieniem głowy namalowanego Goyę, który stał w tyle, w cieniu, sam nieco do cienia podobny, tak jak sobie tego życzone, ale dobrze widoczny i bynajmniej nie skromny.

Goya był przez cały ten czas, wbrew oczekiwaniom Agustina, w dobrym humorze. Król i królowa starali się i tym razem, jak mogli, ułatwić mu pracę. Przysyłali do pracowni potrzebne stroje galowe i ordery. Goya śmiejąc się zawiesił Agustinowi na szyi wstążkę i krzyż złotego runa; innym razem, ku zjadliwej ucieście Agustina, kazał otyłemu lokajowi włożyć królewski frak don Carlosa i pozować z taką powagą, jak to robił król.

Wreszcie pewnego dnia zapaliwszy po raz ostatni świece na swym cylindrze zapytał siebie i przyjaciela:

— No co? Gotowe?

Agustin patrzył na obraz. Patrzył na trzynastu Burbonów i widział twardą, bezlitosną prawdę tych żalonych twarzy i czarodziejskie, oszalamiające, barwne bogactwo ich królewskich strojów.

— Tak, gotowe — rzekł Agustin.

— Czy może się zmierzyć z *Rodziną Filipa Van Loo*? — spytał Goya z uśmiechem.

— Nie — odparł Agustin i jeszcze bardziej wyszczerzył zęby. — Ani z *Damami dworu Velazqueza* — dodał i jego gruby, ochryply śmiech zmieszał się z jasnym, radosnym śmiechem Goyi.

— Może by to jeszcze pokazać don Miguelowi? — zaproponował Agustin; senior Bermudez bawił w Aranjuezie u don Manuela i Agustin wyobrażał sobie z uciechą jego osłupiałą minę wielkiego znawcy sztuki.

Don Miguel przyszedł, spojrzął i powziął natychmiast sąd o obrazie. Raził go on ogromnie, odpychał, wydał mu się mimo niewątpliwego artyzmu barbarzyński. Miguel zwlekał jednak chwilę, nim zabrał głos. Bo czyż nie był równie pewny swego zdania, kiedy szło o Lucię, a przecież okazało się potem, że Francisco miał słuszość malując ten dwuznaczny portret. Może i w tym wypadku Francisco ma rację, opierając się nie na prawdziwej znajomości reguł sztuki, lecz idąc za tajemnym głosem swego instynktu. — Obraz jest niezwykle — odezwał się wreszcie Miguel — bardzo osobliwy, bardzo oryginalny. Ale... — i nie dokończył zdania. Po chwili dopiero nabrał rozpędu. To przecież wykluczone, by jego teoria, rezultat dziesiątków lat mozolnej pracy, była aż tak mylna. Czuł, że jego obowiązkiem jest stanąć w obronie estetyki wielkich mistrzów starożytnych, których wiedzę dwutysiącletnią odziedziczył humanizm i jemu, Miguelowi Bermudez, przekazał w spadku. Musiał przeciwstawić się temu, co uważał za barbarzyństwo.

— Podziwiam twój koloryt, Francisco — rzekł. — Nie jest on wprawdzie zgodny z regułami, przyznaję jednak, że ten zamęt światła, ta stonowana orgia barw dowodzą wysokiego kunsztu. Ale dlaczego dodajesz do swego piękna tyle odpychającej brzydoty? Dlaczego chcesz koniecznie ugodzić widza tą odrażającą szpetotą? Sam uważam się za człowieka umiającego ocenić nowe sposoby i efekty nawet bardzo śmiało; ale tego obrazu po prostu nie rozumiem. I jednego jeszcze nie rozumiem. Odstępstwa od kanonów sztuki mogą się zdarzyć, zgadzam się. Ale tu widzę same tylko odstępstwa. Uznaję chętnie zdrowy realizm, ale twoi Burbonowie to już nie portrety, to karykatury. A poza tym; dlaczego kompozycja obrazu jest tak przesadnie prosta, wręcz prymitywna? Nie znam dzieła, czy to starych mistrzów, czy malarstwa współczesnego, na które mógłbyś się powołać. Nie bierz mi za złe tego, co mówię, Francisco. Podziwiam cię szczerze i jestem twoim przyjacielem, ale co do tego nie mogę zgodzić się z tobą. — I tonem pewnym siebie zakończył: — Ten obraz jest nieudany.

Agustin żałował, że Goya pozwolił temu uczonemu osłu obejrzeć obraz. Miguel nie zmyślał i teraz, choć cierpiał z powodu utraty Lucii. Agustin podniósł swą dużą, nieforemną głowę chcąc mu odpowiedzieć. Ale Goya powstrzymał go skinieniem ręki.

— Nie biorę ci tego za złe, mój stary — odpowiedział Miguelowi swobodnie.

Ale Miguel zaczął od nowa:



— Czy król i królowa widzieli już ten obraz? — zapytał z niepokojem.

— Zrobiłem szkice poszczególnych osób — odparł Goya — i te oczywiście widzieli. Obrazu nie pozwoliłem im oglądać podczas malowania.

— Wybacz mi, Francisco — rzekł don Miguel — wiem, że doradców nikt nie lubi, ale uważam za swój obowiązek mówić z tobą otwarcie i dam ci pewną radę. Nie pokazuj tego obrazu w tym stanie, w jakim jest teraz. Zaklinam cię.

I nie zważając na chmurę gniewu gromadzącą się na czole Goyi. mówił dalej:

— Czy nie mógłbyś przynajmniej don Carlosowi i doni Marii Luizie nadać trochę — szukał odpowiedniego wyrażenia — sympatyczniejszego wyglądu? Właściwie to z nas wszystkich ty masz o nich sąd najłagodniejszy.

— Nie zapatruję się na nich ani ostro, ani łagodnie — odrzekł Goya. — Widzę ich takimi, jacy są. A są właśnie tacy i takimi pozostaną. Na zawsze.

Gdy malowidło wyschło, utrwalono je werniksem, po czym znakomity francuski mistrz, senior Julio Dacher, oprawił je w ramy. Uzgodniono wreszcie dzień, w którym rodzina królewska miała obejrzeć gotowe dzieło.

Goya udał się po raz ostatni do sali Ariadny; czekał przechadzając się tam i na powrót przed swym obrazem.

Drzwi otwarty się, ich królewskie mości weszli na salę, a za nimi reszta rodziny. Wracali z przechadzki po ogrodach zamkowych, byli w codziennych strojach i mieli na sobie nieliczne tylko ordery; towarzyszył im Principe de la Paz, również w skromnym stroju. Za nimi weszło wiele osób ze świty dworskiej, w ich liczbie don Miguel Bermudez. Don Carlos wszedłszy na salę wydobyl spod surduta i kamizelki dwa zegarki, sprawdził je i oświadczył:

— Godzina dziesiąta, dwadzieścia dwie minuty. Czternasty czerwca, godzina dziesiąta, dwadzieścia dwie minuty. Ukończył pan swój obraz punktualnie, don Francisco.

Burbonowie stanęli przed obrazem, ugrupowani nie tak jak na portrecie, lecz rozsypani w przypadkowym nieładzie; Burbonowie z krwi i kości patrzyli na namalowanych, każdy na siebie samego i na wszystkich innych. A za nimi stał w cieniu, jak na obrazie, malarz, który ich tak ustawił i tak namalował.

Płótno mieniło się i skrzyło świetnymi barwami królewskich strojów, oni zaś stali na tym płótnie w naturalnej wielkości lub więksi

jeszcze, podobni do siebie jak żywi, prawdziwsi i bardziej rzeczywisci niż żyjący; kto raz jeden, choćby tylko przelotnie ich widział, pozna ich od razu.

Patrzyli w milczeniu, nieco oszołomieni. Nigdy jeszcze nikogo z nich nie namalowano na tak olbrzymim płótnie i w tak licznym otoczeniu rodziny.

Masywny don Carlos stoi pośrodku swej rodziny tak jak na obrazie. Podoba mu się całość dzieła i on sam podoba się sobie. Jak wspaniale oddany jest jego brązowy frak o kasztanowatym odcieniu, poznać, że jest z aksamitu; jak dokładnie wykonana jest rękonośnica szpady, każda gwiazda i każda wstążka orderu. Król sam też wygląda imponująco, stoi mocno, niewzruszenie, każdy widzi, że krzepkie są jeszcze te kości, mimo późnego wieku, mimo podagry. „Jak skała — myśli król. — Yo *el Rey de las Espanas y de Francia.*” Znakomity jest ten obraz. Ma ochotę powiedzieć Goyi kilka słów przyjaznych i żartobliwych, woli jednak zaczekać i usłyszeć, co powie donia Maria Luiza.

Ona zaś, podstarzała, brzydka Maria Luiza w skromnej teraz szacie, stoi pomiędzy mężem, przyjacielem i dziećmi: przenikliwym spojrzeniem bystrych oczu bada podstarzałą, brzydką, wystrojoną Marię Luizę na obrazie. Być może, że ta kobieta na obrazie nie spodoba się wielu innym, ale podoba się jej samej. Maria Luiza patrzy na nią z zadowoleniem. Twarz tej kobiety jest co prawda brzydka, ale nieprzeciętna, jest wyrazista, przykuwa oko widza, utrwala się w jego pamięci. Tak, to jest w istocie ona, Maria Luiza de Burbon, księżniczka Parmy, królowa wszystkich hiszpańskich krajów, królowa obojga Indii, córka wielkiego księcia, małżonka króla, matka przyszłych królów i królowych, zdecydowana wycisnąć z życia wszystko, co się z niego da wycisnąć, bez lęku i bez skrupułów, aż do chwili, kiedy ją zawiozą martwą do Eskurialu i złożą w podziemiach Panteon de los Reyes. Gdyby musiała dzisiaj umrzeć, mogłaby śmiało powiedzieć, że zrobiła ze swojego życia to, co chciała z niego zrobić. A dokoła niej stoją jej dzieci. Z zadowoleniem patrzy na milutkiego małego infantę, którego królowa na obrazie trzyma za rękę, i na pełną wdzięku małą infantkę, której opiera rękę na ramieniu. Ma takie dzieci, jakich pragnęła, dzieci żywe, zdolne do życia, i to nie tylko od tego grubego, głupiego męża, który był jej potrzebny, by mogła sobie i dzieciom zapewnić tytuł królewski, lecz także od mężczyzny, którego najbardziej ze wszystkich pożądała, i jeśli świat się nie zapadnie, to i te dzieci zasiądą kiedyś na tronach Europy. Bo też są to dzieci piękne, zdrowe, rozumne. Po ojcu wzięły urodę, po

niej rozum. Tak, obraz jest dobry, prawdziwy. Nie ma w nim mdłej słodyczy i pochlebstwa, ale jest twardość i duma. Żałuje tylko jednego: że brak na nim Manuela. Długo milczeli wszyscy. Goya zaczął się niepokoić. Ze złością spoglądał na Miguela: czyżby jego ponura, zgryźliwa krytyka była wróżbą nieszczęścia? I Josefa miała wątpliwości. Może król i królowa naprawdę uważają, że przedstawił ich zbyt niepochlebnie? Ale malując nie miał żadnych złych myśli w stosunku do nich, nie chciał im uchybić, przeciwnie, czuł zawsze pewien szacunek dla tego dobrodusznego króla i sympatię dla tej żądnej życia kobiety, królowej, która była zarazem *maja*. Malował po prostu prawdę, tak jak to zawsze dotąd czynił, i ta jego prawda jedna mu uznanie wszystkich, *majów* i grandów, nawet inkwizycji. Liczył na to, że w nagrodę za to dzieło zamianują go pierwszym malarzem króla; czy ta nadzieja i tym razem spełnie na niczym? Dlaczegoż żadne z nich ust nie otwiera, ani ten bałwan, ani ta dziewczka?

Donia Maria Luiza zabrała głos:

— Dobrze pan to zrobił, don Francisco — rzekła. — Obraz jest wierny, prawdziwy; będzie dla potomności świadectwem, jacy my naprawdę jesteśmy, my, Burbonowie.

Teraz don Carlos powiedział głośno, hałaśliwie:

— Znakomity obraz. Portret rodzinny, tak jak życzyliśmy sobie. A jakie są właściwie jego rozmiary, jaka wysokość i szerokość? Goya wymienił cyfry:

— Wysokość dwa metry osiemdziesiąt, szerokość trzy metry trzydzieści sześć.

— Obraz wielki w każdym tego słowa znaczeniu — rzekł z uznaniem don Carlos i dodał z humorem: — *Cubrios*, niech pan nakryje głowę — jak gdyby Francisco był jednym z jego dwunastu pierwszych grandów.

Wszyscy otoczyli teraz Francisca i składali mu w serdecznych i wylewnych słowach gratulacje. Miguel, bardzo wzruszony, uścisnął mu mocno rękę. Z niepokojem oczekiwał, co powie król, teraz uradowany był szczerze, że niepewna sprawa wzięła tak korzystny obrót. Zresztą wypowiedź króla utwierdziła go tylko w jego własnym sądzie: nic dziwnego, że barbarzyńskiemu królowi podoba się barbarzyński obraz.

Principe de la Paz szeptał tymczasem królowi coś na ucho. Ten odpowiedział na głos:

— Możemy zrobić już o tym drobną wzmiankę.

I tubalnym głosem, z szerokim, jowialnym uśmiechem zwrócił się do Goyi:

— Za parę dni, mój kochany, czeka pana przyjemna niespodzianka.

A Manuel poparł go:

— Tak, Francho, jesteśmy nareszcie u celu.

Od śmierci Bayeu Francisco marzył o nominacji na pierwszego malarza. Byłby to dowód uznania; Francisco zostałby także z tytułu tym, czym był już w istocie. Jeszcze dwie minuty temu miał wątpliwości, czy nadzieja się spełni. Teraz się ziściła. Niczego więcej już sobie nie życzy.

Ma wewnętrzne przeświadczenie, że coś umie, że rośnie i doskonali się; obraz mu się udał, podoba się Agustinowi, znawcom sztuki, nawet tym głupcom na tronie. Znajdzie uznanie u Francuzów, nawet u Niemców. I u potomnych. *Idioma universal*. Młody Quintana trafnie to określił. Dziś spotkało go to wyróżnienie, a jutro będzie trzymał w ramionach swoją cudowną kochankę.

Śpiesznie powrócił do Madrytu, by przygotować się do wyjazdu do Andaluzji.

Dopóki zajęty był pracą nad *Rodziną Carlosa*, nie myślał prawie o Cayetanie; teraz paliła go tęsknota, bodła go niecierpliwość. Nie mógł więcej pracować; wstrętem przejmował go zapach farb, widok płótna. Ale nie chciał wydalic się z Madrytu, dopóki mu nie doręczą dokumentu nominacyjnego. Nie uwierzy, dopóki nie zobaczy swej nominacji czarno na białym, z urzędową pieczęcią. Bo droga od obietnicy do jej spełnienia najeżona jest przeszkodami, a on bał się demonów czyhających wszędzie. Toteż, by nie wyzywać demonów, nie powiedział nikomu ani słowa o przyrzeczeniu królewskim, nawet Agustinowi i Josefie. Trawiła go niecierpliwość oczekiwania, lecz nie miał odwagi wyjechać.

Odwiedził go skarbnik Korony, don Rodrigo Soler.

— Co się tyczy pańskiego honorarium, don Francisco — oznajmił mu — to zgodzi się pan zapewne ze mną, że jest tu sześć dostojnych głów po 2000 realów i pięć dostojnych głów po 1000 realów. Jak pan widzi, wstawiłem także w rachunek głowę jego wysokości niemowlęcia. Zgodzi się pan jednakże i na to, że głowa dwunasta i trzynasta, to jest głowy obu nieobecnych infantek, nie będą honorowane. Nie uwzględnimy też głowy czternastej, to jest głowy pana.

Goya uznał w duchu, że wynagrodzenie nie jest wprawdzie nazbyt hojne, ale nie jest też skape.

I znowu upłynął dzień, po nim drugi i trzeci. Akt nominacji nabierał mocy prawnej dopiero po przejściu przez wszystkie instancje urzędowe, tak, że niedbalstwo lub zła wola urzędników mogły spowodować znaczną zwłokę. Było zatem rzeczą naturalną, że Goya musiał czekać. Ale zniecierpliwienie jego stało się wręcz chorobliwe, przy tym pogorszył mu się słuch. Coraz częściej nachodziły go myśli, aby rzucić wszystko i wyjechać natychmiast do Andaluzji, do Cayetany, cokolwiek by z tego miało wynikać.

Wreszcie czwartego dnia po wizycie skarbnika zjawił się u niego don Manuel. Przybył w towarzystwie Pepy. Lokaj w czerwonych pończochach, z dużą teką na akta w ręku, stanął skromnie na uboczu.

— Słyszałam już o pańskim obrazie, don Francisco — szczebiotała Pepa — i za zezwoleniem don Manuela, ponieważ za plecami ich królewskich mości, pojechałam do Aranjezu, by go sobie obejrzeć. Nie jest to wprawdzie moim zwyczajem, ale pan wie, jak bardzo interesuje mnie pańska sztuka. To naprawdę dobry obraz, trzeba powiedzieć: malowidło. Nie tylko największy, ale i najlepszy ze wszystkich, jakie pan namalował. Są wprawdzie tu i ówdzie usterki, księżę Parmy na przykład jest stanowczo za wysoki, ale w całości jest to obraz znakomity. A jaki barwny!

Głos zabrał don Manuel:

— Przybywam w charakterze urzędowym. Pragnę zakomunikować panu miłą wiadomość. — Dał znak lokajowi w czerwonych pończochach, ten podał mu pismo opatrzone dużą pieczęcią urzędową. — Interweniowałem osobiście — mówił dalej — gdyż inaczej musiałby pan czekać jeszcze ze trzy tygodnie. Dzięki temu mogę już dziś doręczyć panu ten dokument. Czy mam go panu odczytać? — spytał uroczyście.

Goya wiedział oczywiście, o co don Manuelowi chodzi; przyznawał zresztą w duchu, że Księżę Pokoju ma prawo oczekiwać podziękowania. Nie mógł jednak przewyciężyć lekkiego niesmaku, jaki budziła w nim ta zarozumiała, protekcyjnalna forma.

— Nie bardzo dobrze dziś słyszę — odpowiedział — czy mogę sam to pismo przeczytać?

— Jak pan woli — zgodził się minister, urażony.

Goya czytał:

„Król, nasz Pan Najmiłociwszy, pragnie wynagrodzić wysokie zasługi pana i dać dowód swej łaski, który posłuży też za zachętę dla innych profesorów Akademii, panu zaś da świadectwo, jak wysoko Jego Królewska Mość ceni mistrzostwo w szlachetnej sztuce

malarstwa. Z tych powodów Król, nasz Pan Najmiłociwszy, raczył zamianować pana swym pierwszym malarzem nadwornym, z pensją roczną 50 000 realów, płatną od dnia dzisiejszego. Administracja Skarbu otrzymała nadto polecenie wypłacać panu 500 dukatów rocznie na koszt utrzymania powozu. Następnie Administracja Skarbu porozumie się z panem w sprawie ustalenia stosownego dodatku na reprezentacyjne mieszkanie. Oby Bóg zachował nam pana jeszcze przez długie lata. Pierwszy Minister don Manuel, Principe de la Paz."

Goya, teraz szczerze wzruszony, rzekł ochrypłym głosem:

— Dziękuję panu, don Manuelu.

— Nie ma za co, mój drogi — odparł don Manuel. Zapomniał już o urazie widząc szczerą radość malarza.

Pepa zaś utkwiała w Goyi bezwstydną spojrzenie swych pięknych zielonych oczu i rzekła:

— Chciałam pierwsza złożyć ci życzenia, Francho.

Gdy Goya został sam, przeczytał dokument jeszcze raz i drugi. Cieszył go szczególnie dodatek na mieszkanie, a bardziej jeszcze owe pięćset dukatów na powóz. Robił sobie zawsze wyrzuty z powodu tej karocy; teraz otrzymał dowód, że słusznie postąpił sprawiając ją sobie. Zarzucał czasem skąpstwo królowi, który przez tak długi czas nie mianował pierwszego malarza, chcąc zaoszczędzić jego pensję. Był to zarzut krzywdzący. Don Carlos ma szczerą rękę i wysoko ceni sztukę. Gdy przyjaciele będą znów wygadywać na króla, weźmie go w obronę, nie pozwoli złego słowa o nim powiedzieć.

Gdy oznajmił Josefie o nominacji, westchnęła z głęboką ulgą. Brat jej, Panie świeć nad jego duszą, powtarzał zawsze, że malarz powinien łączyć prawdę z pięknem. Francho nie trzymał się tej zasady, toteż obawiała się do ostatniej chwili, że ich królewskie mości nie zgodzą się, by w taki sposób przedstawiono ich uświęcone osoby. Teraz przekonała się po raz pierwszy, że Francho nie zawdzięcza swej kariery jej bratu ani swemu spowinowaceniu z wielkim nazwiskiem Bayeu, lecz że jest malarzem dzięki własnemu talentowi i własnym zasługom.

Goya tak pisał do swego przyjaciela Martina Zapatera:

„Nie pisałem do ciebie już dawno, bo byłem przeciążony pracą. I dziś nie mogę ci napisać obszernie, gdyż muszę jak najspieszniej wyjechać na południe do pewnej wielkiej damy, domyślasz się do kogo. Zostałem zamianowany pierwszym malarzem króla i będę musiał zasięgnąć twej rady, jak ulokować nowe pieniądze. Poleciałem Agustinowi, aby ci przysłał odpis mojego dyplomu. Pokaż

go mojej matce i braciom, i w ogóle wszystkim w Saragossie, a przede wszystkim naszemu staremu fray Joaquinowi w Fuendetodos, który nigdy dobrze nie wiedział, czy ma być o mnie dobrego mniemania, czy nie. Za chwilę siadam do powozu, za który zresztą płacić będzie odtąd król pięćset dukatów rocznie, niechaj będzie pochwalona Święta Dziewica. Jestem wyczerpany pracą i szczęściem. Kup kilka grubych świec dla Dziewicy del Filar. Mój drogi, kochany Martmie, czy uwierzysz, że król i królowa wrywają sobie po prostu twego przyjaciela

Francho,"

Pojechał najpierw do Aranjezu, aby złożyć podziękowanie królowi i królowej. Zamówił ekstrapocztę na południe. Natychmiast po audiencji przebrał się do podróży, odesłał strój galowy do Madrytu i nie zwlekając wyruszył do Andaluzji.

Naglił nieustannie do pośpiechu. Drugiego dnia podróży doświadczony woźnica radził zjechać z głównego traktu i objechać bocznymi drogami, gdyż gościniec pełen był wybojów i roło się na nim od bandytów. Ale Goya nie chciał słyszeć o objazdach. Darował zdumionemu woźnicy okrągłego złotego dukata.

— Nie bój się, kumie — rzekł mu. — Wybrańca losu wiesz w swej kolasie!

### XXXI

Goya siedział na pół ubrany w wygodnym fotelu i patrzył na Cayetanę, która leżąc w łóżku popijała czekoladę. Szerokie łóżko znajdowało się w głębi alkowy, której firanki były teraz podniesione. Po obu stronach łóżka stały posągi dwóch starożytnych bogiń, pięknie wyrzeźbione z szlachetnego drzewa; obie boginie przyciskały do piersi świeczniki. Mimo że już dochodziło południe, świece były zapalone. Dawały jednak niewiele światła i w pokoju panował przyjemny półmrok, tak że freski, które biegły wzdłuż ścian, przedstawiające jakąś śmieszna panoramę ogrodową, były ledwie widoczne. Na ścianach alkowy namalowano wysokie okna z wyciętymi w zamkniętych okiennicach otworami, przez które wpadało malowane światło słoneczne; przyjemnie było siedząc w chłodnym pokoju wyobrażać sobie, jaki upał panuje na dworze.

Figlarnie i łakomie zanurzała Cayetana kawałki słodkiego ciasta

w gęstej czekoladzie. Duenia śledziła, by nie spadła ani kropelka. Goya, leniwy, zadowolony, przyglądał się pijącej. Wszyscy troje milczeli.

Gdy Cayetana skończyła śniadanie, donia Eufemia wzięła jej z rąk filiżankę; Cayetana przeciągnęła się leniwie.

Francisco czuł się bezgranicznie szczęśliwy, nie miał żadnych więcej pragnień. Kiedy przybył tu wczoraj wieczorem, wybiegła mu naprzeciw, aby go przywitać: objawiła przy tym swą radość bynajmniej nie jak dama i w obecności swego majordoma rzuciła mu się na szyję. Później, gdy się kąpał i przebierał, rozmawiała z nim przez otwarte drzwi. Przez cały czas podróży myślał z niechęcią o tym, że może zastać kogoś w Sanlucar; dał jej dość długo czekać na siebie i nie wziąłby jej nawet tego za złe, gdyby zaprosiła sobie gości. Ale nie zastał nikogo, nie widział nawet jeszcze dotąd doktora Perala. Zjedli w wesołym nastroju kolację, przeplatając rozmowę dziecinnymi igraszkami, które przechodziły chwilami w mniej dziecinne żarty. Nie padło ani jedno ostrzejsze słowo; również podczas długiej, upojnej nocy Francisco nie miał żadnych złych myśli. Były to godziny cudownego szczęścia. Odrzuciła koldrę i usiadła na łóżku.

— Nie musi pan być dzisiaj obecny przy moim *lever* — rzekła. — Może się pan prześpi jeszcze trochę, obejrzy sobie zamek lub przejdzie się po ogrodzie. Na pół godziny przed obiadem spotkamy się przy Belvedere i pójdziemy na małą przechadzkę.

Jeszcze przed oznaczoną godziną Francisco znalazł się przy Belvedere. Roztaczał się stamtąd piękny widok na pałac i okolice. Obszerna budowla utrzymana była, jak większość domów w okolicy Kadyksu, w stylu arabskim; olśniewająco białe mury przerywane nielicznymi oknami; z płaskiego dachu strzelała ku niebu smukła wieżyczka. Ogrody opadały tarasowate ku rzece Gwadalkiwir, rozlanej szeroko i toczącej leniwie swe wody. Miasto Sanlucar i przylegająca do niego *vega*<sup>1</sup> stanowiły jak gdyby oazę wśród piasków; za winnicami i gajami oliwnymi ciągnęła się po obu stronach rozległa, białawożółta równina. Rzadkie laski sosnowe i kępy dębów korkowych walczyły zawzięcie z piaszczystą pustynią. Dokoła falowały wydmy, od warzelni soli szedł biały odblask.

Goya patrzył na krajobraz bez większego zainteresowania. Było mu obojętne, czy tło tworzą góry Piedrahita, czy wydmy z Sanlucar;

1/ Vega — urodzajna równina.



ważne było dla niego jedynie, że był sam z Cayetaną, z dala od dworu, z dala od Madrytu.

Zbliżył się do niego doktor Peral i nawiązał swobodną rozmowę. Opowiadał mu szczegóły z dziejów pałacu, który wznosił się przed nimi. Zbudował go hrabia Olivares, wszechwładny minister Filipa IV, portretowany wielokrotnie przez Velazqueza. W tym domu przeżył Olivares swe ostatnie, gorzkie lata wygnania. Dalszej rozbudowy pałacu dokonał siostrzeniec jego i następca, don Gaspar de Haro, po którym zamek otrzymał nazwę Casa de Haro.

Później, nie pytany przez Goyę, Peral opowiedział o wydarzeniach ostatnich tygodni. Donia Cayetana nie mogła oczywiście ze względu na żałobę urządzać wielkich przyjęć; przewinęło się tu jednak mnóstwo gości z Kadyksu, z Jerez, a nawet z Sewilli. „Gdzie dobra kość, tam psy się zbiegają” — przypomniał sobie Goya stare przysłowie. Nieraz też wyjeżdżano do Kadyksu do miejskiego pałacu księżny, który nazywał się również Casa de Haro. Pewnego dnia donia Cayetana bawiąc w Kadyksie udała się w gęstej zasłonie na walkę byków; Costillares, pogromca byków, gościł u niej na zamku przez dwa dni. Goya nie spodziewał się, by Cayetana przez cały czas jego nieobecności stała na szczycie wieży i wyglądała jego przyjazdu, tak jak to czyniły heroiny w romansach Pepy; mimo to opowiadanie Perala popsulo mu trochę humor.

Wreszcie nadeszła Cayetana ze swym orszakiem: dudnią, paziem Julio i Murzyneczką Marią Luz oraz pieskiem don Juanito i kilku kotami. Ubrała się — widocznie, by przypodobać się Goyi — ze szczególną starannością; spostrzegł to i ucieszył się.

— Dobrze — rzekła — że nie ma już tego zwyczaju, jak za naszych dziadków i babek, kiedy wdowa musiała nosić żałobę do końca życia lub do czasu ponownego zamążpójścia.

Zdumiała Goyę swoboda, z jaką mówiła o swym wdowieństwie. Peral prosił, by pozwoliła mu wrócić do zamku. Reszta tworząc małą procesję powędrowała w głąb ogrodu; po obu bokach kroczyły koty z zadartymi w górę ogonami.

— Zdaje mi się, Cayetano — rzekł Goya — że zwraca pani ku ziemi swój wskazujący palec jeszcze bardziej władczo niż dawniej. Poza tym nie zauważyłem u pani żadnej zmiany.

— A pan — odpowiedziała mu — wysuwa dolną wargę nieco bardziej niż przedtem.

W ogrodzie było kilka zegarów słonecznych, na tarczy jednego z nich namalowany był cień wskazówki.

— Zdaje się, że hrabia Olivares — tłumaczyła donia Cayetana

— zdziwaczał tu nieco na swoim wygnaniu. Marzył widocznie o tym, by zatrzymać czas, dopóki gwiazdy nie okażą się dla niego pomyślniejsze.

Spożyli lekki posiłek. Wzdłuż ścian sali jadalnej biegły delikatne freski, przedstawiające ogród z licznymi kolumnami, były tam także girlandy i motywy egipskie. I tu zegar słoneczny wskazywał niezmiennie tę samą godzinę.

Po obiedzie Cayetana pożegnała się, Goya poszedł do swej sypialni. Było gorąco. Legł nagi na łóżku, rozkoszując się odpoczynkiem. Ogarnęło go rozleniwienie, nie odczuwał żadnych pragnień. Stan taki rzadko zdarzał się w jego życiu. Umysł Goyi zaprzętały ciągle jakieś plany; nawet leżąc w łóżku myślał o nowych zamiarach, o tym, co stanie się nazajutrz lub za tydzień. Dziś było inaczej. Sen go ogarnął, a on nie żałował go jako czasu straconego, przeciwnie, poddawał mu się dobrowolnie, czuł z przyjemnością, jak senność go mroczy i ciało gdzieś się zapada. Usnął głęboko.

Obudził się rześki i szczęśliwy.

Następne dni minęły jak pierwszy, w spokojnym rozleniwieniu, w szczęśliwym nastroju. Goya był przeważnie sam na sam z Cayetaną, Peral im nie przeszkadzał. Przed Eufemią zaś Cayetana nie miała tajemnic i wcale się nią nie krępowała.

Pewnego dnia siedzieli oboje, Cayetana i Francisco, półnaczy, w zaciemnionym pokoju; było gorąco, Cayetana chłodziła się wachlarzem. Weszła Eufemia niosąc limoniadę z lodem. Spozrzegłszy wachlarz, stanęła, upuściła na ziemię kielich z limoniadą, rzuciła się ku Cayetanie i wyrwała jej z ręki wachlarz.

— Nie tym wachlarzem! — zawołała. — Przecież pani siedzi naga!

Na wachlarzu Cayetany namalowana była Dziewica del Pilar.

Scena tego rodzaju była już wydarzeniem w Sanlucar. Francisco i Cayetana, choć przeżyli wiele, nigdy chyba jeszcze w ciągu całego swego życia nie cieszyli się tak niezmaconym szczęściem.

Goya pracował niewiele. Nie tknął płótna, pędzla i palety; od czasu lat nauki były to pierwsze tygodnie, kiedy nic nie malował. Rysował natomiast dużo, choć tylko dla zabawy. Chwytał za ołówek, by przenieść na papier to, co mu się podobało w powszednim dniu Cayetany. Pewnego razu spytała go, czy nie zechciałby jej malować jako *maji*.

— Pozwól mi leniuchować — prosił. — Malować to dla mnie tyle co myśleć. Pozwól mi nie myśleć o niczym.

— Ile ty masz właściwie imion? — spytał ją innym razem,

patrząc na jakiś dokument, na którym samo wyliczenie jej tytułów zajmowało szereg wierszy. Hidalgowie mieli prawo do sześciu imion, grandowie do dwunastu, grandowie pierwszego stopnia mogli mieć nieograniczoną ilość imion, gdyż zapewniało to opiekę wielu świętych.

Cayetana miała trzydzieści jeden imion i zaczęła je wyliczać: — Maria del Pilar, Teresa, Cayetana, Felicja, Luiza, Catalina, Antonia, Isabel — i wszystkie dalsze.

Odpowiedział, że mimo dobrej pamięci nie zapamiętałby tylu imion, ale to jedno wie z pewnością, że Cayetana ma tyleż twarzy, ile imion.

— Wylicz mi jeszcze raz wszystkie swoje imiona — prosił — jedno po drugim, a ja do każdego narysuję twoją twarz. Wymieniała mu po kolei swoje imiona, on zaś rysował jej twarze; obie kobiety, Cayetana i Eufemia, przyglądały się z boku. Rysował szybko, śmiało, ostro i w istocie wszystkie te twarze, choć każda była twarzą Cayetany, różniły się znacznie między sobą. Były wśród nich twarze miłe, ale nie brakło też niesamowitych, złych. Cayetana śmiała się.

— Jak ci się podobam, Eufemio? — zwróciła się do dueni.

— Pięknie pan to rysuje — odpowiedziała donia Eufemia — ale byłoby lepiej, gdyby pan nie rysował już więcej. Wszystko na papierze uwieczniać — to błogosławieństwa nie przynosi.

— Proszę, następne imię? — spytał Goya.

— Zuzanna — rzekła Cayetana i Goya rysował dalej. Rysując i nie patrząc na duenię zapytał:

— Uważa mnie pani za czarownika, donio Eufemio? A ta odpowiedziała, ostrożnie dobierając słów:

— Wydaje mi się, ekscelencjo, że sztuka od Boga pochodzi i powinna służyć głównie do tego, by przedstawiać świętych.

Goya nie przerywając pracy powiedział jakby mimochodem:

— Namalowałem wielu świętych. W licznych kościołach spotka pani pobożne obrazy mojej roboty, donio Eufemio. Samego tylko świętego Franciszka de Borja, na przykład, malowałem dziewięć razy dla rodziny Osuna.

— Tak — potwierdziła Cayetana — Osunowie są bardzo dumni z świętego patrona swej rodziny. My, z rodu Alba, nie mamy swego patrona.

Goya skończył tymczasem rysunek i starannie wypisał na nim numer porządkowy i imię: „24. Zuzanna”. Rysunek przedstawiał

Cayetaną, uroczą, szyderczą, nieprzeniknioną. Eufemia, bardzo niezadowolona, zwróciła się do swojej pani.

— Jagniątko moje — rzekła błagalnie, lecz stanowczo — zdałoby się zniszczyć niektóre z tych rysunków. Poproś pana, by podarł tę *Zuzannę* i jeszcze kilka innych obrazków. One przyciągają demony, wierz mi. Czy mogę? — i już sięgnęła po *Zuzannę*.

— Zostaw to! — krzyknęła Cayetana i odepchnęła ją na pół ze złością, na pół ze śmiechem.

Duenia podniosła ku niej złoty krzyżyk, który nosiła na szyi, chcąc odpędzić złego ducha, który opętał widocznie jej panią.

Czasami przed południem lub po południu, gdy Cayetana spała, Francisco wyjeżdżał na mule do miasta Sanlucar. Tam, w „Venta de las Cuatro Naciones”, pił wino xeres, które fabrykowano w tych stronach, i zabawiał się rozmową z innymi gośćmi; byli to mężczyźni w fioletowych płaszczach, które nosili także latem, i dużych, białych okrągłych kapeluszach. Prastare miasto Sanlucar — wielu wywodziło jego nazwę od Lucyfera — słynęło jako siedziba zuchowatych łotrów, którzy z każdej potrzeby umieli się wyklamać i wykpić. Autorzy starych powieści tutaj znajdowali wzory swoich *picaros*<sup>1</sup>, a *majowie*, którzy mogli nazwać Sanlucar swoim miastem rodzinnym, poczytywali to sobie za zaszczyt. Miasto wzbogaciło się na przemyślnictwie, a szczególnie teraz, kiedy silna angielska flota blokowała Kadyks, kipiało życiem i kwitły tu też zyskowe interesy. W gospodzie „De las Cuatro Naciones” można było zawsze spotkać poganiaczy mułów w ich barwnych tradycyjnych strojach; opowiadali najrozmaitsze historie ze wszystkich stron kraju, jakich nie słyszało się gdzie indziej. Z tymi to *muleteros* i innymi gośćmi wdawał się Goya w swobodne, pełne aluzyj rozmowy; znał ich, rozumiał dobrze ich język i oni też jego rozumieli.

Nieraz wyjeżdżał do którejś z małych pobliskich miejscowości, do Bonanzy lub Chipiony. Droga prowadziła przez rzadkie laski dębów wiecznie zielonych i jasnożółte wydmy piaszczyste; często napotykał lśniące białym blaskiem warzelnie soli. Pewnego razu, kiedy tak jechał brnąc w piasku, zobaczył znów przed sobą *El Yantar*, upiora południa. Potwór, na poły żółw, na poły człowiek, pełził leniwie, wywołując u widza raczej senne oszołomienie niż przerażenie — upiór nazywał się wszak także *La Siesta*. Pełził powoli, nie podobna go było wyminąć, nie była to jednak droga ani

<sup>1</sup> P i c a r o — popularny typ bohatera powieści hiszpańskiej, wydrwigrosz, przebiegły kombinator.

kierunek, w jakim podążał Francisco. Goya zatrzymał muła i długo przyglądał się potworowi. Z daleka, od strony wybrzeża, dochodziła wrzawa bawiących się dzieci, niewidocznych, gdyż wydmy zasłaniały je przed jego wzrokiem.

Po powrocie do domu zastał list z Kadyksu. Senior Sebastian Martinez donosił mu, że pragnie ufundować trzy obrazy dla Santa Cueva, i zapytywał, czy Goya nie podjąłby się tej pracy. Senior Martinez znany był ogólnie jako właściciel największej w Hiszpanii floty handlowej, skupiał on w swoim ręku znaczną część handlu z Ameryką i uchodził za hojnego protektora sztuki. Propozycja ta była Goyi na rękę. Od seniora Martineza będzie mógł zażądać wysokiego honorarium, a poza tym prace dla Santa Cueva dostarczyłyby mu pożądanego pretekstu, by usprawiedliwić wobec dworu przedłużający się już zbytnio „urlop wypoczynkowy”. Po cichu rozważał i to, że pobożne dzieło będzie poniekąd pokutą za grzeszną namiętność i szczęście. Postanowił omówić tę sprawę osobiście z seniorem Martinez i udać się do Kadyksu, który oddalony był zaledwie o parę godzin jazdy.

Gdy oznajmił swój zamiar Cayetanie, odpowiedziała, że dobrze się składa, bo chciała mu właśnie zaproponować, by pojechał z nią na parę dni lub tygodni do Kadyksu. Teraz, podczas wojny, miasto jest bardzo ożywione i ma podobno niezły teatr. Postanowili wyjechać z końcem tygodnia.

Goya nie mógł zasnąć tej nocy. Stał przy oknie. Księżyc był prawie w pełni; poprzez drzewa ogrodu błyszczało z dali morze.

W ogrodzie przechadzała się Cayetana korzystając z wieczornego chłodu. Była sama. Zastanawiał się, czy zejść do niej. Nie spojrziała ku niemu. Nie zeszedł. Kilka kotów szło przed nią i za nią. Bezszelестnie jak duch chodziła ogrodowymi tarasami, w łagodnej poświacie księżycy, potem wracała znów po stopniach w górę. Goya stał długo przy oknie; przyglądał się, jak Cayetana spaceruje w tę jasną noc, otoczona kotami, które z zadartymi ogonami kroczyły powoli u jej boku.

## XXXII

W Kadyksie księżna oprowadzała Goyę po swoim pałacu miejskim, Casa de Haro. Hrabia Olivares i Gaspar de Haro, którzy zbudowali ten gmach, nie szczędzili nań pieniędzy. Domy w mieście

były przeważnie wąskie i wysokie, miasto bowiem, położone na samym cyplu wąskiego półwyspu nie mogło rozbudować się w żadnym kierunku; założyciele Casa de Haro zaś zbudowali zamek o przestronnych salach, z obszernym, cichym, pięknie brukowanym dziedzińcem, *patio*, sprawiającym również wrażenie wielkiej sali. Dokoła tego dziedzińca, po wewnętrznej jego stronie, biegły wzdłuż trzech pięter galerie. Z płaskiego dachu strzelała ku niebu wieżyczka.

W obszernym gmachu panował chłód i czuć było stęchlizną. Podobnie jak w Sanlucar stał i tu zegar słoneczny z namalowanym cieniem wskazówki, pokazującej niezmiennie ten sam czas. Pełno tu było marmurów, obrazów, rzeźb, żyrandoli; *seniores antepasadores*, panowie pradziadowie, nie żalowali wydać pieniędzy. Ale teraz dom miał wygląd nieco zaniedbany; freski na ścianach wyblakły i miejscami odpadały, na schodach wiele stopni było rozwalonych.

Goya szedł z księżną po wydeptanych marmurowych schodach i schodkach. Przed nimi postępował stary rządca zamku, Pedro, pochylony wiekiem, podnosząc wolno i uroczyście zeszywniałe nogi i pobrzękując pękiem kluczy. Wyszli w końcu po pożółkłych marmurowych schodach na *mirador*, wieżyczkę, z której roztaczał się widok na miasto i okolicę. Wchodząc po krętych schodkach minęli jakieś zamknięte drzwi. Potem stanęli na płaskim dachu wieżyczki i przez niską balustradę spojrzeli na miasto, które leżało w dole, podobne do olśniewająco białej wyspy, oblanej zewsząd ciemnym błękitem morza, a tylko wąziutkim przesmykiem półwyspu połączonej z lądem.

Casa de Haro położony był wysoko, w najwyższym niemal punkcie miasta. Francisco i Cayetana spojrzeli ku północnemu wschodowi; ujrzeli port z wieńcem strzegących go fortów i silną hiszpańską eskadrę wojenną, a dalej rozległe równiny Andaluzji, zamknięte pasmem gór Grenady. Spojrzeli ku zachodowi na dalekie morze i dostrzegli na widnokręgu flotę angielską blokującą port. Spojrzeli na południe i zobaczyli zarysy wybrzeży afrykańskich. U stóp ich leżały domy Kadyksu o dachach płaskich, ozdobionych roślinami różnego rodzaju, sprawiających wrażenie ogrodów.

— „Wiszące ogrody Babilonu”, zwykł był mawiać jego ekscelencja, Panie, świeć nad jego duszą, dostojny dziad księżnej pani — powiedział stary rządca zamku.

Cayetana i Francisco byli niemal samotni w wielkim gmachu. Wyjechali pierwsi, zabierając tylko duenię; reszta, doktor Peral, majordomo, sekretarz i służba domowa, przybyć miała dopiero po kilku dniach. Jadali we dwoje, obsługiwani przez Pedra i jego żonę,

byli niemal zawsze sam na sam z sobą; wiedzieli, że nie potrwa to długo, i rozkoszowali się samotnością.

Goya zapowiedział na drugi dzień po przyjeździe swą wizytę u nowego klienta, seniora Martineza. Miał dużo wolnego czasu, włączył się samotnie po mieście, które stłoczone na ciasnej przestrzeni. było niezwykle ludne. Mijał wąskie uliczki pośród wysokich białych domów o wystających płaskich dachach, szedł wzdłuż Calle Ancha potykając się na nierównych kocich łbach. Przeszedł przez Alameda, promenadę nadmorską, wysadzoną wiązami i topolami. Wrócił do Puerta de la Mar, zanurzył się z radością w hałaśliwy zgiełk i ruch uliczny. Byli tu mahometańscy handlarze drobiu, przywożący swe kury i kaczki z pobliskiej Afryki; rybacy rozkładający przed sobą ryby i muszle o jaskrawych barwach i niemiłej woni; handlarze owoców, siedzący wśród wysokich stert różnobarwnych owoców Południa: sprzedawcy wody ze swymi taczkami; handlarze lodu stojący przy dużych beczkach; marokańscy sprzedawcy daktyli, w krótkich spodniach, z długimi czarnymi brodami i długimi cybuchami w ustach; właściciele kuchni i winiarni przed swoimi niewielkimi budkami: kramarze wystawiający na sprzedaż święte obrazki, amulety i czapki marynarskie; sprzedawcy świerszczy, zachwalający swe ćwierkające stworzonka umieszczone w klatkach z mosiężnego drutu lub w pomalowanych domkach i zalecający je *cortejom* na podarunki dla kochanek; wszystko to mieniło się jaskrawymi barwami, krzyczało, hałasowało i cuchnęło pod słonecznym, pogodnym niebem; na horyzoncie zaś błękitniał brzeg morza, strzeżonego przez hiszpańską i angielską eskadrę. Czarno ubrane kobiety kilkakrotnie podchodziły do Francisca i stręczyły mu młode dziewczyny, wychwalając w soczystych słowach ich wdzięki. Mówiły, że nadciąga *solono*, duszny, skwarny wiatr afrykański, budzący żądzę u mężczyzn, i ostrzegały, że będzie żałował, jeśli wzgardzi ich ofertą.

— Prześliczne okrągłe łono — zachwalały rysując kształt ruchem rąk.

Francisco zawrócił i zagłębił się w wąskie uliczki miasta. Był już czas udać się do seniora Martineza.

Goya słyszał wiele o Sebastianie Martinezie. Uchodził on za człowieka postępowego; opowiadano, że przyczynił się niemało do unowocześnienia rolnictwa i przemysłu w zamorskich posiadłościach Hiszpanii. Nie zadowalał się gromadzeniem zysków, jak to czynili inni bogaci kupcy Kadyksu; często w niebezpiecznych okolicznościach wypływał do Ameryki ze swą flotą, którą osobiście dowodził, i w starciach między jego własnymi statkami korsarskimi a flotą

nieprzyjacielską dawał niejednokrotnie dowody dużego męstwa. Wiedząc o tym wszystkim, Francisco zdumiał się, gdy senior Martinez okazał się niepozornym, chudym człowiekiem, ubranym z rozmyślną skromnością i wyglądającym raczej na uczonego pedanta niż na wielkiego kupca, polityka i korsarza.

Okazało się też, że gromadził dzieła sztuki nie tyle z pobudek próżności i ambicji, ile z potrzeby serca i rozumu. Z zamiłowaniem i znanstwem pokazywał i objaśniał Goyi swe skarby, chwając się, że sam skatalogował całą galerię. Dumny był ze swych obrazów i rzeźb, lecz za najwyższą chlubę galerii uważał zbiór reprodukcji najznakomitszych dzieł sztuki.

— Jest to kolekcja prawie kompletna — mówił — unikat w Hiszpanii. Daremnie szukałby pan czegoś podobnego u markiza de Xerena, don Francisco — dodał chichocząc złośliwie.

Markiz de Xerena był znanym w Kadyksie kolekcjonerem i rywalem seniora Martinez.

— Markiz postępuje niemethodycznie — szydził senior Martinez. — To kupuje jakiegoś Greca, to znowu Tycjana, zależnie od tego, co mu się w danej chwili podoba. Przy tak anarchicznych zasadach nie podobna stworzyć kolekcji o jakiegokolwiek artystycznej i naukowej wartości. Sztuka to ład, jak mawiali Winckelmann, Mengs i świętej pamięci szwagier pana.

W trzech pokojach ustawione były pamiątki z przeszłości Kadyksu. Pokazując je swemu gościowi senior Martinez powiedział:

— Nie wbija mnie w dumę to, że przyczyniłem się do pomnożenia dobrobytu niektórych naszych królestw po tamtej stronie oceanu, ani to, że moja flota kilkakrotnie z powodzeniem stawiała czoło Anglikom; ale dumny jestem z tego, że pochodzę z najstarszego mieszczańskiego rodu najstarszego miasta Hiszpanii. Już dziejopis Horozco wspomina o jednym z moich przodków, Martinezie, a więc dużo wcześniej, zanim pojawiła się pierwsza wzmianka o rodzie de Xerena.

„Najgorszy głupiec to uczone głupiec” — przypomniał sobie Goya stare przysłowie. Na głos jednak powiedział:

— Tak, to jest ważne, don Sebastianie.

— Proszę nie tytułować mnie „don”, ekscelencjo, — odparł Martinez. — Nie jestem don Sebastian de Martinez, lecz całkiem zwyczajny senior Martinez.

Następnie pokazał gościowi najstarszy herb swojego miasta; była to płaskorzeźba, która zdobiła kiedyś jedną z dawno już nie istniejących



bram miejskich. Na płaskorzeźbie wyobrażone były słupy, które wzniosł Herkules dotarłszy do tego najbardziej na zachód wysuniętego krańca zamieszkałego świata. *Non plus ultra* /1 — rzekł wówczas Herkules i słowa te wypisane były w herbie miasta. Oczywiście nie powiedział tego po łacinie, lecz po grecku: *uketi proso*, i senior Martinez przytoczył po grecku piękne wiersze Pindara, z których słowa te były wzięte. A właściwie to i po grecku ich nie powiedział, lecz po fenicku; gdyż ów Herkules nie był wcale Herkulesem — Kadyks jest znacznie starszy od Herkulesa — lecz fenickim bogiem Melkartem<sup>2</sup>, tym samym Melkartem, który na innym herbie miasta rękami dusi lwa<sup>3</sup>. Ale jakkolwiek sprawa się przedstawia, faktem jest, że cesarz Karol V przywłaszczył sobie dumne godło herbowe, opuszczając jednak słowo *non*. Hasłem jego było *plus ultra* (ciągle dalej) i tej dewizy trzymali się również przodkowie Sebastiana Martineza, owi dzielni żeglarze, którzy na śmiałych okrętach zapuszczali się daleko na zachód.

Goya patrzył z uśmiechem na suchą twarz Martineza, która jakby odmłodziła, gdy z zapalem i nie bez wdzięku opowiadał o antykwarycznych ciekawostkach swego miasta.

— Ale ja tu pana zatrzymuję opowiadaniem, don Francisco — przerwał senior Martinez — a prosiłem pana do siebie celem omówienia pewnej sprawy. Otóż, ekscelencjo — ton jego stał się teraz suchy i rzeczowy — chodzi o wykonanie kilku obrazów dla Santa Cueva. Rad bym dobić z panem interesu. Prawdę mówiąc, byłbym raczej wolał prosić pana o namalowanie mojego własnego portretu, ale obawiałem się, że pan odmówi. A zamówienie dla Santa Cueva trudno jest odrzucić. Czy nie mam racji? — zachichotał.

— Szczerłość za szczerłość — odpowiedział Francisco. — Ile ma być tych obrazków? Jakich rozmiarów? Ile pan płaci?

— Kanonik de Mendoza, któremu podlegają wszystkie roboty dla Santa Cueva — odrzekł równie rzeczowo senior Martinez — życzy sobie, aby pan namalował trzy obrazy: *Wieczernię Pańską*, *Nakarmienie pięciu tysięcy ludzi* i *Alegorię małżeństwa*. Obrazy mają być średniej wielkości; jeśli pan raczy udać się z kanonikiem do Santa Cueva, porozumie się pan z łatwością co do rozmiarów. Co się zaś tyczy trzeciego z pańskich pytań, to chciałbym panu coś powiedzieć w zaufaniu. Zamierzam z kilkoma moimi okrętami przełamać angielską

<sup>1</sup> *N o n plus ultra* (tac.) — ani kroku dalej.

<sup>2</sup> Melkart — mitologiczny patron miasta Tyru, pierwowzór greckiego Heraklesa. Kadyks został założony przez Fenicjan w r. 1100 p. n. e.

<sup>3</sup> Obecnie herb Kadyksu przedstawia Heraklesa walczącego z dwoma lwami.

blokadę i udać się do Ameryki i z powrotem. Otóż istnieją ważne powody, dla których moja mała flota nie będzie mogła wypłynąć wcześniej, ale też i nie później jak za trzy tygodnie, licząc od dnia dzisiejszego. Pragnę obrazy te wręczyć osobiście kapitule Santa Cueva i proszę pana o możliwie śpieszne wykonanie tej roboty, don Francisco. Ze swej strony gotów jestem, o ile ukończy pan pracę nie później jak w trzy tygodnie, zapłacić panu za każdy obraz zamiast po trzy tysiące realów, jak pan zwykle żąda, po sześć tysięcy. Widzi pan więc, ekscelencjo, że i z mieszczańskiej ręki niezgorzej można się pożywić — zakończył chichocząc.

Goyę często oburzała pycha grandów. Ale i ten biały Kadyks, pełen bogactw i zbytków, największych bogactw i zbytków na świecie, bogatszy od zarozumiałego Londynu, Kadyks, który zawdzięczał swój rozkwit mieszczanom, żeglarzom i kupcom — nie budził w nim zachwyty. Rozumiał dumę stanową mieszczańską, ale nie podobał mu się bogaty pan Martinez mimo swego entuzjazmu dla sztuki. Również i to, co mu kazano malować — *Nakarmienie, Alegoria, Wieczera* — nie budziło w nim zapału. Cóż, kiedy malarz nie zawsze może wybierać, co i kogo ma malować, a sześć tysięcy realów to dużo pieniędzy. Więc gdy kupiec wyciągnął ku niemu chudą dłoń, uścisnął ją swoją muskularną, mocną prawicą.

— Zgoda! — rzekł.

### XXXIII

Cayetana poprosiła Francisca, aby wyszedł z nią na wieżę. Tym razem jednak, doszedłszy do połowy schodów, nie minęła zamkniętych drzwi, lecz zatrzymała się i otworzyła je.

Weszli do małej izdebki. Uderzyła ich woń stęchlizny, wewnątrz panował półmrok. Cayetana otworzyła okiennice; pełne, jaskrawe światło zalało nagle niewielki pokój. Był prawie pusty, na ścianie wisiał jeden jedyny szeroki obraz, średniej wielkości, oprawiony we wspinające ramy; przed obrazem stały dwa wygodne, już nieco zniszczone fotele.

— Niech pan usiądzie, don Francisco — powiedziała Cayetana z lekkim i jak mu się wydało, chytrym uśmiechem.

Goya przyglądał się obrazowi. Przedstawiał on jakąś scenę mitologiczną z grupą muskularnych mężczyzn i kobiet o bujnych kształtach. Pochodził być może z pracowni Piotra Pawła Rubensa, ale ci,

którzy go malowali, nie należeli widocznie do najzdolniejszych spośród jego uczniów.  
— Widziałem u pani lepsze obrazy — rzekł po chwili Francisco.

Cayetana nacisnęła guzik w ścianie. Mitologia przesunęła się w bok, widocznie pod działaniem sprężyny, odsłaniając inne, ukryte za nią malowidło.

Francisco wstał, stanął za swoim fotelem. Twarz jego przybrała wyraz napięcia i aż spochmurniała od natężonego skupienia. Wysunął dolną wargę, patrzył, cały we wzrok zamieniony.

Obraz przedstawiał leżącą kobietę; oparta na prawym ramieniu. plecami obrócona ku widzowi, przeglądała się w lustrze. Była naga. Zwierciadło, które trzymał klęczący przed nią mały skrzydlaty amerek, odbijało niewyraźnie rysy jej twarzy. Tej nagiej kobiety nie namalował żaden cudzoziemiec, nie powstała ona w Antwerpii ani w Wenecji — widział już nieraz podobne obrazy obcych mistrzów w zamkach królewskich lub w pałacach niektórych grandów. Nie, obraz, przed którym Francisco teraz stoi, jest dziełem Hiszpana. I mógł go namalować jeden tylko jedyny człowiek: Diego Velazquez. Tak, był to bez wątpienia obraz, o którym opowiadał mu don Antonio Ponz i o którym wspominał także Miguel. Była to owa śmiała, zabroniona, osławiona i wychwalana *Donia desnuda*, *Naga kobieta Velazqueza*<sup>1/</sup>, Psyche czy Wenus, czy jakie nosiła miano. Był to w każdym razie portret prawdziwej, realnej nagiej kobiety. Nie była różowa i muskularna ani biała i tłusta, nie była ani Włoszką Tycjana, ani Holenderką Rubensa: była to cudna hiszpańska dziewczyna. A więc ta tajemnicza *Donia desnuda* Velazqueza istnieje rzeczywiście i Francisco Goya stoi teraz przed nią!

Zapomniał, że obraz ten namalowany został przed stu pięćdziesięcioma laty, że on sam jest w Kadyksie, że Cayetana jest przy nim. Patrzył na dzieło kolegi, jak gdyby dopiero co powstało, podziwiał to najzuchwalsze i najostrzej ze wszystkich potępione malowidło:

*Donię desnudę* Velazqueza.

Każdy niemal człowiek stawia sobie kogoś spośród żywych lub zmarłych na wzór godny naśladowania. Gdyby Francisco Goya miał możliwość wybłagać coś dla siebie od losu, prosiłby o kunszt i sławę Velazqueza, gdyż prócz Velazqueza żadnego z mistrzów Hiszpanii nie uważał za wielkiego malarza. Velazquez był, poza przyrodą, jedynym jego nauczycielem; przez całe życie Goya walczył o to, aby zrozumieć

<sup>1/</sup> Mowa o obrazie Velazqueza: *Venus i Kupido*; namalowany w 1642 r., znajduje się dziś w National Gallery w Londynie.

do głębi jego sztukę. To więc jest ów wielki, nowy, tajemniczy, sławny obraz mistrza. Goya był szybki w uczuciach i spostrzeżeniach, szybki w miłości i w nienawiści, w uwielbieniu i pogardzie; zdał sobie w mgnieniu oka sprawę ze swych uczuć: podziwiał ten obraz, a przecież się z nim nie zgadza.

Podziwiał wdzięczną postać kobiecą i naturalną, swobodną pozę, nie sprawiającą jednak wrażenia gnuśności; Francisco wiedział, że jego własne postacie ludzkie wyglądają często, jak gdyby wisały w powietrzu zamiast siedzieć lub leżeć. Widzi mistrzowski chwyt w tym, że wielki jego kolega zataił rysy twarzy kobiety, ukazując ją tylko w niewyraźnym odbiciu zwierciadła i zmuszając w ten sposób widza do skupienia uwagi na cudownych liniach tego prawdziwie hiszpańskiego ciała kobiecego o smukłej kibici i silnie rozwiniętych biodrach.

Przed wszystkim jednak zdumiewa go, że don Diego miał odwagę namalować ten obraz. Przedstawianie nagiego ciała w plastyce było wzbronione przez inkwizycję; zakaz był surowy i nikt inny z hiszpańskich mistrzów nie podjął dotąd tego najponętniejszego tematu. Możliwe, że don Diego czuł się bezpieczny pod opieką króla lub możnego mecenasa, ale i na dworze Filipa IV nie brakło zapewne duchownych i świętoszków, mających władzę i wpływy, a wiadomo, że łaska wielkich panów na pstrym koniu jeździ. Velazquez namalował tę kobietę, ponieważ chciał pokazać, że nagość można przedstawić nie tylko tak, jak ją malowali Tycjan czy Rubens. Naraził się na niebezpieczeństwo, gdyż był wielkim artystą i dumnym Hiszpanem: pragnął dowieść, że Hiszpanie i w tym celują.

I dowiódł tego. Cudowna jest ta gra harmonizujących z sobą barw i odcieni: ciało koloru masy perłowej, delikatna biel zasłony, zielonawoszara powierzchnia zwierciadła, ciemnokasztanowate włosy, czerwony fiolet wstążek nagiego malca, lekkie tęcze barwy jego skrzydeł. Naga dziewczyna namalowana jest z wdziękiem i polotem, jest surowa i wytworna zarazem. Nie ma w niej nic pospolitego, nie ma jaskrawej, natarczywej zmysłowości, którą tchną ciała kobiece malowane przez Włochów lub Holendrów. Jakiś lekki smutek unosi się nad tym obrazem, a czerń sukna, na którym spoczywa kobieta, ciemnoczerwona portiera, czarne ramki zwierciadła — cały ten poważny koloryt odpędza wszelką swawolną myśl. Don Diego był Hiszpanem. Piękno kobiecego ciała i miłość — nie były to dla niego sprawy lekkie i płochy, lecz poważne, namiętne, będące aż nazbyt często źródłem ciężkich, tragicznych powikłań.

Francisco patrzył i podziwiał. Don Diego Velazquez życzył sobie

zapewne właśnie tego, aby widz patrzył i podziwiał. Namalował nagą kobietę i oddał tę cudowną karnację, jaką obdarzyła ją natura; ale czyż słusznie zrobił to tak, że obraz wywołuje u widza tylko chłodny podziw? Prawda, że don Diego osiągnął to niezrównane mistrzostwo wolne od nienawiści i miłości, tę bezinteresowność sztuki, o której Winckelmann i Raphael Mengs, i zmarły szwagier Goyi tak wiele rozprawiali; ale gdyby jemu, Franciscowi, dziś jakiś szatan ofiarował takie mistrzostwo choćby za darmo, nie przyjąłby go, powiedziałaby: *Muchas gracias, no/1*. Dobrze jest wprawdzie, że ten podziwu godny, uroczysty i smutny obraz *Nagiej kobiety* istnieje na świecie, ale dobrze jest także, że nie on, Goya, jest jego twórcą. I poczuł się szczęśliwy, nie tylko dlatego, że nie leży we wspaniałej krypcie kościoła San Juan Baptista, lecz i dlatego, że jest malarzem Franciskiem Goyą, a nie malarzem Velazquezem.

Nagle rozległ się w pokoju jakiś wysoki, skrzypiący głos.

— To bardzo leniwa dama — zaskrzeczał głos. — Odkąd ją znam, leży na tej sofie, patrzy w lustro i próżnuje.

Goya odwrócił się. W pokoju stał potworek, starzec skarłowaciały i pokurczony, strojnie ubrany, obwieszony licznymi medalami i orderami.

— Nie powinienes straszyć ludzi, Padilla — skarciła go łagodnie Cayetana i wyjaśniła Goyi, że ta kreatura to Padilla, nadworny błazen jej zmarłego dziadka; mieszka tu pod opieką starego rządcy i jego żony, unikając widoku ludzi i rzadko kiedy wychodząc na światło dzienne.

— Dobrze zrobiła ta *Donia desnuda*, że wybrała sobie mieszkanie tu, w Kadyksie — skrzeczał dalej Padilla. — Nigdzie indziej nie pozwolono by jej mieszkać. A przy tym jest to bardzo wytworna dama, z pewnością grandesa pierwszego rzędu. Od stu pięćdziesięciu lat nie raczyła nawet palcem ruszyć.

Grandowie uważali wszelką pracę za hańbę.

— Idź już, Padilla — rzekła łagodnie Cayetana. — Nie można panu malarzowi tyle czasu zabierać.

Padilla uklonił się i wyszedł brzękając orderami. Cayetana usiadła w fotelu i spojrzała na Goyę z uśmiechem.

— Czy sądzisz, że Padilla ma rację? — spytała z zainteresowaniem. — Myślisz, że ona naprawdę była grandesą? Wiadomo, że Tycjanowi i Rubensowi wielkie damy pozowały nago. — I swoim

1/ Bardzo dziękuję, nie.

niewielkim, dziecięcym głosem powtórzyła: — Sądysz, że była grandesa? Francisco myślał przy obrazie i jego twórcy, nie przy modelce. Ale gdy go Cayetana o nią zapytała, nie namyślał się ani chwili nad odpowiedzią; miał dobrą pamięć wzrokową i był pewien, że się nie myli.

— Nie — odparł — nie była grandesą, była *maja*.

— A może była i grandesą, i *maja*? — spytała Cayetana.

— Nie — odparł Francisco z tą samą co przedtem stanowczością. — To jest na pewno ta sama kobieta, która w *Prządkach*<sup>1</sup> odwija przędzę z kołowrotka. Przypomnij sobie jej plecy, szyję, ramiona i barki, przypomnij sobie jej włosy i całą postawę. Z pewnością była *maja*, a nie grandesą — zakończył nie kłótliwie, lecz stanowczo.

Cayetana nie mogła sobie przypomnieć *Prządek*. Ale Francho najpewniej ma rację. Była trochę rozczarowana, gdyż jakoś inaczej, przyjemniej wyobrażała sobie tę chwilę, gdy stanie z nim przed obrazem Velazqueza. Nacisnęła znów guzik w ścianie i mitologia wróciła na swe dawne miejsce, zasłaniając nagą boginię, nagą prządkę.

#### XXXIV

Kiedy siedzieli przy kolacji, Cayetana, u której pojawienie się błazna Padilli wywołało wiele wspomnień, opowiadała o swej przeszłości.

Jako dziecko często przyjeżdżała do Kadyksu z dziadkiem swoim, dwunastym księciem Alba. Uchodził on za najdumniejszego człowieka w Hiszpanii; nikogo w kraju prócz króla nie uważał za równego sobie, a niezgrabnego, gburowatego Carlosa III nie znosił. Przez jakiś czas był ambasadorem hiszpańskim we Francji, gdzie zbytkiem swoim i ceremoniałem wprawiał w podziw dwory Ludwika XV i XVI. Po powrocie do kraju rzucił zuchwale rękawicę inkwizycji; stał tak wysoko, że mimo czci dla tradycji mógł pozwolić sobie na to, aby być „filozofem”, wolnomyślicielem, co każdemu innemu było wzbronione. Wydobył z lochów inkwizycji młodego człowieka, który stał się na skutek tortur kaleką, i wychował go sobie na błazna

1/ *Prządki* — obraz Velazqueza alegorycznie przedstawiający sztuki wyzwolone i rzemieślnicze.

nadwornego; jest to właśnie ów karzeł, którego widzieli dziś rano. Zachęcał go sam do wypowiedzenia zuchwałych, buntowniczych zdań, nadał mu nazwisko Padilla<sup>1</sup>, gdyż tak nazywał się bohater wielkiego powstania, i dawał mu do noszenia swe własne odznaczenia i ordery. Prócz błazna nikt nie był godny, by obcować z księciem. Dziadek był dumny ze swego wolnomyślicielstwa, i to było właśnie powodem, że często i chętnie przyjeżdżał do Kadyksu. Kadyks, utrzymujący dzięki swemu handlowi rozgałęzione stosunki z zagranicą i zawsze pełen cudzoziemskich kupców, był najbardziej oświeconym miastem Hiszpanii.

— Dziadek mój — opowiadała z uśmiechem Cayetana — wychował mnie według zasad Rousseau. Uczyć się miałam z trzech źródeł: z natury, z własnych doświadczeń — i dzięki szczęśliwym przypadkom.

Goya jadł, pił i słuchał. Prawdziwi grandowie, myślał, są inni, niż ich sobie dotąd wyobrażał; ich duma jest jeszcze dużo bardziej skomplikowana, niż przypuszczał. Oto jeden z nich zatrzymuje zegary i hamuje bieg czasu, dopóki los nie okaże się znów dla niego przychylny. Drugi trzyma sobie zgorzkniałego błazna nadwornego, uważając, że nikt inny nie jest godny z nim rozmawiać. A Cayetana? Siedemnaście pustych zamków czeka na nią przez całe lata, a w jednym z nich jej błazen nadworny, o którym przez wszystkie te lata nawet nie pomyślała.

Jadał i sypiał z nią, bliższa mu była niż jakakolwiek inna istota ludzka, a zarazem bardziej obca niż ktokolwiek na świecie.

Następnego dnia przybyła do Kadyksu reszta dworu Cayetany i odtąd nieczęsto już Francisco mógł przebywać z nią sam na sam. Teraz, podczas wojny, Kadyks stawał się w coraz większej mierze stolicą kraju; przyjeżdżali tu panowie z dworu królewskiego, wyżsi urzędnicy Korony, członkowie Rady Indyjskiej i każdy z nich pragnął złożyć Albie swe uszanowanie.

Francisco spotkał tu również wielu znajomych i przyjaciół z Madrytu. Ucieszył się szczerze i nie zdziwił wcale, spotkawszy pewnego dnia seniora Miguela Bermudeza, który przybył do Kadyksu w zastępstwie don Manuela.

Miguel mówił oczywiście o polityce. Opowiadał, że don Manuel wykonał znów zwrot. Najwygodniej mu teraz paktować z reakcyjną arystokracją i z Kościołem; wstrzymuje wykonanie liberalnych

<sup>1</sup> Padilla Juan de (1490—1522) — hiszpański bohater narodowy, przywódca antyfeudalnego powstania miast kastylijskich przeciw Karolowi V.

reform, które sam niedawno wprowadził. W polityce zagranicznej jest chwiejny. Nowy ambasador Francji, Truguet, jest człowiekiem spokojnym i rozsądnym. Ale don Manuel nie umie się zdobyć na właściwy ton w stosunku do tego dyplomaty, mniej jeszcze niż wobec poprzedniego ambasadora Guillemardet; jest albo zbyt agresywny, albo zbyt służalczy.

— Co właściwie stało się z Guillemardetem? — zapytał Goya.

Don Miguel odpowiedział, że ambasador został natychmiast po powrocie do Paryża umieszczony w zakładzie dla umysłowo chorych. Wiadomość ta wzburzyła Goyę do głębi: czyż nie napiętnował jego twarzy na portrecie tym losem? Miguel opowiadał dalej, że przyczyną obłędu Guillemardeta było prawdopodobnie to, że nie mógł zrozumieć szybkiej zmiany stosunków politycznych we Francji i przystosować się do nich. Przekształcenie się rewolucyjnego radykalizmu w umiarkowaną burżuazyjną demokrację potrafił jeszcze jako tako przed sobą usprawiedliwić; ale nie mógł się pogodzić z dużo ostrzejszym zwrotem na rzecz plutokracji; było to widocznie ponad jego siły.

Niedługo potem przybył do Kadyksu młody Quintana jako konsulent Banku Hiszpanii. Wybrał się z Miguelem do Casa de Haro, by odwiedzić Francisca. Goya przyjął ich w obecności księżny i doktora Perala.

Twarz Quintany rozjaśniła się na widok Francisca, zaczął mówić z zachwytem o *Rodzinie Carlosa*.

— Don Francisco — zawołał — pan wybawia Hiszpanię z upadku duchowego.

— Jakże to? — spytała księżna z ciekawością. Siedziała w czarnej sukni, promieniejąca urodą, i nie czuła się urażona tym, że Quintana poświęcał więcej uwagi Goyi niż jej. Przypatrywała się ze swobodą i ciekawością młodemu człowiekowi, który okazywał tyle szczerego zapału; sama była, jak przystało grandesie protektorką sztuk pięknych, ale nie interesowała się sztuką zbyt głęboko.

— Hiszpania — mówił Quintana — wlecze za sobą całą swoją historię i tradycję niby kulę u nogi. Jeżeli więc zjawia się nareszcie ktoś, kto pokazuje, czym są dzisiaj wielkie ongiś instytucje — jest to nie lada czyn.

— Widzi pani, donio Cayetano — tłumaczył z zapałem — w dzisiejszych czasach król, dajmy na to Król Katolicki, wyposażony jest wprawdzie jeszcze w zewnętrzne oznaki władzy, ale funkcja jego jest pusta, pozbawiona treści. Korona stała się już



tylko przestarzałym nakryciem głowy; do tego, by rządzić krajem, potrzeba dziś raczej konstytucji niż berła. I to właśnie wyrażone jest w *Rodzinie Carlosa*.

— Co też pan mówi, młody człowieku — zdziwił się Goya.

Doktor Peral zwrócił się do Quintany z prośbą, by powiedział jeszcze coś więcej o tym obrazie.

— Nie widział go pan jeszcze? — zdumiał się młody poeta. — I pani też nie, księżno?

— Trzeba panu wiedzieć, don Jose — odpowiedziała uprzejmie Alba — że mój pobyt tutaj nie jest całkiem dobrowolny, zostałam wygnana z Madrytu.

— Ach, gdzież ja mam głowę, księżno — usprawiedliwiał się Quintana z miłym uśmiechem. — Oczywiście, że pani nie mogła widzieć tego obrazu. Ale nie podobna go opisać słowami — i natychmiast począł go opisywać unosząc się nad bogactwem barw i realizmem twarzy, nagich, twardych i szpetnych, odcinających się od barwnego tła. Rozprawiał o obrazie tak, jakby Goya był nieobecny.

— Dzięki osobliwemu chwytowi artystycznemu — mówił — na obrazie, na którym jest tyle postaci, widać niewiele tylko rąk. Podkreśla to jeszcze bardziej nagość twarzy wśród blasku i przepychu uniformów i strojów galowych.

— Gdyby mi więcej zapłacili — odezwał się Goya sucho — namalowałbym więcej rąk. Za ręce liczę wysokie ceny.

Ale młody poeta ciągnął dalej:

— Myśleliśmy już wszyscy, że Hiszpania jest zgrzybiałą staruszką. Ale zjawił się Francisco Goya i pokazał, że jest jeszcze młoda. Bo on, Francisco Goya, jest malarzem młodości.

— No, no — bronił się Francisco. Siedział na krześle; postać miał już nieco ciężką, plecy przygarbione, osłabiony słuch i wiele innych dolegliwości, pięćdziesiątka na karku. Czy to nie dziwne, że Quintana nazwał go malarzem młodości? Ale nikt się nie śmiał. Quintana zaś kończył:

— Ostatnie obrazy don Francisca dowiodły, że kraj nasz wydał trzech nieśmiertelnych mistrzów: Velazqueza, Murilla i Goyę.

Miguel, namiętny kolekcjoner, uśmiechnął się w duchu, posiadał bowiem pięć dobrych obrazów Goyi, i rzekł żartem:

— Widzę, że edykt Karola III, zabraniający wywozu dzieł Velazqueza i Murilla, nie jest dziś wystarczający; trzeba będzie i twoje nazwisko tam dodać, Francisco.

— Velazquez miał zresztą dużo łatwiejsze zadanie — rozważał

głośno Quintana. — Uwielbiał z całej duszy króla i arystokrację i było to wtedy zupełnie na czasie, było zrozumiałe i naturalne. Velazquez mógł i musiał godzić się wewnątrz z królem i jego dworem. W uświetnieniu idei monarchicznej widział najwyższy cel Hiszpana i artysty; musiał sam być arystokratą; musiał czuć swoją przynależność do tej warstwy, inaczej nie mógłby osiągnąć swych arystokratycznych zamierzeń. Nasz Goya natomiast jest na wskroś niearystokratyczny i dziś ta właśnie postawa jest słuszna. Patrzy na swego króla okiem nie mniej przenikliwym niż Velazquez, ma w sobie przy tym wiele z *maja*; jest to Velazquez z ludu, dlatego sztuka jego ma w sobie coś ożywczo brutalnego.

— Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe, don Jose — odparł z humorem Goya — jeśli w sposób niearystokratyczny i brutalny przypomnę panu przysłowie: „Trzy włosy pozwoliłem sobie wyrwać, przy czwartym stanę okoniem.”

Quintana roześmiał się i zaczęto mówić o czym innym. Cayetana powiedziała później do Francisca, że przyjaciele jego są bardzo mądrzy, ale nie wyobraża sobie żadnego z nich jako swego *corteja*, nawet tego młodego.

— To szczególne — rzekła naiwnie, zapominając, że może tymi słowami sprawić Goyi przykrość — to naprawdę dziwne: bardzo mądrzy ludzie, tacy jak Miguel, Quintana albo Peral, nie pociągają mnie nigdy jako mężczyźni.

### XXXV

Obecność księżny Alba, damy sławnej w całej Hiszpanii, wywołała sensację wśród mieszkańców Kadyksu; wszyscy ubiegali się o zaszczyt złożenia jej wizyty. Księżna była jednak w żałobie i korzystając z tego dogodnego pretekstu, przyjmowała odwiedzających lub odprowadzała wedle swego upodobania.

Drwiąco patrzył Francisco na hardych mieszczan Kadyksu, którzy w obecności doni Cayetany tracili pewność siebie; doznawał szczególnie złośliwej satysfakcji na widok podniecenia, jakie zdradzał śmiały, wykształcony i opanowany zazwyczaj senior Sebastian Martinez.

Martinez kilkakrotnie odwiedził Goyę w Casa de Haro pod pozorem, że pragnie porozumieć się co do obrazów zamówionych dla Santa Cueva; Francisco nie mógł uchylić się od przedstawienia go

księżnie. Senior Martinez był już przyjmowany na dworze królewskim, wielu możnych panów ubiegało się o jego względy; olbrzymia fortuna i sława dokonanych czynów jednały mu też powodzenie u wielu pięknych kobiet, choć był chudy i raczej brzydki. Opowiadano o dzikich wybrykach rozpusty, na które sobie od czasu do czasu pozwalał. Ale donia Cayetana wzbudziła w nim od pierwszej chwili młodzieńcze, romantyczne uczucie; zepsuty powodzeniem, lecz zazwyczaj powściągliwy, nie umiał zapanować nad sobą, kiedy do niej mówił; oczy mu płonęły, sucha twarz pokrywała się rumieńcem. Cayetanę to bawiło; traktowała go z właściwą sobie uprzejmą, ledwie dostrzegalną wyniosłością. Senior Martinez znał życie i nie łudził się chyba, że jest dla niej czymś więcej niż zabawką, *pelele*. Ale dumnego mieszczanina pociągała właśnie naturalna, jakby sama przez się zrozumiała wyniosłość *grandesy*. Goya powiedział raz złośliwie, że ilekroć ten pergaminowy poszukiwacz przygód mówi z księżną, uprzytamnia sobie z pewnością wszystkie jej historyczne dostojne tytuły oraz daty bitew, które stoczył sławny jej przodek, ponury ksiązę Alba.

Goya pracował tymczasem szybko i z wprawą nad obrazami dla Santa Cueva; robił to bez szczególnego zapалу, ale nie bez pewnych nowych pomysłów. Jeszcze przed wpływem dwóch tygodni zawiadomił seniora Martineza, że obrazy są gotowe.

Senior Martinez przybył obejrzeć dzieło, za które z własnej kieszeni miał zapłacić osiemnaście tysięcy realów. Opinia, jaką wyraził, świadczyła o niewątpliwym znawstwie.

— Tylko pan jeden — powiedział patrząc na *Nakarmienie pięciu tysięcy ludzi* — umie przedstawić tłum ludzki jako masę zwartą, a jednak pełną ruchu.

Patrząc zaś na *Wieczerzę*, powiedział:

— Tylko jeden Francisco Goya mógł sobie pozwolić na to, by apostołów odtrącić od stołu Pańskiego i przerażonych słowami Chrystusa powalić na ziemię. To rzecz zupełnie nowa, to bunt; gdyby szło o kogo innego, można by nawet powiedzieć: kacerstwo. — Zachichotał.

Uradowany zbieracz zapytał potem wśród pochlebstw i chytrych uśmiezków, czy Goya nie miałby jednak czasu i ochoty, aby namalować jeszcze jego portret, portret Sebastiana Martineza, kupca z Kadyksu. Jak don Franciscowi wiadomo, flota jego ma podnieść kotwicę dopiero w przyszłym tygodniu.

— Nie wiem — odparł chłodno Francisco — czy będę miał

( 310 >

w najbliższych dniach ochotę do pracy. Przybyłem tu dla wypoczynku.

— Jaka cena mogłaby skłonić pana do przerwania wypoczynku jeszcze na dwa lub trzy dni? — zapytał senior Martinez.

— Dwadzieścia pięć tysięcy realów — wypalił bez namysłu don Francisco, zdumiony własną bezczelnością.

— Zgoda! — odpowiedział również bez wahania senior Martinez.

Później spytał nieco nieśmiało malarza, czy mógłby zaprosić do siebie księżnę i Francisca na skromne przyjęcie. Powodów jest sporo: obrazy dla Santa Cueva są gotowe, stosunki z pierwszym malarzem pomyślnie nawiązane; zresztą miał już zaszczyt być przedstawionym księżnie, poza tym ma zamiar, ku większej chwale Hiszpanii, przełamać angielską blokadę i popłynąć na czele swej floty do Ameryki.

— *Plus ultra* — dodał i zachichotał — ciągle dalej, ciągle naprzód.

Goya odpowiedział sucho, że nie jest upoważniony przyjmować zaproszenia dla księżny. Poza tym, o ile mu wiadomo, jej wysokość rozporządziła już swoim czasem na najbliższe dwa tygodnie, a po ich upływie senior Martinez znajdować się będzie zapewne na pełnym morzu.

Senior Martinez milczał przez chwilę, na jego chudej twarzy odbił się wysiłek myśli. Gdyby mógł mieć tę radość i zaszczyt, oświadczył, by powitać donię Cayetanę i don Francisca pod swym skromnym mieszczkańskim dachem, puściłby statki na morze, a sam pozostał w Kadyksie. Goya był zdumiony. Wzruszył ramionami.

— Niech pan pomówi z księżną — powiedział.

W gronie zaufanych przyjaciół omawiano w obecności doni Cayetany postępek seniora Martineza, który zrezygnował z osobistego kierownictwa swoją flotą, aby móc wydać przyjęcie na cześć księżny. Quintana oświadczył z oburzeniem:

— To chyba wielka przykrość dla kobiety budzić pożądanie, gdziekolwiek się pojawi.

— Pan jest jeszcze bardzo młody — rzekła księżna.

Mając na uwadze żalobę doni Cayetany, senior Martinez zaprosił nielicznych tylko gości. Najbardziej interesującym spośród obecnych wydał się Goyi człowiek przedstawiony przez Martineza jako senior Bajer, właściciel okrętów z Malagi, z którym gospodarza łączyły bliższe stosunki handlowe. Lecz cudzoziemska wymowa nieznanego gościa zdradzała jego angielskie pochodzenie. Był to prawdopodobnie oficer eskadry angielskiej blokującej Kadyks;

panowie Anglicy chętnie przyjeżdżali w przebraniu do miasta. Francisco był zdumiony i ubawiony, gdy dowiedział się w ciągu wieczoru, że roztropny senior Martinez w drodze pewnych układów z angielskimi oficerami zapewnił swym okrętom bezpieczny wyjazd z portu.

Między obecnymi gośćmi znalazł się także don Miguel. Miał on wiele sympatii dla Martineza, wyrażał się z uznaniem o jego zamiłowaniu do historii sztuki i jego postępowych poglądach. Młody Quintana jednakże nie przyszedł; nie mógł wybaczyć Sebastianowi Martinezowi, że dla ładnej twarzy zrzekł się dowództwa nad flotą, co było przecież jego patriotycznym obowiązkiem.

Sebastian Martinez, zwykle tak pewny siebie, starał się i tego wieczoru zachować postawę godną swego stanu. Księżnie poświęcał, tak jak przystało, tylko niewiele więcej uwagi niż innym gościom; nie umiał jednak przeszkodzić temu, że oczy jego pełne uwielbienia raz po raz zwracały się ku niej.

Don Miguel zajął go jakąś rozwlekłą rozmową o zagadnieniach antykwarycznych. Znalazł mianowicie w bibliotece seniora Martineza kilka starych druków; były to książki z punktu widzenia dogmatów wiary niezupełnie prawomyślne.

— Niech pan uważa na siebie — żartował. — Człowiek tak oświecony i bogaty to nie lada pokusa dla panów z inkwizycji.

— Moje okręty przełamały linie Anglików — odparł ze skromną dumą senior Martinez — mam nadzieję, że uda mi się także z moimi książkami i poglądami przepłynąć przez Święte Officium.

Księżna i Goya przypuszczali, że goście wstawszy od stołu zasiądą do gry w karty, tak jak to było w zwyczaju. Ale senior Martinez przygotował inną niespodziankę.

— Czy mogę panią prosić do sali teatralnej, donio Cayetano? — zwrócił się do księżny.

— Serafina będzie tańczyła dla pani.

— Serafina? — spytała, szczerze zdumiona.

Serafina była najślawniejszą, ogólnie uwielbianą tancerką Hiszpanii. Wywalczyła ona ludowi hiszpańskiemu wielkie zwycięstwo. Rzecz miała się tak: Do kardynała prymasa w Toledo wpływały coraz częstsze skargi, głównie od zagranicznych książąt Kościoła, że w bogobojnej Hiszpanii toleruje się tak nieprzyzwoite i wyuzdane tańce, jak *fandango* i *bolero*. Kardynał prymas zwołał wreszcie konsystorz, który miał rozpatrzyć sprawę zakazu tych tańców. Arcybiskup Sewilli przewidując, że zakaz taki wywoła, zwłaszcza w Andaluzji, bardzo nieprzychylnie dla Kościoła nastroje, postawił wniosek, by czcigodni sędziowie duchowni przyjrżeli się przedtem tym

tańcom. Serafina i partner jej Pablo tańczyli przed zebraniem konystorzem. Prałaci z trudnością zdołali usiedzieć na swych krzesłach i *fandango* nie zostało zabronione.

Niedługo potem Serafina gdzieś zniknęła; mówiono, że wyszła za męża, w każdym razie od dwóch czy trzech lat nie występowała publicznie.

— Serafina? — spytała powtórnie Alba, mile zaskoczona. — Czy dobrze słyszałam, Serafina?

— Tak — potwierdził senior Martinez — mieszka teraz w Jerez i jest żoną Vargas, kierownika mojej tamtejszej filii. Niełatwa to rzecz uprosić seniore Vargas, gdyż tańczy ona teraz tylko dla najbliższych przyjaciół. Ale dla pani, księżno, będzie tańczyła.

Goście udali się do sali teatralnej. Widownię udekorowano pomysłowo, tak że sprawiała wrażenie izby, w której ludowi tancerze zwykli popisywać się swą sztuką. Wykwintną salę teatralną zamieniono na brudny, zaniedbany hall w jakimś podupadłym szlacheckim domu mauretańskim. Były tam wydeptane i połatane dywany, niegdyś bardzo kosztowne, ściany obite białym, umyślnie przybrudzonym płótnem, powała zdobna w kunsztowne czerwone i złote arabeski. Urządzenia dopełniało parę odrapanych drewnianych stołków oraz kilka kopających kaganków i świec, które słabo oświetlały salę.

Zaledwie goście zajęli miejsca, rozległ się ze sceny, spoza opuszczonej kurtyny, ostry, podniecający grzechot kastanietów. Kurtyna podniosła się, oczom widzów ukazał się prymitywnie namalowany krajobraz andaluzyjski; w kącie, na niskim stołku siedział samotny muzykant z gitarą w ręku. Kastaniety zagrzechotały głośniejsze, spoza kulis ukazał się z lewej strony *majo*, z prawej *maja*. Zbliżyli się ku sobie. Wyglądali na kochanków, którzy po długiej rozłące nagle się odnajdują. Ich barwne kostiumy, wykonane z najlichszych materiałów, były gęsto obszyte błyszczącymi złotymi i srebrnymi cekinami. Spodnie tancerza i spódniczka tancerki przylegały ciasno do bioder; spódnica, u dołu szeroka, niezbyt długa, uszyta była z cienkiego materiału. Tancerze nie zwracali uwagi na publiczność, patrzyli tylko na siebie. Rozpostarliśmy ramiona, tanecznym krokiem posunęli się ku sobie.

Nic nie było słyhać, prócz cichego, podniecającego klekotu kastanietów. Gdy tancerze zbliżyli się do siebie, dziewczyna zaczęła cofać się, tańcząc wstecz z rozpostartymi ramionami, on zaś ścigał ją, tańcząc to wolniej, to znów szybciej. Oboje mieli usta lekko rozchylone. Była to raczej pantomina niż taniec. Spoglądali na siebie,

to znów opuszczali wzrok ku ziemi. Tancerka uciekała przed swym partnerem, coraz wolniej jednak, wabiąc go i kokietując; *majo* kontynuował swój taneczny pościg, zrazu nieśmiało, potem z rosnącym pożądaniem. Nagle dziewczyna zwróciła się wprost ku niemu. Głośniejsz zabrzmiały kastaniety, odezwała się gitara, rozległy się dźwięki niewielkiej, ukrytej przed okiem widzów orkiestry. Tancerze tymczasem przysunęli się do siebie blisko; już muskały się nawzajem ich kostiumy, już stykały się prawie ich twarze. Wtem nagle, w połowie taktu, zamilkła muzyka, ucichły kastaniety, tancerze znieruchomieli, sztywni, jakby w ziemię wrosli. Przerwa nie trwała dłużej niż parę sekund, lecz wydała się nieskończenie długa.

Zabrzmiały na nowo tony gitary. Drżenie przebiegło ciało dziewczyny, zwolna wyzwała się ze swej sztywności; cofnęła się nieco, potem postąpiła znów naprzód. Wtedy i on posunął się za nią, ruchy jego były teraz bardziej ogniste. Tancerka powolnym, wdzięcznym krokiem wionęła ku niemu. Ruchy obojga stały się gwałtowniejsze, spojrzenia bardziej wyzywające, każdy mięsień ich ciał drgał napiętnością. Z przymkniętymi oczyma zbliżali się ku sobie. Ale w ostatniej chwili znów odskoczyli od siebie. I znowu nastąpiła przerwa napiętna, przekorna, podniecająca.

Teraz rozbiegli się oboje w przeciwne strony i zniknęli za kulisami. Lecz widzowie wiedzieli, że zaraz, za chwilę, rozpocznie się scena, którą w Andaluzji dodawano zwykle do *fandanga*, owo słynne solo, pochodzące od Cyganów, którego początki tonęły w zamierzchłej przeszłości Wschodu, ów taniec solowy, który imię Serafyny i niejednej z jej poprzedniczek rozślawił w całym kraju.

I oto wychodzi znów spoza kulis, tym razem sama i bez kastanietów. Równocześnie za sceną rozlega się rytmiczne, monotonne przytupywanie nóg i klaskanie w ręce: jakiś samotny, niski głos śpiewa odwieczne, proste, pełne głębokiego sensu słowa:

Więc zanurzymy się

W głęboką toń

Miłości,

Gdyż żyjemy

Na tej ziemi

Tylko krótki czas,

A tak długo

Będziemy martwi.

Zwolna oddalają się i zacierają słowa pieśni, coraz trudniej odróżnić ich brzmienie; w końcu to, co śpiewa samotny głos za sceną, jest tylko rytmicznym, monotonnym powtarzaniem żalonych tonów aah — aai, rozbrzmiewających wolno, lecz z napiętą gwałtownością.

Powolny też, namiętny i gwałtowny jest teraz taniec dziewczyny, zda się, jednakowy wciąż, a jednak ciągle inny, taniec pełen spokojnego zapamiętania, taniec całego ciała. Tancerka pragnie roztoczyć przed kochankiem wszystkie swoje wdzięki, pokazać, ile rozkoszy i namiętności kryje jej ciało.

W milczeniu patrzą widzowie. Monotonny tupot nóg za sceną obezwładnia ich, siedzą nieruchomi, zastygli, zapatrzeni. Chociaż nic wyuzdanego nie dzieje się na scenie, chociaż nie ma nagich ciał, wszyscy rozumieją, że to, na co patrzą, uzmysławia niewinnie i wyraźnie najpierwotniejszą z ludzkich żądz, zmysłową, cielesną tęsknotę zaklętą w rytm taneczny.

Widzowie już nieraz oglądali ten taniec, ale nigdy jeszcze w tak doskonałym wykonaniu. Z podziwem i znawstwem patrzy uczoney Miguel i odcytany Martinez na ruchy i kunszt Serafyny. Podobne do niej musiały być kobiety, które Rzymianie z występного Gadesu/1 wywozili do swej stolicy, by lubieżni senatorowie i bankierzy, doświadczeni we wszelkich finezjach rozkoszy, cieszyli swe oczy ich tańcem. Podobne do niej musiały być kobiety, które ojcowie Kościoła, przejęci świętym oburzeniem, porównywali z tańczącą córą Herodiady <sup>2</sup>, i z pewnością prawdę mówi legenda, że tancerka Teletuza z Gadesu pozowała jako modelka rzeźbiarzowi, który stworzył Wenus Kallipygos.

Serafina, cała oddana swej sztuce, tańczy z twarzą nieruchomą; wrodzony temperament oraz wielki kunszt stwarzają taniec doskonały w swym wyrazie. Monotonny tupot i zawrocie staje się coraz to dziksze. Wreszcie rytm porywa widzów. Grandowie i bogaci panowie klaskają w ręce i tupią do taktu nogami, krzycząc: *ole!* Nawet współnik seniora Martineza, oficer angielski, który zrazu wydawał się mocno zgorzony, tupie nogami i woła: *ole!* Serafina tańczy. Tańcząc prawie w miejscu, zwraca się ku widzom to plecami, to bokiem, to znów twarzą. Coraz częściej drzenie, przebiega przez jej ciało, wreszcie wyrzuca ramiona w górę i potrząsa nimi w powietrzu. I nagle następuje znów przerwa, która unieruchamia na chwilę tancerkę i widzów. A po niej jeszcze ostatni, bardzo krótki, zawrotny, tak namiętny, że aż trudny do zniesienia wir tańca — wyrażający tęsknotę, drzenie, pożądanie.

Scena solowa była skończona. Tancerze odtańczyli teraz w zapierającym dech tempie pantominę o odwiecznym pojedynku

<sup>1</sup> G a d e s — łacińska nazwa Kadyksu.

<sup>2</sup> Córa Herodiady (bibl.) — Salome.



miłości: nieśmiałość, pożądanie, namiętny poryw, nowe onieśmienie, wzrastająca żądza, oddanie, spełnienie, wyzwolenie, osłabienie, bezwładne zadowolenie.

Nie było w tym tańcu rozwiązłości ani swawoli, lecz przekonywająca powaga namiętności. I tak właśnie pojmowali go widzowie, tak ci ludzie sami go tańczyli. Słowa pieśni, proste i wiecznie prawdziwe, muzyka nie będąca właściwie muzyką, lecz jakimś zawodzeniem, które oszałamia słuchacza i porywa go. Żadna inna sztuka nie mogłaby pełniej wyrazić, co czują ci Hiszpanie. Był to taniec, przed którym rozważająca i obliczająca myśl, sztywna logika roztopiały się w nicość. Tu wystarczyło patrzeć i słuchać, tu można i trzeba było poddać się biernie fali dźwięków i rytmowi ruchów.

Księżna Alba dała się porwać wraz z innymi. Nieświadomie uderzała do taktu małymi pantofelkami na wysokich obcasach, wykrzykiwała cienkim, twardym głosem: *Ole!* Przymykała oczy, nie mogąc pomieścić w sobie przenikającej ją na wskroś rozkoszy.

Duża, masywna twarz Francisca miała wyraz melancholijny, była poważna, prawie nieruchoma, tak jak twarze tancerzy. Doznawał nawału wrażeń, których nie umiałby wyrazić słowami, nie uświadamiał ich sobie. Oczy jego patrzyły na ten andaluzyjski taniec *fandango*, czy jaka była jego nazwa, sam jednak tańczył w duchu swoją rodzinną, aragońską *jotę*, ów taniec niemal wojenny, w którym tancerz i tancerka grożą sobie nawzajem, taniec pozbawiony wdzięku, bezlitosny, pełen hamowanej namiętności. Tańczył go dawniej często, w postawie wyprostowanej, gdyż należało go tańczyć tak, jakby się szło do bitwy. I teraz wraz z innymi klaskał do taktu w mocne dłonie i wykrzykiwał donośnym głosem: *ole!*

Popis taneczny skończył się wreszcie. Tancerze, choć ani razu nie dotknęli się wzajemnie, przeżyli w tańcu wszystkie fazy ziemskiej miłości, a widzowie przeżywali je wraz z nimi. Teraz złączeni, przy spadającej kurtynie wycofali się za kulisy. Muzyka umilkła. Nie klaskano. Widzowie siedzieli w milczeniu, wyczerpani, nieczuli.

Senior Martinez zwrócił się do Goyi:

— Jestem szczęśliwy, ekscelencjo — rzekł — że mogłem sprawić panu przyjemność.

Ale w słowach jego brzmiał jakiś akcent, który zirytował Goyę; gniewało go, że można było wszystko odczytać z jego twarzy: że tak wyraźnie zdradzała, iż poruszył go głęboko taniec Serafiny. Zapewne i Cayetana musiała już swym bystrym okiem dostrzec jego podniecenie. Powiedziała też od razu:

— Serafina wydała się panu na pewno bardzo pociągająca. Cieszy się pan sławą w Kadyksie, don Francisco. Jeśli senior Martinez uprosił Serafinę, by tańczyła dla mnie, to potrafi ją chyba nakłonić, by i dla pana coś zrobiła.

Senior Martinez wmieszał się natychmiast do rozmowy.

— Przypuszczam, ekscelencjo, że wykonanie portretu Serafiny bardziej pana zainteresuje niż malowanie starego kupca. Dla seniory Vargas będzie to zaszczyt niemały pozować panu do portretu, zwłaszcza jeśli zechce pan ten obraz mnie odstąpić. Czy wspominałem panu o tym, że senior Vargas jest szefem mojej filii w Jerez?

Weszła Serafina. Zasypano ją pochwałami i komplementami. Dziękowała spokojnie, uprzejmie, bez uśmiechu; przyzwyczajona była do hołdów.

Goya wpatrywał się w nią w milczeniu. Wreszcie Serafina zwróciła się do niego.

— Jak długo zostanie pan w Kadyksie? — spytała.

— Nie wiem — odrzekł — prawdopodobnie tydzień, może dwa. Później spędzę jeszcze jakiś czas w pobliżu, w Sanlucar.

— I ja mieszkam niedaleko stąd — rzekła — w Jerez. Miałam zamiar odbyć swoje „łóże galowe” dopiero późną jesienią. Dziś jednak postanowiłam odbyć je wcześniej i spodziewam się, że mnie pan odwiedzi.

W tej części kraju panował zwyczaj, że zamożne kobiety kładły się co roku na tydzień lub dwa jako chore do łóżka, przyjmowały wizyty przyjaciół i znajomych, otrzymywały podarunki i pozwalały się rozpieszczać. Zbytkowne, paradne łóże, tylko na ten cel przeznaczone, należało do wyprawy każdej szanującej się dziewczyny.

Goya spojrział na Serafinę. Patrzył długo, nie zważając na obecnych, ona również patrzyła na niego. I obojgu brzmiał w duszy żaloszny, monotonny, rytmiczny śpiew: „Więc zanurzymy się w głęboką toń miłości, bo jutro już będzie za późno.”

Wreszcie Goya przerwał czar tej chwili i rzekł do niej po prostu, jak *majo* do *maji*:

— Po co czekać na łóże galowe, Serafino? Zbędne ceregiele. Namaluję cię i bez tego. Nie trzeba nam szukać pretekstu, Serafino, aby się zobaczyć.

W dwa dni później, wieczorem, był znowu sam z Cayetaną. Na dworze dał *solano*, gorący, parny wiatr afrykański; w przerwach między porywami wichru słyhać było wieczorne sygnały obu nieprzyjacielskich eskadr, pobliskiej — hiszpańskiej i dalekiej — angielskiej.

Francisco był zdenerwowany i podrażniony. Chciał wrócić do Sanlucar, pragnął mieć znów Cayetanę wyłącznie dla siebie. Sprzykrzył mu się nagle tryb życia w Kadyksie, czuł odrazę do tej rzeszy ludzkiej, z którą trzeba było stykać się nieustannie. Czy po to ponad miarę przedłużył urlop narażając na szwank swoje dobre stosunki z dworem, aby zabawiać się z seniorem Martinezem i jemu podobnymi? Cayetanie jednak sprawiało widoczną przyjemność to, że ci ludzie ją adorują. Dla niego nie ma oczywiście zrozumienia. Powinna mieć tyle serca i delikatności, aby spostrzec wreszcie, że on ma dość pobytu w Kadyksie.

Nie zdążył jeszcze dokończyć tej myśli, kiedy Cayetana odezwała się:

— Nie musisz wcale mówić o tym, Francisco.

— Co takiego? — spytał z udanym zdziwieniem. — O czym nie muszę ci mówić?

— Jeśli chcesz — odparła z uśmiechem — możemy choćby jutro wrócić do Sanlucar.

Kiedy znalazł się znów z Cayetaną w Sanlucar, znikł jego zły nastrój; promieniał szczęściem jak w tygodniach, które poprzedziły ich wyjazd. We wspomnieniu pobyt w Kadyksie wydał mu się teraz piękniejszy. Mężczyźni składali mu hołdy, kobiety kochały się w nim na zabój, płacono mu ceny, o jakich żaden chyba malarz przed nim nie marzył; był widać sławny na cały kraj. A przecież to, co osiągnął, to dopiero początek, talent jego rozwija się w dalszym ciągu. A teraz jest tu, sam ze swą cudowną kochanką, posłuszną wszystkim jego kaprysom. I młody jest, dał tego dowody. Zdobył wszystko, czego pragnął... „Zasiada przy złotych stołach życia i sztuki” — zabrzmiał mu w uszach wiersz przytoczony kiedyś przez don Miguela.

Pewnego dnia spytała go Cayetana przeciągając się leniwie w łóżku:

— Czy nie zdecydowałeś się jeszcze malować mnie jako *maje*?

— Ależ tak, oczywiście — odpowiedział bez namysłu. Namalował wdzięczny i pogodny obraz przedstawiający ich oboje

na przechadzce. Cayetana w kostiumie *maji* i w czarnej *mantilli*. Francisco podąża o pół kroku za nią. Cienka w pasie, obrócona ku niemu, zalotna, gibka, trzyma w jednej ręce wachlarz rozłożony na znak zachęty, wskazując nań drugą ręką z władczo wyciągniętym palcem. Sam zaś Francisco, w dworskiej, układnej postawie, mówi coś do niej; ubrany z wyszukaną elegancją, prawie że fircykowato, ma na sobie brązowy frak obszyty kosztownymi koronkami i wysokie buty; jest nie do poznania odmłodzony i najwidoczniej zakochany jak młodzik.

Cayetana zdawała sobie jednak sprawę, że Francisco nadal nie uważa jej za *maję*, że znowu namalował wielką damę w kostiumie *maji*. Mimo to obraz ten sprawił jej radość. Był to swawolny, niewinny żart, a Francisco zakpił jak żak z siebie samego.

Nazajutrz zwierzyła mu się, że miała znów w nocy wizytę zmarłej pokojówki Brygidy, która przepowiedziała jej, że umrze młodo, ale nie wcześniej, zanim nie zrobią jej portretu jako *maji*. Goya słuchał, leniwie rozparty w krześle.

— Ha, trudno, raz się umiera — odpowiedział.

— Nie mów głupstw! — rzekła. — Wiesz doskonale, co miała na myśli.

— Uważam, że to bardzo szczęśliwa przepowiednia — odrzekł Goya. — Nie pozwól się malować jako *maja*, a dożyjesz stu pięćdziesięciu lat.

— Skoro postanowiłam — rzekła — to dam się malować jako *maja*. Brygida wie o tym równie dobrze jak my oboje.

— A jak była ubrana ta twoja Brygida? — spytał Francisco. Cayetana odpowiedziała zdziwiona:

— Ubrana była zwyczajnie, jak pokojówka. — I dodała z wybuchem: — Jak była ubrana! Wypytyjesz mnie jak na badaniu inkwizycji!

Francisco odpowiedział spokojnie i pojednawczo:

— Jestem malarzem. To, czego nie mogę zobaczyć, nie istnieje dla mnie. Widmo, którego nie mogę namalować, nie jest dla mnie widmem.

Doktor Peral, który już w Kadyksie trzymał się dość na uboczu, był teraz niewidzialny, ilekroć mu się zdawało, że obecność jego nie jest pożądana. Zresztą był inteligentnym i wesołym towarzyszem. starał się okazać Goyi, że zna i podziwia jego sztukę. Francisco nie mógł po prostu uwierzyć, że Peral, który tak ponurą rolę odegrał przy śmierci księcia Alby, jest stale pogodny i zrównoważony.

Widocznie człowiek ten, mimo pozorów skromności bardzo zarozumiały, stawiał siebie samego wysoko ponad pospółstwem i uważał, że wiedza jego pozwala na czyny, które ciemnemu motłochowi nie są dozwolone. Jeżeli przyczynił się do śmierci księcia, a było tak chyba niewątpliwie, to zrobił to na zimno i bez skrupulów, nie myśląc o tym, że śledzą go czatujące po kątach demony.

Gdy Peral prosił go kiedyś, aby zrobił jego portret, Goya odmówił mu szyderczo. Teraz odczuwał wprost pokusę, by namalować tego niesamowitego i mimo wyrazistych rysów twarzy nieprzeniknionego człowieka, aby przejrzeć go wreszcie do dna. Pewnego dnia zagadnął Perala i sam zaofiarował się, że go namaluje. Peral, zdumiony, odpowiedział pół żartem:

— Ale mnie nie stać niestety na ceny, jakie płaci senior Martinez.

Goya odpowiedział z uśmiechem:

— Dopiszę na portrecie: *A mi amigo*<sup>1</sup>.

Była to formułka, którą malarze zwykli byli oznaczać obrazy ofiarowane komuś w podarunku. Peral, namiętny zbieracz, ucieszył się ogromnie na myśl, że otrzyma swój portret pędzla Goyi. Jego spokojna, opanowana twarz pokryła się rumieńcem.

— Pan jest bardzo hojny, don Francisco — rzekł.

Goya długo i gorliwie pracował nad portretem doktora Perala; malował go w owym szarosrebrzystym tonie, który odkrył i w którym był mistrzem; delikatne światło podkreślało jeszcze mroki ukryte, jak Goya przypuszczał, za mądrą, opanowaną twarzą lekarza. Francisco nie pozwolił, by don Joaquin cokolwiek zataił; wybrał taką pozycję, aby i ręce doktora były widoczne.

— Co? I ręce chce mi pan podarować? — żartował Peral.

A Goya chciał namalować właśnie te ręce, które zadały śmierć mężowi Cayetany.

Pozowanie odbywało się zresztą w bardzo przyjemnym nastroju. Peral był rozmowny i mówił o sobie szczerze, chociaż zawsze pozostawało w nim coś ukrytego, nieodgadnionego. Goya czuł dla niego coraz żywsze zainteresowanie, w końcu wyraźną sympatię, choć nieraz odpychało go jakieś przypadkowe spojrzenie, jakiś przypadkowy ruch lekarza. Poczęła rodzić się między nimi osobliwa przyjazna nieprzyjaźń, czuli się z sobą związani, pragnęli się nawzajem przeniknąć, sprawiało im przyjemność mówić sobie bez ogródek ostrą prawdę w oczy.

1/ Mojemu przyjacielowi.

< 320 >

Ponieważ Goya nie wspominał o Cayetanie, Peral również nie wymówił jej imienia. Nieraz jednak poruszali ogólnie zagadnienie miłości. Pewnego dnia Peral zapytał malarza, czy znany mu jest stworzony przez filozofów starożytnych podział ludzi na hedoników i erotyków.

— Jestem nieuczony majster malarski, doktorze — odrzekł dobrodusznie Goya — a pan jest wykształconym *tertuliente*<sup>1</sup>, mądrzejszym od samego Cycerona. Proszę mi to wyjaśnić.

— Hedonikiem — wyjaśnił Peral — jest ten, kto dba tylko o własną rozkosz; erotyk zaś chce nie tylko brać, ale i dawać rozkosz.

— Bardzo ciekawe — rzekł Goya, który poczuł się trochę nieswojo; nie był pewien, czy Peral ma na myśli Albę.

— Filozof Kleantes<sup>2</sup> — mówił dalej Peral — uczy: „Biada temu, kto spadnie na łono hedonistki”; a jeśli się komuś to przydarzy, uzdrowić go może jedynie poświęcenie się jakiejś wielkiej, ogólnej idei, na przykład walce o wolność i ojczyznę. Brzmi to pięknie, ale jako lekarz śmiem wątpić o skuteczności tego środka.

Najczęściej jednak Peral mówił podczas pozowania o sztuce. Podziwiał szczególnie technikę Francisca w malowaniu wymownych, pełnych wyrazu oczu.

— Poznałem już — rzekł — na czym polega pański fortel. Zmniejsza pan białko oka w stosunku do jego rzeczywistej wielkości a powiększa tęczęwkę.

A widząc, że Goya patrzy na niego ze zdziwieniem, dodał:

— Przeciętna średnica tęczęwki wynosi jedenaście milimetrów, oczy zaś na pańskich portretach miewają tęczęwkę po trzynaście milimetrów. Mierzyłem je umyślnie.

Goya nie wiedział, czy ma się śmiać z tego.

Innym znów razem mówił Peral o El Greco. Ubolewał, że król Filip nie okazał mu należytego zrozumienia. O ileż więcej mielibyśmy dziś arcydzieł tego mistrza, gdyby się Filip troskliwiej nim opiekował.

— Co do mnie — rzekł — nie zgodziłbym się z tym zapalonym młodym poetą, który za trzech największych mistrzów Hiszpanii uważa Velazqueza, Murilla i Goyę. Dla mnie trzech najwięksi to: Greco, Velazquez i Goya.

Goya odpowiedział otwarcie, że Greco wydaje mu się obcy, nie-hiszpański, że razi go jego arystokratyczna maniera.

<sup>1</sup> Tertulianie — bywalec salonowy.

<sup>2</sup> Kleantes (331—233 p.n. e.) — filozof grecki szkoły stoickiej, uczeń Zenona.

— Nasz don Jose Quintana — mówił — ma prawdopodobnie słuszość. Jestem Hiszpanem i chłopem, maluję brutalnie.

Wreszcie portret był gotowy. Z ram płótna patrzyła na widza dużymi, sceptycznymi, nieco kłującymi oczyma myśląca, niepospolicie inteligentna, niesamowita twarz Perala. U dołu Francisco wykaligrafował pędzlem:

*Goya a su amigo Joaquin Peral.*<sup>1</sup>

Peral przyglądał się swemu portretowi.

— Dziękuję panu, don Francisco — rzekł.

Goya otrzymał z Jerez list napisany niewyrobionym charakterem:

Serafina przypominała się jego pamięci.

— Wyjadę może na parę dni do Jerez — rzekł do Cayetany — aby zrobić portret Serafiny.

— Czy nie byłoby wygodniej — spytała — gdybyś jej kazał tu przyjechać?

Powiedziała to spokojnie, obojętnie; ale w słowach jej wyczuł nieco łobuzerskie, choć przychylnie zrozumienie, które go podrażniło.

— To była tylko przelotna myśl, która ot tak przebiegła mi przez głowę — rzekł. — Prawdopodobnie ani nie pojedę do niej ani jej tu nie sprowadzę. Ale byłaby z niej idealna *maja* — dodał złośliwie. — Gdybym jeszcze kiedyś malował jakąś *maję*, to chyba tylko ją.

Gdy wkrótce potem zaszedł o zwyczajnej porze do Cayetany, zastał ją leżącą na kanapie w stroju, który poprzedniej zimy noszono często na zabawach kostiumowych. Ni to suknia, ni spodnie, z cienkiego, kosztownego białego materiału, raczej strój *torera* niż *maji*; fałdzisty, przylegający do ciała, odsłaniał je raczej, niż zakrywał. Prócz tego włożyła Cayetana jaskrawożółty żakiet-bolero, zdobny w czarne, błyszczące metalowe blaszki tworzące wzór z motylków, suknia ściągnięta była w pasie szeroką różową szarfą. Cayetana leżała na wznak, podłożywszy ręce pod głowę.

— Gdybyś chciał Serafinę malować jako *maję* — spytała — uważałbyś tę pozę i ten kostium za odpowiedni?

— No tak — odpowiedział niepewnie.

Kobieta leżąca na kanapie to czarująca dama w śmiałym przebraniu *maji*; ale w szynkach Manolerii nikt nie wzięby jej za *maję*. Francisco pomyślał, że w ten sposób mógłby namalować Cayetanę, lecz nie Serafinę.

1/ Goya swemu przyjacielowi Joaquinowi Peral.

— Gdybyś malował *maję* — pytała dalej — zrobiłbyś ją w naturalnej wielkości?

— Chyba po raz pierwszy interesujesz się techniczną stroną obrazu — odparł zdziwiony.

Odpowiedziała nieco zniecierpliwiona:

— Tak, dzisiaj mnie to interesuje.

— Myślę, że namalowałbym ją w trzech czwartych naturalnej wielkości — wyjaśnił z uśmiechem.

W parę dni później zaprowadziła Francisca do mało używanej komnaty zamkowej; była to urządzona z przepychem, choć nieco zaniedbana sypialnia, w której jedna z jej poprzedniczek, pani na Casa de Haro, zwykła była odbywać swe oficjalne *lever*. Na jednej ścianie wisiało jakieś nieciekawe, szerokie malowidło przedstawiające scenę myśliwską. Cayetana wprowadziła w ruch mechanizm, podobny do tego, jaki Goya widział w Casa de Haro w Kadyksie; malowidło przesunęło się w bok, odsłaniając prostokąt nagiej ściany: miejsce widocznie przygotowane na inny obraz. Francisco stał w bezruchu, nic nie rozumiejąc.

— Nie rozumiesz? — spytała. — Chcę, abyś mnie nareszcie namalował jako *maję*, jako prawdziwą *maję*.

Patrzył na nią, wciąż jeszcze niezupełnie pojmując. Czy dobrze ją zrozumiał? Przecież *Naga kobieta* Velazqueza, jak jej już wyjaśnił, nie była boginią ani *grandesą*, była właśnie prawdziwą *mają*.

— Pragnę zamówić u pana dwa portrety, don Francisco — rzekła — jeden jako *maja* w kostiumie, drugi jako prawdziwa *maja*.

Ha, skoro sobie tego życzy, to niechże tak będzie.

Namalował ją naprzód w kosztownym, jaskrawym kostiumie, i w tym stroju zrobił ją już prawie nagą pod cienką, przeźroczystą niemal tkaniną. Leżała na łożu przygotowanym do miłości, na bładozielonych poduszkach, z ramionami skrzyżowanymi pod głową, lewa noga lekko zgięta; prawe udo oparte miękko na lewym podkreślało trójkąt łona. Polecił jej nałożyć nieco szminki i namalował twarz; nie była to jednak jej twarz, lecz raczej jakaś twarz anonimowa, wieloznaczna, jaką on tylko umiał namalować, twarz określonej kobiety i zarazem twarz wielu kobiet.

Cayetana rada była, że odniosła zwycięstwo w tej dumnej rywalizacji, którą podjęła. Osiągnęła to, czego pragnęła: ją namalował Francisco jako *maję*; Serafina, choć była *mają*, *majadą*, klasycznym typem *maji*, daremnie zapraszała go na swe „łóżę galowe”.

Malował ją w pokoju, dla którego obrazy były przeznaczone.



Światło padające z lewej strony było jednak odpowiednie tylko dla *maji* ubranej. Nagą *maję* malował na płaskim dachu wieży, gdzie przez balustradę wpadało światło, jakiego sobie życzył. Na straży postawiono srodze zgorzszą duenię, byli więc bezpieczni. Jednakże to, co czynili, było ryzykowne, gdyż rzeczy takie nie pozostawały zazwyczaj długo w ukryciu.

Goya malował z zapalem. Rozumiał, że Cayetana chce go odciągnąć od Serafiny, pragnie być dla niego czymś więcej niż Serafina, bardziej *mają* niż tamta. Ale tu właśnie był kres jej możliwości. Goya poczuł złośliwą radość. Widząc leżącą przed sobą Cayetanę, pomyślał, że już nie on jest jej pajacem, *pelele*, lecz przeciwnie, ona jest teraz jego igraszką. Postać, która na tym płótnie powstaje, nie jest prawdziwą *mają*. I chociaż wysokie urodzenie i olbrzymia fortuna dały jej wszystko, co Hiszpania dać mogła, to jednak Cayetana nie należy i nigdy nie będzie należała do ludu, pozostanie zawsze tylko marną *grandesą*! I choćby nie wiadomo, co robiła, nigdy nie będzie *mają*. A zwłaszcza teraz, choć zrzuciła z siebie wszystkie osłony, nie była nią wcale.

Myśli jego odwróciły się od żywej modelki i skierowały ku samemu dziełu. Nie wiedział, czy to, co tworzy, jest dziełem sztuki. Jak osądziłby to Lujan, jego dawny nauczyciel w Saragossie? Lujan, który kazał mu przerysowywać przyodziane należycie statuy gipsowe, bo sam był cenzorem inkwizycji. To pewne, że dzieło, które stworzył, jest bardzo dalekie od owej beznamietnej, bezinteresownej sztuki, o której marzył Mengs czy Miguel. Ale, *carajo!* On, Goya, nie ma przecież zamiaru rywalizować z nieżyjącym Velazquezem; malował swoją własną *Donię desnudę*. W tej ubranej i w tej nieubranej *Nagiej kobiecie* namalował wszystkie kobiety, z jakimi kiedykolwiek leżał w łóżku czy po byle jakich kątach. Namalował ciało kobiece, które budzi żądze rozkoszy. I dwie twarze: jedną pełną lubieżnego wyczekiwania, znieruchomiałą w pożądaniu, o spojrzeniu twardym, kuszącym, groźnym; drugą nieco senną, zaledwie obudzoną po zaspokojeniu pragnień, a już spragnioną nowego zaspokojenia. Nie chciał przedstawić ani Alby, ani *maji*, lecz żądze jako taką, żądze nigdy nie nasyconą, niebezpieczną i darzącą błogim szczęściem.

Obrazy były gotowe. Cayetana przypatrywała się niepewnie to jednemu, to drugiemu. Spostrzegła, że kobieta w kostiumie *torera* ma inną twarz niż druga, naga. Każda z tych twarzy była jej twarzą, a przecież żadna nią nie była. Dlaczego Francho nie namalował jej własnej, prawdziwej twarzy?

— Stworzył pan coś jedyne go w swoim rodzaju, don Francisco — powiedziała wreszcie — coś niepokojącego. — Odrywając wzrok od obrazów dodała nagle, z udaną przekorą: — Ale tak bujnych kształtów to chyba nie mam.

Potem zawiesili przy pomocy dueni obrazy na ścianie w ten sposób, że pod *maja* ubraną ukryta była naga *maja*.

— Moi goście — rzekła Cayetana — już na widok ubranej otworzą oczy ze zdziwienia. Bawiąc się mechanizmem jak dziecko, nacisnęła powtórnie guzik w ścianie i raz jeszcze oczom ich ukazała się naga *maja*. Stara duenia, czarno ubrana, stała sztywno, z mocno zaciśniętymi ustami, i z odrazą patrzyła na obraz.

Cayetana, uśmiechając się, zakryła nagą kobietę obrazem ubranej *maji*. Po czym z uśmiechem na ustach, drobna, z wysoko podniesioną piękną głową, trzymając palec wskazujący jednej ręki jak zwykle sztywno w dół skierowany, lekkim krokiem wyszła z sali i łaskawie skinęła Goyi, by jej towarzyszył.

## XXXVII

W Sanlucar zjawił się nowy gość, don Juan Antonio, markiz de San Adrian.

Goya od razu stracił humor. Znał markiza od dawna, malował go kiedyś i obraz ten był jednym z najlepszych jego portretów. Ustawił wówczas don Juana na tle krajobrazu; młody człowiek stoi w sztucznej pozie, oparty o słup kamienny; nie był już właściwie tak bardzo młody, mógł mieć po czterdzieście, ale ze swą ładną, bezczelną, dumną chłopięcą twarzą wyglądał na lat dwadzieścia pięć. Ma na sobie kostium do jazdy konnej, kamizelkę, obcisłe żółte pantalone i niebieski surdut, rodzaj kostiumu Wertera. Jedną rękę, w której trzyma szpicrutę, opiera wdzięcznym ruchem o biodro, w drugiej, starannie na portrecie wykonanej, trzyma książkę: ani malarz, ani model nie umieliby wyjaśnić, dlaczego wysoki kapelusz leży na kamiennym słupie. Goya nic nie zataił z arogancji tego przystojnego, bardzo rozpieszczonego pana, który jako jeden z pierwszych grandów dworu już w młodym wieku zamianowany został prezydentem Rady Indyjskiej, instytucji posiadającej duże wpływy. Goya spotykał już markiza niejednokrotnie w gronie przyjaciół Cayetany; opowiadano wówczas, że był jej kochankiem. Pewne było,

że należał też do faworytów królowej; prawdopodobnie Alba zrobiła go, na złość Marii Luizie, na krótki czas swym *cortejo*. Markiz de San Adrian był inteligentny i bardzo wykształcony; przebywał dłuższy czas we Francji, uchodził za człowieka postępowego i był nim chyba w istocie. Ale ilekroć swym leniwym, wysokim dyszkantem wypowiadał jakąś dowcipną uwagę, cyniczną i afektowaną, Goya wpadał w złość i musiał się z trudem opanowywać, by nie odpowiedzieć jakimś prostackim grubiaństwem.

Markiz miał swobodny, uprzejmy sposób bycia. Przybył tu, jak twierdził, by złożyć wizytę doni Cayetanie, gdyż nie mógł już znieść dłużej jej nieobecności na dworze. Drugim jednak, niemal równie ważnym powodem jego przybycia była chęć skłonienia don Francisca, aby bawiąc teraz w pobliżu Sewilli namalował posiedzenie Rady Indyjskiej.

— Bardzo nam pana brak, mój drogi — skrzeczał swym przewlekłym, piskliwym głosem. — Pan wie, jak bardzo lubimy się portretować. Gdyby pan nam odmówił, musielibyśmy zwrócić się do jakiegoś poczciwca, na przykład do Carnicera, a wtedy twarze nasze wyglądałyby jeszcze głupsze, niż są w istocie.

Markiz starał się nikomu nie przeszkadzać. Był obecny przy posiłkach i asystował co dzień przy *lever* Cayetany; był interesujący, nie natrętny. Cayetana traktowała go z lekką ironią, jak przemądrzałego chłopaka; widoczne było, że wszelkie bliższe jej stosunki z markizem należą do przeszłości. W każdym razie Francisco mógł przebywać sam na sam z Cayetaną, ilekroć tego pragnął.

Pewnego wieczora prowadził z Peralem rozmowę o jakichś zagadnieniach sztuki; Cayetana i markiz nie brali udziału w dyskusji. W pewnej chwili, mówiąc coś do Perala, zauważył spojrzenie, które Cayetana rzuciła San Adrianowi. Było to spojrzenie z ukosa, podobne do tego, jakie dał swej *maji* na obrazie; kokietowała don Juana wyzywająco, wyczekująco, pożądliwie. Spojrzenie to nie trwało chyba dłużej niż dwie sekundy. A może mu się tylko tak zdawało? Tak, z pewnością, zdawało mu się tylko. Nakazał sobie nie myśleć o tym spojrzeniu. Mimo to z trudem skończył rozpoczęte zdanie.

W nocy tłumaczył sobie, że to wszystko jest nonsensem; widocznie Cayetana złała mu się w jedno z *Donią desnudą*; podobne rzeczy nieraz mu się zdarzały. Ale przypomniał sobie, że Cayetana miała kiedyś z pewnością stosunek miłosny z San Adrianem; po cóż by przyjeżdżał, jeśli nie w tym celu, aby odnowić dawną przyjaźń? I nie przybył zapewne bez uprzedniego porozumienia się z nią. Wszystko było jasne: on, Francisco, jest głupcem, *pelele*. Wyobrażał

sobie, że Cayetana leży teraz z San Adrianem, z tym fircykiem, z tym aroganckim chłystkiem, teraz, kiedy on, Francisco, męczy się, nie mogąc spać. Pokaże mu pewnie *Donię desnudę* i San Adrian tłumaczyć jej będzie swym obmierzłym głosem, ile piękna w jej ciele uszło uwagi Francisca.

Ale wszystko to jest niedorzeczne. On, Francisco, jest po prostu zazdrosnym głupcem. Inna rzecz, że ma poważne powody do obaw. Jest niemłody, otyły, słuch ma przytępiony; plecy jego zaczynają się garbić, co dla Aragończyka jest szczególnie haniebne: jest nieopanowany i zgryźliwy, Cayetana zaś jest *chatoyante*, jak słusznie nazwała ją kiedyś stara markiza. Gdyby był nawet młody i piękny, mogłaby i tak wybrać sobie innego, gdyby on się jej sprzykrzył. Cóż więc dziwnego, że Cayetana woli leżeć z tym młodym, smukłym, dowcipnym, zawsze wesołym fircykiem? *Tragala, perro!*

To urojenia. Czyż nie kpiała z tego markiza z powodu Marii Luizy! Czyż nie dawała jemu, Franciscowi, dowodów, że właśnie on jest jej *cortejo*?

Ale to spojrzenie z ukosa. Tego sobie przecież nie wymyślił. Nie było to spojrzenie *Doni desnudy*, lecz twardych, metalicznych oczu Cayetany. W następnej chwili przybrała już znowu wygląd zupełnie obojętny, ale mieniła się zawsze jak kamień, który zwą „kocie oko”; nic w niej nie ma prawdziwego, uchwytanego. Nie jego to wina, że nigdy nie mógł namalować Cayetany; nikt na świecie, nawet Velazquez, nie umiałby jej namalować. Nawet jej nagiego ciała nie można namalować prawdziwie, gdyż i nagość jej jest zakłamana. Serce jej pokryte jest szminką, podobnie jak jej twarz. Jest z gruntu zła. Przypomnił mu się urywek starej romancy, którą często śpiewała Pepa: „W pięknej piersi brzydkie serce.”

Nazajutrz rano zaczął malować. Teraz odkrył nareszcie prawdziwą Cayetanę. Namalował ją fruującą w powietrzu; obok niej i pod nią, niby podtrzymujące ją obłoki, lecą trzy męskie postacie. Tym razem rysy jej twarzy nie są anonimowe; ta owalna, czysta, dumna twarz jest twarzą jednej tylko kobiety na świecie: Cayetany Alba. Można też rozpoznać wyraźnie twarze mężczyzn: jednym jest pogromca byków Costillares, drugim prezydent Rady Indyjskiej San Adrian, trzecim don Manuel, Principe de la Paz. A z ziemi przygląda się temu lotowi, szczerząc zęby w uśmiechu, szpetny karzeł, stary błazen nadworny Padilla. Obraz przypomina wniebowzięcie, lecz jest to wniebowzięcie występne i niebo z pewnością nie jest celem tej podróży. Kobieta unosząca się ponad głowami lecących

mężczyzn ma nogi rozkraczone, osłonięte szeroką, falującą, wyдутą w locie szatą. Można uwierzyć, że ta kobieta zdolna jest do popełnienia wszystkich siedmiu grzechów głównych. I łatwo można uwierzyć, że zdolna była, nie otworzywszy nawet ust, wydać rozkaz zabicia swego niewinnego męża, który przeszkadzał jej, być może, w czymkolwiek. Tak, nareszcie ją zobaczył i zrozumiał, i to jest jej ostatnia, prawdziwa twarz, czysta i wyniosła, twarz z gruntu zakłamana, niewinna i zarazem głęboko występna, prawdziwa twarz Cayetany. Żywe wcielenie żądy, pokusy i kłamstwa.

Następnego dnia Cayetana w ogóle się nie pokazała. Duenia usprawiedliwiła ją przed gośćmi: biały piesek don Juanito zachorował; księżna jest tak zmartwiona, że nie chce nikogo widzieć. Goya pracował tymczasem nad wykończeniem *Wniebowzięcia, Kłamstwa*.

Następnego dnia piesek wrócił do zdrowia i Cayetana była w promiennym humorze. Goya był milczący, ale nie brała mu tego za złe i próbowała kilkakrotnie wciągnąć go w rozmowę. W końcu, widząc, że milczy uporczywie, zajęła się San Adrianem, który prawił jej uprzejmości i nadskakiwał w przyjemny, naiwny sposób. Przytoczył jakiś francuski cytat, odpowiedziała mu po francusku i oboje przeszli na ten język. Peral, w którym złośliwa satysfakcja walczyła ze współczuciem dla Francisca, próbował tak pokierować rozmową, aby toczyła się znowu w języku hiszpańskim, tamci jednak mówili dalej po francusku, i to tak szybko, że Goya nic nie rozumiał. Wreszcie Cayetana zwróciła się do Francisca, również po francusku, posługując się przy tym wyszukаныmi wyrażeniami, których znaczenia nie znał. Było widoczne, że chce go zawstydzić przed San Adrianem.

Po kolacji oświadczyła, że jest dziś w dobrym humorze, że nie ma ochoty iść spać i pragnie się zabawić. Wezwie służbę i każe jej tańczyć *fandango*. Pokojówka Fruela tańczy doskonale, a stajenny Vicente jest także niezłym tancerzem. Grandowie często rozpraszali nudę swych zebranych towarzyskich każąc służbie popisywać się tańcem

Zgłosiło się pięć chętnych par, umiejących tańczyć *fandango*, poza tym przyszło jeszcze około dwadzieścia osób ze służby, dzierżawców i chłopów, pragnących przyjrzeć się popisom. Wieść o tańcach rozeszła się szybko, a każdy mógł bez ceremonii przyglądać się im. Ludzie nie tańczyli ani zbyt dobrze, ani bardzo źle, ale *fandango* porywało wszystkich, choćby nawet nie było wykonane z wielkim kunsztem. Widzowie siedzieli przez jakiś czas poważnie i w milczeniu, potem jednak zaczęli tupać nogami i klaskać do taktu w ręce,

krzycząc: *ole!* Tańczyła zawsze tylko jedna para, dalsze wysuwały się po kolei na środek, by zastąpić parę tańczącą. Cayetana zwróciła się do Goyi:

— Nie ma pan ochoty zatańczyć, Francisco?

Na krótką chwilę Francisco poczuł pokusę. Ale przypomniał sobie, jak to kiedyś zmusiła go, by tańczył menueta przed księciem i Peralem; zobaczył przed sobą beczelnie uśmiechniętą twarz San Adriana; czy ma pozwolić, by Cayetana popisywała się nim przed gościem? Zawahał się. Ale ona tymczasem zwróciła się do San Adriana:

— A może pan, don Juanie?

Markiz odpowiedział skwapliwie, na swój fircykowaty sposób:

— Z największą przyjemnością, księżno. Ale jak, w tym kostiumie?

— Spodnie ujdą — rzekła mierząc je spojrzeniem znawczyni — a zakiet pan od kogoś pożyczycy. Proszę się przygotować, a ja pójdę się przebrać.

Kiedy wróciła, miała na sobie kostium, w którym ją Goya malował jako *maje*, ów z białej, przejrzystej tkaniny, raczej odsłaniający jej ciało niż zakrywający je; na to włożyła kokieteryjne żółte bolero, obszyte czarnymi, błyszczącymi blaszkami metalowymi, i szeroki różowy pas jedwabny. W tym stroju tańczyła z San Adrianem. Kostiumy ich nie były odpowiednie do tańca, a to, co tańczyli, nie było też prawdziwym *fandango*: Pokojówka Fruela i stajenny Vicente tańczyli lepiej od nich; bez porównania lepiej tańczono *fandango* w Sewilli czy w Kadyksie, nie mówiąc już o tańcu Serafiny. Jednakże tańczyli ten właśnie taniec, o wyraźnym znaczeniu, bez osłonek, i było coś wysoce niestosownego, a nawet wyuzdanego w tym, że księżna Alba i prezydent Rady Indyjskiej pokazywali się w tańcu wobec chłopów, pokojówek i woźniców z Sanlucar, dając im widowisko żaru miłosnego, pożądania, onieśmienia i spełnienia pragnień. Goya czuł, że Alba mogłaby równie dobrze zaprosić wszystkich tych ludzi do swojej ubieralni, nacisnąć guzik w ścianie i pokazać im *Donię desnudę*. Najbardziej oburzało go, że ta para udawała tylko *maja i maje*, nie będąc nimi w rzeczywistości. Był to beczelny, głupi, swawolny żart, ale tak bawić się nie wolno, były to po prostu kpiny z wszystkiego, co prawdziwie hiszpańskie. Głucha złość zalała Goyę, złość na Cayetanę i na don Juana, złość na tych wszystkich grandów i ich żony, wśród których się obracał, na tych pustych strojnisiów i marionetki. Prawda, że i on sam kiedyś z

zapalem uczestniczył w ich głupich, zakłamanych zabawach, ale było to dawno, wówczas gdy robił projekty do gobelinów. Od tego czasu nauczył się wnikliwiej patrzeć na ludzi i rzeczy, żył i czuł głębiej, wierzył, że Cayetana warta jest więcej niż tamci. Wierzył, że to, co łączyło ich oboje, nie było pustą igraszką, lecz prawdziwą namiętnością, żarem, miłością, tak jak to pokazywał taniec *fandango*. Ale ona kłamała, przez cały czas okłamywała go, on zaś pozwalał tej wysoko urodzonej damie igrać ze sobą jak z pajacem.

Lokaje i pokojówki, chłopci, parobcy, dziewczki kuchenne, chłopcy stajenni mieli więc tego wieczoru nie lada widowisko. Wyczuwali, że Cayetana zadaje sobie wiele trudu, by wydać się jedną spośród nich; ale zdawali sobie też sprawę, że się to jej nie udaje, i czuli swą wyższość nad nią. Tupali w podłogę, klaskali w ręce i krzyczeli: *ole!* Choć nie ubierali tego w słowa ani w wyraźne myśli, uważali się za coś lepszego od tej pani. Jeśli pokojówka Fruela spać będzie dzisiejszej nocy ze stajennym Vicente, to będzie to lepsze i naturalniejsze, bardziej hiszpańskie, bardziej w porządku niż to, że ta dama pójdzie do łóżka z tym fircykiem czy ze swoim malarzem.

Dla starej dueni przedstawienie to było nie do zniesienia. Zakochana w Cayetanie, nie widziała życia poza nią; jagniątko jej dało się chyba usidlić czarami tego malarza. Z gniewem i żalem patrzyła, jak pierwsza dama kraju, prawnuczka wielkiego marszałka, poniża się w oczach hołoty, *chusmy*, motłochu.

Peral siedział i patrzył. Nie klaskał w ręce, nie krzyczał: *ole!* Bywał nieraz świadkiem podobnych wybryków Cayetany, może nie tak jaskrawych jak dzisiejszy, ale niewiele rozsądniejszych. Spojrzał na Goyę i z wyrazu jego twarzy domyślał się, co się w nim dzieje: doznawał satysfakcji i zarazem czegoś w rodzaju współczucia.

Cayetana i San Adrian zapalali się coraz bardziej. Muzyka była coraz ognistsza, okrzyki coraz głośniejsze, a oni tańczyli niezmordowanie.

„Wysilaj się, ile wlezie — szydził jakiś głos w Goyi — i tak nie będziesz *maja*. A o *fandango* nie masz najmniejszego pojęcia. To tylko przyprawa do nocy; rozpalasz w sobie ogień, zanim pójdziesz do łóżka z tym żalonym błaznem, z tym fircykiem, z tym chłystkiem.”

I wyszedł, zanim taniec się skończył.

Spał źle tej nocy. Następnego dnia Cayetana oczekiwała zapewne, że zjawi się u niej, by pójść z nią jak codziennie na przedobiednią przechadzkę. Ale nie poszedł do niej, posłał jej tylko

wiadomość, że cierpi na ból głowy i nie przyjdzie dzisiaj na obiad. Wyciągnął z kąta swój obraz *Wniebowzięcie, Kłamstwo*; obraz był zupełnie skończony, nie wymagał już ani jednego pociągnięcia pędzlem. Francisco nie był w nastroju do pracy, męczył go *solano*, miał wrażenie, że słuch mu się znowu pogorszył. Odstawił płótno. Usiadł przy sekretarzyku, począł pisać list. Przeszło mu przez myśl:

„Stary trzymał nadwornego błazna, ona trzyma sobie nadwornego malarza. Ale nie chcę już więcej brać udziału w tej zabawie.” Napisał dwa listy zapowiadające jego powrót do Madrytu, jeden do marszałka dworu, drugi do Akademii. Zostawił je na stole, nie przepisawszy ich na czysto.

Po południu zjawiała się u niego Cayetana ze swoim śmiesznym pieskiem. Zachowywała się tak, jak gdyby nic nie zaszło, była miła, prawie wesoła. Wyraziła ubolewanie, że Francisco niedobrze się czuje. Dlaczego nie zasięgnął rady doktora Perala?

— Nie jest to dolegliwość, na którą Peral mógłby mi pomóc — rzekł z ponurą miną. — Odpraw San Adriana.

— Bądź rozsądny — odparła. — Zrozum, że nie mogę go obrażać tylko dlatego, że ty jesteś w złym humorze.

— Odpraw go! — upierał się.

— Dlaczego wtrącasz się do moich spraw? — powiedziała. — Wiesz, że nie znoszę tego. Nie wtrącałam się nigdy do twoich spraw, nigdy nie mówiłam: Zrób to albo zrób tamto.

Oburzyła go ta niesłychana bezczelność. Żądała od niego wszystkiego, czego może zażądać człowiek od człowieka, poniósł dla niej najcięższe ofiary, a ona pyta niewinnie: „Czy kiedykolwiek żądałam czegoś od ciebie?”

— Wyjeżdżam do Jerez — rzekł krótko — będę malował Serafinę.

Siedziała spokojnie, trzymając pieska na kolanach.

— Dobrze się składa, że chcesz teraz wyjechać. Ja również wyjadę na parę dni. Odwiedzę kilka mych majątków, by skontrolować dzierżawców. Don Juan będzie mi towarzyszył i służył radą.

Dolna warga Goyi wysunęła się gwałtownie naprzód, głęboko osadzone brązowe oczy pociemniały.

— Ja nie na parę dni wyjeżdżam — powiedział — i ze względu na mnie nie musisz nigdzie jechać. Możesz sobie tu spokojnie siedzieć ze swoim lalusiem. Nie będę ci dłużej przeszkadzał, Z Jerez wrócę wprost do Madrytu.

Cayetana wstała. Psiak zaczął głośno ujadać. Chciała odpowiedzieć



w ostry sposób. Spojrzała na jego dużą twarz, na płonące, pociemniałe oczy i prawie niewidoczne białka. Opanowała się.

— Zrobiłbyś bardzo niemądrze, Francisco — rzekła — gdybyś nie wrócił już do Sanlucar. Sprawiłbyś mi tym wielką przykrość.

Goya milczał.

— Bądź rozsądny — prosiła. — Znasz mnie. Nie żądaj ode mnie, abym się zmieniła, gdyż nie jest to w mojej mocy. Nie gniewaj się o te cztery czy pięć dni, dam ci też swobodę na ten czas. A potem wrócisz tu, zastaniesz mnie już samą i wszystko będzie znowu po dawnemu.

Patrzył na nią twardym, nienawistnym spojrzeniem.

— Tak, znam cię — rzekł. Wydobył obraz *Wniebowzięcie* i ustawił go na sztaludze.

Cayetana spojrzała na swą postać, lekko i wdzięcznie unoszącą się w powietrzu, na twarz niewinną i czystą. Tak, to była jej twarz w istocie. Ale choć nie przypisywała sobie wielkiego znawstwa sztuki malarskiej, zrozumiała, że nikt jeszcze nie wyrządził jej dotąd tak ciężkiej zniewagi, nikt, nie wyłączając nawet Marii Luizy. Nie zdaje sobie sprawy, na czym to polega. Ale owszem, wie już właściwie: te trzy męskie postacie, które jej towarzyszą, właśnie ci trzej mężczyźni. Ale dlaczego jest wśród nich don Manuel? Francisco wie, że don Manuel jest jej wstrętny, i właśnie jego wybrał dla niej na towarzysza w tym sabacie czarownic.

„Przez niego poszłam na wygnanie — pomyślała wściekła — zgodziłam się, żeby mnie ten prostak malował w taki sposób, w jaki nigdy jeszcze nie malowano żadnej grandesy. A on mnie tak traktuje.”

Na stole leżał ostry nożyk do zeskrobywania farby. Ujęła go bez pośpiechu, a potem nagłym, energicznym ruchem rozcięła płótno od góry do dołu. Rzucił się na nią, wściekły, chwycił ją jedną ręką, drugą trzymał obraz. Psiak z głośnym ujadaniem plątał mu się pod nogami. Sztaluga wraz z obrazem runęła z hałasem na ziemię.

Przez chwilę, dysząc gwałtownie, stali naprzeciw siebie. Potem Alba spokojnym i wyniosłym tonem, którym ona jedna tylko umiała przemawiać, rzekła:

— Bardzo mi przykro, że obraz pański uległ uszkodzeniu. Proszę wymienić należną cenę. Każę ją...

Nie dokończyła zdania.

Goyę ogarnęła nagle złowroga fala, ów z lękiem oczekiwany atak choroby. Siadł na krześle, skulił się, osłabły, złamany, bezwładny. Twarz jego była jak obraz ruiny.

### XXXVIII

Przez wiele godzin Francisco pozostawał w stanie obezwładnienia, pograżony w tępej rozpacz. Mózg przeszywały mu wciąż na nowo te uparte myśli: „To dlatego... Byłem obłąkany... Tracę zmysły... Teraz mnie ta dziewczka już całkiem pograżyła... To dlatego... Teraz jestem raz na zawsze skończony.”

Potem powtarzał te słowa na głos, coraz głośniej. Wydawało mu się, że je słyszy, chociaż zdawał sobie sprawę, że ich nie słyszy. Stał przed lustrem i widział, jak usta jego otwierają się i zamykają, ale nie słyszał słów, które wymawiał. Przypomniawszy sobie, że przy poprzednich atakach przestawał naprzód słyszeć dźwięki wysokie, a na samym końcu dopiero niskie. Próbował mówić głębokim głosem, potem znów bardzo głośno. Nie słyszał nic. Przy dawniejszych atakach, jeśli hałas był bardzo głośny, słyszał jak gdyby słabe odgłosy. Rzucił wazon o kamienną posadzkę, widział rozpryskujące się okruchy, ale nic nie słyszał.

— Ona jest wszystkiemu winna — powiedział. — Oszukała mnie, opętała. Wpadłem. Zabiła mi dziecko, zwichnęła mi karierę, ukradła mi słuch.

Opanował go szalony gniew, ciskał najgorszymi przekleństwami. Rozbił zwierciadło, które odbiło jej obraz. A potem dziwił się patrząc na swą pokaleczoną, krwawiącą rękę. W końcu wpadł w ponurą rezygnację. — *Tragala, perro*. Masz tu, psie, żryj — rzekł z goryczą, usiadł i znieruchomiał w tępym, głuchym przygnębieniu.

Przyszedł Peral. Starł się mówić bardzo wyraźnie, tak aby Francisco mógł odczytywać wyrazy z ruchu jego warg. Ale Goya siedział bez ruchu, skamieniały, zrozpaczony. Peral napisał mu na kartce:

„Dam panu środek uspokajający. Niech się pan położy.”

— Nie chcę! — krzyczał Goya.

„Niech pan będzie rozsądny — napisał Peral — sen pana pokrzepi.”

Wyszedł i wrócił ze szklanką napoju. Goya wytrącił mu ją z ręki.

— Nie pozwolę się także zabić! — powiedział cichym, posepnym głosem i nie wiedział, czy rzeczywiście wyrzekł te słowa.

Peral spojrzał na niego zamyślonym wzrokiem, nie bez współczucia, po czym wyszedł bez słowa. Po upływie godziny wrócił.

— Czy mam panu teraz podać napój? — zapytał.

Goya nie odpowiedział, siedział w milczeniu z wysuniętą dolną wargą.

Peral zamieszał napój. Goya wypił go.

Zwolna, budząc się z długiego jak wieczność snu, wracał do swej rzeczywistości. Spostrzegł, że ma rękę zabandażowaną. Zauważył, że wstawiono inne zwierciadło, nie splamione kłamliwym obrazem Cayetany. Wstał, przeszedł się po pokoju. Próbował, czy słyszy już coś. Mocno, z hałasem postawił krzesło na kamiennej posadzce. Tak, wydaje mu się, że słyszy jakiś słaby odgłos. Próbuje dalej z rozpaczliwym lękiem. Ależ tak, z całą pewnością, odgłosy, które słyszy, nie są wprawdzie bardzo wyraźne, ale dochodzą go nie tylko z wewnątrz. A zatem może już coś słyszeć. Zaświtała w nim nadzieja.

Wszedł Peral. Nie wszczynął z nim rozmowy, oznajmił mu tylko, że posłał do Kadyksu po lekarza, który uchodził za dobrego specjalistę. Goya wzruszył ramionami; wyolbrzymiał jeszcze swą chorobę. Ale ze wszystkich sił uczeplił się nadziei.

Nazajutrz przed południem, w porze kiedy zazwyczaj udawał się do Cayetany, ona przysłała do niego. Odezwała się w nim zawziętość połączona z radosnym lękiem. Sądził, że Alba wyjedzie z tym fircykiem, jak zapowiedziała; myślał, że nie odstąpi od swego zamiaru tylko ze względu na jego chorobę. A jednak została i przysłała do niego. Starła się mówić wyraźnie. Był zbyt rozdrażniony, by móc ją zrozumieć, zresztą nie chciał jej nawet rozumieć. Milczał uparcie. Siedziała przy nim długą chwilę. Potem delikatnie pogłaskała go po czole. Odrzucił głowę w bok. Posiedziała jeszcze trochę, po czym wyszła.

Przyjechał lekarz z Kadyksu. Napisał Goyi na kartce kilka pocieszających słów i powtórzył je ustnie, powoli i wyraźnie. Potem długo jeszcze rozmawiał z Peralem. Następnie napisał Goyi, że wysokich tonów przez długi czas nie będzie mógł słyszeć, będzie jednak słyszał niskie. Było to, bądź co bądź, potwierdzenie i nadzieja Goyi wzrosła.

Ale już najbliższej nocy opadły go wszystkie widziadła, które trapiły go kiedykolwiek w życiu. Miały kocie lub psie pyski, wytrzeszczały na niego olbrzymie sowie ślepia, wyciągały ku niemu ogromne szpony i trzepotały wielkimi skrzydłami, podobnymi do skrzydeł nietoperzy. Chociaż noc była ciemna, a on leżał z zamkniętymi oczyma, widział je dobrze, odróżniał u niektórych potworne gęby, u innych przymilne twarze, i te były właśnie najbardziej

przeróżające. Czuł, jak otoczywszy go zewsząd, przykucnęły obok niego, czuł ich odrażające oddechy i w tej ogłuszającej, martwej ciszy. w której był teraz zamurowany, zmory te wydały mu się groźniejsze niż kiedykolwiek.

Nad ranem, gdy tylko zaczęło szarzeć, przygniotła go świadomość głuchoty w całej swej grozie. Zdawało mu się, że zawarł się nad nim jakiś olbrzymi klosz, w którym zamknięty będzie na zawsze Nieznośna była mu myśl, że on, który czuł zawsze potrzebę dzielenia się z innymi radością i bólem, skazany jest na to, aby żyć odtąd jak odcięty od świata. Umilkną dla niego na zawsze głosy kobiece i głosy jego dzieci, nie usłyszy już nigdy przyjacielskich słów Martina ani szyderczych uwag Agustina; nie usłyszy pełnych trosk i miłości wymówek Josefy ani słów pochwały i uznania od znawców sztuki i możliwych tego świata. I nigdy już nie będzie słyszał zgiełku ulicznego na Puerta del Sol ani wrzawy na arenach walki byków, nigdy nie usłyszy muzyki ani dźwięków *seguidilli* lub *tonadilli*, nigdy już nie pogawędzi w szynku z żadnym *majem* ani *maja*. Ludzie będą go unikać; bo któż zechce rozmawiać z człowiekiem, który nie słyszy? Będzie dawał nedorzeczne odpowiedzi na pytania, a ludzie śmiać się będą z niego. Będzie czujnie nasłuchiwał i wysiłał się, by coś usłyszeć, a przecież i tak nie usłyszy. Obojętność ludzka przykra jest dla zdrowego, który może się bronić, ale straszna jest dla człowieka w jego położeniu. Będzie żył wspomnieniami przeszłości, a wie, jak demony zniekształcają wszelkie wspomnienia. Spróbował wsłuchać się w siebie, aby odtworzyć w pamięci dobrze znane głosy przyjaciół i wrogów, i już dziś nie był pewny, czy dobrze je pamięta. Krzyknął. Ogarnął go szal.

Podszedł do lustra. Było to piękne, duże, owalne zwierciadło we wspaniałych, kosztownie rzeźbionych złoczonych ramach. Ale twarz patrząca na niego z ram lustra była bardziej przerażająca niż widok potworów, które wlepiły w niego ślepią tej nocy. Czy to naprawdę *on*? Włosy dziko i bezładnie rozczochrane, śmiesznie zmierzwiony zarost ponurym cieniem okalał zapadłe policzki i brodę, z głębokich oczodołów patrzył prawie zupełnie czarne oczy, krzaczaste, nastroszone brwi sterczą w górę dziwnie rozszczepionymi kosmykami, dwie głębokie bruzdy zbiegają od nosa ku ustom, których jedna połowa wykrzywiona jest inaczej niż druga. Twarz pociemniała w bezsilnej wściekłości i rezygnacji, jak pysk schwytanego w potrzask zwierza, podobna do jednej z tych twarzy, które namalował kiedyś w swym *Domu obłąkanych*.

Usiadł ciężko na krześle, odwrócony od lustra, zamknął oczy.

Skurczony, pogrążony w tępej apatii, przesiedział tak nie kończąca się godzinę.

Okolo południa opanowało go gwałtowne napięcie, czy Cayetana przyjdzie. Tłumaczył sobie wprawdzie, że już z pewnością wyjechała, ale sam w to nie wierzył. Nie mógł usiedzieć na miejscu, zerwał się, począł chodzić tam i z powrotem. Była to pora, w której się zwykle spotykali. Nie przyszła. Upłynęło pięć minut, dziesięć. Ogarnęła go wściekłość. Kiedy psiak jej nie miał stolca, rozpaczała, jak gdyby świat się kończył; ale kiedy jego, Francisca, los doświadcza jak Hioba, ona wyjeżdża z pierwszym lepszym chłystkiem. Buchnęło w nim nedorzeczne pragnienie zemsty. Miałby ochotę dusić ją, bić, kopać, wlec za włosy po ziemi, zniesławić na zawsze.

Ale oto widzi ją nadchodzącą. I od razu odzyskuje spokój. Udręka znika gdzieś jak ręką odjął; ma wrażenie, że ciężki, głęboki klosz, który przytłaczał mu głowę, unosi się w górę. A może najgorsze już minęło, może już teraz zacznie słyszeć? Ale nie chce próbować, nie chce, by była świadkiem jego bólu i męki, chce tylko czuć ją blisko siebie. Nie chce jej nawet widzieć, wystarczy mu wiedzieć, czuć, że jest tu, obok niego. Rzuca się na fotel, zamyka oczy. oddycha głośno, regularnie.

Weszła. Widzi go skulonego w fotelu, pogrążonego w głębokim śnie. Patrzy na tego mężczyznę, który jeden jedyny śmiał raz po raz buntować się przeciw jej woli, który doprowadzał ją do takich wybuchów gniewu jak nikt inny, a z którym tak mocno jest związana jak z nikim innym. To, że miał i jeszcze mieć będzie kobiety w swym życiu, nie ma dla niej znaczenia; mężczyźni, którzy byli w jej życiu i którzy jeszcze będą, nie mają znaczenia; nawet i to, że wyjedzie dzisiaj z San Adrianem, nie ma znaczenia. Gdyż kocha tylko Francisca, tylko jego kochała i nikogo innego poza nim, i tak już będzie zawsze. Ale choćby to miało przynieść zgubę i jemu, i jej samej, nie zmieni się dla niego i nie wyrzeknie się niczego, co sobie przedsięwzięła.

A teraz patrzy na tego skulonego w fotelu człowieka, który zasnął z wyczerpania i rozpaczy i który jest tak głęboko nieszczęśliwy. Przez nią jest nieszczęśliwy, tak jak dzięki niej był szczęśliwy i zawsze ona będzie przyczyną jego szczęścia i nieszczęścia.

Podeszła do niego blisko i zaczęła mówić. Raz w końcu musi mu to powiedzieć, chociaż on nie słyszy, bo śpi; a gdyby nawet nie spał, to i tak nic by nie słyszał. On jednak słyszy, słyszy każde słowo, wymówione jej dziecinnym, twardym głosem:

— Jakież z ciebie głuptas, Francho, przecież ty nic a nic nie

< 336 )

pojmujesz. Zawsze tylko ciebie jednego kochałam, ty głupi Francho, zawsze tylko ciebie, ty śmieszny, stary grubasku, ty mój *majo*. A ty nie wiesz o tym i wydaje ci się, że mi spieszo lecieć z innymi do piekła. Ach, ty brzydalę mój jedyny, jakiś ty niemądry. Kocham tylko ciebie, zawsze tylko ciebie, ty zuchwały malarzu.

Francisco nie drgnął nawet, udawał, że śpi głęboko, i oddychał głośno, dopóki Cayetana nie wyszła z pokoju.

## XXXIX

Rad był, że potrafi tak chytrze udawać śpiącego, i tej nocy spał dobrze.

Ale gdy się obudził nazajutrz rano, zauważył ze strachem, że znowu całkiem utracił słuch i że ciemny klosz głuchoty zamknął się nad nim ostatecznie. Z goryczą i radością zdał sobie sprawę, że ostatecznie dźwięki, jakie go doszły ze świata, to były słowa Cayetany, i że tylko dzięki podstępowi potrafił je z niej wydobyć.

Nadeszła godzina, w której go zwykle odwiedzała. Podchodził raz po raz do okna, rozglądał się dokoła, otwierał drzwi i wyglądał na korytarz, wiedząc, że nie może usłyszeć jej kroków. Upłynęło pół godziny. Nie przyjdzie już widocznie. Ale czy to możliwe, aby po tym, co mu powiedziała, wyjechała z tym swoim gagatkiem?

Wszedł Peral i poprosił go, aby zjadł z nim razem obiad. Francisco spytał tonem tak obojętnym, na jaki tylko potrafił się zdobyć:

— Czy donia Cayetana wyjechała?

— Jak to? Czy nie pożegnała się z panem? — odparł Peral, szczerze zdziwiony. — Poszła przecież specjalnie do pana po to, by się pożegnać.

Po obiedzie mieli dłuższą rozmowę. Goya niecierpliwił się spostrzegłszy, że Peral za każdym razem, zanim napisze zdanie, wymawia je naprzód wyraźnie, starając się, by Francisco go zrozumiał. Wstydził się swego kalectwa. Śledził czujnie tak dobrze mu znaną twarz Perala, czy nie zauważy w niej oznak złośliwego zadowolenia. Nie spostrzegł nic takiego, ale pozostała w nim nieufność. Na przyszłość będzie już wobec wszystkich podejrzliwy, ludzie uważać go będą za zgryźliwego dziwaka, za mizantropa, chociaż nim wcale nie jest; przeciwnie, lubi wesołość i gwar życia towarzyskiego, lubi dzielić się z drugimi radością i smutkiem. Ale teraz, gdy uszy jego są głuche, zamknie mu to także usta.

< 337 }

Peral narysował budowę ucha wewnętrznego, wytłumaczył Franciscowi, na czym polega jego cierpienie. Ostrzegął, że nie ma wielkiej nadziei na poprawę, i nakłaniał, by zaczął uczyć się mowy na migi. Podobno pewien Francuz, doktor de l'Epee, wynalazł dobrą metodę; opanowało ją już kilka osób w Kadyksie i dobrze będzie, jeśli Goya jak najrychlej zacznie się w niej ćwiczyć.

— Tak — odparł Goya z goryczą — będę obcował z samymi kalekami, z głuchoniemymi, tylko z kalekami. W towarzystwie normalnych ludzi będę niepożądany. Słuchając mdłych pociech i rad lekarza uprzytomnił sobie tym dobitniej, jak straszliwe czekają go cierpienia, gdy martwe milczenie odgrodzi go od świata.

Czy będzie mógł kiedykolwiek jeszcze spać z kobietą? Dotychczas on był zawsze stroną, która daje; czy nie obezwładni go świadomość, że kobieta tylko z łaski zniża się do kaleki? Och, straszną karę obmyśliły dla niego demony za to, że dla nasycenia złej namiętności poświęcił własne dziecko i nieomal swoją sztukę.

— Niech mi pan powie — zagadnął nagle Perala — jaka jest właściwie przyczyna mojej choroby?

Doktor Peral oczekiwał tego pytania; obawiał się go i życzył go sobie zarazem. Już od dłuższego czasu miał wyraźny pogląd na istotę cierpienia Goyi i od dnia ostatniego strasznego ataku, który nawiedził malarza, rozważał, czy nie powinien powiedzieć mu prawdy. Wahał się. Podziwiał szczerze talent i sztukę Goyi, lubił jego bujną, kipiącą życiem naturę, ale również zazdrościł mu jego zdolności ujmowania sobie ludzi, pewności siebie i wiary w swą szczęśliwą gwiazdę. I kiedy wreszcie cios ugodził i w tego człowieka, nie mógł oprzeć się uczuciu pewnej satysfakcji. Teraz pytał samego siebie, czy odsłaniając przed nim bezlitosną prawdę czyni to, aby spełnić obowiązek człowieka, lekarza i przyjaciela, czy raczej, by nasycić się zemstą na tym ulubieńcu fortuny.

Nagle pytanie Francisca rozproszyło jego skrupuły; postanowił wykonać bolesne cięcie. Odpowiedział w prostych słowach usiłując jak najwyraźniej je wymawiać:

— Pańska choroba ma siedzibę w mózgu. Powolne zamieranie pańskiego słuchu dokonało się w mózgu. Możliwe, że przyczyną cierpienia jest przebyta kiedyś przez pana lub przez kogoś z jego przodków choroba weneryczna. Może pan mówić o szczęściu, don Francisco, że następstwa jej objawiły się w ten sposób. W innych wypadkach, w przeważającej ilości wypadków, choroba ta atakuje mózg w sposób znacznie groźniejszy.

Goya z uwagą śledził wyraz jego twarzy, wpatrywał się w wąskie, wyraziste usta, które wypowiadały te twarde, zabójcze, bezlitosne słowa. Był wzburzony.

„Chce cię otruć, ten truciciel — pomyślał — w podstępny, skryty, zawily, nieodgadniony sposób, tak jak otruł księcia. On ma słuszność — myślał dalej — popadam w obłąd, jestem już obłąkany. Peral wypowiada to samo, tylko w uczonych słowach, że przyczyną choroby jest mój grzech, urzeczenie i opętanie, a to tkwi w mózgu.”

Tak mówił sobie w duchu, ale na głos rzekł:

— Pan uważa, że jestem obłąkany. — Powiedział to cicho, z zaciętością, lecz zaraz powtórzył krzyżąc: — Obłąkany! Jestem obłąkany, mówi pan? Niech pan powie, czy jestem obłąkany?

Peral bardzo spokojnie i wyraźnie odpowiedział:

— Na szczęście, nie jest pan obłąkany, lecz ma pan tylko przytępiony słuch. Niech pan to zrozumie, don Francisco.

— Dlaczego pan kłamie? — wrzasnął Goya. — Jeżeli nie jestem jeszcze wariatem, to będę nim. I pan dobrze o tym wie. Czy nie powiedział pan, że mam przytępiony słuch? — spytał. — Kłamie pan — zawołał z triumfem, jakby złapał lekarza na gorącym uczynku. — Przecież pan wie doskonale, że to nie jest przytępienie słuchu, że jestem głuchy, głuchy jak pień, i to na zawsze. Głuchy i obłąkany.

— To, że pan ma przytępiony słuch — odparł Peral łagodnie — pozwala żywić nadzieję, nawet nieomal pewność, że skutki pańskiej choroby na tym się skończyły.

— Dlaczego pan mnie tak dręczy? — skarżył się Goya. — Dlaczego nie powie mi pan otwarcie, że jestem obłąkany.

— Ponieważ nie chcę kłamać — odpowiedział Peral.

Potem jednakże przyszło jeszcze między Goyą a lekarzem do dalszych, bardzo szczerych i osobliwych rozmów. Don Joaquin czasem pocieszał swego pacjenta, a czasem szydził z niego, co widocznie Goyi bardziej odpowiadało. Goya ze swej strony bądź dziękował lekarzowi za jego troskliwość, bądź ranił go rozmyślnie.

— Nawet w swej chorobie — napisał mu doktor Peral na kartce — jest pan szczęśliwszy od wielu innych. Inni zmuszeni są tłumić i ukrywać w sobie niebezpieczne uczucia, tak że łamią one nieraz wszelkie szranki rozsądku. Pan zaś, don Francisco, może je malować, pędzlem wyganiać swe wątpliwości i skrupuły z ciała i duszy.

— Czy zamieniłby się pan ze mną, doktorze? — zapytał Goya i uśmiechnął się urągliwie. — Czy zgodziłby się pan mieć „prytępiony

{ 339 }



słuch", a w zamian za to osiąść zdolność usuwania swych skrupułów malowaniem? Tak przekomarzali się z sobą. Ale pewnego dnia Goya, przygnieciony brzemieniem cierpienia, chwycił lekarza za ramię i złożył swą ciężką głowę na piersi wroga; ciałem jego wstrząsnęły dreszcze, musiał oprzeć się o kogoś, kto go rozumiał. A chociaż nigdy dotąd nie rozmawiali o Cayetanie, był pewien, że wróg go rozumie.

Kiedy w samotności próbował wyobrazić sobie swoje przyszłe życie, był jak odurzony. Rozmawiając z ludźmi, będzie albo niepotrzebnie krzyczał, albo mówił szeptem, gdyż nigdy nie potrafi właściwie ocenić natężenia własnego głosu; nieraz powie coś, o czym chciał tylko pomyśleć, i nie będzie wiedział, co pomyślał, a co powiedział na głos; ludzie będą nań wytrzeszczać oczy ze zdziwienia, a on nie uwolni się nigdy od niepewności i podejrzliwości. Dla tego dumnego człowieka nieznośna była myśl, że będzie odtąd budził współczucie i politowanie swego otoczenia.

Chciałby zwierzyć się komuś, że to kalectwo jest karą za grzechy. Ale jeżeli wypowiedzi się przed księdzem, to nie usłyszy nawet jego odpowiedzi, dla Perala zaś byłoby to tylko nowym dowodem jego obłądu.

Percal był mądrym lekarzem. Przejrzał go z pewnością od dawna i od lat już rozpoznał jego obłąd. Bo jest przecież obłąkany od niepamiętnych czasów. Ileż to razy w ciągu lat miał ataki wściekłości i szaleństwa. Ileż to widział upiorów i demonów, dotykalnych, uchwytnych. Tylko on jeden, nikt prócz niego. A było to wtedy, gdy świat miał jeszcze głos; cóż dopiero będzie teraz, kiedy otoczy go zewsząd niema, nieznośna cisza.

Czy potrafi jeszcze kiedykolwiek odróżnić, co jest rzeczywistością dla każdego, a co tylko dla niego? I która Cayetana jest prawdziwa? Czy ta, którą namalował jako księżnę? Czy ta, którą przedstawił jako ucieleśnienie nagiej rozkoszy? Czy może ta, którą ukazał jako czarownicę o niewinnej twarzy, unoszącą się w powietrzu?

Oto znów widzi demony dokoła. Widzi je, chociaż to biały dzień. Wie, że potwory, które ukazują się we dnie, są najgorsze, groźniejsze od nocnych. Ma przywidzenia, a przecież jest przeraźliwie trzeźwy. Zrozpaczony rzuca się na stół, aby tych demonów nie widzieć, ale widzi je wciąż, widzi wyraźnie. Bo one są w nim samym, zlały się z nim w jedno, są jednocześnie w nim i poza nim.

Peral oznajmił mu, że donia Cayetana wróci za jakieś dziesięć dni. Goya wysunął dolną wargę, twarz mu spochmurniała.

— Wyjeżdżam za trzy dni — rzekł krótko.

— Sprawi pan tym z pewnością przykrość księżnie — odpowiedział Peral. — Liczyła, że jeszcze pana tu zastanie. Ale i ja jako lekarz uważam, że tak długa i uciążliwa podróż jest przedwczesna. Powinien pan oswoić się naprzód ze swoim nowym stanem.

— Wyjeżdżam za trzy dni — powtórzył z uporem Goya.

— Czy mam panu towarzyszyć? — zaofiarował się Peral po chwili milczenia.

— Bardzo to uprzejmie z pana strony, don Joaquinie — odparł Goya z niechęcią — ale byłoby mi przykro, gdybym musiał w przyszłości podróżować zawsze pod opieką pielęgniarki i z całym orszakiem służby.

— W takim razie każę panu przygotować dużą kolosę podróżną — proponował Peral.

— Dziękuję, doktorze — odparł Goya — nie pojedę dużą kolosą. Nie zamówię też ekstrapocztę, a nawet nie skorzystam ze zwyczajnego wozu pocztowego. Wynajmę sobie muła. Poślę po Gila, poganiacza mułów z „Venta de las Cuatro Naciones”. To dobry człowiek. Za mały napiwek, *gratificationcita*, zaopiekuje się mną i będzie miał na względzie moją ułomność.

A widząc zdumienie Perala zakończył, lekko zniecierpliwiony;

— Niech mi się pan nie przygląda z takim zdziwieniem, don Joaquinie! Nie zwariowałem. Mam ważne ku temu powody,

Czuł, że nie zniesie widoku kobiety, która go w nieszczęściu opuściła. Musi natychmiast wyjechać z Sanlúcar. Zdawał sobie też jasno sprawę, że nie może odbyć tej podróży jak zwykle, z wielką paradą, jak przystało pierwszemu malarzowi króla. Powinien teraz, jak słusznie powiedział doktor Peral, przystosować się do swej nowej sytuacji. Musi poznać dokładnie ten swój nowy stan. Musi do dna wychylić kielich upokorzeń, jakie gotuje mu jego kalectwo. A potem dopiero, oswojony zupełnie ze swym nowym stanem, będzie mógł pokazać się ludziom na oczy, stawić się na dworze, odnowić stosunki z kolegami. Tymczasem odbędzie tę podróż po Hiszpanii jako prosty człowiek i przyzwyczai się do ujawniania przed ludźmi swego cierpienia.

„Wybaczy mi wasza miłość — będzie się tłumaczył po dziesięć

razy dziennie — nie dosłyszę, jestem, że tak powiem, głuchy jak pień."

Postanowił nie wracać najkrótszą drogą do Madrytu. Omijając Madryt pojedzie znacznie dalej na północ, do Aragonii, do Saragossy, aby przed przyjacielem serdecznym, Martinem, wylać swe żale. Potem dopiero, pokrzepiony na duchu radą i pociechą Zapatera, wróci do domu, aby zobaczyć Josefę, dzieci, przyjaciół.

Poganiacz mułów, Gil, którego Francisco znał z niejednej rubasznej rozmowy w „Gospodzie Czterech Narodów” w Sanlucar, był prawdziwym *arriero*, poganiaczem mułów starohispańskiego typu, który swoje *arre, arre* wykrzykiwał tak głośno, iż góry odpowiadały mu dalekim echem. Powiadomiony o tym, że don Francisco chciałby skorzystać z jego usług, stawiał się w Casa de Haro w swym barwnym tradycyjnym stroju. Na głowie miał jaskrawą jedwabną chustkę, zdobną w wizerunek Alhambry, końce chustki zwisały z tyłu jak dwa warkocze, na chustce nosił spiczasty kapelusz o szerokim rondzie. Kurtka z czarnej skóry baraniej ozdobiona była bogatym haftem i dużymi srebrnymi guzami. Opasany był szeroką jedwabną szarfą, *faja*, w której tkwił nóż. Strój uzupełniały spodnie do kolan z granatowego aksamitu w podłużne kolorowe pasy, ze srebrnymi guzami, i żółte wysokie buty z niegarbowanej cielejącej skóry. W tym świetnym ubiorze stanął przed Franciskiem. Usłyszawszy, że Francisco chce jechać na mule do Saragossy z ominięciem Madrytu, uznał to za szaloną, wielkopańską fantazję. Gwizdnął przez zęby i wymownym gestem wyraził swe zdumienie.

— *Hombre!* — zawołał. — To daleka podróż.

I chociaż wiedział, że Goya dobrze zna stosunki i zwyczaje krajowe, wymienił niesłychaną cenę: osiemset realów, sumę przewyższającą pięciokrotnie całoroczny zarobek pasterza owiec.

Goya zmierzył baczny spojrzeniem *arriera* Gila, z którym miał teraz przez cztery tygodnie dzielić swe życie. W tej chwili nie był już pierwszym malarzem króla, lecz człowiekiem z ludu; i tak stali naprzeciw siebie, obydwaj synowie chłopscy, którzy z niejednego pieca chleb jedli.

A gdy Goya milczał uparcie, spoglądając tylko na tamtego, Gil odezwał się w końcu:

— To bardzo daleka droga. Musimy zabrać dwa muły. I dla pana muszę wziąć oczywiście *garaniona*, mego niezrównanego Valeroso, najlepszego muła w całej Hiszpanii. Przodkiem jego był słynny osioł Constante, który zrzucił kiedyś z siebie kacerza

Tomasa Trebino, kiedy go niósł na stos. Taki to był bogobojny osioł.

Teraz zabrał głos Goya i powiedział dobroduszenie:

— Na pewno cię źle zrozumiałem. Bo trzeba ci wiedzieć, że ja nie dosłyszę; musiałeś to już zauważyć, gdyśmy rozmawiali w gospodzie, a teraz jestem głuchy jak pień, że tak powiem. Czy naprawdę powiedziałeś osiemset realów?

Gil, pomagając sobie jeszcze żywszą gestykulacją, odpowiedział:

— Życzę waszej ekscelencji wszystkiego dobrego. Ale to, że ekscelencja ma słaby słuch, nie ułatwi tej podróży ani mnie ani moim zwierzętom. Osiemset realów.

Na to Goya zaczął okropnie kłać. Na głowę poganiacza posypały się przekleństwa i złorzeczenia, *ajos y cebollas*<sup>1</sup>, w takiej obfitości, w jakiej chyba nigdy ich dotąd nie słyszał. Goya krzyczał bardzo głośno, poganiacz również odpowiadał przekleństwami. Goya nie słyszał ich, widział tylko podniecone ruchy Gila. Nagle przestał kłać i roześmiał się głośno, od ucha do ucha.

— Nie męcz się niepotrzebnie — rzekł — ja i tak muszę wygrać, bo ty mnie słyszysz, ale ja ciebie nie słyszę.

Gil uznał słuszność tej uwagi, a jednocześnie pojął, że tego pana nie tak łatwo będzie wyprowadzić w pole.

— Pan jest wielkim człowiekiem, don Francisco — rzekł — pan jest jednym z nas. A więc niechże będzie siedemset osiemdziesiąt realów.

Zgodzili się po targach na sześćset pięćdziesiąt. Ustalili też dokładnie trasę podróży, koszty noclegów, utrzymania i paszy dla zwierząt, a Gil odczuwał coraz głębszy szacunek dla swego pasażera.

— *Por vida del demonio*<sup>2</sup> — rzekł — wasza ekscelencja zna się na tym lepiej niż ja. — Po czym potwierdzili zgodę uściskiem ręki.

Goya ubrał się do podróży nader skromnie. Włożył kurtkę z czarnej skóry jagnięcej, zwyczajną szeroką szarfę i spiczasty kapelusz z czarnym aksamitnym rondem. Nie zapomniał też o *bota*, skórzanym bukłaku na wino. Ale do *alforjas*<sup>3</sup> włożył tylko rzeczy niezbędne.

Wyruszyli nareszcie. Goya nie dbał o swój wygląd, nie golił się;

1/ *Ajos y cebollas* — dosł. czosnek i cebula. ...

2/ *Por vida del demonio* — dosł. na życie szatana, do stu diabłów, do licha

3/ *Alforjas* — torba przy siodle.

( 343 )

twarz jego okolił wkrótce zwichrzony zarost. Nikt nie rozpoznałby w nim możnego pana.

Droga była daleka, przebywali codziennie niewielkie jej odcinki. Z Sanlucar puścili się naprzód gościńcem prowadzącym do Cordoby. Była to ta sama droga, którą Goya niedawno tu przyjechał sześciokonną ekstrapocztą, śpiesząc do Cayetany, z sercem pełnym szczęścia i niecierpliwego oczekiwania. Kosztował teraz do dna wspomnienie, wracając tą samą drogą, w ubogim stroju, powoli, wśród trudów, często nie rozumiany i

wyśmiewany przez ludzi, samotny, starzejący się wieśniak, zagubiony w oniemiałym świecie.

Przybywszy do gospody „La Carlota”, dowiedzieli się, że za trzy dni stracony zostanie w Kordobie głośny bandyta Jose de Roxas, znany pod przydomkiem El Punal, co oznacza sztylet. Stracenie bandyty było dla ludu sensacyjnym widowiskiem, ciekawszym niż najwspanialsza *corrida*, zwłaszcza że chodziło o sławnego Punala. Jeśli ktoś szczęśliwym zrzędzeniem Opatrzności znalazł się w pobliżu miejsca, gdzie miała się odbyć egzekucja, popełniłby szaleństwo, ba, zbrodnię, gdyby nie skorzystał ze sposobności, by się temu widowisku przypatrzeć. Toteż poganiacz zaproponował Franciscowi, aby przerwali podróż, zatrzymali się jeden dzień w Kordobie i wzięli udział w uroczystości, tym bardziej że nie było powodu do pośpiechu.

Francisca zawsze interesował widok ludzi dotkniętych nieszczęściem; teraz, gdy jego samego los doświadczył, ciekawiło go to jeszcze bardziej. Postanowił zostać i być świadkiem egzekucji.

Poganiacz mułów Gil, jak wszyscy ludzie jego zawodu, żądny był wszelkiego rodzaju nowin i anegdot; bawił też po drodze Goyę opowiadaniem przeróżnych historii. To, co opowiadał, rosło w jego ustach, nabierało życia i barwy: *en luengas vias luengas mentiras*, w długich podróżach długie kłamstwa. Znał też wiele szczegółów z życia rozbójnika El Punala. Teraz, gdy cała okolica pełna była opowieści o głośnym bandycie, dodawał nowe szczegóły. Bandyta El Punal był pobożny i bogobojny; nosił zawsze na szyi dwa amulety, różaniec i poświęcony obrazek Matki Boskiej Bolesnej z Kordoby; dziesiątą część swoich dochodów wrzucał sumiennie do puszek na ofiary, ustawionej przed Cristo del Buen Ladron, Chrystusem Dobrego Łotra. W ten sposób bandyci mogli przynajmniej częściowo odkupić swe winy. Matka Boska miała też Punala w swej szczególnej opiece i nie byłby nigdy wpadł w ręce żołnierzy, gdyby jakiś łajdak z jego bandy, przekupiony przez policję, nie wykradł mu we śnie potajemnie jego Matki Boskiej Bolesnej z Kordoby.

A choć ludność odetchnęła z ulgą, gdy ujęto groźnego zbója, to jednak żywiła dla niego mimo wszystko sympatię i oburzona była postępowaniem władz. Władze mianowicie przyrzekły Punalowi i jego ludziom ułaskawienie, jeśli Punal wyda swą bandę w ręce żołnierzy. Ale kiedy Punalowi udało się rzeczywiście nakłonić bandę do kapitulacji, władze oświadczyły, że bandyci poddali się nie swemu hersztowi, lecz wysłanym żołnierzom, i skazały go na śmierć przez uduszenie śrubą *garrote*.

Goya i Gil natychmiast po przybyciu do Kordoby udali się do więzienia, aby zobaczyć bandytę; w przeddzień stracenia każdy, kto chciał, miał prawo wyrazić skazańcowi swą pogardę albo współczucie. Na korytarzu przed celą delikwenta mnisi franciszkańscy zbierali pobożne datki na msze za duszę zbrodniarza. Siedzieli nad puszkami i talerzami, ćmiąc cygara i wywołując od czasu do czasu dla zachęty sumę zbieranych datków.

Cela skazanego na śmierć, *capilla*, była dosyć mroczna. Stał tam stół z krucyfiksem i dwiema woskowymi świecami, na ścianie wisiał obraz Dziewicy. W rogu na pryczy leżał Punal. Przykryty był pasiastym kocem, który naciągnął aż po brodę, tak że widoczna była tylko górna część głowy, rozczochrane włosy i bystre czarne oczy, którymi toczył niespokojnie dokoła.

Strażnicy wezwali Francisca i Gila, by usunęli się z celi, gdyż inni chcieliby też coś zobaczyć. Francisco jednak chciał poczekać, aż Punal podniesie się na swej pryczy. Dał duży napiwek i pozwolono mu zostać.

Po chwili Punal rzeczywiście usiadł na barłogu. Był prawie nagi, tylko na szyi miał różaniec i obrazek Matki Boskiej Bolesnej. Strażnicy opowiadali, że przyniósł go tu młody chłopiec, któremu wręczył go jakiś nieznaną człowiek; gdy wysłędzono, kim jest ów człowiek, ten oświadczył, że otrzymał go od innego nieznanego mu człowieka. Widocznie złodziej zapragnął zwrócić Punalowi przed śmiercią obrazek.

Bandyta, zaznawszy w swym życiu tak wiele sławy i hańby, siedział teraz skulony na pryczy, niemal tak nagi, jak przyszedł na świat. Miał na sobie tylko różaniec, który mu zawieszono na szyi zaraz po urodzeniu, obrazek Matki Boskiej Bolesnej, który kiedyś zdobył, stracił i znów odzyskał w przedostatni dzień swego życia, oraz więzy i kajdany, które włożyli nań ludzie, zanim go życia pozbawią. Gapie tłoczący się w jego celi urągali obelżywie lub wyrażali mu swe współczucie. Nie odpowiadał. Chwilami jednakże podnosił głowę i mówił:

— To nie ludzie mnie zgubili, tylko moje własne zbrodnie. Powtarzał te słowa raz po raz, mechanicznie, widać było, że mnisi wyuczyli go ich na pamięć. Goya jednak zauważył, że spojrzenie jego było zdziczałe, pełne beznadziejnej rozpacz, i pomyślał, że twarz Punała przypominała w wyrazie jego własną twarz, którą zobaczył niedawno, gdy spojrzał w zwierciadło.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, dwie godziny przed ustalonym czasem, Goya i jego poganiacz czekali już na Corredera, dużym czworobocznym placu, na którym odbyć się miała egzekucja. Plac zapełniała gęsta ciżba ludzka, okna, balkony i dachy były również pełne widzów. Pomost, na którym ustawiono szafot, otoczyły ze wszystkich stron szeregi żołnierzy; przepuszczano tylko osoby uprzywilejowane, wyższych urzędników, damy i panów z towarzystwa.

— Czy wasza ekscelencja nie chciałby wyjawić, kim jest? — zapytał Gil.

Choć męczyło Goyę stanie w tłoku, gdzie zewsząd pchano go i potracano, i choć nie bardzo dobrze widać stąd było pomost, na którym odbyć się miała egzekucja, wołał pozostać wśród tłumu i stąd patrzeć na widowisko, które się tam na przedzie rozegra. Po raz pierwszy od czasu swej choroby zapomniał o własnym nieszczęściu i czekał jak inni, pełen napięcia.

Sprzedawcy słodczy i kiełbasek przeciskali się przez tłum, inni ofiarowywali na sprzedaż pieśni o czynach Punała, jeszcze inni wynajmowali stołeczki, z których można było lepiej widzieć miejsce stracenia. Wśród tłumu nie brak było kobiet z niemowlętami na rękach; biadały, gdy je gnieciono i potracano, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Niecierpliwość tłumu poczęła wzrastać; jeszcze trzeba czekać całą godzinę, jeszcze pół godziny. Jakże powoli upływa ten czas.

— Jemu upływa szybciej — dowcipkował ktoś w tłumie.

Goya nie słyszał, co ludzie mówią, ale odgadywał ich słowa: był zżyty z masą ludzką, czuł wraz z nią. Przeżywał wraz z innymi strach i okrucieństwo, współczucie i podniecenie.

Wreszcie zegar na katedrze wybił godzinę dziesiątą; tłum poruszył się, wszystkie szyje wyciągnęły się w górę. Ale Punała wciąż jeszcze nie było widać. Hiszpania była bowiem krajem pobożnym i zegar trybunału wskazywał godzinę o dziesięć minut późniejszą; o dziesięć minut miało być przedłużone życie skazańca, bądź dlatego że może nadejść ulaskawienie, bądź dlatego, by dać mu więcej czasu na skruchę.

Wreszcie jednak upłynęły i te ostatnie minuty. Zbrodniarz ukazał się. Ubrany w żółtą koszulę skazańca, otoczony i podtrzymywany przez franciszkanów, przebywał swą ostatnią, krótką, bezkresną drogę. Jeden z mnichów trzymał przed nim krucyfiks; skazaniec przystawał co chwilę, aby go ucałować i przez to o moment przedłużyć swe życie. Wszyscy rozumieli to jego ociąganie się i nikt nie brał mu tego za złe, równocześnie jednak każdy popchnąłby go najchętniej naprzód.

Wreszcie dotarł do stopni szafotu. Ukląkł, otoczony ciasnym kołem mnichów, i zasłonięty przed oczyma tłumu, wyspowiadał się po raz ostatni. Potem, w towarzystwie już tylko jednego, otyłego zakonnika o dobrodusznym wyglądzie, wstąpił na stopnie.

Znalazszy się na pomoście, przemówił do tłumu; mówił urywanymi zdaniami, z trudem łapiąc oddech. Goya nie słyszał jego słów, ale zauważył w jego twarzy, mimo udanej obojętności, wyraz bezgranicznej trwogi. Czekał z naprężeniem, czy zbrodniarz, zgodnie ze zwyczajem, oświadczy, że przebacza swemu katu. Hiszpanie gardzili zawodem kata; formułka przebaczenia, której wymagał Kościół, doda jeszcze goryczy ostatnim chwilom Punała. Goya przymrużywszy oczy wpatrywał się w jego usta i udało mu się zrozumieć słowa.

Punał powiedział:

— Moje zbrodnie mnie gubią, a nie ta kreatura.

„Ta kreatura” powiedział o kacie, *esse hombre*. Było to określenie szczególnie lekceważące i Goya rad był, że bandyta uczynił zadość obowiązkowi religijnemu, a jednocześnie okazał swemu katu należną pogardę.

A teraz bandyta wypowiadał swe ostatnie słowa:

— *Viva la fe* — wołał — *viva el Rey, viva el nombre de Jesus!* Niech żyje wiara, niech żyje król, niech żyje imię Jezusa!

Tłum słuchał tych okrzyków obojętnie, w milczeniu.

Dopiero gdy Punał zawołał: — *Viva la Virgen Santisima!*<sup>1</sup> — zerwał się ogromny krzyk: *Viva la Santisima!* — i krzyk ten podjął także Francisco.

Tymczasem kat ukończył przygotowania. Był to młody człowiek, który spełniał dziś po raz pierwszy swą funkcję; wszyscy czekali z napięciem, jak się spisze.

Poprzez pomost wbity był w ziemię gruby pał. Przy palu ustawiono

1/ Niech żyje Najświętsza Dziewica!



niski stołek z nieciosanego drzewa. Na tym stołku kat posadził Punalą. Potem związał mu nagie ramiona i nogi tak mocno, że wystąpiły na nich sine obrzęki. Ostrożność była wskazana, niedawno bowiem zdarzyło się, że skazaniec zabił swego kata podczas wykonywania jego czynności. Do słupa przymocowany był żelazny pręgierz, *garrote*, który kat założył teraz Punalowi na szyję, a otyły mnich wcisnął mu mały krucyfiks między związane dłonie.

Przygotowania były ukończone. Skazaniec siedział na stołku, ze skrępowanymi rękami i nogami, z głową przechyloną w tył i przyciśniętą pręgierzem do słupa. Zgrzytał zębami; twarz jego, zwrócona w górę, ku błękitnemu niebu, wyrażała obłędne przerażenie. Mnich stojący obok niego cofnął się nieco i osłonił dłonią oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Kat ujął w rękę rękojeść śruby, sędzia dał znak, kat zakrył twarz Punalą czarną chustą i przykręcił śrubę. Żelazny pierścień udusił Punalą. Tłum z zapartym tchem wpatrywał się w trzepocące dłonie duszącego się, w jego straszliwie prężącą się pierś. Po chwili kat ostrożnie zajrzał pod chustę, przykręcił raz jeszcze śrubę, następnie zdjął chustę, złożył ją, schował do kieszeni, po czym odetchnął z ulgą i szybko zszedł z szafotu, by zapalić cygaro.

W jaskrawym słońcu wszyscy mogli teraz dokładnie zobaczyć zniekształconą i zsiniałą twarz zabitego, porośłą zmierzwionym zarostem, jego wywrócone oczy i otwarte usta z wywieszonym językiem. Goya czuł, że twarz ta nieprędko zatrze się w jego pamięci. Na pomoście umieszczono dużą płonącą świecę, a przed pomostem czarne nosze i stół z dwoma wielkimi talerzami, na które ludzie rzucali monety na msze za duszę zmarłego. Widzowie żywo roztrząsali szczegóły widowiska. Nie trudno było poznać — mówili — że kat dopiero co skończył naukę, a Punal też właściwie nie zginął tak mężnie, jak się tego spodziewano po tak wielkim i słynnym bandycie.

Zwłoki wystawiono na widok publiczny do południa. Większość widzów, wśród nich także Goya i Gil, pozostała na miejscu. Wreszcie zajechał wózek. Wszyscy wiedzieli, że zwłoki wywiezione będą teraz za miasto, w górskie pustkowie, na szczyt niewielkiego wzniesienia zwanego La Mesa del Rey<sup>1</sup>, gdzie się je porąbie na drobne kawałki i rzuci w przepaść.

Ludzie poczęli się zwolna rozchodzić. „Ciało wilkom, dusza diabłu” — śpiewali i nucili wracając do swoich domów.

1/ La Mesa del Rey — dosł.: stół króla.

Goya i Gil opuścili Kordobę i wyruszyli w dalszą drogę, kierując się ku północy.

Jak zwykle ludzie podróżujący na mułach, zbaczali często z głównych traktów, jechali ścieżkami i skrótami, na przełaj przez góry i doliny. Na głównych drogach pełno było domów zajezdnych, *fondas*, i gospod, *posadas*, na ścieżkach bocznych natomiast trafiały się tylko nędzne karczmy, *ventas*, gdzie niewiele można było dostać do jedzenia, a nocowało się na słomie z niezliczoną ilością pcheł. Gil nie mógł się nadziwić, że pierwszy malarz króla zadawała się tak nędznymi gospodami; ale Goya odpowiadał mu:

— Najlepszą poduszką jest strudzony grzbiet.

I sypiał doskonale bez męczących snów.

Za to czekały ich zawsze nowe, emocje, ilekroć z bezludnych kamienistych ścieżek zjeżdżali znów na główny gościniec. Dylizanse poczty królewskiej, *galeras*, *tartanas*<sup>1</sup> i *carrozus* wiozły bogatych kupców, księży i adwokatów. Na mułach lub pieszo ciągnęli studenci, mnisi, drobni kupcy, dziewczyny lekkich obyczajów, domokrażcy, którzy w poszukiwaniu szczęścia spieszyli na najbliższy jarmark. Nierzadko też mijali ich wielcy kupcy z Kadyksu, rozparci w nowoczesnych eleganckich karetach podróżnych, i grandowie w staroświeckich *coches de colleras*, zdobnych w bogate złocenia i dumne herby, o wielokonnych zaprzęgach, ze służbą w liberii. Francisco znał te drogi; może dziś ostrzej niż kiedykolwiek widział ich ruch i życie, odkąd umilkła dla niego ich wrzawa. Ale pamiętał wszystkie te hałasy. Brzmiało mu jeszcze w uszach przeraźliwe *chirrio*, skrzypienie kół rzadko smarowanych, aby donośnym zgrzytem z dała ostrzegały przechodniów lub płoszyły dzikie zwierzęta. Znał wesołe okrzyki podróżnych i rozdzierające wrzaski woźniców i poganiaczy. Ale dziś widział tylko obracające się koła, podnoszące się i opadające kopyta zwierząt, widział, jak otwierają i zamykają się usta podróżnych i woźniców; dźwięki jednak musiał uzupełniać z pamięci. Wyczerpująca to była zabawa, chwilami wesoła, przeważnie smutna.

Rzecz dziwna: odkąd był świadkiem zwierzęcej męczarni rozbójnika Punala, własne jego cierpienie wydawało mu się znośniejsze.

Pewnego dnia zatrzymał się z Gilem przed jakąś gospodą i przyglądał się wraz z innymi, jak zaprzęgano osiem koni do dużego

1/ Galera — kryta kareta podróżna;

2/ t a r t a n a - kryta płóciennym daszkiem dwukołowa bryczka,

dyliżansu pocztowego. Kiedy wszystko było już gotowe, *mayoral*, pierwszy woźnica, wziął w rękę pęk rzemiennych lejców, foryś, *zagal*, wskoczył obok niego na kozioł, poganiacze zaś i chłopcy stajenni wysunęli spod kół hamujące kamienie i drażki; za chwilę olbrzymi pojazd ruszył z miejsca. Goya widzi, jak ludzie krzyczą ponaglając konie, i nie może się powstrzymać; otwiera szeroko usta i przyłącza się do przeraźliwych okrzyków woźniców i poganiaczy:

— *Quo perrooo! Macko — macko — machooo!*

Goya i Gil opuścili znów główny gościniec i ruszyli w dalszą drogę bocznymi ścieżkami. Spotykali tu, częściej jeszcze niż przy głównych traktach, małe kopczyki z kamieni, opatrzone krzyżem, oraz barwne tablice, ustawione ku pamięci podróżnych, którzy w tym miejscu stracili życie. Aż dziw, ile ludzi ginęło przy drogach, były ich całe armie. Tablice przedstawiały ludzi lecących w przepaść, wleczonych przez spłoszone konie, unoszonych przez wzburzone fale, posiekanych szablami bandytów lub zmarłych nagle na apopleksję. Na każdym nagrobku było rymowane wezwanie do pobożnego wędrowca, aby zatrzymał się i pomodlił za dusze nieszczęśliwych ofiar. Gil zauważył ze zdziwieniem, że don Francisco często tylko zdejmuje kapelusz i robi znak krzyża.

Na niektórych odcinkach drogi przyłączali się do ciągnących w tę samą stronę kolumn innych poganiaczy mułów; na tych odludnych szlakach nie zawsze było bezpiecznie podróżować samotnie. Goya nie narzucał nikomu swego towarzystwa, ale też nie stronił od ludzi; przyznawał się swobodnie do swej głuchoty. Gil zaś odczuwał coraz większą przyjaźń i podziw dla tego pana, który korzystał z jego usług; oszukiwał go rzadko i tylko na niewielkie sumy. Czasem wbrew zakazowi Francisca zdradzał ludziom, kim jest jego pasażer i jaka choroba go dotknęła.

Pewnego dnia natknęli się w drodze na bandytów. Byli to jednak uprzejmi bandyci, biegli w swym rzemiośle; załatwili sprawę szybko. W chwili gdy dwaj z nich przeszukiwali kieszenie Francisca, Gil szeptał na uboczu z pozostałymi; wyjawiał im widocznie, kim jest Goya. Usłyszawszy, że jest to pan, który na królewskich gobelinach tak żywo i mile przedstawił sceny z życia zbójców i przemytników, zabrali mu tylko połowę z sześciuset realów, które miał przy sobie. Na pożegnanie poczęstowali go winem ze swej *boty* i uchylając z szacunkiem wysokich kapeluszy, powiedzieli:

— *Vaya usted con la Virgen!* Niech waszą miłość Najświętsza Panna prowadzi!

I tak jechał Goya na mule Valeroso, ubogo, nędznie odziany,

zamknięty w swej głuchocie, przez milczącą niepojęcie Hiszpanię. Mimo swej niedoli postanowił hardo, że nie ugnie karku przed demonami, które czyhają na niego i chcą go złamać. Ale zawiodą się te diabły w swych rachubach! Będzie szedł dalej, wyprostowany, on, Francisco Goya, malarz, chłop z Aragonii. Jeszcze mocniejszy będzie. Zyska z nawiązką na nieszczęściu, które go spotkało. Będzie teraz ostrzej widział i lepiej rysował. I roześmiał się na głos, od ucha do ucha, tak że poganiacz mułów Gil spojrział nań ze zdziwieniem i niepokojem.

Czuł się lekki i pogodny, gdyż z zawziętością w sercu jechał z tego miasta na południu, gdzie przeżył największe swoje szczęście i najgłębszą niedolę, do miasta północy, do Saragossy, kolebki swej młodości.

## CZĘŚĆ TRZECIA

W owym czasie, w ostatnim *lustrum*/I stulecia, w Republice Francuskiej władzę z rąk ludu wydarli i zagarnęli kupcy i przedsiębiorcy. „Wśród stworzeń żyjących nie ma istoty bardziej drapieżnej niż kupiec w poszukiwaniu łupu”, głosił już przedtem encyklopedysta baron Holbach i tak myśleli mężowie stojący na czele rewolucji. Potem jednak Grakchus Babeuf<sup>2</sup> i jego zwolennicy zostali straceni za to, że chcieli stworzyć „wspólnotę równych” i wprowadzić w życie zasadę powszechnej równości dochodów; nowi zaś władcy Francji<sup>3</sup> głosili hasło: „Wzbogacajcie się!”

Również w innym jeszcze kraju, który usiłował idee Oświecenia urzeczywistnić w drodze rewolucji, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, mężowie stojący u steru rządów poczęli okazywać swą przychylność starym ideom. Odwrócono się tam od tej Francji, bez której pomocy Ameryka nie byłaby nigdy wywalczyła swej niepodległości, znieważono nawet francuskiego ambasadora i prowadzono „zimną wojnę” z Republiką Francuską. Wydano ustawę przeciwko cudzoziemcom i prądom wywrotowym, sprzeczną z duchem konstytucji, i rozwodniono zasady Deklaracji Niepodległości<sup>4</sup>. Kiedy pierwszy prezydent państwa, Jerzy Washington, ustąpił ze swego urzędu<sup>5</sup>, pewien dziennik wychodzący w Filadelfii pisał z triumfem:

„Mąż, który ponosi winę za nędzę i upadek naszego kraju, ustępuje dziś ze swego stanowiska, aby zrównać się z ogółem współobywateli.

\* *Lustrum* — pięciolecie, (łac.)

<sup>2</sup> Babeuf Grakchus (1760—1797) —organizator i wódz utopijno-komunistycznego ruchu „równych”, skierowanego przeciw kontrewolucyjnemu dyktatoratowi. Stracony został na gilotynie.

<sup>3</sup> Mowa o przewrocie politycznym z 9 termidora (27 lipca) r. 1794, w następstwie którego, po straceniu Robespierre'a i rozwiązaniu Klubu jakobinów, władzę objęła kontrewolucyjna burżuazyjna większość Konwentu.

<sup>4</sup> Uroczysty akt ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych przez Kongres Kolonialny (4 lipca 1776 r.).

<sup>5</sup> Washington sprawował urząd prezydenta przez dwie kadencje (1789—1797); trzeciego wyboru nie przyjął.

{ 352 >

Skończyła się jego władza, która pozwalała mu dotąd zwiększać brzemień cierpień Stanów Zjednoczonych. Każde serce, bijące dla wolności i szczęścia naszego narodu, przepelnia dziś radość na myśl o tym, że nazwisko «Washington» przestanie nareszcie być równoznaczne z szerzeniem bezprawia i tolerowaniem korupcji.”

Po ogromnym wysiłku, zmierzającym do stworzenia w jak najkrótszym czasie nowych form życia człowieka, nastąpiło ogólne wyczerpanie. Ludzkość osłabła

wyteżywszy wszystkie swe siły, by oprzeć sprawy publiczne i prywatne na zasadach rozumu. Rozpoczął się ruch wsteczny, a ludzie, wycofując się z oślepiającego światła rozumu, poczęli chronić się na powrót w mrok uczuć i nastrojów. Wszędzie, w całym świecie, przyszły znów do głosu stare konserwatywne idee. Z mroźnej wyżyny wiedzy ludzie wracali do ciepła wiary, pobożności, uczuciowości. Z burz, które wolność ze sobą przyniosła, uciekali do cichych przystani autorytetu i dyscypliny. Romantycy marzyli o powrocie średniowiecza, poeci wyrażali swą nienawiść do światła słonecznego i opiewali czarowne noce zalane blaskiem księżyca, sławili pokój i bezpieczne schronienie na łonie katolickiego Kościoła.

— Oświecenie nawet nam skóry nie zadrasnęło — chełpił się pewien kardynał.

Było to wszakże złudzenie. Jasne, ostre, nowe idee opanowały zbyt wiele umysłów, by można je było wytepić bez śladu. Przywileje, dotychczas niewzruszone, zostały podkopane, absolutyzm, władza z bożej łaski, nierówność stanów i klas, uprzywilejowane stanowisko Kościoła i szlachty — wszystko to podawano teraz w wątpliwość. Francja i Ameryka dały wielki przykład i ich śladem, pomimo wzmożonego na nowo oporu Kościoła i szlachty, poczęła zwycięsko torować sobie drogę myśl, że wszystkie ludzkie sprawy powinny być regulowane na podstawie wyników poznania naukowego, a nie podług praw i zasad spisanych w starych księgach, uznanych za święte.

W owym ostatnim pięcioleciu osiemnastego wieku żyło we Francji dwadzieścia pięć milionów ludzi, w Anglii i Hiszpanii po jednaście milionów; Paryż liczył dziewięćset tysięcy, Londyn osiemset tysięcy mieszkańców. Ludność Stanów Zjednoczonych Ameryki składała się z trzech milionów białych i siedmiuset tysięcy kolorowych niewolników; największym miastem Ameryki była Filadelfia, licząca czterdzieści dwa tysiące mieszkańców; Nowy Jork liczył ich tylko trzydzieści tysięcy, Boston, Baltimore, Charleston po dziesięć tysięcy. W tymże pięcioleciu angielski ekonomista Malthus ogłosił swój traktat o *Prawie ludności*, które sformułował w ten sposób, że ludzkość

{ 353 >

wzrasta szybciej niż ilość środków żywności potrzebnych do jej wyżywienia i że wobec tego należy ograniczyć rozrodczość.

W tymże pięcioleciu ludzkość zamieniła dalszy, spory kawał swej planety na ziemię użytkowe. Stany Zjednoczone Ameryki ściągały do swego kraju kolonistów i stworzyły w tym celu urzędy i spółki, które użyczając wysokich długoterminowych pożyczek sprzedawały ziemię w cenie jednego dolara za jeden akr. W tym samym pięcioleciu Aleksander Humboldt<sup>1</sup> przedsięwziął swą wielką wyprawę odkrywczą do Ameryki Środkowej i Południowej, której wyniki przyczyniły się do dokładniejszego poznania globu ziemskiego i łatwiejszego zaludnienia go.

W owym pięcioleciu dokonały się w całym świecie, szczególnie w Europie, liczne gwałtowne zmiany polityczne. Stare organizmy państwowe zostały obalone i wcielone do innych państw lub przekształcone w nowe twory polityczne, przeważnie w republiki. Wiele państw duchownych uległo sekularyzacji. Papież został wywieziony jako więzień stanu do Francji, doża wenecki zawarł po raz ostatni ślub z morzem. Republika Francuska odniosła szereg zwycięstw na lądzie, Anglia zaś na morzu; ponadto Anglia odniosła rozstrzygające zwycięstwo w Indiach. Pod koniec tego stulecia Anglia sprzymierzyła się z całą prawie Europą, aby powstrzymać dalszą ekspansję Republiki Francuskiej i przeszkodzić szerzeniu się postępowych idei. W ogóle to ostatnie pięciolecie przyniosło na całym świecie więcej wojen i gwałtów, niż było ich w ciągu całego wieku. W tym samym pięcioleciu filozof niemiecki Immanuel Kant napisał rozprawę *O wiecznym pokoju*.

Zwycięscy wodzowie skłóconego świata nie dbali w swym życiu prywatnym o zdanie opinii publicznej czy prasy. W tymże pięcioleciu Napoleon Bonaparte poślubił Józefinę Beauharnais, admirał zaś Horacy Nelson poznał i pokochał Emmę Hamilton.

W owym pięcioleciu ludzie wyzwolili się z dotychczasowych ciężkich, wykwinnych strojów, zatarły się różnice między ubiorami stanów uprzywilejowanych a ubiorami niższych warstw społecznych. We Francji przyjęła się pod wpływem malarza Jacques Louis Davida pełna prostoty, oparta na wzorach antycznych moda kobieca, kostium zwany *la merveilleuse*; zaczęto też nosić długie spodnie, pantaloney, i strój ten rozpowszechnił się szybko w całej Europie.

W owym pięcioleciu Aleksander Volta zbudował pierwszy

1/ Humboldt Aleksander von (1769—1859) — wybitny niemiecki badacz przyrody i podróżnik.

aparatu do wytwarzania stałego prądu elektrycznego, Priestley odkrył tlenek węgla, Stanhope zaś skonstruował żelazną prasę drukarską. Pomimo to wszędzie jeszcze ludzie trzymali się uparcie tradycyjnych pojęć i metod pracy; wierzyli, że wynalazcy i praktyczni użytkownicy nieznanych dawniej praw przyrody są wysłannikami szatana, i uprawiali ziemię w ten sam sposób jak przed tysiącami lat. W owym pięcioleciu lekarz Edward Jenner ogłosił swe doświadczenia, zalecając szczepienie krowianki przeciwko ospie, i został ogólnie wyśmiany. Nie wyśmiewano się jednak z tych, którzy leczyli się kąpielami w poświęconych źródłach i wodach, zarażając się w nich różnymi chorobami, ani z tych, którzy dla odzyskania zdrowia, składali rozmaitym świętym ofiary w postaci odlanych z wosku podobizn swych chorych członków; przeciwnie, inkwizycja wciąż jeszcze karała ludzi, którzy podawali w wątpliwość moc leczniczą tego rodzaju środków.

W owym pięcioleciu uznano w całym świecie Szekspira za największego poetę ostatniego tysiąca lat. Dzieła jego przełożono na wiele języków; w Niemczech August Wilhelm Schlegel przełożył je tak, że wzbogacił język niemiecki przyszłego stulecia i przysporzył mu piękna. W owym pięcioleciu Goethe napisał swój poemat *Herman i Dorotea*, Schiller zaś tragedię *Wallenstein*. Alfieri stworzył klasycystyczne tragedie *Saul*, *Antygona* i *Drugi Brutus*; w tymże czasie zmarł wielki poeta Carlo Gozzi, autor barwnych, pełnych dowcipu bajek scenicznych, pozostawiając po sobie trzy tomy *Bezużytecznych pamiętników*. Jane Austen napisała swe trzeźwe, lecz pełne wdzięku powieści *Pride and Prejudice* i *Sense and Sensibility*; Coleridge i szwedzki poeta Tegner ogłosili pierwsze swe utwory poetyckie. W Rosji Iwan Iwanowicz Chemnicer napisał tragedię *Moskwa wyzwolona*, a Wasyl Wasyliewicz Kapnist w komedii wierszem *Szykana* wyszydzał sprzedajność sądów. Miliony ludzi, którzy dotąd nigdy nie mieli książki w rękach, poczęły teraz czytać i znajdować przyjemność w lekturze. Kościół jednak zabronił czytania większości dzieł sławionych przez znawców. Przekroczenie tego zakazu karane było w Hiszpanii pręgierzem, biczowaniem i więzieniem, w monarchii habsburskiej zwalniano ze służby urzędników państwowych, którym dowiedziono czytania książek zabronionych.

W owym pięcioleciu, przy udziale nieprzeliczonych mas ludności, złożono w paryskim Panteonie wodza wolnomyślicieli wyklęte kości wyklętego do niedawna Voltaire'a i w tym samym pięcioleciu w tymże samym Paryżu madame Marie-Anne Lenormand



otworzyła salon wróżbiarski, który cieszył się olbrzymią frekwencją. A w gabinecie figur woskowych madame Tussaud stały zgodnie obok siebie figura św. Dionizego, trzymającego pod pachą swą odciętą głowę, i figura heretyka Voltaire'a.

W owym pięcioleciu znaleziono w Egipcie, w mieście Rosette, dawnym arabskim Reszid, kamień pokryty napisami, które umożliwiły słynnemu egiptologowi Champollionowi odczytanie hieroglifów. Antoine Condorcet ogłosił swą kolektywistyczno-materialistyczną filozofię historii, Pierre-Simon Laplace wytłumaczył metodą przyrodniczą sposób powstawania planet. Jednakże jeśli ktoś nie wierzył, że świat stworzony został, tak jak podaje Biblia, w ciągu sześciu dni, od 28 września do 3 października 3988 r. przed Chrystusem, nie mógł ani w krajach hiszpańskich, ani w monarchii habsburskiej piastować urzędu państwowego.

W owym pięcioleciu Goethe pisał *Epigramy weneckie*, w których powiedział, że najbardziej na świecie nienawidzi „czterech rzeczy: pluskiew, czosnku, krzyża i zapachu tytoniu”; Thomas Paine pracował jednocześnie nad podstawowym dziełem racjonalizmu pt. *Epoka rozumu*. W tymże samym czasie Schleiermacher napisał swoją książkę *O religii. Przemówienie do ludzi świątłych, którzy nią gardzą*, Novalis swoją *Teodyceę*, a pisarz francuski Chateaubriand nawrócił się na katolicyzm, który splótł się u niego z romantyzmem. Książka *Rozkład i upadek państwa rzymskiego*, w której Edward Gibbon z subtelnym dowcipem i chłodną ironią dowodził, że powstanie chrześcijaństwa oznacza cofnięcie się do ery barbarzyństwa, wielbiona była powszechnie jako najwybitniejsze dzieło historyczne epoki; niemniejsze powodzenie zdobyły sobie jednak *Apologie* biskupa Ryszarda Watsona, w których autor z wytwornym umiarem usiłował obalić poglądy Gibbona i Paine'a.

W owym pięcioleciu dokonano doniosłych odkryć w dziedzinie fizyki, chemii i biologii, odkryto prawa socjologiczne rządzące życiem społeczeństw, ale odkrywców i głosicieli nowych praw atakowano, lżono i wtrącano do więzienia. Zaczęto stosować nowe, naukowe metody leczenia, ale księża i znachorzy nadal egzorcyzmami wypędzali z chorych złe duchy i leczyli ich modłami i amuletami.

Rozmiłowani w filozofii politycy i chciwi aferzyści, skromni naukowcy i krzykliwi szarlatani, księża żądni władzy i pańszczyźniani chłopci, artyści wrażliwi na każdą podniętą i tępi, spragnieni krwi i ognia żołdacy — wszystko to współżyło z sobą na ciasnej przestrzeni, tłocząc się i potracając na każdym kroku.

Jednostki rozumne obok bezmyślnych głupców, ludzie, których mózg nie był o wiele lepiej rozwinięty od mózgu człowieka pierwotnego, obok ludzi, w których mózgach rodziły się myśli zrozumiałe dla mas, być może dopiero po nowej epoce lodowcowej: kochankowie muz wrażliwi na każde piękno obok ludzi ślepych i głuchych na czar mowy wiązanej, na harmonię tonów i kształt wykuty w kamieniu; jednostki ruchliwe i ambitne obok matolek i darmozjadów — cała ta masa ludzka oddychała jednym i tym samym powietrzem, ocierała się o siebie i potraçała łokciami, pozostając w ustawicznej, bezpośredniej bliskości. Kochali się lub nienawidzili wzajemnie; prowadzili ze sobą wojny i zawierali układy, łamali te układy, prowadzili nowe wojny i zawierali nowe układy; zadawali sobie męczarnie, tępili się żywym ogniem i rozszarpywali w kawały; parzyli się ze sobą i płodzili potomstwo — a nader rzadko jeden drugiego rozumiał. Niewielka garstka świątłych i zdolnych parła naprzód, olbrzymia zaś masa pozostałych zatrzymywała ich i odpychała wstecz, atakowała zapalczywie, nakładała im pęta, zabijała ich, szukała sposobów, by się ich pozbyć. A jednak wbrew wszystkiemu te nieliczne zdolne jednostki posuwały się krok za krokiem, często nieznacznie tylko, niepostrzeżenie, używając wielu podstępów i wiele ponosząc ofiar. I z ogromnym wysiłkiem pociągały za sobą innych, zmuszając ich, by posunęli się nieco naprzód.

Jednostki ambitne, lecz ograniczone, wyzyskując lenistwo i bezmyślność mas, usiłowały tu i ówdzie podtrzymać i wzmocnić spróchniałe instytucje przeszłości. Ale wraz z rewolucją francuską powiał po całym świecie świeży wiatr, Napoleon zaś, wykonawca haseł rewolucji, gotował się właśnie do ostatecznego zmiecienia z powierzchni ziemi wielu niezdolnych już do istnienia przeżytków.

Idea praw człowieka staje się teraz nie tylko czczym hasłem: w niektórych krajach przekształciła się w rzeczywistość, w młodą i wątłą jeszcze, ale jednak uchwytną rzeczywistość, w pisane prawo, w ustawę. I tak pod koniec tego pięciolecia i pod koniec wieku pomimo wszystko więcej nieco było na świecie rozumu, niż go posiadał początek tego stulecia.

## II

Don Manuel opuściwszy San Ildefonso znajdował się od pół godziny w drodze. Rozparty leniwie na poduszkach karocy, w niewesołym był humorze. Miał przed sobą daleką podróż do Kadyksu, gdzie czekały go niemiłe sprawy. Postanowił wprawdzie spędzić parę dni w Madrycie, *incognito*, w towarzystwie Pepy, ale nawet i ta perspektywa nie zdołała poprawić mu humoru.

*Caramba!* /1 W ostatnich tygodniach miał same zmartwienia i kłopoty. Już to, że Francuzi zmuszają go do prowadzenia niepopularnej wojny z Anglią, jest dość przykre. Ale teraz, na domiar złego, ci *gabachos* usiłują nakłonić go do wystąpienia przeciwko zaprzyjaźnionej Portugalii, czego państwo to nigdy mu nie wybaczy.

Flota angielska posiada mianowicie punkty oparcia w niektórych portach portugalskich, a Francuzi, powołując się na traktat przymierza, żądają, aby Hiszpania wymogła na Portugalii zamknięcie tych portów. Poseł francuski obywatel Truguet ponawiał raz po raz w logicznych, wstrętnych dla Manuela wywodach swe żądanie, aby Hiszpania, na wypadek odmowy Portugalii, zmusiła ją przy pomocy swych sił zbrojnych do zamknięcia owych portów. Byłoby to, rzecz prosta, nietrudne zadanie napaść na mały, bezbronny kraj i odnieść nad nim zwycięstwo. Ale księżę regent portugalski jest zięciem Katolickiego Króla, a Carlos i Maria Luiza nie chcą oczywiście wszczynać wojny z własną córką. Zresztą, don Manuel nie zapomina, że Portugalia dawała mu już nieraz hojne podarunki; toteż za sprawą Manuela i przy wzajemnej milczącej zgodzie zapanował prawie zupełny zastój w działaniach wojennych przeciwko Anglii.

Ale problem portugalski nie był jedyną troską don Manuela. Sprawy od dawna już zapomniane, jak na przykład sprawa z Genowefą, chudą córką rojalistycznego posła Francji, pana de Havre, wypływały znowu w sposób nieprzyjemny na światło dzienne. Po wydaleniu z Hiszpanii markiz schronił się wraz z córką do Portugalii, gdzie żył z zasiłków wypłacanych mu z tajnego funduszu Katolickiego Króla. Otóż uprzykrzony Francuz, wulgarny i nietaktowny obywatel Truguet, wywęszywszy tę tajemnicę, zażądał bezczelnie, aby Manuel nie tylko zerwał wszelkie dalsze stosunki z „rojalistycznym awanturnikiem”, ale ponadto, aby wymógł

1/Caramba — u licha, do diabła!

< 358;)

na księciu regencie Portugalii nakaz natychmiastowego wydalenia go z kraju.

Tak więc rozparty w karecie Principe de la Paz odczuwał nieprzyjemny posmak po sprawach w San Ildefonso i niechęć na myśl o rokowaniach, które czekały go w Kadyksie. Maria Luiza obsadziła mianowicie kilku swoimi faworytami naczelne stanowiska we flocie wojennej stojącej w porcie Kadyksu. Panowie ci nie posiadali innych kwalifikacji prócz wysokich tytułów rodowych i łaski królowej; toteż oficerowie, podporządkowani rozkazom tych niedołęgów, przeszkadzających im tylko, grozili dymisją. Słowem, wszystko dokoła było przykre.

A przecież — nie wszystko.

W miarę jak don Manuel zbliżał się do stolicy, posępne myśli rozpraszały się. Postanowił zatrzymać się jeden dzień dłużej u Pepy w Madrycie. Zapomni, że los włożył na jego barki obowiązek rządzenia Hiszpanią; przez parę dni nie będzie mężem stanu, lecz don Manuelem, który umie cieszyć się swym osobistym życiem.

Złożyło się jednak inaczej.

Pepa rozdrażniona była tygodniami nudy, które miała za sobą; Francisco nie pojawił się dotąd; dzielił od tygodni, a nawet miesięcy, wygnanie Alby, narażając na szwank swoją karierę. Rozważała z goryczą, że człowiek ten, który z lekkim sercem odstąpił ją don Manuelowi, zdolny jest do tak wielkiej namiętności. A Manuel? Szafuje wielkimi słowami, ilekroć mówi jej o swej miłości, siedzi jednak przeważnie w San Ildefonso, w Aranjuezie lub w Eskurialu, zostawiając ją samą, a jeśli nawet od czasu do czasu przyjeżdża do niej, czyni to ukradkiem. Manuel zastał Pepę zirytowaną i nadaśaną.

Zaproponowała mu, aby wybrał się z nią na walkę byków, w której wystąpić miał Pedro Romero. Odpowiedział z westchnieniem, że w niedzielę będzie już w drodze do Kadyksu.

— Czy za wiele wymagam — zapytała — jeśli proszę, by pan został ze mną dwa dni dłużej.

— Nie przyszło mi wcale łatwo, *cherie* — odpowiedział — zwolnić się dla pani na te trzy dni. Obok wielu innych naglących spraw muszę teraz prowadzić wojnę. Proszę, niech mi pani nie przysparza jeszcze więcej kłopotów.

— A ja panu powiem, dlaczego pan nie chce pójść ze mną na *corridę* — odpowiedziała Pepa. — Pan się mnie wstydzi. Nie chce pan pokazać się ze mną publicznie.

Manuel próbował ją uspokoić.

— Niechże pani zrozumie — prosił niecierpliwie. — Mam doprawdy piekielnie dużo obowiązków. Mam zmusić Portugalie, by zerwała stosunki z Anglią — przy tym muszę oszczędzać księcia regenta Portugalii. Mam przepędzić z floty sześciu zidiociałych grandów, a równocześnie umieścić na stanowiskach w armadzie dalszych trzech zidiociałych grandów. W dodatku Truguet przysłał mi już drugą z kolei bezczelną notę, abym kazał wydalić z Lizbony markiza de Havre. W Kadyksie i tak już pewnie będą się krzywić, że przyjeżdżam o dwa dni później, a pani żąda ode mnie, abym tu został jeszcze przez niedzielę! Niech pani zrozumie moje trudności!

— Pańskie trudności — przerwała Pepa kłótliwie — mają jedno źródło: pańską niepohamowaną i niewybredną zmysłowość. Wszystkie pańskie konflikty z Portugalią i Francją pochodzą stąd, że zachciało się panu spać także z tą biedną, chudą Genowefą.

Manuel wpadł w gniew.

— To ty mnie do tego popchnęłaś. Gdybyś okazała więcej uczucia, tak jak tego wymaga mężczyzna mojego pokroju, nie byłbym tknął tej tyki grochowej.

Pepa, do najwyższego stopnia rozdrażniona, odcięła się:

— Czy jestem też temu winna, że pan wciąż jeszcze włązi do łóżka starej Marii Luizy? Tego było Manuelowi za wiele. Pierwotna, gwałtowna natura *maja* z Estremadury, krainy świniopasów, wzięła w nim górę. Podniósł mięsistą rękę i uderzył Pepę z rozmachem w twarz.

W pierwszej chwili chciała mu oddać policzek, chciała go drapać, gryźć, dusić. Opanowała się jednak. Pociągnęła za dzwonek.

— Conchito! — krzyknęła. — Conchito!

Manuel patrzył na jej białą twarz, na szkarłatny ślad swej ręki, patrzył w jej zielone, szeroko rozstawione oczy, z których biły błyskawice oburzenia. Próbował wybełkotać coś w rodzaju przeproszenia, usprawiedliwiał się, że jest przeciążony pracą, rozdrażniony. Zjawiała się Conchita z twarzą oschłą i surową. Pepa głosem już opanowanym, rozkazała:

— Conchito, odprowadź seniora do drzwi!

Manuel, przejęty skruchą a zarazem pożądaniem, wściekły, że przez własną głupotę zepsuł sobie dni wypoczynku, usprawiedliwiał się jeszcze, próbował ująć jej rękę, objąć ramieniem.

— Conchito, kiedyż nareszcie wyprowadzisz tego człowieka! — krzyknęła Pepa i uciekła do sąsiedniego pokoju.

Nie pozostało mu nic innego jak opuścić jej dom.

Z goryczą pomyślał, że los nie daje mu nawet chwili wytchnienia w jego trudach dla dobra państwa, i w ponurym nastroju, ale ożywiony żądzą czynów, wyjechał spieszenie do Kadyksu. Spodziewał się, że w wirze zajęć i rozrywek zapomni o swej porażce, a nim wróci do Madrytu, Pepa uspokoi się i ochłonie.

I w istocie nie miał w Kadyksie wolnej chwili. Prowadził pertraktacje z właścicielami okrętów, z szefami firm importowych i eksportowych, z bankierami. Zawodowym oficerom marynarki przyrzekł, że położy kres szkodliwej działalności nieudolnych arystokratycznych admirałów. Na tajnym spotkaniu z oficerami angielskiej eskadry blokującej porty hiszpańskie odnowił ustne porozumienie, w myśl którego obie floty miały zachować pozornie wrogą postawę, ale nie atakować się wzajemnie. Dni spędzał na załatwianiu spraw państwowych, za to nocami oddawał się przyjemnościom i rozrywkom, z których Kadyks słynął.

Ale wśród tych zajęć i rozrywek nie opuszczała go myśl o Pepie. Wciąż stawał mu przed oczyma płomienny znak na jej twarzy, ślad jego ręki; wspomnienie to budziło w nim żal, tęsknotę, pożądanie.

Załatwiwszy swe sprawy, wyjechał najkrótszą drogą do Madrytu, gdzie bez zwłoki, jeszcze w podróżnym stroju, pośpieszył do Palacio Bondad Real. Zastał dom w nieładzie, meble poprzysuwane do ścian, dywany zwinięte i powiązane sznurami, zapakowane skrzynie i kufry. Majordomo nie chciał go wpuścić. Obok stała donia Conchita z twarzą sztywną i surową. Wetknął jej w rękę trzy złote dukaty. Kazała mu chwilę zaczekać, po czym zaprowadziła go do Pepy.

— Wyjeżdżam na południe — oświadczyła Pepa swym pełnym, spokojnym głosem — jadę do Malagi. Będę grała w teatrze. Był tutaj senior Rivero, słyszałam dużo dobrego o jego trupie, przyrzekł mi korzystny kontrakt. A jeśli pańska flota oswobodzi kiedyś drogi morskie, wrócę do swego kraju, do Ameryki. Podobno Lima posiada wciąż jeszcze najlepszy w krajach hiszpańskich teatr.

Manuel wściekał się w duchu. Uderzył ją, to prawda, ale potem ukorzył się przed nią, a teraz wrócił, gotów znieść dalsze upokorzenia. Nie powinna mu od razu grozić, że wyjedzie za ocean. Przyszła mu znowu ochota zbić ją. Miała na sobie ciemną sukienkę domową, od której odbijała jej promienna biała płeć, duże zielone oczy patrzyły tak poważnie; budziła w nim pożądanie.

Wdychał zapach jej ciała. W Kadyksie spędzał noce z czarującymi kobietami tego miasta, doświadczonymi we wszystkich finezjach rozpusty, ale zdawał sobie sprawę, że nie może się wyrzec Pepy. Tę najwyższą miarę rozkoszy, to niebo i piekło, te spazmy zachwyty porywające człowieka mogła mu dać tylko ona jedna. Opanuje swój gniew, użyje całej swej przebiegłości i wymowy, by ją zatrzymać.

Żarliwie i szczegółowo usprawiedliwiał swój postępek. Wszyscy na niego napadają: madryccy wolnomyśliciele, ograniczeni grandowie i fanatyczni ultramontanie<sup>1</sup>, Francja i Portugalia. Nikt nie ma zrozumienia dla jego subtelnych pomysłów, godnych prawdziwego męża stanu: ani plebejusz Truguet, ani zimny i małostkowy, przebiegły jak lis Talleyrand. Jest całkowicie osamotniony. Jedyne, który go rozumie, to generał Bonaparte, ale ten bije się gdzieś w Egipcie. — Cóż dziwnego — mówił — że w takich warunkach można na chwilę stracić rozum.

— Zasłużyłem na karę — przyznawał — ale nie powinna mnie pani karać tak surowo, senioro! Nie wolno ci tak surowo mnie karać, Pepo! — i ujął jej rękę.

Cofnęła ją bez pośpiechu. Oświadczyła, że nie odpowiada jej tryb życia w Madrycie. Przez długi czas Manuel był jej oparciem. Dała się zwieść jego sile i gorącym zapewnieniom życzliwości. Wierzyła, że Manuel jest zarazem *majem* i grandem, ale zawiodła się gorzko. Dziś nic jej już z Madrytem nie łączy.

Ta romantyczna rezygnacja sprawiła na nim wrażenie. Odpowiedział żarliwie, że pod żadnym warunkiem nie może się z tym pogodzić, by miała opuścić Madryt, a gdyby wyjechała, on złoży swój urząd, będzie żył z dala od świata w jednym ze swych majątków i poświęci się studiom filozoficznym.

— Dla dobra Hiszpanii musi pani zostać przy mnie, senioro! — wołał. — Pani jest jedynym uśmiechem szczęścia w moim ciężkim życiu. Cóż warto jest bez pani moje życie pełne obowiązków?

Obróciła ku niemu białą twarz i spojrzała na niego z właściwą sobie, bezwstydną swobodą. Po czym swym powolnym, leniwym głosem, który wzburzał mu krew, odpowiedziała:

— Jeśli tak jest, don Manuelu, to dlaczego pan tylko mnie to mówi? Niech pan to ujawni przed światem. Godziłam się dość

<sup>1</sup> Ultramontanie — dosł. zagórzanie, zwolennicy wojującego kierunku w Kościele katolickim, domagającego się nieograniczonego wpływu papieża na sprawy religijne i świeckie.

długo, aby być pańską kochanką. Gdybym była pańską żoną, nie wyrządziłby mi pan owej zniewagi. Mam prawo żądać, aby pan otwarcie przyznał się do mnie.

Zląkł się. Ożenić się?! Ożenić się z Pepą! Wszystkie złośliwe przysłowia hiszpańskie przysły mu na myśl. *Antes de casar, ten casas en que morar* — zanim się ożenisz, patrz dobrze, gdzie się dostaniesz. Kto się żeni z miłości, ten zdycha z nienawiści. Ale nie chciał odejść po raz drugi z kwitkiem.

Odpowiedział, że już od miesiący nosił się z zamiarem, by prosić o jej rękę. Ale małżeństwo z nią pociągnęłoby za sobą konflikt z Marią Luizą i jego dymisję, co byłoby ze szkodą dla Hiszpanii. Nikt prócz niego nie będzie umiał zachować równowagi w tej niebezpiecznej grze politycznej między Portugalią a Francją.

— Jeślibym poszedł za głosem mego serca, senioro, i poślubił panią, oznaczałoby to wojnę albo z Portugalią, albo z Francją. Pepa, nie spuszczać oczu z jego twarzy, odparła sucho:

— Ma pan prawdopodobnie słuszność. I dlatego właśnie musimy się pożegnać.

Manuel starał się znaleźć jakieś wyjście.

— Daj mi czas do namysłu, Pepo! — prosił błagalnie. — Choćby krótki czas!

— Trzy dni — rzekła.

Trzeciego dnia oświadczył jej, że znalazł rozwiązanie: gotów jest poślubić ją, ale ich związek musi pozostać na razie w tajemnicy. Gdy rozstrzygnie się sprawa portugalska, wówczas ujawni przed całym światem swoje małżeństwo, choćby miał ściągnąć na siebie niełaskę królewską.

Pepa zgodziła się na to.

Sprowadzono sędziwego, czcigodnego kapłana padre Celestinosa z Badajoz. Padre, który chętnie brał udział w małych intryżkach politycznych, zgodził się z ochotą oddać przysługę swemu potężnemu rodakowi.

Ślub odbył się w miejskim pałacu Księcia Pokoju, w domowej kaplicy, nocą, przy mdłym, migotliwym świetle nielicznych świec. Nastrój był romantyczny, tak jak to Pepa lubiła. Świadcami byli don Miguel i duenia. Padre odebrał od wszystkich uroczystą przysięgę, że zachowają ślub ten w tajemnicy i nie zdradzą się przed nikim na świecie.



### III

Królowa wpadła w niepohamowaną wściekłość, gdy ją doszły słuchy, że Principe de la Paz poślubił seniorem Tudó. Wydobyla tego łajdaka z rynsztoku i zrobiła go pierwszym mężem kraju, a on ciałem i duszą zaprzedał się tej dziewczce! I to bezmózgie, tłuste ciało, ta gęś i *jamona* nosić ma świetne, zaszczytne tytuły, które ona, Maria Luiza, nadała mu w dowód swej łaski! Pewnie leży teraz z tą swoją Pepą w łóżku i kpi sobie ze starej królowej, którą udało mu się wywieść w pole. Ale przeliczył się ten wyrzutek, ten nicpoń! Zapomniał już, ile razy dopuścił się przywłaszczenia funduszków państwowych i zdrady stanu, za co należałoby go postawić przed sąd. Bez skrupułów okradał skarb królewski; przyjmował łapówki od obcych mocarstw; zdradził ojca świętego, najwierniejszego sprzymierzeńca Hiszpanii; z bezbożnikami z Dyrektoriatu paryskiego knuł intrygi przeciwko Katolickiemu Królowi: zdradzał wszystkich, przyjaciół czy wrogów, z chciwości, z próżności, dla dogodzenia kaprysowi. Ale ona postawi go teraz przed sądem, przed trybunałem Kastyljskiej Rady Koronnej, i każe go publicznie stracić, a wszyscy będą się radowali, prałaci, grandowie, cały naród hiszpański. A tę babę, tę dziewczkę rozkaże, naga do pasa, prowadzić przez miasto, a potem oćwiczyć batem.

Zdawała sobie sprawę, że nie wykona żadnej z tych pogroźek. Była kobietą rozumną, znała świat i ludzi, znała Manuela i siebie samą. Cóż stąd, że od czasu do czasu olśniewając go swym rozumem i potęgą umiała obudzić w nim podziw i sympatię dla siebie, może udawało jej się nawet czasem wykrzesać w nim iskrę uczucia i pożądania? Jakże sztuczne i znikome są tego rodzaju sukcesy. Jak długo brzydka i starzejąca się kobieta może utrzymać przy sobie młodego, tryskającego życiem chłopca? Przeszyła ją nagła świadomość żalostnej beznadziejności jej czterdziestu czterech lat. Życie jej było nieustanną walką z tysiącami i dziesiątkami tysięcy ładnych, młodych Hiszpanek. Cóż z tego, że sprowadzała coraz to nowe środki upiększające, suknie paryskie, że używała szminek, maści i pudrów, zatrudniała najlepszych baletmistrzów i fryzjerów — kiedy wszystko to nic nie było warte wobec młodej, świeżej skóry pierwszej lepszej głupiej Pasquity, Consueli czy Dolores.

A jednak dobrze jest tak, jak jest. Niewiele lat upłynie, a taka na przykład Alba będzie w tym samym wieku, w którym ona, królowa, jest dzisiaj, i co z tej Alby zostanie? Zwiędła, zniszczona

kobieta. Ją, Marię Luizę, właśnie brzydota zmusiła do tego, by rozwijała swój rozum. Dzięki swej brzydocie zdobyła mądrość, która nie starzeje się i nie przemija.

Ostatecznie jest kimś, jest z bożej łaski królową wszystkich hiszpańskich krajów i kolonii, Indii Zachodnich i Wschodnich, wysp i lądów na oceanie, arcyksiężną Austrii, księżną Burgundii, Flandrii i Tyrolu. Państwo hiszpańskie nie jest już młode, zaczyna się starzeć, podobnie jak ona sama; a obywatel Truguet jest tak bezczelny, że ośmiela się rozkazywać królewskiej parze katolickiej. Jednakże pomimo wszystko ona, Maria Luiza, jest jeszcze najpotężniejszą kobietą na świecie. Gdyż świat wie, że nie ograniczony Carlos, lecz ona włada Hiszpanią, Obojgiem Indii i oceanami.

A ten głuptas woli Pepę Tudó niż ją.

Przyjrzała się sobie badawczo w lustrze. Ale zwierciadło powiedziało jej tylko, jak wygląda w tej chwili, w tym przemijającym stanie, kiedy nie panuje nad sobą, przygnębiona złą wiadomością. Nie, to nie ona, to nie jest jej prawdziwa twarz.

Musi zobaczyć, jak wygląda naprawdę. Wyszła z buduaru. Czeka ją w przedpokoju pierwsza dama dworu, *camarera mayor*, chciała jej towarzyszyć, tak jak tego wymagał ceremoniał. Maria Luiza odprawiła ją niecierpliwym ruchem ręki. Szła sama przez obszerne sale i korytarze, mijając księży, lokajów, oficerów trzymających straż, którzy prezentowali broń na jej widok, dworzan zginających się przed nią do ziemi. Wreszcie stanęła w pysznej sali recepcyjnej, przed *Rodziną Carlosa*.

Maria Luiza przedstawiona na tym obrazie jest prawdziwa. Ten malarz poznał ją dobrze, wiedział o niej wszystko, może on jeden tylko. Tak, to jest prawdziwa Maria Luiza, która tu stoi w otoczeniu swojej rodziny, obok panującego monarchy, w gronie przyszyłych królów i królowych, pani tego grona, brzydka, ale dumna i imponująca.

Nie, nie da się zgnębić tym, że głupiec, w którym przypadkiem jest zadurzona, żeni się poza jej plecami z dziewczką. Nie ukarze tego człowieka. Nie warto nawet o niego walczyć. Ale jest królową i winna to swej godności, aby brać wszystko, na co ma ochotę, i trzymać, co chce zatrzymać. Sama jeszcze nie wie, jak to robi, ale zatrzyma tego człowieka przy sobie.

Spała dobrze następnej nocy, a obudziwszy się z rana miała już gotowy plan.

Odbyła rozmowę z Carlosem. Mówiła o niekończących się trudnościach i kłopotach politycznych. Wspomniała o zatargach z

kupcami z Kadyksu, którzy ociągają się z płaceniem podatków, o rokowaniach z bezczelnym Truguetem, o kłopotach ze zbuntowanymi oficerami marynarki. Wszystkie te sprawy spoczywają na barkach jednego człowieka, pierwszego ministra. Trzeba mu pomóc, trzeba wzmocnić jego autorytet.

Carlos zastanawiał się chwilę.

— Chętnie — rzekł w końcu. — Ale pomimo najszczerzych chęci nic nie przychodzi mi na myśl. Czy są jeszcze jakieś tytuły i godności, których nie nadaliśmy już Manuelowi?

— A może by tak — ciągnęła dalej Maria Luiza — za jednym zachodem załatwić dwie rzeczy? Mam na myśli niemiłą sprawę z dziećmi świętej pamięci stryja Luisa; można by przy tej okazji pozbyć się tego kłopotu.

Stryj Luis, brat Karola III, był to ów infant, który poślubił kiedyś zwyczajną szlachciankę, panią de Vallabriga; dzieci jego nosiły skromny tytuł hrabiego i hrabianki de Bourbón i Chinchon; włączenie ich do ceremoniału dworskiego sprawiało zawsze trudności.

Carlos słuchał nie pojmując jeszcze, o co idzie.

— A gdybyśmy tak nadali tym dzieciom tytuł „infantów Kastylii” i ożenili naszego Manuela z Infantką donią Teresą? — mówiła dalej Maria Luiza. — W ten sposób on sam stałby się również infantem i wszedłby przez to w skład naszej rodziny.

— Dobra myśl — zgodził się Carlos. — Tylko, obawiam się, niezupełnie zgodna z intencjami mego świętej pamięci dostojnego ojca. Mój świętej pamięci ojciec nadał don Luisowi i doni Teresie tytuł ekscelencji, a nie królewskich wysokości.

— Czasy się zmieniają — perswadowała Maria Luiza z pobłażliwą cierpliwością. — Ty sam już, drogi don Carlosie, wydawałeś w niektórych wypadkach polecenia, które rozszerzały decyzje twego dostojnej pamięci ojca. Dlaczegoż nie mógłbyś i w tym wypadku wydać podobnego rozporządzenia?

— Masz słuszność, jak zawsze — zgodził się Carlos.

Królowa zabrała się energicznie do dzieła. Nie czuła zresztą życzliwości dla przyszłej infantki. Donia Teresa, córka drobnej szlachcianki, była spokojna i dystyngowana, co Marii Luizie działało na nerwy; nie wątpiła zresztą, że to obłudnica; choć nie śmie odezwać się słowem, potępia na pewno prowadzenie się królowej. Pocieszna wydała się jej myśl, że tę złotowłosą, cichą, skromną jak mniszka Teresę wpakuje do łóżka temu bykowi Manuelowi.

Tego samego dnia, w którym wyjednała zgodę króla na małżeństwo doni Teresy z Manuelem, wezwała go do siebie. Manuel liczył się z tym, że królowa, pomimo zachowania tajemnicy, dowiedziała się już o jego ślubie; idąc do niej, czuł się nieswojo, bał się po prostu nadciągającej burzy.

Tymczasem zastał Marię Luizę rozpromienioną i uśmiechniętą.

— Manuelu — rzekła — Manuelito, mam dla ciebie ważną i radosną wiadomość. Don Carlos postanowił nadać tytuł infantów Kastylii hrabiemu i hrabiance de Bourbón i Chinchon i ożenić cię z donią Teresą, której tytuł przejdzie tym samym i na ciebie. Cieszę się, że w ten sposób ujawnią się wobec wszystkich bliskie więzy, jakie łączą cię z naszą rodziną.

Manuel, olśniony niespodziewanym szczęściem i łaską, która spadła na niego zamiast oczekiwanej burzy, nic zrazu nie zrozumiał i stał z głupią miną. Potem opanowała go szalona radość. *Por la vida del demonio!* W czepku się urodził. Czego się tknie, wszystko wychodzi mu na korzyść. A przy tym to jego szczęście wesołe jest i dowcipne! Teraz będzie mógł odpłacić don Luisowi Marii, który tak bezczelnie kiedyś udawał, że go nie widzi. Teraz on, Manuel, weźmie sobie do łóżka siostrę tego zarozumiałego pyszałka i on, zlekceważony Manuelito, zrobi tego pół-Burbona pełnoprawnym Burbonem, ulegalizuje pozycję tego bękarta.

Takie myśli przebiegały Manuelowi przez głowę i napępiały go dumą. Słusznie nazywał go ojciec „swoim tęgim byczkiem”, gdyż dzięki owej tężyznie przykuł do siebie królową. I okiem właściciela dumnego ze swej własności spojrzął z rozculeniem i miłością na starą Marię Luizę.

Królowa obserwowała go bacznie. Oczekiwała, że na tę wiadomość krew uderzy mu do głowy, że zmiesza się, gdy pomyśli o tej „osobie”, o swojej Pepie Tudó i niedorzecznym mariażu. Na twarzy Manuela nie było jednak nawet śladu zakłopotania lub zmieszania. Wyglądał okazale w swym świetnym uniformie, a jego szeroka, pełna, urodziwa twarz wyrażała szczerą wdzięczność i radość. Przez krótką chwilę Maria Luiza pomyślała, że plotki kłamią i że to haniebne małżeństwo jest zwyczajnym wymysłem.

Istotnie Manuel pod nagłym wrażeniem szczęścia zapomniał o Pepie i swoim potajemnym małżeństwie. Przypomniał sobie jednak po chwili. „*Carajo!*” — zaklął w duchu i wyraz jego twarzy mówił również: *Carajo!* Ale przepełniające go uczucie szczęścia zmiotło te obawy. Unieważnienie małżeństwa wydało mu się rzeczą łatwą. Trzeba mu jedynie trochę czasu.

Z wylewnością wyraził królowej swoją wdzięczność. Raz po raz pokrywał pocałunkami jej mięsistą, iskrzącą się pierścionkami rękę. Następnie prosił, by mu pozwoliła ogłosić szczęśliwą wiadomość o związku z donią Teresą i rodziną królewską o dwa lub trzy tygodnie później. Królowa, uśmiechając się w duchu gorzko, spytała niewinnym tonem o powód tej zwłoki. Manuel osłonił się tajemniczością. Oświadczył, że musi jeszcze doprowadzić do końca pewne polityczne plany, które mogłaby pokrzyżować wiadomość o jego wywyższeniu.

Im dłużej jednak zastanawiał się nad tym, jak uwolnić się od swego potajemnego związku małżeńskiego z Pepą, tym trudniejsze mu się to wydawało. Rzecz jasna, że mógł po prostu wyprzeć się tego związku: wystarczy szepnąć słowo Wielkiemu Inkwizytorowi, by uczynny rodak, padre Celestinos zniknął na zawsze w murach jakiegoś odległego klasztoru. Ale jak wtedy zachowa się Pepa? Gdy się dowie, że ślub ich wcale się nie odbył, wyobrazi sobie, że jest heroiną romancy. Gotowa popełnić jakieś patetyczne samobójstwo, które nabierze rozgłosu, albo jakieś inne potworne, dramatyczne głupstwo, które uniemożliwi jego związek małżeński z infantką. Zapewne, mógłby i Pepę usunąć raz na zawsze poza obręb swego życia, ale nie wyobrażał już sobie życia bez niej. Nie widział wyjścia. Zwierzył się Miguelowi. Miguel słuchał go uważnie, z wyrazem uprzejmego współczucia na twarzy, mocno wzburzony. Manuel, w miarę jak powodzenie jego rosło, stawał się coraz bardziej arogancki, coraz częściej traktował go jak lokaja. Bezwstydną chciwość tego człowieka, niewybredna zmysłowość, bezgraniczna próżność coraz bardziej odpychały Miguela. Słuchając zwierzeń Manuela miał ochotę pozwolić mu wypić to piwo, którego sobie nawarzył. Przebiegły plan królowej zmierzał niewątpliwie do oderwania Manuela od Pepy. Ale Manuel nie zdobędzie się na zerwanie, a mściwa donia Maria Luiza nie ścierpi dłużej tego stosunku, obali Manuela, o ile on, Miguel, nie przyjdzie mu z pomocą. Czy mu pomóc? Czy nie będzie to szczęściem, prawdziwym szczęściem dla niego, jeśli uwolni się wreszcie od tego pustego człowieka i będzie mógł cały swój czas poświęcić obrazom i ukończyć swe wielkie dzieło, *Słownik artystów*?

Ale w tej samej chwili wyobraził sobie, że zostałby bezgranicznie osamotniony wśród swoich obrazów i papierów, i zrozumiał, że tak jak Manuel przykuty jest do Pepy, tak i jego bolesne myśli krążyć będą zawsze dokoła Lucii. Tylko podniecająca gra wielkiej polityki może odwrócić jego myśli od własnych trosk; nie potrafi już żyć

bez niej, nie umie już wyrzec się roli człowieka, który pozostając w cieniu, kieruje sprawami państwa. Pomoże Manuelowi wybrnąć z kłopotów.

Zastanowiwszy się nad jego sytuacją, obmyślił plan działania i przedstawił go Manuelowi. Ten podchwycił go skwapliwie i uszczęśliwiony uściskał Miguela.

Udał się do króla. Oświadczył tajemniczo, że chciałby go w pewnej osobistej sprawie prosić o radę i pomoc; że zwraca się do niego jak mężczyzna do mężczyzny, jak *caballero*<sup>1</sup> do *caballera*.

— Co się stało? — zapytał Carlos. — Poradziliśmy sobie z Francją, potrafimy też poradzić sobie z twoimi kawalerskimi kłopotami.

Manuel ośmielony zwierzył się królowi, że ma stosunek miłosny z wspaniałą kobietą, chociaż nie szlachcianką, niejaką seniorą Josefą Tudó. Związek ten trwa już od lat, i teraz on, Manuel, łamie sobie głowę, jak tę kobietę zawiadomić o swoim bliskim małżeństwie. Istnieje tylko jedno wyjście. Trzeba seniorze Tudó wytłumaczyć, że planowane małżeństwo z infantką leży w interesie państwa, wzmocni bowiem autorytet pierwszego ministra, tak niezbędny w skomplikowanych rokowaniach z Francją, Anglią i Portugalią.

— No więc? — zapytał don Carlos. — Dlaczego jej tego nie wytłumaczysz?

— Powinien jej to powiedzieć ktoś bardzo wysoko postawiony — odpowiedział Manuel. — Tylko gdybyś, najjaśniejszy panie, sam zechciał wytłumaczyć seniorze Tudó, że małżeństwo moje potrzebne jest dla dobra państwa, zniesie ona ten okrutny cios, który jej zadaje.

Król zastanowił się przez chwilę. Po czym, mrużąc jedno oko, uśmiechnął się chytrze.

— Chcesz, jak widzę — zapytał — abym ją przekonał, że nic się nie musi zmienić między wami, nawet gdy poślubisz donię Teresę.

— Wyobrażam to sobie w następujący sposób — odparł Manuel. — Poproszę waszą królewską mość, by zrobił mi któregoś dnia ten wysoki zaszczyt i zechciał zjeść ze mną kolację, prywatnie, nieoficjalnie, w domu seniorzy. Obecność waszej królewskiej mości zrobi na seniorze Tudó ogromne wrażenie. A potem, niby od niechcienia, wasza królewska mość rzuci jej kilka łaskawych słów od

1/ Caballero — rycerz, kawaler, szlachcic.

siebie, którymi wasza królewska mość umie swych poddanych uszczęśliwić, zaznaczy przy tym, że i dla państwa będzie z korzyścią, jeżeli seniora Tudó nie zerwie stosunków ze mną. W ten sposób uczyni mnie wasza królewska mość najszczęśliwszym człowiekiem na resztę mojego życia.

— Dobrze — odpowiedział Carlos po krótkim namyśle — nie odmówię ci tej przysługi.

I przyrzekł w środę o godzinie szóstej minut czterdzieści pięć stawić się w mundurze generała w Palacio Bondad Real.

Don Manuel zapytał Pepę, czy może w środę zjeść u niej kolację i przyprowadzić swego przyjaciela.

— Kogo? — zapytała Pepa.

— Króla — odparł Manuel.

Spokojna twarz Pepy zeszywniała ze zdumienia.

— Tak jest, króla — oświadczył uroczyście. — Najjaśniejszy pan życzy sobie poznać panią.

— Wspomniałeś mi o naszym małżeństwie? — spytała Pepa, uradowana.

Manuel odpowiedział wymijająco:

— Król pragnie ci coś ważnego oznajmić.

— Proszę, powiedz mi, o co chodzi — nalegała Pepa. — Nie chcę być nieprzygotowana, skoro spotyka mnie zaszczyt goszczenia króla przy swoim stole.

Don Manuel uznał za właściwe skorzystać od razu ze sposobności.

Oświadczył krótko i zwięźle:

— Król życzy sobie ze względów polityki państwowej, abym poślubił jego bratanicę, donię Teresę. I pragnie sam ci to oznajmić. Nada jej tytuł infantki i w ten sposób uczyni także i mnie infantem. Musimy zatem uważać nasze małżeństwo za niebyłe.

Kiedy Pepa ocknęła się z omdlenia, Manuel zaopiekował się nią jak czuły kochanek. Tłumaczył, że aby móc wypełnić pewne zadania dyplomatyczne dla dobra rządu i ojczyzny, musi być wyposażony w najwyższy autorytet, to znaczy w tytuł infanta, członka rodziny królewskiej. Wie, że żąda od niej ogromnej ofiary. I dlatego don Carlos zaszczyca ją swą wizytą. Za to, gdy król ją pozna, pozycja jej w towarzystwie madryckim ustalona będzie raz na zawsze. Czekają ją też wysokie tytuły. On sam pertraktuje z hrabią Castillofiel, pewnym starszym panem, ściślej mówiąc bardzo starym panem, który, zadłużony po uszy, siedzi w swoim majątku koło Malagi. Hrabia gotów jest poślubić Pepę. Będzie mieszkał w dalszym ciągu,

<370 )

aż do swego bliskiego zapewne końca, w Maladze, ona zaś, seniora *de titulo*, pozostanie nadal w Madrycie.

— Ale przecież jesteście małżeństwem, ty i ja — zdziwiła się Pepa.

— Zapewne — rzekł Manuel — ale wątpię, czy potrafimy to udowodnić. Jedyne niepodważalne świadectwo naszego ślubu, padre Celestinos — dodał ze strapioną miną — znikł. Przepadł bez śladu.

Pepa zdała sobie sprawę, że los nie chce jej prawowitego związku z Manuelem. Mimo swych poetycznych upodobań posiadała zdrowe poczucie rzeczywistości, a ów potajemny, nocą zawarty ślub wydawał się jej od razu, prawdę mówiąc, trochę podejrzanym. Postanowiła poddać się woli bożej.

— Jak los z nami igrza! — rzekła rozmarzona. — Będziesz więc infantem, infantem Kastylii!

— Zależy to jedynie i wyłącznie od ciebie — z galanterią odpowiedział Manuel.

— I powiadasz, że obecność króla u mnie usankcjonuje nasz nieoficjalny stosunek? — spytała Pepa.

— Ba, on na pewno poprosi cię, byś mu coś zaśpiewała — odrzekł Manuel — zobaczysz.

— I ja naprawdę będę hrabiną Castillofiel? — upewniała się Pepa.

— *Oui, madame.* — potwierdził Manuel.

— Ale powiedziałaś — spytała nieco stroskana — że ten stary hrabia ma ogromne długi?

— Zostaw już mnie tę sprawę, proszę — uspokoił ją Manuel. — Hrabina Castillofiel żyć będzie na stopie takiej, jaka przystoi najpiękniejszej w kraju damie i przyjaciółce infanta Manuela.

— Dla ciebie gotowa jestem całkiem w cień się usunąć — powiedziała.

W środę o godzinie szóstej minut czterdzieści pięć zjawił się w Palacio Bondad Real don Carlos w towarzystwie Manuela. Miał na sobie zwyczajny mundur generalski, był swobodny i przystępny. Przyjrząwszy się Pepie oświadczył z uznaniem, że Manuel zna się nie tylko na sprawach politycznych.

Klepał seniorem Tudó po ramieniu, chwalił smaczną *ollę* i twierdził, że serce mu się rozplywa, gdy Pepa śpiewa swe romances; przyrzekł, że następnym razem sam zagra jej na skrzypcach.

A żegnając się z nią wygłosił krótkie przemówienie.

— Rządzenie państwem — rzekł — wymaga dużo trudu. Nasz



Manuel ma ciężkie zmartwienia i kłopoty. Niechże pani i nadal okaże się dobrą patriotką, moje dziecko, i umiła naszemu drogiemu przyjacielowi jego tak rzadkie wolne chwile!

#### IV

Hrabianka donia Teresa de Bourbón i Chinchón wezwana została ze swej samotnej siedziby wiejskiej Arenas de San Pedro, na dwór, do zamku San Ildefonso. Donia Maria Luiza oznajmiła jej w obecności króla, że don Carlos postanowił wydać ją za mąż i wyznaczył jej pięć milionów realów posagu. Wybrał jej na małżonka pierwszego i najlepszego ze swych doradców, swego kochanego don Manuela, Księcia de la Paz. Postanowił również nadać jej przy tej sposobności tytuł infantki Kastylii i pokazać całemu światu, że należy ona do rodziny królewskiej.

Donia Teresa nie słyszała już prawie ostatnich słów. Wątpła dwudziestoletnia dziewczyna, wyglądająca znacznie młodziej, z trudem trzymała się na nogach; jej ciemnoniebieskie oczy patrzyły nieruchomo, delikatna twarz pobladła jak płótno, usta były lekko rozchylone. Myśl o pocałunkach i uściskach jakiegokolwiek mężczyzny przejmowała ją przerażeniem, myśl zaś o don Manuelu wręcz odraża.

— No jak? — zagadnął ją zadowolony z siebie Carlos — dobrze to obmyśliłem? Dobry ze mnie stryj?

Donia Teresa ucałowała ręce jego i królowej i wypowiedziała należne wyrazy szacunku i wdzięczności.

Don Manuel złożył swej przyszłej małżonce wizytę. Przyjęła go w obecności swego brata, dumnego don Luisa Marii, który kiedyś udawał, że nie spostrzega Księcia Pokoju.

A teraz stał przed nim, ten sam don Luis Maria, w duchownym stroju prałata, młody, wysmukły, poważny. W ciągu ostatnich tygodni dostąpił nieoczekiwanie najwyższych godności, gdyż nie tylko otrzymał od króla tytuł infanta, ale nadto, w miejsce swego arcybiskupstwa Sewilli, arcybiskupstwo Toledo, najwyższy w Hiszpanii urząd kościelny, oraz kapelusze kardynalski. Znał oczywiście ukryte sprężyny całej sprawy, przejrzał brudną, nikczemną grę don Manuela i królowej. Przykrą mu była myśl, że swoje wywyższenie zawdzięcza właśnie temu wulgarnemu Manuelowi Godoy, i serce ścisnęło mu się z żalu, że jego delikatna, nieśmiała siostra, którą

bardzo kochał, ma być ofiarą tego wstrętnego nad wyraz gacha Marii Luizy. Lecz nie podobna sprzeciwić się woli królewskiej. Młody książę Kościoła był nie tylko człowiekiem głęboko wierzącym, ale i żarliwym patriotą. Nie żywił osobistych ambicji, ale miał, i to słusznie, wysokie mniemanie o swoich zdolnościach. Teraz, kiedy z łaski Opatrzności został prymasem Hiszpanii i będzie miał wpływ na politykę, siostra jego stanie się ofiarą gminnego, prostackiego Manuela, lecz oboje muszą poddać się w pokorze woli losu.

Don Manuel mierzył wzrokiem swą przyszłą małżonkę. Bardzo szczupła i delikatna blondynka, podobna była do małej Genowefy de Havre, która przyczyniła mu kiedyś tyle zmartwień. Nie, te chude jak tyki, wysoko urodzone panny stanowczo nie były w jego guście; Pepa nie będzie miała powodu do zazdrości o jego przyszłą małżonkę. A czy ta mała w ogóle zdolna jest urodzić mu dziecko, infanta? Na zewnątrz nie zdradzał się z tymi rozważaniami, zachowywał się nienagannie, jak przystało na prawdziwego granda. Zapewniał infantkę o swoim szczęściu i wdzięczności, a tego smarkacza, don Luisa Marię, traktował z szacunkiem należnym jego pastorałowi i kapeluszowi, choć właśnie jemu, Manuelowi, zawdzięczał i pastorał, i kapelusz.

Ślub don Manuela z infantką donią Teresą odbył się w Eskurialu, nad grobowcami zmarłych władców świata, w obecności ich królewskich mości i grandów Hiszpanii. Ślub ten przyniósł don Manuelowi tytuł infanta Kastylii; prócz tego król nadał mu z okazji zaślubin godność, której poza Krzysztofom Kolumbem nikt jeszcze przed nim nie dostał: mianował go wielkim admirałem Hiszpanii i Indii.

Mniej więcej o tej samej porze hrabia Castilofiel wstąpił w Maladze w związku małżeński z seniorą Tudó. Nowa hrabina pozostała przez kilka tygodni u swego małżonka w Andaluzji, po czym powróciła do Madrytu pozostawiając męża w Maladze.

Don Manuel, wierny swemu przyrzeczeniu, stworzył jej warunki godne seniory *de titulo*. Z pięciu milionów, wniesionych mu w posagu przez infantkę, ofiarował pół miliona hrabinie Castilofiel. „Pół miliona!” Słowa te niby poezja pieściły ucho i serce Pepy. Czyż nie było to tak jak w jej romancach? Siedziała sama w swym buduaru, brząkała na gitarze i śpiewała z rozmarzeniem: „Pół miliona! pół miliona!”

Korzystała w pełni ze swego nowego bogactwa, prowadziła wystawny tryb życia, zapraszała przyjaciół, by grzali się również w promieniach jej słońca. Przyjmowała u siebie aktorów, z którymi uczyła

się niegdyś gry scenicznej, oficerów niższych stopni, kolegów jej pierwszego męża, świętej pamięci porucznika marynarki Tudó, i jakieś starsze panie dość wątpliwej konduity, przyjaciółki dueni Conchity. Nie zapomniała również o seniorze Rivero, przedsiębiorcy teatralnym, który chciał ją niedawno zaangażować do swojej trupy w Maladze. Był to sprytny finansista, który utrzymywał bliskie stosunki ze znanymi przemytnikami i bandytami, brał także udział w imprezach korsarskich. Hrabina Castillofiel powierzyła mu, z dużą dla siebie korzyścią, kierownictwo swych spraw finansowych.

Ale to upojne powodzenie kryło w sobie krople goryczy: Pepa nie została dotąd przyjęta u dworu. Donia Maria Luiza nie dopuściła nowej hrabiny Castillofiel do ucałowania ręki. Osoba zaś stanu szlacheckiego wtedy dopiero wchodziła w całej pełni w posiadanie swych tytułów i godności, gdy była przedstawiona u dworu.

Jednakże sfery dworskie i miejskie nie zrażały się wcale tym, że hrabina Castillofiel nie należy jeszcze formalnie do owych pięciuset trzydziestu pięciu osób *de titulo*, przyjmowanych u dworu, i tłumnie zjawiały się przy jej *lever*. Wierzono w jej wpływy i dobrze się bawiono w Palacio Bondad Real, w tym dziwnie mieszanym towarzystwie, złożonym z grandów i prałatów, aktorów, oficerów niższych stopni i starszych dam niewyraźnej konduity.

Goście byli ciekawi, czy pewnego dnia nie pojawi się wśród nich pierwszy minister. Ale Manuel trzymał się z dala od Pepy i koła jej przyjaciół. Żył w przykładowej zgodzie ze swoją infantką, wydawał na jej cześć wielkie przyjęcia w Palacio Alcludia i zachowywał się wobec świata jak dobry i czuły mążzonek. Jeśli w ogóle zjawiał się w Palacio Bondad Real, to chyba tylko tylnymi drzwiami

Lecz po upływie dwóch miesięcy Manuel uznał, że przyzwoitości stało się zadość, i zjawił się pewnego ranka, co prawda tylko na parę minut, przy *lever* Pepy. Następnym razem został dłużej, a potem przychodził coraz częściej. Niebawem urządzono dla niego w Palacio Bondad Real stały gabinet pracy, a wkrótce potem posłowie państw obcych mogli donieść swoim dworom, że sprawy państwowe załatwiane są teraz przeważnie w Palacio Bondad Real, że seniora Pepa Tudó rozdaje urzędy i godności i że nawet słowo jej dueni Conchity ma w sprawach państwowych większą wagę niż wola kolegów ministerialnych don Manuela.

Królowa dowiedziawszy się o tym, nie była wcale zdziwiona. Wiedziała, że Manuel nie zerwie tak łatwo z tą kobietą. Wściekało ją to jednak. Złorzeczyła sama sobie, że brak jej siły, aby uwolnić się od tego człowieka. Ale tak już widać natura te sprawy urządziła.

Bywały przecież i inne wielkie monarchinie, które durzyły się w mężczyznach niegodnych ich względów. Wielka Semiramida, córka powietrza, miała swego Menona czy Ninusa, czy jak się tam nazywał;

Elżbieta swego Essexa, wielka Katarzyna — Potiomkina. Nie będzie więc usiłowała wykreślić Manuela ze swego życia. Ale nie puści mu płazem tego zuchwalstwa.

Nie będzie mu oczywiście robiła scen z powodu tej „hrabiny” ani wymówek, że nie zerwał z Pepą; po prostu przepędzi haniebnie nieudolnego pierwszego ministra. Powodów do niełaski jest aż nadto, i to powodów nie byle jakich, politycznych, nie osobistych. Zawiódł zaufanie, które w nim pokładano, zawiódł je wielokrotnie, naraził na szwank powagę Korony przez swoją nieudolność, przez niedbalstwo, przez chciwość graniczącą ze zdradą stanu.

Ale gdy stanął przed nią wkrótce oko w oko, beczelny, męski, pewny siebie, zapomniała o swoich postanowieniach.

— Dowiaduję się — wybuchnęła od razu — że politykę Katolickiego Króla prowadzi się teraz w łóżku tej damulki?

Manuel zrozumiał, że tym razem na nic się nie zdadzą grzeczne słówka ani zaprzeczanie; trzeba podjąć walkę.

— Jeśli niełaskawe słowa waszej królewskiej mości — odparł chłodno, uprzejmie, zaczepnie — odnoszą się do hrabiny Castillofiel, to przyznaję, że w istocie niekiedy zasięgam rady tej damy. Są to dobre rady. Jest ona na wskroś Hiszpanką i niezwykle rozumną kobietą.

Maria Luiza straciła panowanie nad sobą.

— Ty łotrze! — zawołała. — Ty chciwy, próżny, pyszałkowaty, zbójceki, rozłajdaczony nicponiu! Ty lubieżny, pusty, wiarołomny głupcze! Wyciągnęłam cię z rynsztoku. Bryłę błota, bo tym byłeś, ubrałam w świetny mundur, zrobiłam cię infantem! Tej odrobiny znajomości polityki, którą posiadasz, ja cię nauczyłam, i to z niemałym trudem. A teraz stajesz, ty wyrzutku, i mówisz mi w oczy, że chodzisz po radę do tej swojej dziewczki!

I nagłym, szybkim ruchem pokrytej pierścieniami ręki wymierzyła mu dwa policzki z jednej i z drugiej strony, tak że krew popłynęła plamiąc jego paradny galowy strój.

Don Manuel jedną dłonią chwycił ją za przegub ręki, drugą ścierał krew z twarzy. Przez ułamek sekundy miał ochotę odwzajemnić policzek i na dodatek powiedzieć coś, co zraniłoby ją daleko boleśniej. Ale przypomniał sobie, jakie złe następstwa miał policzek, który wymierzył Pepie; odczuł to zresztą teraz jako zapłatę losu, że z kolei on został spoliczkowany. Powiedział spokojnie i uprzejmie:

— Trudno mi uwierzyć, madame, aby pani naprawdę tak myślała. Królowa Hiszpanii nie wybrałaby chyba na swego pierwszego doradcę człowieka o takich właściwościach, jakie wasza królewska mość raczyła przed chwilą wymienić. Wasza królewska mość miała chwilę zamroczenia.

I zakończył z szacunkiem:

— Sądzę, że po tym, co zaszło, wasza królewska mość nie życzy sobie dalszej mojej obecności.

Przyklęknął na jedno kolano, jak tego wymagał ceremoniał dworski, ucałował rękę Marii Luizy i wycofując się tyłem wyszedł z pokoju.

Powróciwszy do domu zobaczył krwawe plamy na żabocie, na mundurze, nawet na białych spodniach.

— Stara wiedźma! — zaklął pogardliwie.

Odbył naradę z Miguelem, liczył się bowiem z tym, że Maria Luiza knuje zemstę. Senior Bermudez uważał jednak, że sytuacja Manuela nie jest groźna. Królowa, mówił, będzie może rzucać mu teraz kłody pod nogi, może nawet pozbawi go urzędów, ale poza tym niewiele może mu zaszkodzić. Trudno na przykład przypuścić, by zabroniła infantowi Manuelowi wstępu na dwór. Miguel przewidywał zresztą chytrze, że byłoby nawet dobrze, gdyby w chwili obecnej ktoś inny objął stanowisko Manuela. Trzeba będzie zgodzić się na przykre ustępstwa wobec Francji, a więc będzie nawet korzystne dla Manuela, jeśli odpowiedzialność za to poniesie jego następcą, Manuel zaś, męczennik i patriota, stałby na uboczu i patrzył na to z oburzeniem.

Manuel zastanawiał się. Przyznał rację Miguelowi. Humor mu się poprawił.

— A więc Manuel Godoy jednak wszystko dobrze załatwił.

I myślisz naprawdę, mój drogi — spytał — że powinienem teraz spokojnie czekać?

— Ja na pana miejscu — radził Miguel — uprzedziłbym królową. Dlaczego nie miałby pan pójść zaraz, nie zwlekając, do don Carlosa i prosić go o zwolnienie z urzędu?

Don Manuel udał się do Carlosa. Oświadczył mu, że w ostatnim czasie powstały pomiędzy nim i królową tak ostre różnice zdań w najważniejszych sprawach politycznych, że dalsza współpraca wydaje mu się niemożliwa. Doszedł więc do wniosku, że będzie z korzyścią dla ojczyzny, jeśli w przyszłości król zechce sam naradzać się z donią Marią Luizą nad załatwianiem spraw państwowych

Widząc, że don Carlos nie rozumie, o co chodzi, powiedział po prostu:

— Proszę, by wasza królewska mość pozwolił mi złożyć urząd na jego ręce.

Carlos był zaskoczony.

— Nie, tego mi chyba nie zrobisz, mój kochany — powiedział błagalnie. — Rozumiem twoją dumę Hiszpana, ale widzisz, Maria Luiza z pewnością nie miała złych intencji. Ja już to załagodzę. Idź, mój drogi infancie, nie bądźże taki!

A widząc, że Manuel trwa przy swym postanowieniu, skarżył się potrząsając dużą głową:

— A wszystko się już tak dobrze ułożyło. Wieczorem, gdy wracam z polowania, przychodźcie do mnie albo oboje, albo ty sam i opowiadacie krótko, co się dzieje, a ja kładę swój podpis z zakrętasem. Jakżeż tu mieć zaufanie do kogoś nowego? Nie mogę sobie tego wcale wyobrazić.

Siedział z twarzą zasepioną. Manuel milczał również.

— Ale — zaczął znów król po chwili z pewnym ożywieniem — musisz mi przynajmniej poradzić, kto ma być twoim następcą.

Manuel oczekiwał tego pytania i miał już gotowy plan, tak przebiegły i zuchwały, że nie odważył się nawet wtajemniczyć weń don Miguela. Miguela nawiedzały bowiem często skrupuły moralne. Manuel miał zamiar doradzić królowi, ażeby oba naczelne stanowiska rządowe powierzył przedstawicielom przeciwnych kierunków politycznych. Liczył na to, że gdy jeden z nich będzie usiłował przeprowadzić pewne zarządzenia, drugi będzie im przeciwdziałał, co w krótkim czasie sparaliżuje wewnętrzną politykę rządu. Wówczas ich królewskie mości zmuszone będą poszukać zbawcy. A zbawcą mógł być jeden tylko mąż.

Manuel poradził tedy królowi, aby liberała zamianował pierwszym sekretarzem stanu, ultramontanina zaś ministrem łaski i sprawiedliwości; w ten sposób nie zrazi sobie w tych ciężkich czasach żadnego z wielkich stronnictw.

— Myśl jest niezła — oświadczył Carlos. — Ale czy królowa zgodzi się na to?

— Zgodzi się — uspokoił go don Manuel; i tę stronę sprawy przemyślał oczywiście już wcześniej. Wymienił królowi nazwiska obu mężów, których miał na myśli: każdy z nich był kiedyś kochankiem doni Marii Luizy, obydwom dała niewątpliwie dowody swej przychylności. Jednym był don Mariano Luis de Urquijo. Spędził on długi czas we Francji, przyjaźnił się z francuskimi filozofami,

tłumaczył francuskie książki i cytował publicznie Voltaire'a. Doni Marii Luizie, choć niechętnie usposobionej do skrajnego liberalizmu, podobała się męska twarz i rosła postać don Mariana de Urquijo; gdy Świąte Oficium chciało przeciwko niemu wystąpić, osłoniła go swą opiekuńczą ręką.

Drugim był don Jose Antonio de Caballero. Był to zacofaniec, którego poglądy polityczne trąciły średniowieczem, popierał każde żądanie Rzymu, zwrócone przeciw postępowemu odłamowi hiszpańskiego kleru. Wprawdzie radykalny ultramontanizm był Marii Luizie równie niesympatyczny jak kierunek przeciwny, ale i w tym wypadku fizyczne walory seniora de Caballero znalazły uznanie w oczach monarchini, która dała mu za żonę jedną ze swych dam dworu i zaszczyliła swą obecnością jego ślub.

Tych to dwóch mężów wymienił Manuel królowi. Carlos ponuro skinął głową i zapytał raz jeszcze:

— A więc nic się nie da zrobić? Chcesz naprawdę odejść?

— Jest to moja stanowcza decyzja — odparł Manuel. Don Carlos uściskał go. Oczy mu zwilgotniały. Po jego wyjściu napisał do swego drogiego Manuela list, w którym wyraził mu szczerą wdzięczność.

„Na wszystkich powierzonych panu stanowiskach — pisał — okazał się pan wobec Hiszpanii, świata i historii prawdziwym mężem stanu i przyjacielem pokoju. Chcę pana zapewnić o swojej głębokiej, dozgonnej wdzięczności!”

Napisał to własnoręcznie, bardzo starannie: na końcu umieścił swój wyraźny podpis z dodatkiem *Yo el Rey* i z osobliwym zakrętasem, podobnym do klucza wiolinowego. Wymalował ten zakrętas, tę swoją *rubrikę*, z taką pieczołowitością, z jaką tylko raz jeden kiedyś go wykonał: wtedy mianowicie, gdy go nakreślił dla Eskurialu, gdzie podpis jego miał zostać wyryty obok podpisów wszystkich królów, którzy kiedykolwiek zasiadali na tronie hiszpańskim.

## V

Martin Zapater mieszkał w lecie w swoim podmiejskim domu *guinta Zapater*. Zdumiał się, gdy pewnego dnia Francisco wraz z poganiaczem Gilem i mułami niespodziewanie zjawili się u niego, gdy zobaczył pod szerokim rondem kapelusza brodatą, postarzałą, surową twarz przyjaciela.

Poganiacz Gil opowiedział mu, co spotkało Francisca, który z posępną miną stał na uboczu. Zanim Zapater zdążył coś powiedzieć, Francisco dość szorstko polecił mu, aby wypłacił poganiaczowi mały napiwek, *gratificationcita*, aby Gil mógł udać się do gospody, gdyż mają za sobą męczący dzień podróży.

— Daj mu dwieście realów — rozkazał; było to niesłychanie dużo jak na „mały napiwek”.

Francisco i Gil wypili jeszcze z *boty* ostatni łyk wina, po czym wzruszony *muletero* polecił swego niezwyklego patrona opiece Dziewicy i wszystkich świętych. Po chwili Francisco ujrzał znikającą w ciemnościach nocy postać towarzysza długiej podróży, który ze swymi mułami oddalał się w kierunku Saragossy.

Francisco płonął chęcią opowiedzenia przyjacielowi o wszystkich nieszczęściach, które go dotknęły, a przede wszystkim o tym strasznym, co mu powiedział Peral, że jego głuchota ma swe źródło w mózgu. Trudno mu było zacząć. Lękał się tego, co Martin mu w odpowiedzi napisze. Francisco czuł zawsze lęk przed magią ukształtowanego słowa; już słowo wyraźnie pomyślane może ściągnąć demony, niebezpieczniejsze jest słowo wypowiedziane, a najbardziej niebezpieczne to, które zostało napisane.

Pierwsze dni spędzili samotnie w *quinta* Zapater, pod opieką starego dzierżawcy Tadeo i jego żony Farruki. Tadeo był z usposobienia melancholijny i niezwykle pobożny; siedział całymi godzinami w milczeniu, z zamkniętymi oczyma, pograżony w rozmyślaniach religijnych. Marzycielska pobożność Farruki objawiała się w sposób łagodniejszy. Farruka uznała się sama za niewolnicę Świętej Trójcy, *Esclava de la Santisima Trinidad*, a jej spowiednik dał jej w imieniu Świętej Trójcy pisemne potwierdzenie tych ślubów. Do obowiązków Farruki należało opiekować się stojącą w izbie woskową figurą Dziewicy i spełniać wobec niej posługi służebne; zmieniała regularnie kwiaty i świece, w określonych godzinach odmawiała przed woskową figurą określone modlitwy; stosownie do pory roku i znaczenia poszczególnych dni zmieniała Najświętszej Pannie sukienki; nie zaniedbywała też co wieczór przed udaniem się na spoczynek wkładać jej nocną koszulę. Poza tym obowiązana była wypłacać swemu spowiednikowi jako przedstawicielowi Świętej Trójcy cztery reale tygodniowo.

Martin był dość małomówny, ale nie odstępował przyjaciela ani na krok. Francisco zauważył, że Martina prześladowe często silny kaszel. Farruka nalegała już od dawna, aby zasięgnął porady lekarza. Martin nie przywiązywał jednak do swego przeziębienia zbytnej



wagi, a do lekarzy, do tych „balwierzy”, jak ich nazywał, czuł podobnie jak Francisco prawdziwie hiszpańską pogardę.

Francisco prosił Martina, aby mu nie towarzyszył nieustannie i nie zanieczywał swych spraw na mieście. Kiedy zostawał sam, zachodziła do niego często Farruka. Była wprawdzie niepiśmienna, a Francisco nie ułatwiał jej porozumienia, ale cierpliwość Farruki była niemniejsza niż jej gadatliwość; uważała przy tym za obowiązek pocieszać nieszczęśliwego głuchego pana i udzielać mu rad. Opowiadała mu między innymi o Pedro Sastre. Był to wnuk owego Braulio Sastre, który służył kiedyś w katedrze jako latarnik i któremu odrosła utracona noga dzięki temu, że przez cały rok nacierał kikut poświęconą oliwą do lamp Najświętszej Panny del Pilar. Również Pedro Sastre, wnuk tego Braulio — opowiadała Farruka — posiada wielką moc i dokonał już wielu cudownych uzdrowień. Tylko, że trudno dostać się do niego; ale takiemu panu jak don Goya z pewnością nie odmówi pomocy. I podała mu adres Pedra, zachęcając Francisca, by poszedł do niego. Francisco pamiętał, że nieraz już jako chłopiec ze strachem przechodził obok domu tego Pedra Sastre; był on już chyba dzisiaj bardzo stary.

Następnego wieczora, włożywszy prostą aragońską odzież wypożyczoną od Martina i nasunawszy okrągły kapelusz głęboko na czoło, wybrał się Goya na przedmieście Saragossy. Odnalazłszy bez trudu dom Pedra Sastre, odsunął na bok kobietę, która próbowała go zatrzymać, i znalazł się przed cudotwórczym znachorem.

Był to, jak Francisco przypuszczał, niski, mały, zgrzybiały staruszek. Spojrzał z wyraźną nieufnością na porywczego gościa, który nie wiadomo, czy był głuchy, czy tylko udawał głuchego, i który wymienił niezrozumiale jakieś nazwisko. Pedro Sastre, żyjący w stałym lęku przed inkwizycją, patrzył podejrzliwie na gwałtownego pacjenta. Był jednakże przekonany o uzdrawiającym działaniu swych środków; okazywały się one zawsze skuteczne, jeśli pacjent w nie wierzył. Wysłuchał głuchego, dał mu maść z sadła dzikiego psa, zwierzęcia obdarzonego doskonałym słuchem, i polecił ofiarować Najświętszej Dziewicy del Pilar świece sporządzone z dodatkiem woskowiny z własnego ucha.

Goya przypomniał sobie rysunki ucha wewnętrznego, które mu pokazał Peral, i jego przekonujące, naukowe wyjaśnienia. Spojrzał ponuro na znachora, nie podziękował i wetknął mu w rękę dziesięć realów. Było to śmiesznie małe honorarium, Pedro Sastre zaprotestował też w dosadnych słowach, wypowiedzianych bardzo wyraźnie. Goya nie zrozumiał go jednak; wyszedł.

Wierny Martin nauczył się tymczasem w zdumiewająco krótkim czasie zasad mowy na migi. Ćwiczył się w niej razem z Franciszkiem. Przy tych ćwiczeniach Francisco często żartował, a częściej jeszcze kłął i urągał Martinowi. Uderzyło go, że teraz, kiedy musiał czujnie patrzeć na ręce i wargi mówiącego, spostrzegał właściwości dłoni i warg, które dawniej uchodziły jego uwagi.

Postanowił namalować portret Zapatera. Malował powoli i starannie, oddał na płótnie tę serdeczną przyjaźń, która łączyła go z Martinem, a gdy obraz był gotowy, napisał na namalowanym liście, leżącym przed namalowanym Martinem, słowa:

„Mój przyjacielu Zapater, z największą starannością namalował dla ciebie ten obraz Goya.”

Martin popatrzył na swoją pełną, dobroduszną twarz z dużym nosem, przeczytał słowa Goyi i uznał, że jeszcze za mało zrobił dla swego Francisca.

W kilka dni później, gdy Martin udał się w swoich sprawach do Saragossy, Goya poszedł sam do miasta; był ciekaw, czego dozna jako człowiek głuchy, wędrujący samotnie po ulicach. W tym samym płaszczu i okrągłym kapeluszu, w którym niedawno odwiedził znachora Sastre, wykradł się cichaczem do miasta. Omijając główną arterię Corso, włóczył się po tak dobrze sobie znanych ulicach.

Stanął na starym moście i oparty o poręcz spoglądał na Saragossę: wydało mu się, że to świetne miasto i szeroki Ebro zmalowały jakoś i poszarzały. W pamięci i w sercu miał zawsze barwny, pełen życia obraz, teraz miasto było poważne i blade. Tak, smutne to jest miasto, surowe, przygnębiające. Czy była to tylko pogoda młodzieńczego Francisca, którą wyposażał te mury?

Oto te same kościoły i pałace, lecz serce jego jest dziś równie głuche dla nich jak jego uszy. Przeszedł obok domu, który odwiedzał przez długie lata, kiedy pobierał naukę u malarza Lujana, pobożnego, zacnego, pracowitego człowieka. Były to lata zmarnowane, ale nie czuje ani gniewu, ani pogardy. Przeszedł obojętnie koło Aljaferia, gdzie inkwizycja odbywała swe tajemnicze, postrach budzące posiedzenia, i nie poczuł trwogi. Minał Palacio Sobradiel i klasztor Escolapios, budowle, których ściany pokrył swoimi freskami. Niezliczone nadzieje, triumfy, porażki związane były z tymi pracami. Ale nie miał ochoty rzucić na nie okiem, czuł rozczarowanie, gdy je przywoływał w pamięci.

Oto prastare, świątobliwe kościoły. Oto figura Chrystusa, która kiedyś otworzyła usta i przemówiła do kanonika tej katedry, Funesa. A tu znów kaplica świętego Miguela; oto miejsce, gdzie upadła

odrabana głowa, tocząc się do stóp arcybiskupa Lope de Luna, aby na rozkaz świętego wypowiadać się przed nim i otrzymać rozgrzeszenie, po czym można ją było dopiero pochować. Francisco jako młody chłopak w wielu koszmarnych snach widywał tę toczącą się głowę; dzisiaj to miejsce świątobliwe i ponure nie wywołało u głuchego, starzejącego się Francisca ani dreszczu grozy, ani uśmiechu.

A tu znów wznosi się katedra Virgen del Pilar, kolebka najśmielszych nadziei Francisca, jego pierwszego wielkiego sukcesu i najdotkliwszej porażki, tej piekającej hańby, której przyczyną był jego szwagier Bayeu. Oto mały chór z jego freskami. „Senior Goya, otrzymuje pan zamówienie” — oświadczył mu wówczas kanonik don Mateo; Goya miał wtedy lat dwadzieścia pięć, było to dnia 19 grudnia. Uważał to za największe wydarzenie w swym życiu; nigdy potem nie doznał już takiego szczęścia, nigdy, nawet w najlepszych chwilach przeżytych z Cayetaną, nawet wtedy, gdy królowa powiedziała mu, że *Rodzina Carlota* jest arcydziełem. Wiedział już wtedy oczywiście, iż kapituła katedralna tylko dlatego dała mu to zamówienie, że Antonio Velazquez/1 był dla niej za drogi: postawiono też upokarzające warunki: niezwykle krótki termin i poddanie jego projektu ocenie „znawców”. Ale nie zraził się tym wcale; 15 000 realów wydawało mu się sumą, za którą można kupić królestwo Aragonii i Indie na dodatek. Był pewny, że to, co namaluje na sklepieniu małego chóru, stanie się chlubą stulecia. A oto patrzy na owo malowidło i widzi, że to lichota i śmiecie, że partacz Carnicero byłby to lepiej zrobił. I to ma być Święta Trójca, ten mglisty, suchy i pozbawiony wdzięku trójkąt z hebrajskimi literami! Jakież ociężałe te anioły! Jakie wełniane te chmury! Jakież to w ogóle niezdarne i niedorzeczne bohomy!

Wszedł do kaplicy Najświętszej Panny del Pilar, miejsca swojej klęski. Oto małe kopułki, które pokrył malowidłami, oto jego cztery *Cnoty*: wiara, miłosierdzie, męstwo i cierpliwość — malowidło, które Bayeu i dziekan kapituły katedralnej, Gilberto Alue, uznali za nieudolną fuszerkę! Co prawda. *Cnoty* nie były dobrze namalowane, co do tego słuszność mieli ci panowie, ale i pan szwagier nie stworzył dzieł o nieprzemijającej wartości. Wspomnienie sukcesu, jakim były freski w chórze, zatarło się szybko, lecz wspomnienie porażki doznanej w tej kaplicy piekło go dziś tak samo jak wówczas.

1/ Velazquez Gonzales Antonio (1723—1793) — malarz hiszpański, uczył się w Rzymie; od 1753 w Saragossie i Madrycie. W 1785 rektor Akademii San Fernando. Wykonał wiele fresków w kościołach madryckich. Pod kierunkiem Mengsa pracował też dla wytwórni gobelinów w Madrycie.

„Carajo!” — zaklął w duchu i przeląkł się, że w tak świętym miejscu wymknęło mu się przekleństwo. Gdyż tu właśnie znajdował się El Pilar, ów święty filar, od którego katedra wzięła swą nazwę, filar, na którym Święta Dziewica ukazała się apostołowi Santiago <sup>1</sup>, patronowi i opiekunowi Hiszpanii, i poleciła mu zbudować świątynię, tu, nad brzegiem Ebra. Tutaj znajdował się relikwiarz ze świętym filarem. A w relikwiarzu był otwór, przez który wierni mogli filar całować.

Goya nie ucałował go. Nie dlatego, aby czuł jakiś bunt w sobie, ani dlatego, by chciał odmówić Świętej Dziewicy należnej czci; nie czuł potrzeby prosić ją o pomoc. Ileż to razy, gdy bywał w opałach, modlił się do tej Virgen del Pilar, ile zwątpień, ile walk stoczył ze sobą, zanim od tej Virgen del Pilar udał się pod opiekę Virgen de Atocha. A dziś stoi z sercem oziębłym przed tą świętością nad świętościami, która tak bliska mu była w młodych latach. Obumarły kawał życia, którego mu nawet nie żał.

Wyszedł z katedry i szedł z powrotem przez miasto. „Nie ma już w gnieździe ptaków z zeszłego roku” — pomyślał. Prawdopodobnie nie było ich także i w zeszłym roku. Obraz Saragossy, który nosił w duszy, obraz pełen ruchu i wesela, to był obraz jego młodych lat, a nie miasta. Miasto Saragossa było z pewnością i wtedy monotonne, zakurzone, takie, jak je widzi dziś, pogrążony w swej głuchocie. Ta oniemiała Saragossa była prawdziwą Saragossą.

Wróciwszy do domu usiadł samotnie wśród czterech białych tynkowanych, gołych ścian pokoju w *quinta* Zapater. Pustka była wokół niego i pustka była w nim.

Ale niebawem otoczył go znów, w biały dzień, rój przerażających widziadeł. Pełzały i latały dokoła niego, szkaradne, upiorne, o kocich łbach, sowych ślepiach i skrzydłach nietoperzy.

Z ogromnym wysiłkiem zebrał się w sobie i chwycił za ołówek. Rzucił te złe duchy na papier. Oto one! A widząc je na papierze, stawał się spokojniejszy.

Tegoż dnia i dni następnych po wielokroć razy wypędzał z siebie te widziadła na papier. Uwięziwszy je w ten sposób, uwalniał się od nich. Kiedy pełzały i fruwały na papierze, nie były już niebezpieczne.

Prawie cały tydzień — Zapater mu nie przeszkadzał — spędził Francisco wśród nagich ścian swego pokoju, rysując, sam na sam ze swymi upiorami. Ale nie zamykał już teraz oczu przed demonami,

<sup>1</sup> Święty Jakub (starszy), apostoł, brat Jana Ewangelisty.

nie rzucał się na stół, nie chował przed nimi głowy. Patrzył im prosto w oczy, więził je, dopóki mu się całkiem nie objawiły, i rzucał je na papier, a wraz z nimi trwogę i opętanie.

Przyjrzał się sobie w lustrze, zobaczył zapadnięte policzki, rozwichrzone włosy i zmierzwioną brodę. Zauważył jednak, że twarz jego już nieco się wypełniła, bruzdy wydawały się mniej głębokie; nie był to już obraz tej beznadziejnej rozpacz, jaki widział w lustrze w Sanlucar, po owym załamaniu się. Ale bez trudu przywołał na pamięć ówczesną swoją twarz, wyrażającą najgłębszą rozpacz i tę teraz narysował.

Odtwarzał też w duchu różne twarze Cayetany. Obraz przedstawiający bezbożną jazdę do nieba, który Cayetana zniszczyła, przepadł bezpowrotnie i Goya nie myślał o tym, aby go drugi raz namalować. Ale zamiast niego narysował Cayetanę leżącą na sabat czarownic i rysunek ten był jeszcze ostrzejszy i wyraźniejszy niż tamten. Narysował też wiele innych twarzy i postaci wiecznie zmiennej Cayetany. Na jednym rysunku przedstawił ją jako piękną młodą dziewczynę o twarzy rozmarzonej, zasłuchaną w podszepty stręczycielki. Na innym siedziała, otoczona tłumem wielbicieli, niby to wzdragając się przed nimi, a jednak wabiąc ich ku sobie. Na innym znów uciekała przed goniącymi ją demonami, kusząc je jednocześnie spojrzeniem. A w końcu narysował sabat czarownic, *aquelarre*, scenę pełną niesamowitej wrzawy i rozpasanej uciechy. Na tylnych nogach siedzi wyprostowany potężny kozioł z ogromnymi, okrągłymi oczyma, z olbrzymimi rogami, na których ma wieniec z liści. Dokoła niego tańczą i składają mu hołd czarownice. Przyniosły mu w ofierze trupie czaszki i obłupione ze skóry niemowlęta, a kozioł podniesionymi przednimi nogami błogosławi swoją gminę, tę bandę czarownic. A piękną przodowniczką bandy jest Cayetana.

Tak tedy dzień za dniem tworzy Goya swoje rysunki. Rzuca na papier wszystko, co mu przez myśl przechodzi. Puszczą wodze swej wyobraźni. Wypełzają, wyfruwają mu z głowy upiory, demony o szcurzych ogonach, psich pyskach, podobne do ropuch, a zawsze jest między nimi Cayetana. Rysuje ją z jakimś wściekłym żarem, więzi ją na papierze. Gdy ją tak rysuje, czuje mękę i rozkosz zarazem, jest to jakby szal, ale szal niemal wesoły; nie boli tak nie ludzko jak ten obłęd, który rozsadza mu piersi i głowę, gdy siedzi samotny i myśli, myśli. Nie, dopóki rysuje, wolno mu być obłąkanym. Jest to obłęd jasnowidza, obłęd, który go cieszy, który mu przyjemność sprawia. Rysuje, wciąż rysuje.

( 384 )

VI

Martin nie pytał o nic i Francisco był mu za to wdzięczny.

Ale wcale mu z tym nie było dobrze. Wszystko, co w tych ostatnich dniach narysował, stanowiło dlań ośrodek wyładowania się, sposób wypowiedzenia się. Ale on chciał mówić, mówić z kimś o tym, co go gnębiło, opowiedzieć o rozmowie z doktorem Peralem, o swoim lęku przed obłędem. Nie może już dłużej sam tego dźwigać, musi podzielić się z kimś tą straszną tajemnicą.

Pokazał Martinowi swoje rysunki. Nie wszystkie, lecz tylko te, na których w różnych postaciach przedstawił Cayetanę, zmienną, kłamliwą, szatańską i uroczą. Martin był wstrząśnięty. Z podniecenia dostał silnego ataku kaszlu. Oglądał rysunki, odkładał je na bok, brał znowu do ręki i przypatrywał się im ponownie. Z troską i wysiłkiem starał się

zrozumieć, co przyjaciel pragnie mu powiedzieć.

— Nie można tego wyrazić słowami — rzekł Francisco — dlatego wypowiedziałem to w ten sposób.

— Zdaje mi się, że rozumiem — odparł Martin skromnie, trochę niepewnym tonem.

— Tylko odwagi — zachęcał go Francisco — a zrozumiesz wszystko dokładnie. *Idioma universal* — dodał niecierpliwie — każdy musi to zrozumieć.

— Rozumiem — uspokajał go Martin. — Widzę, co było przyczyną tego wszystkiego.

— Nic nie widzisz — irytował się Goya. — Nikt nie może pojąć jej głębokiego zakłamania. — Mówił o zmienności Cayetany, o jej przepastnie złym, niszczycielskim wpływie; opowiedział o ostatniej gwałtownej kłótni z nią i o tym, jak przecięła jego obraz. Ale rzecz dziwna, kiedy o niej mówił, nie było w nim wcale tego gniewu i wzdąrdy, które przejawiał na zewnątrz; przeciwnie, w duszy jego brzmiały wyraźnie ostatnie ciepłe słowa Cayetany, owe wyrazy szczerego, prawdziwego uczucia. Ale nie chciał się na tym zatrzymać, zabronił sobie o tym myśleć; podsycił w sobie gniew, który wyraził w rysunkach, i chęłpił się przed Martinem, że teraz wykreślił ją ze swego życia na zawsze i że tak jest dobrze.

A potem przystąpił do wyjawienia przyjacielowi swej okrutnej tajemnicy. Pokazał mu pozostałe rysunki, owe karykatury i upiory.

— Rozumiesz to? — spytał go.

Martin patrzył przerażony.

— Boję się rozumieć — odpowiedział.

( 385 )

— Śmiało! — żądał Goya.

Pokazał mu swój własny portret, swą twarz zarośniętą, brodatą. oczy, które zawarły w sobie całą rozpacz świata. A gdy Martin, wstrząśnięty i przerażony, spoglądał na przemian na rysunek i na żywą twarz Goyi, Francisco rzekł:

— Spróbuję ci to wytłumaczyć. — Mówił tak cicho, że Martin z trudem łowił jego słowa. — To jest bardzo ważne i tajne, to coś bardzo złego. Zanim mi odpowiesz, musisz dobrze i dokładnie rozważyć swą odpowiedź i stanowczo nie wolno ci jej napisać.

Wyjawił mu, że dowiedział się od doktora Perala o ścisłym związku głuchoty z obłędem. Doktor Peral miał oczywiście słuszność. Przecież on, Francisco, już od dawna jest do pewnego stopnia obłąkany. Swymi obłąkanymi oczami widział naprawdę te potwory, które tu wyrysował; ten wariat Francisco na rysunku to prawdziwy Francisco.

Martin usiłował ukryć swoje przerażenie. Goya zaś mówił dalej:

— Tak, teraz zastanów się dobrze. A potem powiesz mi swe zdanie powoli i cierpliwie, a ja odczytam je z twoich ust.

Pokora, z jaką to wypowiedział, jeszcze bardziej przygnębiła Martina.

Po długiej chwili odpowiedział ostrożnie i wyraźnie. — Kto widzi swój obłęd tak dokładnie — mówił — ten jest rozsądniejszy niż większość ludzi, a kto umie swój obłęd z siebie wydobyć i tak wyraźnie zdaje sobie z niego sprawę, ten jest dla siebie najlepszym lekarzem. — Dobierał ostrożnie słów; to, co powiedział, wydało się Franciscowi proste, rozumne. Znalazł w słowach przyjaciela pociechę.

Do tej pory Francisco nie odwiedził swej matki. Pragnął z nią mówić; staruszka słyszała zapewne o jego pobycie w Saragossie i martwiła się prawdopodobnie, że jeszcze u niej nie był. Ale nie mógł dotychczas zdobyć się na te odwiedziny; wstydził się swego stanu. Teraz po rozmowie z Martinem gotów był wybrać się do niej.

Postarał się przede wszystkim o lepszą odzież. Potem udał się do balwierza. Rozkazującym tonem zażądał, aby go ogolił, a na uprzejmą gadaninę golibrody dawał opryskliwe i niewyraźne odpowiedzi. Balwierz zorientował się dopiero po pewnym czasie, że klient jest głuchy. Golenie sprawiało Goyi ból, gdyż skóra jego stała się bardziej wrażliwa.

Po usunięciu rozwichrzonej brody i porządnym uczesaniu włosów balwierz spojrział ze zdziwieniem na twarz gościa.

Onieśmiał go ten człowiek, który wszedł tutaj straszliwie zaniedbany, a wychodził jak dumny, wytworny pan.

Francisco nie uprzedził matki o swym przybyciu. Idąc ulicami czuł się nieswojo. Piekła go świeżo ogolona, chłodna, niemile obnażona twarz. Powoli, nakładając drogi, doszedł do niewielkiego domu, w którym mieszkała jego matka; przystanął na chwilę, przeszedł się ulicą jeszcze raz tam i na powrót, wreszcie wszedł na pierwsze piętro i pociągnął za kołatkę. Drzwi otworzyły się, głuchy Francisco stanął przed swoją matką. — Wejdz — rzekła donia Engracia. — Siadaj! — Wymawiała bardzo wyraźnie każde słowo. — Wypij kieliszek rosolisu /1.

Przypomniał sobie, że dawała mu rosolis jeszcze za lat dziecięcych, kiedy był chory lub spotkało go coś złego.

— Wiem już wszystko — mówiła wymawiając każdą zgłoskę. Przyniosła butelkę likieru. — Mogłeś wcześniej przyjść do mnie — rzekła z wyrzutem.

Postawiła na stole butelkę, dwa kieliszki i ciastka, po czym usiadła naprzeciw niego. Powąchał z uznaniem słodki, mocno aromatyczny likier i napełnił dwa kieliszki, dla siebie i dla niej. Wypił łyk, oblizwał usta, umoczył w likierze kawałek ciasta, włożył go do ust. Potem z uwagą spojrział na jej twarz.

— Jesteś taki zarozumiały i pewny siebie — odczytał z jej ust. — Sam chyba dobrze wiedziałeś, że to nie może długo potrwać, i ja też ci mówiłam, że przyjdzie kara. „Najgorszy jest głuchy, który nie chce słuchać” — przytoczyła stare przysłowie — a ty właśnie nigdy nie chciałeś słuchać. Bóg w swoim miłosierdziu zesłał na ciebie łagodną karę. Pomyśl tylko, gdyby cię tak uczynił biednym zamiast głuchym.

Francisco dobrze rozumiał tok myśli matki; Donia Engracia mówiła prawdę; w istocie, od początku go ostrzegała i z obraźliwym wręcz lekceważeniem przyglądała się wzrostowi i świetności jego kariery. Była córką hidalga, miała prawo nazywać się „donią”, ale przy boku swego męża pędziła ubogi, chłopski żywot; musiała liczyć się z każdym groszem, ubierać się skromnie i w ogóle przystosować do skromnych warunków. Po śmierci ojca Francisco sprowadził ją do siebie do Madrytu, ale długo tam nie wytrzymała, wyrwała się na powrót do Saragossy. Powodzenia syna przyjmowała z nieufnością i nie tała się z tym, że nie wierzy w ich trwałość. A oto siedzi

1/ Rosolis — likier różany.



przed nią ten syn, głuchy, kaleka, popija rosolis na pocieszenie i wysłuchuje jej łajania.

Przytakiwał swą dużą, okrągłą głową i chcąc jej sprawić przyjemność przesadzał nawet rozmiary swego nieszczęścia. Skarżył się, że w swojej pracy zawodowej będzie miał teraz większe trudności. Panowie i damy z wysokiej sfery bywają niecierpliwi i jeśli nie będzie dobrze rozumiał, co do niego mówią, otrzyma mniej zamówień.

— Czy chcesz mi coś urwać z moich trzystu realów? — spytała natychmiast z obawą donia Engracia.

— Będę ci je posyłał — odpowiedział Francisco — choćbym miał uschłą ręką zgartywać węgiel na łopate.

— Wciąż jeszcze te szumne słowa — odpowiedziała matka. — Jeszcze cię życie nauczy, Paco /1. Teraz, kiedy nie słyszysz, niejedno zobaczysz. Chępiłeś się zawsze przede mną, że masz wspaniałych przyjaciół. Wierzyłeś każdemu, kto mówił, że jest twoim przyjacielem. Ale ludzie nie lubią zadawać się z takim, co nie słyszy. Teraz zobaczysz, kto jest naprawdę twoim przyjacielem.

Ale Francisco wyczuwał w tych twardych słowach, że jest dumna z niego i mocno wierzy, że go nieszczęście nie złamie; zrozumiał też, że nie chciała go zawstydzić okazywaniem współczucia,

Przy pożegnaniu prosiła, by przychodził do niej jeść, ilekroć będzie miał ochotę. Odwiedzał ją teraz parę razy na tydzień. Pamiętała dobrze jego ulubione dania z czasów dziecięcych i przyrządzała mu proste potrawy, obficie przyprawione korzeniami, czosnkiem, cebulą i oliwą; czasem też podawała mu ostre *puchero*, rodzaj uproszczonej *olla podrida*. Jedli oboje obficie i ze smakiem, odzywając się do siebie z rzadka.

Pewnego razu spytał, czy nie życzyłaby sobie aby ją malował.

— Zanim nabierzesz znów odwagi do klientów, co płacą — odpowiedziała — chciałbyś spróbować, jak ci pójdzie ze skromniejszym modelem?

Pochlebiała jej jednakże ta propozycja.

Chciał ją malować w zwyczajnym, codziennym ubraniu. Wolała jednak, by namalował ją w stroju odświętnym, niedzielnym; musiał jej kupić *mantillę* oraz nowy koronkowy czepek dla przykrycia łysiny.

Seanse ich upływały w milczeniu. Siedziała spokojnie, spod <sup>1</sup> Paco — zdrobienie od Francisco.

wysokiego czoła patrzyły stare, wpadnięte oczy, pod wydatnym nosem rysowały się wąskie, zaciśnięte wargi. W jednej ręce trzymała zwinięty wachlarz, w drugiej różaniec. Posiedzenia sprawiały obojgu przyjemność, oboje mieli dużo cierpliwości. Gdy skończył, wyjrzała z ram płótna staruszka, która dużo przeszła; posiadała wrodzony rozum, a życie nauczyło ją mądrości i poprzestawania na małym; miała jednak ochotę skorzystać z lat, które jej jeszcze pozostawały. Ze szczególną troskliwością namalował Francisco jej stare, kościste, mocne ręce. Donia Engracia była zadowolona z portretu. Cieszy ją to — powiedziała — że nie żał mu było poświęcić tyle płótna i pracy dla starej kobiety, która mu za to nie zapłaci.

Goya odszukał również swego brata Tomasa, złotnika. Tomas był obrażony, że Francisco tak późno do niego przyszedł. W toku rozmowy zapytał, czy po tej przestrodze, jaką mu Bóg zesłał, nie uważa, że powinien więcej dbać o swoją rodzinę, i domagał się, by Francisco pomógł mu przenieść się do Madrytu. Francisco odpowiedział mu, że wybiera się nazajutrz z Martinem na polowanie.

Szwagier Francisca, proboszcz Manuel Bayeu, wyraził przekonanie, że skoro Goya do tej pory nie szukał pociechy duchowej u własnego szwagra, to widocznie nie zrozumiał należycie przestrogi, którą mu niebo zesłało. Goya zauważył podczas odwiedzin u proboszcza, że portret zmarłego nadwornego malarza Bayeu, który kiedyś namalował, a który Josefa wysłała do Saragossy, wisi w źle oświetlonym kącie. Goya zapytał szwagra, jak mu się portret podoba. Ten odpowiedział, że jest to wielkie dzieło sztuki, ale przemawia z niego zatwardziałość serca. Wyraził Franciscowi szczere ubolewanie z powodu nieszczęścia, jakie go dotknęło; ale była w tym ubolewaniu drobna, może nawet nieświadoma domieszka złośliwego zadowolenia, iż pycha bezbożnego artysty została nareszcie złamana.

Wielkie rody Saragossy, Salvadores, Grapas, Aznares, zabiegały o wizytę Francisca, on jednak, zasłaniając się uprzejmie różnymi pretekstami, odrzucał ich zaproszenia. Nie skorzystał też z dwukrotnego zaproszenia hrabiego Fuendetodos; hrabia pytał za pośrednictwem Martina, czy zgadza się, by on, hrabia, go odwiedził; rozmowa nie będzie trudna, gdyż hrabia zna mowę na migi. Goyę poruszyły te wytrwale, niemal pokorne starania; pamiętał, że cała jego rodzina bała się hrabiego i odnosiła się do niego z szacunkiem, jako do pana ich rodzinnej wioski Fuendetodos.

Nawet dziekan kapituły katedry del Pilar zaszczycił Goyę swą wizytą. Był to jeszcze ten sam don Gilberto Alue, który kiedyś w owym sporze, wywołanym przez Bayeu, tak złośliwie i butnie

wystąpił przeciwko Franciscowi. Ta wizyta szanownego, sędziwego kapłana była najlepszym potwierdzeniem rozgłosu i sławy Goyi. Don Gilberto był teraz nader uprzejmy i drobnym starannym charakterem napisał Franciscowi na kartce, że ubolewa nad nieszczęściem największego artysty, jakiego wydała Saragossa. Serce Goyi zabiło radością, że oto już nie zmarły Bayeu, lecz on, Goya, jest największym artystą Aragonii.

Potem don Gilberto powiedział i napisał, że Goya sprawiłby mu szczególną radość, gdyby zechciał podjąć się pewnych prac malarskich w katedrze; chodzi o prace niewielkie, które nie zajmą mu zbyt wiele czasu. Wspomniał przy tym taktownie i zręcznie, że kapituła katedralna proponuje honorarium w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy realów.

Goyi zdawało się przez chwilę, że źle odczytał sumę lub że dziekan mylnie ją napisał. Dokładnie tyle, 25000 realów, zażądał wówczas od kapituły wybitny malarz Antonio Velazquez, i to za obrazy, którym musiałby poświęcić wiele miesięcy pracy; z powodu wygórowanej ceny kapituła nie dała mu tego zamówienia. Dzisiaj kapituła ofiarowuje Goyi tę samą cenę za pracę, która potrwa dwa tygodnie. „Nie wzbieraj pychą, serce moje!” — nakazał sobie i postanowił pracować z pokorą i gorliwie, nie szczędząc czasu.

Ale zanim jeszcze rozpoczął zbożne dzieło, otrzymał złą wiadomość z Madrytu. W krótkich, zwięzłych słowach donosił mu don Miguel, że umarł syn Francisca, Mariano, i że radzi Franchowi, aby powrócił do Madrytu, do Josefy.

Goya wybrał się w podróż. Tym razem zamówił pospieszny dyliżans i jechał wygodnie. Zgodził się też na to, by Martin towarzyszył mu i opiekował się nim w drodze.

## VII

Zobaczył Josefę, widział jej poruszające się wargi, nie rozumiał słów. Z trudnością zdołała opanować przerażenie na widok tak bardzo zmienionego Francha.

Małego Mariana pochowano przed kilku dniami. Małżonkowie wymienili niezręczne słowa pociechy. Zresztą nie trzeba im było słów. Siedzieli przez długi czas w milczeniu i milczenie to bardziej było od słów wymowne.

Wstał wreszcie i z nieco wymuszonym uśmiechem podał jej swój

szkicownik, który teraz stale nosił przy sobie, tak aby każdy mógł napisać to, co mu chce zakomunikować.

— Jeżeli chcesz mi coś powiedzieć — tłumaczył jej — musisz mi to napisać. Nie rozumiem dobrze tego, co się do mnie mówi, muszę wszystko odgadywać. Jestem naprawdę zupełnie głuchy.

Skinęła głową. Nie zapytała, jak mu się przez cały ten czas wiodło.

Była bardziej jeszcze powściągliwa niż dawniej, zamknęła się w sobie zupełnie. Mimo to rozumiał ją teraz głębiej i lepiej. Wydawało mu się dotychczas, że obecność Josefy była sama przez się zrozumiała; nie trzeba się było nad tym zastanawiać ani łamać sobie głowy. Nie dociekał nigdy, co też Josefa myśli o tej stronie jego życia, którą przeżywał z dala od niej. Mężczyzna na jego stanowisku miał prawo brać kobiety, które go pociągały, taki był obyczaj. Josefa była zawsze pod ręką, ilekroć jej potrzebował; tego oczekiwał po niej, tego sobie życzył i tak też ułożył się ich wzajemny stosunek. On zaś nie miał do niej urazy o to, że uważała swego brata za większego malarza, że nie rozumiała jego sztuki; nie brał jej za złe, że dumna była ze swej rodziny, o tyle wyższej i bardziej poważanej niż jego rodzina. Trzeba było dziesiątków lat, nim pojęła, kim Francisco był jako malarz i jak wysoko świat go cenił. Ale kochała go od początku, zanim pojęła jego sztukę. Inaczej nie byłaby się zgodziła, ona, z rodu Bayeu, zostać żoną Goyi. On zaś ożenił się z nią po części dlatego, że ją kochał, po części zaś i głównie dlatego, że nazywała się Bayeu. Nie wątpił, że uświadomiła to sobie już od dawna. A jednak kochała go i zносиła dalej. Musiała niejedną gorzką łzę przełknąć z jego powodu i często było mu jej żal. Teraz czuł dla niej dużo ciepła i rad był niemal, że dzisiaj on z kolei godny jest politowania.

Ucieszył się bardzo na widok syna swego Javiera. Javier wyrósł z lat chłopięcych, był młodzieńcem, za którym już się zapewne kobiety oglądały. Opowiedział ojcu, że w ostatnich miesiącach dużo rozmyślał, postanowił zostać artystą i spodziewa się, że ojciec przyjmie go na naukę. Goya patrzył z czułością i dumą na swego kochanego chłopca. Był mu dużą pociechą po stracie Mariana. Nie chciał, by życie jego syna było tak twarde jak jego własne. Chłopak jest urodzonym hidalgo, nazywa się don Javier de Goya y Bayeu. Podług ustaw Aragonii każdy hidalgo ma prawo otrzymywać od swego ojca stałą rentę, by nie musiał hańbić się pracą. W Madrycie obowiązują wprawdzie ustawy kastyljskie, ale prawo aragońskie jest słuszne, Francisco chętnie zastosuje się do niego. Wyśle syna za granicę,

do Italii, do Francji. On sam wiele się nauczył w Italii, ale ile wysiłków i podstępów kosztowało go zdobywanie z dnia na dzień garści ryżu, chleba i sera! Javier będzie miał łatwiejsze życie i lepsze warunki nauki.

Mrukliwy Agustin drgnął i zmienił się na twarzy, gdy zobaczył Francisca. Ale Goya nie chciał słyszeć wyrazów współczucia. Zapytał go szorstko:

— Czy bardzo kiepsko szło ci tu beze mnie? Dużo szkód narobiłeś? — i polecił mu wspólnie z Zapaterem przejrzeć książki.

Ale później kazał sobie pokazać prace Agustina powstałe w czasie jego nieobecności. Agustin pokazał mu sztychy wykonane podług metody Jean Baptiste Leprince'a. Agustin Esteve udoskonalił tę metodę; Goya był zdumiony widząc, co można przy tej pomocy uzyskać.

— *Hombre!* — zawołał kilka razy; zwykle tak skąpy w pochwałach, chwalił teraz z przekonaniem swego przyjaciela i pomocnika. — Ten sposób powinien się teraz nazywać metodą Esteve — oświadczył.

Obydwaj czuli się jak dawniej, serdecznie, głęboko ze sobą związani.

Potem pokazał mu Francisco rysunki, które zrobił w Saragossie Agustin był wstrząśnięty. Poruszał wargami, ale Goya nie słyszał, czy mówi i co mówi; Agustin, gdy był czymś szczególnie poruszony, miał komiczny zwyczaj mlaskać językiem i łykać ślinę. Oglądał rysunki i nie mógł się dość napatrzeć. Wreszcie Goya łagodnym ruchem wyjął mu je z rąk.

— No, powiedz coś wreszcie.

— To jest twoja prawdziwa sztuka — powiedział Agustin i napisał mu to dużymi, niezgrabnymi, starannie wykończonymi literami. Goya, uradowany, żartował:

— A więc moje malarstwo jest coś jeszcze warte? Jednego z następnych dni Francisco nie bez obawy i troski zameldował się u dworu. Przyjęto go jednak z niezwyklej delikatnością, a nawet arogancki markiz de Ariza był usłużny i okazywał mu sympatię.

Don Carlos usiłował jowialnością pokryć swe zmieszanie na widok głuchego Goyi. Podszedł do niego bardzo blisko i krzyknął mu przeraźliwie w ucho:

— Nie maluje się przecież uszami, tylko oczami! Goya, nieco przestraszony, nie zrozumiał; skłonił się głęboko i podał królowi z szacunkiem swój blok rysunkowy i ołówek. Twarz króla rozjaśniła się: zrozumiał i ucieszył się, że istnieje przecież

sposób porozumienia, się z pierwszym malarzem. Napisał mu to samo pocieszające zdanie, które przed chwilą krzyknął mu w ucho:

„Nie maluje się przecież uszami, tylko oczami i rękami” — a skoro już raz zaczął pisać, umieścił także, jak zwykle, swój podpis; *Yo el Rey*, z zakrętasem.

Goya przeczytał i uklonił się głęboko.

— Co pan mówi, mój kochany? — spytał król. Goya odpowiedział bardzo głośno:

— Nic, wasza królewska mość.

Król kontynuował rozmowę z Goya w zwykłym, łaskawym tonie.

— Ile moich portretów zrobił pan właściwie dotychczas? — spytał.

Goya nie pamiętał dokładnie, ale uważał za niegrzeczne przyznać się do tego. Odrzekł przeto:

— Sześćdziesiąt dziewięć.

„Ho-ho-ho! Co też pan mówi!” — napisał Carlos i dodał uroczyście: — Oby Święta Dziewica pozwoliła nam dożyć jeszcze tylu lat, by ta liczba doszła do stu.

Principe de la Paz zaprosił Goyę do siebie. Manuel oczekiwać tego spotkania w napięciu. Czuł mocniej jeszcze niż poprzednio, że w jakiś tajemniczy sposób związany jest z malarzem. Urodzili się chyba obaj pod podobną konstelacją; obydwoh, po fantastycznym wzlocie, los srodze doświadczał. Manuel zawdzięczał Franciscowi znajomość z Pepą, związek, który miał tak doniosłe następstwa w jego życiu. Manuel zaś przyczynił się w dużej mierze do kariery Goyi. Byli przyjaciółmi, rozumieli się, mogli otwarcie ze sobą mówić.

Kiedy Manuel zobaczył postarzałego Goyę, ogarnęło go szczere współczucie. Starał się jednak okazywać dobry humor i swobodę, jak za najlepszych czasów. Raz po raz zapewniał, że dobrali się ze sobą, on i Francisco. Czyż nie powiedział, że osiągną najwyższe zaszczyty, każdy w swojej dziedzinie? Francisco jest dziś pierwszym malarzem, on sam zaś infantem Kastylii.

— Chwilowo jest wprawdzie kilka chmur na niebie — przyznał — ale powiadam ci, mój Francho — zrobił ruch, jak gdyby chciał rozproszyć te chmury — to są przemijające niepowodzenia, i gwiazdy nasze jeszcze jaśniej zabłysną. Kto tak jak my musiał zdobywać władzę i znaczenie w życiu — mówił z miną ważną i tajemniczą — ceni je znacznie wyżej niż człowiek, który się z tym urodził; nie damy sobie tak łatwo tego wydrzeć. *Plus ultra!* — zawołał a widząc, że Goya go nie rozumie, napisał: „*Plus ultra!*”

Polubił i przyswoił sobie ten zwrot podczas ostatniego swego pobytu w Kadyksie. Chwalił się przed Goyą, że używał tym razem w Kadyksie co się zowie. Zresztą, jak słyszał, i Francisco szalał tam niezgorzej. Dodał mrużąc oko: — Opowiadano sobie o pewnej nagiej Wenus.

Francisco drgnął. Czyżby Cayetana pokazała obraz komuś obcemu? Czy nie bała się ludzkich języków? Nie lękała się inkwizycji?

Manuel zauważył zmieszanie Francisca. Pogroził mu palcem.

— To zapewne tylko plotki — rzekł — zresztą nie wymagam, żeby je pan potwierdzał albo im po rycersku zaprzeczał. Naturalnie, że i ja chętnie bym zamówił u pana taką Wenus, mam zresztą parę wcale apetycznych modelek. Ale o tym pomówimy kiedy indziej. Na razie zrobi mi pan portret mojej infantki. Podobno już ją pan kiedyś malował, gdy była jeszcze dzieckiem.

Przysunął się do niego całkiem blisko i mówił dalej szczerze i serdecznie:

— Uczę się na migi. Chcę często i obszernie rozmawiać z tobą. Francho, mój przyjacielu. Wiesz, wydałem polecenie, by opracowano projekt nowoczesnego zakładu dla głuchoniemych według zasad doktora de l'Epee. Będzie to zakład twego imienia, bo ty mnie naprowadziłeś na tę myśl. Wierz mi, nie jest zuchwalstwem, jeśli już dziś wydaję takie zarządzenia. Okres mojej bezczynności nie potrwa długo. Zajdę jeszcze wyżej, bądź pewien, mój Francho! — Chociaż Goya nie mógł go słyszeć, nadal swemu tenorowi metaliczne brzmienie.

Następnego dnia zameldował mu Andres, że jakaś dama chce się z nim widzieć. Goya był zły, gdyż wydał polecenie, by nikogo do niego nie dopuszczać. Andres oświadczył jednak, że dama nie daje się odprawić i że jest to jakaś wielka dama. Goya posłał *Agustina*. Ten wrócił z wiadomością, że jest to hrabina Castillofiel, a gdy Goya nie zrozumiał, krzyknął mu w ucho:

— Pepa! To Pepa!

Pepie powodziło się teraz dobrze. Odkąd przybladła gwiazda Manuela, pozycja jej raczej się wzmocniła i nabrała większego blasku. Nikt nie wierzył w to, aby Manuel miał jeszcze długo pozostać w niełasce, i ci, którzy z ostrożności unikali infanty, zjawiali się — również z ostrożności — tym częściej przy *lever* hrabiny Castillofiel. Poza tym majątek jej powiększał się w sposób zdumiewający.

Kiedy się dowiedziała o nieszczęściu Francisca, poczuła w pierwszej chwili satysfakcję. Dobrze mu tak, to kara za to, że ją tak

zlekceważył. Ale zadowolenie wkrótce minęło. Czuła, że choroba Francisca pozostaje w związku z jego namiętnością, i zazdrościła mu tej namiętności. Bolało ją, że nie ona obudziła w nim to uczucie.

Idąc do niego miała zamiar dać mu odczuć, że istnieje karząca sprawiedliwość w niebie i na ziemi. Ale gdy go zobaczyła, gdy ujrzała tego nowego, zmienionego Francisca, doznała silnego wstrząsu, odżyła w niej dawna sympatia dla niego. Zadowolona się więc tylko opowiadaniem, jak wspaniale się jej powodzi.

— Jestem w ciąży — zwierzyła mu się poufnie, z błyskiem dumy w oczach. — Mój syn będzie urodzonym w prawowitym małżeństwie hrabią Castillofiel!

Widział, że starała się przekonać i jego, i samą siebie, że nie jest to tylko zewnętrzny blask, lecz prawdziwe szczęście. W rzeczywistości jednak nie była szczęśliwa, cierpiała z jego powodu, tak jak on cierpiał z powodu Alby; poczuł dla niej dawny, dobroduszny, trochę pobłażliwy, wygodny sentyment.

Mówili z sobą jak starzy, dobrzy przyjaciele, którzy wiedzą o sobie nawzajem dużo rzeczy nie znanych nikomu. Patrzyła na niego swymi bezwstydnymi, zielonymi oczyma; z łatwością odczytywał jej słowa z ruchu warg. Przekonał się, że jedynie z ludźmi obojętnymi porozumiewanie się sprawiało mu trudność; ludzi, na których mu zależało, oraz tych, których nienawdził, rozumiał bez wysiłku.

— Czy Conchita wciąż jeszcze oszukuje przy kartach — spytał i dodał: — Jeśli pozwolisz, przyjdę do ciebie którego dnia na kolację i napiję się manzanilli.

Nie mogła się powstrzymać od przechwałki.

— Ale musisz się wcześniej zapowiedzieć — oświadczyła — bo mógłbyś się natknąć u mnie na don Carlosa.

— Na jakiego don Carlosa? — spytał.

— Na don Carlosa, władcę wszystkich krajów hiszpańskich i Obojga Indii — odpowiedziała.

— *Carajo!* — zaklął.

— Nie klnij, proszę cię — upominała go — zwłaszcza w obecności damy, która wkrótce wyda na świat małe hrabiątko! Opowiadała dalej o Carlosie.

— Przychodzi do mnie jako zwykły generał — mówiła — i nie po to, o czym myślisz. Pokazuje mi swoje zegarki, każe mi dotykać swoich bicepsów, zjadamy razem *olla podrida*, potem on gra coś na skrzypcach, a ja śpiewam mu parę pieśni.



— Teraz i mnie zaśpiewasz parę pieśni — zażądał. A widząc, że jest zmieszana i nie bardzo wie, jak przyjąć tę propozycję, dodał z gorzkim humorem: — Masz słusność, jestem głuchy jak pień, ale mimo to słyszę lepiej niż większość innych.

— No, zaśpiewaj zaraz! — powiedział z zawziętością. — Będę ci akompaniował.

Śpiewała, on grał i popłynęła melodia, jak zawsze w romancach, smętna, ognista, pełna słodczy. A od czasu do czasu jej głos i jego melodia brzmiały nawet zgodnie.

## VIII

Martin Zapater zabawił w Madrycie dłużej, niż pierwotnie przewidywał; miał tu rzekomo jakieś interesy do załatwienia. W rzeczywistości jednak poświęcał cały swój czas przyjacielowi. Czuwał, aby Francisco nie wychodził sam na ulicę; obawiał się bowiem, by z powodu głuchoty nie uległ jakiemuś nieszczęśliwemu wypadkowi. Francisco nie znosił żadnej opieki nad sobą; Martin jednak tak chytrze to urządzał, że Goya, nie wiedząc o tym, był stale pod nadzorem.

Francisco nigdy dawniej nie otrzymywał tak licznych zamówień jak teraz, a Martin starał się o coraz to nowe, aby mu oszczędzić uczucia, że ludzie unikają go z powodu kalectwa. Goya przyjmował jednak tylko niewiele roboty, odkładając resztę zamówień na później.

Martin zasięgnął wiadomości o wszystkim, co mogło Goyę interesować. Zdołał także dowiedzieć się coś niecoś o Cayetanie. Księżna Alba, poinformował Francisca, prosiła u dworu o pozwolenie na wyjazd za granicę, do swoich krewnych w Italii, i podobno nie wróci do Hiszpanii, dopóki dwór nie odwoła jej z wygnania.

„Gdziekolwiek by była— pomyślał Francisco — cóż ją obchodzi kaleka?”

Pobył w zmiennym klimacie madryckim wyraźnie nie służył Zapaterowi. Wyglądał coraz gorzej, dręczył go nieustanny kaszel i rad był, że Francisco nie może słyszeć, jak brzydko kaszle.

Wreszcie oznajmił, że wraca do domu. Przyjaciele pożegnali się z sobą hałaśliwie, jak to było ich zwyczajem. Starali się nie okazywać po sobie wzruszenia, klepali się rubasznie po ramieniu,

zartowali ze swego wieku i dolegliwości, po czym Martin wyjechał do Saragossy. Natychmiast po jego wyjeździe wybrał się Francisco do miasta, aby nie kępowany niczyją opieką, przekonać się, jakim też wyda się Madryt głuchemu Goyi. Od domu, w którym mieszkał, niedaleko było na Puerta del Sol, główny plac stolicy, gdzie zbiegało się kilka szerokich ulic: Calle Mayor, Arenal, Carmen, Alcala i inne.

Goya zatrzymał się na Puerta del Sol w porze najbardziej ożywionego ruchu. Przystanął naprzód obok kramów i stołów handlarzy na Red de San Luis, potem wstąpił na Grandas, duży plac przed wejściem do kościoła San Felipe el Real, wreszcie zatrzymał się przy studni Mariblanca. Puerta del Sol uchodził za najhałaśliwszy plac świata, ale Goya mógł teraz tylko widzieć jego zgiełk i wrzawę. Potrącano go i wymyślano mu, gdzie tylko się obrócił, wszędzie był zawadą, ale nie zważał na nic, patrzył i radował się wrzawą. Jak obumarła wydała mu się Saragossa, tak ruchliwy i pełen życia był Madryt.

— Świeża woda! — krzyczeli *aquadores*<sup>1</sup> stojący dokoła studni Mariblanca, pod ową słynną, osobliwą figurą, o której nikt nie wiedział, czy przedstawia boginię Wenus, czy wiarę; tyle różnych rzeczy widziała i słyszała, a przecież nic nie wypaplała, choć była kobietą.

— Świeża woda! — krzyczeli *aquadores*. — Kto chce się napić? Świeża, źródłana!

— Pomarańcze! — darły się *naranjeras*<sup>2</sup> — dwie za *quarto*!

— Może powozik, senior? — zachęcali dorożkarze. — Proszę zobaczyć, co za elegancki wózek! A jakiego ślicznego mam muła! Może mała przejażdżka do Prado albo gdzie indziej?

— Proszę o miłosierny datek — zebrał jakiś kaleka — przez miłość Najświętszej Dziewicy! Mały datek dla dzielnego weterana, który w wojnie z kacerzami stracił obie nogi.

— Jak się masz, miły chłopczyku? — ofiarowywała swoje wdzięki jakaś usłużna dziewczyna. — Czy chcesz zobaczyć, jaki mam ładny pokoik? Chcesz zobaczyć moje łóżeczko? Miękkie, śliczne łóżeczko, drugiego takiego nie ma na świecie!

— Czyńcie pokutę za wasze grzechy! — grzmiał z mównicy jakiś duchowny. — Czyńcie pokutę i kupujcie rozgrzeszenie!

1/ A q u a d o r e s — roznosiciele wody.

<sup>2</sup> Naranjeras — sprzedawczynie pomarańcz.

— Gazety, nowe gazety! *Diano! Gaceta!* — wrzeszczeli roznosiciele gazet. — Ostatnie trzy egzemplarze!

Tu rozbrzmiewają głośnie rozmowy oficerów gwardii, tam znów *cortejos* odczytują swym damom na głos barwne plakaty, gdzie indziej hałasują żołnierze gwardii królewskiej i szwajcarskiej; ci, którzy pragną wnieść prośby i podania do władz, dyktują je ulicznym pisarzom; jakiś kuglarz popędza swą małpkę do tańca; *proyectistas* gorąco spierają się ze sobą o projekty reformy państwa i świata; handlarze starzyzny zachwalają niestrudzenie swe towary.

Goya stał i patrzył. „Gdy jesteś na Puerta del Sol — mówiło przysłowie — strzeż się kobiet przed sobą, mułów za sobą, wozów obok siebie, a gadułów przed sobą, obok siebie i za sobą.” Goya nie strzegł się wcale, znał tutaj każdy okrzyk i każde słowo, a choć nic nie słyszał, rozumiał to wszystko lepiej niż kiedykolwiek.

Potem zobaczył ślepa śpiewaczkę uliczną, która śpiewała ballady. W Madrycie odnoszono się z nieufnością do ślepców; zbyt wielu udawało ślepych, aby tym łatwiej dokonywać kradzieży kieszonkowych lub budzić więcej litości. Toteż mieszkańcy Madrytu często płatali prawdziwym czy fałszywym ślepcom okrutne figle i Goya nieraz brał w tym udział. Teraz na widok ślepej artystki uświadomił sobie boleśnie swoją głuchotę. Śpiewała akompaniując sobie na gitarze. Skleciła widocznie jakąś niezłą balladę o morderstwach i strasznych czynach, gdyż wszyscy słuchali z naprężoną uwagą, lękiem i radością; Goya nie rozumiał ani słowa, chociaż uważnie wpatrywał się w usta śpiewaczki. Partner śpiewaczki pokazywał jednocześnie słuchaczom obrazki, ilustrujące treść śpiewanej ballady; były to pstre bohomyzy. Goya roześmiał się nagle: przyszło mu na myśl, że on nie słyszy słów śpiewaczki, a ona nie widzi obrazków.

Bohaterem ballady był Maragoto, ów groźny bandyta, którego schwytał dzielny mnich Zaldivia. El Maragoto nie był bandytą szlachetnym, lecz tępym, bestialskim zbrodniarzem, żądnym krwi i złota, a gdy ubogi mnich ofiarował mu jako okup sandały — całe swoje bogactwo — bandyta zamierzył się na niego, chcąc go zabić kolbą swej strzelby. „Nie jesteś wart nawet kuli z tymi swoimi sandałami!” — krzyczał. Ale dzielny mnich rzucił się na niego, wyrwał mu strzelbę, postrzelił uciekającego w tylną część ciała i związał go. Cały kraj sławił dzielnego kapucyna, a tłum słuchający ballady na Puerta del Sol słuchał z wielką ciekawością śpiewu ślepej artystki, która odśpiewała tę opowieść z wielu barwnymi szczegółami. Goya czuł się jak wyłączony z grona słuchaczy.

Kupił sobie tekst ballady, aby go spokojnie w domu przeczytać.

Było już późne popołudnie, dzwony biły na Anioł Pański, kupcy zapalali światło w swych sklepach, przed bramami domów i obrazami Matki Boskiej zapalano latarnie. Goya ruszył z powrotem ku domowi.

Na balkonach siedzieli ludzie zażywając wieczornego chłodu. Na balkonie jakiegoś ciemnego, podejrzanego wyglądającego domu, prawie zupełnie pozbawionego okien, siedziały dwie ładne, tęgie dziewczyny, jasno ubrane. Przechylone przez balustradę, opowiadały sobie widocznie coś ciekawego, przy tym jednak strzelały oczyma do przechodzących mężczyzn. W tyle za dziewczętami, ukryci w głębokim cieniu, stali nieruchomo dwaj młodzi ludzie, tak otuleni płaszczami, że nie można było rozróżnić ich twarzy. Goya spojrzał w górę, zwolnił kroku, w końcu przystanął. Przyglądał się widać zbyt długo, bo owinięci w płaszcze młodzieńcy poruszyli się; był to gest nieznaczny, ale niebezpieczny. Goya pomyślał, że lepiej pójść dalej. Tak, te dwie dziewczyny na balkonie to były najprawdziwsze *maje* z Manolerii, *maje* zalotnice, obwieszane błyskotkami; a za nimi stał cień i groźba, jak być powinno.

Następnego dnia zapytał go Agustin, czy nie czas zabrać się do portretu markiza de Castrofuerte. Goya odpowiedział przeczącym ruchem głowy. Miał teraz co innego do roboty; malował to, co wczoraj przeżył. Namalował sześć niewielkich obrazków na drzewie, przedstawiających dzieje bandyty El Maragoto: groźny zbój godzi na życie kapucyna przed bramą klasztorną, a dzielny i przytomny mnich strzela, rani go i bierze w niewolę. Była to prosta, niewyszukana opowieść, zawierała treść ballady i prostą bezpośrednią radość, z jaką tłum na Puerta del Sol ją przyjął.

Potem stanął mu przed oczyma obraz Punala i egzekucji, której był świadkiem na Corredera w Kordobie. Namalował martwego bandytę, jak leżał na miejscu kaźni, uduszony, brodaty, w żółtej koszuli skazańca, sam, w jaskrawym świetle słonecznym.

Tego samego dnia — gnało go coś, aby zabrać się do tego obrazu jeszcze tegoż dnia — zaczął malować *maje* siedzące na balkonie, najprawdziwsze *maje* i ich groźnych, stojących w cieniu przyjaciół; oddał ich kuszący powab, który rozpala zmysły mężczyzn, i ten niebezpieczny cień za nimi, potęgujący jeszcze pokusę.

Pokazał Agustinowi.

— I cóż, czy lepiej byłoby, gdybym namalował portret markiza de Castrofuerte? — zapytał z dumą i zadowoleniem.

Agustin przełknął ślinę i mlasnął językiem.

— Od ciebie człowiek uczy się ciągle czegoś nowego — rzekł. Bo też było to w istocie zupełnie nowe malarstwo, różne od manieri, w której Francisco malował dawniej tego rodzaju sceny. Na projektach do gobelinów królewskich Francisco przedstawiał sceny z bandytami i *majami*. Ale były to obrazy pogodne i niewinne, te zaś wcale nie były niewinne; budziły w Agustinie zdziwienie i niepokój, a jednocześnie zachwyt, że pierwszy malarz króla w ten sposób maluje. Francisco cieszył się i przechwalał swym dziełem.

— Słyszysz, jak ten Maragoto wygraża mnichowi; — pytał. — Słyszysz huk wystrzału? A tu, słyszysz szepty tych dziewcząt? Czy poznałby kto, że to malował człowiek głuchy? Widzisz? Nauczyłem się znowu czegoś nowego! *Plus ultra!*

— Co postanowiłeś zrobić z tymi obrazkami? — spytał Agustin. — Księżna Osuna kupiłaby chętnie kilka, ucieszyłaby się z pewnością *Zbójem Maragoto*.

— Tych obrazków nie sprzedam — odparł Goya. — Zrobiłem je dla siebie. Ale je podaruję. Możesz dostać jeden z nich, resztę podaruję Josefie.

Josefa, zdumiona, zarumieniała się z radości. Uśmiechając się napisała mu swym powolnym pismem, którego wyuczyła się w klasztorze: „Dziękuję ci”, i postawiła pod tym krzyżyk, jak zawsze, kiedy coś pisała.

Francisco spojrział na nią. Zeszczupiała w ostatnich czasach i jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Nie mieli sobie wiele do powiedzenia, mimo to teraz często odczuwał ochotę, by z nią pogawędzić. Wielu przyjaciół, a nawet ludzi obcych nauczyło się dla niego rozmawiać na migi; Josefa nie zadała sobie tego trudu; było mu przykro z tego powodu i miał do niej żal.

Zaprzagnął też nagle zrobić jej portret. Widział ją dzisiaj inaczej i wyraźniej niż dawniej. Widział uderzające podobieństwo Josefy do brata, co go często drażniło, widział także jej brak wiary w wartość jego, Francisca, sztuki. Dziś jednak widział coś jeszcze, czego dawniej nie chciał w niej dostrzec: smutek płynący z głębokiego uczucia i troskę z powodu jego bezbożnego trybu życia, braku dyscypliny i umiaru.

Josefa okazała się dobrą i cierpliwą modelką. Siedziała na krześle, wyprostowana, tak jak jej przykazał, ramiona miała okryte kosztownym, nieco sztywnym szalem. Podkreślił w portrecie jej aragoński upór i dumę, jej dobrą postawę i surowy wdzięk. Patrzył na nią z miłością; nie upiększył jej, zrobił ją tylko nieco młodszą. Namalował ją w pozycji siedzącej, z głową uniesioną w górę, okoloną ciężkimi rudawozłotymi warkoczami. Twarz pociągła, długi nos, wąskie, zaciśnięte wargi. Coś ostrego wyczuwa się w rysach jej twarzy; bladoróżowa cera jest już lekko przywiedła, spadziste ramiona są nieco pochylone. Duże, pełne blasku oczy patrzą ze smutkiem w dal. Ręce w popielatych rękawiczkach leżą bezwładnie na kolanach, palce lewej ręki, sztywno rozstawione, spoczywają na prawej dłoni.

Był to portret dobry, zrobiony z miłością, ale brakło mu pogody. Różnił się bardzo od portretu malowanego w Saragossie, gdzie przedstawił ją z dwojgiem dzieci. Nie było pogody w samym Goyi, kiedy malował ten ostatni portret Josefy.

Tak, ostatni jej portret. Bo w kilka dni po ukończeniu obrazu Josefa zaniemogła i położyła się do łóżka. Nikła, gasła niemal w oczach. Przyczyna śmiertelnej jej słabości była jasna: klimat miasta Madrytu, jego groźne zimy, skwarne lata i gwałtowne wichury; wyczerpały Josefę również liczne ciążę i porody.

Teraz, gdy zbliżał się zgon, ta milcząca zazwyczaj kobieta miała dużo do powiedzenia. Francisco niesłusznie się gniewał, że Josefa nie nauczyła się rozmowy na migi. Owszem, umiała mówić na migi, a jeśli nigdy nie porozumiewała się z nim w ten sposób, to chyba z uporu. Teraz zaczęła posługiwać się osłabłymi palcami, ale trwało to nie dłużej jak dwa lub trzy dni, ciążyły jej ręce. Patrzył, jak z ogromnym wysiłkiem starała się poruszać wargami, by mu jeszcze coś ważnego powiedzieć, i odczytywał z jej ust wyrazy:

— Bądź oszczędny, Francho! Oszczędzaj się! Nie trwoń pieniędzy!

Umarła tak, jak żyła, cicho, nie sprawiając nikomu kłopotu, z upomnieniem na ustach.

Twarz zmarłej żony, otoczona gęstymi rudawoblond włosami, wydała mu się teraz mniej zmęczona niż w ostatnich czasach. Myślał o tym życiu, które z nią przeżył, wspominał jej smukłe, delikatne dziewczęce ciało, kiedy ją brał po raz pierwszy; w bólach, bez jęku rodziła mu dzieci, znosiła wiele z jego powodu, nie skarżąc się nigdy; wspominał brak zrozumienia dla swej sztuki i jej niczym nie zachwianą miłość. Okrutny los zabrał mu ją teraz właśnie, kiedy się wzajemnie do siebie zbliżyli i lepiej poznali.

Ale nie poddał się temu bólowi z taką gwałtownością i rozpaczą jak dawniej, kiedy go nieszczęścia spotykały. Był jak gdyby

porażony, czuł głuchą, ponurą pustkę, świadomość bezlitosnego osamotnienia. Wyprawił Josefie skromny pogrzeb, daleki od przepychu, z jakim chował niegdyś małą Elenę. Wracając z cmentarza rzekł do przyjaciół słowami starej sentencji: „Martwi do grobu, a żywi *do stołu!*” Odetchnęli z ulgą, widząc, że zniósł ten nowy cios z opanowaniem. On sam zaś sądził, że uwolnił się od wroga we własnej piersi

## IX

Z Saragossy przyjechała niespodziewanie matka Francisca, aby pocieszyć syna. Znalazła dla zmarłej synowej słowa uznania, choć przed laty, kiedy mieszkała w Madrycie, nie żyła z nią w zgodzie.

Podróż odbyła sama. Tomas, a także proboszcz Manuel Bayeu chcieli jej oczywiście towarzyszyć. Wolą jednak zaoszczędzić Franchowi tych gości, wiedziała, że znów by go nagabywali, aby im posyłał więcej pieniędzy, a to było niepotrzebne. Byłaby się chętnie zgodziła jechać z Martinem Zapaterem, ale ten jest niestety znowu chory, męczy go dawny kaszel; tym razem pluje nawet dość mocno krwią.

Goya wzdrygnął się. Suche, trzeźwe słowa matki wywołały w nim zabobonny strach; zaniepokoił się o Martina. Wielu jego przyjaciół, których malował, zmarło po sportretowaniu i żyją już tylko na jego obrazach. Czyż nie było tak samo z Josefą? Umarła po skończeniu portretu. Tak, niewątpliwie: ilekroć maluje kogoś z oddaniem, odbiera mu kawał życia; portretowany pozostaje na obrazie i traci sporą część swego rzeczywistego bytu. Tak, przynosi widocznie ludziom nieszczęście, zupełnie jak Cayetana; może to właśnie przykuło go do Cayetany.

W obecności trzeźwej, rozsądnej doni Engracii ulotniły się te czarne myśli. Staruszka czuła się krzepko i chociaż niedawno zrobił jej portret, zdrowie jej widocznie na tym nie ucierpiało.

Szkoda tylko, że tak nie cierpi swego wnuka Javiera.

— Nie podoba mi się ten chłopak — powiedziała szorstko. — Ma wszystkie złe rysy rodziny Bayeu i wszystkie złe rysy Goyów. Zadziera zbyt wysoko nosa, jest załgany i rozrzutny. Powinieneś pomówić z nim poważnie, Francho — i przytoczyła stare mądre

przysłowie: — „*Al hijo y mulo para El culo!* Do syna i do muła zabieraj się od tyłu!”

Wytworny i elegancki Javier czuł do swej nieco prostackiej babki z Aragonii równie mało sympatii jak ona do niego. Natomiast przyjaciele Goyi, Agustin, Miguel, Quintana, prześcigali się w okazywaniu uprzejmości matce Francisca. Don Miguel namawiał Francisca, aby wraz z matką złożył wizytę u dworu i przedstawił ją królowi i królowej, aby seniora Engracia mogła zobaczyć na własne oczy, jak wysoko król i Maria Luiza cenią jej syna. Ale staruszka zachnęła się.

— Ja nie pasuję do dworu — powiedziała — tak samo jak i ty, Francho. Kto się urodził cebulą, nigdy nie będzie różą.

Niedługo już została w Madrycie i pomimo nalegań Francisca postanowiła, że podróż powrotną odbędzie również sama. Czyż Francho nie odbył samotnie swej podróży do Saragossy?

— Zawsze łatwiej staruszce niż głuchemu — oświadczyła.

Przed samym wyjazdem udzielała mu jeszcze rad, które przypominały mu napomnienia Josefy: aby był przezorny, aby oszczędzał, aby swemu bratu i szwagrowi, tym chciwym krukowi, nie dawał za dużo pieniędzy.

— W testamencie będziesz mógł zapisać im coś więcej — radziła — ale za życia nie radzę ci podwyższać im zasiłków. A przede wszystkim, Paco, bądź raczej zbyt skromny niż zbyt dumny! Nie wpadaj w pychę. Widzisz, do czego to prowadzi. „Im wytworniejsza suknia, tym więcej znać na niej brud.”

Pomógł jej wsiąść do dylizansu pocztowego. *Mayoral*, pierwszy woźnica, i jego pomocnicy poczęli krzykiem poganiać konie.

— *Macho, macho!* — krzyczeli, a ponieważ koń lejcowy nie od razu ruszył z miejsca, klęli głośno: — *Que perro!*

Pośród tej wrzawy matka wyrzała przez okno i powiedziała doń:

— Niech cię Najświętsza Dziewica ma w swojej opiece, Paco!

Francisco widział przekleństwa woźnicy, widział błogosławiące słowa matki; jedne i drugie pomieszały się w jego duszy. Wreszcie olbrzymi pojazd potoczył się naprzód. Francisco pomyślał, że już pewnie tej starej kobiety w swym życiu więcej nie zobaczy.

Trapiła go myśl, że donia Engracia i syn jego Javier nie zgadzali się wzajemnie. Kochał Javiera, rozpieszczał go dalej; podobało mu się wszystko, co Javier mówił, i sposób, w jaki mówił. Javier wrastał mu coraz głębiej w serce. Nie, matka nie ma racji. nie może mieć racji; chłopak jest wart tego, aby go rozpieszczać.



Zaczął pracę nad portretem syna. Poznawał ludzi lepiej, kiedy ich malował. Niczego nie przeoczył, nie pominął ujemnych cech chłopca, które widziała w nim Josefa, a zwłaszcza babka, choć były to błędy, które upodabniały poniekąd Javiera do tego lalkowatego nicponia, markiza de San Adrian. Ale włożył też w ten portret całą swą miłość dla syna; namalował strojnego modnisią, traktując z ironiczną czułością tego pełnego wdzięku młodego firicyka. Portret przedstawia dorastającego zaledwie chłopca w przesadnie eleganckim perłowoszarym surducie o długich połach, w obcisłych pantalonach i wysokich czarnych butach; nogi trzyma w modny sposób skrzyżowane. Na rękach ma żółte rękawiczki, w jednej ręce laseczkę i trójgraniasty kapelusz, drugą wetknął pod kosztowny, biały koronkowy żabot, spod kamizelki zwisają ciężkie breloki. U nóg smukłej, wysokiej postaci przykucnął śmieszny, biały modny psiak z czerwoną wstążeczką. Twarz chłopca jest pociągła, krótkie rudoblond loki spadają mu na czoło; oczy i długą górną wargę odziedziczył po matce, gruby, wydatny nos po ojcu. Obraz tonie w powodzi delikatnych, jaśniejszych i ciemniejszych szarych tonów, które, w czarowny sposób przechodzą jedne w drugie.

Stojąc przed gotowym portretem pojął Francisco dobrze, które cechy charakteru Javiera martwiły Josefę i jego babkę. On sam jednakże miał słabość do Javiera, nie pragnął w nim zmiany, lubił jego afektację i młodzieńcze zamiłowanie do elegancji i zbytku.

W tym czasie Franciscowi przestał nagle podobać się dom, w którym mieszkał, ów z przepychem urządzony dom przy Carrera de San Jerónimo. Nie było już Eleny ani Mariana, został sam z Javierem. Dom i meble były zniszczone i przestarzałe.

Kupił inny dom, tuż za miastem, ale już na wsi, nad brzegiem Manzanaresu, w pobliżu mostu Puente de Segovia. Był to stary, obszerny dwupiętrowy budynek, typowa siedziba wiejska, *quinta*, w rozległym, otwartym terenie. Miał stamtąd wspaniałe widoki: z jednej strony na swą ulubioną Pradera<sup>1</sup> de San Isidoro, którą wielokrotnie malował, i rozciągające się poza nią jego miasto, Madryt. z drugiej strony na góry Guadarrama.

Urządził sobie tę siedzibę niezwykle skromnie. Zauważył z tajonym uśmiechem, że jego synowi Javierowi nie bardzo odpowiada zbytnia prostota nowej siedziby, i sam go zachęcał, aby własne pokoje urządził według swego upodobania, z przepychem.

1/ Pradera – łąka

Pozostawił mu kosztowne fotele i krzesła oraz taborety obite złotym adamaszkiem ze swego mieszkania przy San Jerónimo. Oddał mu także większość obrazów; dla siebie zatrzymał ów portret Cayetany, który namalował nie na jej zamówienie, lecz dla własnej przyjemności. Poza tym w obszernych pokojach, w których zamieszkał sam, ustawił tylko najniezbędniejsze meble. Dawną jego pracownię zdobiły gobeliny i cenne obrazy, ściany zaś obecnej *quinty* były nagie.

Siedział i patrzył z chytrym uśmiechem na te gołe ściany. Miał zamiar pokryć je malowidłami. Na tych ścianach będą obrazy wyłącznie z j e g o świata; jego spostrzeżenia i j e g o własna wyobraźnia kierować będą pędzlem; nie będzie posłuszny żadnym innym prawidłom prócz swych własnych, lecz ten jego wewnętrzny świat będzie mimo to światem rzeczywistym.

Ale zanim zdoła wykonać to, co zamierza, musi się jeszcze wielu rzeczy nauczyć. Osiągnął już wprawdzie wiele w sztuce, ale jest to dopiero pierwszy jej szczebel. Podobnie jak przed wędrowcem, który wspiał się na szczyt górski, odsłania się widok na całe odległe, bezchmurne pasmo gór, tak i on teraz dopiero, w tym roku cierpień, obłądu, głuchoty, osamotnienia i świtającego poznania zobaczył swój prawdziwy, bardzo odległy i bardzo wysoki cel. Po raz pierwszy powstało w nim niejasne przecucie tego celu, gdy po haniebnym i upokarzającym widowisku, jakim był sąd nad Pablem Olavide, malował *Inkwizycję*, *Dom obłąkanych* i inne małe obrazy. Dziś uświadamia to sobie dokładniej: zewnętrzne spojrzenie musi uzupełnić widzeniem wewnętrznym, nagą rzeczywistość otaczającego świata wizjami własnego mózgu. Dopiero kiedy tak nauczy się malować, pokryje obrazami ściany swojej *quinty*.

Urządził dom z niezwykłą skromnością, ale tym większą wagę przywiązywał do swego stroju. Ubierał się teraz podług nowej, paryskiej, mieszczańskiej mody. W stroju dworskim pokazywał się tylko tam, gdzie tego wymagała etykieta; poza tym zamiast spodni do kolan, *calzas*, nosił długie pantalony, a zamiast trójgraniastego kapelusza sztywny wysoki kapelusz, *bolivar*. Uszy, które i tak już nic nie słyszały, zasłaniał włosami. Widywano go często, jak pełen siły i godności przechadzał się po swoim dużym, zaniedbanym ogrodzie, z ponurą miną na lwiej twarzy, w wysokim kapeluszu i z laską w ręku. Nazywano go *el sordo en la huerta*, głuchy w ogrodzie, a dom jego *la quinta del sordo* — willą głuchego.

Nosił teraz zawsze przy sobie blok i ołówek, aby ludzie, którzy chcieli mu coś powiedzieć, mogli to napisać. Ale coraz częściej

szkicował w swoim notatniku małe, naprędce rzucone rysunki, odręczne projekty, migawki swych przeżyć wewnętrznych i wrażeń. Przyswoił sobie również nową metodę Agustina, pracował z nim dużo i nieraz, nie kępując się, zasięgał jego rady.

Tak jak w dawnym mieszkaniu przy San Jerónimo, dzielił również i tu pracownię swą z Agustinem. Ale kiedy zabrał się do wykonania nowych rysunków, by je następnie wyryć na płycie, poczuł, że przeszkadza mu w tym obecność nawet tego wiernego i pełnego taktu współpracownika. Wynajął sobie inną pracownię na najwyższym piętrze wysokiego, przepelnionego lokatorami domu, w najhałaśliwszej dzielnicy miasta, na rogu Calle de San Bernardino. I tę pracownię urządził bardzo ubogo; oprócz najkonieczniejszych sprzętów kazał umieścić tam tylko narzędzia rytownicze, płyty miedziane, prasę i inne niezbędne przybory techniczne.

Tu więc przebywał teraz Goya. Wykwintny strój dziwnie odbijał od ubóstwa pracowni. Francisco uśmiechał się smętnie, gdy myślał o tym, że Josefa nie żyje i nikt już nie będzie się krzywił, że nie wkłada do pracy ochronnego kitla. Tu siedział i pracował. Z przyległych mieszkań, z niższych pięter, z niezmiernie ruchliwej Calle de San Bernardino dochodził zgiełk i wrzawa, on jednak siedział spowity w swą ciszę i przeprowadzał nowe, śmiałe, wielkie próby; naga pracownia stała się jego ulubioną pustelnią, *ermita*.

Nowa metoda Agustina pozwalała Goyi osiągnąć nowe, nie znane dotąd efekty i był z tego rad, świat bowiem zapelniający jego wyobraźnię, który zamierzał przenieść na płytę, był bogaty i różnorodny. Byli tam ludzie, rzeczy i doświadczenia z jego chłopskiego dzieciństwa w Fuendetodos i wspomnienia drobnomieszczańskiej młodości z Saragossy, byli ludzie i zdarzenia z okresu życia dworskiego, był miejski świat Madrytu i świat królewskich rezydencji. Długi czas sądził, że owe wczesne przeżycia, owe najniższe warstwy jego świadomości zatarły się zupełnie i że został tylko Goya-dworak. Ale teraz, odkąd ogłuchł, odkąd odbył ową podróż na mule z poganiaczem Gilem, przekonał się z radością, że ta przeszłość żyje w nim jeszcze. Stał się innym, nowym Goyą, mądrzejszym od dawnego, człowiekiem, który wiele się nauczył, żyjąc z chłopami i mieszczanami, z bywalcami dworskimi, z pospólstwem i z upiorami.

Kiedy był młody, wybuchał w nim nieraz bunt, gotów był z całym światem brać się za bary. Ale z czasem nauczyło go doświadczenie, że kto próbuje siłą narzucić się światu, tego los bije po głowie. Przystosował się później i z ochotą uczestniczył w

bujnym, wygodnym życiu dworskim. Ale tu poznał drugą prawdę: kto wyrzeka się siebie i przystosowuje bez reszty, tego również los bije po głowie, ten zatraci siebie, i swoją sztukę. To go nauczyło, że nie należy łamać ostrych kantów, lecz starać się raczej naginać i zaokrąglać, zarówno świat, jak i siebie samego.

Zdawało mu się chwilami, że wszystko, co dotąd przeżył, zmierzało tylko do tego, by sprowadzić go tutaj, do tej obszernej i widnej, nagiej pracowni przy Calle de San Bernardino, i że wszystko, co dotąd w życiu namalował i narysował, było tylko wstępnym ćwiczeniem do prac, które ma teraz wykonać. Siedząc w swojej pustelni, wchłaniał w siebie świat zewnętrzny, który się narzucał jego oczom, zmuszając ten świat jednocześnie, by był taki, jak on go widział.

Tak też począł rzucać go na papier, rysować i rytować na płycie. *Hombre!* Było to coś innego niż ślęczeć nad zamówionym portretem i uważać, by matolek, który portret zamówił, rozpoznał siebie na obrazie. Tu wolno mu malować prawdziwą prawdę. *Hombre! Co za rozkosz!*

Podobnie jak w ubóstwie *quini*, znajdował teraz przyjemność w prostocie i oszczędności środków, do których zmuszał go materiał jego nowej sztuki. Światło i barwa to *rzeczy* wspaniałe, nieraz już upajał się nimi i nieraz jeszcze do nich powróci. Ale dziś w chwilach samotności lżył niekiedy swoje własne, dawniejsze obrazy. Były kolorowe jak małpi kuper! Do jego nowych, zgryźliwych, kolących i wesołych, wnikliwych „wglądów” nadaje się tylko jedno narzędzie: rylec sztycharza, i dwie barwy: czerń i biel.

Zawiadomił Akademię, że ze względu na swoje kalectwo zmuszony jest z bólem serca prosić o zwolnienie z urzędu. Akademia zamianowała go rektorem honorowym i urządziła z okazji jego ustąpienia reprezentacyjną wystawę jego obrazów.

Król wypożyczył na tę wystawę *Rodzinę Carlosa*.

Na temat śmiałego obrazu obiegały liczne pogłoski. Na uroczystym otwarciu wystawy zjawili się nie tylko członkowie dworu pragnący okazać swe zainteresowanie dla sztuki i swą przyjaźń dla Goyi, ale i wszyscy, którzy uchodzili w Madrycie za ludzi postępowych.

Tu więc wisiał ten obraz, dokoła którego tyle było rozgłosu, uśmiechów i szeptanych na ucho komentarzy. Większość gości, którzy oglądali go po raz pierwszy, stała oniemiała ze zdumienia.

Wreszcie wśród ogólnego zaciekawienia zgromadzonych zjawiał się Goya, prowadzony przez przewodniczącego komitetu

Akademii, markiza de Santa Gruz, i stanął przed swoim dziełem. Krępy, w stroju nieco przyciasnym, wyglądał starzej niż na swoje lata; stał z oczyma przymrużonymi, z wysuniętą dolną wargą i przyglądał się swoim Burbonom, a za nim tłoczyli się dworacy, mieszczanie i artyści miasta Madrytu. Nagle, kiedy go zobaczono stojącego przed obrazem, zerwały się burzliwe owacje. Wołano:

„Niech żyje Hiszpania!”, „Niech żyje Francisco Goya!”, „Viva!”, „Ole!” Klaskano w ręce. Ale Goya nie słyszał tego wszystkiego. Dopiero kiedy markiz de Santa Gruz pociągnął go za rękaw i łagodnym ruchem obrócił ku widzom, zobaczył Francisco, co się dzieje, i podziękował poważnym ukłonem.

Wielki Inkwizytor don Ramón de Reynoso y Arce przyglądał się malowidłu. Uprzedzono go, że obraz jest zuchwałą drwiną z monarchii z bożej łaski. I uznał, że nie ma przesady w tym, co mu opowiadano.

— Gdybym był królem Carlosem — powiedział po łacinie — nie zamianowałbym Goyi pierwszym malarzem, lecz zwróciłbym się do Świętego Officium, by wydało opinię, czy nie zachodzi tu zbrodnia *laesae maiestatis* <sup>1</sup>.

## X

Don Manuel dobrze to sobie obmyślił, kiedy proponował królowi, aby liberała Urquijo zamianował pierwszym sekretarzem stanu reakcjonistę zaś i ultramontanina Caballero ministrem sprawiedliwości. Ale nie wziął pod uwagę jednego: że don Mariano Luis de Urquijo nie był samolubnym politykiem; postępowe idee, które wyznawał, były dla niego czymś więcej niż ulubionym tematem modnej salonowej rozmowy. Wprawdzie, zgodnie z przewidywaniami don Manuela, obaj ministrowie w istocie zwalczali się nawzajem i usiłowali krzyżować wzajemnie swoje zarządzenia, ale Urquijo okazał się gorącym patriotą i mężem stanu dużej miary, z którym chytry, lecz samolubny i ograniczony Caballero nie mógł się mierzyć. Toteż na przekór intrygom Caballera udało się Urquijowi osłabić zależność Kościoła hiszpańskiego od Rzymu i zmusić hiszpańskich ultramontanów, aby sumy pieniężne, które dotąd wysyłali do Rzymu, przekazywali na rzecz Korony hiszpańskiej; udało mu się również ograniczyć zakres jurysdykcji Świętego Officium. Największe jednak sukcesy

1/ *Laesae maiestatis* (łac.) — obrazy majestatu.

odnosił Urquijo w polityce zagranicznej. Nie tylko uniknął koncesji na rzecz Republiki Francuskiej, które don Manuel uważał za nieodzowne, ale zręczną taktyką rozumnych ustępstw w sprawach drobnych i stanowczym a uprzejmym uporem w sprawach ważnych wzmocnił pozycję Korony hiszpańskiej wobec jej potężnego i zwycięskiego, a bardzo trudnego sprzymierzeńca.

Don Manuel był rozczarowany. Donia Maria Luiza nie wyciągnęła ku niemu błagalnie ramion; przeciwnie, królowa okazywała mu nadal lodowaty chłód, obsypując jednocześnie nowego prezydenta ministrów dowodami swej łaski i uznania.

Don Manuel utrzymywał na pozór przyjazne stosunki z Urquijem, knuł jednak cichaczem niezliczone intrygi, aby pokrzyżować jego plany. Gdzie tylko mógł, szedł na rękę klerykalnemu Caballero: zachęcał ultramontanów, by z ambon i w prasie podnosili wrzask na bezbożnego prezydenta ministrów, podjudził Radę Kastylijską do wystąpienia wobec króla z protestem przeciwko pobłażliwości cenzury tolerowanej przez Urquija.

Szczególnie jednak starał się don Manuel kłaść Urquijowi kłody pod nogi w polityce zagranicznej. Rząd paryski spostrzegł niebawem, że pierwszy sekretarz stanu to niezwykle mądry i świadomy swego celu przeciwnik; rozpoczął więc w Madrycie knowania, aby go obalić. Tymczasem Manuel przypomniał się przychylniej pamięci paryskiego rządu i dostarczył wkrótce Dyrektoriatowi pożądanego pretekstu do żądania dymisji Urquija.

Brat króla Carlosa, Ferdynand, król Neapolu, ku tajemnej radości Carlosa przystąpił był do koalicji anty francuskiej, lecz po krótkiej wojnie, pobity na głowę, złożony został z tronu. Manuel podsunął monarsze myśli, aby zażądał korony Neapolu dla swego drugiego syna. Było to zuchwałe żądanie; król Carlos, jako sprzymierzeniec Francji, powinien był raczej skłonić swego brata, by pozostał neutralny. Urquijo starał się przekonać króla, że żądanie jego sprzeciwia się elementarnym zasadom politycznego rozumu i że może wywołać jak najszkodliwsze następstwa. Król jednak za poradą Manuela uparł się i Urquijo musiał wystąpić w Paryżu z żądaniem korony neapolitańskiej dla królewiczki hiszpańskiej. Jego pesymistyczne przewidywania spełniły się. Dyrektoriat uznał żądanie to za śmieszne i bezcelne; udzielił na nie ostrej odpowiedzi i zażądał od króla, by zwolnił ministra, który śmiał wystąpić wobec Republiki z tak obraźliwą pretensją. Manuel wmówił królowi, że Paryż jest urażony na skutek niezgrabnej formy wystąpienia Urquija i że tylko to spowodowało nieprzyjemną notę francuską. Król, ulegając naciskowi

doni Marli Luizy i mając na uwadze względy prestiżu, zatrzymał wprawdzie Urquija na urzędzie, wyraził mu jednak swe niezadowolenie i zawiadomił o tej naganie rząd Republiki.

Manuel triumfował w duchu. — Ten lis skończy wkrótce swoją karierę u handlarza futer w Burgos — przytoczył stare przysłowie.

Ale tu nastąpił znowu jeden z tych szczęśliwych przypadków na które don Manuel zawsze liczył i którym w istocie tak wiele w swym życiu zawdzięczał. Napoleon Bonaparte powrócił z Egiptu i ogłosił się pierwszym konsulem. Przywykły do zwycięstw wódz i mąż stanu nie myślał prowadzić pertraktacji w sprawach hiszpańskich z tak opornym partnerem jak Urquijo i nie taił wcale, że rad zobaczy znów swego przyjaciela, infanta don Manuela, na czele rządu Hiszpanii.

Napoleon nie był bynajmniej skłonny czekać długo na spełnienie swych życzeń. Odwołał z Madrytu dotychczasowego ambasadora Trugueta i posłał na jego miejsce swego brata Lucjana, któremu wręczył projekt nowego traktatu hiszpańsko-francuskiego. Projekt ten był obliczony przebiegle na to, by zagrać na dumie rodowej doni Marii Luizy; dał przy tym Lucjanowi wskazówkę, aby rokowania w sprawie nowego traktatu prowadził nie z Urquijem, lecz z don Manuelem.

W poufnej rozmowie Lucjan poinformował infanta don Manuela, że pierwszy konsul zamierza z Wielkiego Księstwa Toskany i z posiadłości papieskich utworzyć nowe państwo, Królestwo Etrurii, a tron tego królestwa gotów jest ofiarować Luisowi, dziedzicznemu księciu Parmy, zięciowi hiszpańskiej pary królewskiej, jako odszkodowanie za utratę księstwa Parmy. Pierwszy konsul spodziewa się jednak, że Hiszpania w zamian za tę przysługę odstąpi Francji swą amerykańską kolonię Luizjanę. Manuel zorientował się, że propozycje te, aczkolwiek dla Hiszpanii nie bardzo korzystne, spodobają się z pewnością doni Marii Luizie, i przyrzekł nowemu ambasadorowi Lucjanowi Bonaparte, że przedstawi je parze królewskiej i gorąco poprze.

Donia Maria Luiza od czasu ostatniej gwałtownej sceny z Manuelem nie rozmawiała z nim bez świadków. Teraz zwrócił się do niej z prośbą o poufną rozmowę w sprawie politycznej. Przedstawił jej treść francuskiej propozycji i wyraził radość, że naprężenie stosunków z Republiką Francuską, spowodowane niezręcznością Urquija, zostało za jego, Manuela, pośrednictwem usunięte, czego dowodem jest wspólnomyślna oferta pierwszego konsula.

Podkreślił że nie można brać za złe pierwszemu konsulowi, jeśli w sprawach politycznych tak delikatnej natury jak utworzenie Królestwa Etrurii i wzajemne świadczenia Hiszpanii nie chce prowadzić rokowań z człowiekiem tak gburowatym jak Urquijo.

Donia Maria Luiza słuchała uważnie, z miną rozmarzoną i ironiczną. W miejsce Manuela wybrała sobie na kochanka porucznika gwardii Fernanda Mallo, którego zrobiła pierwszym szambelanem dziedzicznego księcia Parmy. Ów Mallo okazał się jednak brutalnym głupcem i już się jej sprzykrzył, a gdy teraz po tak długim czasie ujrzała znów Księcia Pokoju, poczuła dopiero, jak bardzo przez cały czas brakowało jej Manuela; ciało jej tęskniło za nim. Zdawała sobie sprawę, że Mariano Luis Urquijo był mężem stanu zgoła innego kalibru, ale Manuel miał widać słuszność; pierwszy konsul stanowczo nie chciał pertraktować z Urquijem, lecz z Manuelem.

— Jeżeli dobrze zrozumiałam, infancie — rzekła — to zdaniem pana traktat, o którym mowa, tylko pan sam może doprowadzić do skutku.

Manuel spojrział na nią z uśmiechem i odpowiedział:

— Sądzę, że fakt, iż jego ekscelencja ambasador Lucjan Bonaparte omawia ze mną tajne plany swego brata, jest dowodem zaufania, jakiego nie okazuje się byle komu. Ale może zapyta pani o to, madame, samego ambasadora Bonaparte — dodał zuchwale.

— Jak widzę, Manuelito, chcesz za wszelką cenę zostać znów pierwszym ministrem — rzekła królowa z afektacją pełną słodyczy — i to okreśną drogą poprzez generała Bonaparte.

— Myli się pani zupełnie, madame — odrzekł uprzejmie don Manuel. — Tak jak sprawy dzisiaj stoją, nie mógłbym przyjąć urzędu pierwszego ministra. Ilekroć pytałaby mnie pani o radę, przypominałbym sobie hańbę, która spotkała mnie z jej ręki.

— Wiem, że jesteś bardzo wrażliwy — rzekła królowa. — Co chcesz znów wymusić na mnie, *chico*, mój mały?

— Raczy wasza królewska mość zrozumieć — oświadczył don Manuel — że nie mogę przyjąć z powrotem urzędu bez otrzymania zadośćuczynienia.

— Otwórzcie wreszcie swoją bezwstydną gębę — odparła Maria Luiza — i powiedz, co chcesz dostać za to, by moja córka została królową Etrurii?

— Proszę unizenie — rzekł don Manuel nadając swojemu tenorowi głęboki ton — by wasza królewska mość przyjęła hrabinę Castillofiel w poczet dam swego dworu.



— Jesteś bezczelny — odparła Maria Luiza.

— Jestem ambitny — sprostował infant Manuel dla siebie i dla tych, którzy mi są bliscy.

Kiedy Pepa otrzymała za pośrednictwem markiza de Ariza, pierwszego szambelana królewskiego, pisemne zaproszenie ich królewskich mości, aby w dzień urodzin króla stawiała się w Eskurialu dla ucałowania ręki królewskiej, *besamano*, twarz jej rozjaśnił uśmiech szczęścia. W miarę postępującej ciąży czuła coraz większe zadowolenie. To, że miała być przedstawiona podczas ośmiu dni wielkiej gali, było dla niej nowym, szczęśliwym zrzędzeniem losu. Będzie tam niezawodnie Manuel, wszyscy będą obecni, cały dwór. Również i Francho; w dzień urodzin króla nie może przecież zabraknąć pierwszego malarza. A ona, Pepa, stanie przed królową i wszyscy będą je porównywać z sobą, cały dwór, Manuel, Francho.

Zaczęła się przygotowywać z radosną gorliwością. Przede wszystkim wyprawiła specjalnego kuriera do Malagi, do swego hrabiowskiego małżonka; należało ściągnąć tego starego idiotę do Madrytu, gdyż musiał być obecny przy przedstawieniu swej żony u dworu. Będzie niezawodnie robił trudności, trzeba się liczyć z wydatkiem kilku tysięcy realów, ale to się opłaci. Dobrze się składa, że nadeszła właśnie z Paryża, z pracowni mademoiselle Odette, nowa zielona suknia wieczorowa, którą zamówiła dla niej Lucia. Każe ją rozszerzyć nieco w stanie, i teraz, w ciąży, będzie jej w niej szczególnie do twarzy. Długo naradzała się z mademoiselle Lisette przy Puerta Cerrada, jak dokonać tej przeróbki. Poza tym studiowała gorliwie *Podręcznik ceremoniału*. Była to księga objętości osiemdziesięciu trzech stron dużego formatu; nie można jej było otrzymać w publicznej sprzedaży, wydawał ją tylko nadworny urząd marszałkowski osobom przyjmowanym u dworu.

W dzień przyjęcia zajechała z okazałą pompą, u boku swego trzęsącego się ze starości hrabiego, przed główny portal zamkowy. Tym razem nie wchodziła już do Eskurialu tylnym wejściem, lecz na zaproszenie gospodarzy. Szła przez sale i korytarze, zbudowane nad grobowcami zmarłych królów, mijając prezentujących broń gwardzistów i zgiętych w uroczystym ukłonie lokajów; podczas ośmiu wielkich dni galowych był na usługach cały personel dworski wraz z gwardią walońską i szwajcarską, wyższą i niższą służbą dworską — łącznie 1874 osoby.

Pepę przyjęła przy wejściu *camarera mayor*, markiza de Monte Alegre; obowiązkiem jej było przygotować damy, które miały być przedstawione ich królewskim mościom. Było ich dzisiaj dziewiętnaście

i to przeważnie bardzo młodych. Denerwowały się czekającym je uroczystym aktem; jedyną, która zachowała całkowity spokój, była hrabina Castillofiel; kiedy uczyła się gry scenicznej, miała często trudniejsze role do opanowania.

Gdy *camarera mayor* wraz ze swoją trzódką zjawiła się w sali tronowej, byli tam już zebrani grandowie, prałaci i ambasadorowie. Tłum niższej szlachty i wyższych urzędników dworskich ustawił się pod bocznymi ścianami dużej sali i zappełnił galerię. Wejście Pepy wywołało poruszenie. Pepa nie zmieszana rozglądała się dokoła, szukając znajomych. Wiele osób witało ją głębokimi ukłonami, odwzajemniała je uprzejmym ruchem głowy, z pogodą i spokojem. Zauważywszy na galerii Francisca, skinęła mu żywo ręką.

Z westybulu zabrzmiały dźwięki małych trąb, rozległy się okrzyki komendy, szczęknęły halabardy gwardzistów. Następnie drugi *mayor-domo* zastukał trzykrotnie laską i obwieścił:

— *Los Reyes Catolicos!*

W tejże samej chwili, pośród zgiętych w ukłonie gości, wszedł na salę Katolicki Król z królową, za nimi członkowie królewskiej rodziny z infantem Manuelem i jego małżonką, infantką. Ich królewskie mości usiadły na tronach. *Mayordomo mayor* zameldował, że grandowie państwa zebrali się, aby w tym szczęśliwym dniu złożyć Katolickiemu Królowi życzenia w imieniu szlachty.

— Oby Najświętsza Dziewica — zawołał — użyczyła Katolickiemu Królowi długich lat życia dla dobra Hiszpanii i całego świata!

Wszyscy powtórzyli ten okrzyk, w całym zamku rozległ się dźwięk trąb, z dużego kościoła zabrzmiały dzwony.

Wśród tych uroczystych odgłosów, przenikających stłumionym echem do olbrzymiej, ponurej, z przepychem urządzonej sali, wystąpiło naprzód dwunastu grandów pierwszego rzędu wraz z małżonkami, aby parze królewskiej ucałować rękę. Następnie rozpoczęła się prezentacja dziewiętnastu dam, w kolejności odpowiadającej ich randze; hrabina Castillofiel była siódmą z rzędu. Kiedy markiz de Ariza wywołał nazwisko Pepy, a markiz de la Vega Inclan powtórzył je, wśród zebranych na sali, pomimo uroczystej powagi, rozszedł się szmer napięcia i zaciekawienia. Pierwszy szambelan podprowadził Pepę do króla; Carlos, gdy go całowała w rękę, nie mógł powstrzymać lekkiego, ojcowskiego, przebiegłego uśmiechu.

Hrabina Castillofiel stanęła z kolei przed Marią Luizą. Była to chwila, której wszyscy z napięciem oczekiwali. Tuż obok stał don Manuel, infant, Principe de la Paz, ów mąż, którego wpływ

na królową i na losy Hiszpanii wszystkie gabinety Europy śledziły z uwagą, nadzieją lub troską, człowiek, o którego przygodach miłosnych opowiadano sobie w całym świecie, już to z odrazą, już to z pobłażliwym uśmiechem. A tuż obok stały naprzeciw siebie obie jego nałożnice: monarchini, która nie miała dość siły, by się go wyrzec, i kobieta z ludu, której on nie umiał się wyrzec. A z boku patrzyła na nich prawowita małżonka don Manuela, patrzył prawowity małżonek doni Marii Luizy i prawowity małżonek Pepy.

Maria Luiza w królewskiej szacie z ciężkiego adamaszku, usianej klejnotami, z diademem na głowie, wyglądała jak posąg bogini. Pepa Tudó stanęła przed nią bujna i wdzięczna, dojrzała i kwitnąca młodością, o promiennej białej cerze, miedzianozłotych włosach, pewna siebie i swojej urody. Osunęła się na kolana, jednakże ze względu na swój stan nie tak głęboko, jak wymagał ceremoniał, i ucałowała rękę Marii Luizy, po czym powstała z klęczek. Obie kobiety spojrzały na siebie. Królowa utkwiała badawczo swe małe, czarne, kłujące oczy w twarzy Pepy, z miną obojętnie uprzejmą, tak jak przystało. Ale w sercu jej była burza. Ta osoba jest piękniejsza, niż przypuszczała, a zapewne i sprytniejsza; widzi teraz, że ta kobieta jest nie do pokonania. Z oczu Pepy biły iskry; spokojnie syciła się swym triumfem w obliczu tej potężnej, a przecież bezsilnej władczyni. Dwie sekundy, zgodnie z przepisem, patrzyła hrabina Castillofiel w twarz królowej. Po czym zbliżyła się do wysokiego fotela, w którym siedział następca tronu, księżę Asturii.

Goya zajął miejsce na galerii, skąd dobrze widział twarze obu kobiet. Uśmiechnął się sam do siebie. „Nie dla kury świątynia” — pomyślał. Ale dziś ta Pepa, ta *jamona*, weszła do „świątyni”, dopięła swego celu. Jest seniora *de titulo*, posiada stwierdzony na piśmie tytuł szlachecki, a dziecko, które nosi w swym łonie, będzie rodowitym hrabią. Kiedy wstano od stołu, Pepa wzięła udział w grze w karty przy stoliku królowej. Donia Maria Luiza zwracała się po kolei do swoich partnerów z jakąś uprzejmie obojętną uwagą. Pepa spodziewała się, że królowa i ją zagadnie. Ale długo na to czekała. Wreszcie donia Maria Luiza zwróciła się do niej swym dźwięcznym, dość miłym głosem:

— Wygrywa pani, hrabino?

Postanowiła traktować tę „osobę” w przyjazny sposób, było to chyba najrozsądniejsze.

— Nie bardzo, madame — odparła Pepa.

— Jak pani na imię, hrabino? — pytała dalej królowa.

— Josefa — rzekła Pepa — Maria Josefa. Lud Madrytu nazywa mnie hrabiną Pepą lub krótko Pepą.

— Tak — powiedziała królowa — lud mojej stolicy jest poufały i przyjazny.

Pepę zdumiała ta bezczelność. Przecież Maria Luiza, ta „cudzoziemka”, Włoszka, ta dziewczka, ten „rozbójnik w koronie”, była tak znienawidzona, że ilekroć wyjeżdżała na miasto, policja musiała przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, by zapobiec wrogim manifestacjom.

— Pani ma majątek w Andaluzji, donio Josefo? — pytała dalej królowa.

— Tak, madame — potwierdziła Pepa.

— Ale pani woli przebywać stale w Madrycie? — pytała Maria Luiza.

— Tak, madame — odparła Pepa. — Tak jest, jak pani powiedziała, madame, lud stolicy jest rzeczywiście poufały i przyjazny w stosunku do mnie.

— A hrabia, małżonek pani — pytała dalej Maria Luiza — czy również znajduje upodobanie w życiu stołecznym?

— Zapewne, madame — odparła Pepa. — Niestety ze względu na stan swego zdrowia zmuszony jest spędzać większą część roku w Andaluzji.

— Pani jest w stanie błogosławionym, donio Josefo? — spytała Maria Luiza troskliwie.

— Dzięki Przenajświętszej Dziewicy — odpowiedziała Pepa.

— Niech mi pani powie, ile też lat ma hrabia, małżonek pani — pytała królowa.

— Sześćdziesiąt osiem — odpowiedziała Pepa. — Mam nadzieję, a właściwie najgłębsze przekonanie, że Najświętsza Dziewica z Atocha pobłogosławi mnie szczęśliwym rozwiązaniem i obdarzy silnym i zdrowym synkiem.

I utkwiała w królowej spojrzeń swych promiennych, niewinnych oczu.

## XI

Donia Maria Luiza ze względów prestiżowych chciała uniknąć pozorów, że konsul Bonaparte decyduje o obsadzaniu urzędów państwowych w Hiszpanii. Odroczyła przeto na jakiś czas zwolnienie Urquija.

Don Manuelowi było to bardzo na rękę. Wiedział od początku i Miguel dowodził mu tego z przekonującą logiką, że traktat proponowany przez Lucjana nie przyniesie Hiszpanii żadnych korzyści. Francja ofiarowuje koronę Etrurii zięciowi Marii Luizy, co pochlebia wprawdzie próżności królowej, ale płacić za to będzie Hiszpania. Manuelowi było to nawet na rękę, że nie on podpisze ten traktat. Nie mógłby sobie życzyć korzystniejszego dla siebie podziału ról; on, Manuel, prowadzi rokowania z Lucjanem Bonaparte i jemu przypada cały honor wobec królowej; Urquijo przedstawia jej wszystkie względy przemawiające przeciw traktatowi, królowa powodowana próżnością pozostaje głucha na te argumenty; Urquijo będzie w końcu zmuszony podpisać umowę i cała hańba spadnie na niego.

Don Manuel był tak pewny, że potrafi obalić Urquija, kiedy uzna to za stosowne, iż w tym swoim przekonaniu odnosił się nadal do niego przyjaźnie. Nawet kiedy mu doniesiono, że Urquijo wyraża się o nim złośliwie i wzgardliwie, nie zmienił swego postępowania. Uśmiechnął się i pomyślał: „Daj mi dobrych nieprzyjaciół, Dziewico del Filar, i długą, słodką zemstę!”

Don Manuel był szczęśliwy, pogodny, zadowolony: czuł się tak dobrze, że pragnął swój przyjemny nastrój choć w części przelać na otoczenie. Pocziwa, rozumna, stara Maria Luiza przyzwociła z nim postąpiła. Okazywał jej swą wdzięczność, śpiewał jej często i starał się możliwie jak najmniej kłuć ją w oczy swym stosunkiem z Pepą. Pepę zaś zapewnił, że dla dziecka, które nosi w swym łonie, żywi już dziś jak najtkliwsze uczucia i pragnie zapobiec temu, by cień podejrzenia powstał co do jego ojcostwa. Z tego powodu skłonił hrabiego Castillofiel, by przedłużył swój pobyt w Madrycie do czasu jej porodu; on sam jednak, choć z bólem o tym myśli, zmuszony będzie ze względów przyzwoitości rzadziej się z nią widywać w ostatnich miesiącach ciąży. Pepa zgodziła się na to bez protestu; i jej życzeniem było, by mały hrabia Castillofiel przyszedł na świat w okolicznościach nie budzących żadnych podejrzeń.

Nawet wobec swej małżonki, infantki Teresy, don Manuel był w pogodnym humorze i okazywał jej rubaszną czułość zmieszaną z politowaniem. Królowa Hiszpanii urodziła mu dzieci, które nie noszą niestety jego nazwiska; kobieta, którą kocha, urodzi mu dziecko, ale będzie ono nosić nazwisko innego. Jedyne ta infantka z krwi królewskiej wyda na świat syna, który będzie nosić jego nazwisko. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się po tej chudej kozie,

— zajdzie w ciążę. Pragnął okazać, że umie to ocenić, chciał zrobić jej jakąś przyjemność. Wiedział, jak bardzo zależało jej na tym aby wydostać się z Madrytu. Sam poród musi z pewnych powodów odbyć się w Madrycie. Tymczasem jednak donia Teresa może spędzić spokojnie jakieś dwa, trzy tygodnie w ciszy swej wiejskiej siedziby Arenas de San Pedro, do której tak bardzo jest przywiązana.

A dalej — sprawi jej to z pewnością przyjemność — da ją sportretować przez Francisca.

Francisco rad był zaproszeniu powołującemu go do Arenas; nazwa tej miejscowości budziła w nim miłe wspomnienia.

Kiedy był jeszcze młodym, nikomu nie znanym malarzem, ojciec doni Teresy, stary infant don Luis zaprosił go z polecenia Jovellanosa do Arenas, aby wykonał tam portrety jego rodziny. Na Goyi wywarło to głębokie wrażenie, a nawet spowodowało przewrót w jego wyobrażeniach o świecie, gdy widział, że ów książę z królewskiego rodu, brat króla, był równie skromnego o sobie mniemania jak pierwszy lepszy Pablo albo Pedro w Madrycie lub Saragossie. Francisco spędził wówczas cały miesiąc w Arenas, infant Luis i jego rodzina traktowali go jak równego sobie. Podczas tych miłych dni poznał donię Teresę i namalował jej portret; była wówczas małym, nieśmiałym dzieckiem, ale szybko nabrała do niego zaufania.

Goya rozumiał teraz lepiej niż w owym czasie, że stary infant był mądrym człowiekiem i miał gorące serce. Podług burbońskich praw sukcesyjnych don Luis miał prawo do korony hiszpańskiej, ale zrzekł się jej, aby poślubić kobietę nierówną mu rodem, panią Vallabriga z Aragonii. Wolał spędzić życie w swoim majątku Arenas z kobietą, którą kochał, i dziećmi, które mu rodziła, wolał poświęcić się gospodarce rolnej i myślistwu, swoim obrazom i książkom. W gruncie rzeczy Goya uważał go wówczas za wariata; dopiero teraz pojmował go lepiej, chociaż sam, będąc na jego miejscu, nawet i dziś nie zrezygnowałby z tronu.

Później malował jeszcze donię Teresę po raz drugi; liczyła wtedy siedemnaście lat, rodzice jej od dawna już nie żyli. Była ich nieodrodną córką, kochała życie w zaciszu wiejskim, z dala od hałaśliwej, śmiesznej pompy dworu królewskiego. Rozpasana Maria Luiza pchnęła to miłe, niewinne dziecko w ramiona wulgarnego rozpustnika Manuela jako cenę za to, aby i nadal od czasu do czasu włąził do jej łóżka. Manuel zaś przyjął donię Teresę jako

przymusowy dodatek do pożądanego tytułu, którego inaczej nie mógłby uzyskać. Odkąd Francisco sam zeszedł na dno nieszczęścia, stał się wrażliwy na niedolę innych. Ze współczuciem patrzył na smutną ciężę tej kobiety. Widział, że Teresa cierpi z powodu niedorzecznej, okropnej sytuacji, w której znalazła się wbrew swej woli; raniło ją to do głębi i cała istota buntowała się przeciwko temu. Malował jej portret z największą troskliwością. Dał w tym portrecie wyraz współczuciu, jakie żywił dla córki swego dawnego protektora.

Powstał obraz pełen delikatnego wdzięku. Przedstawia drobną postać księżniczki w pozycji siedzącej. Dziecięco wątle, ciężarne ciało otula biała, powiewna, związana pod piersiami suknia, z której wdzięcznie wychyla się szyja i dekolt; podłużna twarz, wdzięczna, choć nieładna, otoczona bujnymi złocistoblond włosami. Wyraz twarzy świadczy o zmaconej duszy tego brzemiennego dziecka duże, smutne, zalęknione oczy spoglądają przed siebie w świat, którego ohydy nie mogą pojąć.

Manuel oniemiał spojrzawszy na portret; nie zdawał sobie wcale sprawy, że jego infantka ma tyle wzruszającego, subtelnego wdzięku. Odczuł niemal religijną cześć, ruszyło go też sumienie. Hałaśliwie zawołał:

— *Por la vida del demonio!* Tak namalowałeś moją infantkę Francisco, że w końcu jeszcze się w niej zakocham!

Don Manuel nie przyjechał jednak po to, by obejrzeć portret doni Teresy, lecz aby ją zabrać do Madrytu. Dziecko musi przyjść na świat w Madrycie. Dwór będzie obecny na chrzcinach. Oboje, donia Maria Luiza i Manuel, chcieli zmanifestować wobec świata swe pojednanie.

Dnia 15 października zjawił się w Eskurialu umyślny kurier don Manuela, aby zawiadomić królową, że infantka powiła zdrową córeczkę. Donia Maria Luiza udała się natychmiast do don Carlosa i zażądała, aby dwór przerwał pobyt w Eskurialu, gdyż chrzciny małej księżniczki muszą odbyć się w zamku madryckim, w apartamentach króla Carlosa. Don Carlos miał zastrzeżenia. Wyjazd do Madrytu oszczędziłby mu wprawdzie niemiłej wizyty w grobowcach królewskich w Eskurialu, jednakże długość pobytu w poszczególnych zamkach była ściśle określona ceremoniałem, a świętej pamięci dostojny ojciec jego naraził swe zdrowie i życie, aby nie naruszyć tego przepisu. Donia Maria Luiza oświadczyła na to, że don Manuel położył wobec króla i państwa tak wielkie zasługi, iż

< 418 ),

nie podobna odmówić jego gorącemu życzeniu. Don Carlos ustąpił w końcu naleganiom królowej.

Zawezwał do siebie pierwszego szambelana i dał mu stosowne polecenia. Przerażony markiz de Ariza, acz pełen szacunku, przedstawił swe wątpliwości: przepis zawarty w księdze ceremoniału jest zupełnie jasny, od dwustu pięćdziesięciu lat nie zdarzyło się, by został pogwałcony.

— A więc zdarzy się to teraz po raz pierwszy — odpowiedziała chłodno Maria Luiza.

Król skinął swą ciężką głową i rzekł do markiza:

— Słyszysz, mój kochany.

Ariza, markiz de la Vega Inclan, i markiza de Monte Alegre siedzieli wstrząśnięci i oburzeni. Markiz de Ariza, który w całym swoim życiu nie okazał nigdy wzburzenia, oświadczył z twarzą zaczerwienioną od gniewu:

— Najchętniej wydarłbym własnymi rękami pięćdziesiątą drugą stronicę z księgi ceremoniału, a potem wycofałbym się do mego majątku.

Jaskrawe pogwałcenie etykiety wywołało niebywałą sensację. Wszyscy ambasadorowie podali do wiadomości swoich rządów to wydarzenie jako niechybny znak, że don Manuel otrzymał znów nieograniczoną władzę i ujął w swe ręce ster losów Hiszpanii.

Pobyty pary królewskiej w stolicy potrwać miał zaledwie trzydzieści godzin. Jednakże ich katolickim królewskim gościom towarzyszyć musieli wszyscy ministrowie i dostojnicy dworscy, wielki i mały orszak służby króla i królowej, członkowie kapeli nadwornej oraz cały personel pałacowy pary królewskiej i infantów.

Chrzciny wyprawione zostały w sposób tak uroczysty, jak urządzano je tylko dla następcy tronu. *Camarera mayor*, eskortowana przez oddział gwardii szwajcarskiej, udała się do Palacio Alcudia, aby przewieźć dziecko don Manuela do pałacu królewskiego. Za nią jechała mamka w dworskim ekwipażu. Akt chrztu odbył się w apartamentach Katolickiego Króla w obecności Wielkiego Inkwizytora don Ramóna de Reynoso y Arce. Dziecku nadano na chrzcie imiona Carlotta Luiza. Po chrzcie don Carlos kazał sobie podać niemowlę. Ostrożnie, aby nie zadrasnąć dziecka jednym ze swych wielu orderów, pohuśtał je na rękach, pokiwał palcem przed twarzą niemowlęcia i powiedział: ta-ta-ta.

— Pyszny dzieciak — oświadczył — silna, zdrowa księżniczka. Przyniesie zaszczyt domowi Burbonów.



Po uroczystości *camarera mayor*, tym razem w asyście gwardii walońskiej, odwozła małą infantkę z powrotem do pałacu don Manuela.

W godzinę później ich katolickie królewskie mości wybrały się osobiście do don Manuela. Królestwo wyjechali po raz pierwszy w galowym ekwipażu, który przed trzema tygodniami otrzymali w darze od Republiki Francuskiej; wydobyto go ze stajen dworskich zgilotynowanego Ludwika XVI i poddano pewnym nieznacznym przeróbkom.

U don Manuela odbył się galowy obiad, na którym prócz pary królewskiej obecni byli prawie wszyscy dostojnicy, nie wyłączając francuskiego ambasadora Lucjana Bonaparte. Podarki nadesłane dla małej księżniczki zapełniły dwie duże sale. Lucjan Bonaparte ofiarował w imieniu pierwszego konsula złotą grzechotkę. Maria Luiza, obejrzawszy wszystkie podarunki swymi czarnymi, świdrującymi oczyma, oceniła ich wartość na dwa do trzech milionów realów. Sama zaś nadała małej infantce ustanowiony przez siebie order „nobilitati, virtuti, merito”, „za szlachectwo, cnotę i zasługi”.

Infant don Manuel kazał rzucić tłumowi pięćdziesiąt tysięcy realów. Ale pospólstwo miejskie, *populacho chusma*, odpowiedziało na to obelżywymi wyzwiskami.

W kilka tygodni później Pepa urodziła dziecko. Malutki hrabia Castillofiel ochrzczony został przez biskupa Cuency, który nadał mu imiona Luis Maria oraz cały szereg innych, były też wśród nich imiona Manuel i Francisco. Uroczysty akt chrztu odbył się w Palacio Bondad Real.

Wśród gości obecny był don Manuel, a w imieniu Katolickiego Króla przybył jeden z jego szambelanów, który jako podarek chrzestny od króla wręczył rzadki, cudowny klejnot: ząb świętego Izydora w artystycznej złotej oprawie; tradycja głosiła, że kto go nosi, zdobywa moc zjednywania sobie przyjaźni ludzkiej.

## XII

Dwa dni przed wyjazdem dworu do Madrytu na chrzciny małej infantki Lucjan Bonaparte odwiedził pierwszego sekretarza Urquijo celem omówienia spraw politycznych. Przy pożegnaniu ambasador zauważył nawiasem, że spodziewa się zobaczyć Urquija nazajutrz

w Madrycie. Urquijo oświadczył jednak, że czuje się niezdrow i do Madrytu nie pojedzie. Na co Lucjan Bonaparte, lekko zdziwiony, odpowiedział z akcentem ironii:

— To bardzo niefortunnie się składa, ekscelencjo, że właśnie jutro będzie pan niezdrow. I w istocie ta choroba Urquija stała się powodem jego upadku. Pierwszy sekretarz wypowiadał w ostatnich tygodniach coraz częściej pogardliwe uwagi o don Manuelu; teraz odmówił wzięcia udziału w chrzcinach infantki: było to wyzwanie. Don Manuel podjął rzuconą rękawicę. Uznał, że czekał aż nazbyt długo; za zgodą Marii Luizy postanowił przy najbliższej sposobności zażądać od Carlosa zwolnienia bezczelnego ministra z urzędu.

Sposobność do tego nadarzyła się niebawem. Papież Pius w poufnym piśmie uzalał się gorzko na pewne pseudofilozoficzne wynurzenia posła hiszpańskiego przy stolicy apostolskiej. Poseł ten wspominał ponadto o pewnych reformach, które zamierza wprowadzić pierwszy sekretarz Urquijo, a które stanowiłyby pogwałcenie starych praw stolicy apostolskiej. Papież zaklinał Katolickiego Króla, aby zaniechał tych reform, nie stawał w rzędzie prześladowców uciemżonego Kościoła, lecz pozostał nadal jego opiekunem i obrońcą.

Papież polecił nuncjuszowi, aby pismo to doręczył do własnych rąk króla. Nuncjusz jednak, poinformowany o nieprzyjaznych uczuciach don Manuela względem Urquija, uprzedził Manuela o treści pisma; Manuel postarał się o to, by Carlos i królowa przyjęli nuncjusza w jego obecności.

Prątał wręczyć pismo królowi i prosił go z polecenia ojca świętego, by je niezwłocznie przeczytał. Carlos przeczytał i osłupiał. Reformy, na które uskarżał się papież, miały, jak się wyraził Urquijo, uwieńczyć jego zasadniczy plan oswobodzenia Hiszpanii spod wpływów Rzymu; on zaś, Carlos, podpisał dopiero przed dwoma tygodniami edykt, nadający tym reformom obowiązującą moc prawną. Co prawda, wahał się długo, ale Urquijo, korzystając z tego, że rozmawiał z nim w cztery oczy, przedstawił mu korzyści i rzekomą legalność edyktu z tak podstępłą chytryością, iż Carlos ostatecznie wyraził swą zgodę. Ba, nawet gdy Urquijo napomknął, że ultramontanie podniosą tym razem straszliwy lament i gwałt, Carlos przyrzekł stanowczo wziąć go w obronę przed atakami klechów, *frailucos*. Oto miał teraz niespodziankę.

Król bełkotał w zakłopotaniu jakieś usprawiedliwienia, zapewniał o najgłębszej czci i najgorętszym przywiązaniu do ojca świętego.

Nuncjusz odpowiedział, że prześle wiadomość o tym ojcu świętemu, obawia się jednak, że nie zadowolili to papieża.

Po odejściu prałata Manuel i Maria Luiza natarli na Carlosa. Ten lis, Urquijo, oszukał go; z szatańską zręcznością wyłudził od króla, nie przeczuwającego żadnego podstępu, podpis pod bluźnierczym edyktem. Skrucha króla przeobraziła się w oburzenie na Urquija. Manuel i Maria Luiza wyzyskali jego wściekłość. Urquijo musi być natychmiast pociągnięty do odpowiedzialności.

Urquijo, który leżał w łóżku chory, musiał wstać i ogarnąwszy się jako tako stawiał się przed parą królewską i najzaciętszym swoim przeciwnikiem, Manuelem.

— Jak śmiałeś zrobić coś podobnego? — krzyknął król. — Oszukałeś mnie podstępnie! Spowodowałeś zatarg między mną a ojcem świętym, ściągnąłeś na mnie gniew boży! Ty kacerzu!

— Przedstawiłem waszej królewskiej mości wszystkie *pro* i *contra*, tak jak to było moim obowiązkiem — odparł chory minister. — Wasza królewska mość wysłuchała moich racji i uznał je za słuszne, zanim raczył położyć swój podpis. Co więcej, wasza królewska mość zapewniał, że weźmie mnie w obronę przed przewidywanymi napaściami ultramontanów.

— Bezczelne kłamstwo! — ryknął don Carlos. — Przyrzekłem bronić cię przed klechami, przed mniszymi kapturami, ale nie przed nuncjuszem i ojcem świętym. Ty, tylko i wyłącznie ty jesteś odpowiedzialny za to, że jestem dziś niemal w stanie wojny z Rzymem A teraz chcesz tę zbrodnię zepchnąć na mnie!

I jakby w obawie, że gniew jego ostygnie, zawołał:

— Do Pampeluny /1! Do lochów fortecznych! Z trudem tylko udało się powstrzymać króla, by czynnie nie znieważył Urquija.

Kiedy minister, blady jak płótno, lecz pełen godności, opuścił komnatę, Maria Luiza odczuła żal, że straciła tego człowieka. Carlos zaś rzekł kręcąc głową:

— Dziwna rzecz! Jeszcze dziś rano wydawał mi się całkiem sympatyczny, a teraz jest zbrodniarzem, którego muszę zamknąć w więzieniu.

— Nie myśl o nim więcej, sire — powiedział Manuel chcąc udobruchać króla. — Uspokój się, sire, i pozostaw resztę gorliwości inkwizycji.

1/Pampeluna — miasto i twierdza w półn. Hiszpanii.

### XIII

Za radą infanta Manuela, król Carlos, pragnąc okazać pierwszemu konsulowi swą przyjaźń i szacunek, zamówił u wielkiego paryskiego malarza Jacques Louis Davida obraz mający uświetnić sławę Bonapartego. David zaproponował jako temat „Przejście przez przełęcz świętego Bernarda”. Artysta cenił się wysoko: zażądał ćwierć miliona realów, z prawem sporządzenia trzech nieznacznie zmienionych kopii. Ale utrzymanie dobrych stosunków z pierwszym konsulem było rzeczą ważną i dwór udzielił zamówienia. David wykonał obraz i przysłał go do Madrytu; zawieszono go w Aranjezie. Francisco Goya, Miguel Bermudez i Agustin Esteve przyszli go obejrzyć. Było to okazałe malowidło; wysokości przeszło półtrzecia metra i prawie półtrzecia metra szerokości. Przedstawiało Napoleona na tle dzikiej scenerii górskiej, siedzącego w zwycięskiej postawie na ognistym, wspinającym się na tylnych nogach rumaku; dokoła niego widoczne były zamglone sylwetki żołnierzy i armat. Błady napis na płycie skalnej przypominał wodzowi imiona dwóch innych wielkich wojowników, którzy dokonali przejścia przez Alpy: Hannibala i Karola Wielkiego.

Po długim milczeniu pierwszy odezwał się Miguel:

— Jest to najbardziej wzniosła gloryfikacja geniusza, jaką można sobie wyobrazić. Świat alpejskich olbrzymów wydaje się karłowaty wobec wielkości Bonapartego. A choć dzieło jako całość robi wrażenie antycznej monumentalności, malarz dał swemu bohaterowi rysy portretowego podobieństwa.

— Za ćwierć miliona można dodać tę trochę podobieństwa — zauważył rzeczowo Goya.

— Ale koń to już wcale nie ma portretowego podobieństwa — wtrącił sucho Agustin.

— Jest cudaczny, nienaturalny.

— Tak — potwierdził Goya — twoje zady końskie są dużo lepsze.

Miguel pouczał Agustina.

— Nie może pan tego wybaczyć Davidowi — wytykał mu — że nie dał się zgilotynować za rewolucję. Co do mnie, jestem

1/ Przełęcz św. Bernarda znajduje się w centralnym paśmie Alp (2472 m), na granicy Szwajcarii i Włoch. Napoleon przekroczył ją na czele czterdziestotysięcznej armii w r. 1800, napadł niespodziewanie na Austriaków w Piemencie i rozbił ich pod Marengo.

szczęśliwy, że ten wielki artysta został nam zachowany. Nie ma też mowy o tym, aby sprzeniewierzył się swemu wzniosłemu pierwowzorowi, Rzymowi starożytnemu. Gdyby był Rzymianinem, przeszedłby zapewne — i słusznie, gdyż republika znajdowała się w stanie rozkładu — na stronę cesarza Augusta. Dowiedziawszy się o zamachu dokonanym przez pierwszego konsula, wypowiedział zdanie wprost cudowne. Oświadczył: „Nie byliśmy dość cnotliwi, aby być godnymi republiki.”

Goya nie zrozumiał.

— Co powiedział kolega David? — spytał.

Sala była bardzo duża. Miguel powtórzył gromkim głosem;

— Że nie byliśmy dość cnotliwi, aby być godnymi republiki. Goya odpowiedział lakonicznie:

— Widzę.

Widział, że ten David jest teraz jarmarcznym chwalcą młodego generała, tak jak przedtem był jarmarcznym chwalcą rewolucji. Nazywał to „cnotą” i prawdopodobnie tak też myślał. On sam, Francisco, jako bardzo młody malarz, uczestnicząc kiedyś w Parmie w jakimś konkursie, namalował przejście Hannibala przez Alpy. Na obrazie tym roiło się od paradnego wojska, pełno tam było zbrojnych wojowników, słoni, sztandarów. David jest oszczędny i ma mistrzowską technikę; ale jeśli chodzi o koncepcję, David liczący dziś lat pięćdziesiąt, nie jest głębszy od dwudziestoletniego podówczas Goyi.

Agustin szydził dalej:

— Ten David jak giętki jest w swoich przekonaniach politycznych — wywodził — tak samo sztywny w swej sztuce. Powolny z niego malarz, ale szybki polityk.

— Powoduje się pan zbyt uczuciami, don Agustinie — wykladał po mentorsku Miguel. — Kto zabiera głos w sprawach politycznych, nie powinien kierować się nienawiścią. Kto pragnie jako działacz lub obserwator uporać się z zagadnieniami politycznymi, musi posiadać zmysł sprawiedliwości. Zresztą — zakończył jakby od niechcenia, ale wymawiając wyraźnie każde słowo — co do monsieur Davida, dowiemy się wkrótce bliższych, autentycznych szczegółów. Misja doni Lucii w Paryżu jest zakończona. Oczekuję jej powrotu za dwa tygodnie.

Goya zobaczył twarz Agustina zmienioną na skutek silnego wrażenia. A więc Goya dobrze zrozumiał słowa Miguela. Sam był tą wiadomością silnie poruszony. Lucia wraca zatem do Miguela, jakby nigdy nic nie zaszło, i on przyjmuje ją, jakby nigdy nic. Ale co się

stało z opatem? Widać, że Lucia porzuciwszy jednego, porzuca teraz drugiego. Takie już one są, te Cayetany i Lucie!

I w istocie w dwa tygodnie później donia Lucia powróciła do Madrytu.

Urządziła u siebie *tertulię*, na którą zaprosiła najbliższych przyjaciół. Obecne było to samo towarzystwo, które przyjmowała owego wieczoru, kiedy Manuel po raz pierwszy zobaczył Pepę; brakło tylko opata.

Lucia zachowywała się z taką swobodą, jakby wróciła do domu no krótkim pobycie na wsi. Goya obserwował ją z uwagą. Dobry jest jego portret: może nawet lepiej zgadza się z dzisiejszą Lucią niż z dawniejszą. Twarz jej miała jak zawsze coś z maski, jakiś osobliwie przebiegły uśmiezek igrał na jej ustach, była niepokojąca w swym spokoju. Miała wygląd nieskazitelnej wielkiej damy, choć otaczała ją dzisiaj wyraźniejsza może niż dawniej atmosfera awanturnicy. Franciscowi wydało się, że łączy go coś z tą obecną Lucią. Oboje należą bezsprzecznie do wysokiego towarzystwa, w obojgu jednak żyje jeszcze świat nizin, z których wyszli.

Lucia opowiadała dużo o Paryżu, nie wspomniała jednak ani słowem o tym, czego wszyscy najbardziej byli ciekawi, to jest o losach opata. Ale jej zachowanie się, uprzejmy chłód wielkiej damy powstrzymywał wszystkich od poufnych pytań.

Później Lucia usiadła z Pepą na osobności, tak jak dawniej, dwie serdeczne przyjaciółki, nie mające nawzajem przed sobą tajemnic, nieprzystępne dla innych. Po ich minach i przyciszonej rozmowie można było odgadnąć, że pokpiwają sobie z niższości rodzaju męskiego. Pewne było: jeśli Lucia zwierzyłaby się komukolwiek z tego, co zaszło między nią a opatem, to chyba tylko Pepie.

Z Franciskiem Lucia rozmawiała bardzo mało. Mówiła w ogóle dość niewyraźnie, możliwe, że rozmowa z głuchym sprawiała jej zbyt wielkie trudności. A może przeczuwała, iż Francisco zna ją lepiej niż ktokolwiek inny, wołała więc być ostrożna i Goya nie miał jej tego za złe.

Był natomiast przyjemnie zdziwiony tym, że Lucia zaczęła go często odwiedzać w jego *quincie*. Siadywała tam w pracowni z nim, Agustinem. Nie zadawała sobie zresztą nigdy trudu, aby ją głuchy Francisco rozumiał; mówiła niewyraźnie, a gdy Goya czegoś nie rozumiał, nie zdobywała się nawet na wysiłek, aby mu to napisać. Mimo to przesiadywała u niego z widoczną przyjemnością, przyglądając się jego pracy.

Czasem przychodziła razem z Pepą. Wówczas paplały ze sobą lub siedziały ciche i milczące.

Agustin, mimo przyjaźni i uwielbienia dla Francisca, odczuwał na widok obu pięknych kobiet dawną, pełną goryczy zawiść. Francisco jest stary i głuchy, a przecież kobiety ciągle jeszcze za nim latają, na niego zaś, Agustina, żadna nawet nie spojrzy. A przecież zna się na sztuce lepiej niż ktokolwiek inny w Hiszpanii i bez niego Goya nigdy nie stałby się Goyą. Francisco natomiast nie tańł wcale, jak mało obchodzą go obie kobiety. W gruncie rzeczy myślał zawsze jeszcze o tej wytwornej damie, która była przyczyną jego nieszczęścia; o niej, o Albie, której portret, jedyny ze wszystkich swoich obrazów, zatrzymał w pracowni; Cayetana patrzyła teraz z ram płótna na tamte kobiety, one zaś musiały godzić się z tym.

Agustin, spoglądając na Lucię siedzącą pod portretem Alby, nie pojmował, że ktoś zadowalał się Albą mogąc posiadać Lucię. Bo Alba zawsze i w każdym przebraniu pozostanie tylko śmieszną księżną; nawet sztuka Goyi nie potrafiła przeobrazić jej w *mają*. Z pewnością nieraz dawała Franciscowi odczuć przepaść dzielącą biednego malarza od niej, arystokratki, księżny Alba. Z pewnością nieraz doprowadzało go to do wściekłości. Lucia natomiast stała się naprawdę wielką damą, a przecież została prawdziwą *mają*. Dowiodła, że nie dba o opinię świata. Wyjechała sobie ze swym opatem do Paryża, a kiedy wzięła ją znów ochota powrócić do Madrytu, przyjechała, nie troszcząc się o nic, do swego męża, tego uczonego osła.

Pewnego dnia — Pepy nie było — Lucia siedziała w pracowni z Goyą i Agustinem. Rzekła niespodzianie:

— Zdawało mi się, że pan jest zaprzyjaźniony z naszym opatem. Ale nie bardzo to życzliwie z pana strony, że pan ani razu dotąd o niego nie zapytał.

Mówiła to patrząc wprost przed siebie, tak że nie było jasne czy wymówka ta odnosi się do Goyi, czy do Agustina. Goya nie oderwał się od sztalugi, nie patrzył widocznie na usta mówiącej. Agustin, który początkowo oniemiał ze zdumienia, odezwał się po chwili:

— Jeśli pani sobie życzy, napiszę mu to zdanie.

— O czym mówicie? — spytał Goya, pochylony nad sztalugą.

— O opacie — odpowiedział Agustin bardzo wyraźnie. Goya przerwał malowanie i spojrzął bacznie na Lucię.

— Opat już wkrótce powróci do nas — oświadczyła Lucia obojętnym tonem.

Agustin usiadł. Goya odłożył pędzel i paletę i począł przechadzać się tam i na powrót.

— W jaki sposób pani tego dokazała, donio Lucio? — zapytał.

Lucia rzuciła mu ironiczne spojrzenie swych lekko zamglonych oczu.

— Napisałam mu, żeby wrócił — rzekła.

— Ale inkwizycja! — zawołał Agustin — przecież to oznacza dla tego człowieka śmierć na stosie!

— Tego Święte Officium nie ścierpi! — krzyknął Goya.

— Omówiliśmy tę sprawę — oświadczyła przeciągłym głosem Lucia — ja i Pepa, z don Manuelem, a ten porozumiał się z Wielkim Inkwizytorem. Rzecz jasna, że opat musi być przygotowany na pewne przykrości po swym powrocie. Jest gotów poddać się im. Za to będzie mógł przynajmniej żyć w Hiszpanii.

Donia Lucia mówiła tonem obojętnym, bez samochwalstwa. Ale Francisco i Agustin słuchali jej z niesmakiem. Z niechęcią myśleli o uczuciu triumfu, które przepełnia teraz serce tej kobiety. Bo oto wyjednała u zwierzchnika swego męża powrót kochanka; ten zaś korzysta z możliwości powrotu i gotów jest ponieść ofiary i ryzyko, byle tylko móc żyć pod tym samym niebem co ona. Z pewnością nie tania jest cena, którą wyznaczył Wielki Inkwizytor za to, że nie pośle tego arcykacerza na stos. To, co „ułożył” don Manuel z Wielkim Inkwizytorem Reynoso, zaważy zapewne na losach niejednego człowieka. A ta kobieta opowiada o tym wszystkim ze spokojem i wdziękiem wielkiej damy, tonem tak obojętnym, jakby szło o *tertulię* lub o nowe uczesanie głowy. Franciscowi przyszła mimo woli na myśl owa sprzedawczyni migdałów w Prado, ta prawdziwa *maja*, która nawymyślała mu kiedyś od *ajos y cebollas*, zuchwała szelma, gotowa do bezczelnych odpowiedzi i rubasznych żartów. A teraz ta druga *maja* kpi sobie z pierwszego ministra, z Wielkiego Inkwizytora, z całego kraju.

Okazało się jednak, że Lucia nieco przedwcześnie pochwaliła się swym zwycięstwem. Upłynęły bowiem tygodnie, cały miesiąc i jeszcze jeden miesiąc, a wciąż jeszcze nic nie było słyhać o powrocie opata.



## XIV

Goya pracował w swojej *ermita*, w pracowni przy Calle de San Bernardino. W pewnej chwili przerwał, odsunął płytę i rylec i spojrzał z lekkim, roztargnionym uśmiechem na swoje zabrudzone ręce. Wstał, by je umyć.

Spostrzegł w pokoju kogoś obcego, kto stał tu już może od dłuższej chwili; był to *nuncjo*, zielony posłaniec świętej inkwizycji. Skłonił się uprzejmie, powiedział coś, czego Goya nie zrozumiał, podał mu pokwitowanie i okazał zapieczętowane pismo. Goya zrozumiał, że ma je podpisać. Położył swój podpis machinalnie, lecz z wielką starannością. Posłaniec odebrał pokwitowanie, wręczył Goyi przyniesione pismo, skłonił się i znowu coś powiedział. Goya rzekł:

— Niech będzie pochwalona Najświętsza Dziewica!

Posłaniec oddalił się.

Goya siedział trzymając pismo w ręku, pogrążony w swojej samotności, która stała się jak gdyby jeszcze głębsza. Wpatrywał się bezmyślnie w pieczęć, na której widniały krzyż, miecz i różga. Nie wątpił, że inkwizycja zebrała przeciw niemu wystarczające materiały.

Cayetana, ta czarownica, ta niszczycielka, pokazała ludziom obraz przez niego namalowany, ów nagi portret; skoro wiedział o nim don Manuel, wiedziała także i inkwizycja. Poza tym wiele jego oświadczeń i wypowiedzi przy złej woli można było uznać za herezję; także i w jego obrazach można było to i owo uważać przy złej woli za kacerskie. Do uszu Francisca doszły pewne uwagi Wielkiego Inkwizytora, świadczące, że nieprzychylnym okiem patrzył on na Goyę i jego malarstwo. Goya sądził do tej chwili, że pod osłoną łaski królewskiej i dzięki swojej sławie może czuć się bezpiecznie. A teraz siedzi trzymając w ręku wezwanie Świętego Trybunału.

Oddychał z trudem, obłądny strach ścisnął mu pierś. Właśnie teraz, kiedy zdołał wydobyć się z odmętów zagłady, kiedy zgłębił jej otchłanie, nie chciał ponownie iść na dno. Dopiero w tym ostatnim roku poznał, co znaczy życie, co znaczy malarstwo i sztuka. Nie, to niemożliwe, by inkwizycja teraz miała sięgnąć po niego swymi straszliwymi łapami.

Nie mógł się przewyciężyć, by otworzyć pismo Świętego Officium. Gubił się w daremnych dociekaniach; tak długo czekali cierpliwie, tak długo nie odważyli się wystąpić przeciwko niemu: dlaczego teraz, nagle, wznoszą ramię do ciosu? Przypomniawszy sobie, jak Lucia i Pepa knuły z sobą coś tajemniczo, obie kuszące, łotrowskie

i niebezpieczne jak owe maje na balkonie. A może wciągnięty był w ten handel, który ukartowała Lucia, by umożliwić powrót opatowi? Po swych doświadczeniach z Cayetaną stał się podejrzliwy Wszyscy byli zdolni do wszystkiego.

Wreszcie otworzył pismo.

Trybunał inkwizycyjny Tarragony<sup>1</sup> wzywał go, aby stawiał się na auto particular, na którym miał być wydany wyrok na kacerza Diego Perico, byłego opata i byłego sekretarza Świętego Trybunału w Madrycie.

Goya doznał na chwilę uczucia ulgi. Potem jednak, gdy począł się zastanawiać nad podstępym wezwaniem inkwizycji, ogarnęło go głębokie rozgoryczenie. Człowieka zupełnie głuchego, który nie będzie mógł usłyszeć ani słowa z odczytanego wyroku, zmuszają do odbycia długiej i uciążliwej podróży na odległy kraniec Aragonii. Było to zuchwałe żądanie. I zawierało jakąś ponurą groźbę, właśnie dlatego, że było tak zuchwałe.

Gdyby Francisca nie krępowało jego kalectwo, zwierzyłby się ze swoich trosk Agustinowi lub Miguelowi. Ale wstydził się. Omawianie bowiem sprawy tak delikatnej i poważnej wymaga raczej niedomówień i półsłówek; Goya nie dosłyszałby zapewne odpowiedzi przyjaciół, musiałby prosić, by powtarzali swe słowa, co wydawało mu się śmieszne i krępujące. Pisanie zaś odpowiedzi to rzecz niebezpieczna, to grozi ściągnięciem demonów. Rozważał kilkakrotnie, czy nie zwierzyć się swemu synowi Javierowi, gdyż jego się nie wstydził. Ale Javier był za młody.

Tak więc Goya zamknął w sobie ową wiadomość, przechodząc na przemian od trwogi do nadziei. Chwilami pewny był, że Wielki Inkwizytor, pochwycawszy raz opata w swe ręce, pošle go na stos bez względu na układ z don Manuelem, jego zaś, Goyę, uwięzi. Później perswadował sobie, że przebiegły don Manuel i mądra Lucia zażądali z pewnością dostatecznych gwarancji i proces nie będzie niczym więcej jak ponurą farsą, a wezwanie Goyi pustą pogróżką.

Tymczasem inkwizycja, choć według tradycji obowiązana była do zachowania tajemnicy, rozsiewała pogłoski o wyznaczonym już *autodafe*, przedstawiając przy tym powrót opata do kraju jako swoje triumfalne zwycięstwo. Bóg sam, głoszono, skruszył sumienie kacerza, który dobrowolnie powrócił do Hiszpanii, aby oddać się w ręce Świętego Officium.

1/ Tarragona — miasto i port w północno-wschodniej Hiszpanii, nad Morzem Śródziemnym.

Agustin był wstrząśnięty dowiedziawszy się z pogłosek o mającym się odbyć *autodafe*. Wprawdzie odpychała go zawsze pretensjonalna uczoność opata, nawet jego dowcip i elegancja budziły w nim odrazę, co więcej, był głęboko zazdrosny o to, że Lucia za durzyła się w tym człowieku, niemniej czuł podziw dla don Diega, że ten z miłości dla Lucii oddał się dobrowolnie w szpony inkwizycji. Był zresztą zbyt rozumny i uczciwy, aby nie uznawać postępowych poglądów don Diega. Toteż myśl o triumfie inkwizycji nad tym człowiekiem dotknęła go do żywego.

Miotany sprzecznymi uczuciami, zapytał Goyę:

— Czy wie pan, że opat rzeczywiście powrócił do kraju? Słyszał pan o *autodafe*?

— Tak — odparł zgryźliwie Goya i podał mu wezwanie Świętego Trybunału.

Mimo swego przerażenia Agustin doznał uczucia dumy. A więc tak bardzo lękają się sędziowie duchowni tego głuchego, samotnego człowieka, za tak skuteczną uważają jego sztukę, że posyłają mu tego rodzaju ostrzeżenie. Agustin nie zdradził się jednak z tymi myślami. Oburzał się tylko, podobnie jak Goya, na to, że zmuszano go do tak uciążliwej podróży.

— To podłość — pieniał się — skazywać pana na takie trudy i niewygody.

Goya był zadowolony, że Agustin tylko od tej strony rozpatruje wezwanie inkwizycji. I obaj wymyślali teraz nie na inkwizycję i na Lucję, lecz na trudy podróży.

— Pojadę oczywiście z tobą — rzekł po chwili Agustin.

Goya miał w głębi duszy zamiar prosić Agustina, by mu towarzyszył w drodze, ale niełatwo mu było zdobyć się na to; wymagało to bowiem odwagi asystować komuś podejrzanemu w drodze do miejsca, gdzie miał otrzymać ostrzeżenie. Ale ponieważ Agustin sam się z tym ofiarował, Goya bąknął naprzód coś w rodzaju odmowy, lecz był mu wdzięczny i w końcu przyjął ofiarowane towarzystwo.

Wobec tego, że rząd widocznie nie zgodził się na to, aby *autodafe* odbyło się w samym Madrycie, Wielki Inkwizytor wybrał miasto Tarragonę, nie bez powodu zresztą. Nazwa tego miasta budziła bowiem u każdego Hiszpana wspomnienie jednego z największych triumfów inkwizycji.

Działo się to w roku 1494. W czasie tym srożyła się w Barcelonie dżuma i Wielki Inkwizytor Barcelony de Contreras uciekł wraz ze swymi urzędnikami do Tarragony. Ale pod bramą miasta

zjawili się przedstawiciele władz miejskich i oświadczyli, że jeśli zezwolą Inkwizytorowi na pobyt w mieście, to urzędnicy króla również zażądają zwolnienia od kwarantanny. Inkwizytor odpowiedział, że daje panom rajcom miejskim czas do namysłu na przeciąg trzech *Miserere*. Jeżeli bramy miejskie po upływie tego czasu nie będą otwarte, wówczas obłóży miasto klątwą i interdyktem. Co rzekłszy, odmówił trzy razy *Miserere* i polecił notariuszowi Świętego Trybunału zapukać do bramy miejskiej. Kiedy brama mimo to pozostała zamknięta, cofnął się do pobliskiego klasztoru dominikanów, sporządził tam akt ekskomuniki i polecił przybić go na bramach Tarragony. W tydzień później władze Tarragony zawiadomiły Inkwizytora, że miasto stoi dlań otworem. Obrażony kapłan postawił jednak warunek, aby wszyscy dostojnicy i najwybitniejsi mieszczanie odbyli uroczystą pokutę. Miasto zmuszone było przyjąć ten warunek. W obecności wicekróla Katalonii przedstawiciele władz miejskich i wszyscy szacowniejsi obywatele Tarragony w hańbiących koszulach pokutniczych, ze świecami w rękach zebraли się przed tronem Inkwizytora w miejscowej katedrze, ściągając w ten sposób na siebie i swych potomków piętno wieczystej hańby.

Chcąc incydent ten odświeżyć w pamięci wszystkich grzeszników, inkwizycja wybrała miasto Tarragonę, by tam odprawić *autodafe* opata.

Po długiej i uciążliwej podróży Goya i Agustin stanęli jeszcze przed wyznaczonym terminem w Tarragonie. Zatrzymali się w skromnej gospodzie, po czym Francisco udał się do pałacu arcybiskupiego, Palacio del Patriarca. Został tam przyjęty tylko przez wikariusza, który oświadczył mu, że *autodafe* odbędzie się za dwa dni w wielkiej sali konferencyjnej w pałacu arcybiskupim, i dodał sucho, że uczestnictwo w tym akcie wyjdzie niewątpliwie na dobre pierwszemu malarzowi królewskiemu.

Francisco nie znał dotąd Tarragony. Obejrzał wraz z Agustinem miasto, jego potężne waty obronne i mury cyklopie <sup>1</sup>, wzniesione na długi czas przed panowaniem Rzymu, niezliczone zabytki z czasów rzymskich i wspaniałą, prastarą katedrę z krużgankami i bramami, z rzymskimi kolumnami i rzeźbami pogańskimi, przerobionymi naiwnie na chrześcijańskie. Goyę ubawiły żartobliwe szczegóły, na które pozwolił sobie tu i ówdzie dawno zmarły rzeźbiarz, stał długo, z uśmiechem na ustach, przed wykutą w kamieniu historią owego kota z bajki, który udając martwego, pozwala myszom nieść

1/Mury cyklopie — mury z olbrzymich ociosanych głazów.

( 431 )

się do grobu, a gdy się ich już dość dużo zebrało, rzuca się na nie zniecka. W swoim czasie, kiedy artysta wykuwał w kamieniu tę bajkę, musiała ona mieć prawdopodobnie jakiś inny, nie tak niewinny sens uboczny. Goya wyjął szkicownik i narysował w nim na swój sposób historię o kocie i myszach.

Wybrał się z Agustinem do portu, by obejrzyć składy towarów. Tarragona słyęła ze swoich win, orzechów i marcepanów. W olbrzymiej hali dziewczęta sortowały orzechy; oddzielały pełne od pustych, rzucając puste pod stół, dobre zaś do koszy. Pracowały bardzo szybko, niemal automatycznie. Rozmawiały przy tym, śmiały się, śpiewały, niektóre ćmiły tytoń. Było ich ze dwieście, duża sala rozbrzmiewała życiem. Goya zapomniał o *autodafe*, patrzył i rysował.

Następnego dnia rano stawił się w sali konferencyjnej Palacio del Patriarca. Sala była duża, nowoczesna, bez wszelkich ozdób. Większość spośród obecnych zaproszono najwidoczniej z samej Taragony lub z pobliskiej stolicy Katalonii, Barcelony. Fakt, że Francisca ściągnięto aż z dalekiego Madrytu, miał w sobie coś złowróżbnego; spoglądano nań z trwożną ciekawością, nikt się ani słowem do niego nie odezwał.

Trybunał wkroczył na salę. Sztandar inkwizycji, zielony krzyż, ponure togi sędziów duchownych, cały ten posepny przepych, wszystko to stanowiło osobliwy kontrast z nowoczesnym urządzeniem sali i zwyczajnymi, mieszczańskimi ubiorami widzów.

Wprowadzono wreszcie opata. Goya sądził, że każą mu włożyć *sambenito*, żółtą koszulę pokutniczą, ale don Diego — było to widocznie ustępstwo dla rządu, na które inkwizycja musiała się zgodzić — miał na sobie zwykłe cywilne ubranie, skrojone według paryskiej mody, i usiłował nadać sobie wygląd wytwornego, spokojnego pana. Kiedy jednak wprowadzono go na trybunę oskarżonych i zamknięto za nim kratę niskiego ogrodzenia, opat zmienił się na twarzy pod wrażeniem ponurego przepychu tej sali i w poczuciu własnej hańby. Przez oblicze jego poczęło przebiegać drżenie, rysy odprężyły się i zmętniały; ten cyniczny światowiec, zamknięty za kratami drewnianej klatki, przed wspaniałym i groźnym trybunałem, sprawiał w swym zwyczajnym, codziennym ubraniu wrażenie nie mniej żałosne, niż gdyby miał na sobie żółte *sambenito*.

Przeor dominikanów rozpoczął kazanie. Goya nie rozumiał ani słowa i nie starał się rozumieć: patrzył tylko. A choć ten trybunał nie roztaczał takiego przepychu i potęgi jak ów sąd nad Olavidem

w kościele San Domingo el Real, to jednak był nie mniej ponury i przygnębiający. Gdy niezależnie od wszelkich układów między Lucią i Manuelem a Wielkim Inkwizytorem i niezależnie od rodzaju wymierzonej tu kary, łagodnej czy surowej, jedna rzecz była pewna — świadczył o tym wyraz twarzy don Diega — tu unicestwiano się człowieka. Po tak straszliwym poniżeniu, jakiego doznaje w tej chwili ten człowiek, nikt, choćby miał serce opancerzone sceptycyzmem, rozsądkiem i męstwem — nie wyprostuje się już więcej. I jeśli kiedyś, po latach, wypuszczą go na wolność, nosić będzie piętno skazanego kacerza i wszyscy Hiszpanie będą ze wstrętem odwracać się od niego.

Rozpoczęło się odczytywanie wyroku. I tym razem trwało ono bardzo długo. Goya przejęła zgroza; patrzył zafascynowany na zmienioną twarz opata, widział, jak spadła z niej w końcu całkowicie maska wykształconego światowca i jak nic już więcej nie pozostało w niej prócz poniżenia, rozpacz i męki człowieczej.

Opat w swoim czasie był świadkiem pohańbienia Olavidego w kościele San Domingo, a teraz siedzi sam zamknięty za haniebną kratą w Palacio del Patriarca, on zaś, Goya, przypatruje się temu widowisku; czy nie nadejdzie kiedyś dzień, w którym i on stanie pod takim zielonym krzyżem, pod takimi świecami i przed takim samym groźnym i uroczystym trybunałem, zamknięty w drewnianej klatce? Goya poczuł, że demony krążą znów wokół niego i wyciągają po niego swe szpony. Czuł niemal dotykalnie, co dzieje się teraz w mózgu biednego, zaszczutego opata. Nie ma w nim ani jednej myśli o ukochanej kobiecie, o tym, czego w życiu dokonał i czego mógłby jeszcze dokonać, nie ma w nim nadziei na jakieś szczęśliwe dni, jest tylko świadomość żalostnej, bezdennej, wiecznej hańby, jaką przeżywa w tej chwili. Daremnie powtarzał sobie Goya, że wszystko, co się tu odbywa, jest głupią komedią, upiorną farsą, o wiadomym z góry, łagodnym wyniku. Miał takie uczucie, jakie miewał w dzieciństwie, kiedy wątpił o istnieniu „czarnego męża”, *Coco*, a później odczuwał śmiertelny lęk, gdy mu się ukazywał.

Teraz opat przystąpił do odwołania swych grzechów. Patrząc na tego człowieka, klęczącego w wytwornym, modnym ubraniu przed krzyżem spowitym kirem, z ręką na otwartej Biblii, Goya odczuwał jeszcze większą groźę niż wówczas, kiedy patrzył na potępienie Olavidego w hańbiącej szacie. Kapłan wypowiadał słowa pokuty, opat zaś powtarzał po nim okropne, poniżające formuły.

Zanim Goya ochłonął z wrażenia, święty akt dobiegł końca, skazańca wyprowadzono, goście opuścili salę. Goya pozostał sam.

( 433 )

Chwiejnym krokiem, niepewny wskutek swej głuchoty, dziwnie przejęty tym, co widział, opuścił mroczną salę.

Zastał Agustina w gospodzie, siedzącego wbrew swym zwyczajom przy butelce wina. Agustín spytał, na jaką karę skazano opata. Goya nie wiedział, nie zrozumiał wyroku. Ale gospodarz miał już wiadomości: don Diega zasądono na trzyletnie zamknięcie w klasztorze. Gospodarz, zapewne potajemny liberał, był pełen szacunku i gorliwości dla pierwszego malarza, ale okazywał przy tym jakąś osobliwą lęklivość, niemal współczucie. Powiedział, że ma niezwykle dobre trzynastoletnie wino, z którego pozostało mu już tylko siedem butelek na własny użytek i dla szczególnie znakomitych gości. Przyniósł jedną butelkę; Goya i Agustín wypili ją w milczeniu.

Również i w drodze powrotnej Francisco niewiele rozmawiał z Agustínem. Raz tylko w przystępie nagle podniecenia odezwał się z jakimś zgryźliwym zadowoleniem:

— Widzisz teraz, do czego prowadzi zajmowanie się polityką. Gdybym był wówczas tak postąpił, jakeście żądali, byłbym już od dawna zgnił w lochach Świętego Officium. Ale w duchu snuł już nowe plany: teraz dopiero wymaluje ten Święty Trybunał, narysuje go w ciszy swojej samotnej pracowni, w swojej *ermita*; narysuje tę inkwizycję taką, jaką jest naprawdę, pokaże tych sytych klechów, tych *frailucos*, jak się rozkoszują widokiem męczarni grzesznika, który znalazł się w ich potrzasku. Narysuje raz jeszcze bandytę uduszonego pręgierzem na szafocie, ale inaczej, prawdziwiej. Narysuje także *El Coco*, upióra, stracha dzieci, nocną zmorę, czarnego męża, którego w rzeczywistości nie ma, a który przecież mimo wszystko istnieje.

## XV

Po powrocie do Madrytu Goya dowiedział się od swego syna Javiera, że posyłała po niego księżna Alba, która mieszka teraz znów w swoim pałacyku Buenavista, w Moncloa. Nowy dom Goyi, *quinta*, położony był w bliskim sąsiedztwie tej małej rezydencji wiejskiej. Francisco nie był pewny, czy i jak dalece Javier jest poinformowany o jego stosunku z Cayetaną. Opanował wzruszenie, przełknął ślinę i powiedział siłą się na ton możliwie obojętny:

(434.)

— Dziękuję ci, mój chłopcze.

Wydawało mu się, że niesamowita władza, jaką miała nad nim Cayetana, skończyła się; pozostały tylko obrazy i wspomnienia, dobre i złe, które jednak rozsądek trzymał na uwięzi. Było tak przez cały czas, kiedy bawiła w Italii, oddzielona od niego morzem. Teraz kiedy dość mu było krótkiej przechadzki, by ją zobaczyć, zerwał się od razu ów łańcuch, którym spętał swoje tęsknoty.

Nie poszedł jednak do Cayetany. Nie opuszczał prawie swojej *ermity*, swojej samotnej pracowni. Próbował pracować. Wrażenia z Tarragony zbladły w jego pamięci. Odżyły natomiast koszmarne wspomnienia z Sanlucar. Siedział bezradny, żałośnie stęskniony, otoczony kloszem swej głuchoty.

Nagle ujrzał przed sobą donię Eufemię. Czarno ubrana, niezmienną, stała przed nim z miną pełną godności, kryjąc nienawiść pod maską grzeczności, prastara, mimo że wygląd nie zdradzał jej wieku.

— Niechaj Dziewica zachowa waszą ekscelencję w swej opiece! — rzekła. — Niełatwa to rzecz dotrzeć do pana z wiadomością — i nieufnym spojrzeniem obrzuciła ubogą, nieuprzątniętą pracownię.

Francisco nie był pewny, czy dobrze ją rozumiał, zbyt był podniecony.

— Musi mi pani napisać to, co pani ma do powiedzenia — rzekł głosem ochrypłym. — Słyszę dziś znacznie gorzej niż dawniej, jestem po prostu głuchy jak pień.

Donia Eufemia napisała powierzoną jej wiadomość; pisząc mówiła:

— Zawsze panu przepowiadałam, że to się niedobrze skończy, jeśli pan będzie tyle bezecnych rzeczy malował.

Nie odpowiedział na to. Przeczytał z uwagą wiadomość. Oświadczył, że oczekuje doni Cayetany nazajutrz wieczorem o godzinie pół do ósmej.

— Tu, w pracowni przy Calle San Bernardino — dodał bardzo głośno.

Wystroił się na ten wieczór z niezwykłą starannością, drwiąc przy tym z samego siebie. Wydawał się sobie śmieszny w swym wykwinnym stroju w tej nieporządnej i ubogo umeblowanej pracowni, służącej tylko do pracy i eksperymentów; dawniej miewał takie pomieszczenia tylko w czasach niedostatku. Dlaczego prosił, aby Cayetana przyszła właśnie tu? Była to żakowska, niedorzeczna impertynencja; zdawał sobie z tego sprawę, potwierdziła mu to mina



doni Eufemii, a przecież tak postąpił. Ale czy Cayetana w ogóle przyjdzie? Czy wie i zdaje sobie sprawę, jakie zmiany w nim zaszły? Czyż duenia nie uprzedzi jej, że dawny Francisco jest dziś głuchym, zgryźliwym, zdziwaczalym starcem?

Było wpół do ósmej, minęło dalszych dziesięć minut, Cayetana nie przyszła. Francisco snuł domysły, jak wyglądało w ostatnich czasach jej życie, z beznadziejnie w niej zakochanym, choć nie ujawniającym swych uczuć Peralem, w otoczeniu włoskich kawalerów, którzy byli swawolniejsi jeszcze niż hiszpańscy. Pobiegł do drzwi i wyrżał myśląc, że może przyszła już i puka, zapomniawszy, że Goya nie może tego słyszeć — była zawsze jedynie sobą zajęta. Zostawił drzwi lekko uchylone, aby światło z pracowni było na zewnątrz widoczne. Minęła godzina ósma; nie przyszła i chyba już nie przyjdzie.

Zjawiła się pięć minut po ósmej, spóźniona jak zawsze. Zdjęła zasłonę i stanęła przed nim w milczeniu, zupełnie niezmieniona, drobna, smukła, czarno odziana postać o cudnej, jasnej, owalnej twarzy. Stali i patrzyli na siebie, i było tak samo jak wtedy, kiedy ją ujrzał pierwszy raz na estradzie — jak gdyby nigdy nie zaszła między nimi owa wielka kłótnia.

Także w najbliższych dniach, tygodniach i miesiącach wszystko było po dawnemu. Może mniej niż dawniej mówili ze sobą, ale czyż od samego początku nie porozumiewali się lepiej za pomocą min, gestów niż słowami? Słowa psuły tylko ich zgodę. Zresztą, rozumiał ją lepiej niż kogokolwiek innego, z łatwością odczytywał z jej ust każde słowo; jej nieco twardy, dziecinny głos Francisco zachował w pamięci wierniej niż wszystkie inne znane mu głosy. W każdej chwili umiał wskrzesić w sobie i wywołać w wyobraźni dokładne brzmienie ostatnich jej słów, które mu powiedziała sądząc, że ich nie słyszy.

Chodzili razem do teatru, chociaż Francisco na muzykę i dialogi mógł tylko patrzeć; zaglądali do szynków Manolerii, gdzie ich jak dawniej życzliwie witano. „*El sordo*” — szeptali ludzie dokoła. Ale Francisco nie psuł nikomu humoru zrzędzeniem i przypominaniem swego kalectwa. Śmiał się wraz z innymi, gdy zdarzyło mu się jakieś zabawne nieporozumienie. Ludzie mówili: musi być morowym chłopem, jeżeli Alba się go trzyma.

Nie umarły w nim złe wspomnienia o Cayetanie, owszem, pamiętał dobrze zdradzieckie, zgubne odmęty jej natury, ale wspomnienia te trzymał mocno na wodzy. Zszedłszy na dno zapierającej dech otchłani czuł się teraz tym szczęśliwszy w pogodnym świetle

dnia. Nigdy przedtem nie doznawał z Cayetaną tak ekstatycznej rozkoszy jak teraz, a ona odpłacała mu tym samym żarem.

Nie miał ochoty jej malować i ona nie prosiła go o to więcej. Wszystkie jej portrety, które namalował, były nieprawdziwe; odtwarzały tylko zewnętrzną podobiznę, ale on wiedział, co się pod tą powłoką kryje, widział to, malował i rysował to wielokrotnie w czasie swej niedoli i samotności, i to była prawda o niej, prawda, która stała się dlań lekarstwem i wyzwoleniem. Cayetana, pełna zdradzieckiej niewinności i występnej niewiedzy, wyrządziła mu największe zło, jakie człowiek wyrządzić może człowiekowi, lecz zarazem dała mu środek, który nie tylko okazał się lekarstwem, ale uczynił go mocniejszym, niż był dawniej.

Goya malował w tym czasie liczne portrety. Praca szła mu lekko; nie lekcewał jej wprawdzie, malował jednak tak jak przed wielu laty. Ale i on, i Agustin wiedzieli, że umie dziś lepiej malować. Sportretował wiele pięknych kobiet, podkreślając pogodną zmysłowość, która jeszcze podnosiła ich urodę. Malował członków dworu, dygnitarzy wojskowych, bogatych mieszczan; nadawał im cechy wybitnych osobistości, choć nie starał się ukrywać ich słabych stron. Portrety te przyniosły mu nową sławę i zwiększyły jego bogactwo; zarówno w kołach dworskich, jak miejskich panowało przekonanie, że w całej Europie nie ma większego malarza niż głuchy Francisco Goya.

Syna swego Javiera rozpieszczał w dalszym ciągu. Interesował się gorąco wszystkim, co chłopak robił. Poleciał mu uczęszczać na naukę do Ramóna Bayeu, aby nie dopuścić do jednostronnej maniery, jaką mógłby przejąć, ucząc się tylko u ojca. Opinie Javiera o sztuce traktował z powagą. Kiedy Cayetana odwiedzała go w gołych ścianach jego obszernej *quinty*, urządzał się często tak, aby syn był przy tym obecny. Były to dla Javiera prawdziwie wielkie godziny. Cayetana traktowała go na pół jak chłopca, na pół jak młodego kawalera. Dawała mu czasem niepostrzeżenie, a zawsze w przemity i taktowny sposób wskazówki, co powinien czynić, a czego unikać. Starła się przytłumić jego skłonności do przesadnego strojenia się. Przynosiła mu gustowne upominki, breloki, rękawiczki, pierścionki i wpływała na niego, by zamiast krzyzących i jaskrawych ozdób, które chętnie nosił i którymi lubił się otaczać, wybierał bardziej szlachetne i wykwintne. Javier rad był bardzo, że należy do towarzystwa pierwszej damy kraju, a w szczerzej przyjaźni, jaką księżna Alba jawnie okazywała Franciscowi, widział potwierdzenie wybitnego znaczenia ojca jako artysty.

W tym samym czasie przybył do Madrytu armator Sebastian Martinez z Kadyksu i złożył Goyi wizytę. Porozumiewał się z nim na piśmie; Francisco patrzył z podziwem, jak pod ruchliwymi palcami możnego kupca powstawały szybko długie, toczone zdania, i żałował niemal, że nie zadał sobie dosyć trudu, by staranniej odtworzyć te ręce.

W końcu napisał mu senior Martinez:

— Opowiadają, że w Kadyksie i w Sanlucar malował pan nie tylko obrazy dla Santa Cueva. Słyszałem o jakiejś Wenus. Czy bardzo będę nieskromny, jeśli poproszę pana o sporządzenie dla mnie jednej kopii tej Wenus?

Pisząc to chichotał, po czym podał Goyi zapisaną kartkę.

— Jest pan nieskromny — odparł Goya. Senior Martinez pisał dalej.

— Ofiaruję honorarium 50 000 realów. Za kopię. — Podkreślił wyraz „kopię” i podał Goyi kartkę, ale zanim ten zdążył odpowiedzieć, wyjął mu kartkę z ręki i dopisał szybko:

— Czy i teraz jestem nieskromny?

— Jest pan nieskromny, senior — powtórzył Goya.

— 100000 — napisał Martinez rysując jedynekę i zera bardzo dużymi cyframi, po czym dopisał szybko: — Czy i teraz jestem nieskromny?

— Tak — brzmiała lakoniczna odpowiedź Goyi.

Senior Martinez, szczerze zmartwiony, wzruszył ramionami i oświadczył ustnie, artykułując wyraźnie każde słowo:

— Pan jest bardzo trudny, ekscelencjo!

Senior Martinez złożył też uszanowanie księżnej Alba. Zaprosiła go na przyjęcie. Wieczór przeciągnął się bardzo długo. Tańczono *desmayo*, ów taniec omdlewającej tęsknoty, w którym naprzód tancerz rzuca się swej partnerce na szyję, a potem tancerka z bezwolnym oddaniem i z zamkniętymi oczyma skłania głowę na pierś tancerza. Potem popisywano się marszem chińskim, *marcha china*. Taniec ten polegał na tym, że najpierw tancerze czołgali się na czworakach przez całą salę, tancerki zaś otaczały ich dookoła „chińskim murem”. Stojąc jedna obok drugiej pochylały się w przód, tak że rękami dotykały ziemi, tancerze zaś przechodzili schyleni pod sklepieniem kobiecych ramion, po czym tancerze i tancerki zamieniali swoje role.

Cayetana brała udział w obydwu tańcach: tańczyła *desmayo* z markizem de San Adrian, marsz chiński z seniorem Martinezem. Francisco przyglądał się z odrazą temu widowisku; przypominał sobie swój rysunek *aquelarre*, ów niesamowity, hałaśliwy sabat

czarownie, z olbrzymim kozłem, siedzącym na tylnych nogach w wyprostowanej pozycji i błogosławiącym tańczącą przed nim gromadę czarownic z młodą, uroczą Cayetaną na czele.

Ale głucha niechęć, którą odczuwał dziś Francisco, daleka była od szalonej wściekłości, z jaką patrzył kiedyś na Cayetanę tańczącą *fandango*. Teraz widząc Cayetanę, San Adriana, Martinezę i resztę jej przyjaciół, czołgających się w niezgrabnych i nieestetycznych pozach po ziemi, zrozumiał dogłębnie i nie samym tylko rozsądkiem, odczuł całą swoją istotą, ile sprzecznych skłonności tkwić może równocześnie i tkwi w każdym człowieku. Ta kobieta, Cayetana — któż lepiej mógł o tym wiedzieć niż on, który to przeżył — okazywała mu, jak żadna inna, najczulsze oddanie i uczucie namiętne, wolne od wszelkiego egoizmu; umiała powiedzieć mu: „Kocham zawsze tylko ciebie”, tonem, który mieszał mu zmysły i docierał do niego poprzez nakrywający go klosz ciszy. A teraz oto czołga się po podłodze, ordynarna, sprośnie rozbawiona, zanosząca się zmysłowym, przeraźliwym chichotem, który Francisco mógł tylko widzieć, ale który zdawał się przenikać jego głuchotę. Trudno, taka już jest jej natura. Każdy człowiek jest taki. On sam, Francisco, jest taki. Wzlatywał w przezyste niebiosa, by zaraz potem nurzać się w otchłani błota, zachwycał się szczerze i czysto czarowną grą barw, a za chwilę ciskał pędzel i nie umywszy go nawet, wychodził, aby z chucią i żarem rzucić się na łono pierwszej lepszej dziewczki. Taka jest natura człowieka. Żreć *olla podrida* i zachwycać się Velazquezem, rozplamieniać się własną sztuką i tarzać się w brudnym łóżku z ulicznicą za pięć realów, rysować demony i obmyślać chytrze, jakby tu za zamówiony portret wyciągnąć od klienta o tysiąc realów więcej.

Opuściwszy hałaśliwe towarzystwo, wrócił późną nocą do swej *ermity*.

Pogrążony w niezmiernej ciszy, rozprawiał się po raz ostatni z Cayetaną, z tą jedyną kobietą, którą w życiu kochał i kochać będzie.

Migocące płomienie świec oświetlały chwiejnym blaskiem coraz to inne części obszernej pracowni. Cienie tańczące na ścianach, to rosnące, to znów kurczące się, układały mu się w oczach w rysy twarzy Alby. Ujrzał teraz na nowo wszystkie złe oblicza Cayetany, które kiedykolwiek oglądał, twarze wykrzywione ironicznym uśmiechem, twarze czarownicy, twarze siejące zgubę; ale widział i inne Jej oblicza, pełne oddania, roztopiające się w namiętym upojeniu.

„Nie zapomnieć! — rozkazywał sobie. — Pamiętać o tamtych twarzach!”

Starał się osądzić ją sprawiedliwie. Przecież i ona mogła mieć swoje demony. I czy nie miała prawa cieszyć się nimi? Czyż on sam, Francisco, wolałby żyć bez demonów? Życie bez nich byłoby nudne; człowiek stałby się podobny do takiego Miguela. On, Francisco, umie dziś trzymać swoje demony na łańcuchu, bo może rysować to wszystko, co w nim jest złe i pospolite. Cayetana zaś nie potrafi trzymać swoich demonów na uwięzi, nie umie nawet opisać swojej zmarłej pokojówki, Brygidy, cóż dopiero przenieść ją na papier. Musi więc swoje zło i swoje sprzeczności wyrażać słowem i uczynkiem, musi ulegać podszeptom zmarłej Brygidy.

Przymknął oczy i wpatrzył się w nią, w Cayetanę i Brygidę w jednej osobie. I narysował ją, ostatnią jej prawdę i swoją ostatnią prawdę. Zawarł w tym rysunku swoje marzenie i jej kłamstwo, płochość i niestałość.

Narysował ją leżącą w pozie pełnej wdzięku i dał jej, jednej kobiecie, dwa oblicza; jedno zwrócone ku mężczyźnie, który obejmuje ją ramieniem, w ekstatycznym upojeniu, twarz tego człowieka ma wyraźnie rysy Francisca. Druga jej twarz, niemniej piękna, patrzy twardym, władczym spojrzeniem w przeciwnym kierunku, wabiąc ku sobie innych mężczyzn. Jedna ręka kobiety o dwu twarzach opada pieśczośliwie ku zakochanemu mężczyźnie, druga wyciągnięta jest ku grubej Brygidzie, która z chytrym wyrazem twarzy trzyma palec na ustach. Przed leżącą zaś i dokoła niej roi się od obrzydłych gadów; pelzają, wiją się, czyhają ropuchy i żmije, szeroko szerzy swe zęby demon. A ponad tym wszystkim, na jakiejś, dalekiej wyżynie, jaśniej zamek lekki, zwiewny, nieosiągalny, zbudowany zapewne z marzeń zakochanego głupca.

## XVI

W dolinie rzeki Manzanares, w okolicy Casa del Campo, gdzie Carlos często polował, w dzielnicy Florida, znajdował się mały kościółek poświęcony świętemu Antoniemu z Padwy. Był on dogodny dla Carlosa, gdyż leżał po drodze; król wracając z łowów wstępował do niego na wieczorne nabożeństwo. Kościółek był na pół rozwalony; don Carlos, którego pasją było budowanie, polecił

1/Casa del Campo — wielki park w Madrycie, na prawym brzegu Manzanaresu; za Karola IV własność królewska — las i miejsce polowań.

swemu architektowi Venturze Rodriguez <sup>1</sup> przebudować go. Senior Rodriguez miał słabość do wspaniałych, ozdobnych budowli, jakie były w modzie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, zaproponował więc królowi, aby zrobić z Ermita de San Antonio de la Florida ozdobne cacko, na co król od razu się zgodził. Carlos był też zdania, że właśnie Francisco Goya, który wykonał kiedyś owe piękne, pogodne gobeliny, powinien ozdobić kościółek ten malowidłami.

Francisco ucieszył się z nowego zamówienia; sądził, że ochroni go ono przed dalszymi atakami Wielkiego Inkwizytora. Pocieszającą była okoliczność, że znany ze swej bogobojności król właśnie jemu, i to mimo groźnego wezwania Francisca na *autodafe* do Tarragony, powierzył przyozdobienie swego ulubionego kościoła. Jednakże Goya czuł się zawsze nieswojo, ilekroć wypadało mu malować obrazy religijne.

— Kto zna dobrze rzemiosło malarskie — tłumaczył Cayetanie — potrafi oczywiście wszystko namalować. Ale malowanie świętych nie bardzo przypada mi do gustu. Diabła umiałbym świetnie sportretować, sam go niejedną raz widziałem, ale świętych rzadko. Malowidło miało przedstawiać jeden z głównych cudów świętego Antoniego. Ktoś był tam niewinnie posądzony o morderstwo i święty wskrzesił ofiarę mordu, aby dała świadectwo niewinności oskarżonego.

Francisco po okresie niedoli i głębokiego przygnębienia odnalazł znów drogę do życia beztroskiego i pogodnego; malowanie morderstw i rzeczy wzniosłych nie pociągało go wcale. Znalazł jednak rozwiązanie.

Wymalował cud na sklepieniu kopuły pobożnie, jak należało. Święty Antoni we franciszkańskim habicie stoi pod szarym niebem, chuda jego postać pochylona w przód, pełna skupionego napięcia; obok podnosi się z grobu przerażająco sztywny, na pół rozłożony trup, ofiara mordu; niewinnie posądzony pobożnym, uszczęśliwionym gestem podnosi ramiona. Cud odbywa się w obecności licznych widzów i tych widzów przedstawił Goya — to było jego rozwiązanie — ze szczególną troskliwością. Święty, wskrzeszony nieboszczyk i niewinnie posądzony odgrywają w tym obrazie rolę rekwizytów, główny zaś nacisk położył malarz na przypatrujący się tłum. Tłum ten ożywił Goya nastrojem, w jakim sam się teraz znajdował, tą swoją nową, pełną pogody i świadomą, mądrą i doświadczoną młodością.

<sup>1</sup> Rodriguez Tizón Ventura (1717—1785) — sławny hiszpański architekt w okresie przełomu pomiędzy barokiem i klasycyzmem.

Ale ci widzowie, których Goya namalował, to nie postacie współczesne świętemu Antoniemu, lecz raczej typy madryckie z otoczenia Goyi, prawdziwi madrytczycy; wielu z nich wygląda na mieszkańców Manolerii. Widok spełniającego się cudu nie budzi w gromadzie widzów uczuć bogobojnych; przypatrują się cudowi tak, jakby patrzyli na jakąś wspaniałą walkę byków lub *aulo sacramentale*. Opierają się wygodnie o balustradę, na której rozwieszono wspaniałą *mantón*<sup>1</sup>; kilku małych łobuzów siedzi okrakiem na balustradzie, inni wspinają się na nią. Wszyscy zabawiają się rozmową i zwracają sobie nawzajem uwagę na to, co się dzieje. Jedni są podnieceni i śledzą pilnie, czy rozkładający się nieboszczyk naprawdę wraca do życia; inni mało interesują się tym, co się przed nimi odbywa: flirtują, opowiadają sobie anegdoty, które niewiele mają wspólnego ze spełniającym się cudem. Nikt nie troszczy się o niewinnie oskarżonego. Na sklepieniu ponad przedsionkiem kościelnym, w łukach kopuły i w lunetach<sup>2</sup> okiennych wymalował Goya cherubiny i inne anioły. Są to niezwykle urody postacie kobiece, o pełnych, zmysłowych twarzach; choć osłonięte skromnie szatami — zgodnie z przepisami inkwizycji — starają się przedstawić swe wdzięki cielesne w najpochlebniejszym świetle. Te „anielice” właśnie wymalował Goya ze szczególnym upodobaniem. Co prawda, prócz skrzydeł, nie nadał im żadnych cech anielskich, dał im natomiast, tak jak tylko on jeden to umiał, twarze niby anonimowe, twarze kobiet, które jemu i wielu innym dobrze były znane. Wykonując te malowidła w Ermita de San Antonio, Francisco zmienił się na powrót w dawnego, beztroskiego, swawolnego Goyę z okresu swych pierwszych lat spędzonych na dworze królewskim, kiedy z niezmierną ochotą brał udział w bujnym, swobodnym życiu dworskim. Głuchotę swą odczuwał teraz tylko jako nieznaczną przykrość, która nie przeszkadzała mu zbytnio; był po prostu znowu przebrany za dworaka *majem*, hałaśliwym, barwnym, pyszałkowatym. Pogodna, niefrasobliwa przeszłość rzucała na niego ostatnie swe promienie. Malował freski w tym kościółku tak, jak niegdyś komponował gobeliny, tylko że umiał dziś znacznie więcej niż wtedy i znacznie głębiej rozumiał, co to jest barwa, światło i ruch. Kościółek położony był .w pobliżu jego *quinty* i niedaleko Palacete Buenavista. Cayetana przyjeżdżała tu często ze swej wiejskiej

<sup>1</sup> Mantón — płaszcz; narzuta.

<sup>2</sup> Lunety — półkoliste wnęki ścienne nad oknami i drzwiami.

siedziby, by przyglądać się jego robocie, zjawiał się też czasem Javier i nieodstępny jak zawsze Agustin; przybywali również inni przyjaciele Goyi, zarówno grandowie i grandesy, jak bywalcy szynków Manolerii. Robota paliła się Goyi w rękach. Goście z radością i podziwem patrzyli, jak zwawo i zręcznie uwijał się po rusztowaniu i jak nieraz malował leżąc na plecach. Zdumiewali się widząc, jak z niczego wyłania się pstry, hałaśliwy tłum postaci, jędrne i wesołe cherubiny, podniecające anielice.

W dwa dni po otrzymaniu od Goyi wiadomości, że dzieło jest gotowe, król, wracając ze swym orszakiem z polowania, przybył obejrzeć nowy kościół.

Panowie i panie w strojach myśliwskich zapełnili niewielką nawę kościółka, którego mrok rozjaśniała i ożywiała wesoła pstrokaczna skrzydlatych i bezskrzydłych postaci, przypominających mieszkańców Madrytu. Grandowie i grandesy byli nieco zdziwieni widząc święte zdarzenie tak bardzo po świecku przedstawione. Ale czyż i inni mistrzowie, zwłaszcza cudzoziemscy, nie traktowali czasem *wzniosłych* tematów bardzo wesoło i barwnie? Zresztą dostojni widzowie, mieli w ostatnich miesiącach wiele trosk i przykrości; sprawiało im przyjemność, że ten głuchy, starzejący się człowiek z takim żarem objawia swą radość życia. Każdemu jest miło przypomnieć *sobie* szczęśliwe lata, kiedy było się tak swawolnym jak te anioły i jak ten wesoły tłum. Freski przedstawiają zresztą wydarzenie w gruncie rzeczy radosne; bo chyba nieczęsto się zdarza, by niewinnie zasądzonemu skazańca ocaliła od śmierci cudowna interwencja świętego. Nic dziwnego, że gawieź na fresku z uciechą patrzy na radosny cud. A może i nad nami Bóg miłosierny uczyni jakiś cud i wybawi nas od tej wojny, od Francuzów i od wiecznych kłopotów finansowych.

Tak myśleli w duchu i pochwaliliby chętnie malowidło. Ale milczeli czekając, co powie monarcha. Musieli długo zachowywać milczenie i przez jakiś czas nic nie było słycać prócz stłumionej wrzawy gromadzącej się przed otwartą bramą kościelną ciżby ludzkiej i rżenia koni.

Król nie spieszył się z wyjawieniem swego zdania. Nie wiedział dobrze, co ma właściwie myśleć o tym malowidle. Carlos nie był śledziennikiem, cenił żarty; nawet obrzędów religijnych i modłów me lubił odprawiać w sposób zbyt ponury. Nie miał też w zasadzie nic przeciwko pogodnym twarzom i barwnym ubiorom na obrazach *treści* religijnej; czyż sam nie wyraził życzenia, by kościół miał wygląd pogodny? Ale to, co tu zrobił jego pierwszy malarz, jest chyba



zbyt świeckie i swawolne. Te anielice nie mają w sobie nic anielskiego.

— Tę tutaj z opuszczonymi skrzydłami — rzekł nagle — to ja chyba znam. Tak, tak, to przecież Pepa! A ta druga, to Rafaela, która miała naprzód stosunek miłosny z Arcosem, a później była utrzymanką młodego Colomera. To ta, o której tak często wspominają raporty policyjne. Mój kochany don Francisco, tego rodzaju anioły nie bardzo mi się podobają. Wiem, wiem: sztuka uszlachetnia. Ale zdaje mi się, że tę Rafaelę nie dość pan uszlachetnił.

Donośny głos króla napełnił jak grzmiotem niewielką nawę kościółka; jedynym, który go nie słyszał, był Francisco. Podał królowi swój notatnik.

— Raczy mi wasza królewska mość wybaczyć — rzekł — czy nie zechciałbyś, sire, napisać mi swych najłaskawszych słów uznania?

Ale tu zabrała głos Maria Luiza. Oczywiście ten anioł z opuszczonymi skrzydłami jest podobny do tej „osoby”, do Pepy, a ten drugi o skrzydłach rozpostartych przypomina osławioną w mieście Rafaelę. Goya mógł doprawdy znaleźć sobie inne modele. Ale nie były to ostatecznie portrety, lecz tylko podobieństwa: na freskach Goyi wśród istot niebiańskich i ziemskich można było znaleźć tyle podobnych twarzy, ile się komu podobało. Goya miał już taką manierę malarską. I właściwie szkoda nawet, że i jej samej, doni Marii Luizy, nie umieścił na tym fresku. A tak przynajmniej tyle dobrego, że Pepa stoi obok tej ładaczniczki Rafaeli. Oglądając fresk wymalowany na sklepieniu Maria Luiza przypomniła sobie podobne malowidło Correggia, które widziała kiedyś w Parmie, a o swojej ukochanej Parmie myślała zawsze z wielką przyjemnością.

— Stworzył pan znowu arcydzieło, don Francisco — rzekła wymawiając dobitnie każdy wyraz. — Co prawda, pańskie anioły i niektóre męskie i kobiece postacie wśród widzów są bardzo wesołe, muszę tu przyznać słusność królowi, ale trzeba zrozumieć, że i anioły, i tłum widzów odczuwają radosne oszołomienie na widok cudu.

Pochwała Marii Luizy ułagodziła don Carlosa. Król poklepał Goyę łaskawie po ramieniu.

— Musiał to być niemały trud — oświadczył — łązić po tym rusztowaniu i malować. Ale wiem przecież, że z pana mocny chłop.

I wszyscy grandowie i dostojnicy duchowni chwalili dzieło Francisca.

Tymczasem na dworze, nad brzegiem Manzanaresu, zgromadził się tłum, aby przypatrzeć się odjazdowi Carlosa i jego świty. Zewsząd zabrzmiały pozdrowienia i radosne okrzyki na cześć króla.

Goya opuścił kościół jako jeden z ostatnich. Wiele osób w tłumie poznało go i na jego widok zerwały się nowe, grzmiące okrzyki. Goya widział radosne podniecenie tłumu; wiedział, że ludność Madrytu darzy go sympatią, zmiarkował, że te ostatnie owacje odnoszą się do niego. Miał na sobie strój galowy, trójkątny kapelusz trzymał pod pachą. Wkładał kapelusz na głowę i zdejmował go znowu, jak było zwyczajem dziękować tłumom; widział, że ludzie odpowiadali jeszcze głośniejszymi okrzykami.

Gdy zajechał jego powóz, spytał służącego Andresa, co też ci ludzie krzyczeli. Andres, który od czasu ogłuchnięcia Goyi stał się mniej mrukliwy i dużo gorliwszy w służbie, odpowiedział wymawiając wyraźnie każde słowo:

— Krzyczeli: „Niech żyje święty Antoni! Niech żyje Przenajświętsza Dziewica i cały jej niebiański orszak! Niech żyje Francisco Goya, nadworny malarz świętego Antoniego!”

W ciągu najbliższych dni cały Madryt przyjeżdżał do kościółka we Floridzie, aby obejrzeć freski Goyi. Na Francisca spadł deszcz sławy. Mówiono z uniesieniem o jego dziele.

„We Floridzie można oglądać dwa cudy — pisał krytyk sztuki Iriarte — cud świętego Antoniego i cud malarza Francisco Goyi.”

Ale Wielki Inkwizytor Reynoso potępił stanowczo malowidło Goyi. Dopiero wzywano tego kacacza do Tarragony, a dziś jest zuchwalszy jeszcze niż przedtem.

— Świętym dodaje siedem grzechów głównych i przedstawia je bardziej powabnie niż cnoty.

Najchętniej uwięziłby tego grzesznika i zamknął kościół. Ale Goya to chytra sztuka! Nie namalował ani jednego nagiego ciała, nie można go było przyłapać na nieobyczajności; a król i tłumy są niestety ślepi i nie dostrzegają subtelnych odcieni występku i bezbożności.

Tak, ludność Madrytu z zachwytem oglądała freski. *Majowie* z szynków Manolerii, wielbicie Goyi, praczki z doliny Manzanaresu, drobni rolnicy obejrzeni je pierwsi i rozpowszechnili ich sławę, tak że niedługo cały lud Madrytu przychodził do Floridy, aby obejrzeć cud ulubionego świętego. Czuli się związani z tymi widzami opartymi o balustradę; i oni zachowaliby się dokładnie tak samo, gdyby im było dane być świadkami tego cudu. Kochali swoją religię, tak jak się kocha jakieś żywe, podniecające, barwne widowisko; doznawali podobnych uczuć jak ci widzowie przy balustradzie, kiedy patrzyli na uroczyste procesje i *autodafe*, i czuli bliską łączność z tą wesołą, barwną rzeszą, którą ich malarz nappełnił

kościół. Namalował właściwie ich samych i byli mu za to wdzięczni.

Jednego z następnych dni, w skwarne południe, kiedy kościół stał pustką, Goya wszedł do środka, aby w spokoju przypatrzeć się gotowemu dziełu. Stał w ciemnym kącie, skąd miał najlepszy widok na tę część malowidła, którą chciał obejrzeć.

Jakaś staruszka weszła do kościoła, nie spostrzegając jego obecności. Oglądała freski przechylając głowę w tył, by zobaczyć cud namalowany na kopule; z podziwem kiwała głową, dreptała dokoła, posuwając nogami, pełna radosnego zachwytu. Wreszcie stanęła pod samym środkiem kopuły i obracając się we wszystkich kierunkach kłaniała się głęboko. Ale postać świętego znajdowała się pionowo nad jej głową, tak że widocznie nie przed nim się pochylała; uwielbienie staruszki odnosiło się chyba do owych wesołych anielic i hałaśliwego pospólstwa, przyglądającego się cudowi.

Goya zdumiał się.

— Co tu robisz, mateczko — spytał — i komu składasz pokłony?

Nie umiejąc ocenić natężenia swego głosu, powiedział to tak donośnie, że słowa jego rozbrzmiały jak grzmot pod sklepieniem kościelnym i przeraziły staruszkę. Rozejrzała się dokoła i ujrzała obcego pana.

— Co robisz, mateczko? — powtórzył. — Dlaczego kłaniasz się tym namalowanym ludziom, tej całej gromadzie? — pytał z uśmiechem.

Odpowiedziała z powagą — odczytał jej słowa z ust:

— Kiedy człowiek widzi coś tak pięknego, musi się pokłonić.

## XVII

Dopóki Dyrektoriat był w Paryżu u steru władzy, rząd hiszpański mógł ustawicznie odwlekać załatwienie nieszczęsnej sprawy portugalskiej. Teraz jednak Bonaparte został pierwszym konsulem i nie był bynajmniej skłonny zadowalać się wykrętami lub obietnicami. Zażądał teraz w zwięzłej formie, by infant Manuel wysłał terminowe ultimatum do Portugalii i zmusił ją do zerwania stosunków z Wielką Brytanią; jeśliby zaś Portugalia nie spełniła tego żądania, wówczas armia złożona ze sprzymierzonych wojsk hiszpańskich i francuskich ma zająć Lizbonę. Aby nadać tym większy nacisk swemu żądaniu, Napoleon zarządził koncentrację korpusu francuskiego pod dowództwem

generała Leclerca nad granicą Hiszpanii, dając jednocześnie Leclercowi rozkaz, aby w ciągu dziesięciu dni bez względu na to, czy i jaka decyzja zapadnie w Aranjuezie, wkroczył wraz ze swym korpusem na terytorium hiszpańskie i w celu poparcia imprezy portugalskiej oddał swój korpus i siebie królowi Carlosowi do dyspozycji.

Ambasador Lucjan Bonaparte zjawił się u nadąsanego Manuela. Sam dobrze rozumie — wywodził — iż ich katolickim gościom trudno jest wystąpić zbrojnie przeciwko spokrewnionemu z nimi królewskiemu domowi Portugalii. Pragnie jednak przedstawić pierwszemu ministrowi pewien projekt, który wprawdzie dotychczas jest wytworem jego własnego mózgu, ale który bratu jego, Napoleonowi, jest znany; propozycja ta ułatwi, być może, królowej powzięcie decyzji w sprawie zbrojnego wystąpienia przeciwko rodzonej córce. Rzecz ma się tak: pierwszy konsul, nie oczekując potomka od swojej małżonki Józefiny, postanowił rozwieść się z nią w najbliższej przyszłości i wejść w powtórny związek małżeński. Otóż on, Lucjan, zachwycony jest wdziękami infantki doni Izabeli, która wprawdzie jest jeszcze dzieckiem, ale niebawem już będzie mogła się zaręczyć; napomknął o tym swemu bratu, pierwszemu konsulowi, który zainteresował się projektem.

Najmłodsza córka doni Marii Luizy, infantka Izabela, była dzieckiem Manuela — świadczyło o tym podobieństwo. Manuel doznał przez chwilę oszołomienia na myśl, że córce jego może przypaść w udziale takie wywyższenie. Ale zaraz pomyślał, że to, co Lucjan opowiada, jest zapewne tylko czczą gadaniną. Mimo wszystko rad był, że może chwycić się jakichś godziwych pozorów, i uroczystym tonem odpowiedział, że w tych okolicznościach gotów jest wziąć na siebie odpowiedzialność przed Bogiem i własnym sumieniem i wystosować do Portugalii żądane ultimatum; będzie się też starał nakłonić ich królewskie gości, aby postąpiły zgodnie z życzeniem pierwszego konsula.

W dyskretnych słowach obaj mężowie stanu uzgodnili jeszcze między sobą podział osobistych „prowizji”, mających przypaść każdemu z nich z odszkodowania wojennego, jakie nałożone będzie na Portugalie.

Propozycje generała Bonaparte wywarły silne wrażenie na Marii Luizie. Trudno jej było wprawdzie zdobyć się na to, aby swą potulną, łagodną córkę Carlotę, panującą w Portugalii, nękać najazdem wojennym. Ale nie zapomniała o tym, że Napoleon poprzednim razem dotrzymał danego słowa i córkę jej Marię Luizę uczynił w istocie

królową Etrurii. Było więc możliwe, że zamierza on istotnie spowinowacić się z domem Burbonów, wprowadzić do Wersalu córkę jej Izabelę i wspólnie z nią rządzić Francją. A wtedy „my Burbonowie” siedzieć będziemy na wszystkich niemal tronach Europy.

Starła się przekonać don Carlosa, że należy pogodzić się z tym, co i tak jest nieuniknione. Król, acz z ciężkim sercem, zaprosił do siebie Lucjana Bonaparte i oświadczył mu, że zdecydował się wystosować do Portugalii żądane ultimatum.

— Sam pan widzi, drogi ambasadorze — rzekł ze łzami w oczach — że korona nieraz przynosi ból serdeczny temu, kto ją dźwiga. O ile znam kochanego zięcia, to on nie ustąpi, a wtedy będę musiał wysłać armię przeciw rodzonej córce, która nie uczyniła mi nic złego i nie rozumie nawet, o co właściwie chodzi.

Książę regent Portugalii odrzucił w istocie ultimatum i armia hiszpańska pod dowództwem don Manuela wkroczyła do Portugalii. Stało się to dnia 16 maja.

Ale już 30 tegoż miesiąca bezbronna Portugalia zmuszona była prosić o pokój. Rokowania pokojowe toczyły się w Badajoz, blisko granicy portugalskiej, w mieście, w którym urodził się Manuel; doprowadziły one bardzo szybko do podpisania traktatu pokojowego. Manuel, który otrzymał od Portugalii szczodre dary honorowe, przyznał zwyciężonemu przeciwnikowi wspaniałomyślne warunki. Lucjan Bonaparte, również hojnie obdarowany i zainteresowany udziałem w „prowizji”, położył na akcie traktatu swój podpis w imieniu Francji.

Principe de la Paz, ozdobiwszy swe imię laurem zwycięstwa, zgodził się wielkodusznie, pomimo pełnych chwały sukcesów orężnych, na łagodne warunki pokoju dla pokonanego nieprzyjaciela. „Pokój w Badajoz” obchodzono uroczyście w obu krajach. Król Carlos specjalnym dekretem zezwolił zwycięskiemu infantowi don Manuelowi na odbycie triumfalnego wjazdu do Madrytu.

Tymczasem Napoleon, który krótko przedtem w decydującej bitwie pod Marengo pobił na głowę Austriaków, oświadczył w ostrej nocy, że ambasador Lucjan Bonaparte przekroczył udzielone mu pełnomocnictwa; że on, pierwszy konsul, ani myśli o tym, aby uznać niedorzeczny pokój w Badajoz, lecz uważa, że pozostaje nadal w stanie wojny z Portugalią. Aby zaś zapobiec wszelkim nieporozumieniom, wysłał do Hiszpanii drugi francuski „korpus posiłkowy”.

Wzrok infanta Manuela przesłoniły jednak dymy z kadzideł, którymi darzył go cały naród. W nocy nie mniej stanowczej niż nota Napoleona zażądał, aby rząd francuski wycofał natychmiast

swoje niepotrzebne już obecnie wojska z Hiszpanii, a dopóki to nie nastąpi, nie weźmie nawet pod rozwagę rewizji „pokoju w Badajoz”. Napoleon odpowiedział, że zuchwałą notę Manuela może sobie wytłumaczyć jedynie tym, że ich katolickie królewskie mości czują się widocznie już znużone uciążliwym siedzeniem na tronie i pragną podzielić los innych Burbonów.

Manuel zataił przed hiszpańską opinią publiczną, a nawet przed parą królewską, że pierwszy konsul zakwestionował traktat zawarty w Badajoz. Zarówno dwór, jak miasto szumnie wielbiły zwycięskiego infanta. Manuel, coraz bardziej obalamucony dowodami czci, postanowił dać należytą odprawę bezczelnym pogrożkom Napoleona; zredagował sam godną odpowiedź, którą poseł hiszpański w Paryżu, Azara, doręczyć miał w jego imieniu generałowi Bonaparte w osobistej rozmowie. W nocy tej don Manuel zwracał uwagę dorobkiewiczowi, że nie pierwszy konsul, lecz Bóg Wszechmogący kieruje losami państw i narodów, ostrzegał go, że raczej młody regent, który dopiero co dorwał się do władzy, mógłby ją znów utracić niż pomazaniec Boży, którego przodkowie już przed tysiącem lat nosili koronę.

Miguelowi nie podobała się ta odpowiedź. Czuł, że szaleństwem jest wysyłanie takiej noty do zwycięskiego na wszystkich frontach wodza. Sekretarz oświadczył Manuelowi, że na tego rodzaju pismo pierwszy konsul odpowie wojskową okupacją Madrytu. Minister ponurym okiem spojrzał na Miguela; mgła rozwiała się przed jego oczyma; wiedział, że Napoleon nie miał zwyczaju bawić się w długie ceregiele.

Zapytał z rezygnacją:

— To znaczy, że całą tę wielką mowę napisałem na próżno?

Miguel doradził piękną i pełną godności notę Manuela przesłać do Paryża, z tym jednak poleceniem, by ambasador Azara doręczył ją tylko na wypadek nieuchronnej konieczności. Manuel, acz niechętnie, zgodził się.

Tymczasem jednak Napoleon przysłał do Madrytu tekst ostatecznych warunków traktatu pokojowego z Portugalią. Twarde to były warunki. Portugalia miała zgodzić się na odstąpienie Francji swej kolonii Gujany, podpisać bardzo korzystny dla Francji traktat handlowy, zapłacić odszkodowanie wojenne w wysokości stu milionów i oczywiście zerwać wszelkie stosunki z Anglią. Aby zapewnić spełnienie tych warunków, jedna z armii francuskich pozostać miała aż do czasu zawarcia pokoju z Anglią na terytorium Hiszpanii. Jedynym ustępstwem, na które zgodził się pierwszy konsul wobec

(449 )

swego hiszpańskiego sprzymierzeńca, było to, że i ten drugi traktat pokoju miał być zawarty w Badajoz.

W odpowiedzi swej don Manuel uderzył w krnąbrny i żałosliwy ton. Otrzymawszy ją, Napoleon polecił swemu bratu Lucjanowi, by nie prowadził dalszych rokowań z Manuelem; przesłał też swe pismo z rozkazem niezwłocznego doręczenia go do rąk królowej Marii Luizy, nie zawiadamiając o tym Manuela. Rozkaz pierwszego konsula był tak stanowczy i surowy, że Lucjan, chcąc nie chcąc, musiał go wypełnić.

W tym zaś odręcznym piśmie, skierowanym do królowej Hiszpanii, Napoleon Bonaparte pisał co następuje;

„Pierwszy Minister Waszej Królewskiej Mości w ciągu ostatnich miesięcy wystosował do mego rządu szereg obraźliwych not, a ponadto wyrażał się o mnie w zuchwały sposób. Dosyć już mam tego niewłaściwego i niedorzecznego zachowania się. Proszę Waszą Królewską Mość przyjąć do wiadomości, że jeśli otrzymam choćby jedną jeszcze notę podobnego rodzaju, nastąpi niezwłocznie uderzenie piorunu.”

Przerażona Maria Luiza wezwała natychmiast Manuela do siebie.

— Masz tu swego „dobrego przyjaciela” Bonaparte — rzekła i rzuciła list na stół.

Przyglądała mu się bacznie, podczas gdy czytał pismo. Nalana twarz Manuela, zawsze tak pewnego siebie, zdradzała zmieszanie, jędrna jego postać jak gdyby zwiotczała.

— Proszę o pańską radę, pierwszy ministrze! — rzekła szyderczo.

— Obawiam się — odparł przygnębiony — że jeśli nam zależy, aby Bonaparte ratyfikował traktat w Badajoz, to twoja Carlota będzie chyba musiała odstąpić mu Gujanę.

— No i te sto milionów — dodała z nieukrywaną irytacją Maria Luiza.

Pokój w Badajoz został więc ponownie zawarty, a tym razem podpisał go pierwszy konsul. Ale pokój ten, prócz nazwy, nie miał nic wspólnego z poprzednim traktatem w Badajoz.

Ludowi hiszpańskiemu podano do wiadomości tylko niewielką część postanowień tego traktatu i Manuel odbierał nadal hołdy ludności. Ale żołnierze francuscy pozostali na ziemi hiszpańskiej, i to na koszt Hiszpanii.

## XVIII

Goya bawił w Aranjuezie; malował tam portret don Manuela. Mimo triumfalnych fanfar było wielu takich, którzy rozumieli, że pokój w Badajoz oznaczał dla Hiszpanii porażkę. Należał do nich zapewne również Francisco; Manuelowi zależało na tym, by zjednać sobie Goyę, z którym czuł się związany. Obsypywał go drobnymi, wyszukаныmi dowodami przyjaźni, zapraszał na obiady, zabierał z sobą na przejażdżki. Porozumiewał się z nim często na migi, ale częściej jeszcze mówił do niego wprost, nieraz tak szybko i niewyraźnie, że Goya mało co z tego rozumiał. Chwilami Francisco nie był pewny, czy Manuel chce być przez niego rozumiany. Wydawało mu się nieraz, że Manuel odczuwa potrzebę mówienia, ale ze względów ostrożności woli to uczynić przed kimś, kto go rozumie wszystkiego. Manuel mówił bowiem często rzeczy ryzykowne. Wypowiadał szydercze i zuchwałe zdania o pierwszym konsulu i nie szczędził ironicznych docinków doni Marii Luizie i królowi Carlosowi.

Don Manuel polecił Goyi, aby mu namalował reprezentacyjny portret z oznakami władzy naczelnego wodza; tłumaczył, że ma na myśli portret podobny do obrazu Davida przedstawiającego przejście generała Bonapartego przez Alpy. Spełniając to życzenie Goya namalował don Manuela w świetnym uniformie, na poboju, po świeżo odniesionym zwycięstwie, siedzącego z depeszą w ręku na małym trawiastym wzniesieniu.

Wzniesienie to zastępowała podczas seansów wygodna kanapa, na której infant rozpiął się leniwie, nie przerywając swej gadaniny. Goya nie czuł już pobłażania dla swego potężnego protektora; zdawał sobie sprawę, że nie tylko twarz i ciało, ale i duch Manuela porósł tłuszczem. Myślał o tym, że don Manuel z brutalną obojętnością złamał młode życie infantki doni Teresy, że zemścił się nikczemnie na swym przeciwniku Urquijo za to, że ten okazał się lepszym od niego politykiem. Były pierwszy sekretarz stanu więziony był w ciemnej i wilgotnej twierdzy w Pampelunie, gdzie żywiono go niedostatecznie i odmawiano papieru i atramentu. Mając to wszystko w pamięci Goya przedstawił wprawdzie don Manuela w blasku zewnętrznej świetności, ale nie zataił jego tuszy i malującej się na twarzy zgnilizny moralnej oraz oschłej, zblazowanej pychy. „Im wyżej mała się wspina, tym wyraźniej odsłania swój tyłek” — przypominał sobie stare przysłowie.



Czasem na te seanse przychodziła Pepa. Czuła się w Aranjuezie jak u siebie w domu, była damą dworu królowej, pozostawała z nią w dobrych stosunkach i w lepszych jeszcze z Carlosem. Nie widziała już przed sobą szczytu, na który pragnęłyby się jeszcze wspiać; dokoła niej był już tylko czysty błękit. Cieszyła się, że Goya namalował ją jako anioła na fresku we Floridzie, było to dla niej potwierdzeniem, że odgrywała jeszcze rolę w jego uczuciach. Pewnego dnia zaprosiła go, by obejrzał jej synka. Goya miał słabość do małych dzieci, uśmiechał się do malca i podawał mu palec do zabawy.

Pepa, widząc to, rzekła:

— On ma do pana zaufanie, don Francisco. Jak się śmieje do pana! Czy nie uważasz, że on jest podobny do ciebie?

Portret Manuela był wreszcie gotowy. Pepa i Manuel stanęli przed nim, by obejrzyć skończone dzieło.

Z ram płótna patrzył na nich don Manuel, siedzący na niskim pagórku, w swym świetnym mundurze wojennym, błyszczący złotem odznaczeń, z orderem Chrystusa, lśniącym na pendencie szpady. Po lewej stronie trzepece na pół zwinięty zdobyty sztandar portugalski; w głębi obrazu widać sylwetki żołnierzy i koni. Niepokaznie wygląda stojący za Manuelem adiutant jego, hrabia Tera. Pod ołowianym, posepnym niebem zwycięski wódz siedzi z twarzą nieco znudzoną i czyta depeszę. Goya namalował starannie jego pulchne, wypielęgnowane ręce.

— Poza jest nienaturalna — oświadczyła Pepa — ale podobieństwo jest bardzo dobrze oddane. Naprawdę trochę nazbyt utyleś, infancie.

Manuel pominął to milczeniem. Portret był wiernym obrazem człowieka i jego triumfu. Tak siedzieć, tak być ubranym i tak spoglądać mógł tylko mąż, który posiadał władzę.

— Znakomity obraz — rzekł z uznaniem — prawdziwy Goya.

Szkoda, że brak mi czasu, by pozować panu do drugiego portretu, przyjacielu i mistrzu. Niestety — westchnął — kłopoty rządzenia pochłaniają cały mój czas.

Był rzeczywiście bardzo zajęty. Nie mogąc z winy generała Bonapartego pokazać Europie swej potęgi, chciał dać ją odczuć przynajmniej Hiszpanom. Postanowił pokazać im, że nie Urquijo dzierży ster rządów, że rządzi mąż, który nie pozwoli, by bezbożna Francja wtrącała się do jego wewnętrznej polityki. Zwrócił się przeciwko liberałom, zbliżając się coraz bardziej do reakcyjnej arystokracji i ultramontańskiego kleru.

Miguel Bermudez starał się na swój delikatny, taktowny sposób łagodzić tę politykę, ostrzegał nie szczędząc pochlebstw, przytaczał mądre, dyskretne argumenty. Ale Manuel nie chciał go słuchać przeciwnie, dawał Miguelowi do zrozumienia, że rady jego są niepożądane. Stosunek Manuela do Miguela zmienił się nie do poznania. W trudnych sytuacjach Manuel szukał rady u Miguela, nie chciał jednak, aby mu to przypomniano. Miguel postąpił tak niemęsko w sprawie z Lucią, że infant czuł się niejako wewnętrznie zwolniony z obowiązku wdzięczności względem swego sekretarza.

Miguel mimo swego równego usposobienia odczuł dotkliwie, że wpływ na Manuela wymyka mu się z rąk. Życie Miguela było i tak już pełne trosk i przykrości. Powrót Lucii zamiast spodziewanej ulgi przyniósł mu tylko nowe niepokoje. Teraz miała nawet jakieś konszachty z Manuelem, w które nie wtajemniczała męża wiedząc, że potępiłby je surowo. Łagodna kara, na jaką skazany został opat, pozostawała niewątpliwie w związku z podejrzanymi układami między Manuelem a Wielkim Inkwizytorem, a w całą tę sprawę wmieszane były z pewnością Lucia i Pepa.

Miguel czuł, że jego dotychczasowy poufały stosunek z Manuelem rozluźnia się coraz bardziej, Manuel wbrew jego radom występował coraz gwałtowniej przeciwko liberałom, a teraz gotował się do zadania im najcięższego ciosu.

Wielki Inkwizytor Reynoso zażądał mianowicie, jako ceny za łagodny wyrok na opata Diego Perico, jednej tylko wzajemnej usługi: zwolnienia arcykacerza i buntownika Gaspara Jovellanos z jego urzędu. Manuel wzbraniał się wprawdzie wystąpić przeciwko mężowi, o którego ulaskawienie i powrót do władzy sam zabiegał; w skrytości ducha było mu jednak na rękę pozbyć się tego cierpkiego moralisty, który był dla niego żywym wyrzutem sumienia. Po krótkich wahaniach i targach zgodził się przeto na warunek Wielkiego Inkwizytora. Teraz uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, by spełnić dane przyrzeczenie.

Wkrótce znalazł się dogodny pretekst. Jovellanos wydał nową, bardzo zuchwałą książkę i Święte Officium zażądało stanowczo, aby rząd zabronił tego bezbożnego i buntowniczego dzieła, autora zaś po ciągnął do odpowiedzialności.

— Ten don Gaspar już nigdy nie zmądrzeje — rzekł Manuel z westchnieniem do Miguela. — Obawiam się, że tym razem będę musiał wystąpić przeciwko niemu.

Nie dopuści pan chyba do tego, aby książka została zakazana? — spytał Miguel. — Niech mi pan pozwoli zredagować od powiedź dla Reynosa, postaram się go uspokoić i udobruchać.

— Obawiam się, że tym razem to nie wystarczy — odparł Manuel rzucając mu zimne, nic nie mówiące spojrzenie.

— Czy naprawdę myśli pan o tym, by wyrazić Jovellanosowi naganę? — spytał zaalarmowany już poważnie Miguel.

Z jego bladej, szerokiej, kanciastej twarzy o jasnym czole znikł spokój i opanowanie, które zawsze okazywał.

— Obawiam się, że tym razem i to nie wystarczy — odparł Manuel podkreślając jeszcze odmowę wytwornie znudzonym gestem mięsistej ręki. — Z przyczyny don Gaspara mam nieustanne zatargi z Wielkim Inkwizytorem i z Rzymem. A on tego nie chce zrozumieć.

I rzucając nagle maskę obojętności wybuchnął złością jak krnąbrny dzieciak.

— Dosyć mam już tego wiecznego użerania się! Wyślę go na powrót do jego Asturii. Poproszę króla, by kazał mu doręczyć rozkaz na piśmie.

— Tego pan nie zrobi! — zawołał Miguel.

Wstał. Było w nim gorzkie wspomnienie długotrwałej walki, którą trzeba było stoczyć, by uzyskać odwołanie Jovellanosa z wygnania. W walkę tę wciągnięto Francisca, Pepe, Manuela i jego samego; miałyby wszystkie te ofiary i wysiłki pójść na marne?

— Proszę mi wybaczyć, don Manuelu — rzekł — ale jeśli pan teraz bez próby oporu ustąpi Wielkiemu Inkwizytorowi, to rozzuchwali go to na przyszłość jeszcze bardziej.

— Przypomnij sobie łaskawie — odpowiedział Manuel z łagodną ironią — że już nieraz stawiałem czoło i papieżowi, i Wielkiemu Inkwizytorowi. Czy zdarzyło się kiedy coś podobnego, aby ktoś, kto skazanego kacerza uprowadził za granicę, wrócił potem spokojnie do kraju i pozostał przy życiu? Otóż niech pan nie zapomina, mój drogi, że to ja zrobiłem. Nasz opat wrócił do Hiszpanii, czuje się wcale nieźle i wkrótce będzie czuł się jeszcze lepiej. Przyzna mi pan chyba, że zadaliśmy tym dotkliwy cios Świętemu Officium; słuszość wymaga, byśmy oddali mu tę małą przysługę.

— Małą przysługę! — krzyknął don Miguel tracąc panowanie nad sobą. — Jovellanos, największy mąż tego kraju, znowu na wygnaniu! Po takiej klęsce nigdy już nie będziemy w stanie podnieść się! Błagam pana, don Manuelu — zaklinał go — niech się pan jeszcze zastanowi, zanim pan zrobi ten krok!

— Twoje rady, mój drogi — odparł z zimnym spokojem don Manuel — stały się ostatnio nieco zbyt natarczywe. Wierz mi, że umiem sam myśleć. Staliście się teraz wszyscy zanadto rozwydrzeni, wy, liberałowie, zbyt łagodnie obchodziłem się z wami.

Manuel wstał. Wysoki, masywny, okazały, stanął przed chudym Miguelem.

— Wszystko rozważyłem — oświadczył. — Twój przyjaciel don Gaspar otrzyma *carta orden!*

Jego głęboki tenor grzmiał gromko: była w nim nuta złośliwego triumfu.

— Proszę o dymisję! — rzekł krótko don Miguel.

— Ty psie niewdzięczny! — krzyknął don Manuel. — Głupi, ślepy, nie orientujący się, niewdzięczny psie! Nie uchwyciłeś związku tych spraw. Czy nie domyśliłeś się do tej pory, że to jest cena za powrót waszego opata? Czy nie wytłumaczyła ci tego twoja Lucia? Przecież omówiłem tę sprawę z nią i z Pepą. A ten głupiec będzie mi tu rad udzielał.

Don Miguel usiłował opanować się i nie zdradzić przed Manuelem, że drży na całym ciele. W głębi duszy przeczuwał wprawdzie to, co przed chwilą usłyszał, ale nie chciał o tym wiedzieć, ukrywał to sam przed sobą.

— Dziękuję panu za wyjaśnienie — rzekł przez wyschnięte gardło. Mówił z trudem. —

To by było zatem wszystko — dodał

Skłonił się sztywnie. Wyszedł.

## XIX

Don Manuel pod wrażeniem sprzeczki z Miguelem porzucił zamiar wysłania Jovellanosa na wygnanie dekretem królewskim. Wezwał go natomiast na rozmowę i oświadczył mu, że dalsza jego obecność w Madrycie to wyzwanie wiernego Rzymowi duchowieństwa i Wielkiego Inkwizytora, narażające na trudności politykę najjaśniejszego pana. Poleca przeto don Gasparowi, by dobrowolnie wycofał się do swej ojczystej Asturii; rząd oczekuje, że Jovellanos uda się do Gijón nie później niż w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Don Miguel, zgnębiony tym, że Lucia była główną winowajczynią ciosu, który spadł na don Gaspara, starał się nakłonić go, aby wyjechał nie do Asturii, lecz do Francji. Uważał także swój własny pobyt w Hiszpanii, od czasu jak poróżnił się z Manuelem, za niezbyt

bezpieczny i sam poszukałby najchętniej schronienia w Paryżu. Powstrzymała go od tego jedynie myśl, że w oczach Lucii wyglądałby na tchórza. Rozwinął przeto całą swą wymowę, aby przynajmniej swego czcigodnego przyjaciela skłonić do wyjazdu za granicę.

— Cóż znowu! Za kogo mnie pan uważa? — zachnął się Jovellanos.—Już w Pirenejach poczułbym za sobą, jak podmuch mroźnego wichru, szydłszy śmiech moich przeciwników. Ten łotr Manuel nie będzie triumfować za moimi plecami: „Oto macie swojego bohatera! Czmychnął po prostu, jest już daleko za górami.” Nie, don Miguelu, zostanie.

W przeddzień wyjazdu na ponowne, bezterminowe wygnanie don Gaspar zaprosił do siebie przyjaciół. Zjawili się Miguel i Quintana, Goya, Agustin i co było dosyć dziwne, doktor Peral.

Starzejący się mąż stanu okazał w swym nieszczęściu równowagę ducha, której po nim oczekiwano. Mówił, że rozumie, iż don Manuel usiłuje teraz zamaskować porażkę swej polityki zagranicznej brutalną polityką wewnętrzną. Ale po zawarciu pokoju z Anglią, na który zapewne niedługo już trzeba będzie czekać, ten cyniczny, pozbawiony zasad karierowicz będzie z pewnością próbował zjednać sobie znowu mieszczaństwo i żywiły postępowe. On, Jovellanos, sądzi przeto, że to nowe jego wygnanie nie potrwa długo.

Optymistyczne zapatrywania don Gaspara wywołały wyraz zakłopotania na twarzach gości; nikt nie podzielał jego nadziei; przeciwnie, okrucieństwo, z jakim Manuel zemścił się na Urquijo, budziło poważne obawy o los Jovellanosa. Po dłuższej chwili przykrego milczenia zabrał głos doktor Peral. Spokojnie i rzeczowo, jak to było jego zwyczajem, dowodził, że skoro Manuel zrobił pierwszy krok, to nie zawaha się pewnie przed dalszymi. Toteż wszyscy woleliby widzieć swego czcigodnego gospodarza raczej w Paryżu niż w Gijón. Obecni poparli skwapliwie zdanie lekarza; z największym zapalem przyłączył się do niego młody Quintana.

— Winien pan to sobie i Hiszpanii, don Gasparze — oświadczył z przejęciem — aby schronić się przed tym mściwym łotrem w bezpieczne miejsce. Jest nam pan niezbędny w walce o wolność i o wyższy poziom moralny.

Jednomyślne zdanie przyjaciół, a szczególnie nalegania Quintany, którego zapal i prawość zawsze wysoko cenił, wywarły widocznie wrażenie na upartym don Gasparze. Z uwagą powiódł oczami po zebranych. Potem odpowiedział z lekkim uśmiechem:

— Sądzę, że zbyt niepokoić się o mnie, drodzy przyjaciele. Gdybym nawet zginął w Asturii, przysłużyłbym się tym skuteczniej

sprawie postępu niż siedząc w Paryżu jako beczynny, gadatliwy emigrant. Nikt jeszcze, kto oddał życie w walce o postęp ducha, nie zginął daremnie. Juan Padilla padł zwyciężony, ale duch jego żyje i walczy dziś jeszcze.

Francisco nie rozumiał wprawdzie niektórych słów, pojął jednak sens wypowiedzi don Gaspara. Z trudem powstrzymał gorzki uśmiech. Tak, to prawda, Padilla żyje jeszcze: ale żyje w murach Casa de Haro w Kadyksie jako zapomniany i nikomu nie znany błazen nadworny Cayetany, karzeł i kaleka.

Doktor Peral począł mówić o generale Bonaparte. Nie ulega wątpliwości, że pragnie on rozpowszechnić idee Oświecenia w całej Europie. Niestety, polityka Manuela zmusza go do żądania od Hiszpanii przede wszystkim gwarancji wojskowych. To wywołuje nieprzychylnie nastroje ludu, a pierwszy konsul nie zechce zapewne wzmacniać niezadowolenia ludu hiszpańskiego popierając reformy cywilizacyjne także na Półwyspie Iberyjskim. Tak jak dziś rzeczy stoją, Napoleon z pewnością nie przeszkodzi pierwszemu ministrowi w jego walce z liberałami.

— I dlatego właśnie, don Gasparze — kończył Peral wracając z właściwą sobie nieustępliwością do swej poprzedniej tezy — będąc na miejscu pana, nie zostałbym w Hiszpanii.

Wszyscy słuchacze, szczególnie don Miguel, oczekiwali, że Jovellanos da ciętą odprawę upartemu oponentowi, ale don Gaspar opanował się.

— Wspominam dziś bez gorczy okres mego ostatniego wygnania — powiedział. — Przymusowa beczynność miała swoje dobre strony. Mogłem do woli polować i czytać, mogłem kontynuować swe studia; napisałem też coś niecoś, co nie jest może pozbawione wartości. Jeżeli Opatrzność posyła mnie teraz znów w moje góry, musi mieć ważne ku temu powody.

Goście milczeli uprzejmie, ale słowa gospodarza nie rozwiały ich sceptycyzmu. Skoro wygnanemu Urquijo odmówiono papieru i atramentu, to trudno spodziewać się, by don Gasparowi pozwolono napisać w Asturii nową książkę tego rodzaju co *Chleb i byki*.

— Mimo dotkliwej porażki, jaką ponosimy, nie powinniście zapominać, drodzy przyjaciele — pocieszał swych gości Jovellanos — o osiągnięciach naszego zacnego i dzielnego Urquijo. Ostatecznie niezawisłość Kościoła hiszpańskiego jest faktem dokonany, a olbrzymie sumy wysyłane dawniej do Rzymu pozostają teraz w kraju. Czy wobec takich zdobyczy warto myśleć o drobnych niewygodach, które czekają mnie na wygnaniu?

Na to posepnym głosem odezwał się Agustin:

— Skoro ośmielili się wydalić pana z Madrytu, nie cofną się i przed uchynieniem edyktu.

— Nie, na to się nie odważą — zawołał Jovellanos. — Nie dopuszczą do tego, by Rzym trzymał nas znów za kark i wysysał naszą krew. Powiadam wam, przyjaciele: Nie odważą się! Nie uchylą edyktu.

Miło było wszystkim słyszeć te słowa pociechy, ale w głębi duszy dziwili się naiwności Jovellanosa. Nawet Francisco, który mało zajmował się sprawami politycznymi, uważał, iż don Gaspar jest dziecinny, jeśli po tylu niefortunnych doświadczeniach nie uwierzył jeszcze w złość i niegodziwość tego świata.

Obejrzał wiszący na ścianie portret gospodarza, który namalował wówczas, kiedy Jovellanos nie był jeszcze stary, on sam zaś był bardzo młody. Lichy to portret. Gdyby go dzisiaj malował, pokazałby, że don Gaspar, przy swej skłonności do banalnego patosu, jest raczej wzniosły niż śmieszny. Oto teraz na przykład woli zostać w zasięgu mocy potężnego wroga niż schronić się czym prędzej za Pireneje. Nie pojął dotąd tej prawdy, że gdy kto chce walczyć o jakiś cel, musi przede wszystkim żyć. Głupota Jovellanosa nie zasługiwała jednak na wzgardę; Goya podziwiał upór, z którym don Gaspar stosował w praktyce zasady swojej etyki.

Zauważył, że Jovellanos mówi coś do niego.

— Teraz pan, don Francisco — oświadczył — powinien zająć moje miejsce w Madrycie. Ludzie, którzy dzisiaj są u władzy, patrzą ze zdumiewającą ślepotą na pańskie obrazy i nie dostrzegają, jak skutecznie pomagają one w walce z obskurantami i wyzyskiwaczami. Tę ślepą życzliwość swego króla i jego grandów powinien pan należycie wyzyskać. Nie wolno panu teraz kryć się w kącie, Goya. Musi pan pokazać zwierciadło tym rozłajdaczonym czasom. Tylko od pańskiej woli zależy stać się Juwenalem /1 tego dworu i miasta.

Goyi obce były takie ambicje. Miał wielką ochotę odeprzeć energicznie szumne frazesy don Gaspara i jego dziwaczne żądanie. Ale pomyślał, że ten starzejący się człowiek z własnej woli odchodzi w niepewną i groźną przyszłość i nakłada na siebie tak wielkie obowiązki, że ma prawo stawiać innym pewne wymagania.

— Obawiam się, don Gasparze — odpowiedział uprzejmie — że przecenia pan wpływ mojej sztuki. Rząd wie o tym, jak małe

1/ Juwenal (Juyenalis Decimus Junius, ok. 58—138 n. e.) — znakomity satyryczny poeta rzymski; w swych sześciu satyrach wyszydzał bezlitośnie zepsucie ówczesnego Rzymu.

znaczenie mają moje obrazy, i tylko dlatego nie występuje przeciwko mnie. A jeśli król i grandowie godzą się na to, abym malował ich takimi, jacy naprawdę są, to obojętność ta jest dowodem ich buty. Uważają się za tak wielkich, że nie może ich pomniejszyż żadna prawda, czy wypowiada ją ich błazen nadworny, czy maluje nadworny malarz.

— Jest pan wobec siebie niesprawiedliwy, don Francisco — zawołał z przejęciem Quintana. — Cóż my, pisarze, możemy dać więcej jak poprawny język kastylijski, który mile brzmi dla uszu niewielkiej garstki oświeconych. Natomiast takie dzieła, jak pańska *Rodzina Carlosa* albo freski we Floridzie, trafiają do wszystkich serc. *Idioma unwersal*. Francisco przyjaźnie spojrział na Quintanę, ale nic nie odpowiedział. Nie starał się też dłużej uważać na to, co mówią inni. Oglądał znowu portret Jovellanosa i żałował, że don Gaspar musi wyjechać i brak już czasu, by namalować nowy jego portret.

Dopiero dziś pojął dobrze tego człowieka. Jovellanosowi nie zależy na tym, by zwyciężyć, lecz na tym tylko, by walczyć. Jovellanos to wieczny bojownik. Ma w sobie dużo z Don Kiszota, ale któż z Hiszpanów tego nie ma? Don Gaspar płonie żądzą walki o sprawiedliwość. Gdzie widzi krzywdę, tam staje do walki. Nie zdaje sobie sprawy, że sprawiedliwość to błękitny, nieuchwytny cel, nieziszczalny ideał, tak jak rycerskie ideały Don Kiszota. Nie, on musi pędzić naprzód, jak pędził Don Kiszot na swoim rumaku.

## XX

Sztychy, które Francisco wykonał w ostatnich miesiącach, były przeróbką szkiców zrobionych w szczęśliwych dniach w Sanlucar. Ale owe niewinne i pogodne rysunki nabrały w nowej formie zgoła innego sensu, stały się bogatsze w swej treści, bardziej ostre, bardziej złośliwe. Cayetana od dawna już nie jest Cayetaną. Spoza pleców dueni Eufemii wyziera zmarła pokojówka Brygida. Pokojówka Fruela i tancerka Serafina zjawiają się w różnych postaciach jako madryckie maje. Także sam Francisco pojawia się w wielu postaciach: już to jako krygujący się zalotnik, to znów jako groźny majo; prawie wszędzie jednak występuje jako oszukany marzyciel, jako pajac, pelele, jako głupiec.

Tak powstał album sztychów różnorodnych, dziwacznych;



opowiadały one o różnych przygodach, przeważnie złych, niekiedy i dobrych, które wydarzały się kobietom madryckim. Kobiety te wychodziły za mąż za bogatych mężczyzn o odrażającym wyglądzie lub wabiły zakochanych, niewinnych młodzieńców; były inne, które wyzyskiwały, kogo się tylko dało, i takie, które same padały ofiarą wyzysku lichwiarzy, adwokatów, sędziów. Kochały i kokietowały, stroiły się w powabne szaty, a gdy były stare i twarze ich wyglądały jak maski umarłych, siadały przed lustrem i kazały się malować i szminkować. Były takie, które przechadzały się lub jechały w pysznych powozach, były inne, ubrane w pokutniczą odzież, które korzyły się na klęczkach przed Inkwizytorem. Rozpaczały, zamknięte w celi więziennej lub przywiązane do pręgierza, obnażone na znak hańby do połowy ciała, wleczone były na plac kaźni. A otaczał je zawsze rój strojnych rozpustników, brutalnych policjantów lub napastliwych majów, przebiegłe duenie i stręczycielki.

Pełno też było wokół nich demonów; nie brakło zmarłej Brygidy, a oprócz niej całe armie upiorów, niektóre dobrodusze, inne budzące dreszcz grozy, wszystkie dziwaczne, groteskowe. Nie widziało się w tych rysunkach nic stałego, jednoznacznego, wszystko było płynne, wszystko zmieniało się w oczach widza. Oto narzeczona krocząca w orszaku weselnym: ma jeszcze drugą twarz, pysk zwierzęcy, a idąca za nią starucha podobna jest do ohydnej małpy; w głębi, w mroku, szyderczo szczerzą zęby świadomi rzeczy widzowie. Dokoła fruwią, niby ptaki, męskie postacie, zalotnicy, o twarzach pożądliwych i rysach niby wyraźnych, a jednak nierozpoznawalnych; niektóre z tych ptaków spadają na ziemię, gdzie się je w dosłownym znaczeniu skubie, a po oskubaniu odrzuca. Narzeczony zaś przegląda przedłożony mu rejestr dostojnych zmarłych przodków oblubienicy, ale nie widzi, jeszcze nie widzi, że jego żywa narzeczona ma twarz małpy. Ona sama tego nie widzi. Każdy nosi maskę na twarzy, każdy wydaje się nawet sobie samemu takim, jakim chciałby być, a nie takim, jakim jest. Nikt nie zna innych, nikt nie zna samego siebie.

Tego rodzaju rysunki tworzył Francisco w ciągu ostatnich tygodni; pracował nad nimi z zapalem, z jakimś osobliwym, pełnym zawziętości zarem. Ale od czasu pożegnalnego zebrania u Jovellanos ulotniło się jego natchnienie. Siedział beczynnym w swojej samotni; przeżywał w myślach ciągle na nowo rozmowę u don Gaspara, spierał się w duchu z przyjaciółmi. Czego właściwie chcieli od niego? Czy chcą, aby przyłączył się do owych proyectistas na Puerta del Sol i pokazywał ludziom podburzające do buntu rysunki?

Czyż Jovellanos i Quintana nie pojęli dotąd, że męczennicy są bezużyteczni? Od trzystu lat pozwalają obłupiać się ze skóry, torturować, zabijać, a co osiągnęli? Niechże ten starzec, jeśli mu to dogadza, siedzi spokojnie w swych asturyjskich górach i czeka cierpliwie, aż zieloni siepacze inkwizycji przyjdą po niego; on, Francisco, nie pozwoli, by mu fałszywa odwaga omroczyła umysł. *A tuyo tu!* Troszcz się o siebie samego!

Ale myśl jego wracała wciąż uparcie do spraw, które omawiano u Jovellanosa. Myślał także o don Manuelu, rozpierającym się z leniwym przesytym i arogancją na kanapie, która miała wyobrażać pole bitwy. Myślał o infantce, wątłej, chorowitej doni Teresie, która dużymi, szeroko otwartymi oczyma patrzyła na ten świat tak niepojęcie ohydny.

Nagle zerwał się, usiadł przy stole i wysunawszy dolną wargę począł rysować. Ale tym razem nie rysował kobiet, światowych dam i elegantek, maj ani stręczycielek. Nie były to zagadki o sensie ukrytym lub dwuznacznym, lecz przeciwnie, rysunki proste, jasne, dla każdego zrozumiałe.

Oto duży stary osioł z powagą i gorliwością uczy małego osiołka abecadła; oto stara oślica ze swoim orszakem z zachwytem słucha małpki grającej na gitarze; tu znowu jakiś dostojny osioł bada pilnie drzewo genealogiczne swoich przodków — długi szereg osłów od lat tysiąca; tam znów mała, zręczna małpka maluje dumnego, świetnego osła, którego głowa przypomina raczej lwa niż osła.

Goya przyjrzał się z uwagą swoim rysunkom: były aż nazbyt przejrzyste i proste; z pewnością znalazłyby uznanie w oczach jego przyjaciół. Narysował jeszcze dwa duże, dobrze wypasione osły, usadowione na grzbietach dwóch pochylonych nisko ludzi. Spojrzał na nie ze złośliwym uśmiechem. *Tu que no puedes, llevame a cusetas!* Ty, choć nie możesz, dźwigaj mnie na swych barkach! To już było lepsze. Jasne, że te osły to arystokracja i kler, gniotące karki potulnego ludu hiszpańskiego.

Było naiwnością liczyć na to, że bazgroty tego rodzaju mogą wyrzucić jakiś wpływ polityczny. Ale samo rysowanie tych rzeczy sprawiało przyjemność i bawiło.

Najwięcej czasu spędzał teraz w swojej samotnej pracowni, gorliwie zajęty pracą. Nie miał jeszcze żadnej nazwy dla swoich rysunków i sztychów, teraz dopiero nazwał je *Satiras*.

Rysował też znowu kobiety; był teraz bardziej złośliwy, mniej niż dawniej wyrozumiały. Oto na przykład flirtująca para kochanków, u jej stóp para modnych, salonowych piesków, zajęta tym samym,

o czym myślą zakochani. Tu znów kochanek rozpaczający nad ciałem zmarłej kochanki; ale czy to pewne, że ona nie żyje? Czy nie zerka spod przymrużonych powiek, aby się nasycić jego rozpaczą?

W życiu, które odtwarzał teraz w swoich rysunkach, coraz ważniejszą rolę grały demony. Rzucił na papier tłum istot ludzkich, niebiańskich, diabelskich, wszystko niesamowicie z sobą pomieszane, a wśród groteskowej gromady umieszczał siebie, tańczącego to z Cayetaną, to z Lucią. Całość sprawiała wrażenie jakiejś dziwacznej, ale wspaniałej zabawy.

Oddawał w rysunkach rozkosz tej zabawy. Oto satyr, duży, jowialny demon o koźlich nogach; leży na wielkiej kuli, która ma chyba wyobrażać kulę ziemską, i zabawia się akrobatyką. Twarz jego ma rozmarzony, zadowolony, dziecinny wyraz; w ręku trzyma postać męską, strojną w świetny mundur generalski i liczne ordery. Postać ma na głowie olbrzymią perukę, która dymi i płonie, w rękach zaś trzyma dwie również płonące pochodnie. Z jednej strony globu ziemskiego widać człowieka spadającego w otchłań wszechświata; satyrowi widocznie sprzykrzyła się zabawa z nim. Rozkraczone nogi i wypięty tyłek spadającego sterczą śmiesznie w pustym przestworze. Po drugiej stronie kuli inna postać z rozkraczonymi nogami i wyciągniętymi ramionami leci głową w dół, w pustkę wszechświata: to widocznie druga, odrzucona już zabawka satyra.

Francisco sam był ubawiony symboliką tego rysunku. Uśmiechał się do siebie, patrząc na dymiącą perukę i dymiące pochodnie; bowiem wyraz humear, „dymić”, znaczy również „chłpić się”, „pysznąć się”. Cieszył go ten zadowolony z siebie, pyszałkowaty błazen, pedele, zabawka kozłonogiego satyra; nie wie on jeszcze, że za chwilę i on będzie strącony w przepaść i podzieli los obu poprzednich zużytych zabawek. Francisco pytał sam siebie, która z tych postaci jest don Manuelem: beztrąsco bawiący się satyr czy jego pyszałkowata, zadowolona z siebie zabawka, ów pajac w mundurze. Jedno wszakże było pewne: nawet naiwny prostak patrząc na ten rysunek zrozumie, że symbol szczęścia to nie Fortuna, piękna, kapryśna bogini, lecz duży, jowialny, dobroduszny, w swej głupocie bardzo niebezpieczny satyr. Francisco myślał także o sobie, o tym, że i on bywał „na wozie i pod wozem”, *subir y bajar*. Ale jego nie spotka nic takiego jak tego dymiącego pajaca. Zapewne i jego można cisnąć w przepaść; ale nic go już nie zaskoczy, ani kozłonogi satyr, ni żaden inny demon. Nikt już nie będzie z niego drwił, nikt go nie wystrychnie na dudka. Jest przygotowany na wszystko.

{ 462 )

Wkrótce okazało się jednak, że ten jego ufny optymizm był tylko głupią przechwałką. Satyr drwił sobie z niego tak jak z innych.

Z Saragossy nadeszła wiadomość: umarł Martin Zapater!

Francisco nie mówiąc nikomu o tym nowym nieszczęściu pobiegł do pracowni. Siedział długo jak odurzony. Znowu kawał jego życia odpadł, zginął, stoczył się w nicość. Teraz nie ma już nikogo, z kim mógłby pomówić o tym, co było kiedyś, z kim mógłby pośmiać się z byle jakiego głupstwa; nie ma już nikogo, przed kim nie trzeba się krępować, gdy się jest złym, wściekłym z powodu jakiejś drobnostki; nie ma nikogo, przed kim można by swobodnie i do woli „dymić” i chełpić się. Martin nie żyje! Martin najukochańszy, ten nosacz!

— Jak mogłeś zrobić mi coś takiego, ty łotrze! Zdawało mu się, że pomyślał tylko te słowa, a wypowiedział je na głos. I nagle, sam w swej pracowni, zaczął tańczyć. Pośród stosów płyt miedziorytnicznych, pras, papierów, pędzli, ryłców, dużych i małych garnków na węgiel, tańczył; był to dziwaczny, sztywny taniec, *jota*, dostojny, namiętny taniec wojenny, tradycyjny taniec Aragonii, ojczyzny jego i Martina. Było to ostatnie pożegnanie, ostatni hołd żałobny złożony Martinowi.

Wieczorem tegoż dnia przypomniał sobie, że umówił się z Cayetaną.

„Umarli niech idą do grobu, żywi do stołu” — powiedział sobie z jakąś gorzką zaciętością.

Był tego dnia, wbrew swoim zwyczajom, bardzo nieporządnie ubrany, nie zamówił też powozu, choć do Moncloa był spory kawał drogi. Poszedł piechotą. Cayetana była zdumiona, gdy się zjawiał zakurzony i zaniedbany, ale nie spytała go o nic. Nie wspomniał o śmierci Martina. Został u niej długo tej nocy; wziął ją dziko i brutalnie.

Następnego dnia, kiedy siedział w swej samotni, opanował go znów z całą siłą dawny jego obłęd: to on winien jest śmierci Zapatera, winne są jego portrety! Bał się stanąć twarzą w twarz wobec swych demonów. Wbijają weń szpony, słyszy ich głuche chichot.

Długo siedział skulony, zmiażdżony przerażeniem. Potem porwała go nagle jakaś dzika, niepohamowana wściekłość. Przede wszystkim na siebie samego. A później na Martina. Ten Martin przylgnął do niego podstępnie, wkradł się do jego duszy, a kiedy Francisco już żyć bez niego nie mógł, zdradził go i opuścił. Wszyscy są jego wrogami: a najgorszymi ci, których uważał za swych

najbliższych. I kimże on właściwie był, ten Martin? Chytrym głupcem, bankierem, który tyle znał się na sztuce, ile piesek Cayetany, Juanitó. Był nikim. A jego niesłychana brzydota! Jakim prawem człowiek z takim nosem śmiał wkraść się w jego tajemnice? Zagniewany, zaczął go rysować, jak siedzi nad talerzem zupy i zażera się majestatycznie. Duży nos powiększał się coraz bardziej, aż nagle twarz tego chciwie chłęptającego i mlaskającego mężczyzny przybrała wyraz niesłychanie sprośny. Nie była to już twarz ludzka, przypominała raczej srom męski.

Żal i skrucha wstrząsnęły Franciskiem. Zgrzeszył ciężko przeciw zmarłemu przyjacielowi! To, co narysował, to jego własna plugawa natura, jego własna bezgraniczna nikczemność. Martin był jego najlepszym przyjacielem i robił dla niego wszystko, co mógł, a on, zazdroszcząc mu dobroci serca, wkłada w ten rysunek swoje własne, podłe, niskie myśli. Martin miał duszę pełną błogosławionej prostoty i dlatego demony nie miały doń przystępu. Za to do niego, Francisca, miały zawsze drogę otwartą, a on, głupi, wmawiał w siebie, że je ujarzmi.

Oto siedzą teraz wokół niego, przerażające, bliskie, niemal dotykalne; ich głuche pomruki, ich stękanie i skrzeczenie przenikają jego głuchotę, czuje ich odrażający oddech.

Opanował się ogromnym wysiłkiem woli, wyprostował, zacisnął wargi, poprawił na sobie ubranie, włosy nasunął za uszy. Nie! Francisco Goya, pierwszy malarz króla, honorowy rektor Akademii, nie zamknie oczu, nie ukryje twarzy przed upiorami. Spojrzy im prosto w ślepią, nawet teraz, kiedy zabrały mu najserdeczniejszego druha, Martina!

Poradzi sobie z tym robactwem, rzuci je na papier.

Rysuje. Rysuje samego siebie przy stole, z głową ukrytą w ramionach, a wokół niego ohydne stwory nocy, jakieś potwory z kocimi łbami, jakieś poczwarne ptaszyska, sowy, nietoperze... Napierają na niego z bliska; czy jeden z tych stworów nie skoczył mu już na plecy? Podchodzą blisko, ale do wnętrza jego się nie dostaną. Oto jednej z tych dzikich, wstrętnych, skrzydlatych poczwarał wbił ostry rylec w szpony. Zmusi te upiory, aby mu były posłuszne, będą mu służyć, same dadzą mu przeciwko sobie broń do ręki, oręż, którym je ujarzmi, wyrzuci je z siebie na papier, tam, gdzie mu już szkodzić nie mogą.

Od tej chwili opuścił go wszelki lęk przed upiorami. Miał nawet wręcz ochotę wziąć się z nimi za bary, aby je do reszty pokonać. Wzywał je, wołał i oto zbliżały się, spokojne, oswojone. Ukazywały

( 464 )

mu się wszędzie. W zmiennych kształtach obłoków, w powikłanych konarach drzew, kiedy odbywał przechadzkę po ogrodzie, w przypadkowych strugach wody ściekającej po piasku, kiedy szedł nad brzegiem Manzanaresu, w cieniach migocących na ścianach pracowni, w drgających plamach słonecznych — wszystko przybierało zarysy i kształty tego, co działo się w jego duszy.

Już od wczesnej młodości interesowała go „historia naturalna” demonów; znał ich więcej niż inni artyści i poeci hiszpańscy, więcej nawet niż sami demonologowie, fachowi rzeczoznawcy inkwizycji.

Teraz pokonawszy trwoję zmuszał i te demony, które dotychczas trzymały się z daleka,

aby się do niego zbliżyły, i wkrótce już znał je wszystkie: elfy, airauny i chochliki, sylfy, strzygi i wilkołaki, gnomy i koboldy, wampiry i bazyliuszki. Znał także soplones, najwstrętniejsze z wszystkich potworów, suflerów, owych zdradzieckich szpiclów, których nazwę słusznie nadano szpiegom policji i tajnym agentom Świętego Officium. Ale znał również duendes i duendecitos, zabawne krasnoludki, wdzięczne i uczynne, które spełniały nocą różne roboty domowe, wyręczając swych mimowolnych gospodarzy.

Straszdyła te miały czasem ludzkie twarze, na których wyraz przyjazny w dziwaczny sposób mieszał się z wrogim. Jedna i ta sama czarownica wydawała mu się czasem Cayetaną, innym razem Pepą, kiedy indziej znów Lucią; w jednym i tym samym prostackim upiorze widział już to don Manuela, już to don Carlosa.

Niektóre z tych widziadeł ukazywały mu się często w szatach duchownych, przybierając wygląd mnichów, sędziów Świętego Trybunału i prałatów. Małpowały one z widoczną przyjemnością niektóre obrządki kościelne, udzielały komunii i ostatniego namaszczenia. Jakaś czarownica ukazała mu się siedząc w skulonej postawie na barkach satyra i ślubując mu posłuszeństwo; obok niej unosiły się w powietrzu duchy przybrane w biskupie ornaty, trzymające przed nią księgę, czarownica odczytywała z niej słowa ślubowania; z głębi jeziora przypatrywali się ceremonii śpiewający nowicjusze.

Wyzbył się już teraz wszelkiego strachu przed upiorami. Odczuwał nawet jakieś głębokie, szydercze politowanie dla ludzi, którzy całe swe życie spędzali w trwodze przed widziadłami, przed szaleństwem. Narysował gromadę ludzi odprawiających z czcią modły przed El Coco, drabem, którego jakiś krawiec wystroił na upiora. Na innym rysunku przedstawił lud, wyzyskiwanych, maluczkich duchem, którzy z ślepym poddaniem się i nieskończoną cierpliwością karmią i pielęgnują swych ciemniejszych, olbrzymie szczury *chinchillas*, wyobrażające grandów i klechów. Niekiedy upiory te

przybierają postać bezmyślnych leniwców o oczach zalepionych i uszach zamkniętych na olbrzymie kłódki, odzianych w sztywne, prastare, kosztowne, zbyt długie szaty, które kępują ich ruchy. Innego dnia narysował bierną, leniwą masę wydziedziczonych i uciemiężonych, ogłupioną, ogłuszoną, znieruchomiałą; jakiś wycieńczony człowiek ostatkiem sił podpira olbrzymi blok skalny, który za chwilę runie i zmiążdży ten tłum wraz ze śmiałkiem.

Coraz śmielsze i zuchwalsze, coraz bardziej znaczące stają się teraz wytwory jego wyobraźni. Rysunki te nie wchodzą już w skład *Satyr*; stworzył z nich nową serię, której dał nazwę *Caprichos*, idee, pomysły, kaprysy.

Podpatrywał swe poczwary przy ich najdyskretniejszych czynnościach, na przykład gdy się upijały albo czyściły i upiększały, strzygąc sobie wzajemnie sierść lub obcinając szpony. Musiały mu pokazywać, jak odbywają swe jazdy na sabat, na aquelarre, jak gazami wydobywającymi się z wzdętych kiszek niemowlęcia podsycają ogień, przy którym gotują sobie zupę; musiały go wtajemniczyć w ceremoniał, który obowiązywał przy uroczystym *besamano*, obrządku całowania łapy wielkiego kozła; musiały mu zdradzić sposoby i zaklęcia, którymi się posługiwały, aby zamienić człowieka w zwierzę, na przykład w kozła lub kota.

Przynosił sobie często do swej samotni obiad, składający się: z chleba, sera i butelki wina manzanilla. Zapraszał nieraz swe demony, zasiadał z nimi do stołu i częstował je chlebem i serem. Kozłonogiego satyra nazywał *mi amigo*, mój przyjaciel, do innego diabła olbrzymiego wzrostu mówił pieśczośliwie: chico, mój mały, gawędził i żartował ze swymi potworami, dotykał ich szponów i rogów, pociągał je za ogon. Przyglądał się z bliska i dokładnie ich surowym, głupim, złośliwym pyskom, raz zawziętym, raz wesołym, gębom i w ciszy swej samotnej pracowni śmiał się głośno, serdecznie. Śmiał się z demonów.

## XXI

Goya nie przyjmował żadnych odwiedzin w swojej pracowni, wyjąwszy naglące wypadki; jedynie Cayetana mogła przychodzić o każdej porze.

Nie pytała go nigdy, nad czym pracuje. Ale pewnego dnia spytała nagle:

( 466 )

— Siedzisz prawie bez przerwy w tej pracowni. Co właściwie robisz?

— Rysuję, co mi wpadnie do głowy — odpowiedział — chimery, igraszki. Nowa metoda akwatintą /1 nadaje się doskonale do takich rzeczy. Ale to nic ważnego, to urojenia, caprichos.

Był zły sam na siebie, że mówi tak lekceważąco o swojej pracy. Sądził, że Cayetana nie poprosi o pokazanie tych rysunków, i zarazem oczekiwał tego.

Nie poprosiła go o to.

— Jeśli chcesz — odezwał się nagle wbrew swej woli — pokażę ci niektóre rzeczy.

Podawał jej arkusze bez wyboru, tak jak leżały, odkładając tylko te, które dotyczyły jej samej lub miały z nią jakiś związek. Oglądała rysunki szybko, w milczeniu, tak jak to było jej zwyczajem. Na widok sędziwej, odrażająco szpetnej staruchy, mizdrzącej się i strojącej przed lustrem, rzekła ze złośliwym zadowoleniem:

— Tego nie powinna zobaczyć donia Maria Luiza.

O innych rysunkach nie powiedziała ani słowa.

Goya był rozczarowany. Podał jej następne, które przedstawiały ją samą. Oglądała je również z życzliwym, obojętnym zainteresowaniem. Patrząc na flirtującą parę, przedstawiającą ich samych i romansujące pieski u ich stóp, zauważyła:

— Wątpię, czy ten rysunek przypadnie do gustu twoim przyjaciółom, Pepie i don Manuelowi.

Zaskoczyły go w pierwszej chwili jej słowa. Ale czyż sam nie nazwał jednego ze swych rysunków: „Nikt nie zna siebie samego”?

Rysunkom z demonami poświęciła więcej uwagi.

— Dobrze utrafiłeś Brygidę — rzekła. Ale na większość innych rysunków patrzyła z chłodem lub niechęcią.

— To dziwne — rzekła w końcu. — Kaprysy, wszak sam je tak nazwałeś. Mówiąc otwarcie, wyobrażałam sobie, że te kaprysy będą trochę weselsze. Nous ne sommes pas amusees /2 — zacytowała ze złośliwym uśmiechem.

Sięgnęła po jego blok i napisała:

„Powiem ci szczerze, uważam, że niektóre z tych rzeczy są brutalne, barbarzyńskie.”

I dodała, wymawiając dobitnie:

1/ Akwatintą — rodzaj sztychu naśladowujący rysunek wykonany tuszem.

2/ Nie ubawiłyśmy się. (fr.)



— I wiele jest niesmacznych.

Goya stał osłupiały. Oczekiwał, że Cayetana ze zgrozą odwróci się od tych rysunków; nie zdziwiłby się, gdyby wywołały jej oburzenie. Ale „barbarzyńskie, niesmaczne”? Był to owoc poznania, do którego doszedł w błogich i pełnych męki ostatnich pięciu latach. Była to jego Ameryka, odkryta po długiej, niebezpiecznej żegludze. A Cayetana znajduje dla tych rysunków jedno tylko określenie: „niesmaczne"! Zdanie grandesy. Jej wolno tańczyć desmayo. Jej wolno było zgładzić własnego męża, gdy stanął jej na przeszkodzie. Ale gdy on, Francisco, wyzywa demony, dybiące na jego życie, i odnosi nad nimi zwycięstwo, Cayetana uważa to za „niesmaczne".

Szybko opanował wzbierającą złość. Powinien był przewidzieć, że te rysunki będą dla niej obce i niezrozumiałe, nie trzeba ich było pokazywać. „Idioma umversal" — przebiegło mu przez myśl. Młody Quintana myli się widocznie. Uśmiechnął się.

— Z czego się śmiejesz? — spytała.

— Z tego, co tu narysowałem — odpowiedział. Zebrał swoje Caprichos i schował je na powrót do skrzyni.

Następnego dnia zrobił nowy rysunek. Narysował mężczyznę i kobietę, którzy związani z sobą i przywiązani do drzewa usiłują rozpaczliwie oswobodzić się od siebie. Ponad ich głowami unosi się olbrzymi puchacz w okularach na nosie; skrzydła ma szeroko rozpostarte, szpony jednej nogi wpił w pień drzewa, drugą we włosy kobiety. Jovellanos i Quintana dopatrywać się będą zapewne w puchaczu Kościoła i jego ustaw, strzegących świętych i nierozzerwalnych węzłów małżeńskich. Manuel ujrzy w tym nocnym ptaku wolę przeznaczenia przykuwającą Miguela do jego Lucii; Miguel zaś będzie uważał, że sowa przedstawia ślepą siłę, która przywiązała Manuela do Pepy. Tylko on jeden, Francisco, wie dobrze, że rysunek wyobraża to wszystko, a oprócz tego nierozzerwalny związek, który łączy go z Cayetaną.

W kilka dni później zjawił się niespodziewanie w *quinta del sordo* doktor Peral. Goya, podejrzliwy z natury, a podejrzliwszy jeszcze od czasu, gdy ogłuchł, pomyślał, że Peral przyszedł z polecenia Cayetany. Więc tego rodzaju wrażenie wywarła na niej jego nowa sztuka! Przez krótki moment poczuł napływającą znów czarną falę wściekłości. Ale po chwili postępowanie Cayetany wydało mu się śmieszne. Przecież nie tała przed nim, co myśli o tych rysunkach, a jeśli mogła siebie wziąć za Pepe, dlaczegożby nie mogła wziąć jego, Francisca, za wariata?

— Niech się pan przyzna, doktorze — rzekł siląc się na

wesołość — przychodzi pan z polecenia doni Cayetany, kazała panu zbadać mój stan zdrowia?

Peral odpowiedział w tym samym żartobliwym tonie:

— I tak, i nie, don Francisco. W istocie donia Cayetana zachęciła mnie do złożenia panu wizyty, ale nie przychodzę do pana jako do swego byłego pacjenta, lecz jako do malarza Goyi. Już od dawna nie widziałem żadnego z pańskich nowych dzieł. A księżna opowiedziała mi właśnie, że w ostatnim czasie wykonał pan mnóstwo rysunków, sztychów. Pan wie przecież, że podziwiam pańską sztukę. Byłbym szczęśliwy i dumny, gdyby pan zechciał mi pokazać coś z ostatnich rzeczy.

— Niech pan mówi szczerze, don Joaquinie — odparł Francisco. — Cayetana powiedziała panu, że zamknąłem się w sobie i rysuję rzeczy dziwaczne. Powiedziała panu — ciągnął dalej i nagle gniew go ogarnął — że znowu popadłem w obłąd, że jestem melancholik, maniak, że mam bzika — mówił z wzrastającą zawziętością — że jestem nienormalny, obłąkany, narwany, opętany, wariat, szaleniec!

Głos jego przeszedł w krzyk:

— Przecież pan ma na to wszystko swoje naukowe nazwy, klasyfikacje, podziały i rubryki.

„Muszę zapanować nad sobą — pomyślał — inaczej on powie jej, że zwariowałem, i będzie miał słuszość.”

Doktor Peral odpowiedział bardzo spokojnie:

— Donia Cayetana uważa, że rysunki pana są dość osobliwe. Ale podczas naszego pobytu w Italii, a i przedtem jeszcze, miałem sposobność przekonać się, że oceny artystyczne księżny są dosyć powierzchowne.

— Tak — rzekł Francisco — czarownice mają swoista teorię sztuki.

Peral, jak gdyby nie słyszał tego, mówił dalej:

— A poza tym, pan sam wie najlepiej, z jakimi przesądami musi walczyć artysta, który występuje z czymś nowym. Nie chciałbym być natrętny. Bardzo mi na tym zależy, aby obejrzeć pańskie rysunki, lecz proszę nie uważać tego za głupią ciekawość ani za zainteresowanie lekarskie.

Po nedorzecznych uwagach Cayetany Francisco ciekaw był zdania Perala, którego uważał za znawcę.

— Niech pan przyjdzie jutro po południu do mojej pracowni — odparł. — Wie pan, przy Calle San Bernardino. Albo raczej nie jutro — poprawił się — jutro jest wtorek, feralny dzień. Niech pan

przyjdzie w środę po południu. Ale nie mogę przyrzec z pewnością, czy mnie pan zastanie.

Peral zjawił się w środę. Goya był obecny.

Pokazał mu niektóre rysunki z serii Satyr. Widząc, jak doktor chciwie, ze znanstwem ogląda te arkusze, pokazał mu jeszcze niektóre rysunki z serii Caprichos. Obserwował, jak Peral z lubością wchłania w siebie woń kadzidła i siarki unoszącą się z tych kart. Na koniec pokazał mu Cayetanę lecącą na sabat czarownic i zauważył w oczach Perala błyski złośliwego triumfu.

— No i cóż, doktorze — zapytał — czy jestem wariatem? Czy to, co tu narysowałem, dowodzi obłądki?

Lekarz odpowiedział mu tonem pełnym szacunku:

— Jeśli są tu rysunki, które niezupełnie dobrze rozumiem, to tylko dlatego, że o tyle mniej wiem i umiem niż pan. Przedstawia pan piekło tak, jakby pan tam był, a ja czuję zawrót głowy, kiedy patrzę na to wszystko.

— Owszem, byłem w piekle, doktorze — odparł Francisco. — Pan wie o tym najlepiej. Ja również doznałem zawrotu głowy. Właśnie to chciałem osiągnąć, aby i innym na widok tych rysunków zakręciło się we łbie. W porządku, doktorze!

I wesołym, młodzieńczym gestem poklepał go po ramieniu.

## XXII

Goya zaniedbywał ostatnio zamówione portrety; klienci zaczęli się niecierpliwie. Agustin przypomniał mu, że portret hrabiego Miranda miał być oddany przed trzema tygodniami; księżę Montillano również zapytywał o swój portret. Agustin posunął, jak mógł, pracę nad tymi obrazami, teraz było rzeczą Francisca wykończyć je.

— Wykończ je sam — powiedział Goya obojętnym, znudzonym głosem.

— Poważnie to mówisz? — spytał skwapliwie Agustin.

— Ależ tak, oczywiście — odpowiedział Goya.

Odkąd usłyszał, jak Cayetana oceniła jego Caprichos, jeszcze mniej niż dotychczas dbał o opinię swoich arystokratycznych modeli.

Agustin pracował gorliwie; w dziesięć dni oba portrety były gotowe. Zarówno hrabia Miranda, jak księżę Montillano byli ze swych portretów bardzo zadowoleni.

Odtąd Goya coraz częściej powierzał Agustinowi wykończanie

swych obrazów, które sam zaczynał tylko, robiąc pierwsze szkice. Ale nikt nie poznawał się na tym. Francisca bawiła ignorancją ludzi. Pewnego dnia zagadnął Agustina:

— Cayetana chciałaby mieć nowy portret. Czuję, że jeśli sam go namaluję, wypadnie on zbyt osobiście. Wiesz dokładnie, jak sobie ten portret wyobrażam. Zabierz się do roboty. Znajdziesz tu całe mnóstwo studiów i szkiców. Sam dodam na końcu kilka pociągnięć pędzlem i podpis, i wszelkie pozory będą zachowane.

Agustina zdumiała ta propozycja. Spojrzał podejrzliwie na Francisca.

Ten spytał wyzywająco:

— Nie masz do siebie na tyle zaufania? Agustín pomyślał, że to ryzykowna zabawa, jeśli się nie powiedzie, wszystko skrupi się na nim.

— Ty sam musisz osądzić — rzekł niepewnym głosem — jak dalece księżna zna się na sztuce.

— Zna się tak jak inni — odparł Francisco.

Agustín namalował ten portret; obraz wypadł dobrze. Przedstawiona na płótnie dama była naprawdę księżną Alba; była to jej czysta, jasna, nieskazitelnie piękna, owalna twarz, jej ogromne oczy, wyniosłe brwi i bujne, czarne włosy. Ale za tym wysokim czołem nie czaiło się widmo zmarłej Brygidy i nikt nie powiedziałby o tej damie, że była zdolna przyspieszyć zgon swego męża, nikt nie domyśliłby się, że była diabolicą, że z kaprysu czy pychy zadawała piekielne cierpienia tym, których kochała.

Francisco przyjrzał się dokładnie portretowi. Dodał kilka nieznacznych pociągnięć pędzlem i położył swój podpis. Rzucił ostatnie spojrzenie na obraz, który pozostał dziełem Agustina Esteve.

— Świetny! — rzekł w końcu. — Zobaczysz, że Cayetana będzie zachwycona.

I tak było w istocie. Cayetanie spodobało się spokojne, czyste, dumne oblicze, które patrzyło na nią z ram obrazu.

— Możliwe, że niejeden z moich portretów namalowałeś lepiej — rzekła — ale mnie ten najbardziej się podoba. Czy nie mam racji, don Joaquinie? — spytała Perala.

Perał, lekko zmieszany, czując, że Goya pozwolił tu sobie na złośliwy żart, odpowiedział:

— Ten portret, księżno, przyczyni się godnie do wzbogacenia pani kolekcji.

Goya patrzył i słuchał; nie skrzywił się nawet. Rachunek między nim a Cayetaną był wyrównany.

## XXIII

Owego pamiętnego wieczoru, kiedy przyjaciele zebrali się po raz ostatni u Jovellanosa, Agustín przepowiedział ponuro, że don Manuel odwoła z pewnością śmiały edykt Urquija o niezależności Kościoła hiszpańskiego. Fanatyczny okrzyk: „Na to się nie odważą!”, którym odpowiedział mu don Gaspar, zrobił na nim silne wrażenie i wbrew temu, co mówił rozsądek, obudził w nim nadzieję.

Tymczasem don Manuel przywrócił w istocie w drodze rozporządzenia królewskiego dawną upokarzającą i kosztowną zależność Kościoła od Rzymu. Był to ciężki cios dla Agustina, choć spodziewał się takiego obrotu sprawy.

Pragnął wylać swój żal przed Franciskiem. To, że Goya pozwalał mu malować obrazy, które potem sam sygnował, było dla niego dowodem nowej, ściślejszej jeszcze przyjaźni. Ale radość jego była krótkotrwała. Od tygodni Goya nie dał mu sposobności do swobodnej, przyjacielskiej rozmowy, a teraz, kiedy tak bardzo go potrzebował, nie spotykał Francisca. I cały jego gniew i gorycz zwróciły się przeciw przyjacielowi.

Wiedział, że Goya wpadał w okropną złość, gdy mu się przeszkadzało w pracowni. Mimo to pobiegł prosto do ermyty.

Na widok wchodzącego Agustina Goya z nieukrywaną irytacją odsunął płytę, nad którą właśnie pracował, tak aby Agustín jej nie zobaczył.

— Nie przeszkadzam ci? — spytał Agustín bardzo głośno.

— Co mówisz? — odpowiedział Goya nie ukrywając gniewu i podał mu swój blok.

— Przeszkadzam ci? — napisał Agustín, w którym gniew wzbierał coraz bardziej.

— Tak! — zagrzmiął Francisco. — Co się stało? — zapytał.

— Manuel odwołał edykt! — bardzo wyraźnie i z oburzeniem krzyknął Agustín.

— Jaki edykt? — spytał Goya.

Teraz Agustín nie wytrzymał dłużej.

— Wiesz o tym bardzo dobrze! — huknął. — I niemało jest w tym twojej winy!

— Ty głupcze, ty idioto, ty ośle kwadratowy! — syczał Francisco głosem przytłumionym, lecz groźnym.

Ale po chwili i on zaczął krzyczeć:

— Iz tego powodu ośmielasz się mnie tu nachodzić? Czy nie

mógłbym się o tym dowiedzieć równie dobrze wieczorem? Co sobie właściwie wyobrażasz? Czy myślisz, że pobiegnę w te pędy do don Manuela i przebiję go nożem? — Nie krzycz tak głośno! — upominał go Agustin ze złością. — Wykrzykiwać na całe gardło takie niebezpieczne głupstwa! Napisał mu na kartce:

— Ten dom ma cienkie ściany. Nie krzycz tak, bo dostarczysz tylko materiału do nowych doniesień na siebie.

I głosem stłumionym goryczą, wyraźnie artykułując słowa, mówił dalej:

— Zamknąłeś się w swojej norze i nic cię nie obchodzi prócz twoich prywatnych spraw. A kiedy przychodzi do ciebie przyjaciel, któremu serce pęka z bólu, krzyczysz, żeby cię zostawił w spokoju! Co robiłeś przez ten cały czas, kiedy oni znowu pogrążyli Hiszpanię w zaduchu i ciemnocie? Malowałeś Manuela, przywódcę tych zbrodniarzy, jako Cezara, Aleksandra i Fryderyka w jednej osobie. To wszystko, na co cię było stać! Francisco! Czy wszystko już jest w tobie zamulone i zmurszałe?

— Nie krzycz tak — spokojnie odpowiedział Goya. — Przecież stwierdziłeś przed chwilą, że ten dom ma cienkie ściany.

Odzyskał całkowity spokój. Bawił go niemal widok miotającego się Agustina. Bo gdzież był ktoś drugi, kto w tych gorzkich miesiącach widział tak jasno upadek tego kraju jak on, Francisco Goya? Gdzież był ktoś drugi, który by dał temu bardziej jaskrawy wyraz? I właśnie tu, gdzie powstały Caprichos, ten gorliwy Agustin pieni się ze włości, oskarżając go o ślepotę, ocieężałość i samolubstwo.

— Jeszcze do tej pory krew się we mnie burzy — grzmiał i gromił dalej Agustin — kiedy sobie przypomnę, jak Jovellanos zwracał się do ciebie: „Hiszpania! Hiszpania! Niech pan pracuje dla Hiszpanii! Niech pan maluje dla Hiszpanii!” Już ze względu na swą sztukę nie wolno ci było zamykać oczu. Ale tobie zależy tylko na własnej osobie. Pierwszy malarz królewski musi mieć różne względy na uwadze. Jego ekscelencja nie może sobie pozwolić na nic takiego, co mogłoby tej dobrze ubranej hołocie zepsuć humor. Co za służalczość! Co za niewolnicza pokora! Que verguenza!

Francisco nie stracił spokoju, uśmiechnął się nawet. Podniecało. to jednak jeszcze bardziej złość Agustina.

— Oczywiście, że wszystkiemu winna jest ta kobieta — mówił. — Dla niej narażałeś się i umiałeś dowieść, że nie brak ci odwagi. A teraz zgnuśniałeś przy niej zupełnie. Wzruszasz ramionami

na to, co powiedział ci Jovellanos, bawisz się faramuszkami, gdy tymczasem Hiszpania schodzi na psy.

Goya rozumiał, że w oskarżeniach Agustina brzmi jego bezsilna wściekłość z powodu doni Lucii.

— Ty ponury błaznie — rzekł niemal ze współczuciem — ty wieczny studencie! O sztuce masz jakie takie pojęcie, ale o świecie, o ludziach, o mnie gównie wiesz. Wyobrażasz sobie, że ja tu przez te ostatnie miesiące wylegiwałem się dumnie i leniwie i rozmyślałem nad swoimi romantycznymi sprawami. Ty przemądrzały psychologu! Nie, robiłem coś innego.

Otworzył skrzynię, wyciągnął cały stos rysunków i sztychów i położył je przed Agustinem.

Agustina wzburzyło szyderstwo Goyi. Ale pragnienie zobaczenia rysunków, które Francisco w ostatnim czasie stworzył, było silniejsze od urazy.

Usiadł więc i zaczął oglądać. I nagle zwałił się na niego ogromny, dziki, niesamowity świat Caprichos ze swym mnóstwem niebywałych, a rzeczywistych, chociaż nierealnych przeżyć. Po wielokroć oglądał poszczególne rysunki, nie mogąc się od nich oderwać, odkładał je na bok, żądny widoku dalszych. Zapomniał o sobie, zapomniał o edykcje don Manuela. Wgryzał się, wżywał w ten nowy świat. Sztychy, które mu Francisco już dawniej pokazywał, były wprawdzie też dziwaczne, niesamowite, pełne humoru, ale to niesłychane bogactwo, roztaczające się teraz przed jego oczyma, było czymś nowym. Objawił mu się nowy, nieznan dotąd Goya, który odkrył przed nim jakiś nowy, głębszy świat.

Agustin patrzył, cmokał językiem, przez twarz jego przebiegały drgania. Goya mu nie przerywał. Przyglądał się Agustinowi z uwagą i to, co czytał w twarzy przyjaciela, było dla niego pełnym potwierdzeniem.

Wreszcie Agustin, wstrząśnięty, oszołomiony, zaczął mówić z trudem wymawiając słowa, tak że Goya zaledwie mógł odczytać je z jego ust:

— I ty pozwoliłeś nam gadać! Pozwoliłeś nam się mądrzyć! Patrzyłeś chyba na nas wszystkich jak na głupców, na ślepych głupców!

Widząc, że Goya niezupełnie go rozumie, zaczął mówić na migi, gestykulując gwałtownie; ale szło mu to nazbyt powoli, mówił dalej z żarem, cmokając jak zwykle.

— I wszystko to mając już w głowie, a może i na papierze, milczałeś, gdyśmy strzępili sobie języki.

Oglądając dalej rysunki, niezdolny oderwać się od nich, rozradowany, olśniony, łajał Francisca:

— Jesteś podły. Siedzisz w tej samotni i tworzysz po kryjomu podobne rzeczy! Ty podstępny hipokryto! Teraz przycisnąłeś ich do muru, tych dzisiejszych i tych dawnych!

Śmiał się oszołomiony, uszczęśliwiony, obejmował Francisca, cieszył się jak dziecko. I Goya był również szczęśliwy.

— No, nareszcie przekonałeś się — powiedział Francisco chełpliwie — co potrafi twój przyjaciel Goya! A ty byś tylko zawsze wymyślał! Nie masz do mnie odrobiny zaufania. Wpadasz mi znienacka do pracowni i nie chcesz nawet do wieczora poczekać! No, powiedz teraz: czy rzeczywiście tak nisko upadłem? Czy naprawdę jestem „zamulony i zmurszały”?

Zapytywał raz po raz:

— Powiedz, czy te moje rysunki nie są zabawne? Czy robię dobry użytek z twojej techniki?

Agustin, ze wzrokiem utkwionym w jakimś szczególnie dziwnym rysunku, rzekł niemal pokornie:

— Tego rysunku nie rozumiem dobrze, to znaczy jeszcze nie rozumiem. Całość pojmuję jasno. Zresztą wszyscy zrozumieją to, co w tych rysunkach jest groźne i uszczęśliwiający. Z pewnością zrozumieją. Idioma univrsal — dodał z uśmiechem.

Goyę dziwnie zmieszały te słowa. Sam nieraz zastanawiał się nad tym, w jaki sposób inni rozumieją te nowe rysunki i czy powinien je w ogóle pokazywać ludziom; ale natychmiast oddalał te myśli od siebie. Lecz gdy zobaczył, że dla Cayetany dzieło to było zupełnie obce, zawziął się w postanowieniu, że niczyje więcej oczy rysunków tych nie zobaczą. Straszliwa i śmieszna walka z demonami to jego własna, osobista sprawa. Pokazując ludziom Caprichos będzie miał uczucie, jak gdyby biegał nago po ulicach Madrytu.

Agustin zauważył troskę na twarzy przyjaciela i szukał konkretnej przyczyny. Zdawał sobie sprawę z tego, co i dla Goyi nie mogło być tajemnicą, że rysunki te były niebezpieczne, ogromnie niebezpieczne. Zamiast pokazywać ludziom takie rzeczy, można od razu pójść i oddać się jako arcykacierz w ręce inkwizycji. O tym myślał Agustin i czuł mroźną samotność, w jakiej żył Francisco. Oto człowiek ten wyrzucił z siebie w tej samotni wszystkie swoje przeżycia, miał odwagę stworzyć te koszmarnie, groteskowe sceny, bez nadziei, że ujawni kiedykolwiek przed innymi swe wielkie, przejmujące wizje.

Francisco, jak gdyby czytając w myślach Agustina, rzekł:



— Powinienem być ostrożniejszy. Może byłoby lepiej, abyś i ty nawet nie zobaczył tych rzeczy.

Zgarnął wszystkie arkusze ze stołu. Agustín nie przeszkadzał mu, nie śmiał mu nawet pomóc.

Gdy jednak Goya z grymasem niezadowolenia schował rysunki z powrotem do skrzyni, Agustín otrząsnął się ze swego odurzenia. To nie do pomyślenia, aby te karty, nie widziane przez nikogo, leżały w skrzyni, nie wiadomo jak długo, może na zawsze.

— Musisz je pokazać przynajmniej przyjaciółom — prosił — Quintanie, Miguelowi. Nie zamykaj się w sobie, nie bądź taki wyniosły, Franchó! Twoja wina, że człowiek wymyśla ci od obojętnych samolubów.

Goya zachnął się opryskliwie, zaczął kląć, wysuwać zastrzeżenia. Ale w głębi duszy miał wielką ochotę pokazać swe dzieło przyjaciółom.

Zaprosił Miguela i Quintanę do swej pracowni. Poleciał też przyjść Javierowi.

Był to pierwszy wypadek, że w ermitce było jednocześnie więcej niż dwóch gości. Goyi wydało się to niemal profanacją. Goście byli nieco zmieszani; wszyscy, prócz Javiera, niezręcznie ukrywali ciekawość. Goya kazał przynieść wina, przekąsek, sera, zachęcał gości do jedzenia. Był szorstki, małomówny.

Wreszcie wstał. Powolnym, ociężałym krokiem podszedł do skrzyni i wyjął z niej rysunki.

Goście podawali je sobie kolejno. I nagle ermita zaroiała się od tych ponadrzeczywistych postaci, potworów, półzwierząt, półdiabłów. Goście patrzyli: od razu zdali sobie sprawę, że te postacie, mimo masek, a raczej dzięki maskom, mają twarze bardziej nagie niż żywi ludzie. Były to osoby dobrze im znane, lecz odarte bezlitośnie z pozorów, zaopatrzone za to w inne, dużo złośliwsze pozory. Śmieszne i straszne demony, przedstawione na tych kartach, koszmarnie, nieuchwytnie potwory czyhają i na nich samych, na widzów, tkwią w każdym z nich, żałosne i nieświadome, a pełne jakiejś niedobrej, drażliwej wiedzy, chytre i bezczelne, skromne a lubieżne, wesołe i niewinne, pobożne i bezecne.

Wszyscy milczeli. Wreszcie Goya rzekł:

— Pijcież, proszę! Pijcie i jedzcie! Nalewaj, Javier! A gdy wciąż jeszcze milczeli, sam zaczął:

— Nazwałem te rysunki Caprichos, to jest pomysły, idee, twory fantazji.

Milczeli w dalszym ciągu, tylko młody Javier przerwał milczenie:

< 476 )

— Rozumiem — rzekł.

Wreszcie odezwał się Quintana:

— *Caprichos!* — zawołał. — Pan daje obraz świata i nazywa to po prostu *Caprichos!* Goya wysunął dolną wargę, na ustach jego ukazał się lekki uśmiech. Ale Quintana nie dał się już powstrzymać w zapale.

— Unicestwił mnie pan, Goya! — wołał. — Jakże niedorzeczne, nieudolne i żalosne wydają mi się moje wiersze! Patrząc na te rysunki czuję się jak mały uczeń, który po raz pierwszy przyszedł do szkoły i doznaje zawrotu głowy widząc tyle liter na tablicy.

Z kolei odezwał się Miguel:

— Nie jest to rzecz przyjemna dla badacza sztuki, kiedy staje przed jakimś nowym dziełem obalającym całą jego teorię. Muszę uczyć się na nowo, Francisco. Mimo to szczerze ci gratuluję.

Odchrząknął.

— Mam nadzieję — ciągnął dalej — że nie weźmiesz mi za złe, jeśli powiem, że na kilku z tych rysunków odkrywam wpływy starych mistrzów, jak na przykład wpływ niektórych obrazów Boscha<sup>1/</sup>, znajdujących się w Eskurialu, albo wpływ ozdób snycerskich ze stall katedry w Avila i katedry w Toledo, no i oczywiście także ornamentów snycerskich z katedry Najświętszej Panny del Pilar w Saragossie.

— Nawet największy artysta korzysta z osiągnięć swych poprzedników — wtrącił Javier.

Jego przemądrzała uwaga wywołała pewne zakłopotanie; tylko Goya z pobłażliwym uśmiechem spojrzał na syna.

Miguel mędrkował dalej:

— Sens większej części tych rysunków wydaje się jasny. Ale niektórych rzeczy, wybac mi, Francisco, nie pojmuję zupełnie.

— Jaka szkoda — odparł Goya. — Ja sam też nie rozumiem niektórych rzeczy i spodziewałem się, że ty mi je wyjaśnisz.

— I ja tak myślałem — wtrącił się znowu Javier z jakimś przekornym wścibstwem. — Człowiek tu właściwie nic nie rozumie, a przecież rozumie wszystko.

W tym momencie Agustin przewrócił swój kielich z winem. Wino rozlało się po stole i splamiło dwa arkusze. Wszyscy spojrzeli na Agustina, jakby popełnił świętokradztwo.

1/ Bosch Hieronimus van Aeken (ok. 1450—1516) — malarz niderlandzki. W jego obrazach o alegorycznej i religijnej treści szczegóły i elementy wykonane realistycznie łączą się z sobą w sposób fantastyczny.

Quintana, lekko podrażniony, zwrócił się do Miguela.

— Choćby nawet ten czy ów rysunek nie był dla pana zrozumiały — rzekł — to przyzna mi pan chyba, że sens całości zrozumie każdy. *Idioma universal!* Przekona się pan kiedyś, don Miguela, że naród zrozumie te rysunki.

— Myli się pan — zaoponował Miguel. — Naród z pewnością nie zrozumie tych rysunków. Nie zrozumie ich nawet przeciętny ogół ludzi oświeconych. Szkoda, że nie będzie się pan mógł przekonać o niesłuszności swego twierdzenia.

— Jakże to? — spytał zaczepnie Quintana. — Czy uważa pan, że to cudowne dzieło ma pozostać w ukryciu, w tej samotnej pracowni przy Calle de San Bernardino?

— Czyż może być inaczej? — odparł don Miguel. — Czy zależy panu na tym, aby Francisca posłano na stos?

— Jeśli te rysunki dostaną się między ludzi — wmieszał się głucho Agustin — inkwizycja rozdmucha ogień, wobec którego wszystkie dotychczasowe autodafe zbledną jak łojowe kaganki. Pan sam chyba to rozumie.

— Do diabła z waszą przekłątą ostrożnością! — zawołał z goryczą Quintana. — Z każdego chcielibyście zrobić tchórza! Agustin wskazał na parę sztychów.

— Czy uważa pan — spytał — że ten rysunek wolno opublikować? A ten?

— Niektóre należałoby oczywiście wyłączyć — przyznał Quintana. — Ale większość z nich może i musi być opublikowana.

— Większości tych rysunków nie wolno opublikować! — odpowiedział mu ostro Miguel. — Nie da się wyłączyć tak wielu spośród nich, aby zapobiec wkroczeniu inkwizycji i sądów królewskich na dodatek.

A gdy obecni milczeli posepnie i bezradnie, don Miguel chcąc, ich pocieszyć powiedział uprzejmie:

— Trzeba z tym poczekać, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila.

— Gdy nadejdzie odpowiednia chwila — rzekł Quintana — rysunki te nie będą już potrzebne. Wtedy będą już tylko dziełami sztuki. Staną się zbyteczne.

— To jest los artysty — zauważył sentencjonalnie młody Javier.

Ale Quintana upierał się przy swoim:

— Sztuka ma wtedy tylko sens, jeśli wywiera wpływ na ludzi. Don Francisco przedstawił ów lęk, głęboko tajony lęk, który ciąży

jak zmora nad naszym krajem. Wystarczy uświadomić go ludziom, a ulotni się sam przez się. Wystarczy zerwać temu czarnemu Coco jego kostium z grzbietu, a przestanie być groźnym. Czyż Goya stworzył swoje arcydzieło tylko dla nas pięciu i dla nikogo więcej?

Dysputowali, jak gdyby Goya nie był przy tym obecny. On zaś przysłuchiwał się z uwagą i w milczeniu, patrząc kolejno na usta tych, którzy zabierali głos; nie rozumiał wprawdzie wszystkiego, ale znał tak dobrze każdego ze swych gości, że pojmował ich argumenty.

Kiedy już wyłuszczyli swoje racje, umilkli czekając, co powie gospodarz. Goya uśmiechnął się chytrze.

— W tym, co powiedziałaś, Miguelu — powiedział po namyśle — jest wiele słuszności, ale dużo przemawia także za pańskim zdaniem, don Jose. Ponieważ zdania wasze niestety są krańcowo sprzeczne, pragnę się nad tym wszystkim dokładnie zastanowić. Muszę również i o tym pamiętać — kończył z uśmiechem — że nie stać mnie właściwie na to, abym tak wiele pracy wykonał za darmo. Potrzeba mi pieniędzy.

Co powiedziawszy zebrał ze stołu sztychy i rysunki i zamknął je w skrzyni.

Wszyscy obecni patrzyli poruszeni, jak ten nowy, czarodziejski, niesamowity świat znika im z oczu. W tym domu, pełnym codziennej wrzawy, w tej niepokącej skrzyni leży, przez nikogo jeszcze nie oglądane, największe arcydzieło, jakie od czasów Velazqueza stworzyła ręka Hiszpana. W tej oto skrzyni poskromione, ujarzmione, leżą demony Hiszpanii.

Ale czyż są ujarzmione, jeśli nikt nie ma odwagi, by je ludziom pokazać? Czyż nie jest to właśnie dowodem ich mocy? Nieczyste, podejrzone są dzieła zawarte w tej skrzyni.

I kiedy przyjaciele Goyi opuścili jego samotnię, pełni zdumienia i zachwytu, onieśmieleni i przytłoczeni wszystkim, co widzieli, popełży za nimi niebezpieczne, dzikie, rozwichrzone cienie upiorów i bardziej od nich groźne cienie ludzkie.

## XXIV

Goya zawsze gotów był uczyć się z wrażeń, jakie dzieła jego wywierały. Przyjaciele jego, ludzie niewątpliwie dobrej woli i szczerze mu oddani, nie zrozumieli niektórych rysunków z serii

*Caprichos*; postanowił więc wyłączyć z niej rysunki zbyt osobiste i niejasne, resztę zaś uporządkować w przejrzystej kolejności.

Na początku umieścił arkusze przedstawiające sceny łatwo zrozumiałe i anegdoty. Po tych rysunkach, odtwarzających świat rzeczywistości, następowała część druga, o treści fantastycznej, z udziałem upiórów i widziadeł. Porządek ten ułatwić miał należyte zrozumienie całości; świat rzeczywisty stanowił wstęp i przygotowanie do świata demonów, ta grupa zaś czyniła nawzajem świat ludzi zrozumialszym. Przy tej kolejności rysunków własne jego dzieje, które przedstawił w serii *Caprichos*, burzliwa legenda jego miłości, jego szczęście i wzloty, zawody i upadki nabierały właściwego znaczenia, stawały się historią wszystkich ludzi, historią Hiszpanii.

Kiedy już ten materiał podzielił, posortował i uporządkował, zabrał się do tego, by nadać każdemu sztychowi odpowiedni tytuł; każdy dobry rysunek powinien mieć swoje imię tak jak każdy dobry chrześcijanin. Francisco nie był literatem, musiał nieraz długo ślęczyć, by znaleźć odpowiednie określenie, ale to go właśnie bawiło. Jeśli nazwa jakiegoś sztychu wydawała mu się mało mówiąca, dodawał krótkie objaśnienie. W końcu każdy rysunek otrzymał nie tylko tytuł, ale także dodatkowy komentarz. Niekiedy tytuł był skromny i cnotliwy, za to tym jadowitsze było objaśnienie; a jeśli już w tytule tkwiło jakieś ukryte szyderstwo, komentarz był naiwny i budujący. Popularne sentencje i zwroty przysłowiowe, cierpkie, zgryźliwe żarty, niewinne chłopskie rady i przykazania, ironicznie nabożne morały, aforyzmy o sensie przebiegle dowcipnym lub głęboko ukrytej mądrości — wszystko było tu dziwnie ze sobą poplątane.

Tantalus/1 nazwał jeden z rysunków, przedstawiający zrozpaczonego kochanka przy zwłokach ukochanej zerkającej na niego spod przymrużonych powiek; do tytułu tego dodał szyderczy komentarz: „Gdyby był bardziej rycerski, a mniej nudny, może wróciłaby do życia.” Pod sztychem przedstawiającym bal maskowy dał podpis: „Nikt nie zna siebie samego”; pod sztychem ze staruchą zaś, która siedząc przed lustrem w siedemdziesiątą piątą rocznicę swych urodzin stroi się i upiększa, napisał: „Do samej śmierci”. Do rysunku przedstawiającego strojącą się mają, obok której stręczycielka, Brygida, modli się z różańcem w ręku, dodał następujący komentarz: „Modli się za nią — i słusznie — aby Bóg pobłogosławił dziewczynie

1/ Tantalus — mityczny król Lidii, skazany przez Zeusa na wieczną mękę niezaspokojonego pragnienia i głodu.

< 480 )

i ochronił ją od wszelkiego zła, od cyrulików, lekarzy i komorników sądowych, aby była tak samo zręczna, bystra i usłużna dla wszystkich jak jej nieboszczka matka.”

Na rysunku, gdzie biedna dziewczka uliczna siedzi przed sekretarzem Świętego Trybunału, który odczytuje jej wyrok, dopisał komentarz: „To niegodziwość tak się obchodzić z dzielną dziewczyną, która za kromkę chleba z masłem tak gorliwie i pożytecznie służyła całemu światu!” Do owego sztychu, gdzie czarownica, siedząca na grzbiecie satyra, składa duchom bluźniercze ślubowanie, dał następujące objaśnienie: „Czy przysięgasz być posłuszną i oddawać cześć swoim nauczycielom i zwierzchnikom? Wymieniać spichrze? Dzwonić? Wyć i skrzeczeć? Latać, namaszczać, wysysać krew, dmuchać, smażyć? Spełniać każde zlecenie, jakiegokolwiek by ono było i

kiedykolwiekby tego od ciebie zażądano? — Przysięgam. — To pięknie, moja córko, jesteś więc czarownicą. Przyjm moje serdeczne życzenia!"

Długo zastanawiał się nad tym, który rysunek umieścić na początku. Postanowił, że pierwszym będzie sztych, na którym przedstawił siebie samego, pochylonego nad stołem i zasłaniającego oczy przed widokiem upiorów. Nazwał ten rysunek: *Idioma universal*. Później jednak tytuł ten wydał mu się zbyt zarozumiały i zmienił go na *Uspiony rozsądek*. Objasnienie brzmiało: „Gdy rozum śpi, budzą się potwory. Ale wyobraźnia skojarzona z rozumem staje się matką wszelkich sztuk i ich cudnych dzieł.”

Jako zakończenie serii *Caprichos* zrobił jeszcze jeden nowy rysunek.

Widać na nim uciekającego w panicznym strachu nieopisanie szpetnego, upiornego mnicha, za nim biegnie drugi; na pierwszym planie stoi z głową rozdziawioną jeden z bezmózgich, upiornych grandów, z tych leniwców, *chinchillas*, a obok niego czwarty jeszcze upiór, mnich, krzyczący na całe gardło. U dołu arkusza napisał Goya słowa, które wykrzykują te cztery okropne, szeroko rozwarte paszcze:

*Ya es hora!* Oto nadeszła godzina. Dobiegł swego kresu czas.

Sens był jasny: rzeczywiście nadeszła godzina. Skończyła się władza upiorów. Precz z nimi! Precz z tym grandem o sztywnych ruchach manekina, precz z jego kamratami, z tą sforą prałatów i mnichów! *Ya es hora!* Tak, ten rysunek zasługuje na to, aby być ostatnim z serii *Caprichos*.

*Ya es hora?*

Od czasu kiedy Goya pokazał Caprichos przyjaciołom, nie bronił już ludziom tak surowo wstępu do swej ermyty. Przyjaciele odwiedzali go teraz często i bez uprzedzania.

Pewnego dnia, kiedy zjawili się Agustin, Miguel i Quintana, Miguel wskazując z uśmiechem na młodego poetę napisał Franciscowi:

— Przyniósł coś dla ciebie.

A gdy Goya pytająco spojrział na zapłonionego Quintanę, wyjaśnił:

— Napisał odę na twoją cześć.

Quintana, nieco zażenowany, wyjął z teki rękopis i chciał go wręczyć Goyi. Ale Agustin przeszkodził temu.

— Niech pan odczyta ten wiersz na głos — poprosił.

Goya poparł go:

— Tak, tak — niech pan to odczyta, don Jose. Lubię patrzeć na pana, gdy pan czyta.

Rozumiem prawie wszystko.

Quintana począł czytać. Popłynęły dźwięczne wiersze:

Choć świata władczyni niemocą złożona

I wielkie w gruzach legło mocarstwo,

Nieugaszonym łni żarem ognisko,

Które wzniecili Velazquez, Murillo.

Blask jego świetny wskrzesza dziś Goya!

Przy czarodziejskiej jego fantazji

Pobladł, zubożał świat rzeczywisty.

O, Goya! Już jutro zaświta ten dzień,

Kiedy świat przed twym pochyli imieniem

Głowę, jak dziś przed Rafaela mianem.

I zewsząd obcy przybędą pielgrzymi,

I cudem twej sztuki staną olśnieni,

Francisco Goya, chlubo Hiszpanii!

Z uśmiechem i wzruszeniem spojrzeli wszyscy na Goyę, który sam uśmiechał się, lekko zmieszany, lecz wzruszony.

Si. vendra un dia,

Vendra tambien, oh, Goya! en que a tu nombre

El extranjero extatico se incline

powtórzył słowa ody i wszyscy byli zdumieni, że tak dobrze zrozumiał. Quintana zarumienił się jeszcze bardziej.

— Czy tylko nie za wiele egzaltacji? Jak się panu wydaje? — spytał z uśmiechem Goya. — Gdyby pan napisał, że jestem lepszy

< 482 )



od kolegi Jacques Louis Davida, byłby to już zaszczyt. Ale lepszy od Rafaela? Czy to nie przesada?

— Nawet najwyższe słowa pochwały — odparł z żarem Quintana — są za słabe dla mistrza, który stworzył te rysunki.

Goya wiedział, że Quintana był dziecinnie naiwny: wiersze jego uważał również za dziecinne i naiwne; nie potrzebował zresztą niczyjego potwierdzenia, że jest największym od czasów Velazqueza malarzem Hiszpanii. I cóż z tego? Wezbrała w nim jednak fala szczęścia. A więc takie wiersze, taki hymn uwielbienia napisał ten młody człowiek o jego „brutalnych, barbarzyńskich, niesmacznych” rysunkach! I to w chwili kiedy były jeszcze nieuporządkowane i przez to nie zawsze zrozumiałe.

Goya miał ochotę pokazać przyjaciółom raz jeszcze swoje Caprichos po uporządkowaniu ich. Zapytał niby od niechcienia:

— Czy chcecie raz jeszcze zobaczyć moje sztychy? Ułożyłem je, uporządkowałem i nadałem każdemu z nich nazwę. Ponadto dopisałem komentarze — dodał z przebiegłym uśmiechem — oczywiście tylko dla głupców, którym potrzebne są objaśnienia.

Goście pragnęli gorąco obejrzeć rysunki ponownie, nie śmieli jednak naprzykrzać się kapryśnemu gospodarzowi. Teraz, kiedy świat Caprichos roztoczył się po raz drugi przed ich oczyma, oszołomieni byli wrażeniem. Kolejność, w jakiej Goya ułożył te sztychy, nadała im dopiero właściwy sens.

Nawet trzeźwy Miguel oświadczył z głębokim uznaniem:

— To, co tutaj stworzyłeś, Francisco, to najlepszy i największy z twoich portretów! To oblicze całej Hiszpanii.

Młody Quintana rzekł:

— Uważam się za wolnomyśliciela, ale od dnia dzisiejszego będę widział w każdym kącie czarownice i demony.

Agustin zaś powiedział ponuro i zjadliwie:

— I pomyśleć, że nie brak ludzi, którzy Jacques Louis Davida uważają za artystę!

Doszli do ostatniego sztychu, który przedstawiał upiorne postacie umykających, rozkrzyczanych mnichów.

— Ya es hora! — zawołał Quintana. — Cierra, Espana! Naprzód, Hiszpanio! — powtórzył z radosnym entuzjazmem stary okrzyk bojowy.

Miguel jednak rzekł po głębokim namyśle:

— Te napisy i komentarze są bardzo oryginalne, niektóre wprost świetne, jeśli je dobrze zrozumiałem, mają one nadać treści niewinne

pozory. Ale wydaje mi się, że niektóre z nich jeszcze ją zastrzają.

— Doprawdy? — spytał z udanym zdziwieniem Goya. — Wiem, oczywiście, że mój język jest zbyt nieudolny, aby oddać myśl, która mi przyświecała. Byłbym ci bardzo wdzięczny za rady i uwagi, Miguelu, a także panu, don Jose, i tobie, Agustinie.

Przyjaciele byli zaszczyceni i uradowani, że mogą przysłużyć się Goyi w jego wielkim dziele. Miguel znalazł od razu stosowny podpis do sztychu, który przedstawiał starego skapca ukrywającego swe skarby; był to cytat z Cervantesa: „Każdy jest taki, jakim go Bóg stworzył, a najczęściej o wiele gorszy.”

Pozostali również mieli różne pomysły. Pojęli, o co Franciscowi chodziło: aby napisy pod rysunkami były powszechnie zrozumiałe. ostre i soczyste.

— To, co w nich jest rubasznego, nieokrzesanego, powinno zostać — oświadczył Miguel.

— Oczywiście — rzekł Francisco — ja sam przecież jestem taki.

Zabrali się wspólnie do pracy i wkrótce powstał szereg nowych tytułów, sentencji i komentarzy. Ermita pełna była żartów i śmiechu.

Miguel jednak wśród tego wesołego nastroju poczuł niepokój. W jakim celu Francisco, który na ogół wysławiał się dość ciężko, zadał sobie tyle trudu, aby ułożyć wszystkie te napisy i komentarze? Czyżby mimo wszystko zamierzał opublikować *Caprichos*?

Im dłużej Miguel zastanawiał się nad tym, tym bardziej gnębiła go troska. Ten genialny głupiec Goya zaraził się widocznie fanatyzmem Quintany. Miguel rozważał, jakby powstrzymać przyjaciela od lekkomyślnego, nierozważnego kroku.

Jedyną osobą, która mogła tu coś pomóc, była Lucia.

Stosunek Miguela do Lucii był tak jak przedtem dosyć niejasny. Kiedy jej oznajmił, że podał się do dymisji, nie chcąc dłużej pomagać don Manuelowi w jego zgubnej polityce, Lucia znalazła słowa pociechy, rozsądne, uprzejme, ale chłodne. Prawdopodobnie była już o tym powiadomiona przez Pepe, a może przez samego Manuela.

Z przykrością przyjęła wiadomość o poróżnieniu się Miguela z infantem, gdyż sobie przypisywała w tym winę. Postanowiła ich z sobą pojednać, ale wykonanie tego planu odkładała na później, na okres najbliższych miesięcy. Manuel zyskał już doświadczonego, patriotycznego i godnego zaufania doradcę w osobie opata.

Tak, Wielki Inkwizytor dotrzymał w istocie zobowiązań przyjętych wobec pierwszego ministra i zwolnił opata z zamknięcia w klasztorze. Święte Officium bynajmniej zresztą nie unieważniło wydanego wyroku; tajni agenci inkwizycji udawali po prostu, że nie widzą opata, a zielono umundurowani posłańcy przechodzili obok niego z obojętną miną. Lecz choć zabroniono mu pokazywać się w rezydencjach królewskich, to jednak Manuel zapewnił go, że dopóki dwór jest nieobecny, może tajemnie przebywać w Madrycie. Teraz, kiedy Manuel pozbawiony był pomocy Miguela, potrzebny mu był tak zdolny i rozumny doradca, jakim był opat.

Miguel wiedział, naturalnie, o wszystkich tych sprawach. Cierpiał widząc, że Manuel i Lucia odsuwają go od wszelkiej działalności, że miejsce jego zajął opat.

Teraz niepokój o Goyę dał mu pożądany pretekst do poufnej rozmowy z Lucią. Opisał jej ze znanstwem i w pełnych podziwu słowach wspaniałe Caprichos, opowiedział, że Goya powziął szaleńczy zamiar opublikowania tego dzieła; wymyślał przy tym na głupotę ludzi, szczególnie ludzi inteligentnych. Lucia okazała zrozumienie. Przyrzekła na jego prośbę, że spróbuje odwieść Goyę od zwariowanego pomysłu.

Udała się do Francisca.

— Słyszałam — rzekła — że zrobił pan ostatnio szereg bardzo ciekawych sztychów. Czy to ładnie ukrywać je przed starą przyjaciółką?

Goya był oburzony na Miguela za jego niedyskrecję i gadatliwość. Ale czyż on sam, łamiąc własne postanowienia, nie pokazał tych rysunków Cayetanie?

Lucia spytała go wprost, kiedy mogłaby obejrzeć Caprichos. Nie przyjdzie tu zresztą sama — powiedziała — lecz ze wspólnym ich przyjacielem.

Goya zapytał podejrzliwie: '

— Z kim?

Myślał, że Lucia zechce przyjść z Pepą, a właśnie Pepie nie chciał pokazać Caprichos. Ale Lucia odpowiedziała:

— Chciałabym obejrzeć pańskie nowe rysunki z opatem.

Goya, osłupiały ze zdumienia, spytał:

— Jak to, czy don Diego jest tu, w Madrycie? Czy to jest?...

— Nie — powiedziała Lucia — nielegalnie. Jednakże opat jest tutaj.

Goya stracił głowę. Jeśli przepuści przez swój próg potępionego,

skazanego kacerza, przy którego autodafe sam był obecny, czy nie narazi się tym zuchwalstwem Świętemu Officium?

Lucia zauważyła jego zmieszanie. Jej wąskie, nieco skośne oczy spojrzały przenikliwie w jego twarz; wargi rozchylił lekki, nieuchwytny, szydrczy uśmiech.

— Czy uważa mnie pan za szpiega inkwizycji? — spytała.

Goya w istocie przypuszczał przez chwilę, że to pułapka, że Lucia chce go wydać w ręce inkwizycji. Czyż jej niefortunny kaprys nie wtrącił w nieszczęście Jovellanosa? Ale po chwili uznał to podejrzenie za nonsens. Również obawa spotkania się z opatem wydała mu się niedorzeczna. Jeśli opat przebywa w Madrycie, nie bojąc się aresztowania, to któż może jemu, Franciscowi, wziąć za złe, że go przyjął u siebie? Dziwne, z Lucią jest tak zawsze: zawsze w jej obecności jest śmieszny, zawsze zdarzają mu się przy niej chwile słabości, tak było od samego początku, gdy ją po raz pierwszy spotkał w Prado. I dziś jest tak samo; przewyciężył własny strach i ogólną, wielką trwogę Hiszpanii, stworzył *Caprichos* — ale wobec Lucii jest bezmyślny, małoduszny i tchórzliwy. „Carajo!” — zaklął w duchu.

Przy tym korciło go, aby pokazać Lucii *Caprichos*. Mimo, że był w stosunku do niej nieufny i ostrożny, pociągała go w jakiś niejasny sposób. Może płynęło to z podobieństwa ich losów: Lucia, podobnie jak on sam, zachowała w sobie nawet na tych wyżynach, na które wyniosło ją życie, pewne cechy niskiego środowiska, z którego wyszła, i w tym leżała jej siła. Goya był pewien, że Lucia zrozumie jego *Caprichos* lepiej i głębiej niż wszystkie inne znane mu kobiety. Zdawało mu się, że jeśli pokaże *Caprichos* Lucii, będzie to zemsta na Cayetanie.

— Donio Lucio — rzekł sucho — proszę, by pani przekazała don Diegowi moje pozdrowienia i zaszczyciła mnie wraz z nim swymi odwiedzinami w czwartek o godzinie trzeciej po południu, w mojej pracowni przy Calle de San Bernardino.

Opat zjawił się wraz z Lucią. Wydał się Franciscowi niewiele zmieniony. Miał na sobie skromne, bardzo eleganckie ubranie, skrojone podług ostatniej francuskiej mody; usiłował nadać sobie pozory niedbałej wyższości, był jak dawniej dowcipny i z lekka cyniczny. Goya zauważył jednak, ile go to wysiłku kosztuje. Zrobiło mu się przykro i chcąc skrócić wstępną rozmowę wyciągnął ze skrzyni rysunki.

Donia Lucia i opat pochylili się nad *Caprichos*. Stało się tak, jak Goya przewidywał. Twarz Lucii straciła wyraz maski; odmalowało

się na niej fanatyczne, żarliwe uznanie. Lucia całą swą namiętą naturą wchłaniała życie bijące z tych rysunków, twarz jej mówiła o tym wyraźnie.

Opat oglądając pierwszą grupę sztychów „rzeczywistych” okazał się bystrym znawcą sztuki — był nim w istocie — i wypowiadał rozumne uwagi o ich stronie technicznej. Później jednak, w miarę jak rysunki stawały się zuchwalsze i coraz bardziej fantastyczne, zamilkł i twarz jego, podobnie jak twarz Lucii, przybrała wyraz namiętnej aprobaty.

Teraz oboje pochylili głowy nad sztychem przedstawiającym związaną ze sobą parę i przeznaczenie-puchacza, zatapiającego szpony we włosy kobiety i mężczyzny. Rysunek ten nosił napis: „Czy nikt nas nie rozwiąże?” Francisco spostrzegł ku swemu głębokiemu zadowoleniu, że Lucia i opat zachłannie przypatrują się rysunkowi — symbolowi ich własnego losu. I od tej chwili, podczas gdy oglądali dalsze *Caprichos*, panowało między nimi trojgiem milczące porozumienie bez słów.

Wreszcie Goya powiedział szorstko, nie chcąc zdradzić swej radości:

—No, już dosyć — i wyciągnął rękę po rozłożone na stole rysunki.

— Nie, jeszcze nie! — zawołał opat z jakimś dziecinnym uporem.

Także Lucia nie chciała oddać trzymanego w ręce arkusza.

— Wydawało mi się — rzekła — że przejrzałam tę hołotę. Ale właściwie dopiero pan otworzył mi oczy na to, jak straszliwe jest połączenie ciemnoty z niczemnością.

Wzdrygnęła się.

— *Mierda!* — rzekła. Wulgarnie to przekleństwo brzmiało osobliwie w wąskich, szlachetnie wykrojonych ustach damy. Opat zaś, wskazując na paginację arkuszy, rzekł:

— I tu ma być siedemdziesiąt sześć rysunków? Jest ich tysiąc! Jest w nich cały świat! Jest w nich wielkość i upadek Hiszpanii! Wreszcie jednak Francisco zebrał sztychy i schował je w skrzyni. Opat patrzył na skrzynię jakimś dzikim, półprzytomnym wzrokiem. Goya odgadł, co się w nim dzieje; widział go przecież wówczas klęczącego przed trybunałem w Tarragonie. *Caprichos* były zemstą za wszystkich poniżonych, także zemstą za niego, opata; i on w tych rysunkach rzucał możliwym w twarz swą nienawiść i wzgardę.

— Trudno pojąć, że te rysunki istnieją, a właściwie jakby ich na świecie nie było — powiedział opat cicho, zwolna, lecz żarliwie. Goyi udzieliło się gorące pragnienie opata, aby przed całym

światem odkryć nagie, bezecne oblicze władców Hiszpanii, tak jak zostało odtworzone w rysunkach ukrytych w tej skrzyni.

Czuł mocniejszą niż kiedykolwiek pokusę, by posłać te rysunki w świat.

— Poślę je w świat — rzekł ochryple, lecz stanowczo.

Słowa te wyrwały opata z odrętwienia; uprzytomnił sobie, że znajduje się w Madrycie, w pracowni Goyi. Swobodnym, potocznym tonem zapytał:

— Żartuje pan oczywiście, don Francisco?

Goya spojrział na niego z uwagą; za maską wytwornego światowca dostrzegł prawdziwe oblicze don Diega; trupa czaszkę. Tak, ten człowiek to żywy trup. Ukrywa się w Madrycie, potajemnie, nielegalnie, jak wyklęty banita; w tym samym Madrycie, gdzie jeszcze niedawno błyszczał we wszystkich salonach, gdzie nie było akcji, w której nie brałby udziału. A teraz żyje z łaski i litości tej kobiety, dla której naraził się na zgubę. Tak, ten człowiek siedzący przed nim i wysiłający się na lekką, dowcipną konwersację — to żywy trup. Przed oczyma Goyi zamajaczyło nowe *Caprichos*: trup w rozkładzie, z cygarem w ustach, opierający się ruchem pełnym gracji o fortepian.

Poczuł jakby lęk przed tym człowiekiem, który chodził po świecie a nie zaliczał się już do żyjących.

— Nie zrozumiałem pana — rzekł nieco głupkowskim tonem.

Lucia patrzyła mu prosto w twarz, z niechęcią, ale bez ironii.

— Opat sądzi — rzekła bardzo wyraźnie — że powinien pan być rozsądniejszy.

Francisco zdał sobie sprawę z ukrytych związków. Uświadomił sobie, że Lucia przyprowadziła tu opata, aby on, Francisco, przekonał się naocznie, jaki jest los męczenników. Przestroga Lucii przysłała w samą porę. Zrozumiał, że chciał postąpić jak dziecko. Wiersz Quintany: *Chłuba i sława Hiszpanii*, przyprowadził go o zawrót głowy, próżność stłumiła głos rozsądku. Gotów był już sięgnąć po swoją „sławę”. Zasłużył rzetelnie na surowe spojrzenie i naganę Lucii. Dobrze zrobiła przyprowadzając tu don Diega, aby otrzeźwiał na widok opata, gdyż sam, choć stary, nierozsądny był jak dziecko. Zwrócił się do Lucii:

— Ma pani słuszość — rzekł z prostotą.

— Ma pan słuszość — powtórzył zwracając się do don Diega.

Lucia wstała, aby się pożegnać. Wskazując na skrzynię, w której zamknięta była sława Francisca, rzekła głośno i wyraźnie, wymawiając dobitnie każdą zgłoskę:

— Dziękuję panu, Goya. Skoro takie rysunki istnieją na świecie, nie wstydzę się już tego, że jestem Hiszpanką.

I w oczach don Diega gorąco, bezwstydnie ucałowała Francisca w usta.

## XXVI

W pracowni Goyi zjawił się nagle doktor Peral. Francisco poznał po nim, że przychodzi w jakiejś ważnej sprawie.

— Mam panu coś ważnego do powiedzenia — rzekł Peral po kilku wstępnych słowach.

— Wahaniem się, czy mogę z panem mówić o tym, i może to błąd z mej strony, jeśli o tym mówię. Ale pozwolił mi pan niedawno spojrzeć na donie Cayetanę pańskimi oczyma, tak jak ją pan narysował w *Caprichos*; ponadto uczynił mnie pan świadkiem tej próby, na jaką wystawił pan sąd doni Cayetany o ostatnim jej portrecie. Wolno mi chyba przyjąć, iż obaj, i pan, i ja, jesteśmy bliskimi przyjaciółmi duquesity.

Goya milczał. Masywna jego twarz była nieruchoma. Czekał na to, co nastąpi. Peral mówił dalej z wahaniem, przerywając i zastanawiając się. Spytał Goyę, czy w ostatnim czasie nie zauważył u księżny pewnej zmiany.

„Aha — pomyślał Francisco — wykryła kawał z Agustinem i Peral przychodzi ostrzec mnie o tym.”

— Tak — odpowiedział — donia Cayetana wydała mi się w ostatnich dniach nieco zmieniona.

Peral potwierdził z udaną obojętnością.

— Tak, jest zmieniona: znajduje się w odmiennym stanie.

Goya nie chciał uwierzyć, choć dobrze rozumiał lekarza — powiedział przecież wyraźnie: *esta prenada*<sup>1</sup>. „Palabra prenada, słowo brzemiennie w znaczenie” — przeszła Goyi przez myśl nedorzeczna asocjacja. Z trudem usiłował opanować wzburzenie. Peral nie powinien był powiedzieć mu tego, Francisco nie chce wiedzieć ani słyszeć o tych sprawach, nie chce być wtajemniczony w osobiste, intymne przypadłości Cayetany. Ale Peral kontynuował te niemiłe dla Goyi wynurzenia, napisał mu nawet na kartce:

„Dawniej w takich wypadkach donia Cayetana dbała zawsze o to, aby stan ten zawczasu usunąć. Tym razem była w pierwszych tygodniach zdecydowana wydać dziecko na świat, a dopiero ostatnio

1/Jest brzemienna.

zmieniła swój zamiar. Ale jest już na to za późno. Decyzja księżny jest ryzykowna."

Goya przeczytał zdanie.

— Dlaczego pan mi o tym mówi? — spytał ze złością.

Peral nie odpowiedział, patrzył tylko na niego. Goya wiedział zresztą od razu, że chodzi tu o jego własne dziecko. Jego to dziecko Cayetana chciała urodzić, a teraz zmieniła swój zamiar.

Peral napisał mu jeszcze.

„Don Francisco, niech pan stara się nakłonić księżnę, by nie ryzykowała tego zabiegu."

Goya głosem mocno podniesionym i nieco ochrypłym odpowiedział:

— Nie moja to rzecz wtrącać się w osobiste sprawy księżny. Nie czyniłem tego nigdy i dziś nie zrobię.

Przeszły mu znów przez myśl bezsensowne słowa: „*Prenada, palabra prenada*. Zgładziła swego męża, zgładziła moją Elenę, zgładzi też to dziecko."

— Nie będę z nią o tym mówił — powiedział bardzo głośno — nie zamienię z nią o tym ani słowa.

Peral pobrał lekko, napisał na nowej kartce:

„Don Francisco, proszę zrozumieć, że zabieg ten może być niebezpieczny."

Goya przeczytał. Wzruszył ramionami.

— Nie mogę z nią o tym mówić, doktorze — rzekł z widoczną męką. Słowa jego brzmiały jak usprawiedliwienie. — Nie mogę tego zrobić.

Doktor Peral nic więcej nie powiedział ani nie napisał. Wyrwał z notatnika zapisane kartki i podarł je na drobne strzępki.

— Niech mi pan wybaczy moją gwałtowność — rzekł Goya.

Wyjął ze skrzyni rysunki i wyszukał dwa *Caprichos*, jeden przedstawiający Cayetanę lecącą do nieba czy do piekła na chmurze podtrzymywanej przez trzy głowy męskie, drugi z dwulicową Cayetaną, opętanym kochankiem z jednej, rojem zalotników z drugiej strony i zaczarowanym zamkiem w powietrzu.

— Czy chce pan te dwa arkusze, doktorze? — zapytał.

Twarz Perala oblał głęboki rumieniec.

— Dziękuję, don Francisco.

W kilka dni później zjawił się u Goyi posłaniec Perala z wezwaniem, aby natychmiast przyjeżdżał do Moncloa. Gdy Goya przybył na miejsce i zobaczył twarz Perala, wiedział, że nie ma już żadnej nadziei.



Cayetana leżała w zaciemnionym pokoju. Firanki alkowy były opuszczone. Peral dał Franciscowi znak, aby je odsunął, po czym oddalił się. Francisco uniósł zasłonę. Przy łóżku siedziała duenia, sucha, sztywna, skamieniała. Francisco zbliżył się do łóżka z drugiej strony.

Twarz Cayetany była żółta jak wosk, głęboko wpadnięte oczy były zamknięte. Wysokie brwi Cayetany wydawały się nieraz Franciscowi olbrzymimi łukami jakichś bram, ale nie udało mu się nigdy dociec, co się dzieje za tymi bramami. Teraz ogarniało go gorące pragnienie, aby te przymknięte woskowe powieki chociaż na chwilę się podniosły. Och, jak dobrze znał te oczy, które pozwalały tylko przeczuwać jakieś niezmierne, tłumne bogactwo, ale nigdy nie dawały najmniejszej pewności. Gdyby ten jedyny, ostatni raz otworzyła oczy, zobaczyłby w nich prawdę.

Wyraźnie, tak wyraźnie, jak gdyby ucieleśnione znajdowały się teraz w tej komnacie, brzmiały mu w uszach jej ostatnie słowa, ostatnie dźwięki mówiącego świata, które zabrał z sobą w świat swej głuchoty.

„Kochałam zawsze tylko ciebie, Francho, zawsze tylko ciebie, ty niemądry, stary, jedyny mój brzydalu. Zawsze tylko ciebie, ty zuchwały malarzu. Zawsze tylko ciebie!” Wiedziała przecież, że miłość dla niego przyniesie jej zgubę; przepowiedziała jej to zmarła Brygida, przewidywała to również Eufemia. Świadomie szła w tę miłość i śmiertelne niebezpieczeństwo. A on nie chciał jej nawet malować, kiedy go o to prosiła. Nie mógł jej malować. Może dlatego nie chciał jej malować, aby nie narazić jej na niebezpieczeństwo. Lecz ona mimo to umiera.

Wpatrywał się w nią pełen chaotycznych myśli. Cayetana umiera! To nie do pojęcia, nie mógł sobie wyobrazić, że to gorące, kapryśne, wyniosłe serce przestanie bić. Wzywał ją w myśli, aby się poruszyła, otworzyła oczy, poznała go, przemówiła do niego. Czekał na to z gorączkową niecierpliwością. Wymyślał jej w duchu, że nawet teraz okazuje przekorę. Ale Cayetana nie otworzyła oczu, nie przemówiła do niego. Zajęta była już tylko swoją własną bezsilnością, zanikaniem życia, konaniem.

Uczuł jakieś ogromne osamotnienie, ogromną obcość. Byli ze sobą złączeni tak blisko, jak tylko dwoje ludzi może być ze sobą złączonych, a przecież tak bardzo byli sobie obcy. Jak mało Cayetana rozumiała jego świat i jego sztukę i jak mało on znał Cayetanę. Nieprawdziwy jest jego *Tantalus*. Cayetana nie zerka na niego spod oka, ona naprawdę umiera!

Donia Eufemia, sztywna, nieprzejednana, zbliżyła się i napisała mu:

„Musi pan już odejść. Za chwilę przyjdzie tu markiza de Villabranca.”

Goya zrozumiał intencję dueni. Przez lata całe bezcześcił dobre imię księżny, powinien pozwolić jej przynajmniej umrzeć z godnością. Omal się nie uśmiechnął. Z dumnym, zuchwałym, szyderczym słowem na ustach — oto jak powinna była zejść ze świata ta ostatnia z rodu Alba. Ale teraz, kiedy leży tu słaba, owiana przykrym odorem, zgon jej nie będzie godniejszy przez to, że nastąpi w obecności rodziny Villabranca, niż gdyby nastąpił przy nim.

Duenia odprowadziła go do drzwi.

— To pan ją wpędził do grobu — rzekła z błyskiem bezgranicznej nienawiści w oczach. W przedpokoju spotkał Perala. Skłonili się sobie głęboko, bez słowa. Z pośpiechem, pełen godności, przeszedł przez westybul kapłan z Przenajświętszym Sakramentem. Goya i wszyscy inni uklękli. Ale obecność księdza nie dotrze już do świadomości Cayetany, podobnie jak wizyta krewnych Villabranca i jego, Francisca.

Lud Madrytu, zawsze skłonny do plotek, i teraz rozpuścił pogłoskę, że księżna Alba została otruta i że kazała ją otruć jej rywalka, ta cudzoziemka, ta Włoszka, królowa Maria Luiza. Niechęć, z jaką spoglądano na Albę po śmierci jej męża, ustąpiła teraz miejsca współczuciu, miłości, uwielbieniu. Opowiadano sobie wzruszające anegdoty; z jaką prostotą, bez cienia pychy, rozmawiała z ludźmi jak z równymi sobie; jak z dziećmi ulicznymi bawiła się w walkę byków; jak chętnie i hojnie przychodziła z pomocą każdemu, kto udawał się do niej o wsparcie.

Cały Madryt wziął udział w pogrzebie Alby. Chowano ją z przepychem i okazałością należną damie tak wysokiego rodu. Rodzina Villabranca nie szczędziła pieniędzy, ale nie starała się też okazywać szczególnego żalu. Tylko dobroduszną donia Maria Tomasa oplakiwała donię Cayetanę, która była tak piękna, a tak wcześnie i tak tragicznie zeszła z tego świata. Stara markiza z pogardą patrzyła na objawy szczerzego żalu, jakie okazywał lud madrycki. Cayetana kochała pospólstwo i była przez nie kochana. Twarz doni Marii Antonii była twarda i dumna. Oto ta sama ręka, która za sprawą tej wykolejonej, upadłej kobiety zgładziła jej ukochanego syna, stała się teraz przyczyną śmierci Cayetany. Odmawiając modlitwy za dusze zmarłych stara markiza zaledwie poruszała wargami,

a słowa, które wymawiała, nie miały nic wspólnego z pobożnymi życzeniami.

W ostatniej woli księżna Alba przeznaczyła wysokie legaty dla doni Eufemii, pokojówki Frueli oraz licznej służby w rozmaitych swoich majątkach, nie zapomniała też o błaźnie Padilli. Testament był zresztą dosyć dziwaczny. Wiele zapisów pieniężnych, i to po części bardzo wysokich, otrzymały osoby, które spadkodawczyni znała tylko przelotnie. Byli wśród nich jacyś studenci, z którymi spotkała się raz w życiu, jakiś na pół zidiociały mnich któregoś z zakonów żebraczych, przygarnięty w jednym z jej majątków, jakieś dziecko-podrzutek, znalezione w jednym z jej zamków, dalej aktorzy i toreadorowie. Pierwszemu malarzowi króla, Franciscowi de Goya y Lucientes, zapisała tylko skromny pierścionek, synowi jego Javierowi niewielką rentę. Za to lekarz jej, doktor Joaquin Peral, otrzymał pół miliona realów, nadto folwark w Andaluzji i wiele cennych obrazów.

Donia Maria Luiza odczuła to jako obrazę, że wspaniała biżuteria Alby, której jej zawsze zazdrościła, przypaść ma teraz służbie i hołocie zamiast stać się jej własnością: wbrew tradycji Cayetana nie zapisała żadnego ze swych majątków katolickiej parze królewskiej.

Don Manuel doznał również rozczarowania, liczył bowiem na to, że u głównego spadkobiercy, markiza de Villabranca, będzie mógł tanio wymienić niektóre ze swych obrazów na cenne malowidła ze zbiorów Alby. Tymczasem obrazy te miały przejść na własność obrzydliwego Perala, znanego ze swego uporu i nieuczynności.

Toteż zarówno królowa, jak pierwszy minister z satysfakcją przyjęli wiadomość, że don Luis, markiz de Villabranca, obecnie czternasty książę Alba, wystąpił ze skargą o unieważnienie testamentu. Donia Cayetana była osobą bardzo łatwowierną i nie miała doświadczenia w sprawach majątkowych. Uzasadnione jest przeto podejrzenie, że niektóre z tych legatów, a zwłaszcza nienormalnie wysokie zapisy na rzecz lekarza, doni Eufemii i pokojówki Frueli, zostały w podstępny sposób wyłudzone. Poza tym sam nagły zgon księżny nasuwa podejrzenia. Trudno oprzeć się przypuszczeniu, że lekarz, doktor Peral, człowiek z natury chciwy i opętany manią kolekcjonerską, wyłudziwszy dla siebie podstępnie legaty w testamencie, pragnął przez zgładzenie spadkodawczyni jak najprędzej wejść w posiadanie zapisanego mu spadku.

Królowa spodziewała się, że jeśli lekarzowi wytoczony zostanie proces, stłumi to szybko nienormalne plotki, łączące jej uświęconą

osobę ze śmiercią Cayetany. Poleciała przeto don Manuelowi, aby zajął się osobiście wyświeleniem okoliczności zgonu pierwszej damy dworu i zbadaniem jej testamentu. Wniesiono oskarżenie przeciwko doktorowi Peralowi, dueni Eufemii i pokojówce Frueli, na razie tylko o wyłudzenie spadku, *captacion de herencia*. Oskarżonych zamknięto w więzieniu, majątek spadkowy obłożono sekwestrem sądowym. Szybko przeprowadzono dowód, że spadkodawczyni sporządziła swój testament ulegając niedopuszczalnym wpływom. Testament uznany został za nieważny. Postępowanie sądowe przeciwko trojgu uwięzionym toczyło się dalej.

Unieważnione zapisy dołączono do głównej części masy spadkowej, która przyspać miała nowemu księciu Alba. Ten zwrócił się do don Manuela z prośbą, by zechciał wybrać sobie kilka obrazów z galerii księżny i przyjąć je łaskawie jako wyraz wdzięczności spadkobiercy dla pierwszego ministra za jego trud i pomoc w uregulowaniu sprawy spadkowej. Przy tej sposobności okazało się, że wiele obrazów, na których infantowi szczególnie zależało, zniknęło w sposób niewytłumaczony. A donię Marię Luizę, która sama łaskawie zażądała wyjaśnienia tajemniczego zgonu Cayetany, nowy książę Alba prosił unieżenie, by raczyła przyjąć na pamiątkę kilka cennych klejnotów ze spuścizny, która pozostała po „drogiej zmarłej”.

Niedługo potem część pozostałych po Cayetanie obrazów wzbogaciła galerię infanta. Na szyi zaś królowej Marii Luizy, na jej ramionach i palcach zabłyśły bransolety i pierścionie ze słynnej biżuterii zmarłej księżny Alba.

## XXVII

Przyjaciele nie mogli nakłonić Goyi do rozmowy o śmierci Cayetany. Obawiali się, że wpadnie znowu w swój „czarny” szał. Ale zostało mu to oszczędzone.

Posepny, małomówny, przesiadywał pośród nagich ścian swojej *quinty*. Nadaremnie usiłował wywołać w pamięci obraz Cayetany. Pozostało w nim tylko wspomnienie woskowej twarzy umierającej kobiety, zamkniętej w swoim samotnym konaniu. Nie chciała otworzyć oczu — był to ostatni jej złośliwy podstęp. W miesiącach, które poprzedziły jej nagły zgon, niezgłębiona zagadkowość tej kobiety nie drażniła Goyi tak bardzo jak dawniej; ale teraz, gdy nie

było jej już między żywymi, złe myśli wezbrały w nim z nową gwałtownością. Przechadzał się po swym rozległym ogrodzie, w *bolivarze* głęboko nasuniętym na czoło, z piękną trzciniową laską, wyprostowany, jak przystało na Aragończyka. Pograżał się w gorzkich rozmyślaniach. Nie ma już na świecie Cayetany, po prostu nie istnieje więcej, zdawał sobie z tego sprawę. Nie wierzył w niebo ani w piekło klechów, jego piekło i jego niebo były z tego świata. Skoro Cayetany nie ma już na ziemi, nie ma jej wcale. Nic z niej nie pozostało, i to z jego winy. Jej portrety, które namalował, to smętne, żalosne cienie, nie dające pojęcia o wspaniałości Cayetany; naiwny obraz Agustina odtwarza ją lepiej, wierniej. Jego własna sztuka zawiodła go całkowicie. Najlepiej oddał ją chyba jeszcze w *Caprichos*. Tam jednak utrwalił tylko to, co miała w sobie z czarownicy; nie odtworzył w żadnym ze swych rysunków ani obrazów jej czarodziejskiego blasku i uroku.

„Umarli otwierają żywym oczy” — mówi przysłowie. Lecz jemu cień Cayetany nie otworzył oczu. Nie zrozumiał jej do końca, nie rozumie jej dziś i nigdy nie rozumiał. I ona też nigdy jego nie rozumiała. Żadna inna kobieta nie patrzyła tak obcymi oczyma na jego sztukę jak Cayetana. „Niesmaczne i barbarzyńskie.”

Usiłował być dla niej sprawiedliwy. Zapewne, nienawidzi go od pierwszej chwili; ale i on nienawidził jej od pierwszej chwili, od owego momentu, kiedy ujrzał ją na estradzie. Nigdy nie umiał dojść z nią do ładu i nigdy już nie dojdzie. Zawsze, nawet w chwilach najgorętszego żaru, namiętność jego połączona była z nienawiścią. Cayetana, kiedy sądziła, że mówi do śpiącego, wyrzekła raz jedno słowo miłości; on nawet zmarłej nie mógłby powiedzieć, że ją kochał.

Po twarzy jego ściekały grube, bezwstydne, niegodne łzy, płakał nad sobą i nad nią. Ale nie zmyły one ani jego nienawiści, ani jego miłości.

To podłość znieważać zmarłą, bezbronną. Żegnał się znakiem krzyża przed drewnianą figurą Virgen de Atocha, tą samą, którą Cayetana owej pamiętnej pierwszej nocy zasłoniła swą mantillą, aby Przenajświętsza nie patrzyła na jej rozpustę. Modlił się żarliwie:

— I przebacz jej winy, tak jak my przebaczymy naszym winowajcom!

Nawet ta modlitwa jego była niegodziwa, gdyż nie czuł dla, niej przebaczenia.

Serce miał jałowe i puste jak jego quinta. Dotąd życie jego było

pełne coraz to nowych zajęć, dążeń, pasji. Teraz po raz pierwszy uczuł nudę. Nic go nie nęci, ani rozrywki, ani kobiety, ani jedzenie i picie, żadna ambicja, żaden sukces artystyczny. I praca go nie ciągnie; sama woń farby i płótna przyprawia go o mdłości.

Wszelkie jego rachunki są zamknięte, zarówno ze sztuką, jak z Cayetaną. Wszystko, co miał do powiedzenia, już powiedział. *Caprichos* leżą w skrzyni, wykończone, gotowe. Ale sprawa z Cayetaną właściwie nie jest załatwiona. Piekła go do żywego krzywdą, jaką królowa i don Manuel wyrządzili zmarłej. Ilekroć pomyślał o tym, że doktor i duenia siedzą w więzieniu, że krążą plotki ubliżające pamięci zmarłej, wpadał we wściekłość. On jeden miał prawo być względem niej niesprawiedliwy, nikt więcej.

Sprawa *Caprichos* także nie była jeszcze ostatecznie rozstrzygnięta. „Sztuka traci sens, jeśli nie wywiera wpływu na ludzi” — powiedział Quintana. Jest w tym trochę prawdy. Artysta, który ukrywa swe dzieło, postępuje niczym kobieta zabijająca swe dziecko, zanim je urodzi.

Rozmyślał nad tym, co mogłoby mu grozić, gdyby opublikował *Caprichos*. Zdarzało się, że czyn bezprzykładnie zuchwały wprawiał rządzących w osłupienie i bezwład. Dawnego Goyę, młodego Goyę, nęciły rzeczy najśmielsze, najbardziej ryzykowne. Jeśliby pokazał teraz całemu światu, co myśli o potwarcach Cayetany, czy nie odkupiłby tym krzywd, które jej wyrządził? Żalobna, pośmiertna ofiara? Może wówczas i ona zmiarkuje, czym są właściwie te „niesmaczne” *Caprichos*, może i ona, i zmarła Brygida łamać sobie będą nad tym swoje martwe głowy.

Zapewne, rozsądek nakazuje, aby nie publikował *Caprichos*, odradzają mu to przyjaciele, on sam to przyznaje. Ale czyż naprawdę jest już tak stary i słaby, by kierować się tylko rozsądkiem? Czyż upodobił się do sztywnego, drewnianego Miguela?

Przerwał Agustinowi pracę.

— Kazałem zaprząć konie — rzekł. — Pojedziesz ze mną. Przewieziemy *Caprichos* tu, do *quinty*.

Agustin był tym zaskoczony, ale widząc pośepny i stanowczy wyraz twarzy Francisca, nie śmiał go o nic pytać.

Dojechali w milczeniu do Calle de San Bernardino, weszli schodami na górę do ermity i odprowadzani zdumionymi spojrzeniami lokatorów, poczęli wynosić płyty, rysunki, sztychy, skrzynię i ciężką prasę rytowniczą; znieśli to wszystko na ulicę i załadowali do powozu. Musieli kilkakrotnie wchodzić na górę wąskimi, stromymi schodami i znów schodzić, zanim wszystko to umieścili w carrozy.

{ 496 }

Służący Andres chciał pomóc, ale Goya odprawił go niecierpliwym gestem. Również i w drodze powrotnej siedział milczący i pochmurny, nie spuszczać oczu ze skrzyni. Dojechawszy do quinty, przeniósł wszystko przy pomocy Agustina do pracowni. Skrzynię ustawił w widocznym miejscu pod ścianą.

Przychodzili goście, księżna de Osuna, markiz de San Adrian i inni, którzy uważali się za bliskich przyjaciół Goyi. Sam starał się wzbudzić ich ciekawość.

— Chciałby pan pewno wiedzieć, co jest w tej skrzyni? — szydził. — Może kiedyś panu pokażę. Bo warto zobaczyć.

Pewnego dnia zjawił się niespodziewanie gość z Kadyksu, armator Sebastian Martinez.

Zaledwie się przywitał, napisał szybko:

„Ponieśliśmy obaj wielką stratę, ekscelencjo. Jej wysokość księżna Cayetana była naprawdę wielką damą, damą godną podziwu, ostatni kwiat starej Hiszpanii.” — Spojrzał na Goyę ze współczuciem.

„Jaka szkoda — pisał dalej — że spadek po księżnej rozprasza się i znika. Podobno wiele obrazów po prostu gdzieś przepadło. Owa tajemnicza Naga Wenus, pańskie dzieło, ekscelencjo, znikła niestety również bez śladu. Moja propozycja: czy zasługujący na zaufanie i dobrze płacący miłośnik sztuki nie mógłby nabyć przynajmniej kopii tego obrazu?”

Goya przeczytał. Twarz mu spochmurniała.

Senior Martinez powiedział szybko:

— Nie, nie! Nic nie powiedziałem! — Chwył kartkę i podał ją.

Z zainteresowaniem i ciekawością rozglądał się po nagich ścianach pracowni; oczy jego wracały ustawicznie do skrzyni. Zapytał wreszcie, czy wolno wiedzieć, co Goya stworzył nowego w ciągu ostatnich miesięcy.

Goya, po krótkim namyśle, odparł z łaskawym uśmiechem:

— Zainteresowanie tak wytrawnego i dobrze płacącego kolekcjonera przynosi mi zaszczyt.

Wstał i wyciągnął ze skrzyni kilka arkuszy: naprzód serię rysunków z osłami, potem jeszcze kilka sztychów przedstawiających maje. Widząc zaś, z jakim znanstwem, zainteresowaniem i rozbawieniem senior Martinez ogląda sztychy, pokazał mu także Wniebowzięcie Cayetany.

Senior Martinez parsknął, chichotał, czerwienił się z zachwyty.

— Muszę to mieć na własność — rzekł. — Wszystko, co jest

w tej skrzyni, muszę mieć na własność! Chcę nabyć od pana tę skrzynię ze wszystkim, co zawiera.

Był niezwykle podniecony, jękał się, pisał coś z szalonym pośpiechem, ale uznał widocznie, że pisanie zbyt wiele pochłania czasu, więc zaczął znów mówić.

— Pan widział przecież moją kolekcję — mówił i pisał jednocześnie. — Przyzna pan chyba, że tylko Casa Martinez jest miejscem dla tych pańskich genialnych rysunków. Plus ultra było zawsze dewizą rodu Martinez. Jest to także motto pańskiej sztuki, don Francisco. Pan przewyższył nawet Murilla! Ekscelencjo, niech mi pan sprzeda tę skrzynię! Nie znajdzie pan godniejszego i bardziej przejętego nabywcy i znawcy.

— Nazwałem tę serię sztychów *Caprichos* — rzekł Francisco.

— Znakomita nazwa — zgodził się natychmiast z entuzjazmem senior Martinez. — Fantastyczne pomysły! Wprost cudowne! Bosch i Breughel/1, i Wallot/2 w jednej osobie, a wszystko na wskroś hiszpańskie, a przez to jeszcze namiętniejsze i większe!

— Ale co właściwie chce pan kupić ode mnie, senior? — zapytał Goya uprzejmie. — Przecież widział pan zaledwie parę arkuszy z tego zbioru. W tej skrzyni leży pięć lub sześć razy więcej. Dziesięć razy więcej.

— Kupię wszystko — oświadczył senior Martinez. — Wszystkie płyty wraz z odbitkami i samą skrzynię również. Proszę uważać to za wiążącą ofertę. Niech pan określi cenę, ekscelencjo! Może pan zażądać wysokiej ceny, nie będę sknerą, gdy chodzi o dzieło pańskiej ręki. I niczyje oczy, prócz moich biednych oczu, nie będą nigdy oglądać pańskiego arcydzieła!

— Jeżeli zdecyduję się robić odbitki z *Caprichos* i opublikować je — rzekł Goya — pošlę panu jedną z pierwszych odbitek.

— Pierwszą! — błagał i zaklinał senior Martinez. — Pierwszą, najpierwszą! Trzy pierwsze odbitki! I płyty! — prosił błagalnie. — Płyty.

Goya z niemałym trudem pozbył się wreszcie zapalczywego zbieracza.

1/ Breughel Piotr (1525—1569) — wielki malarz niderlandzki, w swych wczesnych dziełach kontynuował fantastyczny styl Boscha.

2 Callot Jacques (1592—1635) — grafik i rysownik francuski; wślawił się cyklem *Nieszczęść wojennych*; pozostawił też serię rycin z życia ludu włoskiego.



## XXVIII

Z wiosną nadeszły niedobre wieści o losach don Gaspara Jovellanos. Infant Manuel zezwolił, aby inkwizycja wszczęła postępowanie przeciwko Jovellanosowi, i pewnej nocy starzec został w swej posiadłości pod Gijón obudzony ze snu i aresztowany. Obwiniony o kacerstwo, skrępowany pętami, wystawiony na spojrzenia niezliczonych gapiów, musiał przebyć pieszo daleką drogę do Barcelony, skąd przewieziono go na wyspę Majorkę i zamknięto w klasztorze, w celi pozbawionej okien. Zabroniono mu korzystać z książek i papieru, odcięto go od wszelkiej styczności ze światem zewnętrznym.

— *Ya es hora*, nadeszła godzina — rzekł Goya do Agustina. — Wykończę teraz ostatecznie *Caprichos*. Postaraj się o papier, wydrukujemy razem odbitki. Myślę, że wystarczy na początek trzysta egzemplarzy.

Agustin zauważył w ostatnich tygodniach, że Goya zwracał uwagę odwiedzającym go osobom na tajemniczą zawartość skrzyni.

— Czyżbyś chciał... naprawdę? — bełkotał przerażony.

— Dziwi cię to? Ciebie? — szydził Francisco. — Pamiętam dobrze, że ktoś wpadł jak bomba do mojej ermyty i krzychał: „Zamulony, przegniły, zmurszały!”

— Francho! Oszalałeś chyba! — wybuchnął Agustin. — Nie wolno ci tego robić ze względu na nas wszystkich! Nie wolno! Sprawiłbyś tym tylko radość inkwizycji.

— Odbijemy trzysta egzemplarzy — powiedział Goya stanowczo. — Inni moi przyjaciele, Quintana na przykład, pochwalą niewątpliwie moją decyzję jako zupełnie słuszną, jako jedynie możliwą.

— Przeczuwałem to — biadał Agustin. — Kadzidla Quintany uderzyły ci do głowy. Ta idiotyczna oda o nieśmiertelności!

— Gwiżdżę na nieśmiertelność — odparł Goya spokojnie.

— Bezczelne kłamstwo! — odpowiedział Agustin z gniewem.

— Zostaw te wymyślenia! — rzekł Goya z zadziwiającym spokojem. — Naprzód przekonujesz mnie przy każdej sposobności, że mam sztuką swoją służyć polityce, a teraz, kiedy na śmierć zamęczają don Gaspara, uważasz, że powinienem milczeć! Oto jacy jesteście, wy politycy i reformatorzy! „Ludzie uczeni umieją tylko gadać, do czynu trzeba dzielnych!”

— Ależ to szaleństwo w obecnej chwili wyjmować *Caprichos*

ze skrzyni" — wołał Agustin z uniesieniem.. — Jest wojna. Santa/1 robi, co się jej podoba. Opamiętaj się, Francisco! Dziś ojcobójca prędzej uniesie cało głowę niż ktoś, kto zechce wystawić tego rodzaju sztychy na widok publiczny. To samobójstwo!

— Wypraszam sobie! — zawołał Goya. — Jestem Hiszpanem. Hiszpan nie popełnia samobójstwa.

— Ale to, co chcesz uczynić, jest samobójstwem — upierał się Agustin. — I ty wiesz o tym. W dodatku robisz to nie z poczucia obowiązku ani ze względów politycznych. Odkąd nie ma tej kobiety, życie wydaje ci się jałowe i nudne. Chcesz je sobie urozmaić tym nierozważnym, zuchwałym szaleństwem. Tak jest, wszystkiemu winna jest ta kobieta. Nawet po śmierci wpędzi cię jeszcze w nieszczęście!

Teraz Francisca ogarnęła wściekłość.

— Zamknij gębę! — krzyknął. — A jeśli odmówisz mi pomocy, poszukam sobie kogoś innego.

— Szukaj! Nie znajdziesz nikogo! .— krzyczał Agustin. — Tylko taki głupiec jak ja może wytrzymać przy tobie!

Wypadł z pokoju, opuścił guintę i chociaż Goya nie mógł tego słyszeć, z hałasem zatrzaskał za sobą drzwi.

## XXIX

Przewyciężając swą nieśmiałość, pobiegł do Lucii. Jej jednej udało się już raz wybić Franciscowi z głowy szaloną myśl opublikowania *Caprichos*.

Żalił się przed nią, że senior de Goya, zapewne pod wpływem ciosu, który go spotkał, zdecydował się jednak sporządzić i opublikować odbitki swoich sztychów.

— Niech nam pani pomoże, donio Lucio! — zaklinał. — Błagam panią, senioro, niech pani nie pozwoli, aby Goya popadł w nieszczęście! To przecież największy człowiek Hiszpanii!

Kiedy bezradny i wzburzony prosił ją o pomoc, Lucia z uwagą obserwowała jego twarz. Odgadła, co się dzieje w jego duszy. Agustin kochał ją wciąż, choć w duchu obwinił ją o to, że zgubiła jego przyjaciół, opata, Miguela, Jovellanosa. Niełatwo mu było zdobyć się na to, aby właśnie ją błagać o pomoc.

1/ Santa, domyślne Inguisicion — Święta Inkwizycja.

< 500 )

— Wierny z pana przyjaciel, don Agustinie — rzekła. — Uczynię wszystko, co leży w mojej mocy.

Lucia domyślała się, co skłania Francisca do opublikowania Caprichos. Pragnął wyrwać się z pustki i bezwładu po świeżo poniesionej stracie, a do tego potrzebował jakiegoś ryzyka i gry o wysoką stawkę. Ale Goya był z urodzenia aragońskim chłopem, przywykłym łączyć śmiałość z przezornością; jeśli już koniecznie chce rzucić się w tę awanturę, którą sobie sam wybrał, nie wzgardzi zapewne dobrą zbroją, gdy mu ją ktoś poda.

Widziała możliwość ochrony Goyi przed inkwizycją. Plan jej wymagał jednak przygotowań. Na razie należało powstrzymać Francisca od zbyt pochopnych, nieodwołalnych kroków. Wybrała się do niego.

— Zdaje pan sobie oczywiście sprawę — raekla — że pański zamiar jest niebezpieczny.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odpowiedział Goya.'

— Otóż znalazłby się może sposób, aby to niebezpieczeństwo zmniejszyć — oświadczyła.

— Nie jestem małym chłopcem — rzekł. — Wiem, że bezpieczniej jest ująć rozpalone żelazo obcęgami niż gołą dłonią. Ale na to trzeba mieć obcęgi.

— Rokowania pokojowe w Amiens — ciągnęła dalej Lucia — nie rozwijają się po myśli don Manuela. Infantowi przydałby się zaufany dyplomata. Jeśliby don Miguel zgodził się współpracować znowu z don Manuelem, mógłby oddać wielką przysługę nie tylko sprawie postępu, ale i przyjacielowi, na którym mu zależy.

Goya ze skupioną uwagą śledził ruch jej warg.

— W najbliższych dniach — mówiła dalej — urzędę u siebie tertulię tylko dla najbliższych przyjaciół. Obecni będą infant Manuel, Pepa i spodziewam się, że także don Miguel. Czy mogę liczyć również na pana i na don Agustina?

— Oczywiście — rzekł Goya. — Przyjdę. — I dodał ciepło: — Zadaje pani sobie dużo trudu, donio Lucio, by ustrzec mnie od następstw mojej głupoty. Pragnie pani nawet przemycić do traktatu parę klauzul na moją korzyść.

Twarz jego rozjaśnił szeroki, przyjazny uśmiech.

— W tej chwili ma pan w sobie więcej z lisa niż z lwa — odparła również z uśmiechem.

Lucia chętnie podejmowała się załatwiania różnych spraw politycznych, a chwila sprzyjała jej planom. Na konferencji w Amiens, gdzie Anglia, Francja i Hiszpania starały się doprowadzić do

pokoju europejskiego, miała zapaść decyzja co do wielu kwestii, na których Manuelowi — Lucia wiedziała o tym doskonale — także osobiście bardzo zależało. Pragnął przede wszystkim uzyskać pewne korzyści dla papieża; spodziewał się, że papież odplaci mu zaszczytnym wyróżnieniem. Pragnął przekonać królową, że jest niezbędny, chciał również uzyskać jak najkorzystniejsze warunki dla państw włoskich, których panujący książęta byli z królową spokrewnieni. Przede wszystkim jednak życzył sobie usilnie, aby powiększone zostały posiadłości Królestwa Neapolu i oswobodzone od stacjonujących tam gachos, wojsk generała Bonapartego. Jeśliby się ten zamiar powiódł, nic nie stałoby na przeszkodzie planowanemu związkowi małżeńskiemu pomiędzy dziedzicem tronu neapolitańskiego a najmłodszą córką doni Marii Luizy, infantką Izabelą. Izabela była jego dzieckiem — don Manuel nie ukrywał tego ani przed Pepą, ani przed donią Lucią i zależało mu na tym, by córka jego nosiła koronę królewską. Osobiste przeto życzenia don Manuela nie we wszystkim były zgodne z interesami Hiszpanii, a ponieważ przedstawiciel rządu hiszpańskiego w Amiens, ambasador Azara, nie był zbyt przyjaźnie do niego usposobiony, infantowi potrzebny był człowiek, który by strzegł także osobistych interesów don Manuela. Lucia była przekonana, że Miguel, jeśli zgodzi się wziąć udział w konferencji jako przedstawiciel infanta, będzie mógł zażądać od niego w zamian bardzo wysokiej nagrody.

Donia Lucia zaprosiła Manuela na swoją tertulię i ku swej radości zauważyła błysk zadowolenia na jego twarzy, kiedy powiedziała, że liczy także na obecność Miguela. Miguel drożył się wprawdzie nieco, ale w gruncie rzeczy był również zadowolony ze sposobności spotkania się z infantem.

W domu doni Lucii zebrało się to samo niewielkie grono osób, które obecne było u niej owego wieczoru, kiedy przedstawiła don Manuelowi swoją przyjaciółkę Pepę, brakowało naturalnie opata.

Ściany pokryte były gęściej jeszcze niż wówczas od posadzki do sufitu obrazami. Wisiał tam wśród innych portret doni Lucii, dzieło Goyi. Miguel dopiero w ostatnich czasach poznał z bólem, jak wierny był ten portret. Francisco z jakimś czarodziejskim, niesamowitym jasnowidztwem przeczuł prawdziwą, ukrytą naturę tej kobiety i przyszłe koleje jej życia; i teraz dopiero żywa, rzeczywista Lucia utożsamiała się z kobietą na portrecie.

Twarz Miguela była także tego wieczoru, kiedy w tak pomyślnych okolicznościach miał spotkać się znowu z don Manuelem, uprzejma i spokojna; ale w duszy jego panował zamęt. Pomyślał,

że jest właściwie szczęśliwym człowiekiem. Dzięki przymusowej bezczynności w ciągu ostatnich miesięcy skończył główne dzieło swego życia: *Słownik artystów*. W tym oto salonie, pośród umiłowanych przezeń dzieł sztuki, patrzy na kobietę, którą kocha; niesnaski, które ich dzieliły, poszły w niepamięć. Stracił swój ulubiony urząd, który pozwalał mu kierować z ukrycia losami Hiszpanii, ale zanoszą się na to, że ten sam jego zwierzchnik, który go poniżył, będzie go teraz prosił usilnie, by objął swój urząd z powrotem. Mimo to do radosnego nastroju oczekiwania dołączało się uczucie niepewności: grunt był pod nim zachwiany, nie czuł już dawnej równowagi i pewności siebie. Może wprawdzie i dziś, tak stanowczo jak dawniej, powtarza sobie i innym: „To jest dobre, a tamto złe”; ale tylko słowa, tylko głos jego brzmiał jeszcze dzisiaj autorytatywnie.

Za to serce Agustina Esteve przepełniało tego wieczoru uczucie tak ufnej, radosnej pewności, jakiej od dawna już nie doświadczał. Agustín nie znał w szczególności zamiarów Lucii, ale jasne było, że urządziła to przyjęcie w tym celu, aby pomóc Francisowi. Już samo przyjazne spotkanie Miguela z infantem, i to w obecności Francisca, miało duże znaczenie. Agustín cieszył się, że potrafił przewyciężyć swą nieśmiałość względem doni Lucii; było to pożyteczne posunięcie, może uda się ustrzec Francisca od następstw jego głupoty. Agustín spoglądał też jaśniej w swoją własną przyszłość, odkąd powiodło mu się w sprawie Francisca. A może i jemu uda się kiedyś zostać pierwszorzędnym malarzem? Znał wprawdzie swoją ociężałość i powolność, ale właśnie ci, których rozwój był powolny, osiągnęli nieraz najwyższą doskonałość. A choćby nigdy nie potrafił osiągnąć tego celu, nie będzie nad tym ubolewał. Wystarczy mu być pożytecznym pomocnikiem Francisca.

Lucia była również zadowolona ze swej tertulii. Goście jej, od czasu kiedy po raz pierwszy się u niej zebrali, przeżyli już niejedną zmianę losu; ona, Lucia, przyczyniła się w znacznej mierze do tych zmian; oto dziś znowu chce pomóc przeznaczeniu, pragnie wpłynąć na losy kraju i tych ludzi, którzy ją otaczają. Szkoda, że nie ma don Diega. Ten by się dopiero ubawił widząc, jak Manuel sam się do tego przyczynia, aby ukazać światu *Caprichos*, to nieśmiertelne zwierciadło swej własnej nicości.

Manuel przybył z mocnym postanowieniem pojednania się z Miguelem. Principe de la Paz był zwolennikiem zasady, że „jedna uncja pokoju lepsza jest od tony zwycięstw”. Flota przywiezie

znów złoto i srebro z Ameryki, zawijając bez przeszkód do portów Hiszpanii; pieniądze wpłyną do kraju, zapanuje radość i wesele, a będzie to jego, Manuela, zasługą. W tych warunkach nietrudno mu będzie okazać się wspaniałomyślnym wobec Miguela; a jeśli Miguel zręcznie potrząśnie drzewem w Amiens, mogą spaść owoce jeszcze o wiele wspanialsze.

Ucałowawszy rękę doni Lucii, podszedł od razu szybkim krokiem do stojącego na uboczu, wyprostowanego jak struna Miguela. Poklepał go poufale po ramieniu, chętnie by go uściskał.

— Jakże się cieszę — wołał — że cię znowu widzę! Jeżeli mnie pamięć nie myli, to kiedy ostatni raz mówiliśmy ze sobą, powiedziałeś mi parę zbyt otwartych słów, po prostu mówiąc, nagadałeś mi impertynencji. Zdaje mi się zresztą, że i ja nie bardzo dyplomatycznie ci odpowiedziałem. Zapomniałem już o całym tym głupstwie, zapomnij i ty, Miguelito!

Miguel postanowił trzymać swe uczucia na wodzy; czytał ostatnio dużo Machiavella. Pomimo to odpowiedział sztywno i powściągliwie:

— Było jednak nieco sensu w tym głupstwie.

— Sam wiesz — mówił dalej infant — że byłem wtedy w trudnym położeniu. Ale od tego czasu wiele rzeczy uległo zmianie. Niech tylko nastąpi pokój, a przekonasz się, jak szybko poradzimy sobie znów z tymi klechami, z tymi frailucos. Nie rób takiej kwaśnej miny, Miguelu. Potrzebny mi będziesz w Amiens! Nie odmówisz tej przysługi ani mnie, ani Hiszpanii.

— Nie wątpię, don Manuelu — odpowiedział Miguel — że jest pan dziś zdecydowany wrócić do polityki liberalnej. Ale jakkolwiek wyglądać będzie traktat pokoju, obawiam się, że ostatecznie wyjdzie on na korzyść tylko papieżowi, Wielkiemu Inkwizytorowi i kilku gwelfom spośród grandów.

Don Manuel przełknął niechęć, którą nappełnił go opór i niedowierzenie Miguela. Zaczął mówić o planowanych przez siebie wspaniałych, postępowych przedsięwzięciach. Zamierza wreszcie doprowadzić do skutku planowaną od dawna regulację rzek, uruchomić wzorowe przedsiębiorstwa gospodarki rolnej i wielkie laboratoria. Zamierza również założyć trzy nowe uniwersytety. Wprowadzi, oczywista, ulgi w cenzurze, a może i zniesie ją całkowicie.

— Przywieź mi korzystny pokój do domu — wołał — a zobaczysz, jak Hiszpania rozkwitnie w słońcu Oświecenia!

Mówił dźwięcznym, niskim tenorem. Wszyscy go słyszeli.

— Rzeczywiście, wspaniałe to plany — rzekł Miguel trzeźwym,

suchym tonem, w którym brzmiała ledwie wyczuwalna nuta ironii. — Obawiam się, don Manuelu, że nie docenia pan oporów, które będzie pan miał do pokonania. Sądzę, że nie zdaje pan sobie dostatecznie sprawy z tego, jak się w ostatnich miesiącach rozzuchwaliło Święte Officium. Doszło do tego, że malarz tej miary co Francisco Goya obawia się opublikować swoje nowe, wspaniałe zresztą rysunki. Manuel, zaskoczony, zwrócił się do Goyi.

— Czy to prawda, Francisco? — spytał.

— Co to za rysunki? — wtrąciła się Pepa.

Manuel z udanym gniewem mówił dobrodusznie dalej:

— Dlaczego od razu nie zwróciłeś się do mnie, ty obłudniku? Objął Francisca ramieniem i pociągnął do stołu.

— Powiedz mi coś bliższego o tych rysunkach — rzekł.

Pepa, zaciekawiona, przysiadła się do nich.

Goya zauważył, że Miguel chytrze zastawił pułapkę na Manuela; cieszyła go myśl o zabawnym rozwiązaniu, które obiecywała ta niebezpieczna sprawa. Ale radość jego nie trwała długo. Manuel, trącając go poufale w bok i mrugając przy tym na Pepę, mówił:

— Tak, mój drogi, a teraz przyznaj się, nie namalowałeś znowu jakiejś nagiej Wenus?

— i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Goya przypomniał sobie aluzję seniora Martineza o losie obrazów namalowanych w Sanlucar. Oto miał rozwiązanie zagadki. Z obleśnie uśmiechniętej twarzy Manuela, z lekko szyderczego spojrzenia Pepy wyczytał, co się stało z tymi obrazami: Znalezione je widocznie przy spisaniu inwentarza spadkowego; za ubraną odkryto również nagą Cayetanę. Obraz jest dziś niewątpliwie w posiadaniu infanta, który wytłumaczył sobie słowa Miguela w ten sposób, że Francisco namalował znowu coś w tym rodzaju i boi się inkwizycji.

Goya wyobraził sobie ich oboje, Manuela i Pepę, jak stoją przed tym obrazem i obmacują bezwstydnymi oczyma nagie ciało Cayetany, sycąc jej widokiem własne chuci; opanował go szalony gniew. Dużym wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie krzyknąć głośno.

Pepa, obserwowana z lękiem i radością pociemniała twarz Francisca. Ale Manuel źle sobie wytłumaczył jego zmieszanie i niechęć.

— Tak, tak, don Francisco — żartował niezgrabnie — nie ukryje się pan przed nami. Przejrzeliśmy pana na wylot. Żaden Francuz nie umiałby tego lepiej namalować. Ależ z pana spryciarz! Może pan być całkiem spokojny. Obrazy te znajdują się w rękach znawcy, w rękach człowieka, który ma możliwość osłonić pana przed inkwizycją. Obie damy, i ta z wierzchu, i ta spod spodu, wiszą teraz w mojej

prywatnej galerii, i to zupełnie tak samo, jak wisiały w Casa de Haro.

Francisco z wysiłkiem opanował gniew, uśmiechnął się nawet przyjaźnie do Manuela. Pomyślał tylko, że ten sprośny bałwan sam narzucił się na protektora jego *Caprichos* i własnymi rękami wznosi pręgierz, na którym jego niskość i podłość wystawione będą na widok publiczny. Postanowił sobie, że zachowa spokój, wykosztuje do dna słodycz zemsty.

Pepa siedziała piękna i pełna dystynkcji, godna tytułu hrabiny Castillofiel. Milczała do tej chwili. Teraz wzięła w niej górę radość na myśl, że Franciscowi potrzebne jest jej poparcie.

— Co to są za rysunki, don Francisco? — spytała go z przyjaznym zainteresowaniem.

— Jestem pewna, że infant pana obroni, jeśli je pan opublikuje.

— Czy one są w rodzaju tej Wenus? — zapytał don Manuel pożądliwie.

— Nie, wasza wysokość — sucho odpowiedział Francisco. — Rysunków treści erotycznej jest w tej serii bardzo niewiele. Manuel, szczerze, zdziwiony i rozczarowany, zapytał:

— Czego więc obawia się pan właściwie?

— Przyjaciele moi — wyjaśnił Francisco — odradzają mi opublikowania tego zbioru, gdyż niektóre sztychy przedstawiają upiory ubrane w mnisie kaptury i sutanny. Wydaje mi się zresztą, że zbiór jako całość jest bardzo zabawny. Nadałem mu nazwę *Caprichos*.

— Zawsze miewał pan osobliwe pomysły, don Francisco — powiedziała Pepa.

Goya, nie zwracając uwagi na jej słowa, mówił dalej:

— Wiem, że Wielki Inkwizytor Reynoso nie jest zwolennikiem mojej sztuki.

— Mnie również Reynoso nie cierpi — rzekł z hałaśliwą wesołością don Manuel. — Musiałem z jego powodu zaniechać niektórych moich projektów. Ale moje względy dla niego skończą się niedługo.

Podniósł się nagle z miejsca, wsparł obie ręce o stół i oświadczył uroczystym tonem:

— Nasz przyjaciel Goya niedługo już będzie musiał czekać na to, by pokazać światu swoje upiory w mnisich kapturach. Musisz mi tylko przywieźć z Amiens traktat pokoju, słyszysz, Miguelu. Wtedy nadejdzie i na to pora. Zrozumiałeś, Francisco? — zapytał głuchego malarza bardzo donośnym głosem.



Francisco, który z uwagą patrzył na jego usta, odparł:

— Owszem, zrozumiałem: nadeszła godzina, ya es hora.

— Si, senior — potwierdził śmiejąc się Miguel — ya es hora. Agustin zaś z rubasznym chichotem powtórzył:

— Ya es hora.

— Ale teraz chcielibyśmy zobaczyć te niebezpieczne upiory, don Francisco — żądała Pepa.

— Tak, tak — poparł ją Manuel — ja też jestem ciekaw. Poklepał Francisca po ramieniu i oświadczył chełpliwym tonem;

— Wiedz o tym, Francisco: twoje upiory zostaną opublikowane, choćby miały poszarpać czerwony płaszcz samego Wielkiego Inkwizytora. Zasłonię cię sobą i zobaczymy, kto ośmieli się wówczas podnieść na ciebie rękę. Musisz tylko poczekać jeszcze krótki czas, parę miesięcy, a może tylko tygodni, dopóki pokój nie będzie zawarty. Oto jest ten, który może go przyspieszyć, jeśli tylko zechce — dodał wskazując palcem na Miguela.

Wstał i pociągnął Goyę ku Miguelowi, objął ich obu ramieniem.

— Dziś mamy dobry wieczór — zawołał. — Musimy wypić na cześć pokoju. Ty pojedziesz do Amiens, Miguelu. A ty, Francisco, pokażesz całemu światu swoje *Caprichos*, na przekór wszystkim klechom i upiorom, na chwałę naszej hiszpańskiej sztuki. A ja ochronię cię swoim opiekuńczym ramieniem.

### XXX

Kiedy Pepa dowiedziała się o śmierci Alby i osobliwych okolicznościach, wśród których nastąpił jej zgon, doznała uczucia żalu i triumfu zarazem i w pierwszej chwili chciała wybrać się do Goyi z wizytą kondolencyjną. Powstrzymała ją od tego myśl, że Lucia była kilkakrotnie w jego ermie, jej natomiast, Pepy, Francisco nie prosił ani razu; hrabina Castilofiel nie może się przecież nikomu narzucać.

Wkrótce potem Manuel zaprowadził ją do swej galerii, by jej pokazać oba bezwstydnne obrazy; zobaczyła portret księżny w zuchwałym kostiumie *torera* i ukryty za nim drugi obraz, nagą Cayetanę. Odpychały ją lubieżne wybryki Alby z bezbożnym Franciskiem, ale ten nagi portret dziwnie ją pociągał; długo i ze znawstwem przyglądała się ciału rywalki. Nie potrzebowała obawiać się porównania z nią; nikt nie zrozumie, dlaczego Francho, mając

do wyboru pomiędzy nią, Pepą, a tą rozpustną, bezwstydną, afektowaną kobietą, wybrał tę ostatnią.

Na przyjęciu u Lucii nie znalazła sposobności, aby swobodnie pomówić z Franciskiem. Ale teraz Francho zwrócił się do niej i do Manuela o pomoc w sprawie opublikowania swych sztychów; Manuel, pochłonięty rokowaniami w Amiens, nie miał ani chwili wolnego czasu. Pepa postanowiła, nie czekając na Manuela, obejrzeć niebezpieczne *Caprichos*. Nie zapowiedziała swej wizyty, pełna napięcia i lekko onieśmielona wybrała się do quinty. Oznajmiła Franciscowi cel swoich odwiedzin. Wysłuchał ją uprzejmie.

Agustin był nieobecny, mogła więc porozmawiać z Franciskiem sam na sam, tak jak to bywało dawnymi czasy. Dostrzegła zadowolenie Francha, że przyszła bez Manuela; postanowiła powiedzieć mu otwarcie kilka przyjacielskich słów.

— Nie wyglądasz dobrze, Francho — zaczęła. — Przejąłeś się tą sprawą. Było mi szczerze żal, gdy się dowiedziałam o twoim nieszczęściu. Ale wiedziałam, że stosunek z księżną nie wyjdzie ci na dobre.

Goya milczał.

Pepę irytował portret Alby, jedyny obraz, który zdobił gołe ściany pracowni.

— Nigdy nie umiałeś namalować jej, jak należy — mówiła. — Jej postawa na tym portrecie jest zupełnie nienaturalna. A ten wyciągnięty palec wskazujący wprost śmieszny. Zawsze tak było u ciebie: kiedy między tobą a modelem było coś nie w porządku, nigdy ci się portret nie udawał.

Goya wysunął dolną wargę. I znowu stanął mu przed oczyma obraz tej głupiej, bezwstydnej indyczki i jej gacha, jak stoją oboje przed nagim ciałem Cayetany. Miał wielką ochotę chwycić ją za kark i strącić ze schodów. Ale opanował się.

— O ile panią dobrze zrozumiałem, hrabino, zaszczyciła mnie pani swą wizytą, aby z polecenia infanta obejrzeć moje sztychy?

Powiedział to bardzo uprzejmie. Hrabina Castillofiel zrozumiała, że Francisco chce ją przywołać do porządku.

Wydobył *Caprichos* ze skrzyni. Pepa zaczęła oglądać rysunki; widział od razu, że je rozumie. Kiedy doszła do serii arystokratycznych osłów, twarz jej przybrała wyraz wyniosły. Goya wietrzył niebezpieczeństwo. Pepa miała duży wpływ na Manuela; mogła poróżnić go z infantem, zgubić go w jego oczach, zagrzebać *Caprichos* na zawsze w tej skrzyni.

Ale Pepa powiedziała tylko:

< 508 )

— Wiesz, Francisco, jesteś jednak bezgranicznie zuchwały. Pycha znikła z jej twarzy; zwracała powoli swą piękną głowę w prawo i w lewo, uśmiechając się nieznacznie.

Francisco pomyślał, że jednak dobrze zrobił w swoim czasie, wiążąc się z tą kobietą.

Najbardziej ubawił ją arkuś z tytułowany: *Hasta la muerte, Do samej śmierci*, przedstawiający sędziwą staruchę, malującą się przed lustrem; rozpoznała w niej widocznie królową. Jeśli w tej czy owej wśród żalonych, bujnych czy napuszonych maj i elegantek poznała samą siebie, to nie zdradzała tego. Nie ukrywała natomiast, że poznaje Albę.

— Jesteś okrutny, Francisco — rzekła. — Wiedziałam o tym. Te sztychy są bardzo okrutne. Kobiety nie znajdują pobjazania w twoich oczach. Jestem pewna, że i j e j nie było z tobą dobrze.

Rzuciła na niego spojrzenie swych zielonych, leniwych, bezwstydných oczu; on zaś pomyślał, że chociaż kobiety nie są z nim szczęśliwe, Pepa nie miałaby zapewne nic przeciw temu, by raz jeszcze popróbować z nim szczęścia.

I podobała mu się właściwie, kiedy tak siedziała przed nim świeża, zmysłowa. Uważał też za bardzo pocziwe z jej strony, że popiera jego sprawę u Manuela.

Przypomniały mu się chwile leniwej, beznamiętnej, wygodnej rozkoszy, jakie przeżywał kiedyś z tą kobietą. Pomyślał, że byłoby wcale przyjemnie, mieć znowu tę białą, gładką i pełną, rozsądną i romantyczną istotę w łóżku. Ale zwyciężyła w nim niechęć do odgrzewania starych, już raz przeżytych spraw.

— Co raz minęło, nie wróci — powiedział mgliście. Pepie mogło się wydawać, że słowa te są odpowiedzią na uwagę o jego okrucieństwie względem Cayetany.

Pozornie bez związku spytała go, na pół złośliwie, na pół przyjaźnie:

— Co masz zamiar teraz robić, Francho? Wstąpisz do klasztoru?

— Jeśli pozwolisz — odparł — przyjdę wkrótce do ciebie, by znów popatrzeć na twego malca.

Pepa przeglądała na nowo *Caprichos*. Patrzyła w zamyśleniu na liczne postacie dziewcząt i kobiet. To Alba, to ona sama, Pepa, to znów Lucia, a dalej wiele innych kobiet, które Francho widocznie znał bardzo dobrze lub przynajmniej sądził, że je zna. I z pewnością kochał je wszystkie i zarazem nienawidził. Stąd tyle wokół nich diabłów i straszdeł. Francho jest wielkim artystą, ale o świecie

i ludziach, a szczególnie o kobietach nie ma pojęcia. Zdumiewające, ile on rzeczy dostrzega, ale dziwne jest również, że widzi rzeczy, których wcale nie ma. Biedny, opętany Francho, trzeba mu okazać przyjaźń i starać się podnieść go na duchu.

— *Ils sont tres interessants, vos Caprices*<sup>1</sup> — chwaliła. — Będą z pewnością zaliczone do najlepszych twoich dzieł. Powiedziałabym nawet, że są znakomite, *remarquables*<sup>2</sup>. Mam tylko jedno zastrzeżenie: są przesadne, zbyt smutne i pesymistyczne. I ja dużo zła doznałam w życiu, ale ten świat nie jest tak czarny, jak ty go przedstawiasz, Francho, możesz mi wierzyć. I tobie samemu nie wydawał się dawniej tak ponury, choć nie byłś jeszcze wtedy pierwszym malarzem.

„Przesadne, pesymistyczne, barbarzyńskie, niesmaczne — pomyślał. — Nie mają szczęścia te moje rysunki, ani do żywych ani do umarłych.”

Pepa zaś myślała:

„Był szczęśliwy tylko tak długo, dopóki żył ze mną. Z tych sztychów widać, jak źle mu było z tamtą.” Na głos zaś powiedziała:

— Miała romantyczną naturę, trzeba jej to przyznać. Ale cóż stąd, można być romantyczną, nie sprowadzając nieszczęścia na innych.

A gdy Francisco milczał, dodała jeszcze:

— Wszystkim przynosiła nieszczęście. Nawet majątek, który zapisała swemu lekarzowi, przyniósł mu nieszczęście. Przy tym nie umiała nigdy odróżnić, kto jest jej przyjacielem, a kto wrogiem. Inaczej nie byłaby mu zapisała tego legatu.

Goya słuchał, ale nie zrozumiał wszystkiego. Nie wziął jej za złe tego, co mówiła. Ze swego punktu widzenia miała zresztą słuszność. Irytowała go często swą niemądrą paplaniną, ale nieszczęścia mu nie przyniosła; przeciwnie, pomagała mu, ilekroć mogła.

— To co ludzie wygadują na Peralą — rzekł — nie zgadza się z prawdą. Rzeczywistość bywa czasem różna od tej, którą sobie wyobraża twoja śliczna, romantyczna główka.

Drażniło ją trochę, że traktował ją wciąż jeszcze jak małą, głupią dziewczynkę; ale pochlebiali jej równocześnie, że rozmawiał z nią o sprawach, które tak blisko go obchodziły. Odczuła w tym jakby echo ich dawnej, poufalej przyjaźni.

1/ Bardzo interesujące są te twoje Kaprysy,

2/ *Remarquables* (fr.) — godne uwagi.

< 510 >

— Więc jak właściwie było z tym lekarzem? — spytała. — Zgładził ją czy nie?  
Goya odpowiedział z żarliwym przekonaniem:  
— Peral jest tak samo winny czy niewinny jak ja. Spełnisz dobry uczynek, jeżeli pewnym osobom otworzysz na to oczy.  
Uczuła dumę i radość, że Francisco — chyba po raz pierwszy — tak bez ogródek prosi ją o pomoc.  
— Oddałabym ci tym przysługę, Francho? — spytała skwapliwie, patrząc mu głęboko w oczy. Goya jednak odparł sucho:  
— Powinno ci nie mniej na tym zależeć niż mnie, by ratować niewinnego. Westchnęła.  
— Nigdy nie chcesz przyznać — żaliła się — że ci choć odrobinę na mnie zależy.  
— Owszem, zależy mi na tobie — przyznał Francisco tonem lekko ironicznym, lecz nie pozbawionym czułości. Pepa wstała, by się pożegnać.  
— Ale do tej pory nie namalowałeś mnie na koniu.  
— Mogę to zrobić — odparł — jeśli sobie tego życzysz. Ale odradzam.  
— Nawet królowa — odpowiedziała Pepa — wcale dobrze wygląda na koniu.  
— Tak — odparł sucho — ona dobrze wygląda.  
Pepa rzekła z rozżaleniem:  
— Zawsze jesteś tak nieznośnie szczery, Francho.  
— Czy to, że mówimy sobie nawzajem prawdę, nie jest najlepsze w naszej przyjaźni?  
— odparł.

### XXXI

Senior Miguel Bermudez odwiedził Francisca, aby go pożegnać.  
— Sądzę, że uda mi się przeprowadzić w Amiens to, czego pragną don Manuel i królowa — oświadczył przyjacielowi. — Ale korzystnego pokoju na pewno nie przywiozę. Można będzie co najwyżej uzyskać uprzejmą formę traktatu i zachować w ten sposób prestiż Hiszpanii. Jadę niechętnie na tę małą dla nas obiecującą konferencję; czynię to właściwie tylko w tym celu, aby wzmocnić swe stanowisko u Manuela. Może uda mi się wtedy odsunąć obskurantów. Jeden przynajmniej człowiek odniesie rzetelną korzyść

( 511 >

z traktatu w Amiens: Francisco Goya — zakończył, przy czym twarz jego rozjaśnił uśmiech.

— Nie zawsze zgadzam się z twymi poglądami w sprawach sztuki, Miguelu — rzekł Francisco — ale muszę przyznać, że jesteś wiernym przyjacielem.

Włożył na głowę swój duży kapelusz i zdjął go przed Miguelem.

— Jak długo, twoim zdaniem, potrwać może ta konferencja? — spytał.

— Z pewnością nie dłużej jak dwa miesiące — odpowiedział Miguel.

— Do tego czasu — obliczył Goya — łatwo uporam się ze wszystkim. W trzy dni po zawarciu pokoju dam publiczne ogłoszenie o *Caprichos*, a w jakiś tydzień później każdy, kto zechce, będzie je mógł obejrzeć. No, i nabyć, jeśli będzie miał dość pieniędzy — zakończył żartobliwie.

Na twarzy Miguela odbiła się troska.

— Pragnąłbym jednak obejrzeć raz jeszcze twoje *Caprichos* — prosił — zanim je wypuścisz w świat. Czy nie zgodziłbyś się zaczekać z tym do mego powrotu z Amiens?

— Nie — odpowiedział Goya krótko.

— Przynajmniej te sztychy, na których przedstawiłeś Manuela, i te, które dotyczą królowej, powinienes sobie jeszcze raz obejrzeć.

— Obejrzałem je już tysiąc razy — odpowiedział Goya. — Gdy malowałem *Rodzinę Garlosa*, był ktoś, kto krakał jak kruk. A zresztą — dodał z przebiegłym uśmiechem — każdy egzemplarz wydania poprzedzony będzie obszernym prospektem, w którym wyjaśnię, że *Caprichos* nie odnoszą się do konkretnych wypadków ani do określonych osób.

— Pomimo to wyłączyłbym serię rysunków z osłami — nalegał Miguel.

Francisco nie zgodził się.

— Kto obejrzy *Caprichos* bez uprzedzenia — tłumaczył z ożywieniem — ten zobaczy tylko to, to w nich jest. A kto będzie je oglądał ze złą wolą, ten i w najniewinniejszym rysunku dopatrzy się czegoś złego.

— Nie bądź zbyt zuchwały, Francisco — ostrzegwał Miguel. — Nie przeciągaj struny.

— Dziękuję ci, Miguelu — rzekł Goya niefrasobliwie — ale nie lękaj się o mnie. Zachowaj swobodną głowę, byś mógł dobrze wypełnić swe zadanie we Francji. Załatw jak najlepiej swoje sprawy, ja ze swoimi już sam sobie poradzę.

W najbliższych dniach Goya rozważał po raz ostatni, które sztychy pozostawić w *Caprichos*, a które wyłączyć; ale nie zastanawiał się nad tym, co mogłoby urazić Manuela lub donie Marię Luizę, nie troszczył się w ogóle o dwór ani o politykę. Zadawał sobie jedno tylko pytanie: czy postępuje sprawiedliwie wobec Cayetany? I postanowił zostawić występne *Wniebowzięcie*, wyłączył natomiast *Legendę kłamstwa i niestałości*.

*Caprichos* stawały się w coraz większej mierze jego sprawą osobistą. Patrzył na nie jak na swój pamiętnik, jak na kronikę swego życia.

Raziło go teraz, że na czele całego zbioru umieścił sztych, na którym przedstawił siebie siedzącego przy stole z głową ukrytą w ramionach, jak gdyby zasłaniał się przed widokiem otaczających go upiorów. Uważał, że arkusz ten powinien raczej znajdować się gdzieś dalej, może w drugiej części, na czele serii upiorów; nie wydawał się odpowiedni jako wstęp do całości dzieła. Goya wyobrażony na tym rysunku był wyidealizowany. Zbyt szczupły i młody. Przede wszystkim jednak uznał za rzecz niegodną i całkiem niewłaściwą, aby Goya, witający widza na pierwszej stronie, ukrywał przed nim swe oblicze. Twórca dzieła budzącego tak sprzeczne sądy, jak *Caprichos*, musi pokazać swą twarz. Musi stanąć przed swoim dziełem tak, aby wszyscy mogli go poznać. Na pierwszym arkuszu *Caprichos* musi być przedstawiony wyraźnie ich autor, Francisco Goya. I musi to być Goya dzisiejszy. Goya, którego. odumarli Josefa, Martin, Cayetana, który zstąpił w głębokie odmęty i wydobył się z powrotem na wierzch. Goya, który okiełznał swoją fantazję i zmusił ją, by zamiast potworów płodziła dzieła sztuki.

Namalował i narysował w ciągu lat wiele autoportretów: był między nimi młody Goya, ukryty w cieniu, nieśmiało, lecz ufnie spoglądający na swego możnego protektora; był Goya nieco starszy, śmiały, zuchwały, w kostiumie torera, z miną, jakby świat do niego należał; był także Goya dworak, fircyk, ubiegający się zalotnie o względy Cayetany; był Goya stojący w cieniu, lecz spoglądający z miną pełną wyższości na królewską rodzinę; był wreszcie rysunek przedstawiający Goyę ze zwichrzoną brodą, z beznadziejną rozpaczą na twarzy, opętanego przez wszystkie złe demony.

Brak tylko jeszcze Goyi dzisiejszego, tego Goyi, który przebył trudną drogę poznania, który umiał już przystosować się do świata, chociaż się z nim nie zgadzał.

Przyczesał starannie włosy na ucho i zastanawiał się długo nad wyborem stroju. Goya rozpoczynający serię *Caprichos* musi

< 513 >

mieć wygląd reprezentacyjny i godny; nie może wyglądać jak lada kuglarz lub żartowniś, lecz tak, jak przystało na pierwszego malarza króla. Włożył długi, obszerny popielaty surdut, szyję obwiązał wysokim aż po podbródek sięgającym szalem, na dużą, okrągłą głowę wsadził dumny cylinder, bolivar o szerokim rondzie.

Tak ubrany, narysował się z profilu, ciekaw, co z tego wyjdzie. Kiedy skończył, ze zdumieniem spojrzął na własny rysunek. Ten stary, mrukliwy pan — czy to on? Kątem oczu patrzy na widza. złośliwie, jadownicie; zgryźliwie zwisa wysunięta dolna warga. Głęboka, ostra bruzda zbiega od nosa ku cienkiej, wykrzywionej górnej wardze. Potężnie, surowo i odpychająco wygląda okrągła, lwia głowa, a wrażenie to podkreśla jeszcze potężny bolivar.

Posępnym wzrokiem patrzył Goya na swój portret. Czy naprawdę wygląda tak staro i tak zgryźliwie? Czy może, wybiegając w przyszłość, przewidział czekającą go starość samotnika i mizantropa?

Z ponurą zadumą oderwał wzrok od rysunku. Wypisał poniżej swe imię i nazwisko:

„Francisco Goya y Lucientes, malarz.”

I dodał następujący komentarz:

„Patrzcie, jak poważną ma minę. Ale zdejmijcie mu kapelusz z głowy i otwórzcie czaszkę, a będziecie zdumieni widokiem tego, co ona zawiera.”

## XXXII

W Madrycie biją wszystkie dzwony. Pełnomocnicy Katolickiego Króla i Jego Brytyjskiej Mości podpisali w Amiens traktat pokoju. Pokój. Radość zapanowała w całym kraju. Nadszedł kres nędzy. Okrety z zamorskich krajów zaczną znów zawijać do portów hiszpańskich. Skarby Obojga Indii spadną na Hiszpanię jak rześisty deszcz, który użycia wysuszoną ziemię. Życie stanie się nieprzerwanym świętem.

Goya nie spodziewał się tak szybkiego zakończenia pertraktacji pokojowych, był jednak gotów: odbił trzysta egzemplarzy *Caprichos* i napisał do nich wstęp.

W tydzień po obwieszczeniu pokoju pojawiła się w „Diario de Madrid”<sup>1</sup> notatka o wydaniu *Caprichos*. „Senior Francisco de

1/ „Dziennik Madrycki.”



Goya — brzmiało ogłoszenie — wykonał szereg sztychów o tematach fantastycznych. Spośród rozmaitych dziwactw i niedorzeczności, jakich nie brak w naszym społeczeństwie, spośród licznych przesądów, matactw i szalbierstw, uświęconych przez panujący obyczaj, ciemnotę lub żądzę zysku, autor wybrał takie, które uważał za najodpowiedniejszy materiał do fantastycznych, a przy tym pouczających scen satyrycznych. Senior de Goya nie miał bynajmniej zamiaru atakować lub wyszydząć swymi rysunkami określonych osób lub stosunków; satyra jego chłoszcze charakterystyczne typowe, grzechy i zwyrodniałości pojęte jako zjawisko ogólne. Caprichos są do obejrzenia i nabycia w sklepie seniora Fragolo, Calle de Desengano 37. Teka zawiera 76 sztychów. Cena wynosi jedną uncję złota, co równa się 288 realom."

Calle de Desengano była ulicą cichą i elegancką, niewielki sklep seniora Fragolo urządzony był kosztownie i ze smakiem. Można tam było dostać najwykwintniejsze perfumy, wyborowe francuskie likiery z czasów Ludwika XV, a nawet XIV, słynne koronki valenciennes, kosztowne tabakierki, stare książki, drobiazgi artystyczne, bibeloty chińskie, wszelkiego rodzaju rzadkie osobliwości i antyki, nadto kosztownie opracowane relikwie, kości świętych i tym podobne rzeczy. Agustin i Quintana odradzali wprawdzie wystawiania sztychów w tym składzie tak zbytkownych i ekskluzywnych przedmiotów. Goya jednak uparł się, by Caprichos tam właśnie zostały umieszczone, jako jedna z rzadkich kosztowności; chciał w ten sposób podkreślić charakter sztychów jako dzieła sztuki, nie mającego nic wspólnego z polityką propagandową. Przypominał też sobie, że często zachodził z Cayetaną do magazynu przy Calle de Desengano, gdzie Cayetana lubiła oglądać rzadkie i osobliwe przedmioty, wyszperane przez pomysłowego seniora Fragolo. Ale najbardziej spodobała się Franciscowi sama nazwa tej ulicy. Wyraz bowiem desengano ma dwojakie znaczenie: oznacza rozczarowanie, zawód, ale również pouczenie, poznanie. Calle de Desengano jest odpowiednią ulicą dla Caprichos. On sam, Goya, przebył drogę, którą wskazuje nazwa ulicy, niech teraz i inni spróbują nią pójść. Ci inni wszakże, którzy przychodzili obejrzyć Caprichos, nie przejmowali się widocznie płynącą z nich nauką, byli rozczarowani sztychami. Przeglądali całą tekę i zamykali ją zdziwieni. W recenzjach również nie wyczuwało się ciepła ani zrozumienia. Jeden tylko spośród krytyków, Antonio Ponz, wyraził się z podziwem o oryginalności i głębi dzieła. Pisał on:

( 515 >

„Przysłowie mówi, że dwie pary oczu jeszcze nigdy na raz nie widziały upiora. Goya zadaje kłam temu przysłowiu.”

Quintana, który spodziewał się, że Caprichos wywołają sensację w mieście, był rozgoryczony. Goya nie podzielał jego oburzenia. Wiedział, że dzieło takie jak Caprichos wymaga czasu, nim znajdzie zrozumienie u nabywców.

I w istocie już po krótkim czasie zainteresowanie sztychami zaczęło wzrastać i coraz więcej osób przychodziło na Calle de Desengano, by je zobaczyć.

I było między nimi wielu takich, którzy w śmiałych, przekornych komentarzach Goyi do niektórych arkuszy dopatrywali się zuchwałej krytyki, ukrytej aluzji do najwyższej postawionych osobistości, dowcipnego szyderstwa z zacofanych urzędów Kościoła. Dużo na ten temat szeptano. Również panowie ze Świętego Officium coraz częściej zjawiali się w sklepie seniora Fragolo.

### XXXIII

Nagle stanął przed Goya posłaniec w zielonym mundurze, tajemniczo, jakby spod ziemi wyrósł. Wśliznął się jak duch i jak duch zniknął. Goya drżącymi palcami rozerwał kopertę: zawierała wezwanie, by następnego dnia stawił się przed Świętym Officium. W głębi ducha Goya przeczuwał już od dawna, że to nastąpi: wiedział to już od czasu, kiedy w kościele San Domingo patrzył na autodafe Olavidego. Ostrzegano go wielokrotnie i wyraźnie. Mimo to był jak uderzony obuchem.

Przywołał na pomoc rozsądek. Wielki Inkwizytor to nie to co „czarny mąż”, straszdyło, które można poskromić ołówkiem i rylcem. Ale czyż Francisco nie miał innej jeszcze broni? Przyjaciele zapewнили mu przecież swą pomoc, wojna już jest skończona; don Manuel z łatwością odeprze ataki Świętego Officium.

Wbrew tym rozważaniom duszący lęk ogarniał Francisca; czuł coraz to nowe ciemne fale strachu. Siedział skulony, z twarzą obwisłą, z bezwładnym ciałem; w tej wstrząsanej lękiem postaci nikt nie poznałby tego samego Goyi, który z dumą i godnością chadzał w swym popielatym surducie i bolivarze.

Chwilowo nikogo z przyjaciół nie było w Madrycie. Miguel i Lucia nie wrócili jeszcze z Francji, Manuel i Pepa bawili na dworze w Eskuriale, Quintana uczestniczył w obradach Rady Indyjskiej

w Sewilli. Goya pragnął poradzić się przynajmniej Agustina albo Javiera. Ale zbyt głęboko tkwił mu we krwi lęk przed bezlitosnymi karami, jakie groziły za złamanie obowiązku tajemnicy. Doznawał dreszczu, jak niegdyś, gdy jako młody chłopiec słuchał corocznie ogłaszanego edyktu wiary.

Wszystkim przynosił nieszczęście. Biedny Jayier. Jemu także grozi teraz potępienie i zguba.

Następnego dnia Goya, skromnie ubrany, zgłosił się w Santa Casa. Wprowadzono go do niewielkiego pokoju. Po chwili zjawił się sędzia Świętego Officium, w stroju duchownym, cichy, milczący, w okularach na nosie, za nim wszedł sekretarz. Na stole zobaczył Goya akta sprawy oraz teczkę zawierającą Caprichos. Była to jedna z pierwszych tek, które kazał sporządzić jako odbitki próbne. Trzy z tych tek posłał Martinezowi, jedną otrzymała księżna Osuna, jedną Miguel. Nie miało celu dociekać w tej chwili, w jaki sposób teka ta znalazła się w rękach inkwizycji i kto właściwie go zdradził; teka leżała przed nim na stole, i tylko to było ważne.

W małym pokoju panowało milczenie tak głębokie i przygniatające, jakiego głuchy Goya nigdy jeszcze nie doświadczył. Nikt nie poruszał wargami. Sędzia spisywał pytania; skończywszy wręczył zapisany arkusz sekretarzowi do zaprotokołowania pytań, po czym podał go Goyi.

Sędzia miał także w swych aktach komentarze Goyi do sztychów. Przedłożył je Franciscowi. Była to pierwsza odbitka, sporządzona przez Agustina, poprawiona przez niego samego.

Sędzia zapytał:

— Czy rysunki pańskie mają to tylko wyrażać, co mówi ten komentarz, czy też jeszcze coś innego?

Francisco spojrział na niego z niedomyślną miną. Nie był w stanie skupić uwagi; wbrew swej woli powtarzał tylko w duchu pytanie: skąd wzięli tę tekę? Kto im dał komentarz? Aby zebrać myśli, obserwował dokładnie twarz sędziego i jego ręce. Była to twarz pociągła, spokojna, o smagłej, matowej cerze; spoza okularów patrzyły oczy kształtu migdałów, pozbawione wyrazu. Ręce miał wąskie i foremne.

Wreszcie Goya wyrwał się z otępienia. Odpowiedział ostrożnie: — Jestem prostym człowiekiem i brak mi wprawy w znajdowaniu stosownych wyrazów.

Sędzia zaczął, aż sekretarz zaprotokołuje tę odpowiedź. Następnie wyciągnął z teki rysunek i pokazał go Franciscowi. Było to Caprichio Nr 23, przedstawiające prostytutkę w pokutniczej koszuli,

w chwili gdy sekretarz Świętego Trybunału odczytuje jej wyrok: scenie tej przypatruje się i przysłuchuje zbity tłum wiernych, głowa przy głowie, wszystkie twarze wyrażają podniecenie i ciekawość. Goya spojrział na arkusz, który szczupła ręka sędziego trzymała przed jego oczyma. Dobry to rysunek. Wyborny jest ten ogromny, wysoko sterczący spiczasty kapelusz pokutniczy, znakomita jest twarz i postać tej kobiety, zdeptanej, zmieszanej z błotem, unicestwionej; świetna jest także tępa, biurokratyczna twarz gorliwie odczytującego wyrok sekretarza, który jak dwie krople wody podobny jest do siedzącego obok protokolanta, i to morze ludzkich głów, ten wyraz lubieżnej ciekawości i tępego nabożeństwa na wszystkich twarzach. Wszystko to jest bardzo dobre, nie ma powodu wstydić się tego rysunku.

Sędzia nie spiesząc się odłożył rysunek i powolnym, odmierzonym ruchem przybliżył mu do oczu komentarz. Do *Caprichos* Nr 23 Goya dodał objaśnienie:

„To niegodziwość obchodzić się tak surowo z dzielną dziewczyną, która za kromkę chleba z masłem tak gorliwie i pożytecznie służyła całemu światu.”

Sędzia zapytał:

— Co chciał pan właściwie przez to powiedzieć? Kto obchodzi się tak niegodziwie z tą kobietą? Święty Trybunał? Czy może kto inny?

Pytanie wypisane czarno na białym, wyraźnym, kaligraficznym pismem, stało przed Goya w całej swej grozie. Odpowiedź jego musi być ostrożna, inaczej będzie zgubiony. I nie tylko on sam, ale także jego syn i potomkowie jego do najdalszych pokoleń.

„Kto obchodzi się niegodziwie z tą kobietą?” — wirowało mu przed oczyma pytanie, wyciągało ku niemu swe szpony.

— Los — odpowiedział wreszcie.

Gładka, pociągła twarz pozostała niewzruszona. Szczupła, wąska ręka napisała:

— Co pan rozumie przez los? Opatrzność boską?

Goya rozumiał, że jego odpowiedź nie była żadną odpowiedzią. Pytanie, choć w zmienionej postaci, stoi przed nim dalej, uprzejme, nieubłagane; szydercze, groźne. Musi koniecznie znaleźć inną odpowiedź, dobrą, wiarygodną. Szuka jej z gorączkowym wysiłkiem. Schwytali go w potrzask. Spoza połyskujących, migocących okularów spoglądają na niego oczy sędziego spokojnie, wyczekująco. Francisco myśli i szuka, szuka i myśli. Sędzia i sekretarz siedzą obaj

milczący, nieruchomi, okulary wpatrują się weń błyszczącymi szklami.

„Najświętsza Dziewico z Atocha — modli się Goya żarliwie — pozwól mi znaleźć odpowiedź! Natchnij mnie szczęśliwą myślą! Jeśli nie chcesz zmiłować się nade mną, zmiłuj się nad moim synem!”

Sędzia nieznacznym ruchem ołówka wskazuje na zapisany arkusz. — Co pan rozumie przez los? Opatrzność boską? — pyta ręką, pyta ołówek i papier.

— Demony — odpowiedział wreszcie Francisco zdając sobie sprawę, że głos jego zabrzmiał ochryple.

Sekretarz zapisał odpowiedź w protokole.

Jeszcze jedno pytanie, po nim jeszcze jedno i dziesiątki dalszych, a każde z nich to nowa tortura, a między każdym pytaniem i odpowiedzią — wieczność.

Wreszcie po nie wiadomo ilu wiecznościach przesłuchanie dobiegło końca. Sekretarz zajął się protokołem, by go zakończyć i przygotować do podpisu. Goya przypatrywał się jego wprawnie piszącej ręce; była to ręka ciężka i pospolita.

Przesłuchanie odbywało się w zwyczajnym pokoju; za zwyczajnym, pospolitym stołem z aktami siedział uprzejmy, dobrze wychowany pan w duchownym stroju, o spokojnej twarzy, w okularach na nosie: czyjaś zwyczajna, pospolita ręka zapełniała papier szybkim, równym pismem. Goya doznawał jednak wrażenia, że ten pokój z każdą chwilą ciemnieje, że staje się coraz podobniejszy do grobu, że ściany jego zbliżają się i przygniatają go, że wyrzucają go poza ramy czasu i przestrzeni.

Sekretarz tymczasem pisał i pisał, powoli, bez końca. Goya czekał już tylko na zakończenie protokołu, ale pragnął w duchu, by sekretarz pisał jeszcze wolniej, tak wolno, aby się to pisanie nigdy nie skończyło. Gdyż z chwilą gdy protokół będzie zakończony, podadzą mu go do podpisu, będzie musiał podpisać, a gdy raz położy swój podpis, przyjdą po niego zieloni siepacze, powloką go z sobą i wtrącą do lochu, z którego już nie wyjdzie. Przyjaciele pytać się będą, co się z nim stało, nie będą szczerzyć szumnych słów żalu i podziwu. Ale nic nie uczynią, a on zginie marnie w jakimś więzieniu.

Siedział skurczony, czekał, wszystkie członki ciążyły mu dotkliwie.

Z największym wysiłkiem trzymał się na swym stołku; czuł, że jeszcze chwila, a straci przytomność i zwali się na ziemię. Zrozumiał teraz, co znaczy piekło.

Wreszcie pisarz zakończył swoją czynność. Sędzia powoli,

z uwagą przeczytał protokół. Podpisał go i podał Goyi. Czy teraz on, Francisco, ma położyć swój podpis? Spojrzał z lękiem na sędziego.

— Proszę to przeczytać — powiedział sędzia.

Goya odetchnął z ulgą; zyskał jeszcze chwilę czasu, nie musi natychmiast podpisać. Zaczął czytać; lektura ta była męczarnią. Stawały przed nim raz jeszcze, po kolei, wszystkie pytania sędziego, bezlitosne, podstępne, każde jak zdradziecka pułapka, oraz wszystkie niemądre, bezradne jego odpowiedzi. Mimo to czytał bardzo powoli, gdyż każda sekunda była zyskiem na czasie. Przeczytał drugą stronę protokołu, po niej trzecią i czwartą; piątą zapisaną była tylko do połowy. Wreszcie przeczytał wszystko do końca. Sekretarz podał mu pióro i wskazał miejsce przeznaczone na podpis. Uczuł na sobie spokojne spojrzenie spoza błyszczących szkieł. Sztywnymi, ciężkimi palcami wykaligrafował swe imię i nazwisko. W tej chwili błysnęła mu szczęśliwa myśl. Z głupkowatym, filuternym uśmiechem spojrzał na utkwioną w nim parę migotliwych szkieł.

— Czy podpis może być z zakrętasem? — spytał.

Sędzia potwierdził skinieniem głowy.

I znowu zyskana chwila czasu. Goya powoli i starannie wyrysował swoją „rubrykę”, zakrętas. Stało się, protokół jest podpisany.

Skończone. Goya może odejść.

Wolno, krok za krokiem schodził po schodach. Wyszedł na dwór. Świeże powietrze orzeźwiło go i jednocześnie przeszło bólem. Wracając do domu czuł wysiłek i mękę każdego kroku; miał uczucie, jak gdyby po ciężkiej chorobie za wcześnie wstał z łóżka.

Wrócił do domu zupełnie wyczerpany. Poleciał Andresowi, by mu przyniósł obiad. Ale gdy chłopak wrócił z obiadem, zastał Goyę pogrążonego we śnie.

#### XXXIV

Młody senior Javier de Goya zauważył ze zdziwieniem, że przyjaciele jego spośród „złotej młodzieży” przestali go zapraszać i pod różnymi pozorami odrzucali jego zaproszenia; tłumaczył to sobie tym, że niektórzy grandowie i prałaci byli zgorszeni opublikowanym już wydaniem *Caprichos*.

Javier miał ochotę pomówić o tym z ojcem. Ale ojciec był w ostatnich

( 520 )

czasach znowu taki milczący i przygnębiony, że Javier mimo swej młodości niefrasobliwości nie śmiał zaprzętać mu głowy własnymi troskami. Trudno mu było jednak obejść się bez atmosfery pełnej życia, przyjaźni i radości, jaka go dotąd otaczała. Nie czuł się teraz dobrze w Madrycie; a ponieważ ojciec już od dawna obiecywał wysłać go na studia za granicę, przypomniał mu w przymilnych słowach tę obietnicę.

— Dobrze, że mi o tym teraz właśnie przypomniałeś — rzekł Goya z nieoczekiwaną serdecznością. — Musimy zaraz poczynić przygotowania.

Agustin Esteve ze wzrastającą troską odczuwał pustkę, która wytworzyła się dokoła Goyi. Arystokraci, którzy dotąd na wyścigi zamawiali u niego swe portrety, odwoływali teraz pod byle jakim pretekstem swe zamówienia. Senior Fragoło nie mógł już sprzedać ani jednego egzemplarza Caprichos. Gdzie tylko ktoś wymienił nazwisko Goyi, widziało się miny dziwnie zakłopotane. W mieście obiegła pogłoska, że Święte Oficjum zamierza wszcząć przeciw niemu postępowanie; pogłoska ta zresztą zdawała się mieć swe źródło w samej Santa Casa.

Agustin odetchnął z ulgą, gdy usłyszał, że małżonkowie Bermudez w najbliższych dniach wracają do Madrytu.

Don Miguel wypełnił w istocie z powodzeniem swoje zadanie w Amiens i znajdował się już wraz z donią Lucią w drodze powrotnej do stolicy.

Don Miguel Bermudez zdawał sobie sprawę, że pokój, który doprowadził do skutku, nie przynosi żadnej korzyści krajowi, jednakże sukcesy osobiste, które uzyskał dla don Manuela i królowej, przewyższyły oczekiwania. Terytoria państw włoskich zostały powiększone, księstwo Parmy wskrzeszone, Francja zobowiązała się wycofać w krótkim terminie swe wojska okupacyjne z posiadłości papieskich, z królestwa Neapolu i Etrurii. Poza tym don Miguel, ku najwyższemu zadowoleniu infanta, uzyskał i to, że przedstawiciele Hiszpanii mieli pierwsi podpisać traktat pokoju, na kilka dni przed pełnomocnikami Republiki Francuskiej. Mógł tedy Miguel być pewny, że rzetelnie zasłużył na wdzięczność infanta; był też zdecydowany ściągnąć tę swoją należność u Manuela na korzyść postępu, cywilizacji i wolności.

Toteż w nastroju wielce podniosłym wracał do Madrytu. Ale zaledwie przybył do stolicy, zjawił się u niego Agustin Esteve i zaalarmował go wiadomością o niepokojącej sytuacji Francisca.

Don Miguel wybrał się natychmiast do seniora de Linares,

prezydenta policji, aby się upewnić, czy i w jakiej mierze panika Agustina była uzasadniona. Senior Linares, posiadający swoich wywiadowców w Santa Casa, miał dokładne informacje.

To, czego się Miguel dowiedział, budziło jak najpoważniejsze obawy.

Don Ramón de Reynoso y Arce, arcybiskup Burgos i Saragossy. patriarcha Obojga Indii i czterdziesty czwarty Wielki Inkwizytor, oświadczył mianowicie, że zgubny wpływ, jaki wywiera malarstwo Francisca Goyi, jest bardziej niebezpieczny niż książki i mowy Jovellanos. Innym znów razem powiedział, że Caprichos czuć siarką piekielną. Wielki Inkwizytor wyraził się kilkakrotnie w ten sposób, nawet w obecności osób świeckich, widocznie zależało mu na tym, aby słowa jego doszły do wiadomości szerszego ogółu. Reynoso był bez wątpienia zdecydowany wystąpić urzędowo przeciwko Caprichos i ich twórcy. Przebąkiwano, że pierwszy malarz został już nawet przesłuchany.

Don Miguel podziękował prezydentowi policji za informacje i naradził się z Lucią. Widoczne było, że Wielki Inkwizytor, który uchodził za bystrego polityka, przewidując już od dłuższego czasu, że zawarcie pokoju grozi podkopaniem jego wpływów i władzy, dążyć będzie do natychmiastowej próby sił, do czego Caprichos dawały mu dobrą sposobność. Niebezpieczeństwo jest zatem duże i pośpiech jak najbardziej wskazany.

Wdawanie się w długie dyskusje z Franciskiem wydawało im się rzeczą bezcelową. Miguel i Lucia obmyślili na własną rękę plan zdławienia ataku inkwizycji w samym zarodku. Tego samego dnia jeszcze Miguel wyjechał do Eskurialu.

Zastał tam Manuela w nastroju hałaśliwie radosnym. I znowu, jak zawsze, potwierdziło się, że on, infant, jest ulubieńcom Fortuny. Przede wszystkim do swoich dawniejszych godności i tytułów może teraz dodać nowy, świetny tytuł: papież, aby wyrazić mu wdzięczność i uznanie za to, co Manuel uzyskał dla niego w Amiens, nadał mu tytuł Principe di Bassano; w dodatku dokument nominacyjny doręczył mu szwagier, infant don Luis Maria, prymas Hiszpanii, ten sam, który kiedyś ignorował go, udając, że go nie widzi. Po drugie, dostarczył doni Marii Luizie nowego dowodu, że jest mężem stanu, który szczęśliwą ręką kieruje losami domu królewskiego, prowadząc go wbrew wszystkim przeciwnościom i niebezpieczeństwom do coraz to nowych zwycięstw. Po trzecie, uzyskał to, że infantka Izabela, najulubieńsza córka jego i królowej, również zostanie królową, władczynią uwolnionego od obcych intruzów Neapolu. Co więcej —



i z tego don Manuel może najbardziej był dumny — jego przedstawiciele położyli na pierwszym miejscu swe podpisy pod traktatem pokoju. Tak, imię jego ozdobiły dziś nowe laury; gdyż on to, a nie ów pychę nadęty generał Bonaparte, obdarzył Europę pokojem. Imię Jego, Księcia Pokoju, sławione będzie teraz i wielbione we wszystkich krajach Hiszpanii, zaraz po imieniu Najświętszej Dziewicy.

Ze szczerą radością oczekiwał powrotu Miguela, który tak skutecznie przyczynił się do sukcesów w Amiens. Przygotował dla niego szereg niespodzianek: własnoręczne pismo dziękczynne Katolickiego Króla, nowe tytuły i godności, nadto okazały dar pieniężny. Niestety, radosny ten nastrój uległ zamięnieniu przy pierwszym zaraz spotkaniu z don Miguelem. Miguel skierował rozmowę na groźne położenie Goyi.

Przez twarz Manuela przebiegł cień. Zaprzątnięty swymi nowymi sukcesami, nie znalazł czasu, by troszczyć się o Goyę. Doszły go wprawdzie słuchy, że Reynoso marszczy brwi z powodu Caprichos. Ale czyż nie przewidywano tego z góry? Zresztą od zmarszczenia brwi do autofa jest jeszcze bardzo daleko. Nie, Miguel zbyt czarno na to patrzy. Wielki Inkwizytor poprzestanie zapewne na wypowiedzeniu kilku pogroźek. I lekceważącym ruchem ręki infant usiłował rozwiązać troski don Miguela.

Ale Miguel nie dawał się tym uspokoić. Nie ulega wątpliwości — oświadczył — że Wielki Inkwizytor zamierza rozdmuchać sprawę Goyi do rozmiarów sprawy Jovellanos. Trzeba natychmiast przeciwdziałać, inaczej Francisco może w najbliższych dniach znaleźć się w więzieniu Świętego Trybunału. A wydostać go stamtąd będzie rzeczą bardzo trudną, lepiej natychmiast podjąć stanowcze i energiczne kroki.

Infantowi wielce przykrą była myśl, że w tych dniach powszechnej radości ma popaść w zatarg z Santa Casa; rozumiał jednak, że coś musi przedsięwziąć.

— Masz słuszność — powiedział — trzeba przyjść z pomocą naszemu kochanemu Franciscowi. Zrobimy to. Podwójne zaślubiny w rodzinie królewskiej odbędą się z nie widzianą dotąd świetnością i przepychem. Cała Barcelona ma być zamieniona w jeden plac uroczystości i zabaw. Wiesz, kogo polecę parze królewskiej jako naczelnego inspektora wszystkich uroczystości weselnych? Właśnie Francisca Goyę. Czyż Filip I przy podobnej okazji nie zaszczycił takimże zleceniem Velazqueza?

Manuel ożywił się coraz bardziej.

— Przyznaj, że wybrałem najlepszą drogę. Pokażemy w ten sposób wszystkim, jak wielką łaską cieszy się Francisco u ich katolickich królewskich mości. Jutro z rana pomówię o tym z donią Marią Luizą. A potem przekonamy się, czy Reynoso odważy się jeszcze molestować naszego Goyę.

Miguel w pochlebnych słowach pochwalił szczęśliwą myśl infanta. Wyraził jednak obawę, że najwyższe nawet odznaczenie nie zdoła pohamować fanatycznej nienawiści Wielkiego Inkwizytora. Trzeba tu zastosować takie środki, które pozostawałyby w bezpośrednim związku z Caprichos. Należałoby same Caprichos otoczyć jakimś nieprzebytym murem ochronnym.

Chociaż twarz Manuela wykrzywił lekki grymas niezadowolenia, Miguel nie dał się tym nastraszyć.

— Czy nie byłoby dobrze — zapytał — gdyby nasz przyjaciel Francisco wręczył ich królewskim mościom jakiś dar z okazji podwójnej uroczystości weselnej? Darem tym mogłyby być płyty Caprichos. W ten sposób królewskie drukarnie artystyczne zyskałyby prawo odbijania i wydawania Caprichos.

Manuel był zaskoczony i nie od razu znalazł odpowiedź. Egzemplarz Caprichos, który Goya przesłał mu wraz ze swą dedykacją, przejrzał przelotnie. Powstał w nim wprawdzie wówczas cień podejrzenia, że zuchwały malarz tu i ówdzie śmiał i jego obrać sobie za cel swych szyderstw, zanim jednak niejasne to poczucie zdołało się w nim skryształizować, rozplynęło się w radosnym nastroju powodzeń i triumfów. Na widok karykatury doni Marii Luizy uśmiechnął się tylko, nie zastanawiając się nad nią bliżej. Całość dzieła uczyniła na nim wrażenie artystycznego żartu, wprawdzie bardzo śmiałego, ale w gruncie rzeczy nieszkodliwego.

Kiedy usłyszał śmiały projekt Miguela, obudziło się w nim znowu owo podejrzenie; nie był też wolny od obawy, że Maria Luiza zapoznawszy się z treścią podarowanych rysunków wpadnie w złość. O tej obawie wszakże z powodów, których sam sobie dobrze nie uświadamiał, milczał na razie. Zapytał po krótkiej chwili:

— Jak sobie to wyobrażasz? Caprichos są już wydane, ukazały się w handlu; straciły, rzecz można, swoje dziewictwo. Czy w tym stanie rzeczy nadają się na podarunek dla króla i królowej? I czy te płyty mają w ogóle jeszcze jakąś wartość, skoro gotowe sztuchy znajdują się już na rynku księgarskim? Donia Maria Luiza to biegły rachmistrz. Czy tak marny prezent nie wyda jej się wręcz obraźliwy?

Don Miguel przygotowany był na ten zarzut.

— Senior Fragolo — odparł — z obawy przed inkwizycją już po kilku dniach wstrzymał sprzedaż Caprichos. Wedle moich informacji nie sprzedano jeszcze nawet dwustu egzemplarzy. Z płyt da się odbić 5 000 do 6 000 egzemplarzy. Zainteresowanie jest ogromne, można zażądać po jednej uncji złota za egzemplarz. Jak pan widzi, don Manuel, dar, który senior de Goya zamierza ofiarować królowi i królowej, godny jest tej wielkiej okazji.

Manuel rachował po cichu: 1 500 000 realów! Gwizdnął przez zęby.

— Królowa zdziwi się raczej — mówił Miguel z uśmiechem — dlaczego Goya składa jej tak niezwykle kosztowny prezent, i domyśli się zapewne, że Francisco szuka u niej ochrony przed Świętym Officium. Ale przez to dar ten nabierze w jej oczach tym większej wartości; królowa z pewnością będzie rada, że może dać szcztka w nos Wielkiemu Inkwizytorowi.

— Twoje argumenty brzmią dość przekonująco — oświadczył infant. — Ale — wysunął wreszcie najistotniejszą swoją wątpliwość — jeśli mnie pamięć nie myli, zbiór ten zawiera pewne rysunki, które nie bardzo przypadną do gustu doni Marii Luizie. Królowa bywa czasem bardzo wrażliwa.

Miguel, który i na ten zarzut miał gotową odpowiedź, odparł bez wahania:

— Królowa pomyśli z pewnością, że nikt nie ośmieliłby się składać jej w darze tego dzieła, gdyby zawierało ono rysunki dotyczące jej osoby. A przy tym, jeśli królowa obejmie osobiście protektorat nad wydawnictwem, nikomu nie przyjdzie na myśl, że niektóre sztychy odnoszą się do niej.

Manuel uznał słuszność tego argumentu. Wielki mąż stanu unieszkodliwia paszkwil przez to, że sam go rozpowszechnia. Przecież i generał Bonaparte polecił wywiesić jakiś obelżywy dlań plakat na widocznym miejscu. A może zrobił to król pruski Fryderyk? W każdym razie don Manuel i donia Maria Luiza mogą śmiało naśladować ten przykład. Pomysł wydania Caprichos przez królewskie drukarnie artystyczne podobał się coraz bardziej.

— Pomówię z donią Marią Luizą o projekcie Goyi i jego darze — oświadczył.

— Dziękuję panu, infancie — odparł Miguel. Oznajmił Lucii wynik swej rozmowy z Manuelem. Wybrała się do Goyi.

Francisco był rozgoryczony na Miguela, że po tak długiej nieobecności

pojechał wprost do Eskurialu nie odwiedzwszy go przedtem. Oto, jacy są ci jego przyjaciele, ta hołota: gdy jest w nieszczęściu, kryją się przed nim.

Twarz mu się rozjaśniła, gdy zobaczył Lucię.

— Doszła mnie wiadomość — zaczęła — że inkwizycja nie bardzo jest zachwycona pańskimi Caprichos. Czy panu wiadomo coś o tym?

Goya walczył z pokusą, aby jej wszystko opowiedzieć, ulżyć swej rozpaczy. Powstrzymał się jednak i odparł sucho:

— Tak.

— Dziwny z pana człowiek, don Francisco — rzekła Lucia. — Dlaczego nie zwrócił się pan od razu do nas? Przecież otrzymał pan przyrzeczenia.

— Przyrzeczenia! — powiedział Goya i wzruszył ramionami. Lucia mówiła dalej:

— Dwór postanowił, że podwójne zaślubiny infantów odbędą się w Barcelonie. Pan, don Francisco, dostanie wkrótce zaproszenie do Eskurialu, gdzie na uroczystej audiencji polecą panu opracować projekt uroczystości i powierzą nadzór nad nimi. Tak jak swego czasu Velazquezowi.

Goya zamyślił się chwilę.

— Czy to wystarczy? — zapytał rzeczowo. — Zresztą do urządzania podobnych uroczystości czuję równą niechęć jak do malowania świętych obrazów.

Lucia jednak mówiła dalej:

— Z okazji tego podwójnego wesela winien by pan wręczyć jakiś dar rodzinie królewskiej. Przyjaciele pana uważają, że na ten cel nadawałyby się dobrze płyty Caprichos.

Goyi wydało się, że niezupełnie dobrze zrozumiał słowa Lucii.

— Proszę mi to napisać, donio Lucio — poprosił. Uczyniła to. Kiedy tak siedziała, pisząc gorliwie, z koniuszkiem języka wysuniętym z kącika ust, wydała mu się znów sprzedawczynią migdałów z Prado.

Goya przeczytał.

— Czy nie strącą mnie tam w Eskurialu ze wszystkich schodów? — spytał. — A to bardzo strome schody.

— Przyjaciele pana — odparła Lucia — obliczyli, że Caprichos wydane przez królewskie drukarnie artystyczne przyniosą półtora miliona realów dochodu. Przyjaciele pana starają się zwrócić na to uwagę dworu.

Im głębiej Goya zastanawiał się nad tym projektem, tym większe odczuwał zadowolenie.

— Czy to był pani pomysł, Lucio? — spytał.

Nie odpowiedziała.

— Ale jeden z tych sztychów powinien pan stanowczo wyłączyć, zanim przedstawi pan Caprichos ich królewskim gościom: sztych *Hasta la muerte*.

— Tę staruchę szminkującą się przed lustrem? — spytał Goya.

— Tak — potwierdziła Lucia — starzejące się damy bywają czasem wrażliwe.

— Nie! — oświadczył głośno i z nagłym humorem Goya. — Ani jednego sztychu nie wyłączę z tego zbioru. Starucha musi w nim pozostać. Do samej śmierci! „Mężczyźnie, któremu brak odwagi, nie pomoże śrut ani proch” — przytoczył stare przysłowie.

Lucia była ubawiona.

— Dużo pan ryzykuje! — rzekła. — Ale pan sam chyba wie najlepiej, ile warta jest ta zabawa.

Goya udając, że nie rozumie, odpowiedział:

— Ma pani słuszność. Prosty malarz nie może ofiarować tak kosztownego подарunku Katolickiemu Królowi.

Rozważał coś przez chwilę. Twarz jego rozjaśnił błysk nowej myśli.

— Pani jest tak zręczna, donio Lucio — powiedział wreszcie — a don Miguel to dyplomata. Pragnę już od dłuższego czasu wysłać mego Javiera na studia za granicę, do Italii i do Francji. Czy nie dałoby się jakoś zrobić, aby król wziął na siebie przynajmniej koszty tej podróży?

Goya spojrział na Lucię; śmiała się. Nieczęsto się jej to zdarzało.

— Wcale niezły pomysł — rzekła. — Jeśli dwór będzie się wahał przyjąć od pana tak kosztowny podarunek, można będzie podsunąć królowi myśl, aby wyznaczył pańskiemu utalentowanemu synowi odpowiednie stypendium na podróż za granicę. Dlaczegożby don Carlos, który jest protektorem sztuk pięknych i otacza opieką ojca, nie miał okazać swych względów i synowi?

Sprzedawczyni owoców z Prado i chłopski syn z Aragonii spojrzeli sobie w oczy i parsknęli śmiechem.

Don Carlos i donia Maria Luiza zasiedli na podwyższeniu w fotelach tronowych. Za ich plecami stanęli w półkołu infant Manuel, hrabina Castillofiel i wiele innych dam i panów. U stóp pary królewskiej, wsparty jednym kolaniem o stopień tronu, klęczał pierwszy malarz króla, Francisco de Goya, wręczając królestwu swój dar: tekę zawierającą Caprichos.

Klęcząc uświadamiał sobie w pełni niesamowity kawał, który się tu rozgrywał. Był to niewątpliwie najdziwszy z dzikich kawałów, w jakie obfitowało jego życie. Capricho, który swym ponurym komizmem przewyższa wszystkie Caprichos, zawarte w tej tece. Oto ów dumny, wyniosły, pełen powagi i przepychu Eskurial, oto ten jowialny bęczał z koroną monarszą na głowie, a obok niego ta pożądliva i dumna królowa, oto on sam, wręczający im na klęczkach swoje bezczelne karykatury, uroczyście osły, do małych podobne prostytutki, zgrzybiałą staruchę i upiory. I za te twory swawolnej fantazji ich katolickie królewskie mości wyrażą mu za chwilę najlaskawsze podziękowanie, zapewnią mu swą opiekę i ochronę przed atakami Świętego Officium i przyrzekną ujawnić przed światem te szydercze rysunki. A wszystko to odbywa się nad sarkofagami dawnych władców świata, założycieli Świętej Inkwizycji i pomnożycieli jej potęgi! W wyobraźni Goya zobaczył nowe Capricho: szkielety zmarłych królów podnoszą w górę ciężkie wieka swych srebrnych trumien, by położyć kres świętokradczemu widowisku.

Ich królewskie mości zaczęły oglądać Caprichos.

Król i królowa brali do rąk arkusz po arkuszu, podawali sobie kolejno sztychy, przyglądali się im z bliska, długo. Zadowolona, ironiczna pewność Goyi topniała z każdą chwilą. W jej miejsce wkradła się troska i obawa. Jak też zachowa się królowa, gdy weźmie do ręki arkusz *Hasta la muerte*? Czy wbrew wszystkim przewidywaniom nie straci panowania nad sobą i nie rzuci mu tego daru pod nogi, pozostawiając go bezbronny na pastwę inkwizycji?

Manuel i Pepa patrzyli z podnieceniem i ciekawością na donię Marię Luizę. Jest z pewnością na tyle inteligentna, by pewne sztychy należycie zrozumieć, czy okaże się jednak dość inteligentna, aby niektórych rzeczy nie widzieć?

Pierwszy odezwał się don Carlos. Bardzo zabawne wydały mu się te Caprichos. Szczególnie podobała mu się seria sztychów z osłami.

—Zdaje mi się, że poznaję tu kilku z moich grandów — rzekł ubawiony. — Niejednemu z tych osłów miałbym ochotę powiedzieć: *Ćubrios*. I jak prostymi środkami potrafił pan to zrobić, drogi don Francisco! Właściwie nie trudno jest rysować karykatury. Kto ma długi nos, temu robi się jeszcze dłuższy, kto ma cienkie łydki, temu robi się jeszcze cieńsze, i dzieło sztuki gotowe. Muszę sam kiedyś tego kunsztu spróbować.

Donia Maria Luiza żyła od kilku tygodni w radosnym podnieceniu. Spełniły się jej gorące życzenia. Utrzymała swój stan posiadania wobec drapieźnych uroszczeń tego prostackiego francuskiego generała; zapewniła trony swoim dzieciom. Królestwa Neapolu, Portugalii i Etrurii, księstwo Parmy zostały we władaniu jej dynastii; okręty jej płyną znowu po siedmiu morzach i złożą u jej stóp skarby z wszystkich części świata.

W tym nastroju oglądała *Caprichos*. Jakież szydercze, niegodziwe oko ma ten malarz Goya! Jak bezlitośnie obnaża prawdziwe postaci współczesnych mężczyzn, jak umie spojrzeć w głąb ich gwałtownych, a przecież tak pustych serc! Jak doskonale zna kobiety! Widać, że kocha je i nienawidzi równocześnie, że pogardza nimi i podziwia je zarazem, jak prawdziwy mężczyzna. Gdy się jest kobietą, trzeba walczyć tak, jak ten Francisco tu pokazał. Trzeba się stroić i zdobić, i uważać, by grzebień tkwił jak należy we włosach, a pończocha przylegała do nogi; trzeba dobrze rachować, by umieć skubnąć mężczyzn i nie dać się przez nich zbyt oskubać; trzeba się też strzec, aby nie narazić się na konflikt z tym obłudnikiem Wielkim Inkwizytorem, bo taki potrafi nawet z tronu strącić.

Ta, która tu leci do nieba lub może do piekła, czy to przypadkiem nie Alba? Ależ tak, oczywiście, to ona! Widmo jej straszy tu na niejednym ze sztychów; wszędzie jest piękna i dumna, ale wszędzie jest czarownicą. Widocznie nieźle dopiekła swojemu kochankowi Franciscowi; pomimo swej urody nie wzbudza sympatii na żadnym z tych rysunków. Leży dziś w swoim mauzoleum w San Isidro, pogrzebana, zapomniana. Te *Caprichos* nie sprawią jej już ani radości, ani zmartwienia. Z hańbą i skandalem zeszła z tego świata ta jej piękna, wyniosła, zuchwała rywalka. Za to ona, Maria Luiza, jest pełna sił, ma zdrowy apetyt na życie i czeka ją jeszcze niejedna podróż doczesna, zanim przedsięwzięmie swą ostatnią jazdę do nieba czy do piekła.

Goya patrzył na ręce doni Marii Luizy wertujące jego rysunki, ręce pulchne i chciwe, które tak często malował. Patrzył na liczne pierścienie, które pokrywały jej palce, i spostrzegł między nimi

ulubiony pierścień Cayetany. jakżeż często oglądał ten pierścień, stary, osobliwy, świadczący o wybrednym smaku Alby, ileż razy go dotykał, malował, ile razy gniewał się na niego i ile razy się nim cieszył. Czuł rozgoryczenie widząc go teraz na palcu Marii Luizy. Dobrze zrobił uwieczniając w Caprichos odrażającą, rozwiązłą brzydotę tej królowej! Zasłużyła na to, już choćby za swoją nikczemność wobec Cayetany.

Królowa oglądała w milczeniu jeden arkusz po drugim; twarz jej była twarda, skupiona, opanowana. Goya poczuł znów nagły, gwałtowny lęk. Z przeraźliwą jasnością przeszła go myśl, że ten jego „podarunek” jest niesłychanym zuchwalstwem. Jak mógł być takim głupcem i wbrew przestrodze Lucii nie wyłączyć z teki sztychu *Hasta la muerte!* Królowa na pewno rozpozna w nim siebie. Pozna też niewątpliwie Cayetanę. I zrozumie, że Goya kontynuuje na tych kartach walkę zmarłej, znenawidzonej Alby z jej królewską przeciwniczką.

Teraz właśnie bierze ten sztych do ręki. Podstarzała, wystrojona królowa patrzy na strojącą się przed lustrem wysuszoną staruchę.

Maria Luiza nie była chuda, przeciwnie, kształty miała dość obfite, była też co najmniej o połowę młodsza od tej sędziwej matrony. Nie chciała zrazu wierzyć, a przecież od pierwszej chwili nie miała wątpliwości: ta karykaturalna, małpio śmieszna starucha, przedstawiona na sztychu, to ona sama. Przez chwilę zaparło jej oddech; to najczelniejsza zniewaga, jakiej doznała w swym życiu, które nie szczędziło jej upokorzeń. Patrzyła bezmyślnie na numer porządkowy arkusza: pięćdziesiąt pięć. Cincuenta cinco, powtarzała w duchu kilka razy, machinalnie, cinquante cinq. A tuż przed nią, oko w oko, stoi ten człowiek z pospólstwa, z motłochu, ten śmieć, ten gnój, to zero, które ona własnymi rękami wyniosła na szczyt i uczyniła pierwszym malarzem! Stoi tu i w obecności jej małżonka, Katolickiego Króla, w obecności jej przyjaciół i wrogów podsuwa jej pod nos ten haniebny, obelżywy rysunek, ku uciesze Manuela, Pepy i całego otoczenia. Czy najdumniejsza w świecie monarchini już nie ma władzy tylko dlatego, że liczy ponad czterdzieści lat i nie jest piękna?

Machinalnie, aby nie stracić panowania nad sobą, czyta i powtarza sobie tytuł i numer sztychu: *Hasta la muerte, cincuenta cinco, cinquante cinq*. Przed oczyma jej przesunął się długi szereg jej portretów, które malował tenże Goya. Na żadnym z tych portretów nie zataił jej brzydoty, ale pokazał w nich też jej potęgę i godność.



Jeżeli słusznie można ją porównać z drapieżnym ptakiem, to ptak ten, choć szpetny, ma bystry wzrok i ostre szpony; ptak, który wzlatuje wysoko, by szybko upatrzeć swą zdobycz i spaść na nią jak strzała. Ale tu, na tym sztychu numer 55, człowiek ten pominął jej zalety, uwydatnił tylko jej brzydotę, zataił jej moc i dumę.

Przez ułamek sekundy czuła szaloną ochotę, by zniweczyć, unicestwić tego zuchwalca. Nie potrzebowała nawet ręką skinąć. Wystarczyło pod jakimkolwiek pozorem odmówić przyjęcia tego „podarunku”; resztę załatwiłaby inkwizycja. Ale powstrzymała ją świadomość, że wszyscy, którzy ją otaczają, z napiętą ciekawością czekają, jak postąpi. I zrozumiała: jeśli nie chce okryć się śmiesznością na całe lata, musi zignorować to zuchwalstwo spokojnie, z zimną, pełną wyższości ironią.

Patrzyła jeszcze przez chwilę w milczeniu. Manuel i Pepa czekali z wzrastającą obawą. Czy nie posunięto się jednak zbyt daleko? Goyę załapała nowa fala gwałtownej, zapierającej oddech trwogi.

Wreszcie Maria Luiza otworzyła usta. Ze spokojnym, przyjaznym uśmiechem, który odsłonił jej diamentowe zęby, tonem żartobliwej pogroźki rzekła do Goyi:

— Ta rozwiązała staruszka przed lustrem... Mój drogi Francisco, czy nie był pan trochę zbyt zjadliwy wobec matki naszej zacnej Osuny?

Wszyscy troje — Goya, Manuel i Pepa — nie mieli cienia wątpliwości: królowa zrozumiała, że sztych *Hasta la muerte* odnosi się do niej samej. Mimo to zachowała spokój, nie drgnęła nawet. Nie można jej było nic zarzucić.

Maria Luiza raz jeszcze szybko, przelotnie przewertowała wszystkie *Caprichos*, po czym włożyła je na powrót do teki.

— Dobrze rysunki — oświadczyła — zuchwale, dziwaczne, ale dobre. Może niektórzy z naszych grandów nie bardzo będą nimi zachwyceni. Ale u nas w Parmie istnieje mądre przysłowie: „Tylko głupiec gniewa się na zwierciadło, które odbija jego obraz.”

Odwróciła się, wstąpiła na stopnie podium i zasiadła znów w swoim fotelu tronowym.

— Nasza Hiszpania — rzekła z godnością, lecz bez patosu — to kraj stary, ale na przekór niektórym sąsiadom, bardzo jeszcze żywotny. Potrafi znieść niejedną prawdę, szczególnie, jeśli mu ją ktoś ukazuje w artystycznej i dowcipnej formie. Wydaje mi się jednakże, don Francisco, że powinien pan na przyszłość być ostrożniejszy. Nie wszyscy i nie zawsze powodują się rozsądkiem

i może nadejść taki dzień, senior, kiedy ujrzy się pan zależny od głupców.

Wskazała palcem, na którym błyszczał pierścień Cayetany, na *Caprichos*, chcąc zaznaczyć, że bierze je w posiadanie.

— Przyjmujemy pański dar, don Francisco — rzekła. — Postaramy się szeroko rozpowszechnić te rysunki, zarówno w granicach naszego państwa, jak i poza jego granicami.

Don Carlos zstąpił ze stopni tronu. Poklepał Francisca mocno po ramieniu i rzekł bardzo głośno i wyraźnie, jak do dziecka:

— Znakomite są pańskie karykatury. Ubawiły nas serdecznie. Muchas gracias!

Maria Luiza zaś mówiła dalej:

— Postanowiliśmy poza tym wyznaczyć pańskiemu synowi stypendium na trzy lata dla pokrycia kosztów podróży i studiów za granicą. Chciałam oznajmić to panu osobiście. Jaki on jest właściwie, ten pański syn, przystojny czy podobny do pana? Niechże go pan przyśle kiedyś do mnie, zanim wyjedzie za granicę. I niech pan nie zapomni spełnić jak należy swoją misję w Barcelonie. Z radością oczekujemy tych wielkich, uroczystych dni naszych dzieci i naszego państwa.

Ich królewskie mości opuściły salę. Goya, Manuel i Pepa byli uradowani, że wszystko skończyło się pomyślnie. Mieli jednakże uczucie, jak gdyby to nie oni królowej, lecz ona im spletała figla.

Maria Luiza udała się do swej ubieralni; poleciła przynieść tam tekę z *Caprichos*. Panie ze świty zaczęły przebierać królową. Ale gdy zdjęto z niej suknię galową, dała znak, aby ją pozostawiono samą.

Gotownia królowej pochodziła ze spadku po Marii Antoninie; był to mebel cenny, kunsztowny, wykonany z wybrednym smakiem. Stały na niej rozmaite wyszukane graciki i cacka: przeróżne pudzderka, szkatułki, słoiki, flaszeczki, grzebienie, pomady, pudry i szminki najróżniejszych gatunków, perfumy: Franchipana, Sans-Pareille, pachnidła sułtańskie, ambra, olejek różany, rzadkie wody pachnące, destylowane przez lekarzy i mistrzów kosmetyki. Maria Luiza niecierpliwym ruchem ręki odsunęła to wszystko i rozłożyła *Caprichos*.

Ostre, zuchwałe, rewolucyjne rysunki Goyi znalazły się obok cennych, wykwintnych cacek na kosztownym meblu Marii Antoniny, która zginęła na szafocie. Donia Maria Luiza usiadła, by raz jeszcze w ciszy i samotności obejrzeć wszystkie sztychy.

Naturalnie, że Francisco nie po to złożył jej w darze to dzieło, aby sprawić jej przykrość, lecz by ratować się przed Wielkim Inkwizytorem. Tak więc Reynoso dopomógł jej do dobrego interesu. Caprichos są zuchwałe i zabawne, znajdują na pewno licznych odbiorców. Manuel wyliczył, że można wydobyć z nich okrągły milion. Zasłużona kara dla tego malarza, że nie on, lecz ona, Maria Luiza, zgarnie to milionowe żniwo.

Spojrzała na ostatni arkusz, na umykających w popłochu upiornych mnichów i grandów. Przeczytała tytuł: *Ya es hora*, nadeszła godzina. Nagłym, gorącym dreszczem przeszył ją zuchwały, buntowniczy sens tego rysunku. *Ya es hora*. Czy naprawdę mu się tak wydaje? Jeśli tak, to myli się ten z nizin społecznych pochodzący pierwszy malarz króla. O nie, nie wybiła jeszcze godzina. I nie rychło wybije. Ona, Maria Luiza, nie myśli wcale o tym, aby tak prędko ustąpić. I nie ustąpi do samej śmierci.

Wróciła znów do sztychu zatytułowanego *Hasta la muerte*. Podły, bezczelny rysunek. I cóż za pospolity dowcip, już miliony razy powtarzany — drwiny ze starzejącej się kobiety! Tak tanich żartów powinien unikać malarz tej miary.

Co prawda, chociaż pomysł niewybredny, przyznać trzeba, że rysunek jest bardzo dobry. Ta stara, wdzięcząca się przed lustrem — to nie moralizatorstwo ani tani dowcip; to trzeźwa, smutna, twarda, naga prawda.

Człowiek o tak przenikliwym spojrzeniu może być dla niejednego niebezpieczny. Ale królowa nie lęka się go. Choć psy szczekają, karawana posuwa się naprzód. Maria Luiza jest niemal zadowolona, że ten malarz żyje na świecie. Może mu śmiało pozwolić, by zajrzał w głąb jej duszy. I ona dobrze wie, co to demony. Dobrali się oboje z tym Goyą jak w korcu maku: królowa i malarz. Oboje są z jednego szczepu, szczepu zuchwalców.

Odsuwa tekę ze sztychami. Przygląda się sobie w lustrze. O, nie, nie jest jeszcze stara! I nie ma najmniejszego podobieństwa z tą sędziwą staruchą na rysunku Goyi. Jest szczęśliwa. Osiągnęła wszystko, co człowiek może osiągnąć w życiu.

I nagle wybucha płaczem, gorzkim, bezsilnym płaczem, łzy ciekną jej po twarzy, tłumiony szloch wstrząsa kurczowo całym jej ciałem.

Potem zrywa się gwałtownie, ociera chusteczką oczy, pudruje zaczerwieniony od płaczu nos. Siada spokojna, wyprostowana. Dzwoni. I gdy wbiegają damy z jej świty, jest znowu królową.

## XXXVI

Gdy Goya, znużony i obdarzony nowymi odznaczeniami, powrócił z Barcelony do domu, zastał swoje sprawy w Madrycie w stanie zadowolającym. Królewska drukarnia artystyczna wydała, korzystając ze wskazówek Agustina, Caprichos w wysokim nakładzie; drugie wydanie było w przygotowaniu. Teka Goyi była do nabycia we wszystkich większych miastach kraju. W samej stolicy leżała na składzie w siedmiu księgarniach i antykwariatach.

Francisco zachodził często do księgarni Durana, aby zasięgać informacji, co ludzie mówią o Caprichos. Piękna właścicielka księgarni, seniora Felipa Duran, rumieniła się z radości na jego widok i z ożywieniem z nim rozmawiała. Do księgarni przychodziło mnóstwo ludzi, wśród nich wielu cudzoziemców, aby obejrzeć Caprichos; teka Goyi, pomimo wysokiej ceny, znajdowała licznych nabywców. Goya zauważył, że donia Felipa po cichu dziwi się temu; sama nie zachwycała się tymi rysunkami.

— Ależ pan ma niesamowite pomysły, don Francisco — mówiła kręcąc głową i rzucając mu przy tym zalotne spojrzenie.

Goya odpowiadał jej dobrodusznym uśmiechem, odwzajemniając jej spojrzenie; podobała mu się.

Przeważna jednak część oglądających nie rozumiała sztychów. Goya tłumaczył to ogólnym upadkiem dobrego smaku, zepsutego klasycyzmem kolegi Davida. Nabywców było jednak wielu i każdy płacił chętnie za Caprichos 288 realów, ale tylko dlatego, że dokoła osoby Goyi i jego dzieła wytworzyła się atmosfera plotek i sensacji. W każdej postaci Caprichos doszukiwano się określonych osób, powtarzano też pogłoski o podziemnej walce Goyi z inkwizycją.

Co prawda, nie brak było i takich, szczególnie pośród ludzi młodszych, którzy widzieli w Caprichos coś więcej niż zbiór pikantnych i sensacyjnych karykatur; zrozumieli i podziwiali je jako nową, śmiałą, rewolucyjną sztukę. Także z Italii i z Francji nadchodziły listy pełne uznania i podziwu. Quintana oświadczył z triumfem, że ziściła się przepowiednia, którą wyraził w swej odzie, gdyż cała Europa rozbrzmiewa sławą Goyi.

Do quinty przychodziło coraz więcej osób, z prostej ciekawości i z podziwu dla sztuki Goyi. Goya przyjmował niewielu.

Pewnego dnia zjawił się nieoczekiwanie doktor Joaquin Peral. Tak, wypuszczono go na wolność. Ale przy tej sposobności oznajmiono mu, aby do dwóch tygodni wyniósł się z Hiszpanii

i aby na przyszłość noga jego nie postąpiła w krajach jego katolickiej królewskiej mości. Przyszedł do Goyi, aby go pożegnać i wyrazić mu swą wdzięczność; nie wątpi bowiem, że don Francisco przyczynił się do jego zwolnienia.

Goya ucieszył się, że Pepa oddała mu tę przysługę.

— Nietrudno było uzyskać to dla pana — rzekł. — Łupy już zostały podzielone i nikomu nie zależy na tym, aby pana trzymać dłużej pod kluczem.

Peral odpowiedział:

— Miałem szczerą chęć zostawić panu parę obrazów ze swojej kolekcji, niestety, wszystko, co posiadałem, uległo konfiskacie. Potem, ku zdumieniu Goyi, położył na stole 288 realów.

— Mam do pana prośbę, don Francisco — powiedział. — Odbitki Caprichos, sprzedawane w księgarniach, są nieco za blade. Byłbym panu zobowiązany, gdyby mi pan zechciał odstąpić jedną z wczesnych, świeżych odbitek.

Goya odpowiedział z lekkim uśmiechem:

— Powiem Agustinowi Esteve, aby panu wydał najlepszą odbitkę, jaką posiadamy.

Peral uśmiechnął się; twarz jego wydała się Goyi nagle dużo młodsza.

— Może mi się uda — rzekł — przesłać panu z zagranicy jakiś dowód mojej wdzięczności. Ponieważ doświadczyłem szeregu niemiłych niespodzianek jeszcze przed tą, która mnie ostatnio spotkała, chciałem zawczasu przygotować się na dalsze. Wyjeżdżam teraz do Petersburga; jeśli nie zawiodą mnie oczekiwania, znajdę tam kilka najcenniejszych obrazów z mojej galerii. Są między nimi wszystkie pańskie dzieła, jakie były w moim posiadaniu, wśród nich także i ów arkusz Caprichos, który nie został włączony do ostatecznego wydania.

Przysunął się blisko do Goyi, chociaż byli sami, i artykułując wyraźnie każde słowo, rzekł tajemniczym szeptem:

— Mam nadzieję, że znajdę tam też sławny, choć mało znany obraz Velazqueza: Wenus przed lustrem.

— Przezorny z pana człowiek, don Joaquinie — rzekł z uznaniem Francisco. — Z pieniędzy, które pan otrzyma za tego Velazqueza, będzie pan mógł z pewnością żyć bez trosk.

— Mam nadzieję — odparł Peral — że nie będę musiał sprzedać tego obrazu. Dam sobie radę na dworze carskim; mam tam przyjaciół, na których mogę liczyć, otrzymałem od nich bardzo

ponętne propozycje. Mimo to z żalem myślę o opuszczeniu Hiszpanii. No, i pana, don Francisco.

Odwiedziny Perala poruszyły Goyę. Widok lekarza obudził w jego duszy wspomnienia lat bardzo szczęśliwych i bardzo nieszczęśliwych. Z uczuciem głuchej pustki patrzył na tego człowieka, który również miał go opuścić, na tego wroga-przyjaciela, który o jego bolesnych i szczęśliwych przeżyciach z Cayetaną wiedział daleko więcej i daleko lepiej je rozumiał niż ktokolwiek inny.

Niedługo potem ukończono ostatecznie przygotowania do wyjazdu Javiera. Przewidziany był długi pobyt w Italii i we Francji; miała to być podróż poświęcona gruntownym studiom. Syn Goyi — takie było życzenie ojca — wybrał się w tę podróż jak wielki pan, w towarzystwie służącego i z licznymi bagażami.

Francisco stał wraz z Javierem obok kolasy podróżnej, w chwili gdy ładowano do niej ostatecznie kufry.

— Jestem dobrej myśli — mówił Javier. — Syn twój wróci jako artysta, z którego będziesz dumny. Tak, spodziewam się, że będę kiedyś malował tak jak ty, ojcze. Choć Caprichos — dodał z uznaniem — nikt inny na świecie nie potrafiłby narysować.

Otulił się w obszerny, modny, w fałdach spływający płaszcz, spięty pod szyją srebrną klamrą, którą dostał w darze od księżny Alba. Lekkim susem wskoczył do powozu. Po chwili jego uśmiechnięta twarz ukazała się w oknie. Wymachiwał na pożegnanie kapeluszem. Woźnica podniósł bat, konie ruszyły, koła potoczyły się po bruku. Goya został sam; teraz już i Javier go opuścił, zniknął z jego życia.

W oczach ojca pozostał ostatni jego obraz: młoda, urodziwa, roześmiana twarz, nie zmacona brzemieniem myśli, powiewający kapelusz i łopocący na wietrze obszerny płaszcz, spięty pod szyją klamrą Cayetany.

## XXXVII

Goya przebywał dalej w *quinta del sordo*, sam z Agustinem, ze swymi obrazami i wizjami.

Latami nie był stary, ale dusza jego zmęczona była wiedzą życia i wewnętrznymi widziadłami. Ujarzmił wprawdzie upiory i zmusił je, by mu służyły, ale od czasu do czasu odczuwał jeszcze ich

buntownicze zrywy. Doświadczył tego dopiero niedawno, kiedy przed sędzią inkwizycji chwycił go za gardło ów niesamowity lęk. Ale demony, chociaż tu i ówdzie jeszcze wyrządzały psoty, nie zatruwały mu już teraz życia. Właśnie ów lęk, którego doznał przed sędzią, był dowodem, jak bardzo jeszcze przywiązany jest do życia.

Myślał o pięknej właścicielce księgarni, doni Felipie. Okazywała mu wyraźnie sympatię, pomimo, że był głuchy i niemłody. Gorliwie zachwalała klientom Caprichos, nie z przekonania o artystycznej wartości sztychów, lecz w tym celu, by mu się przysłużyć. „Jakież pan ma niesamowite pomysły, don Francisco!” Zjawiała mu się często w snach. Postanowił w najbliższym czasie namalować jej portret; potem pokaże się, co z tego wyniknie.

Wcisnął na głowę duży kapelusz, wziął laskę do ręki. Wyszedł do ogrodu. Wolnym krokiem wszedł na szczyt małego pagórka, który wznosił się za domem. Kazał tam kiedyś postawić drewnianą ławkę bez oparcia. Usiadł na niej, wyprostowany jak struna, tak jak przystało synowi Aragonii.

Przed oczyma jego roztaczała się rozległa równina, srebrzysta w promieniach porannego słońca. Migoczącą, połyskującą płaszczyznę stepu wieńczyły na widnokregu śnieżne wierzchołki dalekich gór Guadarrama. Widok ten budził często radość w jego sercu; dziś wcale nie zwrócił na niego uwagi.

Rysował bezwiednie laską linie w piasku; z gmatwaniny kresek poczęły wynurzać się postacie i twarze. Spojrzał zdziwiony: narysował twarz podobną do zmarłego przyjaciela, nosacza Martina.

Coraz częściej nawiedzały go wizje zmarłych. Miał teraz więcej zmarłych przyjaciół niż żywych. „Zmarli otwierają żywym oczy.” I jego oczy otwierały się coraz szerzej.

Coraz głębsze było jego poznanie. Wiedział, że choć nieraz jeszcze będzie życiui złorzeczył, było ono jednak warte zachodu. Pomimo wszystko. I będzie jeszcze warte zachodu!

*Ya es hora.* Może długo jeszcze przyjdzie czekać, zanim będzie mógł wydać ten okrzyk. Ale choćby ta godzina nigdy nie miała wybić, czekać będzie na nią i wierzyć w nią aż do ostatniego tchu.

Spoglądał nieruchomym wzrokiem na step i dalekie góry. Wysoki jest szczyt, na którym dzisiaj stoi. Ale dopiero gdy znalazł się na tej wyżynie, zobaczył z trwogą, o ile wyższe jest następne wzniesienie i jak niebotycznie wysokie jest ostatnie. Plus ultra! Łatwo to powiedzieć! Droga staje się coraz trudniejsza, bardziej stroma i kamienista, a rzadkie, mroźne powietrze zapiera dech w piersi.

Począł znów rysować na piasku dla zabawy. Tym razem powstał twór, który już nieraz przychodził mu na myśl. Była to sylwetka siedzącego olbrzyma, leniwie wypoczywającego, z jakąś marzycielską zadumą na twarzy, a nad głową jego wąski, śmieszny sierp księżyca.

Raptownym ruchem wyprostował się. Przestał rysować. Twarz jego stężała, zeszytniała od wysiłku. Jakaś nowa wizja zamajaczyła mu przed oczyma. Ujarzmić, opanować tę wizję, przelać ją na płótno lub papier — to będzie wymagało nowego, olbrzymiego wysiłku. Trzeba będzie wspiąć się na dziką, niedostępną, lodowato mroźną wyżynę. Trzeba będzie znaleźć nie widziane jeszcze odcienie barw, aby to, czego nikt nigdy nie widział, stało się dla wszystkich widoczne. Będzie to jakaś niesamowita, nie spotykana dotąd kombinacja czerni, bieli i brązu, jakiś brudny ton szarozielony, wypłowiały, ponury a podniecający.

„Czy to jeszcze jest malarstwo?” — będą pytać.

Tak, to jest malarstwo; jego malarstwo. Jeżeli uda mu się namalować Caprichos, będzie to jedynie słuszne malarstwo. A przy namalowanych Caprichos tamte odbitki z płyt wyglądać będą jak niewinna dziecięca zabawa.

„Jakież pan ma niesamowite pomysły, don Francisco!” I poważny starszy pan, w poważnym bolivarze, uśmiechnął się szeroko, złośliwie.

Nagłym ruchem wstał z ławki. Skierował się ku domowi. Wszedł do swej sypialni. Zdjął długi popielaty surdut, przeciągnął się swobodnie. Włożył kitel roboczy, którego już od dłuższego czasu nie miał na sobie. Uśmiechnął się do siebie: Josefa miałaby pociechę.

W kitlu roboczym zeszedł na dół, do jadalni. Usiadł pośród nagich ścian.

Nie na płótnie odtworzy tę swoją nową wizję. Tego nie można będzie oprawić w ramy ani przenosić z miejsca na miejsce. Jest to część jego świata i pozostanie nią. Tego nie namaluje na płótnie, to musi na zawsze pozostać na ścianach jego domu.

Wpatrywał się w nagą płaszczyznę ściany, zamykał oczy, otwierał je i znowu patrzył w ścianę surowym, twardym, nie widzącym spojrzeniem. Czuł we krwi pulsowanie jakiejś nowej, potężnej mocy, groźnej i radosnej.

Jego nowy olbrzym, oto temat odpowiedni dla tej ściany. Ale to nie ten olbrzym, którego tak często dotąd widywał i wyśmiewał, którego sylwetkę kreślił dawniej na piasku. I ten nowy olbrzym



będzie sztywny i tępy jak pień, ale będzie to olbrzym zachłanny i groźny, może ten, który pożarł towarzyszy Odyseusza, a może Saturn, czy jak się tam nazywa ów demon czasu, pożerający własne dzieci.

Tak, właśnie taki olbrzym-ludożerca dobrze będzie wyglądał na ścianie tej jadalni. Dawniej, kiedy Francisco spotykał czasem upiora południa, El Yantar, bał się go i schodził mu z drogi, chociaż był to demon przyjaźnie uśmiechnięty i łagodnego usposobienia. Teraz nie bał się już nawet straszego El Jayana, tej głupiej i krwiożerczej bestii. Przeciwnie, chciał raczej oswoić się z nim, chciał go mieć stale przed oczyma, tego ogro/1, tego coloso, tego giganta, olbrzyma, który wszystko pożera, połyka, żuje i miażdży, który pochłonie w końcu jego samego. Wszystko, co żyje na tym świecie, żre, a potem jest pożerane. Takie jest prawo życia i on, Francisco, chce o tym pamiętać, dopóki jeszcze dane mu jest należeć do tych, którzy pożerają.

Dobrze będzie, jeśli i tych paru przyjaciół, których zaprasza czasem do swego stołu, będzie mogło mieć ten obraz przed oczami. Każdy, kto spojrzy na tego olbrzyma, niechaj sobie z tym większą radością uświadomi, że jest jeszcze przy życiu. Ich wszystkich pożre kiedyś ogro, wszystkich, i Miguela, i Lucię, i Agustina, i donię Felipę, piękną księżarkę. Ale tymczasem on, Francisco, jeszcze żyje i żre. I cieszy się swą siłą, i czuje tysiąckrotną przewagę nad tym dzikim olbrzymem na ścianie. Przejrzał tego potwora; był to olbrzym wszechmocny i bezwładny, niebezpieczny, dziki i żałośnie śmieszny. I dopóki siedzi i żre przy stole, będzie mu wymyślać, drwić i szydzić z jego podstępnej, drapieżnej, zdradzieckiej mocy. A nawet i po śmierci jeszcze wyśmiejże głupiego ogro tym obrazem na ścianie.

Ale to na razie pomysł, wizja, cień obrazu, ten jego coloso, ten gigante, zielono-brązowy, czarno-szary, a przecież pełen migotliwego blasku, z drobną figurką ludzką w potwornej paszczy. Ale ta wizja, ten cień przyoblecze się w kształty i ożyje. Francisco Goya wywlecze swego olbrzyma z ciemnej otchłani na światło dzienne, ale nie będzie to światło dnia, tylko blady półcień. Tak, ten olbrzym koniecznie musi znaleźć się tu na tej ścianie!

Goya wstał. Przyszło mu na myśl: „Zmarli do grobu, żywi do stołu!" Usiadł przy stole. Szczęściem, ma jeszcze wszystkie zęby i doskonały apetyt.

1/ Ogro — ludożerca.

< 539 )

Wszedł Agustin. Ujrzał przyjaciela w roboczym kitlu. Zdziwił się.  
Goya z jakimś przebiegłym uśmiechem i dziką radością oświadczył:  
— Tak, teraz będę znowu malował. Namaluję coś nowego. Nie mogę patrzeć dłużej na te gołe ściany. Namaluję sobie coś na ścianie. Coś soczystego, zaostřejącego apetyt. Jutro zabieram się do malowania.

KONIEC

## POSŁOWIE

Otoczona legendą, osnuta bajeczną aurą postać Goyi (1746—1828) rychło zawładnęła wyobraźnią pisarzy romantycznych w pierwszej połowie XIX w. Goya awanturnik, toreador, uwodziciel, zbójca i zawadiaka przemienia się na kartach tych biografii w coraz to inne postacie, oddalając się coraz bardziej od Goyi historycznego. Ów romansowy bohater miał też przejawiać dążenia „rewolucyjno-nihilistyczne”, w ujęciu właściwym epoce romantyzmu. W interpretacji romantyków wielką rolę w życiu Goyi odgrywały kobiety, największą zaś — księżna Alba.

Stosunki jednak przyjazne i miłosne Goyi z Cayetaną Alba należą w rzeczywistości do najbardziej spornych, niejasnych i wątpliwych faktów w życiu artysty. Jedynie portrety, rysunki i ryciny mówią nam o związkach malarza, z grandesą, poza tym odnosi się do niej jedna zaledwie wzmianka w liście Goyi do Zapatera, nie uprawniająca również do zbyt daleko idących wniosków. Portrety świadczą, co prawda, o bliskich, czasem może nawet o bardziej niż zażyłych stosunkach malarza z możną klientką: na jednym z obrazów donia Cayetana nosi dwa pierścienie, opatrzone napisami: „Alba”, „Goya”.

Ta romantyczna sylwetka artysty rychło jednak ustąpiła innej; w drugiej połowie XIX wieku zaczęto patrzeć na Goyę innymi oczami. Trzeźwa pozytywistyczna krytyka odłożyła do lamusa legend to wszystko, co w Goyi wydawało się jej sprzeczne ze źródłowo poświadczonymi faktami. Uznano go za lojalnego malarza nadwornego, za wiernego swym władcom portrecistę Burbonów, a w dziełach o treści rewolucyjnej lub krytycznej starano się widzieć głównie plody dzikiej i bujnej wyobraźni artysty.

Zaznaczyć należy, że w świetle analizy historycznych źródeł ten drugi obraz okazał się równie fałszywy jak pierwszy, przedstawiony przez romantyków. A raczej, że jeden i drugi mają wiele cech prawdziwych, wiele barw, którymi istotnie mieniło się życie wielkiego Hiszpana. Goya nie był ani operowym zbójcą w stylu wschodnich powieści romantycznych poetów, ani układnym portrecistą burbońskiego dworu. Nie przeszedłby wówczas do historii sztuki jako pierwszy artysta nowej epoki. Twórczość jego przypada na czas przełomowy w społecznej ewolucji Europy, na tragiczny i brzemienny w skutki okres dziejów hiszpańskiego narodu. W ciągu krótkiego czasu kraj ten z głębokich mroków feudalnej nocy przedarł się do brzegu jasności, na moment zobaczył zorzę „boskiej wolności” — jak nazwał ją Goya na jednej z rycin /1 — po to, by ciemne siły zepchnęły go znów w mrok bezwładności i apatii.

1/ Z cyklu graficznego Okropności wojny (zob. niżej).

Bujne, pełne dynamiki życie i twórczość Goyi były niewątpliwie między innymi przyczyną tak rozbieżnych interpretacji artysty, jakie powstały w XIX stuleciu. Goya był długo dworakiem, dbał o swój urząd malarza królewskiego, o godność rektora Akademii, od pewnej jednak chwili jak gdyby przejrzał — oczy otworzyły mu się na prawdziwy obraz Hiszpanii, zaczął głosić częstokroć w swych dziełach, szczególnie graficznych, odważne i postępowe idee; występował z krytyką absolutyzmu, kleru, niesprawiedliwości. Malownicze, błahe, radosne tematy, występujące w kompozycjach, którymi przyozdabiał tkaniny produkowane przez królewską manufakturę, ustępują miejsca motywom ponurym i wziętym z życia: trybunał inkwizycji, biczownicy, więzienie. Kaprysy stanowiły groźny oręż wymierzony przeciwko ciemnocie, złej woli, uciskowi feudalnemu, przeciwko wszystkiemu, co zagradzało ludowi hiszpańskiemu drogę ku jasnej przyszłości i postępowi społecznemu.

Coraz bardziej wszechstronnie patrzą badacze historii sztuki na postać Goyi, coraz więcej o nim wiemy, coraz wyraźniej rysuje się nam mnogość zjawisk, które kształtowały jego myśl, coraz dokładniej widzimy, co Goya brał od otaczającego świata, oraz to wszystko, co temu światu dawał. Ale zasadnicze sprzeczności, które znalazły swój wyraz w dwóch biegunowo różnych interpretacjach wieku XIX, istnieją w nim samym. Zasadnicza wielość Goyi nie da się zneutralizować. Dzieła jego są znakiem wielkiego konfliktu czasów; są tam mroki i krwawe piętno triumfującego feudalizmu, ale jest też gorące pragnienie „boskiej wolności” i jej słoneczny blask.

Lion Feuchtwanger, czerpiąc wątek miłosny z tradycji romantycznej, starał się jednak w tle powieści wiernie przedstawić ówczesną epokę.

Akcja rozgrywa się w latach dziewięćdziesiątych XVIII stulecia, kiedy Hiszpania pogrążona była w głębokim mroku stosunków feudalnych, kiedy bezwzględna władza inkwizycji złowrogo ciążyła jeszcze nad życiem oraz wolnością ludzi, a przesąd i ciemnota święciły nadal triumfy.

Węzłem akcji jest zasadniczy przełom w psychice i w sztuce artysty, jaki nastąpił w tym czasie. Goya przechodził okres rozwoju artystycznego i ideologicznego od postawy człowieka dążącego do kariery, pragnącego zyskać znaczenie w „wielkim” świecie, w najwyższych sferach społecznych, u magnatów i dworu — do postawy krytyka, przenikliwego obserwatora i szydery, walczącego o idee sprawiedliwości społecznej opartej o racjonalne przesłanki. Feuchtwanger uwzględnił nowe stosunkowo badania, które wydobyły na jaw silny wpływ przedstawicieli Oświecenia hiszpańskiego na światopogląd artysty. Trzeźwe nauki przyjaciół-reformatorów otworzyły Goyi oczy na rolę, jaką czarny, ponury mnich pełnił w życiu feudalnej Hiszpanii. Władza religii nad umysłami okazała się władzą pustego habitu rozpiętego na zeschniętych kikutach gałęzi. Przedstawiona przeto przez Feuchtwangera sylwetka Goyi jest zgodna w ogólnych i najważniejszych zarysach z tym obrazem, jaki kształtuje się w najnowszych pracach naukowych poświęconych artyście. Trafność oceny nie może jednak przesłonić pewnych ograniczeń jej zakresu; a także i głębi interpretacji wynikających częściowo z powieściowej formy opracowania tematu.

Autor oczywiście z pewną dowolnością podporządkowuje układ chronologiczny prawom kompozycji, kondensując jak najwięcej wydarzeń na tej przestrzeni czasu,

którą obejmuje akcja powieści. Przełom ideologiczny Goyi nastąpił nieco wcześniej, a ciężka choroba artysty, która, jak to słusznie przedstawia autor, miała tak doniosły wpływ na przekształcenie się jego psychiki i pomogła mu niejako w przemianie światopoglądowej, dotknęła go silnie w roku 1792, a więc około półtora roku wcześniej niż ma to miejsce w powieści.

Autor nie operuje zresztą w tekście datami. Raczej fakty historyczne wyznaczają nam chronologię: mówi się o szybko rosnącej sławie Napoleona, o Dyrektoriacie, o przekształcaniu się Francji rewolucyjnej we Francję pierwszego cesarstwa. Feuchtwanger korzystał z tego, że wiele obrazów Goyi nie nosi sygnatur ani dat, są one rozmaicie rozmieszczane w czasie przez różnych badaczy i tę niepewność w zakresie chronologicznym rozciągnął nawet na wypadki lepiej udokumentowane, wiążąc w ten sposób dzieła z życiem artysty, aby uzyskać jak największą jednolitość opowieści. Za przykład posłużyć może Odpust na łące św. Izydora, którego powstanie określają specjaliści na rok 1788, podczas kiedy w powieści Goya tworzy go znacznie później, około 1795—6 r.

W charakterystyce malarstwa uległ autor pokusie uproszczonej a niezbyt prawdziwej interpretacji rozwoju sztuki Goyi od sztywnego klasycyzmu do miękkiego, delikatnego malarstwa, operującego „srebrzystymi tonacjami, uwzględniającego działanie światła i atmosfery. To drugie twierdzenie jest słuszne, ale nie pierwsze: Goya nigdy klasycystą nie był, tak zresztą jak „cały ów wiek”, bynajmniej nie poddawał się „tyranii linii” na sposób klasycystyczny, jak to sugeruje autor na początku powieści. Goya rozwijał się raczej od rokoka do realizmu, od wyrafinowanej i arystokratycznej dworskiej sztuki schyłkowego feudalizmu ku coraz silniejszemu powiązaniu jej z życiem, ku coraz bystrzejszej obserwacji, coraz istotniejszemu pogłębieniu psychologicznemu i politycznemu. Sztuka Goyi rozwijała się od pogodnej afirmacji świata, w którym pragnął zyskać znaczenie, do dramatycznej jego krytyki; od umownej fikcji rokokowych dekoracji do wstrząsającego realizmu ludowego powstania, do obłędnej wizji chorego umysłu, który nie znajdował oparcia w spletanym łańcuchami rzeczywistym świecie.

Książka znacznie więcej mówi o Goyi jako malarzu niż grafiku. Nic w tym zresztą dziwnego, skoro kończy się w momencie, gdy artysta wchodzi dopiero na drogę swojej graficznej kariery. Pomijając bowiem wczesne akwaforty, powtarzające obrazy Velazqueza, Kaprysy są pierwszym wielkim cyklem rycin, jaki Goya wykonał. Jednak strona plastyczna i techniczna Kaprysów została w książce Feuchtwangera prawie pominięta. Tymczasem nowatorstwo Kaprysów poza ich krytyczną, a niekiedy wręcz rewolucyjną treścią wyraża się również w technice. Postępowe idee znalazły też nową formę plastyczną w nowej naówczas metodzie graficznej, zwanej akwatintą, pozwalającej na operowanie miękkimi plamami szarości o subtelnie zróżnicowanych walorach.

Lata poprzedzające akcję powieści przebijają w niej we wspomnieniach, rozmowach, w myślach Goyi. Brak natomiast wiadomości o dalszych losach twórcy. Feuchtwanger kończy swą powieść akcentem optymistycznym: Goya zabiera się do nowych dzieł. Będzie malować na ścianie swego domu — Quinta del sordo; myśli już o *Saturnie pożerającym własne dzieci*.

W chwili gdy rozstajemy się z pięćdziesięciosiedmioletnim Goyą, czekają go nowe próby, nowe przeżycia. Za kilka lat losy Hiszpanii miały zmienić się zasadniczo. Kraj przechodził potężne wstrząsy. Wzrastające niezadowolenie i nienawiść ludu kierowały się przeciwko Godoyowi i Karolowi IV; w następcy tronu — Ferdynandzie widziano (niesłusznie) męża opatrnościowego. Wrzenie dosięgło szczytu w marcu 1808 r. Armia francuska wkroczyła do Hiszpanii, witana przez stronnictwo reformatorów jako przedstawicielka kraju wolności i rozumu. Szerokie rzesze widziały w niej zbawcę, wierzone, że Napoleon poprze następcę tronu, w którym tyle pokładano nadziei. Tłum mieszkańców Madrytu i chłopów z okolicznych wsi otoczył pałac w Aranjuez i manifestując oraz grożąc domagał się ustąpienia Godoya z zajmowanych stanowisk. Zdemolowano jego mieszkanie, sam Godoy ledwie uszedł z życiem. W jego osobie widziano przyczynę nieszczęść i nędzy kraju. Karol IV w trosce o los swego faworyta, z którym się zawsze solidaryzował, abdykował na rzecz syna Ferdynanda. Napoleon, zaniepokojony słabością rządu w sprzymierzonej Hiszpanii a jednocześnie wykorzystując sytuację, zaprosił całą rodzinę królewską do Bayonne we Francji, gdzie zmusił skłóconych ze sobą Burbonów do ogłoszenia abdykacji za nieważną i do oddania korony hiszpańskiej do jego dyspozycji. Królem Hiszpanii został Józef Bonaparte, brat władcy francuskiego. Po kilku tygodniach okupacji okazało się, że wolność i rządy rozumu należały już we Francji do przeszłości, a armia, która okupowała Hiszpanię, była narzędziem imperializmu cesarza Napoleona.

Ideologowie Oświecenia przeżywali momenty trudne, inteligencja znalazła się na rozdrożu. Lud hiszpański, między innymi lud Madrytu, rozstrzygnął sprawę czynem. W imię niepodległości kraju porwał za broń przeciw osadzonemu na tronie hiszpańskim Józefowi Bonapartemu, pragnąc powrotu własnego monarchy, którego fatalnej roli, głupoty i nikczemności nie pojmował. Rozpętała się wojna ponura, bezwzględna, chociaż bez wielkich bitew. Toczył ją lud przeciw ogromnej armii francuskiej systemem partyzantki, podjazdów, ciągłego niepokojenia wroga; obie strony mordowały się bezlitośnie. Okrucieństwo ludzkie sięgało szczytów bestialstwa. Hiszpańscy chłopci, wygłodzeni i nękanie ciągłymi kwaterunkami wojsk, doprowadzeni do ostateczności, nieledwie gołymi rękami zabijali Francuzów. Żołnierze napoleońscy, zdemoralizowani latami podbojów i okupacji, grabią, gwałcą, przynoszą wszędzie śmierć, sieją zniszczenie.

Goya czas jakiś przebywał w rodzinnej Aragonii, na wsi. Później powrócił do Madrytu i pełnił funkcję malarza nadwornego przy nowym francuskim królu: portretował Józefa Bonapartego oraz generałów napoleońskich. Ale równocześnie powstawały szkice i rysunki do wspaniałych dzieł, którymi miał Goya rychło wystawić „trwalszy od spizu” pomnik bohaterstwu i odwadze ludu hiszpańskiego.

Goya często wyjeżdżał z Madrytu na tereny opanowane walką, oglądał i szkicował pola bitew. Pracował już wówczas nad nowym cyklem rycin, którego jednak sam nigdy nie opublikował. Były to Okropności wojny (Los Desastres de la Guerra) — najpotężniejsze oskarżenie wojny, jakie stworzył dotąd artysta. Powstaniu madryckiemu z maja 1808 roku poświęcił Goya dwa wspaniałe malowidła: Starcie powstańców z żołnierzami marszałka Murata na placu Puerto del Sol dnia 2 maja 1808 r. oraz Rozstrzelanie powstańców madryckich 3 maja 1808 r.



Dzieła te, naładowane dynamiką walki, pełne namiętnego protestu przeciwko niesprawiedliwości i przemocy, stały się pierwszymi arcydziełami malarstwa europejskiego XIX wieku. Ich romantyczny entuzjazm wyprzedza twórczość francuskiej malarzy rewolucji 1830 r. i artystów głoszących ideały Wiosny Ludów.

Cykl rycin *Okropności wojny* to więcej niż opowiadanie o okrucieństwach najeźdźców i bohaterstwie Hiszpanów. Podobno Goya podczas oblężenia Madrytu wybiegał nocą na opustoszałe po walkach ruiny i gorączkowo szkicował zawałone trupami pola bitwy. Na pytanie, po co rysuje te okropności, miał odpowiadać, iż czyni to w tym celu, aby pokazując ludziom ich straszliwe dzieło, poprawić ich; „aby przestali być barbarzyńcami...”

W istocie cykl rycin jest wielkim oskarżeniem wojny, zła i okrucieństwa. Goya nie tylko ukazuje okropność zniszczeń i męczarni ludzkich, ale również destrukcyjny wpływ wojny na człowieka. Obojętność, bezwzględność, brak współczucia i solidarności międzyludzkiej — oto chwasty krzewiące się w atmosferze demoralizacji wojennej. Wobec typowego obrazowania wojny w dziełach nadwornych batalistów XVII i XVIII wieku, ryciny Goyi były rewolucyjne. Tamci upiększali często wojnę, malując awanturnicze przygody, efektowne defilady barwnie ubranych gwardii, wodzów na wspaniałych koniach, triumfy nad pokonanym wrogiem. Goya przedstawił wojnę taką, jaką jest ona naprawdę, ukazując sceny pełne okrucieństwa, gwałtów, trupów, głodu.

W rycinach tego cyklu nie znajdziemy śladu sztuczności, „teatralnego” upozowania. „Przypadkowość” układu tych kompozycji, uchwycone fragmenty, epizody na pozór mało ważne — wzmagają wrażenie, że są to autentyczne, nie sfalszowane obrazy tego, co istotnie działo się wówczas na Półwyspie Pirenejskim.

Upadek imperium Napoleona, przeciw któremu Hiszpania toczyła długoletni krwawy bój, był dla niej początkiem nowej klęski. Jak każde państwo znajdujące się w orbicie wpływów cesarstwa, tak i Hiszpania uzyskała za pośrednictwem Józefa Bonapartego pewne elementarne swobody demokratyczne — dziedzictwo rewolucji francuskiej. W dobie wojny przeciwko napoleońskiemu okupantowi stronnictwo reformy dokonało wielkiego dzieła uchwalając liberalną konstytucję w roku 1812; otóż to wszystko legło teraz w ruinie. Powrót króla Ferdynanda — Burbona był początkiem gwałtownych represji skierowanych przeciwko tym wszystkim, którzy w okresie panowania francuskiego lub w dobie niepodległościowej okazywali liberalne poglądy, jak w całej Europie, tak i w Hiszpanii, tylko tu jeszcze okrutniej, szalała reakcja, znów wzmożły się wpływy inkwizycji. Poświęcenie ludu i jego wierność wobec dynastii odplacone zostały jak najczarniejszą niewdzięcznością.

W okresie tych wydarzeń Goya, stary, głuchy samotnik, wiele czasu spędzał w ukryciu, nie mogąc brać udziału w życiu publicznym. Jednocześnie wyobrażenia jego tworzyła straszliwe wizje, utrwalane w rysunkach lub ściennych malowidłach w domu artysty. Ponure sceny, demoniczne majaki, które nawiedzały go nocą, napierały na jego myśli: Goya rozpoczął nową serię fantastycznych rycin. Nie zawsze były one tworem czystej fantazji, struktura ich podobna była do Kaprysów — krytyka i szyderstwo nie było im obce, Nazywał je Goya Przysłowiami lub Szaleństwami (Proverbios lub Disparates).

Lata reakcji doprowadziły do kresu cierpliwość ludu hiszpańskiego. W marcu



1820 r. wybuchła rewolucja: król został zmuszony do zaprzysiężenia liberalnej konstytucji. Obóz liberalny pełen był jednak konfliktów i nieporozumień, które Ferdynand umiał zręcznie wygrywać. Brak zgody pomiędzy najbardziej postępową grupą przywódców rewolucji a ugodową, oportunistyczną burżuazją doprowadził do znacznego osłabienia rządu konstytucyjnego. Dzieła ostatecznego zdławienia rewolucji dokonała armia interwencyjna Świętego Przymierza, która w r. 1823 przywróciła Ferdynandowi władzę absolutną. Okres rewolucji 1820—23, choć krótki, przyniósł pewne akcenty optymizmu w rysunkach Goyi, ale ciężar lat reakcji, które nastąpiły później, przerastał siły starca. Walka o poprawę bytu ludu hiszpańskiego, o oświatę, o uzdrowienie stosunków społecznych, o uczciwość rządu nie została za życia Goyi uwieńczona powodzeniem. Starość artysty, przypadająca na lata reakcyjnego ucisku i prześladowań działaczy liberalnych, postępowych i wszelkich wyznawców racjonalizmu, nie jest wesoła. Dzieła Goyi z tego okresu są również ponure i niesamowite. Wiele wręcz przerażających obrazów wymalował artysta na ścianach własnego domu: jeden z nich przedstawia Saturna pożerającego własne dzieci. Dopiero w takich warunkach dzieło to zyskuje pełną, wstrząsającą wymowę.

Ciężkie czasy ucisku, prześladowania, lęku przed cichymi *nuncios* inkwizycji odzwierciedlają się też w licznych rysunkach Goyi (w r. 1814 Święte Officium oskarżyło Goyę o namalowanie Maji nagiej). Gdy przeglądamy karty jego szkicowników z tego czasu, wzrok nasz zapuszcza się w głąb cel więziennych. Straszne, blade, o zmierzwionych włosach postacie więźniów przykutych grubymi łańcuchami do ściany; torturowani i traceni, ośmieszani i prześladowani, ludzie łamani bezwzględny systemem reakcyjnego odwetu są bohaterami tych mistrzowskich rysunków. Goya bierze udział w ich cierpieniach, współczuje im, rzuca krótkie, dramatyczne pytania: „Za co?“, „Dlaczego?“ lub komentuje z ironią: „Za liberalne przekonania“. Jego postawa staje się wówczas coraz bardziej zdecydowana. Szalejący terror sprawia jednak, że w rycinach kryje nieraz swą myśl w zawitej przerośni; Szaleństwa stawały się coraz bardziej fantastyczne.

Rytował też inne rzeczy: powstał wówczas cykl poświęcony walkom byków, tak popularnym i lubianym przez Hiszpanów. Malował też dalej subtelne portrety. Stworzył również trzy niezmiernie ciekawe obrazy, proste, zwiezie, realistyczne: szlifierz ostrzący nóż na kole, dziewczyna z dzbanem i wnętrze kuźni. Szczególnie ten ostatni obraz zdumiewa nowoczesnością ujęcia, sugestywnością, z jaką artysta ukazał pracę kowali zgarbionych nad kowadłem.

Z tych czasów pochodzi również piękna i popularna rycina Kolos. Przedstawia ona rozległy nizinny pejzaż oświetlony sierpem księżyca. Małe wioski i miasteczka leżą na ogromnej płaszczyźnie. W głębi, jakby na brzegu niewidocznego morza, siedzi olbrzym, nagi i przygarbiony, odwrócony do nas plecami. Jego ogrom można w pełni ocenić w zestawieniu z drobnymi rozmiarami rozrzuconych na nizinie wsi. Czarna, oświetlona blaskiem księżyca postać zwraca ku nam zarośniętą włosami, na pół zwierzęcą twarz. Nad spokojnym krajobrazem, nad śpiącymi wioskami czuwa potężny potwór — zapewne symbol ucisku, niewoli i nieszczęść Hiszpanii.

Artysta nie chciał żyć dłużej pod rządami, których nienawidził. Ostatnie lata życia spędził Goya na emigracji. Wyjechał do Francji i osiadł w Bordeaux.

Te ostatnie lata spędzone poza ojczyzną są jednak raczej dość pogodne:

< 546 >

otaczają go przyjaciele i rodzina, towarzyszy mu wnuk. Głuchy i źle widzący starzec nie poddaje się rezygnacji. Maluje wówczas portrety, należące do najpiękniejszych dzieł, jakie stworzył. Dokazuje zresztą cudów energii, ucząc się — około osiemdziesiątego roku życia — nowej techniki artystycznej: wynalezionej właśnie sposobu powielania przy pomocy kamienia — litografii. Opanowuje ją szybko i kreśli kredką na kamieniach litograficznych jasne, pełne światła kompozycje — Walki byków w Bordeaux.

Osiemdziesięcioletni zmarł w Bordeaux w roku 1828.

Znaczenie historyczne Goyi było ogromne. On pierwszy umiał nadać monumentalną i dramatyczną formę aktualnym wydarzeniom z dziejów swego narodu; on pierwszy w takiej skali wprowadził krytykę polityczną i społeczną do dzieł malarstwa i grafiki. Na tle współczesnego mu, często suchego i nieszczerego malarstwa klasycyzmu reprezentował namiętną i dramatyczną koncepcję sztuki — wkraczał już dzięki tej postawie w okres romantyzmu. W przeciwieństwie jednak do wielkich twórców tej epoki Goya nie głosił w swych dziełach kultu wybitnej jednostki; brak w jego twórczości bohaterów indywidualnych; bohaterem jest raczej zbiorowość, cały naród hiszpański, jego nieszczęścia i dążenia, jego walka i zawiedzione nadzieje.

Choć zawędrował wysoko na drodze swojej kariery, Goya nigdy nie zerwał więzi z ludem. Sprawom ludu poświęcone były najświetniejsze jego obrazy, będące pomnikiem bohaterstwa walczących o wolność Hiszpanów. W sztuce Goyi wielokrotnie spotykamy wzory prostej i prymitywnej grafiki, zastosowanie przysłów — „mądrości ludowej”; znajdujemy transpozycję właściwego ludowej sztuce przeciwstawienia siły dobrej i złej. Inspirację czerpał Goya z najprostszych źródeł: z tradycji ludowej symboliki, z popularnych jakobińskich i antynapoleońskich rycin, jakich setki kursowały wówczas po Europie. Z takiej właśnie gleby wyrastały najwybitniejsze dzieła Goyi; umiał on wziąć z tych koślawych i prymitywnych dzieł ich zasadniczy sens — przeciwstawienie dwóch elementarnych sił: dobra i zła, umiał dać im konkretną treść historyczną i podnieść do kategorii wielkich dzieł sztuki.

JAN BIAŁOSTOCKI